

MARIUSZ PASEK

PARAGRAF
13

MARIUSZ PASEK

**PARAGRAF
13**

FRONDA

str redakcyjna

ZAMIĄST WSTĘPU

DWIE ROZMOWY

Wojciech Jaruzelski i Zrnka Novak

Zrnka Novak: Muszę powiedzieć, że jako kobieta - być może właśnie dlatego - jestem czasem w kłopotcie, gdy trzeba precyzyjnie określić rolę wojska w socjalizmie. Mam świadomość, że żyjemy w podzielonym świecie i że socjalizm na razie nie osiągnął poziomu globalnego, jak to przewidywał Marks. Znam zarówno koncepcję obronnej roli armii, jak i tezę o uzbrojonym narodzie. Jednakże myślę, że korzystnie byłoby dokładniej objaśnić wewnątrzpolityczną rolę wojska w socjalizmie.

Wojciech Jaruzelski: Jest to ważny temat. Charakter socjalistycznej armii, jej istota i funkcja różnią się w sposób zasadniczy od tych, które spełnia armia w rządzonych przez burżuazję państwach kapitalistycznych.

Zacznę może od strony organizacyjnej. Na Zachodzie armie mają w większości charakter zawodowy. Na przykład armia amerykańska

czy brytyjska są w stu procentach armiami zawodowymi. Armia francuska i RFN-owska - to również w znacznym stopniu armie zawodowe. U nas jest inaczej - siedemdziesiąt procent to żołnierze służby zasadniczej, którzy po spełnieniu obywatelskiej powinności, po dwóch latach, odchodzą do życia cywilnego. Jest to sprawa niby formalna, ale jednocześnie bardzo istotna, określa bowiem i przesądza organiczną więź armii z życiem narodu. Jej serdeczną, powiedziałbym, barwną ilustracją jest odwiedzanie jednostek wojskowych przez tysiące ludzi, całe rodziny żołnierzy z okazji różnego rodzaju uroczystości wojskowych, jak na przykład przysięga wojskowa.

Ale oczywiście nie to jest najważniejsze. Istota sprawy polega na tym, że armia w socjalistycznym państwie znajduje się pod ideowo-politycznym kierownictwem Partii klasy robotniczej. Że jest wychowywana w duchu ideałów socjalizmu, w poczuciu służby narodowi. Że jej ofiarna, wykształcona i zdyscyplinowana kadra stanowi jeden z czołowych oddziałów polskiej ludowej inteligencji.

Obok swej podstawowej funkcji zewnętrznej, to jest obrony granic, służby w obronie pokoju, wojsko nasze spełnia jednocześnie wiele zadań, które nie są w ogóle znane w siłach zbrojnych państw kapitalistycznych. Na przykład bardzo szeroki udział w życiu gospodarczym. (...) To samo dotyczy życia kulturalnego. Można to również odnieść do wielu innych dziedzin.

A przede wszystkim jest to dobre wojsko. Cieszy się ono w społeczeństwie tradycyjnie

dużym autorytetem i sympatią. Dziedziczny sentyment wyrosły z historii narodu pozbawionego przez długie lata swojej państwowości.

Żołnierz polski to dla Polaka obrońca ojczyzny, synonim wysiłku zbrojnego, walk o niepodległość, a także zwycięstwa, czego szczególnym wyrazem był nasz udział w szturmie i zdobyciu Berlina.

Wszystko to tworzy więź emocjonalną społeczeństwa z armią¹.

Wojciech Jaruzelski i Leonard Bernstein

Leonard Bernstein: Trzeba było wielkiej odwagi, by wprowadzić stan wojenny.

Wojciech Jaruzelski: Ja jestem żołnierzem.

Leonard Bernstein: Czas żołnierzy już minął².

¹ Wywiad Wojciecha Jaruzelskiego dla Zrnki Novak, Warszawa 1987 s. 49-50.

² „Gazeta Wyborcza” 1989 nr 85 s. 8.

PROLOG

Zamiast chleba i soli

Pierwszy przybył podchorąży Nawrocki.

– Rozbierać się! Ciuchy do wora! Damy nowe! – usłyszał na powitanie. – Ruchy, ruchy!

– A czy mogę zatrzymać...

– Macie się do mnie zwracać: *obywatelu kapralu!* A zatrzymywać niczego nie wolno.

– Przepraszam.

– Mówi się: *obywatelu kapralu!*

– Obywatelu kapralu, przepraszam.

– Chodźcie za mną!

– Ale ja chciałem...

– Zero dyskusji!

Weszli do szatni. Trudno było dopatrzeć się tu wzorowego porządku. Co prawda, przy ścianach w równych rzędach grzecznie warowały wojskowe tornistry, ale na podłodze walała się sterta mundurów, dresów, pasów i różnych innych rzeczy, które nazywane są osprzętem umundurowania żołnierskiego.

– No, nagusie! Zdjąłeś już swoje łachy, teraz zakładaj nasze! Ruchy, ruchy!

– Ale czy mogę...

– Jak się mówi?

– Obywatelu kapralu, czy mogę zostawić sobie slipki?

– A co, nasze atramenty nie pasują? W wojsku może być chujowo³, ale musi być jednakowo! Zrozumiano?

– Tak.

– Jak się odpowiada?

– Tak, obywatelu kapralu.

– Wróć! Inaczej!

– Rozkaz.

– Wróć! Jaki tam teraz rozkaz? Mówi się: *tak jest, obywatelu kapralu!*

– ...?

– Co, powtórzyć nie potraficie?

– Tak jest, obywatelu kapralu.

– Głośniej!

– Tak jest, obywatelu kapralu!

– Nie słyszę!!!

– Tak jest, obywatelu kapralu!!! – rekrut wrzasnął na całe gardło.

– A teraz ubierać się! I cieszyć się, że jesteście wcześniej niż inni, to macie w czym wybierać. Ale ruchy, ruchy! Nie jesteście na wczasach! Tempo!

Świeżo upieczony kanonier podchorąży bardzo niechętnie sięgnął po ogólnowojskowe slipy – z racji swego koloru nazywane atramentami – mocowane w pasie tasiemką lub sznurkiem.

– Obywatelu kapralu, czy są tu może jakieś spodenki z gumką?

³ Na problem używania w Ludowym Wojsku Polskim słów niecenzuralnych zwrócił uwagę kardynał Stefan Wyszyński: *Nasi klerycy, odbywający służbę wojskową, nie mogą się nadziwić słownikowi pp. kaprali, jakim oni się posługują wobec rekrutów, i nikt z inteligencji wojskowej nie podejmuje kroków zaradczych. Nikt też z inteligencji policyjnej, bezpieczeństwa, prokuratorskiej, sądowniczej nie podejmuje wysiłku, by poprawić stosunek człowieka do człowieka. Tym balastem osobistego chamstwa obciąża się demokratyzm, ustroj państwowy – jakoby postępowy, i różne szczeble służby społecznej* (fragm. listu kard. S. Wyszyńskiego z 4 sierpnia 1975 roku, zamieszczonego jako słowo wstępne do książki ks. J. Wójcika, *Moja Wielka Nowenna*, wyd. Odnowa, Londyn 1985).

– Szukajcie, może coś się znajdzie.

Po atramentach przyszła kolej na koszulkę, moro, dres, pasy, pałatkę, onuce, skarpety, troki i całe kilogramy rzeczy niezbędnych do tego, by żołnierz się nie nudził, lecz zajmował ich poprawianiem i czyszczeniem. Dzięki temu nie trwoniał cennego czasu na niepotrzebne i szkodliwe marzenia o takim na przykład zimnym piwku z kumplami.

A przynajmniej nie powinien.

Tak oto 1 września 1988 roku powitano w Szkole Podchorążych Rezerwy Artylerii w Szczupakowie pierwszego podchorążego dwudziestego szóstego turnusu *długotrwałego przeszkolenia wojskowego absolwentów szkół wyższych*. Pozostali mieli przybyć nazajutrz, o godzinie ósmej zero zero.

Nawrocki zjawił się wcześniej, słyszał bowiem, że tych, którzy przybywają do wojska jako pierwsi, honoruje się po przysiędze urlopem – w nagrodę za *wzorowe obywatelskie podejście do obowiązków żołnierskich*. Ukończył Wyższą Szkołę Pedagogiczną w Krakowie, był niezłym muzykiem rockowym i do miłośników służby wojskowej z pewnością nie należał, ale bardzo mu zależało na wyjazdach do domu. Mieszkał na drugim krańcu Polski, w Opolu. Jego żona spodziewała się dziecka.

– Obywatelu kapralu, jak tu jest z urlopami? – zapytał, podążając za zwierzchnikiem w stronę pomieszczenia, które w najbliższych miesiącach miało mu zastępować jego własną sypialnię.

– Zobaczy podchorąży, zobaczy.

– Ale...

– Zapytajcie się komendanta. Jutro!

– A ilu nas będzie w SPR-ze?

– Nie wiem. W turnusie zimowym było blisko osiemdziesięciu, a w wiosennym poniżej pięćdziesiątki.

– I to wszystko w czterech salach?!

– Nie mówi się: *salach*, tylko *izbach żołnierskich* – poprawił kapral Muca. Mimo że o kilka lat młodszy od Janusza Nawrockiego, kanoniera podchorążego Nawrockiego przewyższał stażem i doświadczeniem wojskowym prawie o rok.

W izbie żołnierskiej o powierzchni około czterdziestu metrów kwadratowych stłoczonych było kilkanaście łóżek.

– Wy i tak będziecie mieli miodzio – pocieszał kapral. – Skoro wozy niespiętrowane, to pewnie nie będzie was zbyt wielu. Zimą musieli prawdziwe cyrki wyczyniać, żeby wozy oporządzić.

Opowieść przerwało wejście starszego szeregowego Marmuchy.

– Słuchaj Muca, telefonują z biura przepustek, że nowy klient przyjechał.

– No to co?

– Jak to co? Musisz po niego iść!

– Nie możesz ty skoczyć? Powiesz najwyżej, że mam srakę.

– Ta, srakę... A oficer dyżurny powie Piontkowi, że nie chciało ci się leżeć, i znowu zarobisz zmkę. Czy ja zawsze muszę myśleć za ciebie?!

– No dobra... kurwa mać, ciągle człowieka ganiają – uzalił się jeszcze Muca, znikając za drzwiami.

– Ale kapralinę nastraszyłem, co? – powiedział z satysfakcją Marmucha.

– No, fajnie. Ale słuchaj... – zaczął Nawrocki.

– Macie się do mnie zwracać: *obywatelu starszy szeregowy!*

– Tak jest.

– No już dobrze – uśmiechnął się Marmucha. – Idźcie teraz, podchorąży, umyć się i ogolić, tego wása przede wszystkim. Na unitarce nie przysługuje! Dopiero po przysiędze.

Ablucje przerwało pojawienie się następnego kandydata na oficera artylerii. Przybysz był starannie wygolony i ostrzyżony niemal

na łyso. Prezentowałby się jak wzorcowy kandydat na komandosa, gdyby nie tusza godna imć pana Zagłoby.

– Cześć. Janek Borówka jestem – przedstawił się.

Nawrocki uściśnął jego dłoń, pulchną jak świeży pączek.

– Janusz Nawrocki. Po WSP w Krakowie. A ty co skończyłeś?

– Nauki polityczne w Białymstoku.

– Dziwne.

– Co dziwne? – nieufnie zapytał Borówka.

– To, że nie zaciągasz.

– No wiesz! – obruszył się Borówka. – Warstwy wykształcone nie zaciągają.

Tę ciekawie zapowiadającą się dyskusję językoznawczą przerwał powrót kaprala:

– Myć się, do cholery jasnej, i spać! Ruchy, ruchy!

Miasteczko na uboczu

Koszary w Szczupakowie zostały wybudowane, jak wiele podobnych obiektów w północnej Polsce, jeszcze za czasów pruskich, lecz już pod koniec panowania Hohenzollernów. Przeszły potem parę modernizacji (w latach 1933, 1948 i 1981), co zapewniło ich lokatorom warunki znacznie lepsze od tych w innych garnizonach.

W tych właśnie mazurskich koszarach, niedaleko granicy przyjaźni z ZSRR, stacjonowała 1 Śląska Brygada Artylerii Armii im. Feliksa Dzierżyńskiego.

Szczupakowo było niewielkim miasteczkiem. Latem zjeżdżały doń tłumy turystów; wiosną, jesienią i zimą ton życia nadawało wojsko. Wszystkie akademie, spartakiady i spotkania przebiegały pod patronatem armii; wszelkie libacje i bójki – również. Gwoli sprawiedliwości wypada zaznaczyć, że bijatyki zdarzały się znacz-

nie częściej niż inne ogólnodostępne imprezy. Za wyjątkiem pija-
tyk, rzecz jasna.

Bo w Szczupakowie czasem mogło brakować wszystkiego, nawet
szczupaków – nigdy jednak wódki. Chociaż... tubylcy zdecydowanie
preferowali napój, który choć w całym kraju był podobny w smaku,
to w każdym rejonie nosił inne nazwy: jaból, bełt, J-23, chlaptusek,
łzy sołtysa, czar PGR-u, alpaga, pepe, mocz kombajnisty albo i krew
traktorzysty. Trzeba by nowego Oskara Kolberga, który by spisał lu-
dowe nazewnictwo tego artykułu pierwszej potrzeby.

Niewiele mniejszym powodzeniem cieszył się bimber. Jego pro-
dukcja kwitła i tylko od czasu do czasu była zakłócana brakiem cukru,
spowodowanym kolejnymi przejściowymi trudnościami w zaopatrze-
niu rynku. Ale wtedy też dawano sobie radę – pędzono z żyta.

Podobno przed laty palacz z profosem zaczęli pędzić księży-
cówkę w kotłowni i przylegającym do niej garnizonowym areszcie.
Ich ambitne zamierzenia spaliły na panewce, gdy do Szczupakowa
przybył nowy dowódca brygady, pułkownik Czachórski, który był
– co w wojsku stanowi ewenement absolutny – całkowitym absty-
nentem i zdecydowanym wrogiem wszelkich nałogów.

Złośliwi szeptali, że to właśnie one, na domiar złego cudze,
przywiodły go do Szczupakowa, skąd dowódca mógł odejść tyl-
ko na emeryturę – nigdy w górę, a już przenigdy do awansodajnej
Warszawy.

Pierwsza pobudka

– Wstawać, wstawać biegusiem! W wojsku jesteście! – kapral
Muca zrzucił koce z Nawrockiego i Borówki. – Ruchy, ruchy!

– Gdzie, gdzie ja jestem? – pytał nie całkiem jeszcze przytomny
Borówka.

– Wstawać, do cholery! Co wy sobie wyobrażacie!?! – włączył się
do akcji starszy kapral Kozioł. – Baczość!

Powoli gramolili się z łóżek. Zaczęli się ubierać. Szybciej szło
to Nawrockiemu. Spanikowany Borówka zmagął się z garderobą
równie rozpaczliwie, jak bezskutecznie.

– Nie mogę na tego grubasa patrzeć. Czy w domu ubierała
go pokojówka? – Kozioł mruknął pod nosem, ale na tyle głośno,
by usłyszeli go wszyscy. – A teraz idźcie się obszywać, bo wyglą-
dacie jak ostatnie szweje. Do fryzjera pójdziecie wtedy, gdy będzie
was tu przynajmniej dziesięciu, tak że macie trochę czasu. Wytłu-
macz im, Muca, jak mają się obszyć, makarony naszyć, wiesz zresz-
tą, co trzeba.

– Muca, Muca, kapral Muca! – z korytarza dobiegł wrzask.
– Do mnie, kurwa, Muca!

– Jestem! – służbiście odkrzyknął podoficer i pobiegł tam, do-
kąd go wzywano.

– No dobra, ja też was tu zostawiam – powiedział Kozioł. –
Obszywajcie się.

– Ale czym? – zapytał Nawrocki.

– No to się nie obszywajcie! Zaraz pewnie dotrą inni, to na ra-
zie zajmijcie się wozami.

Po wyjściu przełożonego zastali metalowe wyra i przysiedli
na nich. Zegarek Nawrockiego wskazywał siódmą dziesięć, a Bo-
rówki siódmą dwanaście, co dało temu drugiemu asumpt do wsz-
częcia dysputy, czyj czasomierz jest lepszy. Rozmowa nie trwała
długo. Do sali wkroczył Muca wraz z dwoma osobnikami dźwiga-
jącymi wojskowy rynsztunek. Nie wiedzieć czemu, nie przebrali się
w szatni.

– No i mamy dwóch kolejnych – rzekł podoficer. – A wy tu cze-
mu wozów nie oporzadziliście?

– Ale przecież łóżka są posłane – wystąpił w obronie kolegów
jeden z przybyszów.

– To jeszcze nie wiecie, jak słać wozy?! – oburzył się Muca.
– Niby skąd mamy wiedzieć?
– A przede wszystkim – ryknął kapral – jak się zwracacie do przełożonych i starszych stopniem?! W wojsku jesteście, a nie w harcerstwie! Podchorąży – wskazał Nawrockiego – wytłumaczcie kolegom, jak się zwracać.
– Należy pytać o zgodę.
– Co wy, magisterek, od wczoraj zapomnieliście? – ironizował podoficer.
– Obywatelu kapralu, to może ja – wyrwał się na ochotnika Borówka.
– No, to była prawie dobra formuła – pochwalił Muca. – Ale to ma powiedzieć... – zawahał się. – Jak się nazywacie?
– Nawrocki.
– Mówi się: *kanonier podchorąży Nawrocki, obywatelu kapralu!*
– Zrozumiałem, obywatelu kapralu.
– No! – Muca był wreszcie usatysfakcjonowany. – A teraz pokażę wam wszystkim, jak się oporządza wóz, żeby było na wzór-konspekt!
Zanim jednak rozpoczął wykład z ćwiczeniami na temat: *oporządzanie ranne wozu*, przypomniał sobie, że nie doprowadził do finału wątku zwracania się do przełożonych. A przecież *Poradnik dydaktyki i wyjaśnień dla dowódców drużyn* stanowczo zabraniał dopuszczać do takich sytuacji.
– Aha – zagadnął wyższego z przybyszy. – To jak się podchorąży nazywa?
– Kanonier podchorąży Maroń, obywatelu kapralu! – mimo że ciągle jeszcze ubrany po cywilnemu, Maroń wyprężył się na baczność.
– O! To mi się podoba – Muca uśmiechnął się i mówił dalej profesorskim tonem. – A teraz możemy przejść do właściwego tematu naszych zajęć. Będę pokazywał i tłumaczył. Widzicie,

najpierw rzucimy cały ten szajs na ziemię, żeby po kolei pokazać. Tak się oczywiście robić nie powinno i normalnie zostalibyście za to ukarani, ale tym razem chodzi o to, byście wszystko dokładnie widzieli. Najpierw to grube płótno. No, podchorąży Borówka, co byście z tym zrobili?

– No... położyłbym je...

– Prawidłowo! – pochwalił Muca. – To płótno trzeba umieścić na sprężynach, a jego troki dobrze przywiązać, żeby się potem nie ruszało. No to teraz materac. Należy położyć go tak, żeby jego troki znajdowały się na dole, a potem troki podwiązać do nóg wozu. Chodzi o to, żeby i materac się nie ruszał. Tak ma już zostać na całe cztery miesiące, które tu spędzicie. Ale brzegi materaca muszą nadawać się do podwijania. Następnie kładziecie rozpostarte prześcieradło, na nie pidżamę, na pidżamę drugie prześcieradło i jeden koc. Potem – skrupulatnie demonstrował wykonanie operacji – podnosicie bok materaca i to, co z niego zwisa, wkładacie, ale ładnie, pod materac. To samo i z drugiej strony. I podobnie w nogach.

„Tu człowiek jest inny niż w cywilu. Tylko nazwisko ma takie samo.”

– Obywatelu kapralu... – Maroń postanowił zadać pytanie fachowe.

– Słucham.

– Obywatelu kapralu, a co z tym drugim kocem?

– O, to ważne zagadnienie – Muca uradował się spostrzegawczością ucznia. – Z drugim kocem postępujemy inaczej. Bierzemy go, o tak, pod szyję, przytrzymujemy brodą i... Nie, lepiej inaczej... Bierzemy... Wróć! – zgodnie z Regulaminem i nawykiem sam sobie wydał komendę. – Dobrze mówiłem wcześniej. Bierzemy pod szyję, składamy wzdłuż na pół, przytrzymujemy i obydwa boki składamy do środka na pół, tak by się zetknęły...

– Obywatelu kapralu... – wtrącił Borówka.
– Słucham, podchorąży.
– Nie rozumiem – Borówka bezradnie rozłożył ręce.
– To się patrz, cholero – warknął podoficer, ocierając pot z czoła. – A jak dalej nie chwytasz, to sięgnij po podręcznik pułkownika Bródki na temat siania wozu żołnierskiego w pozycji na noc i na dzień. Albo obejrzyj zdjęcia w korytarzu. Wiszą nad grzybem. Zrozumiano?!

Borówka wołał już nie pytać, gdzie jest ów grzyb. Wiadomość, że w koszarach panoszą się ściennie pasożyty, zaniepokoiła również Nawrockiego.

– Obywatelu kapralu, a duży ten grzyb? Nie da się go jakoś zwalczyć?

– Ha, ha! To nie wiecie, że grzybem nazywa się biurko podoficera dyżurnego? – Muca z politowaniem pokiwał głową i spojrzał groźnie, w sposób podpatrzony u podporucznika Siwaka. – To już teraz wszystko jasne i więcej się o to nie pytać! Kontynuujemy! Więc obydwie boki składamy wpół, żeby się zetknęły, a teraz boczne blanki znowu do siebie. I mamy koc złożony na cztery podłużne części. Teraz kładziemy tę konstrukcję na wozie i połowę jej odginamy, tak że boki zagięte są do środka. Zrozumiano?

– Zrozumiano, obywatelu kapralu!

– A teraz pięćdziesiąt centymetrów koca od strony nóg podginamy od góry i podciągamy zagiętą częścią do końca materaca. Końcówkę koca wkładamy pod materac. Na obu poręczach wozu przewieszamy po ręczniku. Ręczniki mają być złożone, o tak – pokazał – na grubość dziesięciu centymetrów, a ich brzegi dobrze podłożone pod materac. Pamiętajcie, że ręcznika przy głowie używać można tylko na wypadek alarmu! A teraz najważniejsze... – sięgnął po jeden ze stojących przy każdym łóżku taboretów. – Bierzemy stołek i prasujemy koce. Cał po cał. Ma być jak ta blacha! Wzór-konspekt! A na koniec kładziemy poduszkę, i oczywiście ją też

prasujemy taboretom. Zapamiętajcie! – uzupełnił ostrzegawczo – że górny brzeg poduszki ma być odległy od tej części wozu, która jest skierowana w stronę ściany, ni mniej, ni więcej, tylko o dwanaście centymetrów. No to teraz potrenujemy sobie z raz! – wskazał na Borówkę.

– Ja...

– Co się mówi? – delikatnie skarcił Muca.

– Obywatelu kapralu...

– Nie tak...

– Rozkaz!

– No to do roboty – wesoło zachęcił podoficer.

A teraz spuśćmy miłosierną zasłonę milczenia nad sposobem, w jaki Borówka wykonał *zadane mu zagadnienie*.

CZEŚĆ PIERWSZA MIŁE ZŁEGO POCZĄTKI

DZIEŃ PIERWSZY

Przedbiegi

Przysłowie chińskie głosi, iż nieszczęśliwi ci, wokół których za wiele się dzieje. Trafność tej maksymy odczuli na własnej skórze podchorążowie, którzy zjawili się w koszarach punktualnie o ósmej zero zero, pamiętnego dla nich 2 września 1988 roku.

Takich hiperpunktualnych było ponad dwudziestu. Niektórzy przybyli do Szczupakowa jeszcze w środku nocy i przez wiele godzin krążyli wokół koszar. Zupełnie nie spieszyło im się do tego, by założyć mundury.

Dyżurny biura przepustek odfajkował ich obecność na stosowanej liście, pozbierał książeczki wojskowe i karty powołania. Potem zaprowadzono luźną grupę do szatni znajdującej się w budynku SPR Artylerii. Tam wskazano im górę sortów mundurowych i zaproponowano zmianę skóry cywilnej na wojskową. Prywatne ciuchy kazano im zapakować do papierowych worków, które na koszt ludowej ojczyzny miały zostać odesłane do ich domów.

– Tylko szybko! Nie grymasić! – poganiał starszy kapral Koziół.
– Ruchy, ruchy!

– Nie przebierać w sortach! Zero dyskusji! – pełniący obowiązki podoficera gospodarczego starszy szeregowy Marmucha był żywotnie zainteresowany tym, by podchorążowie nie oglądali mundurów zbyt szczegółowo. Przed kilku dniami wraz ze swym szefem, sierżantem sztabowym Maskim, wyfasował je z magazynu brygady. Pobrali same nówki, ale później niektóre podmienili. Wiadomo, jak to jest: i kapitan Piontek prosił o moro poza kolejnością, i podporucznik Siwak, i Maski mieli swoje interesiki. Lecz gdyby teraz coś się nie zgadzało, oczywiście wszystkim byłby winien Marmucha. A jeśli coś by się wydało, poszedłby nie na obiecany z dawien dawna urlop, ale do ancla.

– Szybko! Potem się powymieniacie! – kapral Muca przypomniał o swojej obecności.

Odziewali się w dobrane na chybił trafił stroje. Jeden miał bluzę do kolan, za to innemu sięgała ledwie do pępka.

– Starajcie się brać wszystko większe, niż nosiliście w cywilu. Zobaczycie, że tutaj to się przyda – życzliwie radził kapral. – Ale ruchy, ruchy! Czas to pieniądz!

Wreszcie zarządzono odwrót z zakurzonej szatni. Kozioł kazał podchorążym zabrać ze sobą wory zawierające cywilny dobytek.

Wyprowadzono ich na plac musztry. Tam Kozioł złożył rekrutom propozycję nie do odrzucenia:

– A teraz, chuj, biegać i skakać!

– Wytrzęsiemy cywila z każdego – dodał jego wierny giermek, Muca. – Wzór-konspekt będzie!

– Wytrzęsiny nie skończą się, dopóki ostatni worek się nie rozpieprzy! Wszystko na ten temat!

Zielone stwory posłusznie rozpoczęły zbiorowe kicanie. Każdy zdzierzył w prawej ręce – bo tak przykazano – brązowy tobół.

– Szybko! Nie lenić się! Walić torbami o ziemię! – poganił mistrzowie ceremonii. – Ruchy, ruchy!

Wreszcie rozerwał się i najbardziej krnąbrny wór. Rozsypane wokół cywilne klamoty pozawijano w ocalałe resztki papieru.

– A teraz do szatni! – rozkazał Kozioł. – Dwójkami! Ruchy, ruchy!

Muca był bardzo przejęty. Za chwilę miała się rozpocząć niezwykle ważna – również dla niego – operacja przydziału podchorążych do plutonów i drużyn. Z niepokojem zerkał na twarze, próbując odgadnąć, z kim przyjdzie mu się użerać, a kto będzie grzecznie wypełniać polecenia, choćby i te niezupełnie służbowe. On sam nie miał prawie żadnego wpływu na przebieg owej procedury. Mógł co najwyżej prosić o skierowanie kogoś do jego plutonu, ale bez gwarancji, że wniosek zostanie uwzględniony – drużyny formowano tradycyjnie, według kolejności alfabetycznej nazwisk.

– Obywatelu poruczniku... – kapral konspiracyjnym szeptem zatrzymał podporucznika Siwaka.

– Czego, kurwa?

– Jest tu taki jeden podchorąży, nazywa się... – Muca postanowił przynajmniej trochę dopomóc przeznaczeniu.

Przydziały kwalifikacyjne do plutonów miały być prowadzone w myśl zasad opisanych w dziełach warszawskich generałów i pułkowników. Nie były to publikacje dostępne dla byle kogo, bo oznaczono je gryfem: *do użytku służbowego*. Tytuły miały wielce obiecujące: *Znaczenie słowa w pracy z ludźmi pracy*, oraz: *Magister jako podchorąży*.

W SPR Artylerii w Szczupakowie szkolono podchorążych w trzech specjalnościach: topograficznej, dźwiękowej i zwiadowczej – ta ostatnia zwana była również rozpoznawczowzrokową. Jak artyleria jest nazywana przez wojskowych królową broni, tak zwiad obwołany jest cesarzem artylerii. Jest w nim miejsce dla najspraw-

niejszych, najlepiej wyszkolonych – dla tych, którzy potrafią najdzielniej służyć swemu narodowi i państwu.

Komisja przydziałowa zasiadła już w kancelarii komendanta SPR, kapitana Piontka. Obradom przewodniczył sam Piontek, mężczyzna trzydziestokilkuletni, dość niski, o owalnej twarzy, ozdobionej niewielkim wąsikiem, typowym dla żołnierzy zawodowych. Nie czuł się najlepiej. Doskwierał mu ból stopy. Jego lewa dolna kończyna była obudowana gipsem. Oczywiście kapitan powinien przebywać na zwolnieniu lekarskim, a nie w pracy – wystarczył się jednak o specjalną zgodę na *częściowe kontynuowanie obowiązków dowódczych*, gdyż uważał, że jego obecność jest konieczna w pierwszych tygodniach kształcenia nowego turnusu podchorążych.

Po jego prawicy zasiadał kapitan-lekarz Jarmuł. On również nie znajdował się w szczytowej formie. Co prawda, na jego ciele nikt nie znalazłby nawet śladu gipsu czy bandaża, za to dusza łaknęła spokoju i pociechy. Ciągłe nie mógł się pogodzić z tragicznymi wydarzeniami ostatniej niedzieli. Mniejsza już o to zajście z Piontkiem – myślał – ale dlaczego nie strzeliłem bramki?

Jarmuł był filarem jednego z dwóch koszarowych zespołów piłkarskich. Grał w teamie noszącym barwne miano *sztabowców*, którego przeciwnikiem była drużyna o równie efektownej nazwie – *instruktorzy*. Udział w grze w zasadzie nie był przymusowy, atoli... Tym, który zadekretował istnienie obu zespołów, wymyślił dla nich nazwy i osobiście wręczał kapitanowi zwycięskiej drużyny puchar przechodni, był sam pułkownik Czachórski. Dlatego każdy oficer starał się, by – przynajmniej w co drugą niedzielę – pułkownik mógł go ujrzeć w roli piłkarza. Dla wielu bywało to mocno uciążliwe, bo to człowiek jeszcze nie wytrzeźwiał po sobocie, a tu – ledwo strzeli se klina – musi ganiać za piłką. Lecz cóż: służba nie drużba, a hobby mojego dowódcy – moim hobby. Ciężkie jest życie żołnierza zawodowego!

Trzeci członek wysokiej komisji, podporucznik Maćko, był żołnierzem zawodowym zaledwie od kilku tygodni. Ukończył matematykę w Wyższej Szkole Pedagogiczno-Rolniczej im. Georgi Dymitrowa w Siedlcach, a gdy otrzymał powołanie do wojska, wcielono go (był kandydatem PZPR i zasłużonym działaczem wydziałowego ZSMP) do wielkiej kuźni młodych talentów politycznych, jaką stanowiła SPR przy Wojskowej Akademii Politycznej im. Feliksa Dzierżyńskiego w Łodzi. Na praktykę skierowany został do Szczupakowa, tutaj też złożył podanie o przyjęcie do służby zawodowej i z miejsca awansował na pierwszy stopień oficerski. Uznano, że skoro ukończył uczelnię cywilną, łatwo dotrze do serc podchorążych rezerwy, i powierzono mu stanowisko zastępcy komendanta SPR Artylerii do spraw polityczno-wychowawczych.

Sekretarz komisji, podporucznik Siwak, oficer szkoleniowy SPR, przez ostatnie miesiące zastępował Piontka i pełnił obowiązki komendanta. Kapitan bawił bowiem to w sztabie brygady, to w T., na wyższych kursach doskonalenia oficerskiego. Dzięki temu Siwak wskoczył na etat podpułkownika. Teraz, po powrocie Piontka (na dodatek z tym idiotycznym gipsem!), czuł się raczej nieswojo i nawet nie usiłował ukrywać żalu do przełożonego.

– No, Muca – powiedział Piontek – skocz po pierwszego z brzegu.

– To nie będziemy ich wzywać według kolejności alfabetycznej? – zdziwił się Maćko.

– Zero dyskusji, Maćko! – zganił go Jarmuł. – Teraz starsi stopniem mówią. Nie zapominaj, że w wojsku jesteś!

– Obywatelu kapitanie, to jak mam ich wzywać? – zapytał Muca.

– Kogo tu masz słuchać, Muca? – burknął Piontek. – Słyszałeś, co mówiłem.

– Tak jest! – zagrział pilny kapral.

– Zaczniemy za jakiś kwadransik – rzucił Jarmuś. – Najpierw herbatka!

– Ty, Muca, poucz jeszcze tych za drzwiami, żeby tak nie jagotali, bo mi łeb pęka! – dodał Siwak. – I każ Marmusze kawy zaparzyć!

– Zero dyskusji, podchorążowie! – powiedział Muca już na korytarzu. – Szkoła! W dwuszeregu, na wysokości biurka podoficera dyżurnego, frontem do mnie, zbiórka!

Bażanci w ślimaczym tempie ruszyli ku rozkazodawcy.

– Co jest, do chuja pana?! – przypomniał o swym istnieniu Koziół. – Na zbiórki udajemy się biegiem! Bieeegieem! Co, podchorąży nie słyszy?! – zwrócił się do niskiego, obdarzonego za to przez naturę nieproporcjonalnie wielką głową kandydata na artylerzystę.

– Słyszę, słyszę – odburknął zagadnięty.

– Jak się odpowiada?!

Zapytany niechętnie wzruszył ramionami.

– Co, mówić nie potraficie?! Nazwisko!

– Hultajek.

– Co... co... Jeszcze sobie jaja ze mnie robicie? Jak się nazywacie?!

– Hultajek.

– *Obywatelu kapralu* się mówi... – ktoś życzliwy, niewykluczone że Borówka, podpowiadał scenicznym szeptem.

– Ja naprawdę nazywam się Hultajek – potwierdził dotychczasowe zeznania żołnierz oskarżony o szydzenie ze starszego stopniem i funkcją.

– Naprawdę? – wtrącił się do dyskusji Muca.

– Naprawdę – nie ustępował Hultajek.

– ... *Obywatelu kapralu*, powiedz... – do uszu Hultajka znów dobiegł czyjś szept.

– Ludzie! – wykrzyknął Hultajek, wznosząc ręce do góry. – Czy ja, stary chłop, mam zmieniać nazwisko rodowe? Tatku, z naszego nazwiska się wyśmiewają!

– Czyli rzeczywiście podchorąży tak się nazywa?

– A na imię mam Jan, w rodzinnej wsi Jasiu na mnie wołają.

– A jakie studia podchorąży skończył? – spokojniejszy już Koziół widać pragnął zaspokoić wrodzoną ciekawość.

– Wydział Prawa i Administracji w Lublinie, kierunek Administracja.

– Aaa... Czyli inaczej sołtysówka – rzucił jakiś złośliwiec, bezpiecznie ukryty za plecami kolegów.

– Co to za szyderstwa?! – zainteresował Muca. – Kto tam za tyłu bez pozwolenia się odzywa? Pokazać się!

Niewykluczone, że Koziół i Muca zidentyfikowaliby prowokatora, ale w tym momencie na scenę wkroczyła nowa postać. Był to szef SPR, sierżant sztabowy Maski, wytrawny żołnierz, zasłużony na wielu polach, acz niekoniecznie były to pola walki zbrojnej.

Maski, mimo że już dawno dźwigał na karku piątą krzyżyk, ze swą barczystą sylwetką i czupryną lekko przyprószoną siwizną był wciąż dorodnym mężczyzną. Nie mógł narzekać na brak powodzenia u pań mieszkających w Szczupakowie i okolicach, spełniał też ofiarnie obowiązki, do których czuł szczególny pociąg – pocieszyciela zaniedbywanych żołnierskich żon. Jego własna połówica, Janina, młodsza odeń o blisko dwadzieścia lat, miała powody do żalu. Uważała, że mąż zaniedbuje się w powinnościach, do których obliguje instytucja małżeństwa. Jej zdaniem, winne temu były nadmierne trudy wojskowej służby. Miała więc pretensje do przełożonych męża, że ostatnimi czasy, jakby uwziąwszy się na niego, stanowczo zbyt często wyznaczali mu – tak przecież wyczerpujące – nocne służby i dyżury.

– Co to za burdel, do kurwy nędzy? – sierżant Maski natychmiast wyczuł, że nie obejdzie się bez jego interwencji. – W wojsku

jesteście, rozumiano? Zachodzić mi tu w dwójki, bo źle z wami, kurewka, będzie!

Tym razem podchorążowie, przepychając się lekko, szybko wykonali polecenie. Uczynili to bynajmniej nie z szacunku dla sierściucha, ale dlatego, że teraz stali już razem i wystarczyło się tylko przeformować.

– Szybciej, nie lenić się! – poganiał Kozioł. – Ruchy, ruchy!

– Ej, ty – Maski zwrócił się do kaprała – nie widzisz, jak stanęli?

Każ im się rozejść i ustawić na nowo, kurewka.

– Baczość! – Kozioł rażno wziął się za realizację odpowiedzialnego zadania. – Rozejść się!

Po chwili powietrzem znowu targnął krzyk podoficera dyżurnego:

– Baaaczność! W dwuszeregu, na wysokości biurka podoficera dyżurnego, frontem do mnie, zbiórka!

– Nie, nie tak – stwierdził sierżant. – To ma być wzór-konspekt! A ja tu ciągle widzę jaja nieumyte!

– Rozejść się! – ryknął Kozioł. A po chwili wrzasnął na wydechu: – Baaaczność! W dwuszereguuuu...

Zabawa trwałaby pewnie dłużej, gdyby w drzwiach pokoju komendanta SPR nie ukazało się obolałe oblicze podporucznika Siwaka.

– Ciszej, do cholery! Tupią, kurwa, jak stare słonie! Łeb człowiekowi pęka! Musztrę trza im najpierw robić na dworze! – oficer rozejrzał się. – A, jesteś wreszcie, Józek, to chodź do nas. Tylko przedtem każ kapralom, żeby wydali wojsku sprzęt do obszywania. Chodzą jak te ostatnie szweje. I zagoń pierwszego na rozmowę do nas.

– Już się robi – odparł Maski.

– Ty zawsze tak mówisz, a widzisz, co się, kurwa, dzieje – Siwak powiódł niezadowolonym spojrzeniem po żołnierzach. – Niech się wreszcie obszyją. To twoja działka!

– A potem na obiad – uzupełnił Maski, który zawsze chciał mieć ostatnie słowo w dyskusji.

– Ale to dopiero, jak się, kurwa, obszyją – upomniał podporucznik. On także lubił, by ostatnie słowo należało do niego.

Komisja

Członkowie wysokiej komisji niecierpliwie oczekiwali spotkania z przedmiotami swej pracy. Planowali zakończyć obrady o drugiej, a tu już zbliżało się południe i ciągle nikogo nie obsłużyli. Lecz zdecydowani byli załatwić sprawę szybko, z żołnierską precyzją, na wzór-konspekt, jak lubił mawiać kapitan Piontek.

I załatwili.

– Nazwisko, kurwa?

– Chryń.

Piontek pochylił się ku prowadzącemu przesłuchanie Siwakowi, szepcząc mu do ucha jakieś sekrety.

– Wojskowych w rodzinie macie? – zapytał Siwak.

– Tak, ojca.

– Kim jest? – Piontek nerwowo przełknął ślinę.

– Teraz na emeryturze.

– A... stopień?

– Generał dywizji.

– A jak zdrowie szanownego tatusia? – zapytał Jarmuł.

– W porządku.

– A wasze?

– Kategoria A-1.

– Do jakiego plutonu chcielibyście należeć? – zapytał przewodniczący komisji.

– Do dźwiękowego.
– Z takim zdrowiem najlepiej by było, gdybyście poszli do zwiadu – entuzjastycznie doradził Jarmuś. – Nie wyobrażacie sobie nawet, jakie to ciekawe!
– Wyobrażam sobie aż nadto – odparł z przekąsem Chryń – ale ojciec jasno powiedział, żebym poszedł do dźwięku.
– No cóż... rozumiemy waszą sytuację – zakończył dyskusję Piontek – i oczywiście nie będziemy stawać wam wbrew. Jeszcze mamy do was takie, towarzyszu, pytanie prywatne. Czy to prawda, bo takie chodzą słuchy, że wasz tatuś ma zostać kontrolerem SPR-ów z ramienia samego...?
– Ojciec się do tego nie pali, ale bardzo go namawiają.
– Dobrze, bardzo wam dziękujemy za punktualne przybycie – powiedział Piontek. – Poproście teraz, z łaski swojej, następnego.
– Ach, jeszcze jedno – Siwak podszedł do Chrynia i bratersko ucisnął mu dłoń. – Gdybyście mieli, kurwa, jakieś problemy z aklimatyzacją, to z miejsca do mnie walcie.
– Dziękuję.
– Panie podchorąży! – krzyknął za wychodzącym Jarmuś. – Gdybyście mieli jakieś sprawy do mnie...
– Jakież? – Chryń zmrużył oczy.
– No, na ten przykład – Jarmuś udawał głębokie zastanowienie – na ten przykład jakieś zwolnienia z musztry...
– Rozumiem – z uśmiechem odparł podchorąży.

– Nazwisko?
– Kanonier podchorąży Borówka.
Słyszac taką odpowiedź, Siwak przejął inicjatywę:
– Pójdziecie, kurwa, do zwiadu, Borówka.
– Do zwiadu? Ale ja...
– Co, nie chcecie? To najbardziej zaszczytna służba.

– Obywatelu poruczniku, ale ja słyszałem, że tam jest bardzo ciężko, dużo ćwiczeń w terenie, a ja mam kategorię A-3 i bardzo słabe gardło, a na dodatek...
– W zwiadzie zdrowie ci się poprawi! – wesoło uprzedził dalsze argumenty żołnierza Jarmuś.
– Wezwijcie następnego, po prostu nie zabierajcie nam czasu – uzupełnił wypowiedź starszego stopniem podporucznik Maćko.
– My tu pracujemy, po prostu!
– Rozkaz... – ciężko westchnął Borówka. – Obywatelu kapitanie, proszę o pozwolenie wyjścia.
– Proszę – Piontek łaskawie machnął ręką, a po wyjściu podchorążego zapytał Siwaka: – Dlaczego właściwie chciałeś tego grubasa do zwiadu, przecież widać, że on się tam nie nadaje?
– Muca mnie, kurwa, prosił. Mówił, że to materiał wzór-konspekt, bardzo strachliwy, służbisty. A poza tym będzie trochę śmiechu.

– Nazwisko?
– Jerzy Ogórko.
– Zameldujcie się żesz prawidłowo – wtrącił rutynowo Siwak.
– Ech... – wyrwało się kandydatowi na przyszłego oficera rezerwy.
– Pełny, kurwa, stopień! – podporucznik zaczynał się denerwować.
– Kanonier podchorąży Ogórko – odpowiedział leniwie żołnierz.
– Wykształcenie?
– Historia Sztuki, Uniwersytet Jagielloński.
– Do jakiego plutonu chcecie zawędrować?
– Mnie tam wszystko jedno...
– Jak to wszystko jedno, po prostu?! – Wypowiedź podchorążego wzburzyła Maćkę.
– Ja tu będę pewnie tylko dzisiaj, bo mam kategorię A-3 i skierowanie do SPR-u Obrony Cywilnej. Nie wiem, czemu mnie tu w ogóle przysłano z biura przepustek.

Odpowiedź Ogórki skonfundowała wysoką komisję.

– Jak to? – zapytał Piontek.

– A tak to – odparł Ogórko.

– Coś po prostu trzeba z tym zrobić – zauważył Maćko.

W Szczupakowie istniały dwie szkoły podchorążych rezerwy: licząca kilkudziesięciu żołnierzy SPR Artylerii oraz posiadająca znacznie ponad setkę kursantów SPR Obrony Cywilnej. Podstawowym warunkiem przydziału do tej drugiej była niska kategoria zdrowia, najlepiej A-3. W artylerii zaś znajdować się powinni wyłącznie osobnicy o zdrowiu uznanym za godne A-1, a w wyjątkowych wypadkach A-2. Niestety, postanowienia te przestrzegane były w sposób dość szczególny – przynajmniej z cywilnego punktu widzenia.

Szkolenie w SPR OC trwało trzy miesiące, czyli o miesiąc krócej niż w SPR Artylerii. OCelotów kierowano po ukończeniu szkółki na dziewięciomiesięczne praktyki do rozmaitych placówek Obrony Cywilnej, gdzie z reguły zostawali wychowawcami drużyn i plutonów junaków. Główną zaletę takiego układu stanowiła praktycznie cywilna praca. Wychowawca OC po odpracowaniu ośmiu godzin wracał w domowe pielesze i nic więcej go nie obchodziło. Jednak zasadniczym felerem takiej pracy było to, że wśród junaków zdarzało się bardzo wielu stałych bywalców poprawczaków i aresztów.

O SPR Artylerii zaś mówiono: lepiej przemęczyć się te cztery miesiące, za to później mieć spokojną ośmiomiesięczną praktykę z normalnymi żołnierzami. W artylerii prawie wszyscy są po maturze.

Ocenę tego, jak te opinie miały się do rzeczywistości, pozostawmy podchorążym. Moment rozpoczęcia przez nich *praktyki dowódczej* miał nastąpić – tak czy owak – za kilka miesięcy.

Ale Ogórkę od ostatecznej decyzji, dotyczącej jego wojskowych losów, dzieliło mniej niż kilka minut. A to dzięki Jarmułowi, który wpadł na pomysł genialny w swej prostocie.

– W zwiadzie zdrowie ci się poprawi – stwierdził z właściwym sobie dowcipem.

Taka odpowiedź członka komisji skonfundowała bażanta.

– Ależ ja mam skierowanie w książeczce wojskowej – protestował.

– Trzeba było przyjść wcześniej!

– Przecież zjawiłem się punktualnie.

– Zrozumcie, podchorąży – usiłował ratować sytuację Piontek – tutaj służba jest dużo bardziej zaszczytna!

– ...? – podchorążemu przez moment brakowało słów. – Ale ja mam skierowanie!

Tak infantylnym argumentem nie przekonał jednak nikogo.

– No i co z tego? Na wojnie też byś tak powiedział do wroga?! To jest wojsko, a nie przedszkole, i tutaj wszystko musi się zgadzać! Oni mają już komplet, a nam kilku podchorążych ciągle brakuje, po prostu! – Maćko musiał użyć najsilniejszego argumentu.

– Nie moja wina, że macie taką organizację pracy – oburzył się Ogórko.

– Co ty sobie, chuju jeden, wyobrazasz?! – uniósł się wojskowym honorem Siwak. – Ludowej ojczyźnie nie chcesz służyć tam, gdzie jesteś potrzebny?!

– Ale...

– Zero dyskusji!!! – twarz Siwaka przybrała kolor dojrzałego pomidora. – Do zwiadu pójdziesz! A teraz wynocha! Won!

Po pożegnaniu z krnąbrnym Ogórką podporucznik stwierdził z dumą:

– Widzicie, kurwa? Tak trza z nimi rozmawiać!

– Słusznie, nie patyczkować się ze skurwielami, co by porządnym ludziom chcieli tylko życie utrudniać! – poparł bojowego kolegę Jarmuł.

– Słuchajcie, towarzysze – Piontek żywił jednak pewne obiekcje. – Czy nie będą się nas czepiać, że zagarnęliśmy kogoś z A-3 do zwiadu?

– To już mój problem – odparł Jarmuł. – A swoją drogą, to przy tym poprzednim, jakże mu tam...

– Borówka, po prostu... – usłużnie odpowiedział Maćko.
– Cicho, Maćko, jak cię nie pytają! – skarcił Piontek.
– No właśnie – kontynuował Jarmuł – przy Borówce to takich problemów nie miałeś...

– Bo tamten to taki wystraszony, że nigdzie nie doniesie – szczerze wyjaśnił komendant SPR.

– Niech tylko który, kurwa, spróbuje! Już ja go ściągnę! – dodał Siwak. – A i Mucę na niego poszczuję!

Po niemiłym incydencie z Ogórką robota ruszyła z kopyta. By już nie doszło do podobnych sytuacji, postanowiono kierować poborowych do plutonów zgodnie z ich własnym wyborem. Nikt nie zaprzętał sobie głowy rozważaniami, czy zachowano właściwe proporcje przydziałów.

Nawiasem mówiąc, po kilku dniach Ogórko zauważył ze zdziwieniem, że znalazł się w plutonie topo, a nie w zwiadzie. Nigdy się nie dowiedział, że zawdzięczał to kacowi Siwaka. Drżąca ręka oficera ulokowała stosowny znaczek w miejscu oddalonym o jedną linijkę od zamierzonego.

W chwili, gdy do lokalu, w którym urzędowała komisja, wkroczył Ruchacz, na korytarzu pozostawało już tylko kilku wyczekujących.

– Nazwisko?
– Kanonier podchorąży Ruchacz – odpowiedział rekrut, poinformowany przez poprzedników o wymogach wielkiej czwórki.
– Jakie studia skończyliście?
– AWF, Kraków.
– A w jakim plutonie chcecie służyć?
– Wszystko mi jedno, na technice i tak się nie znam.
– Nie szkodzi, my was nauczymy – radośnie powiedział komendant.

– Zdrowie, oczywiście, wzór-konspekt? – upewnił się Jarmuł.

– Proszę?

– Kłopotów ze zdrowiem nie macie?

– Nie mam.

– A jaką macie, po prostu, specjalność zawodową? – zapytał Maćko, który nie zapominał o tym, że jako oficer polityczno-wychowawczy powinien wiedzieć jak najwięcej o zainteresowaniach i predyspozycjach podwładnych.

– Trener piłki nożnej.

– O, to może z nami pogracie? – zarechotał przyjacielsko Jarmuł.

– Mam nadzieję – wtrącił Piontek – że nóg nikomu podchorąży nie łamie! Tu już są zresztą tacy, i to starsi stopniem... – dodał jadownicie.

– Do mnie pijesz, Piontek?! – oburzył się kapitan-lekarz. – To twoja wina, bo rzuciłeś się na piłę jak ostatni kutas!

– Takkk... – Piontek, opierając się na kuli, wstawał z krzesła.

– A ty to co atakowałeś, konowale, piłkę czy nogę?!

Tę nadzwyczaj ciekawie zapowiadającą się dyskusję przerwał Siwak:

– Wyjść, podchorąży!

Pozostawienie wysokiej komisji samej sobie w niczym nie przogasiło ognia dysputy o piłę nożnej i rozmaitych komplikacjach z nią związanych. Siwak postanowił więc zapanować nad sytuacją. Wyszedł na korytarz, zatrzasnął za sobą drzwi i starając się zagłuszyć dochodzący zza nich zew żołnierskiej wymiany zdań, huknął:

– Wszyscy pozostali idą do zwiadu! Zgłośić się, kurwa, natychmiast do kaprała Mucy, on już was pozapisuje!

Tak oto 2 września 1988 roku zakończyła się przesławna rekrutacja podchorążych dwudziestego szóstego poboru SPR Artylerii Szczupakowo.

Kto jarzy, a kto nie

Nastała pora miseczki. Podchorążych wypędzono przed budynek SPR. Muca przystąpił do żmudnej operacji ustawiania nieopierzonych żołnierzy w kolumnę czwórkową.

– Zachodzić, zachodzić! – pokrzykiwał.

– Ale jak? – ktoś zapytał nieśmiało.

– Nie będziecie przecież łązić jak bydło – wyjaśnił życzliwie podoficer. – Ustawcie się gęsiego, jeden za drugim! Ruchy, ruchy! Biegiem!

Kandydaci na wzorowych żołnierzy stanęli w szyku, który według nich powinien zadowolić kaprała.

– Jak wy stoicie! – podoficer załamał ręce. – Według wzrostu macie się ustawić!

Co sumienniejsi i bardziej głodni usiłovali spełnić rozkaz. Przeszkadzali im tacy, którzy pochylali się, mocno się garbiąc, by za chwilę stanąć na palcach. Zamęt siali również bawiący się w berka Chryń i Hultajek.

– Podchorążowie – apelował Muca. – Uspokoić się natychmiast, bo... bo... – przez chwilę nie wiedział, czym zagrozić. Wreszcie, w błysku olśnienia, znalazł słowo magiczne: – Bo... bo... dostaniecie ZOMZ!⁴.

– A co to takiego ten zoms? – zapytał ktoś.

– Podchorąży Borówka! – wrzasnął kapral. – Już zapomnieliście, jak się zwracać do przełożonych?!

– Ja, ja... – szeptał Borówka – nic nie mówiłem.

– Cooo?! – zaperzył się Muca. – Kwestionujecie spostrzegawczość przełożonego?! Myślicie, że ja nie jarzę, że nie zatrybiam?

Na taki zarzut bażant odpowiedzi nie znalazł. Za to w szeregu rozległy się śmiechy.

⁴ ZOMZ – Zakaz Opuszczania Miejsca Zakwaterowania, połączony z różnymi dodatkowymi szykanami: zbiórkami, meldunkami, sprzątaniami, biegami, a w przypadku bażantów głównie pomocą oficerowi dyżurnemu w rozwiązywaniu krzyżówek.

– E, ty, kapral, hełm se napraw – ironizował osobnik ukryty za plecami kolegów.

– No, podchorąży Borówka – wiedziony instynktem wzorowego dowódcy niższego szczebla Muca udał, że nie słyszał szyderstwa.

– Jak się powinno zameldować do przełożonego z zapytaniem?

– Obywatelu kapralu, kanonier podchorąży Borówka melduje się z pytaniem!

– Z jakim *pytaniem*, z *zapytaniem* się w wojsku mówi! – skorygował podoficer.

– Obywatelu kapralu, kanonier podchorąży Borówka melduje się z... z... z zapytaniem – poprawił się drżącym głosem kandydat na wzorowego artylerzystę.

– Prawie dobrze – pochwalił Muca. – Ale pamiętajcie, że jeśli przełożony zna wasze nazwisko, to nie musicie się przedstawiać, chyba że jesteście na służbie. Chociaż... – dodał życzliwie – oficerom zawsze lepiej się przedstawiać.

– Bo w armii forma jest zawsze ważniejsza od treści – zauważył ktoś melancholijnie.

Ale i tego stwierdzenia podoficer wolał nie słyszeć. Jednak wrzasku, jaki się rozległ chwilę później, nie mógł już zlekceważyć.

– Do kurwy nędzy, Muca! – krzyczał wychylony z okna pierwszego piętra podporucznik Siwak. – To ustawić w szyku już ich nie potrafisz?! Żle ci ten ostatni urlop zrobił! Trza było nie dawać, kurwa! – zakończył słowem tak nieodłącznym, jak dębowa trumna ze złoceniami na pogrzebie generała.

– Szkoooooaaaa!!! – zaryczał Muca. – Baaacznoooóó!!!

Posłusznie zastygli w bezruchu, zafascynowani siłą jego głosu.

– W szeregu... zbioóóóórkaaa!!! – ta komenda została wydana niezupełnie poprawnie, ale podchorążowie nie wiedzieli jeszcze, że takiego rozkazu nie należy wykonywać, więc ustawili się, z grubszą przynajmniej, w rzędzie.

– Muca! – Siwak ciągle nie opuścił swego stanowiska obserwacyjnego. – Wydadz komendę, kurwa, po ludzku, bo na pejotkę nieprędko pojedziesz!

– Rozejść się! – posłusznie wrzasnął podoficer. – Ruchy, ruchy!

Jednak zanim zdążyli zrobić parę kroków, usłyszeli, co potrafi Muca – tak samo zdopingowany, jak i przerażony obecnością Siwaka.

– Szkoofhhaaaaa!!! – kaprał wydobył z siebie krzyk, który podeszwał do biegu leniwie wylegującego się na nagrzanym trawniku kocura. Uciekający w stronę rosnących przy klubie żołnierskim drzew zwierzak zataczał się, co niektórym nasunęło myśl, że jest pijany.

– Na dźwięk słów: *szkoła, pluton, drużyna* – instruował kaprał – reagujecie tak samo, jak na komendę: *baczność!*

Kocur, wyciągnięty teraz na jednej z niższych gałęzi drzewa, czujnie śledził przebieg wydarzeń.

– Szkoła! – ponowił komendę Muca. – W szeregu, prawe skrzydło na wysokości wejścia do budynku, frontem do mnie... – zerknął w stronę Siwaka, oczekując aprobaty. – Zbiórkaaaa!

– No żesz, kurwa, szybciej! – zaznaczył swą obecność oficer.

– Obywatelu poruczniku... – odezwał się kaprał.

– Czego?

– Czy ustawić ich teraz według wzrostu?

– Zostaw to na później. Niektórym ładne centymetry ubędą, jak ich po obiedzie ostrzyżemy!

– Tak jest! Czyli zostawiamy to na później?

– Co ty, Muca, głuchy jesteś? – życzliwie zapytał Siwak. – Rób swoje, a nie dyskutuj!

– Do dwóch... oo-licz! – wykonał rozkaz podoficer.

– Raz-dwa, raz-dwa, raz-dwa...

Podchorążowie deklamowali monotony wierszyk, a kocisko rozpoczęło kolejną wędrówkę.

– Dwójki, trzy kroki w przód... – tu Muca wyczekał chwilę. – Myyyrsz!

Kot o imieniu Flacha znajdował się już na trawie, pod drzewem, które przed chwilą udzieliło mu schronienia.

– Dwójki, w lewo... zwr-t!

Kocur zdążał w kierunku swego ulubionego kącika. Lecząc na chwilę przystanął.

– Dwójki, naprzód kr-k!

Flacha najwyraźniej wahał się, co począć. Rozglądał się uważnie.

– Dwójki... w prawo... zwrzyt!

Gdy mozolna czynność formowania dwuszeregu dobiegła końca, kaprał pozwolił sobie na otarcie potu z czoła. Kot nadal był niezdecydowany.

– Pośpiesz się, kurwa, Muca! – poganiał kaprała Siwak.

– Do dwóch!... – Muca zwrócił się do dwuszeregu z charakterystycznym dla siebie przydechem – ... oo-licz!

I znów zabrzmiały nieśmiertelne, acz nieco monotonne strofy. A kocur właśnie zaspokajał swą całkowicie naturalną potrzebę. Strumyczek moczu dostojnie spłynął z kępki trawy na zakurzony asfalt.

– W czwórki... – skandował Muca – w prawo... zwrzyyt!

– No, brawo, Muca! – pochwalił podporucznik. – Coś z tej cywilbandy wydusiłeś!

W tej chwili zarówno kaprał, jak i Flacha uczyli, że coś w ich życiu szczęśliwie dobiegło końca. Niewykluczone, że dla porządku wszechświata ich dokonania miały takie samo znaczenie.

Były jednak osoby, które żywiły przekonanie zgoła odmienne.

„– Co ty sobie, chuju jeden, wyobrażasz?! – uniósł się wojskowym honorem Siwak. – Ludowej ojczyźnie nie chcesz służyć tam, gdzie jesteś potrzebny?! – Ale... – Zero dyskusji!!!”

– Muca – rzekł Siwak – zostaw ich na chwilę i biegnij do mnie tutaj. A niech się który, kurwa – zwrócił się do bażantów – spróbuje z miejsca ruszyć!

Kapral niechętnie poczłapał w stronę budynku SPR. Czuł, że czeka go *opeer* za zademonstrowane dopiero co działania wychowawcze i organizacyjne, a zwłaszcza za skandaliczny sposób formowania kolumny czwórkowej. Dobrze wiedział, że pochwała, jaką przed chwilą usłyszał, służyła tylko podtrzymaniu autorytetu podoficera. Podporucznik przypomniał sobie poniewczasie, że Regulamin nie pozwala krytykować żołnierza w obecności niższych odcinów stopniem.

Podchorążowie w zasadzie stali w nakazanym miejscu – jedni z obawy przed narażeniem się groźnemu oficerowi, drudzy, z czystego lenistwa. Niektórzy rozglądali się po twarzach kolegów, próbując dociec, z kim mają do czynienia, kto okaże się równym kumplem, a kto lizusem. Każdy przecież już co nieco słyszał o SPR-ach i miał swoje wyobrażenie o tym, czego można oczekiwać od wojska.

– Panowie, co tu robicie ci kaprale z zetki? – ktoś zagaił.

– Jakiej zetki? – zapytał inny.

– Ze służby zasadniczej – wyjaśnił Ogórko. – Instruktorami na SPR-ach są wszędzie bażanty z poprzednich turnusów, a nie zeciorki!

– Czyżby tu byli sami kaprale?

– To by chujowo było – powiedział z przekonaniem Hultajek.

– Czy to nie wszystko jedno? – odezwał się dość wysoki i postawny chłopak. – Wychowawcami SPR-owców i tak zostają same kutasy. Oni już ich sobie tak dobierają...

– Masz rację! – przytaknął inny podchorąży. – Robert Wściklica jestem, z Poznania.

– O, to fajnie. Ja też jestem z Poznania, Krzysiek Kostyk.

– Ciiiicho... – Borówka musiał przerwać kolegom wymianę uprzejmości. – Kapral idzie.

– Co ty taki trzęsidupa jesteś?

– No wiesz...

– Zero dyskusji! – zagrzemiał wychodzący z budynku starszy kapral Kozioł. – W szyku się nie rozmawia! W prawo zwrot!

– Nie rozmawiać w szyku! – starszy szeregowy Marmucha dał do zrozumienia, że i on jest osobą, z którą należy się liczyć.

Wiedziona przez Kozła kilkudziesięcionoga ruszyła ku bramie koszar. Bażanci minęli trybunę honorową i plac musztry oraz gabloty ze zbiorem fotografii wzorowych oficerów. Kroczyli w stronę odległej o blisko sto metrów bramy koszar, przystrojonej – może na ich powitanie – wiązkami zeschłych już kwiatów.

Przekroczyli jezdnię i zawsze gościnnie rozwartą bramę podkoszar OC. Po lewej stronie znajdowała się skrzynka pocztowa, a parę metrów dalej kiosk „Ruchu”. Wtedy jeszcze nie uzmysławiali sobie, że przez wiele dni będą to jedyne obiekty cywilnego świata, z jakimi przyjdzie im się stykać.

I oto znaleźli się już przy budynku SPR OC, gdzie mieściła się również ich stołówka.

– Czoło, stój! – wydał komendę Kozioł. – W szeregu, prawe skrzydło na wysokości dębu – wskazał samotne drzewo przy budynku – frontem do mnie... Zbiórka!

– Niecee... – krytycznie ocenił starania podwładnych. – Rozejść się!

– To ma być bystre jak woda w klozecie – podsumował Kozioł kolejny wysiłek podchorążych – a nie gównem na wodzie! Rozejść się! Ruchy, ruchy! Biegusiem!

Borówka był już solidnie zdyszany, gdy podoficer zdecydował się powiedzieć:

– Chujowo, bo chujowo, ale ujdzie w tłoku. Z czasem zajarzycie... W lewo zwrot, na stołówkę marsz! Biegusiem!

Muca i Marmucha skończyli już jeść. Popijali kompot i dogadywali:

– Tylko spieszcie się, bo zaraz OCeloty przyjdą! Ruchy, ruchy! Elewi to mają jedzenie po czterech na jednym talerzu – uspokajali podchorążych, którzy z obawą zerkali na pierwsze w ich życiu wojskowe jadło.

Podoficer dyżurny Kozioł czuwał nad porządkiem wydawania potraw. Stał przy ladzie, na której kucharze ustawiali pełne talerze.

– Nie gadać! Tu ma być cisza! – powtarzał.

– Chodź – zaproponował Kostykowi Wścieklica – siądziemy razem.

– Gdzie?

– Tam na końcu, z dala od tych... – wskazał stolik zajęty przez Mucę i spółkę.

– Mogę i ja z wami? – zapytał Ogórko.

– To ty temu grubasowi-lizusowi przyciąłeś? – upewnił się Wścieklica. – Oczywiście, siadaj z nami!

Milczenie przerwał Ogórko.

– Ten kotlet nawet jest w porządku... – powiedział.

– Ale zupa gorsza od pomyj – zareplikował Wścieklica.

– Przezornie zjem najpierw drugie danie – Ogórko łapczywie pochłaniał zawartość plastikowego talerza. – Słyszałem, że w wojsku trzeba się spieszyć, by zdążyć zjeść.

– Eee, nas to nie dotyczy – oponował Wścieklica. – Jesteśmy w końcu panami bażantami, a nie szwejami, co ledwo umiejają czytać.

– Ale to szweje nami tutaj rządzą... – zaniepokoił się Kostyk.

– To się zaraz zmieni – stwierdził Wścieklica. – Stare bażanty są pewnie na urlopach i wyginach⁵, wrócą koło poniedziałku. Chuje, bo chuje, ale zawsze jednak po studiach...

⁵ Wygina – coś miłego, acz niezbyt legalnego, zawsze skierowanego przeciw oficjalnym wojskowym regułom, np. opuszczenie jednostki wojskowej (zwane też lewizną), psikus, figiel, niezły numer.

– Powstań!!! – przerwał szeptaną dyskusję Muca. – Baczość!
– Obywatelu sierżancie – wyprężył się Kozioł – melduję Szkołę w czasie obiadu!

– Spocznij – powiedział sierżant sztabowy Maski. – Kończyć jedzenie! Już godzinę tu siedzicie, a fryzjer czeka, kurewka. Kultury się naucztła!

– Jaką godzinę? – rozległy się pełne oburzenia głosy.

– Jak kto chce mówić, to niech poprosi o zezwolenie! – rzekł Maski. – No, który taki odważny? Ręce do góry!

Uniosły się tylko trzy ręce.

– Obywatelu sierżancie, kanonier podchorąży Wścieklica melduje się zapytaniem!

– Prawidłowo! Mówcie.

– Chodzi o to, że jesteśmy tu dopiero od kilku minut, bo wcześniej ten wysoki kapral nas tresował przed budynkiem.

– Widać miał powody, kurewka! – podsumował dyskusję sierżant. – Jak się na czymś nie znacie, to nie dyskutujcie! Wychodźcie teraz! Kolumnę poprowadzi kapral Muca.

– Rozkaz, obywatelu sierżancie! – wyprężył się podoficer.

– A kapral Kozioł wróci na Szkołę, jak skończy jeść.

Postrzyżyny

Salon fryzjerski 1 ŚBAA mieścił się na parterze tego samego budynku co SPR Artylerii. Stacjonowała tu raketówka, czyli Bateria Artylerii Rakietowej, dowodzona przez młodego podporucznika Dziedzica.

Pierwsze piętro zajmowała SPR, drugie okupowały głównie sale szkoleniowe Szkoły Podoficerów Służby Zasadniczej – czyli elewów – a jeszcze wyżej mieściły się: szatnia, sala czyszczenia

broni oraz pomieszczenia o przeznaczeniu zależnym od kaprysów sierżanta Maskiego, tudzież jego przełożonych i przyjaciół.

Fryzjer okazał się osobą drobną, o długich włosach, brązowych oczach i płci niewątpliwie żeńskiej. A na imię miał: Krystyna.

Maski nakazał podchorążym wchodzić na zabieg trójkami, po czym ulotnił się szybciej niż dym po wystrzale. Korzystając z okazji, bażanteria rozlała się po całej kondygnacji.

Po raz pierwszy od chwili, w której zjawili się w koszarach, zostawiono ich samym sobie, nikt ich nie kontrolował ani nie pouczał, co w jakiej sekundzie winni czynić.

Pomału zaczęły się tworzyć grupki złożone z tych, których łączyły podobne zainteresowania, a przede wszystkim taki sam stosunek do zaszczytnej służby wojskowej.

– W końcu tyłu już to przeszło...

– Rok wyrwany z życiorysu!

– I tak dobrze, że nie dwa...

– Tylko po co?

– Będzie się wykonywać rozkazy, to nikt nie będzie się czepiać.

– W końcu to zawsze dobra szkoła życia.

Zwolennicy tej ostatniej opinii byli raczej cisi, ale niewątpliwie to ich przeświadczenia – bo o doświadczeniach ciężko jeszcze mówić – miały decydujący wpływ na atmosferę pierwszych podchorążackich dni w SPR.

Nawrocki i Tarkowski wpatrywali się w tablicę informacyjną, zawieszoną nad biurkiem podoficera dyżurnego raketówki. Znajdowały się tam wieści przyjmowane przez większość żołnierzy co najwyżej z przeciętnym zainteresowaniem, jak na przykład wykaz przełożonych na szczeblu Okręgu Warszawskiego czy ogłoszenia dywizjonowej Podstawowej Organizacji Partyjnej.

– Zobacz, kto tu jest szefem POP! – Nawrocki wskazał jedno z nazwisk.

– Piontek! – wykrzyknął Tarkowski. – Czy to nie ten nasz?

– Stanisław Piontek... – zamyślił się Nawrocki. – Nie sędzę, by było tu więcej kapitanów o tym samym nazwisku.

Nikt nie mógł rozwiać ich wątpliwości, gdyż raketówka wyjechała na poligon. Żołnierze mieli wrócić w nocy, by wziąć udział w defiladzie ku czci czterdziestopięciolecia brygady i jeszcze tej samej doby zjawić się znowu na poligonie. Na stałe powinni zameldować się w Szczupakowie dopiero za kilka dni.

Z reguły, jeśli pododdział zajmujący któreś z pięter wyjeżdżał, drzwi wejściowe zamykano i plombowano. Tym razem jednak kwatermistrz brygady, pułkownik Wierzba, z uwagi na specyfikę sytuacji, w związku z wydarzeniem, które przed kilku dniami zakłóciło mu spokój...

– *No to gdzie ja mam pracować, jak mi gabinet zamkniecie?! – krzyczała fryzjerka.*

– *Wystawi sobie pani kilka krzesel przed budynek – tłumaczył rzeczowo kwatermistrz – i tam będzie strzygła.*

– *Przecież nie dam rady!*

– *Jak się chce, to się potrafi! W wojsku jesteśmy!*

– *Ale gdzie ja podłączę prąd? – panna Krysia nie ustępowała.*

Pułkownik nie lubił zbyt długich dyskusji. Postanowił zakończyć spór mocnym argumentem.

– *Do dupy se, kurwa, podłączysz, jak ci każe – wyjaśnił.*

Panna Krysia odparła wulgarny atak z dystynkcją godną córki żołnierza zawodowego:

– *Prędszej do twojego chuja dowiążę, kutasie złamany!*

– *Teraz to ja już każe ci... – oficer ostro zaczął, ale dokończył prawie spokojnie – każe panią... przez okno wyrzucić.*

– *Nie wysilajcie się, Kazik! – osoba, która wkroczyła do kancelarii Wierzby, starała się zachować równowagę między służbową i prywatną formą wypowiedzi. – Ja i tak wszystko słyszałem.*

– *Panie pułkowniku, jak to dobrze...* – panna Krysia odwróciła się w stronę przybysza.

– *Rączki obywatelce całuję* – gość schylił się z atencją ku drobnym dłoniom fryzjerki.

– *Panie pułkowniku* – uśmiechnęła się panna Krysia – *któciłam się tu z panem kwatermistrzem...*

– *To już wiem!* – przerwał rubasznie pułkownik Czachórski. – *I wiedzą chyba wszyscy w promieniu kilkuset metrów...*

– *Och!* – splotniło się szwarne dziewczę.

– *Towarzyszu pułkowniku...* – zaczął Wierzba.

– *Wstydzilibyście się, pułkowniku! W taki sposób z kobietą!*

– *Ale...* – usiłował protestować Wierzba.

– *Żadne ale! Co za chamstwo! Jakie wrzaski! I to wobec kobiety!*

– *Czachórski zaczynał się denerwować. – Jak mogliście?!*

– *Bo jest zwyczaj...*

– *Co?! Jeszcze dyskutujecie, niepytani? I to przy kobiecie!* – Czachórski postanowił zakończyć spór argumentem nie do przebicia. – *Zero dyskusji! Bacznosc!*

– *Bardzo dziękuję, panie pułkowniku* – uśmiechnęła się cudem uratowana księżniczka.

– *Cała przyjemność po mojej stronie!* – pogromca smoka ponownie ucałował jej dłoń. – *Czy zechciałaby mi pani wyjaśnić przyczynę tego nieprzyjemnego zamieszania?*

– *Chodzi o to* – panna Krysia nie zamierzała wyrywać rączki z męskiego uścisku dowódcy 1 ŚBAA – *że pan Wierzba chce mnie wyrzucić na bruk...*

– *Ale tylko na czas...* – oponował kwatermistrz.

– *Bacznosc było! Na stare lata mam uczyć towarzysza zasad żołnierskiego zachowania?!* – dowódca przywołał niesfornego podwładnego do porządku. – *Jeszcze sobie o tym porozmawiamy!*

– *No tak* – przyznał kwatermistrzowi rację przedmiot westchnień sporej części mieszkańców koszar – *niby tylko na czas poligonu rakie-*

tówki, bo moja kanciapa jest na ich pięttrze... – tu panna Krysia spojrzała na Wierzbę, oczekując pewnie potwierdzenia, lecz nauka nie poszła w las i pułkownik wolał zacisnąć zęby. – *Ale przecież zaraz przychodzą podchorążowie i gdzie ja dwustu chłopca ostrzygę? Mam się może z całym majdanem przenosić? – dziewczę podniosło wzrok na Czachórskiego. – Ten mi tu każe maszynkę do strzyżenia do mojej... no, wie pan...* – powiedziała wstydliwie – *sobie podłączyć...*

– *Wiem, wiem. Słyszałem* – przerwał Czachórski. – *Nie pozwolimy na to.*

– *Dziękuję bardzo* – zatrzepotała rękami, patrząc pułkownikowi w oczy. – *Jakżeż mogę się odwdziaczyć?*

– *Drobiazg. Spełniłem tylko swój obowiązek. Przepraszam obywatelkę... przepraszam panią raz jeszcze za całe zajście.*

– *Dziękuję i... i... zapraszam pana na... na strzyżenie.*

Czachórski zaśmiał się z rezygnacją. Zdjął z głowy nieodłączną czapkę.

– *Och, jak mi przykro!* – wykrzyknęła pełna dobrej woli osóбка na widok nagiej, potyskliwej czaszki.

– *Najwyżej mi pani polakieruje!* – błysnął dowcipem Czachórski. *Ale ponieważ tysina stanowiła jego wstydlivy problem, postanowił na pożegnanie przekazać kilka instrukcji swemu zastępcy do spraw kwatermistrzowskich.*

– *I pamiętajcie* – zakończył przemówienie przed dwuosobowym audytorium – *nie chcę, żeby takie draństwo, jakie odstawiliście dzisiaj, kiedykolwiek się powtórzyło! I macie osobiście, powtarzam: o s o b i s c i e, wydać obywatelce Jaroń klucze do baterii rakietowej i spełniać jej każde polecenie. Sam sprawdzę, czy wydaliście odpowiednie rozkazy!*

Nawrocki zbyt krótko bawił w Szczupakowie, by wiedzieć, dlaczego na parterze nie było nikogo z rakietówki. Intensywnie rozważał całkiem odmienną kwestię...

Jeszcze inny problem rozwiązywała w tej samej chwili panna Krysieńka. A właściwie nawet już się z nim uporała...

– Spierdalaj stąd! – buchnęło zza drzwi.

W sekundę później próg przekroczył Ruchacz. Po jego włosach zostało tylko wspomnienie. Teraz bardziej przypominał E.T. niż hippisa.

– Ale mnie dziwka załatwiła!

– Tylko nie dziwka, dupy ci nie dawałam! – dobiegło zza uchylonych wrót salonu fryzjerskiego Jednostki Wojskowej 1281.

– Ech! – jęknął melancholijnie Ruchacz, domykając drzwi.

– Sam jesteś sobie winien – stwierdził Wścieklica. – Pewnie nie potrafisz z kobietą pogadać. Trzeba mieć właściwe podejście do pańienek.

– A ty niby masz?

– Trudno żeby było inaczej! – Wścieklica dumnie wypiął pierś.

– Co ty jej właściwie powiedziałeś?

– Że coś za bardzo tnie, żeby uważała, bo mnie oskalpuje. A ona: *siedź cicho, bo ci gardło poderżnę!* No to siedziałem cicho i cierpiałem. A potem ani nie przeklinałem, ani nic, tylko powiedziałem, że mnie oszpeciła.

– A może się założymy – zaproponował Wścieklica – że ja wyjdę od niej bez kłótni i z włosami niewiele krótszymi niż teraz?

– Dobra, zakład o pół litra – Ruchacz nie musiał precyzować, o jaki napój chodzi. – Kto przetnie?

Kilka prawic wysunęło się ochoczo. Każdy wiedział, że sędzia tak czy owak załapie się na wspólną konsumpcję stawki zakładu.

Uśmiechnięty Wścieklica przycesał włosy i zapukał do królestwa panny Krystyny. Po wejściu do środka sprężył się zasalutował, czym wprowadził w ogromne zdumienie oczekującego postrzyżyn Kostecka i – nieco mniejsze – siedzącego pod tańczącymi nożycami Króla.

– Chciałbym panią w imieniu wszystkich podchorążych, a przede wszystkim swoim własnym, przeprosić za zachowanie naszego kolegi.

– Och! – bóstwo z wrażenia upuściło nożyczki, które z brzękiem uderzyły o posadzkę.

– Jeszcze raz proszę o wybaczenie – podniósł nożyczki i położył na stoliczku. – Rozumiem, że w takiej sytuacji nawet największy bukiet kwiatów nie byłby w stanie wynagrodzić wyrządzonej pani zniewagi. A my jesteśmy pierwszy dzień w wojsku i nawet nędznego kwiatuszka znaleźć nie możemy. Proszę więc o przyjęcie tego drobiazgu... Z kieszeni moro wyciągnął kolorowy długopis – reklamówkę Międzynarodowych Targów Poznańskich.

– Och! Jakież to śliczne! Ale ja nie mogę przyjąć! – krygowała się fryzjerka. – Co by przełożeni powiedzieli?

– Przełożeni słyszeć o niczym nie muszą. Pozwoli pani, że się przedstawię: Robert Wścieklica. Jestem w cywilu asystentem na Wydziale Prawa Uniwersytetu Poznańskiego.

– Jaroń Krystyna – dygnęła tak, jak uczono ją na kursie tańca towarzyskiego pierwszego stopnia.

– Miło mi panią poznać.

– Mnie również – dygnęła ponownie.

– Szkoda tylko, że poznajemy się w takich okolicznościach. Pozwolę sobie jednak zaprosić panią przy najbliższej okazji na kawę i koniak.

– Och! – zatrzepotała rękami w sposób podpatrzony u pewnej aktorki. – Z przyjemnością, panie podchorąży! Tu, w koszarach, tak ciężko o prawdziwie kulturalne towarzystwo.

– Na miarę naszych skromnych możliwości postaramy się zapewnić je pani, prawda, panowie? – zwrócił się do Króla i Kostecka.

– Prawda, prawda – przytaknęli radośnie.

Przyspieszony kurs kroju i szycia

Sprzęt do obszywania mundurów składał się głównie z wielu metrów biało-czerwonego sznurka, nazywanego makaronem. Przyprawę do niego stanowiła szeroka biała taśma – sreberko, którą należało przyszyć do rękawów munduru wyjściowego.

Makaronem obszywano pagony obydwu mundurów (wyściówki i polowego moro), w które trzeba było następnie wpiąć, w odległości centymetra od ich podstawy, metalowe odznaki podchorążackie, zwane espeerkami.

Dla niewprawnych żołnierzy zabieg okazał się pracochłonny, zwłaszcza że dano im mikroskopijne igły, a do obszywania twardego materiału przydatne byłyby akurat te największe i najbardziej wytrzymałe. Poradzili sobie jednak przy pomocy przemyconych do koszar przez kilku podchorążych szczyryków – ich ostrzami nakłuwali pagony, a dopiero potem pracowali igłami.

O siódmej wieczorem już nawet najbardziej ospali przekroczyli półmetek przyspieszonego kursu kroju i szycia pod patronatem sierżanta Maskiego. Zmęczenie dawało znać o sobie, ale nastroje się poprawiły. Wyglądało na to, że koniec dnia blisko.

– No, zaraz skończymy, potem film i do łóżeczka! – westchnął Kogutowski.

– Ja to zaraz się kładę – ziewnął Tomala.

– Poczekaj, poczekaj, jeszcze wcześniej czeka nas msza – oponował Hultajek.

– Jaka msza?

– Wojskowa. Nie słyszałeś o codziennej obowiązkowej mszy wojskowej?

– Co ty mówisz...

Niestety, Hultajek okazał się dobrym prorokiem.

– Do Dziennika Telewizyjnego pozostało pięć minut! – na korytarzu zahuczał głos podoficera dyżurnego. – Podchorążowie zachodzą na świetlicę! Ruchy, ruchy!

Pośrodku korytarza SPR znajdował się grzyb służby dyżurnej, nad którym wisiał wielki zegar. Naprzeciwko były drzwi wejściowe na piętro. Po prawej stronie grzyba ulokowano umywalnię, następnie dwie izby żołnierskie, dalej salę topograficzną, a na samym końcu – palarnię (odgrodzoną od reszty korytarza drewnianym pudłem). Z palarni można było wejść do WC, a przed nią znajdowała się świetlica. Z tą zaś sąsiadowała niewielka kancelaria szefa SPR, sierżanta Maskiego.

Na lewo od grzyba znajdowały się dwie izby żołnierskie, spora podoficerka oraz druga ubikacja i mikroskopijne pomieszczenie gospodarcze. Po drugiej stronie korytarza mieściła się największa sala SPR – dźwiękowa. Za nią były jeszcze drzwi obite gąbką, na razie dla wszystkich tajemnicze.

Na drzwiach każdego pomieszczenia umieszczone były mosiężne, zapewne jeszcze ponemieckie tabliczki z numerami. Numeracja zaczynała się od położonej przy palarni ubikacji (101) i biegła przez salę topograficzną (102), obie izby żołnierskie (103 i 104), ku umywalni (105), dwóm kolejnym noclegowniom bażantów (106 i 107), prasowni (108), przybytkowi kaprali (109), do ubikacji (110). Tam, dobiegając do wielkiego okna na końcu korytarza, odbijała w drugą stronę, poprzez magazyn broni (111), kolejną izbę żołnierską (112) i salę dźwiękową. Numeru 113 nie było, co zapewne należy złożyć na karb przesądów dawnych użytkowników koszar. Kancelaria szefa kompanii otrzymała numer 115, a świetlica – 116. Numer 117 należał do zespołu kancelarii, do których wchodziło się bezpośrednio z klatki schodowej.

– Na Dziennik, natychmiast! – ponaglał Koziół.

– Nigdy nie oglądam Dziennika – Wścieklica z rozkoszą zaciągnął się papierosem.

– Nie ty tu będziesz decydował, co oglądasz, a co nie! – starszy kapral wyrwał Wścieklicy papierosa i cisnął na posadzkę.

– Ani mi się śni...

– Powstań, kurwa! – podoficer szarpnął siedzącego za ramię.

Wścieklica wstał. Zmierzyli się wzrokiem, niczym kowboje z podrędnego westernu. Podchorąży liczył około sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu, kapral był o głowę wyższy, ale bardzo szczupły.

– Tu każdy musi oglądać Dziennik – włączył się starszy szeregowy Marmucha. – Musicie się z tym pogodzić.

– Gównu mnie to obchodzi! – wybuchnął Wścieklica. – Gównu!

– A co to za ordynans tu, kurwa, bluźni? – zapytał dobrotliwie podporucznik Siwak, który za sprawą korytarzowych hałasów opuścił kancelarię szefa SPR, gdzie wspólnie z sierżantem Maskim spożywał herbatkę z dodatkami. – Na świetlicę!

Teraz już nikt nie protestował. Ci, którzy jeszcze nie zasiedli przed telewizyjnym ołtarzem, z pochylonymi głowami wkroczyli do świetlicy. A tam powitał ich gromki sygnał Dziennika Telewizyjnego Powszedniego, uradowany kolejnym sukcesem gospodarczym rządu profesora Messnera.

Ich pierwsza noc

– Szkoła! – głos podoficera dyżurnego, kaprala Mucy, złął się z sygnałem kończącym Dziennik. – W dwuszeregu, prawe skrzydło na wysokości umywalni, frontem do mnie, zbiórka! Biegiem myyrsz! Ruchy, ruchy!

Podchorążowie niespiesznie gromadzili się w nakazanym miejscu. Wreszcie ustawili się we w miarę stosownym szyku.

– Wiecie dobrze – zagaił podporucznik Siwak – że na zbiórkę udawać się powinniście biegiem. Na razie wam to odpuszczę, weźmiemy się solidnie za musztrę dopiero od poniedziałku. Wiecie, że wojsko to czystość, kurwa, ład, kultura i wzór-konspekt...

– Hmm... – z szeregu dobiegł nieokreślony pomruk.

– Kto tam rozrabia? – zapytał Siwak. – Jak ma któryś coś do gadania, to niech tera powie! No, kurwa, który?

Ale jakoś nie było chętnych, by oficjalnie przedłożyć swoje wątpliwości oficerowi szkoleniowemu SPR.

– No to wszystko w tym temacie! Jak który ma za dużo energii, to jeszcze dzisiaj będzie mógł się nią wykazać – pocieszył podporucznik. – Jutro jest wielka, kurwa, uroczystość naszej brygady, czterdziesta piąta rocznica jej powstania. Zjadą się goście, również z Warszawy, będą chodzić po koszarach, zajrzą może i tutaj, a sami wiecie, jakiego bajzlu dzisiaj narobiliście! Nawet było po sobie sprzęta! Na pewno praca pójdzie wam dziś niełatwo, bo do solidnej wojskowej, kurwa, roboty przyzwyczajeni nie jesteście. Spać pójdziecie, jak skończycie. W międzyczasie wyprasować marynarki i spodnie wyjściowe, żeby jutro wyglądać jak ludzie, a nie jakieś memłoki. Czasu dużo... No to tera weź ich, Muca, podziel – zwrócił się do kaprala.

– Pierwsza dwójka, lewa ubikacja, druga dwójka, prawa, trzecia umyje okna po lewej stronie korytarza, czwarta, po prawej, a reszta...

– Obywatelu kapralu, a czym my to mamy sprzątać?

– Sprzęt jest w komórce, w lewej ubikacji.

Jedni popełzli po ściery, drudzy postanowili obejrzyć miejsca pracy. Większość była z lustracji zadowolona: wyglądało na to, że się nie narobią. Przez ostatnie dni obiekt SPR odpoczywał w przerwie między turnusami podchorążych. Turnus letni posprzątał po sobie, jesienny jeszcze nie zdążył naśmiecć.

– Obywatelu kapralu! – z ubikacji dobiegło żałosne wezwanie.

– Czemu dla nas nic nie zostało?

– O co chodzi, podchorąży? – Muca pospieszył na odsiecz.

– Tu już nie ma żadnej szmaty! – rozpaczał Kotwica. – Wszystko rozdrapali, a dla mnie i Janka nic nie zostało.

– Hmm... – podoficer smętnie spojrział na dobraną parę. – A co macie sprzątać?

– Ubikację.

– No to magazynek gospodarczy macie pod ręką. Jak ktoś już odda szmatę, to od razu łapcie, póki po nią nie wróci. A na razie umyćcie te okienka na górze – Muca zadbał, by podkomendnych nie zjadła nuda.

– Obywatelu kapralu – odezwał się Borówka – ale okna miał myć kto inny...

– To tamte duże okna. Wy umyćcie te malutkie. Musicie przecież coś robić!

– Ale czym?

– Jak to czym? Takich rzeczy nie wiecie? To w domu nic nie pomagaliście?

– Przecież nie mamy nawet czystej ściereczki...

– To gazetami – pouczył podoficer. – Gazetami i pastą do zębów.

– ...?

– Nigdy tak szyb nie myliście? To w wojsku się nauczycie!

Ci, którym przypadło w udziale szorowanie korytarza, rażno zakasali rękawy.

– Te rysy to trzeba czyścić podeszwami butów – wyjaśnił Mar-mucha. – Trzeba trzeć mocno, ale jak się nauczycie, to szybko pójdzie. A przed trampkarzami ze dwóch na lasery...

– Jakie lasery?! – wykrzyknął Tarkowski, wietrząc widać szansę na rychły kontakt z nowoczesną techniką w Ludowym Wojsku Polskim.

– No, te, jak im tam... – tłumaczył starszy szeregowy – szczotki.

– Szczotki?...

– No, twarde szczotki, takie małe z ostrym włosiem. Nimi się czyści, podchorąży, brud wewnątrz płytek.

Płytki podłogowe były długie na trzydzieści centymetrów, szerokie na dziesięć, wzdłuż ponacinane rysami głębokości dwóch-trzech milimetrów. W te rowki bród wchodził znakomicie. Co gorsza, na powierzchni białozółtych cegiełek – bo nimi w istocie były – znakomicie zaznaczały się wszelkie potarcia gumą, szczególnie czarną. Nie trzeba oczywiście dodawać, z czego były wykonane podeszwy żołnierskich opinaczy...

– No, panowie, idzie nienajgorzej – zachęcał Maroń, uparcie nacierając laserem. – Szybko skończymy.

– Co to za parszywa robota?! – Muca rozwiął nadzieje korytarzowców, kopiąc wiadro z brudną wodą, która natychmiast rozlała się po posadzce. – Tu trzeba solidnie pracować! Jeszcze raz od początku zaczynajcie! Co to za brakoróbstwo?!

– Obywatelu kapralu – zaprotestował Nawrocki. – Przecież dobrze wyczyściliśmy...

– O tym to ja decyduję! Jechać od początku! I to mają być ruchy, ruchy! Ma być widać, że pracujecie! Wasz pot mam tu poczuć. Po wojskowemu!

O dwudziestej pierwszej rozpoczął się wieczorny apel. Była to radosna chwila dla Siwaka i Maskiego, ponieważ mogli już z czystym sumieniem i bez obawy przed kapitanem Piontkiem i pułkownikiem Czachórskim zakończyć swój wzmocniony nadzór i udać się do domów. Maski rzucił pomysł, by przedtem jeszcze gdzieś zajrzeć.

– To do klubu garnizonowego – Siwak, jak przystało na oficera, podjął błyskawiczną decyzję.

– Kooolejnooo ooo-licz! – zadyrygował Muca.

– Raz!

– wa!

– y!

– y!

– ć!

Bażanci szybko nabierali ogólnowojskowej gracji i precyzji.

– naście!

– naście!

– Czternaście! – wyrecytował Kotwica.

– naście! – wykonał ostatni akord wojskowej kołysanki Marmut.

– Wróć! – kipiał Muca. – Wróć, do kurwy nędzy! Co wy mi tu bredzicie?! W harcerstwie nie byliście? A kto mi powie z tyłu *pusty* czy *pełny*?

– Aaa... – przez szereg przebiegł szmer zrozumienia.

Nad placem musztry znów popłynęła miła wojskowemu sercu muzyka.

– cie!

– cie!

– Pełny!

– Marmucha, eep – zakomenderował Siwak. – Przeczytaj rozkaz, kurwa.

– Bacność! – Marmucha pełnił, oprócz kilku innych funkcji, również obowiązki pisarza SPR Artylerii. W tej właśnie roli stanął teraz przed frontem. – Rozkaz Dzienny numer sto pięćdziesiąt jeden łamane przez dziewięć łamane przez osiemdziesiąt osiem. Spoczniej! W dniu dzisiejszym przybyło dwudziestu siedmiu podchorążych...

I rozpoczął odczytywanie nazwisk.

– Nie Gryń, tylko Chryń!

– Przecież czytałem, że Bryń.

– Ale ja nazywam się Chryń.

– Aaa... Dryń! – wykrzyknął triumfalnie pisarz i poprawił nazwisko w rozkazie.

Więcej zmian wprowadzić nie zdążył.

– Co ty, Marmucha, do chuja wafla, robisz?! – zainterweniował Siwak. – Kim ty tu jesteś, że w rozkazie mażesz? Mądrzejsi są od tego! Czytaj dalej, kurwa twoja mać! Byle bez rewizjonizmów!

– Rozkaz! – odpowiedział starszy szeregowy. Odczytał kolejne nazwiska, a potem sakramentalną formułkę: – *wyżej wymienionych przyjąć na stan SPR i zaprowiantować z dniem 2 września 1988 roku* – i zamilkł na chwilę, by zaczerpnąć tchu.

Możliwe, że ta właśnie pauza zachęciła podporucznika Siwaka do wygłoszenia z wyżyn kamiennego fotela zwięzłego oświadczenia:

– Eeep!

Zabrzmiało nie gorzej niż indiańskie *howgh!* może nawet dobitniej.

– Bacność! – kończył już Marmucha. – Rozkaz podpisał komendant SPR Artylerii, kapitan Piontek Stanisław. Spoczniej!

– Czy są pytania? – zapytał podoficer dyżurny.

– Obywatelu kapralu, kanonier podchorąży... – usiłował wykazać się znajomością Regulaminu niewiele szczyplejszy od Borówki Nodryś.

– Dobra, kurwa, szybko – Siwak spieszył się i tylko dlatego nie zganił Nodrysia za niewłaściwe adresowanie pytania. – O co, eep, biega?

– Obywatelu poruczniku

– podchorąży postanowił poruszyć problem zasadniczy. – Dlaczego dzisiaj nie było kolacji?

– Eeep – Siwakowi znowu się głośno odbiło. Zawahał się. Nie mógł przecież przyznać się przed podkomendnymi do niewie-

„Powroty bywają różne.
Szczęśliwe i nieszczęśliwe.
Radosne i smutne. Wesołe
i – mówiąc językiem
wojskowym – wkurwiające.
– O Jezu! To wszystko
rozjebane!”

dzy w tak istotnej kwestii. Po chwili doznał olśnienia i wszystko stało się jasne. To pewnie znowu przez tego chuja Maskiego! Zapomniał, cholera! A Kozioł służbę zdawał, Muca obejmował, Marmucha coś w szatni sortował i pewnie poszedł na własną rękę... Niestety, wewnętrzny cenzor obywatela porucznika stanowczo zaprotestował przeciwko wyjawieniu podchorążym prawdziwej przyczyny tego, że utracili kolację. – Eeep... – powiedział – i tak straciliście dziś zbyt dużo czasu. Z własnej, kurwa wasza mać, winy! Jakbyście się szybciej obszyli, to i kolację byście jedli! Jeśli jutro rano nie będziecie odprasowani, to i obiadu nie dostaniecie! A teraz migiem mi rejony kończyć i żeby więcej nie było głupich pytań!

– Szkoła! – rytualnie zagrział Muca. – W prawo zwryyt, za mną... myrsz!

Powroty bywają różne. Szczęśliwe i nieszczęśliwe. Radosne i smutne. Wesołe i – mówiąc językiem wojskowym – wkurwiające.

Do tej ostatniej kategorii zaliczyć należy powrót podchorążych, którym podczas przydziału rejonów przypadł korytarz.

– O Jezu! To wszystko rozjebane! – wykrzyknął Hultajek na widok wyszorowanych niedawno płytek korytarza. Teraz były na nowo, i bardzo dokładnie, zdeptane przez żołnierzy zbierających się na apel wieczorny. Pianka, którą czyszczono podłogę, zaschła i przeobraziła się we wszystkobrudzącą maź.

– Teraz to już do zasranej śmierci tego korytarza nie skończymy – pocieszył przyjaciół Nodryś.

– Nie płacz, tylko bierz się za ścierę – Tomala postanowił dzielnie stawić czoła nieszczęściu. – Ruchy, ruchy...

Zmagania te na szczęście nie trwały do białego rana, Mucę bowiem zbyt zmęczył rejon, który – korzystając z nieobecności dowództwa – rozpracowywał na podoficerce wspólnie z Kozłem i Marmuchą. Muca osobiście go wyprodukował i w liczbie trzech

butelek przywiózł z ostatniego urlopu, poprzeczka została więc umieszczona na rzetelnie wysokim poziomie.

– Te, młody, kurwa, eeep. – Jeszcze przed północą Muca przywołał wypożyczonego od elewów dyżurnego. – Pilnuj, żeby zrobili po... po... porządek, eeep. Ja idę do wozu. Obudź mnie o szó... szó... szóstej.

Dyżurnych elewów było dwóch. Spać mieli – jak to dyżurni – na zmianę. Obydwaj byli mocno zmęczeni całodziennymi zajęciami na placu ćwiczeń. Uważali, że z podchorążymi nie ma co zadzierać, bo to w końcu kandydaci na ich przyszłych dowódców.

– Panowie podchorążowie – zaproponowali nieśmiało. – Ogarnijcie szybko te rejony, może nikt nie będzie się dopierdalał.

Bażanci przyjęli propozycję z radością. Kadra SPR już spała, więc nikt im nie przeszkadzał w sprzątaniu. W tej sytuacji pracę wykonali rzeczywiście szybko. Wkrótce w łazience zrobił się tłok.

– Co, już ciepłej wody nie ma? – zdziwił się Wścieklica.

– Tu jest jedna terma na pięćdziesiąt litrów – wyjaśnił dyżurny elew. – A ciepłą wodę i tak zużyliście do korytarza.

– Cholera! – podsumował podchorąży, napełniając kubek do mycia zębów lodowatą ciecżą.

– Ciesz się, że w ogóle masz tu jakąś wodę – pocieszył go Hultajek. – U brata to mieli i kibel, i umywalnię w jednym miejscu. Po jednej stronie kran i koryto do mycia, a po drugiej kranów nie było, więc koryto służyło do lania i srania. Czasem ktoś się pomylił...

– Widziałeś to? – nie dowierzał Kostyk.

– Jak u niego na przysiedze byłem. A śmierdziało jak ta lala!

Uznanie Hultajka dla smrodu panującego w jednostce, gdzie odbywał zaszczytną służbę wojskową jeden z jego braci, było ostatnim zdaniem, jakie wygłoszono w przesławnej SPR Artylerii 2 września 1988 roku. Zawieszony nad grzybem zegar hałaśliwie obwieścił nadejście godziny, którą przesądni uważają za czas duchów.

Większość podchorążych leżała już w łózkach. Wszyscy byli tak zmęczeni, że zasypiali natychmiast po przyłożeniu głowy do poduszki.

Izbę gospodarczą okupowało dwóch – szczęśliwych w nieszczęściu – prasujących mundury wojskowe. Gdy skończą, będą mogli spokojnie spać do rana – na tym polegało szczęście. Nie rozmawiali, tylko zaciskając szczęki, wściekle atakowali ogromnymi żelazkami twarde materiały. Po uporaniu się z tym problemem pójdą się umyć, może nawet woda w termie zdąży się podgrzać. A zanim powędrują do łóżek, zbudzą kolejnych prasowaczy, ci zaś jeszcze następnych... Do rana wszystkie wyjściówki muszą prezentować się bez zarzutu.

W całym budynku poszeptowali tylko, ulokowani wóz w wóz, Borówka i Kotwica. Naradzali się, kogo o tej porze należy poprosić o pozwolenia skorzystania z ubikacji. Ostatecznie postanowili zapanować nad mdłymi ciałami i zaspokoić potrzeby dręczące pęcherze dopiero za kilka godzin – gdy doczekają swej kolejki do prasowalni.

– Tak będzie najbezpieczniej – zreasumował, ku obopólnemu zadowoleniu, jeden z kandydatów do Odznaki Wzorowego Podchorążego. – Przetrzynamy!

NIC DWA RAZY SIĘ NIE ZDARZA CZYLI DZIEŃ DRUGI I DALSZY CIĄG WEEKENDU

W walce ze światowym imperializmem

– Towarzyski i Towarzysze! Obywatelki i Obywatele! Żołnierze! W dniu dzisiejszym świętujemy rocznicę powstania 1 Śląskiej Brygady Artylerii Armat im. Feliksa Dzierżyńskiego. Z tej okazji chciałbym serdecznie podziękować przybyłym i zaproszonym gościom, a w szczególności... – głos pułkownika Czachórskiego docierał do każdego zakamarka koszar, a kto wie, czy nie do każdego zaułka Szczupakowa. – W takim dniu, jak dzisiejszy, trzeba patrzeć w przyszłość. Na szerokim froncie ideologicznym wcielać i wdrażać musimy dalszy systematyczny postęp. W związku z tym trzeba położyć należyty nacisk na to, że nie możemy zapominać o przeszłości, która doprowadziła nas do punktu, w którym obecnie jesteśmy. A dzisiaj, kiedy nadeszła wreszcie wielkopomna chwila rocznicy naszej brygady, wspominać możemy, a nawet powinniśmy również, a może przede wszystkim, sylwetkę wielkiego naszego patrona, wielkopomnego rewolucjonisty, niezapomnianego Towarzysza Feliksa!

Papa Czachór korzystał zazwyczaj z tekstów przygotowanych przez podwładnych. Niektóre z nich opracowano przed laty, zanim jeszcze jego noga postąpiła w Szczupakowie, a później modyfikowa-

no przed kolejnymi uroczystościami, zastępując jedne sformułowania innymi, równie udanymi, a jednocześnie bardziej przystającymi do okoliczności. Tak na przykład zamiast: *witamy żołnierzy młodego rocznika*, pisano: *witamy podchorążych dwudziestego szóstego poboru*, a w miejsce frazy: *wasze młode, często świeżo po maturze lub szkole zawodowej, charaktery*, wstawiano: *wasze młode, często świeżo po studiach charaktery*; poszły precz wytyczne IX Zjazdu PZPR, a na ich miejscu pojawiały się – w niezmiennym poza tym tekście – pochwały dla *wytycznych X Zjazdu PZPR*. Bardzo to ułatwiało zadanie pułkownikowi, który co celniejsze zwroty opanował na pamięć i nie musiał się męczyć rozszyfrowywaniem zapisu owych *spontanicznych* wypowiedzi.

– Mamy więc znakomitą okazję, by zastanowić się, co to jest patriotyzm... Otóż zauważyć trzeba, że poczucie patriotyzmu jest starsze nawet od ludzkości! Uczucie to narodziło się po sytości i głodzie, po miłości i nienawiści, po to, by objąć sympatią hordę pierwotną, współtowarzyszy polowań gromadzących się w tej samej jaskini, rozkoszujących się ciepłem tego samego, ukradzionego zapewne groźnej burzy ognia. Pewnej nocy, trudnej dziś do odnalezienia w prehistorycznym kamiennym kalendarzu, gdy wszyscy posnęli, zmęczeni trudem zabijania mamuta, żarciem i miłością...⁶ – na dźwięk ostatnich słów szeregi drgnęły, wiele głów uniosło się, by lepiej spijać słowa z ust dowódcy.

– Eee, Józek, może tak coś o panienkach powie? – zamarzył młody żołnierz, jeden z tych, którym od kwietnia nie udało się wyjść za bramę koszar.

– Zamknij, się, chuju jeden – skarcił go szeptem kapral – bo do raportu staniesz!

⁶ Zdanie to pochodzi z książki pułkownika J. Przymanowskiego, *Czy na pewno jesteś patriotą*, Warszawa 1977. W przemówieniu płk. Czachórskiego znaleźć można liczne ślady inspiracji tą broszurą.

Przemówienie pułkownika ciągnęło się już blisko godzinę i nikt nie oczekiwał rychłego końca. Starzy wyjadacze znali jego zapach do tego, co po cichu nazywali pogadankami lub kryminałkami.

– ... Tak więc wtedy jeden z naszych praprzodków, o mózgu bardziej od innych rozwiniętym, wziął swoją maczugę i stanął na straży, wypatrując wroga w ciemnościach. Był to pierwszy żołnierz w historii! – wspominał Czachórski. – Wypatrywał z poświęceniem wroga. Tak jak i obecnie nasze Ludowe Wojsko Polskie wypatruje...

– Ale kretyn... – delikatnym szeptem ocenił jakość przemowy Wścieklica.

– Cicho... – zaprotestował Borówka – bo cię usłyszą.

– Zero dyskusji, Wścieklica i Borówka! – szeptem dał odpór wrogiej propagandzie Koziół.

– ... Stwierdziliśmy, że patriotyzm to miłość ojczyzny. Tak, ale jaka? Miłość też przecież bywa bardzo różna... – Czachórski zawiesił na chwilę głos, by do wszystkich słuchaczy dotarło do odkrywcze stwierdzenie. – Kochając, nie możemy zapominać, że jesteśmy otoczeni systemem zwartych sojuszy – mówca podniósł głos – i w nich nasza ostoja i nadzieja, w nich nasz dalszy systematyczny rozwój! W nich również nasza miłość i wolność! Właśnie – zaakcentował – w o l n o ś ć! Nie wiem, czy wokół jakiegokolwiek pojęcia nagromadziło się u nas tyle fałszów i nieporozumień, co wokół wolności... – pułkownik smutno pokiwał głową. – Jakże u nas łatwo demagogicznemu krzykaczowi czy innemu byle komu zachęcić ludzi do lekceważenia władzy, do łamania prawa, do ulicznej rozróbki, do intryg przeciwko państwu. W roku 1981 staliśmy już przez to na skraju przepaści i dopiero wprowadzenie stanu wojennego, objęcie więc władzy przez wojsko, pozwoliło nam wykonać wielki krok na sam przód i dzięki temu jesteśmy teraz w tym punkcie historii, w jakim jesteśmy! – entuzjasmował się oficer.

Pułkownik nie mógł odżałować, że zaproszony na tę wspaniałą uroczystość generał Urbańczyk w ostatniej chwili poinformował, że przybędzie dopiero wieczorem, na polowanie. Miało to niewątpliwie tę zaletę, że poręczniej będzie pogadać z nim prywatnie. Ale miało też i wadę, bo w związku z tym należałoby otworzyć butelkę czegoś mocniejszego, a Czachórskiemu przecież pić alkoholu zupełnie nie wolno... Co więc wymyślić? Przecież to właśnie od Urbańczyka zależało, czy dowódca JW 1281 dostanie wreszcie upragnione skierowanie na kurs generalski do Moskwy lub Leningradu...

– Ale w naszym narodzie ciągle jeszcze istnieją złe, wrogie nam cechy. Wojsko jest na nie remedium jedynym, ale nie zawsze, niestety, wystarczającym... Widzieliśmy to i siedem lat temu, i wielokrotnie wcześniej, widzieliśmy i później. Jeszcze dwa wieki temu wstecz kosztowało nas owo *musi to na Rusi, a w Polsce, jak kto chce* utratę bytu państwowego na półtora wieku. Wolności nie należy rozumieć w zgniłym sensie burżuazyjnym! Taka wolność to nie jest wolność. To bezhołowie, potrzebne tylko imperialistom i pozbawionym moralności milionerom! To oni zawsze zasłaniają się słowem *wolność* przed wszystkimi oskarżeniami. Co innego my, komuniści! My nie boimy się mówienia o naszym życiu źle, choć oczywiście mówić w tym temacie trzeba tylko konstruktywnie, z naszych pozycji ustrojowych...

– Uświadomić sobie więc muszą wszyscy młodzi ludzie, że żołnierz podlegający surowej, choć i przecież nikt nie zaprzeczy, że ojcowskiej zarazem dyscyplinie wojskowej – głosił swe credo Papa Czachór – jest stokroć bardziej wolny, ma więcej czasu dla siebie i możliwości zajęcia się sportem, nauką czy pracą społeczną niż chłop na własnych paru hektarach, który, choć sam sobie panem, żeglarzem i łódką, ciężko od zmroku do rana, to jest – poprawił przejęzyczenie, po którym kilku uważnych słuchaczy parsknęło śmiechem – od rana do zmroku haruje na upale i mrozie, ston-

ziemniaczanej i pożarom wbrew. Ciężki jest jego los! Ale wolności absolutnej, niesterowanej odgórnie, nieograniczonej konkretnymi obowiązkami i dyscypliną nie ma i, co najważniejsze, być nie może! Jednak dzięki armii naszej, która w młodego człowieka wpaja wszystko, co najlepsze...

Dzień był upalny. Rozmiękł asfalt pokrywający plac musztry. Żołnierze dźwigali karabiny, odziani byli w grube i gorące mundury wyjściowe, wielu ślaniało się ze zmęczenia.

– Już mi nogi w dupę włożą – cierpiętniczo wyszeptał Hultajek. – To gorzsze niż podorywka.

– Podchorąży – tym razem życzliwie odezwał się Kozioł – dziś to i tak jeszcze krótko...

– Cooo?

– Może za jakieś pół godziny skończy – wtrącił się Muca, od dłuższego czasu nerwowo przestępujący z nogi na nogę.

– ... Z niekwestionowaną aprobatą oceniamy dokonania pierwszego w dziejach Polski państwa socjalistycznego, zarówno w dziedzinie polityki, nauki, jak i kultury, a przede wszystkim ekonomii, która dzięki centralnemu planowaniu gospodarki uspołecznionej i ciągłej likwidacji przerostów prywatnych pozwoliła nam zmniejszyć dystans w stosunku do czołówki świata. Przywykliśmy do...

– Ludzie, ludzie! – odezwał się ktoś w szeregach SPR Artylerii. – Jak ja mam tego słuchać, jak?

– Kto to powiedział, po prostu? – zapytał podporucznik Maćko. – Nikt się nie przyzna, po prostu?!

„W roku 1981 staliśmy już przez to na skraju przepaści i dopiero objęcie władzy przez wojsko pozwoliło nam wykonać wielki krok na sam przód i dzięki temu jesteśmy teraz w tym punkcie historii, w jakim jesteśmy! – entuzjazmował się oficer.”

– Ja! – oszczerca nie zamierzał się ukrywać.
– Kto?! Nazwisko, po prostu! – zażądał zastępcą do spraw polityczno-wychowawczych.
– Ja! – powtórzył, wychylając się, podchorąży Wścieklica.
– Po zakończeniu uroczystości natychmiast do mnie, po prostu, zamelduje się podchorąży! – politruk odwrócił się do Mucy. – Jak on się, po prostu, nazywa?
– Jak on się, po prostu, nazywa? – kapral przekazał pytanie stojącemu obok podchorążemu.
– ... Bezpłatne i powszechne nauczanie, ubezpieczenia, ludzkie wynagrodzenia, urlopy, mieszkania... – wyliczał Czachórski kolejne zasługi państwa ludowego – czystość, porządek i, co dla tu obecnych nie mniej ważne: ludzkie stosunki między szeregowymi a podoficerami i oficerami, nie takie, jakie panowały w burżuazyjnej armii...
– A nie prościej mnie samego zapytać, jak się nazywam? – parsknął Wścieklica.
– Jak się ten podchorąży nazywa, po prostu? – Maćko uparcie indagował kolejnych, uparcie milczących sąsiadów sąsiadów sąsiadów.
– Powiedz mu, Krzysiek – poprosił Wścieklica – to przestanie spazmować.
– On nazywa się Wścieklica – spełnił życzenie kolegi Kostyk.
– ... Tego wszystkiego w wielu krajach, od naszego bogatszych, ale niesprawiedliwych – kontynuowano z wyżyn trybuny honorowej – nie ma do dziś.
Wścieklica osunął się na ziemię.
– Co się stało? – przeraził się Maćko. – Co z tym podchorążym stało się, po prostu?
– Trzeba wezwać lekarza!
– Lepiej usta-usta!
– Sztuczne oddychanie!
– On się rzuca!
– Ma atak!

– Natychmiast lekarza!
– Muca, wezwij, kurwa, lekarza – wkroczył do akcji podporucznik Siwak. – Stoi pewnie przy sztabie.
– Trzeba mu coś włożyć do ust, żeby języka nie przegryzł!
– Dawajcie pas!
– ... Pod zaborami, pod okupacją, do obowiązków patrioty należało stawianie oporu – Czachórski był krótkowidzem, ale wstydził się używać okularów. Teraz tak pochłonęło go objawianie żołnierzom prawd dziejowych, że nie dostrzegł zamieszania w szeregach SPR. – Do obowiązków patrioty należało oszukiwanie władz skarbowych i przełożonych, łamanie lub obchodzenie praw...
Pododdziały 1 ŚBAA rozstawiono według porządku obowiązującego od lat i zgodnego z Ceremoniałem wojskowym. W pobliżu budynku SPR Artylerii, czyli najbardziej na lewo od trybuny (patrząc od strony stojących na placu) ulokowane były czwarty, trzeci, drugi i pierwszy dywizjon, następnie kilka samodzielnych baterii i kompanii pomocniczych, wreszcie – dywizjon szkolny. Na jego lewej flance występowała SPR OC, a na prawej – *elytarna intelektualnie* Szkoła Podoficerów Zawodowych. Pomiedzy nimi stały dwie baterie elewów SPSZ i wreszcie SPR Artylerii. Na prawym skrzydle zwykle wyczekiwali końca przemówień Czachórskiego żołnierze kompanii honorowej brygady. Na lewo od nich służbę pełnili oficerowie sztabu.
– Obywatelu kapitanie, kapral Muca melduje się z powiadomieniem – podoficer z trudem odnalazł Jarmuła w grupce stojących ze znudzonymi minami oficerów sztabu.
– No, co tam?
– Zemdłał u nas podchorąży i trzeba mu pomóc.
– Od tego, by zdecydować, kto zemdłał i czy trzeba mu pomóc, to jestem ja – wyjaśnił lekarz. – Dajcie mi spokój.
– Ale... – nalegał Muca. – Ale z nim jest chyba źle...

– Niech zdycha, symulant jeden – rzekł Jarmuł. – Pierwsze dni w wojsku i już mu się chorować zachciało, paniczkiowi!

– Obywatelu kapitanie...

– Co, jeszcze tu jesteś?

– Proszę o pozwolenie odejścia!

– A idź sobie w diabły! – zezwolił Jarmuł.

Muca wykonał przepisowe w tył zwrot.

– Aaa, kapralu, prowadź mnie zresztą do tego faceta – rozsządek nakazał kapitanowi-lekarzowi zmienić zdanie. Nadarzyła się przecież znakomita okazja wyrwania z nudnej uroczystości, której końca nie widać!

– ... Wiemy dobrze, że naród bez własnego państwa może trwać, ale nie jest w stanie dotrzymać kroku tym państwom, które je mają... – dzielił się refleksją historiozoficzną mówca. – To jest, przepraszam, tym narodom, które mają państwo...

– No i co z nim? – zapytał lekarz.

– Uspokoił się już, kurwa – wskazał leżącego Siwak.

– Niech go wezmą do mnie, na izbę chorych.

– Muca – polecił Siwak – poprowadź ich.

– Uwaga, weźmy go może na krzeselko – Ogórko pokazał, w jaki sposób spleść ręce, by posadzić na nich chorego. – A trzeci niech go podtrzymuje z tyłu.

– Szybko – ponagłał Jarmuł. – On nie z porcelany, nie rozleci się.

– ... Inni zaś pragną świat zmienić, uczynić go lepszym, bardziej przyjaznym człowiekowi, niż jest dziś. Ci ostatni to komuniści! To my, żołnierze-komuniści, podnosimy zasadę postępowej zmiany świata do rangi prawa kardynalnego! – żegnał podchorążych kroczących do izby chorych ich dowódca.

O tym, jak rzeczy proste stają się trudnymi a trudne – prostymi

– Pierwsza czwórka! – Koziół dyrygował powracającymi z obiadu podchorążymi. – Podać krok!

– Lewa... lewa...

– Co za lewa! Mówi się: *raz-raz-raz!*

– Raz... raz...

– Już lepiej! Ale wy tam, podchorąży – wypatrywał nieprawidłowości Muca – w ostatniej czwórce...

– Ja? – zapytał Hultajek.

– W szyku się nie rozmawia!

– Ludzie! – sądząc po mocy okrzyku, bażant zamierzał wezwać na świadka całe Szczupakowo. – Ludzie!! Ja rozmawiam?! Ja?!

– Podchorąży, do mnie! – polecił stojący z boku Siwak.

– Melduję się posłusznie, obywatelu poruczniku...

– Jakie *posłusznie*?! Kurwa! Nie ta formuła!

– A jaka? – zapytał Hultajek.

– W jakim plutonie jesteście?

– Zwiadowczym podobno.

– Podchorąży, tak po prostu – zauważył Maćko – to nieprawidłowo, że nie wiecie, po prostu, w jakim jesteście *pododdziale*.

– Nauczymy go tego, kurwa – zapewnił Siwak.

– Po prostu – z mocą uzupełnił zastępca do spraw polityczno-wychowawczych.

– Zgłosicie się, po prostu... tfu, co ja gadam – Siwak zmiął w ustach przekleństwo – zgłosicie się, kurwa – naprowadził wypowiedź na właściwe tory – do kaprała Mucy, zaraz jak wrócimy na piętro, on wam, kurwa, wyjaśni.

Hultajek kilkakrotnie poruszył wydatną szczęką, lecz milczał.

– Co wam się stało, czemu, po prostu, nie odpowiadacie?

– Bo... bo się mi... – wydusił wreszcie maleńki podchorąży – bo mi się źle przełknęło.

– Co?! – nie dowierzał własnym uszom Siwak.

– To wy sobie tak po prostu jecie w szyku?

– Hmm... – Hultajkowi ciągle nie udawało się przełknąć kęsa.

– Co jecie?

– Chlebek. O, mam jeszcze – pokazał solidną kromę.

– Wyrzucicie natychmiast, kurwa!

– Co?! Czy to ja bezbożnik jestem, żeby chleb wyrzucać w błoto?! Nie ma mowy!

– To go przynajmniej, po prostu, schowajcie – zaproponował polubowne rozwiązanie Maćko.

– To mogę.

– Odmeldujcie się poprawnie!

– Obywatelu poruczniku, proszę o pozwolenie pójścia sobie.

– Nie tak!

Mina Hultajka świadczyła, że we wnętrzu jego czaszki odbywa się burzliwy proces myślowy.

– Muca, powiedz mu, kurwa.

– Obywatelu poruczniku, proszę o pozwolenie wstąpienia do szyku – podpowiedział kapral.

– Obywatele porucznicy, proszę o...

– Jacy porucznicy, kurwa?!

– Ech, żeby tu gdzieś była kurwa... – marząco odpowiedział podchorąży.

– Wstąpcie do szyku – Siwak postanowił nie przeciągać dyskusji.

– Rozkaz! – zasalutował Hultajek.

– Podchorąży, co podchorąży sobie wyobraża?! – Muca zgodnie z życzeniem Siwaka wezwał Hultajka na pogadankę wychowawczą.

– A o co chodzi?

– Zamilknijcie, podchorąży! Zachowujecie się uparcie nieregulaminowo! Teraz jeszcze zostanie wam to odpuszczone, no bo w sumie nie było, jak dotąd, systematycznych zajęć, ale od poniedziałku to się za was ostro weźmiemy! Ja osobiście wezmę podchorążego pod nadzór za rozrabiactwo! Jakby co, to zdrowo ściąnę!

– Obywatelu kapralu...

– Zero dyskusji! Czy przynajmniej wiecie, co było nieprawidłowo?

– No wiem... – spuścił z tonu oskarżony. – Nie trzeba było mówić w liczbie mnogiej i jeść w szeregu... ale co ja miałem zrobić, jak głodny byłem?

– Ale teraz to podchorąży nie je – stwierdził podoficer – więc pójdzie ze mną do Felka, zameldować, że postępował nieprawidłowo! Tylko nie zapominajcie, że do przysięgi wolno wam się poruszać po terenie koszar wyłącznie biegiem! Ruchy, ruchy!

Wyszli z podoficerki. Muca szedł przodem, o regulaminowy krok za nim markował bieg Hultajek. Przechodząc obok izby żołnierskiej 106, kapral gwałtownie nacisnął klamkę.

– A kto wam pozwolił się zamykać?!

– My... – usiłował ktoś zabrać głos.

– Powstań! Baczość! – podoficer nie dopuścił do rozrabiackich wystąpień. – To nawet tego może jeszcze was nie nauczyliśmy, że gdy do sali wchodzi przełożony lub starszy stopniem, to pierwszy z brzegu podrywa kolegów i melduje się?! I takich rzeczy nie wiedzą ludzie, co niby studia skończyli...

– Ale... – próbował przerwać potok wymowy kaprala Olaszewski.

– Zero dyskusji! – krzyknął Muca. – A co zresztą podchorąży chciał powiedzieć?

– Obywatelu kapralu, teraz jest godzinka Czasu Wolnego, spaliliśmy, nie wiedzieliśmy, przepraszamy...

– To osobny problem! – przerwał podoficer. – Kto wam pozwolił spać?! To, że jest odpoczynek poobiedni, nie znaczy, że macie gnić w wozach! To wam nie przysługuje!

– Jak to...

– To przysługuje dopiero po przysiędze! – wyjaśnił przełożony. – A wy, jak się nazywacie, wy... ten wysoki, co ze mną chciał dyskutować?

– Podchorąży Olszewski.

Kapral pamiętał, że podchorążowie to nie żołnierze służby zasadniczej, więc nie można ich karać ani aresztem, ani pracami porządkowymi poza kolejnością. Dlatego powiedział:

– To dzisiaj, w n a g r o d ę, wasza sala czyści rejon-korytarz. A podchorąży Olszewski później jeszcze, też w nagrodę, pokaże, jak powinna wyglądać czysta umywalnia! Oczywiście osobiście sprawdzę wykonanie.

– Spocznijsz – powiedział za wychodzącym Borówka.

Blisko czterometrowy pomnik patrona brygady, rewolucjonisty w stanie wieczystego spoczynku, Feliksa Dzierżyńskiego, wznosił się na wprost bramy wjazdowej, mniej więcej w połowie drogi między trybuną honorową a budynkiem, gdzie mieścił się areszt i dyżurka oficera inspekcyjnego garnizonu.

Pomysł wzniesienia monumentu zrodził się w zapobiegliwej głowie pułkownika Czachórskiego na długo przed dniem obchodów czterdziestej piątej rocznicy utworzenia 1 ŚBAA. Już rok wcześniej rozpisano stosowny konkurs. Jednak rezultaty – jury składało się z nierozgarniętych cywili – nie zadowolili zdrowego poczucia artyzmu dowódcy JW 1281. Nagrodę, w wysokości pięciuset tysięcy złotych, co prawda wypłacono, ale projektu nie skierowano do realizacji. Zwycięski model przedstawiał bowiem towarzysza Feliksa zapatrzonego w niebo, niczym – może – jakiś tam Kopernik. To nie było to, czego potrzebuje żołnierz!

Pomnik w murach jednostki wojskowej powinien zachęcać do naśladownictwa, dawać przykład prawidłowej postawy, uczyć oddania armii i ludowej ojczyźnie, nawiązywać do tradycji oręża polskiego, a zarazem wskazywać przyszłość!

Pułkownik rozpoczął poszukiwania twórcy o odpowiednich predyspozycjach i umiejętnościach. Znalazł to wszystko w osobie niejakiego Antoniego Pysza, skądinąd narzeczonego swej córki, z wykształcenia ogrodnika, z zamiłowania – animatora kultury.

Czas naglił. Choć już wiosną ustalono z grubsza szczegóły zamierzenia, a nawet z wojskowej kiesy wypłacono stosowną zaliczkę – robota szła wolno. Kolejne projekty nie zadowalały Wojskowo-Cywilnej Rady Ocalenia Idei Budowy Pomnika, obradującej w składzie: Czachórski, jego żona i córka, pułkownik Wierzba, jego żona i dwie córki oraz sierżant Witkowski.

Jaką propozycję wybrać? Żadna nie satysfakcjonowała wymagającego pułkownika. A po nocach śnił mu się Towarzysz Feliks, zadreżający go wciąż nowymi żądaniem:

– Chcę mieć góralskie piórko! Na znak, że Polska od gór do morza! I narodową rogatywkę!

Którejś nocy tonem rozkazu padło pytanie:

– Jak zaznaczyliście związek Polski z morzem?

Wówczas Czachórski wystąpił z desperacką propozycją, by Towarzysz Dzierżyński siedział w czółenku – na prawdziwy okręt nie pozwalały moce przerobowe, czego jako roztropany oficer świadom był również we śnie.

Ale pomnik nie chciał czółenka. Z pomocą przyszli wówczas pozostali członkowie komisji, a pomysły posypały się jak z rogu obfitości.

– Wielki Wieszczo Praw Obywatelskich XX wieku, będziesz siedział na kotwicy ułożonej na cokole! – wołała panna Czachórska. – No i obowiązkowa książka, że czytasz!

– Phi! To już lepiej kaganiec oświaty, co go w lud niesie! – licytowała się panna Wierzba.

– I złoty róg, symbolizujący, że...

– Dodać kontusz szlachecki, bo...

– Na kolanach dzieci...

– Gołębek pokoju!

Dyskusję twardo i pręźnie przeciął sam twórca CZEKA:

– A gdzie mój nagan?!

Przez wiele dni Czachórski budził się złany potem. Senne zjawy co prawda cichły, ale rzeczywistość naciskała tym mocniej...

W końcu Antoni Pysz spłodził makietę przedstawiającą Towarzysza Feliksa stojącego na masywnej skale, obserwującego widnokrąg świetlanej przyszłości. W opuszczonej prawicy Rewolucjonista dzierżył nagan.

Koszmary skończyły się. Przez kilka nocy Czachórski mógł spokojnie spać. Niestety... projekt musiała zatwierdzić jeszcze Centrala. A ta, jak zwykle, zwlekała z odpowiedzią. W końcu przysłała decyzję odmowną. Nie wyrażono zgody na kształt pomnika, proponowany przez W-CROIBP. W zamian przysłało *Katalog Monumentów Standardowych*. Dołączono doń instrukcję, której fragment pozwolimy sobie przytoczyć:

a) r e w o l u c j o n i s t a f r a s o b l i w y - człowiek w pozie „cogito ergo sum”, siedzący na cokole, głowa podparta ręką, wzrok zwrócony ku przyszłości,

b) r e w o l u c j o n i s t a z w y c i ę s k i - noga wykroczna wysunięta do przodu, ciężar ciała spoczywa na pięcie kończyny zakroczonej. Twarz o rysach ostrych, poły płaszcz rozwiewa wiatr,

c) w z ó r k r ó l e w s k i - pomnik na koniu (uwaga! - stosować tylko w wyjątkowych wypadkach i za jednostkową zgodą!);

d) w z ó r m i e s z c z a ń s k i - postawa na baczność, w garniturze lub płaszczu nieprzemakalnym (uwaga! - stosować tylko wtedy, jeśli w najbliższej okolicy znajdują się już pomniki wg punktów a-c instrukcji!).

Katalog opatrzone był na marginesie uwagą: *Od kiedy to pozwolono Czachórskiemu zapominać o drodze stórzbowej?!* Podpis pod notatką był nieczytelny, atoli pułkownik – nie tylko dzięki swojej ortografii – dobrze wiedział, kto się popisał pod dokumentem...

Nie było wyjścia: należało realizować któryś z projektów katalogowych.

Wybrano koncepcję „b”. Wniosek o jej zatwierdzenie znowu przesłano Centrali. Odpowiedź przyszła już po miesiącu. Była pozytywna.

Na skutek tych wszystkich perturbacji zabrakło jednak czasu na odlanie dzieła z brązu. Należało się zadowolić techniką socrealistyczną, czyli betonem imitującym granit.

Kierujący tą fazą prac plutonowy podchorąży Giżycki otrzymał dwa dni na wykonanie robót.

– Ale jeśli zrobię to w dwa dni, najdalej po miesiącu się rozleci! – stwierdził absolwent Wydziału Budowy Mostów Politechniki Krakowskiej. – Ja potrzebuję na to dużo więcej czasu!

– Nie dyskutujcie, podchorąży – dobrotliwie argumentował dowódca. – Ja wiem, że w cywilu takim wykrętom to może by i uwierzono...

– Ale...

– Jeśli już a l e , to trzeba powiedzieć – pułkownik podniósł głos – a l e tu mamy wojsko! I tu ma być tempo wojskowe i wzór-

-konspekt budowa! Obiecuję ze swej strony, że jeśli wy wykonacie tę pracę w terminie, otrzymacie cztery dni krótkoterminowego urlopu!

– Tydzień! – podbił cenę podchorąży.

– Ha, ha – roześmiał się oficer. – Zawsze mówię, że wszystko jest kwestią motywacji. Jak będzie ładnie wyglądać i uwiniecie się na czas, to i dwa razy po tygodniu dostaniecie!

– Ale ja naprawdę boję się, że tak pośpiesznie zrobiony pomnik może się rozlecieć...

– Biorę to na siebie! – oświadczył człowiek w mundurze, obdarzony widać mocą czynienia cudów. – A i nagroda pieniężna was nie ominie! Dam całe dwa tysiące!

A teraz Hultajek przyszedł złożyć hołd temu dziełu wojskowej sztuki stosowanej. Wraz z nim, niczym ucieleśnienie ducha wojskowej czujności, przybył Muca.

– No, podchorąży, meldujcie się – ponaglił podoficer.

– Obywatelu pomniku... – Hultajek zaczął mocnym głosem.

– Co wy, jaja sobie z poważnej sprawy, kurwa, robicie?! – zagrzemiał z pobliskiej dyżurki porucznik Śmiechocki.

– O-telu poruczniku – usprawiedliwił się podchorąży. – To był pomysł kaprała...

– Kaprał wiedział, co robi, kurwa! – wrzasnął porucznik. – To wy sobie jaja robicie, kurwa mać!

– Ale...

– A l e to u cioci, kurwa, na imieninach! Zero dyskusji! – zarządził oficer dyżurny. – Muca, co się stało?

– Uczę podchorążego prawidłowego meldowania się.

– Prawidłowo, kurwa, obywatelu! – pochwalił Śmiechocki. – A czy on może z mojego plutonu?

– Tak jest.

– No to, obywatelu, kurwa, żebyście sobie więcej na takie numery nie pozwalali, bo wam za moim pozwoleniem kaprał na ogon nadeptnie! Jak się nazywacie?

– Hultajek.

– Jak?! – porucznik gniewnie zmarszczył czoło.

– Kanonier podchorąży... – odpowiedział Muca.

– Kanonier podchorąży Hultajek.

– Oj, kurwa, on się musi jeszcze wiele nauczyć! – użalił się dowódca plutonu zwiadu, w którym instruktorem był obywatel kaprał Franciszek Muca.

– No, podchorąży – ponaglił Muca – pokażcie, że coś jednak potraficie.

– Obywatelu Dzierżyński, kanonier podchorąży Hultajek melduje się z powiadomieniem! – wyskandował bażant.

– Dalej... – zalecił podoficer.

– Melduję, że zachowałem się nieregularnie!

– Dobrze, starczy, obywatelu. Niech teraz podchorąży poczeka, a ty, Muca, do mnie, kurwa! – Śmiechocki zakończył wypowiedź swym ulubionym zwrotem.

– Tak jest! – przytaknął wezwany.

Co każdy żołnierz wiedzieć powinien

Po placu musztry dreptali trzej żołnierze: Wścieklica i dwaj dyżurni, którym polecono sprowadzić go z izby chorych do pododdziału. Nieśpiesznie zbliżali się do budynku SPR Artylerii.

– A wy to którą?! – podoficer dyżurny, starszy kaprał Kozioł, otworzył okno na półpiętrze. – Wracać mi w try miga na izbę chorych i wrócić tutaj normalną drogą! Biegiem! Ruchy, ruchy!

– Obywatelu kaprała...

– Zero dyskusji! Nie usprawiedliwiać się głupio! Na własne oczy widziałem! Nie chodzi się przez środek placu, ale chodnikiem, dookoła, jak przystoi szeregowcom. Wykonać! Biegusiem!

Podchorążowie nie protestowali. Zawrócili, ale nie uszli daleko.

– Co to za szweje szwendają się po placu?! – zadudniło nagle nad ich głowami. – Natychmiast do mnie, kurwa mać!

Przystanęli. Rozejrzeli się bezradnie, usiłując zlokalizować autora polecenia.

– Tutaj, do oficera dyżurnego! – dobiegło z zawieszonych na lampach głośników.

Niewiele to pomogło dyżurnemu Borówce i jego towarzyszom.

– No tutaj, do kurwa nędzy! – Z okienka dyżurki wychyliła się głowa oficera. – Ruchy, ruchy!

Trzy figurki podążyły w nakazanym kierunku.

– Aaa.. to wy... – zdziwił się porucznik Śmiechocki, widząc białoczerwone makarony na pagonach. – Nie wiecie, że po placu chodzić nie wolno? I czemu nie oglądacie teraz Dziennika? To wasz psi obowiązek!

Bratek nie spieszył się z odpowiedzią, Wścieklica z zainteresowaniem obserwował czubki swych butów.

– Obywatelu poruczniku... – Borówka z kolei nie wiedział, na które pytanie winien odpowiedzieć najpierw.

– Zero dyskusji! Ja mówię, kurwa – skarcił go oficer. – Dlaczego wólczyście się po koszarach w porze Dziennika Telewizyjnego, i to jeszcze po placu? Powie podchorąży!

– Obywatelu poruczniku – Bratek, do którego wyraźnie adresowane było pytanie, tym razem nie mógł milczeć. – Stało się tak dlatego, że, *primo*...

– *Primo, secundo*, i może jeszcze *tertio*, kurwa? – oficer inteligentnie dał do zrozumienia, że łacina również nie jest mu obca.

– No mówcie, mówcie...

– ... Na placu byliśmy dlatego, że eskortowaliśmy kolegę, który właśnie wyszedł z izby chorych.

– A, kurwa, to ten, co zemdłał?

– Tak.

– No i jak się teraz czujecie, podchorąży?

– Już lepiej – odpowiedział Wścieklica.

– Mam nadzieję, że to się nie powtórzy, kurwa.

– To pierwszy raz od dwóch lat. Zdenerwował mnie ten podporucznik...

– A, nim się nie przejmujcie – poradził Śmiechocki. – On już ma takie odzywki. A wiecie, że to były bażant?

– Co? – Wścieklica nie mógł uwierzyć. – Jak to?

– Dobra, dobra, nie na pogawędki was tu wezwałem – zmienił temat porucznik. – Kontynuujcie, podchorąży.

– Tak więc odebraliśmy go z izby chorych...

– Czemu akurat wy, kurwa mać?

– Jesteśmy dyżurnymi.

– To czemu opasek nie macie?

– Opasek?

– Opasek służby, kurwa, dyżurnej, na ramieniu.

– Ale przecież tu nikt nie ma żadnych opasek...

– Bo my jesteśmy w mundurach wyjściowych, kurwa – ignorancja podchorążych zaczynała irytować oficera. – Jeszcze tego nie wiecie, ale jak się pełni służbę w wyjściówce, a z reguły tak jest, to znakiem służby jest opuszczony pod brodę pasek od czapki. Zobaczcie u mnie – założył czapkę – zobaczcie u podoficera dyżurnego. A wy służycie teraz w moro, to i nie macie paska przy czapce, no i musicie nosić białoczerwoną opaskę na lewym ramieniu.

– Jak partyzanci? – upewnił się Borówka.

– Tak, kurwa, jak partyzanci – roześmiał się Śmiechocki. – I mówicie, że nikt wam nie dał tych opasek?

– Obywatelu poruczniku – Borówka skorzystał z okazji, by zaślusnąć znajomością zasad prawidłowego zwracania się do przełożonych i starszych stopniem – melduję, że nie.

– A wy to pewnie nazywacie się Jagódka? – zapytał oficer.

– Obywatelu poruczniku, melduję posłusznie, że...

– Co wy mi tu, w Szwejka się bawicie? Jakie *posłusznie*, do kurwy nędzy?!

– Obywatelu poruczniku, melduję, że Borówka.

– Tak, kurwa, pomyliłem się, przepraszam – oficer uśmiechnął się pod bujnym wąsem. – Więc mówicie, podchorąży, że nie dali wam opasek?

– Tak – wtrącił się podchorąży Bratek.

– Służbę zdał Muca, a obejmował Kozioł pewnie?

– Nie znamy jeszcze nazwisk – wyjaśnił Bratek.

– Dyżurnymi jesteście u tego z trzema belkami, kurwa? – upewnił się porucznik. Uważał widać, że podchorążowie nie znają jeszcze stopni wojskowych.

– Tak.

– To Kozioł... Ja mu dam popalić! – sięgnął po słuchawkę. Na moment zapadła cisza. – Co tak długo mam czekać, kurwa, aż się łaskawie zgłosisz?!

– ...

– Aaa... dyżurnych, kurwa, nie masz? Bo oni siedzą u mnie, do chuja pana!

– ...

– A wiesz czemu?! Bo raz, że nie mają opasek, a dwa, że łązą w te i nazad po placu, jak te chuje gołe! Roboty im znaleźć nie potrafisz?! Na dostługę chcesz zarobić?!

– ...

– Czym innym byliście zajęci? Chuja mnie to obchodzi! Zajmować się trzeba tym, co potrzeba, a nie o pizdach myśleć, aż chuj stanie!

– ...

– Że ich nauczysz, kurwa mać? Ja ich już nauczyłem! Nie oglądam się na was, tak jak wy na mnie!

– ...

– A co mi szanowny kapral powie o opaskach służby dyżurnej, co, kurwa, słucham?

– ...

– Aaa! Teraz to zatkało!

– ...

– No, no, nie zwalaj na Mucę. To w końcu twój, a nie jego dyżurni.

– ...

– Aaa... załatwisz opaski, no, ja myślę, że załatwisz. Ja tam jeszcze dziś do ciebie zajrzę za kontrolą i ogona ci, kurwa, natrę! – oficer rzucił słuchawkę na widełki. – A wy won!

– Obywatelu poruczniku proszę o pozwolenie... – Borówka raz jeszcze usiłował zaślusnąć swą wiedzą wojskową.

– Przecież powiedziałem już, spływajcie na SPR i idźcie regulaminowo. Odbój!

Porucznik odetchnął głęboko, udzielony Kozłowi *opeer* przyniósł niejaką ulgę jego starganym nerwom. Winę za ich zły stan ponosił porucznik Węglowski, który nie chciał przejąć służby oficera dyżurnego, stwierdził bowiem, że w podręcznej biblioteczce brakuje broszurki pod tytułem: *Poradnik dla prowadzących rozmowy indywidualne*. Śmiechocki dałby sobie głowę uciąć, że albo jej w dyżurce oficcerskiej nigdy nie było, albo przepadła przed laty. Zresztą odkąd pamiętał, przekazywali sobie służbę, nie przejmując się podobnymi błahostkami. Owszem, zdarzało się liczyć magazynki czy pistolety w kasie pancерnej, ale żeby robić problemy z nikomu niepotrzebnej książeczki?

Węglowski, który miał właśnie objąć pierwszy dyżur w Szczupakowie (przeniesiono go tu niedawno), okazał się jednak odporny na wszelkie argumenty. Mimo że po stronie Śmiechockiego opowiedzieli się dwaj pomocnicy oficera dyżurnego, zarówno zdający służbę chorąży Zatopek, jak i obejmujący ją chorąży sztabowy Nowak, nie wpłynęło to na jego decyzję. Stanowczo odmówił wpisania do Książki Meldunków sakramentalnej formuły: *Braków nie stwierdziłem*.

Możliwości odnotowania faktu zaginięcia broszury nie brano oczywiście pod uwagę – w tej kwestii obie strony były zgodne. Węglowski nie zamierzał przecież, jak ostatnia świnia, ściągać Śmiechockiemu na kark iluś tam kontroli wszelkich stopni. Wiedział dobrze, że w wojsku nie ma tragedii, jeśli czegoś brakuje, ale brakować musi w taki sposób, żeby dowództwo też mogło udawać, iż nic o tym nie wie.

Stary wyga Nowak zaproponował rozwiązanie kompromisowe. Węglowski przejmie służbę, a Śmiechocki dostarczy rankiem *Poradnik*, który do tej pory jakoś zdobędzie. Lecz Węglowski nie zaakceptował takich warunków. Zgodził się natomiast, by broszura, którą mu dostarczą, miała inny numer ewidencyjny – należałoby wtedy dokładnie go zamazać, a wpisać właściwy – ale koniecznie chciał ją mieć, zanim przejmie służbę.

Węglowski poszedł na kolację, obydwaj chorążowie udali się na poszukiwanie nieszczęsnej książeczki. W dyżurce pozostał tylko kipiący wściekłością Śmiechocki. I czekał, czekał, czekał... A w domu czekała na niego żona, z którą po śmierci dziecka nie układało się najlepiej. I znowu będzie awantura o zbyt późny powrót!

– Odkąd to nie oddaje się honorów starszym stopniem?! – los najwyraźniej uwziął się tego wieczoru na trójkę bażantów. – No odkąd, kurwa, zapytuję?

– My, my... – począł wyjaśniać Borówka. – My nie szliśmy przecież przez plac...

– Co wy mi tu pierdolicie?! – huknął sierżant Ryłko. – Jaki plac?!

– No bo... – tłumaczył Borówka – chodziło o to, że byliśmy u oficera dyżurnego, bo szliśmy przez plac i nie oglądaliśmy telewizora...

– Zero dyskusji!!! – nieszczęsny podchorąży nie wiedział, że trafił w czuły punkt sierżanta-szefa raketówki, z racji specyficznej budowy ciała przezywanego przez żołnierzy Telewizorem lub Pal-Secamem. – Jeszcze mnie tu obrażają! Ja was nauczę grzeczności, kurwa wasza mać, smarkacze jedne, wydaje im się, że jak szkoły pokończyli, to mądrzejszych uczyć będą!

Borówka zupełnie nie wiedział, co odpowiedzieć. Bratek w ogóle nie zamierzał reagować, a Wścieklica uparcie i z rosnącym zaciekawieniem lustrował czubki butów.

– Baczność! I patrzeć mi w oczy! – zażądał sierżant. – Wykonać!

Ze spełnieniem życzenia najmniejsze problemy miał Bratek. Jednak mimo swych ledwo stu sześćdziesięciu centymetrów wzrostu i tak był o pół głowy wyższy od groźnego podoficera.

– Ja wam jeszcze pokażę, szczeniaki, kurwa! – przebiegał w miejscu drobnymi nóżkami wściekły sierściuch Ryłko. – A na początek zameldować mi się tu prawidłowo! Przynajmniej

„– Od tego, by zdecydować, kto zemdlał i czy trzeba mu pomóc, to jestem ja – wyjaśnił lekarz. – Dajcie mi spokój.
– Ale... – nalegał kapral.
– Ale z nim jest chyba źle... Niech zdycha, symulant jeden – rzekł lekarz.
– Pierwsze dni w wojsku i już mu się chorować zachciało!”

tego mogli was na tych waszych pierdolonych studiach nauczyć!
No, meldować się, kurwa! Kultury się naucza!

– Obywatelu sierżancie...

– Głośniej!

– Obywatelu...

– Nie słyszę!

– O-lu ancie! Podcho... kano-er pod-ży Bo... Bo-ówka plus... plus dwóch w czasie... w trakcie... przeprowadzania kolegi z... z... z izby chorych do SPR-u!

– A co mu, kurwa, było? – zainteresował się sierżant.

– Zemdlał – wyjaśnił Bratek. – Dostał teraz środki uspokajające i dlatego taki senny się zrobił.

– A, czyli ten – domyślił się podoficer – znaczy się tego, wariat?

Żaden z bażantów tej diagnozy nie potwierdził, ale też żaden jej nie zaprzeczył.

– To idźcie już, kurwa – pożegnał ich Ryłko. – Ale ja was sobie zapamiętam!

– Obywatelu sierżancie – wydeklamował uczeń kaprała Mucy – proszę o pozwolenie odejścia plus dwóch.

– Idźcie, idźcie, ale ja was sobie zapamiętam... Ruchy, ruchy!

Nie udało im się jednak zejść daleko.

– Wróć! – Ryłko przypomniał sobie, że ciągle nie osiągnął zamierzonych celów dydaktycznych. – Jeden na czoło, kurwa, dwóch z tyłu i oddać mi honory!

Bratek wypchnął Borówkę przed siebie, sam zajął miejsce obok półprzytomnego Wścieklicy.

– Stój! – komenderował sierżant. – Naprzód marsz! Ruchy, ruchy!

Borówka przycisnął palce do daszka czapki, podobnie uczynił Bratek. Wścieklica nie zamierzał się zniżać do tego rodzaju gestów.

– Wróć! Jak idziecie w takim, kurwa, szyku, to tylko pierwszy oddaje honory!

Kolejny przemarsz zadowolił wreszcie Ryłkę.

– No, to możecie odmaszerować! – rzucił za odchodzącymi. – Ale ja was sobie zapamiętam!

Podchorążych od budynku SPR dzieliło już tylko kilka kroków. Na czele oddziału dzielnie wymachiwał rękami Borówka. Dla niego plus dwóch skończyła się droga przez mękę.

A przynajmniej jeden z jej etapów.

– Ryłko, do mnie, kurwa! – przy bramie zatrzymał Pal-Secama Śmiechocki.

– Melduję się, obywatelu poruczniku! – tęgi i niski sierżant wyprężył się na baczność.

– To bardzo ładnie z waszej, kurwa, strony, że zajmujecie się szkoleniem podchorążych...

– Ku chwale ojczyzny, telu poruczniku! – sierżant regulaminowo podziękował za pochwałę.

– ...Więc mówię, że to bardzo ładnie, że zajmujecie się szkoleniem podchorążych, ale na przyszłość zostawcie to mnie i kadrze pracującej na SPR-ze!

– Ja...

– Zero dyskusji! O nic cię nie pytałem, kurwa!

Zaraz po wyjściu Wścieklicy i jego eskorty porucznik zadzwonił do domu; chciał uprzedzić żonę, że wróci później. Niestety, nikt nie podnosił słuchawki. Zdenerwowany, wyszedł, by odnaleźć Węglowskiego, który przepadł gdzieś na amen – i przy okazji był świadkiem spotkania tęgiego sierżanta z trójką podchorążych.

– To ja, kurwa, ja i moi koledzy, jesteśmy od tego, żeby bażantów szkolić! Pomijając już to, że ty szkolisz ich nieprawidłowo, obywatelu, kurwa!

– Jak to... – próbował protestować Ryłko, boleśnie ugodzony w zawodową dumę.

– Zero dyskusji! Honorów to ich uczysz oddawać, ale o tym, że na honor odpowiada się honorem, to zapominasz!

Był to zarzut nie do odparcia. Podoficer zwiesił nisko głowę.

– Teraz wrócić i pokazać mi, jak to ma wyglądać! – polecił oficer. – Ja ci też pokażę! Ruchy, ruchy!

Sierżant posłusznie wykonał w tył zwrot, przeszedł kilka metrów, stanął, następnie odwrócił się w stronę porucznika i ruszył naprzód.

– Wróć! Odkąd to, kurwa, zaczynamy marsz z prawej nogi?! – oburzył się Śmiechocki. – Toż ty nawet właściwych przyzwyczajęń nie masz! I to w takiej podstawowej sprawie! Wszystko w tym temacie!

Tym razem sierżant wystartował nogą lewą. Kilka kroków przed porucznikiem uniósł wyżej krótkie kończyny i sprężyście krocząc, zasalutował.

– No, teraz może być – odsalutował oficer. – Spierdalajcie do domu. Ruchy, ruchy!

Sobotni wieczór

– No, jesteście wreszcie – powitał swych dyżurnych pomagierów Kozioł. – I lepiej mi się nie tłumaczcie, tylko sprawdźcie, czy rejony dobrze trzepią.

Bratek i Borówka ruszyli penetrować teren.

– Poczekajcie no! A opasek założyć nie łaska? – podoficer cisnął na biurko dwie szaro-czerwone szmatki. – W nocy je upierzecie, żeby biel się ujawniła!

Po odprawieniu dyżurnych zajął się Wścieklicą.

– No i co podchorążemu było?

– Ja mam padaczkę i...

– Dobrze, pogadamy później – dzwoniący telefon zmusił Kozła do przerwania konwersacji.

– Podoficer dyżurny SPR Artylerii, starszy kapral Kozioł... Melduję się, obywatelu kapitanie...

– ...

– Przed chwilą wrócił. Już go daję. Odmeldowuję się, obywatelu kapitanie – starszy kapral przekazał słuchawkę Wścieklicy.

Tym razem kapitan Piontek powiedział więcej niż kilka słów. Znacznie więcej.

– Ja mam padaczkę. Naprawdę nie udawałem... – Wścieklica mówił spokojnie tylko dlatego, że ciągle znajdował się pod silnym działaniem lekarstwa. – Lekarz dał pielęgniarzom relanium dla mnie i więcej się nie pokazał.

– ...

– Niemożliwe, ja wcale z nim nie rozmawiałem. Jak pan wie lepiej, to po co rozmawiamy?

– ...

– Nie widzę sensu dalszej rozmowy ani w języku wojskowym, ani cywilnym. Przyjedzie mój kumpel, to pana i was wszystkich ustawi!

– ...

– Co, mam dać kaprala? Ależ proszę bardzo... – wręczył słuchawkę Kozłowi.

– Melduję się, obywatelu kapitanie...

– ...

– Oczywiście, obywatelu kapitanie... Odmeldowuję się, obywatelu kapitanie. – Po odłożeniu słuchawki Kozioł zwrócił się do Wścieklicy: – Co podchorąży sobie wyobraża?! Symuluje, a potem obraża oficerów! W poniedziałek pewnie stanie podchorąży do raportu!

– Ja się naprawdę źle czuję – Wścieklica otarł pot z czoła. – Muszę się położyć.

– Dobra, wyjątkowo – podkreślił kapral – udzielam zgody. Ja się z podchorążym szarpać nie będę... Wyjątkowo!

Wścieklica leniwie powłókł się do izby 103. Marynarkę wyjściówki umieścił na wieszaku, przykrywając nią moro. Czapkę rzucił na taboret. Leżąc już, zsunął lewy but prawym.

– No i jak było? – Ogórko przerwał szorowanie korytarza, by odwiedzić chorego.

– Lekarz nawet na mnie nie spojrział – ziewnął Wścieklica. – Za to pielęgniarz nafaszerował mnie relanium. Daj mi lepiej spać...

– Capstrzyk! Capstrzyk! – zabrzmiał sygnał, który każdego wieczora punktualnie o dwudziestej pierwszej trzydzięci mieli słyszeć jeszcze przez wiele tygodni.

– Co, nie słyszycie, że capstrzyk? – upomniał Koziół grupę podchorążych zajętych szorowaniem korytarza.

Oni już kilkakrotnie usiłowali zdać mu swój rejon, uważając, iż rzetelnie wykonali zadanie, ale podoficer za każdym razem umiał znaleźć jakiś mankament.

– Obywatelu kapralu... – próbował zameldować o wykonaniu zadania Król.

– Do wozów teraz! – wrzasnął Koziół. – Kwadrans po capstrzyku widzę was tu z powrotem. W p i d ż a m k a c h! Biegusiem!

Regulamin nakazywał, aby żołnierz Niepełniący służby był w łóżku co najmniej piętnaście minut po capstrzyku i co najmniej piętnaście minut przed pobudką. I skrupulatnie tego przestrzegano. Za to Regulamin nic nie mówił na temat tego, czy żołnierz musi leżeć w łóżku o północy albo o trzeciej nad ranem...

Zagoniwszy element zbędny do sal, Koziół mógł wreszcie zająć się edukacją swych pomagierów.

– No, powiedzcie mi, jakie macie obowiązki na noc! – zwrócił się do dyżurnych. – I kto wam powiedział: *spocznij!*?! Bacność!

– Obywatelu kapralu – ciężar dyskusji wziął na siebie Borówka – mamy się uczyć Regulaminu.

– No tak, ale co jeszcze?

– Hmm... Czuwać!

– Eee, widzę, że niewiele zajarzyliście – skrzywił się podoficer. – Po kolei to wszystko wygląda tak: zaraz ich wyciągniemy do poprawiania rejonów. O dwudziestej drugiej muszę iść zapodać mel-dunek oficerowi dyżurnemu. Macie na mnie czekać, obydwaj!

– To kiedy pójdziemy spać?

– Pierwszy zaraz po mnie, parę minut po jedenastej może już zalegać na wozie. Jutro niedziela, pobudka dla wszystkich dopiero o siódmej, ale wy musicie być czujni o szóstej. Więc zmieniacie się około wpół do trzeciej. I stójcież, jak kazałem... bacność!

– O wpół do trzeciej? – stęknął wyprężony Borówka.

– I tak będziecie spać ponad trzy godziny, a w dzień powszedni ledwo po dwie i pół na łeb by wypadło – uśmiechnął się doświadczony żołnierz. – Myślicie może, że ja się wysypiam? Cały czas lecę z Mucą w ping-ponga... dwadzieścia cztery na dwadzieścia cztery. Jeden służbę zdaje, drugi obejmuje, i apiat od nowa. Wy macie lepiej...

– I tak cały rok? – współczująco zapytał Borówka.

– E, nie! – zachnął się Koziół. – Jakby cały rok w ten sposób, to by chuj człowieka strzelił. Ale do rzeczy: budzicie mnie piętnaście po szóstej. A wy w nocy to tańczycie z WSW!

Podchorążowie wpatrywali się w samozwańczego wykładowcę przedmiotu o nazwie szyfry i kody jak wół na malowane wrota.

– Nasza WSW to nie Wojskowa Służba Wewnętrzna, czyli żandarmeria – wyjaśnił pobłaźliwie starszy kapral – ale służba wiadro-szczota-woda... W ciągu nocy macie tak często przecierać korytarz, żeby cały czas lśnił się od wody.

– Przecież tym łatwiej będzie go ciągle brudzić! – zaprotestował Bratek.

– Tym lepiej, bo nie będziecie się nudzić! – Kozioł uśmiechnął się szeroko. – I cieszcie się, że nie ma tu kaprała Mizia, i wy lusterek nie macie!

Kapral Mizio od roku już był cywilem, ale Kozioł wciąż znakomicie pamiętał swego dowódcę drużyny ze Szkolnej Baterii Dowodzenia, pod którego okiem stawiał pierwsze kroki w wojsku. Wtedy uznawał Mizia za tępego sadystę, ale dziś przyznawał, że niektóre jegometody wychowawcze nie były pozbawione swoistego dowcipu: na przykład szorowanie lusterka. Lustreczko malutkie, ot, zwykłe żołnierskie, ledwo pięć na dziesięć centymetrów, ale Mizio potrafił tak zorganizować swoim elewom jego czyszczenie, że zajmowało całą noc... Dowódcom to nie przeszkadzało, bo przecie wiadomo: niewyspany żołnierz to posłuszny żołnierz.

Minęła już pora capstrzyku, czyli ładowania wozów. Korytarzowcy wrócili do pracy.

– Obywatelu kapralu – kolejnym brygadzystą okazał się Olaszewski – melduję zakończenie rejonu-korytarz.

– Jakie zakończenie? – Kozioł przeciągnął dłonią po wieńczącej boazerii listwie. – A ten kurz to kto wyczyści?

– Przecież tu nie ma kurzu. To już było czyszczone...

– Ale ja kurz widzę. Ma się błyszczyć jak psu jaja! Odmaszerować! – podoficer sięgnął po Książki Meldunków, by dokonać w niej, przed wizytą u oficera dyżurnego, odpowiednich wpisów.

– Obywatelu kapralu, kanonier podchorąży Maroń melduje się z zapytaniem!

– Słucham – przełożony nie uniósł nawet głowy, pracowicie przepisując treść meldunku z poprzedniej strony.

– Obywatelu kapralu, a skąd wziąć szczotkę do czyszczenia listewki?

– Nie zadawajcie głupich pytań! Dopytajcie któregoś z dyżurnych, to dadzą.

Kozioł wyszedł złożyć służbową wizytę oficerowi dyżurnemu.

Oczywiście dyżurni, podobnie jak reszta podchorążych, nie mieli pojęcia, gdzie starszy szeregowy Marmucha ukrywa czyste szmaty i porządne szczotki, niezbędne w wypadkach nagłych inspekcji wojskowego bhp.

Sytuacja zdawała się beznadziejna, ale rozwiązanie znalazł Tarkowski.

– Mam! – rzekł triumfalnie, dzierżąc w ręku kawałek lekko przybrudzonej szmatki.

– Skąd wziąłeś? – zapytał Maroń.

Tarkowski wskazał rząd ustawionych wzdłuż ścian żołnierskich butów, na których spoczywały ułożone w kostkę onuce.

– Podjebałeś? – domyślił się Maroń.

– Rano ktoś się obudzi i nie znajdzie onucy – odezwał się Ogórko. – A potem jeszcze go opieprzą, że pewnie sam zgubił.

– A czy to twoja? – zdziwił się obiekcjami kolegi Maroń.

– Chodzi o zasadę.

– W wojsku każdy kradnie, co mu w rękę wpadnie – popisał się sztuką rymu Król. Aforyzm ów usłyszał od młodszego brata, który zaliczył już zasadniczą służbę wojskową.

– Ale to szweje, a my jesteśmy bażantami, ludźmi po studiach – upierał się Ogórko. – I powinniśmy móc odłożyć na noc choćby długopis, bez obawy, że nie znajdziemy go rano.

– Jak mój braciak był w wojsku – Hultajek walczył z namiętym ziewaniem – to wszystko nosił po kieszeniach, bo nigdy nie było wiadomo, czego rano nie będzie.

– Mam nadzieję, że u n a s – zaakcentował Ogórko – nie będzie to tak wyglądać...

– Na SPR-ach nie jest najgorzej – pocieszał Tarkowski. – Ja dzisiaj to zupełnie wyjątkowo, bo nie było wyjścia... A zresztą to tylko onuca, nie buty!

– Dobra, panowie, bierzmy się lepiej do roboty – ponaglił Olaszewski. – Pogadacie sobie później. Mnie interesuje przede wszystkim to, żeby jak najszybciej iść spać.

Drrryń, drrryń! – naraz rozległ się dźwięk telefonu.

– Który to dzwoni?! Biały czy czarny? – Borówka rozpaczliwie spojrział na drugiego dyżurnego. Korytarzowcy nawet nie unieśli głów, całkowicie pochłonięci doprowadzaniem do stanu idealnej czystości sterylnych płytek podłogi i boazerii.

– Co cię to obchodzi? Kapral nic nam nie mówił o telefonach.

– Skoro on te telefony odbierał – popisał się sztuką dedukcji Borówka – a w Regulaminie pisze, że w przypadku nieobecności podoficera dyżurnego zastępuje go dyżurny, to...

– Nad czym tak rozmyślasz?! – zirytował się Bratek. – Jak chcesz, to odbieraj, ten czarny.

– Dyżurny SPR, podchorąży Borówka – przedstawił się, wzorując się na kapralu. Nie była to jednak, jak się okazało, prawidłowa formuła. – Ja... ja... nie wiedziałem...

– ...!

– Tak, tak, już powtarzam. Melduje się dyżurny SPR Artylerii, kanonier podchorąży Borówka... Rozkaz! Ale gdzie jest dyżurka oficera dyżurnego?... Tak, tak, byłem. Przepraszam. Już idę... Odmeldowuję się, obywatelu poruczniku.

Bazant odłożył słuchawkę, otarł pot w czoła i przysiadł na grzybie.

– Widzę – odezwał się Bratek – że cię niezłe opieprzył. A o co mu chodziło?

– Że za długo telefonu nie odbierałem, że źle się zameldowałem... – wyliczał Borówka. – To znaczy, że się od razu nie zameldowałem, że nie wiem, gdzie jest dyżurka oficera, choć już tam dziś byłem... a potem to mi kazał przyjść do siebie.

– Co, chce ci jeszcze dołożyć?

– Nie, mam iść do niego, a potem do tego naszego sierżanta, jak on tam się nazywa... i to zaraz, bo mięso może się popsuć.

– Jakie mięso? – Bratek myślał, że się przesłyszał.

– Dla sierżanta.

– Dobra, to zasuway. Tylko poczekaj chwilę, to przyniosę sobie coś do czytania.

– Ale tu przecież nie wolno mieć własnych książek! – przeraził się Borówka.

– Ja przemyciłem kilka. Kryminałów, co prawda, bo słyszałem, że tu niewiele da się czytać...

Przed budynkiem SPR Borówka omal nie zderzył się z Kozłem.

– Stójcie, podchorąży – przyhamował go podoficer – bo sobie nogi połamiecie. Do oficera biegniecie, no nie?

– Tak jest, obywatelu kapralu!

– U oficera ładnie się zameldujecie, żeby mi wstydu nie przynieść, zabierzecie mięcho i pójdziecie do sierżanta Maskiego. Na dyżurce wam wytłumaczą, gdzie to jest.

– Obywatelu kapralu, czemu on sam tego mięsa nie zabrał?

– Oj, podchorąży, podchorąży... – Kozioł nie zamierzał wtajemniczać podwładnego w powiązania między stołówką żołnierską a aprowizacją wielu rodzin żołnierzy zawodowych, była to bowiem sprawa z gatunku tych, którymi ktoś dbający o własną skórę interesować się nie powinien. – Nie zawracajcie mi głowy, tylko wykonujcie zlecone zadanie. Odmaszerować! Biegiem! Ruchy, ruchy!

Misja podchorążego Borówki

Kozioł, powróciwszy z SBD, gdzie gościł u znajomego kaprała, natychmiast udzielił reprymendy Bratkowi:

– Co wy sobie wyobrażacie, kurwa?! – cisnął *Sokołem maltańskim* o posadzkę. – Co to za jaja?

– Nie wiedziałem – bronił się Bratek – że tu nie wolno czytać...

– Czytać to wolno, jak sobie znajdziecie na to czas! Ale na służbie to macie s ł u ż y ć! Zrozumiano?! Służyć, a nie książki sobie podczytywać!

– Przecież była mowa, że mamy się uczyć Regulaminu.

– Bo to co innego. Regulaminy to macie na stanie i mają w szufladzie leżeć. Jakby weszedł ktoś za inspekcją, to możecie udawać, że niczego nie czytacie, tylko sprawdzacie, czy nie trzeba podkleić jakiejś kartki. Regulamin można łamać tylko wtedy, gdy się go przestrzega. Zrozumiano?

– Tak jest...

– Obywatelu kaprału – recytował wyprężony jak struna żołnierz – kanonier podchorąży Tarkowski melduje wykonanie rejonu-korytarz.

– A gdzie reszta?

– Jaka reszta?

– We trzech ten korytarz robiliście?

– Obywatelu kaprału, po skończeniu roboty uznaliśmy, że kto chce, to może położyć się spać, a palący sobie zakurzą, bo przecież w ciągu dnia nie mieliśmy na to czasu – przy okazji poskarżył się Nodryś. – Jak zapalimy, to spokojnie możemy poczekać...

– Ściągnijcie mi z wozów resztę! – rozkazał Kozioł. – Rejon może być przyjęty tylko w obecności wszystkich go realizujących.

– Tak jest! – zabrzmiała odpowiedź. Już po dwóch dniach większość podchorążych doszła do przekonania, że w wojsku lepiej nie występować w cudzej obronie.

Po pewnych perypetiach, związanych z zameldowaniem i odmeldowaniem się oficerowi dyżurnemu JW 1281, Borówka opuścił koszary, by wykonać pierwsze w swojej żołnierskiej karierze poważne zadanie. W ręku dzierżył foliową torbę, opatrzoną emblematem *Jagiellonia University*, która tajemnym sposobem stała się własnością kadry zawodowej, pełniącej zaszczytną służbę w pięknym mazurskim zakątku ludowej ojczyzny.

Jednak dzielny żołnierz, rażno kroczący uliczkami Szczupakowa, nie zaprzętał sobie głowy problemem dywersji ideologicznej. Usiłował natomiast przypomnieć sobie kolejność uliczek, jakie powinny leżeć na jego szlaku bojowym. Zapamiętał, że po wyjściu z koszar powinien skręcić w Aleję 1 Maja, a następnie w ulicę Malenkowa. Tego był pewien i tak też zrobił. Ale co dalej? No właśnie... Ulica na pewno nosiła imię jednego z praojców Rewolucji – to Borówka pamiętał – Marksa albo Engelsa. Ale o którego z nich chodziło, tego już, zmęczony trudami dnia, nie mógł sobie przypomnieć.

Stąpając ostrożnie po kocich łbach ulicy Czapajewa, z wdzięcznością pomyślał o chorążym Nowaku, który po udzieleniu instruktażu odnośnie trasy i adresu wręczył mu oprócz torby masywną lartarkę, ostrzegając zarazem przed ciemnościami, sprawującymi nocą rządy nad zaułkami miasteczka.

– Co, do cholery?! – protestował Hultajek. – Zostaw mnie, ojciec!

– Wstawaj – roześmiał się Bratek. – Ja nie do krów cię budzę, ale do kaprała.

– Chorrendrrrum – w czasie operacji przecierania oczu dotarła do Hultajka myśl, że niestety nie znajduje się w rodzinnej Wólce Dolnej. – Wstaję przecie, wstaję...

Wreszcie dobił jako ostatni do brygady, która – wzorowo ustawiona – ustami Olszewskiego zameldowała Kozłowi o wykonaniu pracy.

– Dobrze, rejon przyjęty – powiedział kapral. – Możecie wracać do wozów.

Wrócili zatem, a raczej z półotwartymi oczyma jakoś trafili do łóżek, wściekli na wojskowy styl życia, a na Kozła w szczególności.

– Co się tak rozbijasz? – warknął wyrwany ze słodkiego chrapania Kogutowski.

– Przepraszam, ale cholernie uderzyłem się w kolano – zasyczał z bólu Hultajek.

– Ciiichooo... – z przeciwnego końca sali dobiegł jęk.

– Dobranoc – szepnął Olszewski.

Nikt nie odpowiedział.

W wojsku niewielu ludzi cierpi na bezsenność. Za to wielu doskwierają nocne poligony, ćwiczenia, operacje bojowe oraz inne – równie ważkie – zadania. Czasem są to zadania bardzo trudne.

Borówka z samozaparciem dreptał ulicami Engelsa i Marksa. Były na szczęście krótkie i przechodziły jedna w drugą. W nielicznych oknach paliło się światło. Żołnierz postanowił sprawdzić numer 16 przy obu ulicach. Pomocnik oficera dyżurnego mówił, że u sierżanta oczekują dostawy i na pewno jeszcze nie śpią.

Najpierw ulica Marksa. Tutaj jedynym lokatorem posesji numer 16, jaki dawał znaki życia, był wielki wilczur. Pies całym ciałem rzucił się na solidną – na szczęście – bramę, dzielącą go od chodnika i Borówki. Poślaniec oddalił się pospiesznie, licząc, iż zakończy misję na ulicy Engelsa. I nadzieja nie okazała się płonną. Tym razem numer 16 przywitał go jasno oświetlonymi oknami i dźwiękami skocznej melodii, płynącej z radia lub magnetofonu.

Kurier nacisnął dzwonek. Zamiast szczekania psa, usłyszał:

– Już idę!

W drzwiach domu ukazała się młoda kobieta. Szybko zbiegła po schodach.

– Dobry wieczór – powiedział Borówka. – Przyniosłem paczkę dla pani ojca.

– Och... pan podchorąży... A mój mąż – zaakcentowała – kiedy wróci?

– Ja nie wiem – speszony wojak wyciągnął przed siebie, niczym znak pokoju, reklamówkę. – Mnie tu z mięsem przysłali...

– Już otwieram, bardzo proszę – mówiła, mocując się z zamkiem furtki. – Bardzo proszę wejść.

– Nie mogę, muszę wracać do koszar – zakłopotany palniętą gafą Borówka marzył o rejteradzie.

Ale nie było to takie proste.

– Och, proszę się nie bać. Zatelefonujemy zaraz do oficera, że pana na chwilę zatrzymuję, na przykład do pomocy w naprawieniu zamka przy drzwiach – wpadła na pomysł pani Janina Maski. – Napije się pan herbatki?

– Nie wiem, czy mogę... – krygował się bażant.

– Och, zje pan coś przy okazji. Wiem, że wam, żołnierzom, zawsze mało, a ja przygotowałam mężowi dobrą kolację. On pewnie i tak już nie zdąży jej zjeść.

– Dziękuję bardzo – takiej propozycji Borówka nie mógł już się oprzeć.

Gospodyni powiodła go do pokoju, w którym honorowe miejsce zajmował ustawiony przy oknie ogromny stół. Naprzeciw znajdował się węglowy piec (wciąż przydatny podczas mroźnych szczupakowskich zim), obok przycupnęła jugosłowiańska kuchenka gazowa. Cały pomieszczenie opasywał rząd dużych drewnianych talerzy, do których przypięto wiązanki zasuszonych kwiatów. Podłogę pokrywał ciemny

parkiet. Całości dopełniał zwisający z sufitu wielki kryształowy żyrandol. Borówka nie był szczególnie wysoki, ale i tak zawadził o niego głową.

– Jak się panu podoba nasze mieszkanko? – zapytała gospodyni.

– Tak... bardzo, oczywiście bardzo – wyszeptał Janek Borówka. Peszyła go obecność tej młodej niewiasty. Spodziewał się, że żona sierzanta jest jakąś wiekową matroną, a tu... Zawsze bał się kobiet, więc i teraz starał się nie odrywać oczu od lamperii ozdobionej szlaczkiem wyobrażającym chyba ptaszki.

Artysta, który te skrzydlaki malował, z pewnością znajdował się pod silnym wpływem Picassa, Muncha, tudzież produktów rodzimego monopolu spirytusowego.

Było już po północy, gdy najedzony i zadowolony, a nawet – po mocnej kawie – mniej senny Borówka wrócił do SPR. Pozostałby zapewne dłużej w miłym domku przy ulicy Engelsa – pani Janinka zatrzymywała go bardzo gorąco – ale powrót sierzanta popsuł nastrój. Od chwili przybycia zwierzchnika bażant zaczął czuć się jeszcze mniej pewnie niż dotychczas i rychło opuścił gościnne progi.

Miał tu jeszcze niejeden raz wrócić.

Niedzielne porządki

Prowadzona przez podoficera dyżurnego kolumna SPR ruszyła na niedzielną kolację. W budynku pozostał jedynie umęczony Borówka. Ostatkiem sił zmuszał się do przestrzegania obowiązującego dyżurnych zakazu siadania na krzesła w ciągu dnia. Z utęsknieniem czekał na zmianę. Lecz nowi dyżurni mieli zacząć służbę dopiero po powrocie kolejnego podoficera dyżurnego z odprawy wart i spóźnionej kolacji. Trzeba było więc czekać – w najlepszym przypadku – jeszcze całe pół godziny. Potem pospieszna (ale za to bez

tłoku) toaleta i spać. Borówka wiedział już, iż zdającemu dyżur wolno zagrzebać się w wozie nawet przed capstrzykiem. A to dawało szansę na prawie dziewięciogodzinny sen.

Nieprzytomnym wzrokiem śledził wskazówki, które powoli przesuwwały się na tarczy zegara. Był głodny, na posiłek mógł pójść dopiero po powrocie drugiego dyżurnego.

Cóż to była za niedziela! Mordega! Borówka spał, jako drugi dyżurny, od wpół do czwartej do szóstej. Kładąc się, był tak zmęczony, że długo nie mógł zasnąć. A obudzony wczesnym rankiem, miał wrażenie, że nawet na chwilę nie zmrużył oka. Bolały go powieki, ręce, nogi, dudniło mu w uszach i łzałyły oczy, bolało całe ciało.

Tego dnia zrozumiał słuszość maksymy: *Marzeniem każdego kota – zdalnie sterowana szczota.*

Służba wiadro-szczota-woda trwała od rana do wieczora. Kozioł dbał, by dyżurni nie próżnowali. Zatrószczył się również, by i pozostali podchorążowie nie narzekali na niedzielną nudę.

– Kto zamierza pisać dziś listy? – zapytał po powrocie ze śniadania.

Uniosło się kilkanaście rąk.

– Najpierw każdy do swojego wozu! Sprawdźmy, jak posłane. Biegusiem!

Zaledwie kilka łóżek zadowolilo starszego kaprała. Pozostałe były zasłane nieprawidłowo, co zmusiło służbistego podoficera do zwalania z nich najpierw kocy i prześcieradeł, a w końcu i materacy.

– Doprowadzić lotniska do porządku! Bo jak nie, to następnym pilot zaraz przyleci! Ruchy, ruchy!

Dla Kozła również było to pracowite święto. Czas dzielił między dyżurnych, pozostałych SPR-owców oraz odbieranie licznych telefonów.

– Melduję się, obywatelu kapitanie...

– Pani Janino, sierżant Maski pilnie wyjechał na poligon...

– Cześć Muca! Jak tam, zdrowo popiliście? Co, Marmucha cały pokój zarzygał? He, he. Siebie samego też? Mundur suszy? Ha, ha! Żebyś tylko na dyżur wytrzeźwiał!

– Melduję, obywatelu poruczniku, że otrzymałem wiadomość...

Kozioł dwoił się i troił. Nie sposób zliczyć, ile razy tej niedzieli kapraleskie tornado przeleciało przez żołnierskie izby. Nie było godziny bez inspekcji. Pytanie, czy były kwadranse...

Nikt już teraz nie myślał o zabranianiu się za pisanie listów, sięgnięciu po książkę czy choćby zajrzeniu do świetlicy. Wystarczyło, że w czasie wizyty starszego kaprała jakiegoś żołnierza nie było w pokoju, a już pościel lądowała na parkiecie.

– Pilot się kłania! Wzzzz... bombardowanie! – śmiał się podoficer.

Wreszcie wszyscy wrócili z kolacji. Podchorążowie zabrali się za kolejne gruntowne – rozpoczęte na długo przed posiłkiem – porządkowanie rejonów. A Borówka powłókł się w wędrówkę za chlebem. Był tak wyczerpany, że nie zauważył idącego z naprzeciwka podporucznika Siwaka. Mogło to grozić poważnymi – a przynajmniej hałaśliwymi – konsekwencjami. Ale widząc tłustego upiora o twarzy wyglądającej tak, jak gdyby była umęczona piekielnym ogniem, oficer postanowił pozostawić go w spokoju, mimo że stwór posiadał biało-czerwone naszywki podchorążego SPR. Uznał, iż grubawy wampirek już wystarczająco dostał w kość i nie ma sensu ogłupiać go jeszcze bardziej. Skoro w ciągu zaledwie trzech dni pozwolił doprowadzić się do takiego stanu, można liczyć na to, że zostanie żołnierzem posłusznym i starannie wykonującym polecenia przełożonych.

Borówka przyszedł na kolację razem z ostatnimi podchorążymi SPR OC. Kucharz dostrzegł zmęczenie malujące się na śmiertelnie ponurym obliczu, tak odmiennym od roześmianych twarzy OCe-lotów, i litościwie zaserwował mu podwójną porcję. Parówki! Jedno z ulubionych dań Jasia Borówki! I musztardy tyle, ile dusza zapagnie! Do picia co prawda tylko podła kawa zbożowa, ale jeśli chce się pić tak bardzo, jak chciało się wzorowemu dyżurnemu... Cóż z tego! Był tak wyczerpany, że choć wychłęptał dwa półlitrowe kubki napoju, z trudem zjadł jedną parówkę. Drugiej nawet nie tknął. Żałował tak potwornego marnotrawstwa, lecz nie miał zupełnie sił na to, by ruszać szczękami. A przecież do kieszeni schować nie mógł... Z bólem serca i duszy, na chybotliwych nogach, wstał od stolika.

Wracając, rozważał sennie, czy warto się myć, czy – korzystając z przywileju dyżurnego – od razu powędrować do wciąż czystutkiej pościeli.

Mylił się jednak, sądząc, że jego niedzielna droga krzyżowa dobiegła końca. Życie w armii jest interesujące. Dla niektórych nawet tak bardzo, że decydują się poświęcić służbie całe lata, nie zważając na obraźliwe hasła w rodzaju:

*Lepiej zostać psem cyrkowym,
Niż żołnierzem zawodowym,*

ewentualnie:

*Wolę namiot na polanie,
Niż dwie gwiazdki i mieszkanie,*

czy tak malkontenckie, jak:

*Nie chcę gwiazdek ani belek
– chcę być wolny jak wróbelek,*

nie wspominając już o:

*Szykuj mamó mi ubranie
– syn na trepa nie zostanie!*

Spóźnialski

– No, dobrze, że podchorąży już jest, kurwa – podporucznik Siwak ani słowem nie wypomniął Borówce jego niestosownego zachowania przed kilkudziesięcioma minutami.

– Melduję się, obywatelu poruczniku – dyżurny ostatkiem sił wysupłał resztki służbistości.

– Skoczy podchorąży, kurwa, migiem na OC, tam czeka tera taki jeden, co się do nas spóźnił.

Oczy Borówki wyrażały nieme błaganie. Ale podporucznik nie patrzył na niego. Namiętnie obserwował kopulujące na blacie grzyba muchy.

– Obywatelu poruczniku, proszę o pozwolenie odejścia.

Pochłonięty obserwacją przyrody oficer przyzwalająco skinął głową.

Zdążając ku budynkowi, w którym kwaterowali OCeloci, Borówka skoncentrował całą uwagę na takim stawianiu stóp, by nogi niosły go prosto do przodu, a nie w rozmaite inne strony. Myślał tylko o jednym: żeby tego dnia nikt już mu nie przydzielił żadnych dodatkowych zadań, choćby były nie wiadomo jak ważne i zasadne.

Wreszcie dotarł do SPR OC.

– Obywatelu kapralu, melduje się dyżurny SPR Artylerii, kanonier...

– Dobra, dobra – przerwał OCelot. – Nie wygłupiaj się. Co chciałeś?

– Mam kogoś zabrać... – powiedział Borówka, zaskoczony sposobem, w jaki potraktował go obcy kapral.

– To ja – przybysz wychylił się zza podoficera. – Idziemy?

Wyszli z budynku. Był ciepły wrześnieowy wieczór. Słońce już zaszło, ale do zapadnięcia zmroku pozostało jeszcze sporo czasu.

– Nazywam się Marek Rej – przedstawił się nowy. – A ty?

– Melduje się kanonier podchorąży Borówka! – machinalnie wyrecytował zapytany.

– Co, już zaczęli was tresować? – Rej wziął odpowiedź Borówki za dobry dowcip. – A jak masz na imię?

– Janek. A ty?

– Marek – Rej z zaciekawieniem spojrział na pierwszego bażanta, jakiego poznał w SPR Artylerii. – Już zapomniałeś?

– Och, wybacz – Borówka otarł pot z czoła. – Jestem taki zmęczony...

– Jak ten tutejszy syf w ogóle wygląda?

– Tragicznie. Gonią i krzyczą, cały czas wynajdują robotę, rejonny na okrągło...

– A ilu nas jest?

– Około trzydziestu.

– Faktycznie niewielu. Ale tak łatwo się dajecie?

– Uważam, że jak wykonuje się to, co każą, to i tak lepiej, bo przynajmniej mają mniej pretensji – przedstawił swoje wojskowe credo kanonier podchorąży Borówka.

– Tak myślisz? Cóż, ja mam nieco inne zdanie o tej instytucji...

– Rej postanowił zmienić temat. – Jakie studia skończyłeś?

– Nauki polityczne w Białymstoku.

– O! Myślałem, że tu przeważnie ludzie po studiach technicznych.

– A ty masz techniczne?

– Nie.
– A co skończyłeś?
– Ja... – zawahał się Rej. – Prawo w Krakowie.
– Ja też kiedyś studiowałem prawo...
– Tak? Drugi kierunek?
– W stanie wojennym wyrzucili mnie za NZS – wyjaśnił Borówka. – Dopiero potem dostałem się na politologię.
– Na UJ takie numery nie były możliwe. U nas za politykę nikt nie wyleciał. Przykrą miałaś historię... Ale przy okazji zaliczyłeś sporo doświadczenia?
– Tak, zaliczyłem... – gorzko przytaknął przewodnik.
– Jacy tu w ogóle ludzie? Jakie roczniki? Jakie trepy? Jacy bantzanci-praktykanci? – wyrzucił z siebie serię pytań nowo przybyły.
Borówka usiłował odpowiadać, lecz koncentrował się przede wszystkim na żalach, na opisie nocy i dnia. Zauważył ze zdziwieniem, że na ciągle uśmiechniętym koledze jego słowa nie wywierają należytego wrażenia.
Minęli wartownika, wkroczyli na teren koszar.
– Co to za maskaron? – zapytał Rej.
– To patron naszej brygady, krwawy Feluś Dzierżyński.
– Dlaczego on nie ma głowy?
– Jak to nie ma głowy?
Plutonowy podchorąży Giżycki słusznie przewidywał, że zbudowany w ciągu dwóch dni monument nie przetrwa nawet tygodnia.
– Cóż... pewnie chciał pochylić czoła przed nami i mu nie wyszło...
– Co za bzdury opowiadasz! – oburzył się Borówka. – Jeszcze ktoś usłyszy i wsadzą nas do aresztu!
– Ktoś przecież i tam musi być... – spokojnie odparł Rej. – Więc czemu nie my?

Borówka najchętniej zatkałby sobie uszy, by nie słyszeć podobnych bluźnierstw. Gdyby dotarły do kogoś nieodpowiedniego, konsekwencje mogłyby być nieobliczalne!

– Ciekawe, jak będziesz się zachowywać, gdy wszyscy będą na ciebie krzyczeć i ganiać cię w koło!

– Jak to, jak? Normalnie – uśmiechnął się Rej.

– Niech no jeszcze podchorąży natnie papieru do ubikacji – powitał dyżurnego Kozioł. – Bez papieru nie przejmą od nas służby!

– A co ja mam robić? – zainteresował się Rej.

Poradzono mu, by na razie poszedł do świetlicy i obejrzał dobiegający już końca Dziennik Telewizyjny.

Borówka powłókł się w to samo miejsce. Szukał pism, które po pocięciu dałoby się wykorzystać jako papier miły nie tyle sercu, co zupełnie odmiennej części ciała. Najlepiej nadawały się do tego celu gazety drukowane na miękkim papierze: „Żołnierz Wolności” i tygodnik partyjnego betonu – „Rzeczywistość”; znacznie gorzej – sztywna „Trybuna Ludu”, a zupełnie nieprzydatny był kolorowy i wydawany na kredowym papierze „Kraj Rad”. Inne gazety nie dostępowały zaszczytu kontaktu z żołnierskimi – hmm... – sercami, nawet jeśli w nagłówkach pielęgnowały wers: *Proletariusze wszystkich krajów – łączcie się!*

„Wolności nie należy rozumieć w zgniłym sensie burżuazyjnym! Taka wolność to nie jest wolność. To bezhołowie, potrzebne tylko pozbawionym moralności milionerom! Co innego my, komuniści! My nie boimy się mówienia o naszym życiu źle, choć oczywiście mówić w tym temacie trzeba tylko konstruktywnie, z naszych pozycji ustrojowych!”

Zabrzmiał końcowy sygnał Dziennika. Podchorążowie wrócili do swych rejonów. Rej z uśmiechem obserwował kłębiące się zielone stwory. Uświadomił sobie naraz, że wkrótce będzie jednym z nich. Ta myśl go bawiła, ale jeszcze bardziej irytowała.

Nie miał poczucia wspólnoty. Nie dostrzegł żadnej znajomej twarzy. Nikt się do niego nie odezwał. Na razie zresztą nie słyszał tutaj żadnych rozmów.

Kilku żołnierzy pochyliło się nad podłogą. Rej wepchnął się między nich. Zainteresowało go, o czym mówią. Okazało się, że przedmiotem dyskusji jest jakaś niewidzialna dla niewtajemniczonych rysa, którą koniecznie trzeba zlikwidować.

– Ale tu przecież jest czysto... – próbował nawiązać kontakt z tymi, którzy przecież już wkrótce mieli stać się jego kolegami.

Spojrzeli na niego z niechęcią.

– Idź stąd, póki możesz – odezwał się któryś z zielonych stworów. – Nie przeszkadzaj...

Usłuchał. Z jeszcze większym dystansem obserwował teraz poczynania potencjalnych kumpli i przyjaciół. Nie był wcale zachwycony widokiem tych zagonionych mrówek, wciąż zajętych zupełnie bezsensowną pracą. Wcale nie zamierzał stać się posłusznym trybikiem w tym ogłupiającym mechanizmie. Miał zresztą nadzieję, że nikt go do tego nie będzie specjalnie zmuszał. Na podstawie opowieści znajomych, którzy już spełnili *zaszczytny obowiązek*, wyobrażał sobie służbę w bażancim mundurze jako dwanaście gnuśnych miesięcy. Ponieważ ostatnimi laty pracował niezwykle intensywnie, bardzo się na ten – przymusowy, bo przymusowy, ale zawsze – odpoczynek cieszył.

Podobało mu się również, że w ten sposób zniknie na jakiś czas z oczu – i to z doskonałym alibi – paru osobkom płci żeńskiej, przeciwko którym nie miał absolutnie nic dopóty, dopóki nie zagrażały jego kawalerskim koncepcjom i nie podzwaniały kajdankami małżeńskich obrączek.

Widząc, co się dzieje na korytarzu, przypomniał sobie ostrzeżenia niektórych rezerwistów, że pierwsze miesiące – szczególnie do przysięgi – potrafią być mocno niemiłe. Wszyscy jednak zgodnie twierdzili, że najgorsze nawet szykany, jakich może spodziewać się bażant, są niczym w porównaniu z tym, co przeżywa szwej, czyli żołnierz odbywający dwuletnią służbę zasadniczą. Rej pamiętał również wskazówki przyjaciół, by w armii dbać jedynie o dobre samopoczucie i o nic się nie starać, nie ubiegać się w ciągu pierwszego okresu nawet o wyjazdy, bo daje się wtedy trepom do ręki broń przeciwko sobie. Mówili mu też, że w wojsku dwadzieścia procent stanowią opierdalacze i wesołki, ponad jedną trzecią – kujony i trzęsidupy, a reszta oscyluje pośrodku. Jednak obserwując żołnierzy pucujących korytarz, ściany, okna i sufit, Rej nigdzie nie mógł dostrzec przedstawicieli owej pierwszej grupy.

– Niech podchorąży zostawi tę szcztokę, bo sufit pomoże!

Hultajek leniwie zlął z siermiężnej konstrukcji, zbudowanej z dużego i mniejszego stołu oraz dwóch krzeseł. Wyprężył się na baczność:

– Obywatelu kapralu, melduję posłusznie, że chciałem jak najlepiej!

Rej życzliwym okiem spojrzał na drobnego bażanta. Ktoś tutaj jednak czuł bluesa...

W tym czasie Borówka z samozaparciem targał zawalony śmieciami metalowy kosz. Nawet dwa kosze. Bardzo głośno sapał. W chwilę później ze schodów dobiegł huk objającego się o stopnie żelastwa, a za nim żaloszny jęk istoty uciemionej:

– Kiedy ja to posprzątam!

Szanse Borówki na dłuższy sen topniały jak majowy śnieg.

Każdy realizuje swoje plany, jak potrafi

– A kto pozwolił usiąść, kurwa?! – wrzasnął podporucznik Siwak na Reja, który zamierzał właśnie spocząć na stojącym obok krześle. Rzecz działa się w kancelarii dowódców plutonów.

– Cóż, jeśli tak to przeszkadza, mogę stać. Nie będę w tym osamotniony – Rej uśmiechnął się do stojących za plecami oficera dwóch chłopaków. Obaj byli kapralami. Nazywali się Kozioł i Muca.

– Jak wy się do mnie odzywacie?! – podporucznik konsekwentnie trzymał się wypróbowanych metod pedagogiki wojskowej. – Kultury was uczyć trza, kurwa?!

– Przepraszam za mojego kolegę i za siebie.

– Za jakiego kolegę? – zapytał nieufnie oficer.

– Słyszałem przed chwilą, że jest nas w tym pokoju więcej. Pewnie dlatego po całodziennym podróży nie można tu usiąść – domyślnie powiedział Rej. – Ale skoro uważa pan, że są bardziej potrzebujący...

– Siadać! – ustąpił Siwak, ale od razu okazało się, że skapitulował tylko połowicznie. – Tu nie ma żadnych *panów!* Zwracać się do mnie, kurwa: *obywatelu poruczniku!*

– Tak jest, kurwa, obywatelu poruczniku – Rej wiernie powtórzył słowa oficera.

Podporucznik nie stracił jednak panowania nad sobą:

– I nazwisko macie podać, i stopień! – nie użył w zdaniu swego ulubionego przecinka, co zadziwiło Mucę i Kozła, którzy z zaciekawieniem obserwowali scenę. – Dlaczego spóźniliście się?!

– *Z w i c h n ę l i ś m y* – zaakcentował Rej – nogę już kawałek czasu temu. Dlatego tak zależało n a m na tym, by usiąść. Zwolnienie lekarskie m a m y do dzisiaj włącznie.

– Pokazać!

– Proszę – Rej wyciągnął studencką książeczkę zdrowia.

– Takim zwolnieniem – stwierdził po pobieżnej lustracji oficer – to możecie se dupę podetrzeć! My was jutro do prokuratora odamy!

– Czy aby na pewno? – zaciekawił się prawie-że-podchorąży. – Wiele słyszałem o prawie wojskowym, ale sędzę, że moim przypadkiem nawet ono nie zechciałoby się zająć.

– Niech mi się tu podchorąży nie uśmiecha! – podporucznik zmuszony został do przywołania silniejszych argumentów. – Bo ukarzymy, k... kurka!

– Zetrzemy wam ten uśmieszek ze twarzy! – dodał któryś z miłych chłopców.

– A jakim rodzajem gąbki? – Rej lubił prowokować doświadczonych wojaków.

– Jeszcze sobie porozmawiamy – obiecał zastępca komendanta SPR Artylerii do spraw szkoleniowych. – Teraz przebrać się i obczyć. I zabrać ten świstek!

– Dziękuję – powiedział Rej, sięgając po dokument. – Dobranoc.

– Po przebraniu zgłosić się do kaprala Mucy – zatrzymał wychodzącego podporucznik. – To ten tutaj, kurwa, niższy.

– Miło mi – uśmiechnął się do dwubelkowego podoficera Rej. – Do zobaczenia...

Muca z zakłopotaniem skinął głową.

W pewnych instytucjach współczesnego świata najważniejszym dobrem dla ich dyrektorów i oficerów, prezesów i sierżantów, majstrów i kaprali jest – święty spokój. Niekoniecznie osiągają oni najlepsze rezultaty, jednak zawsze cieszą się znakomitym samopoczuciem i oczekują wyrazów uznania za to, że są, jacy są; prawdziwa miłość nie wnika w przyczyny.

Bywają kraje, w których tacy ludzie sprawują rządy. Dziwnym trafem zwykle cieszą się oni znakomitymi kontaktami z armią, albo i sami noszą mundury.

Z wojska wywodzi się zasada – ceniona także w wielu korporacjach cywilnych – że jeśli o czymś się nie mówi, to tego nie ma. A jeżeli się coś zachwala, to w istocie musi to być wspaniałe – choćby nawet obmierzli cywile nie dostrzegali nie tylko zalet konstrukcji, ale i samej budowli, i twierdzili, że istnieje ona tylko w sprawozdaniach.

Przed wiekami ukuto banał, iż armia jest najgłupszą instytucją, jaką człowiek stworzył, by bronić się przed własną głupotą. Wypada się jednak zastanowić, czy wojsko jest w stanie obronić się przed sobą samym.

Niektórzy uważają, że koszary spełniają funkcję swoistego ZOO. Czy istnieje jednak na świecie ogród zoologiczny, w którym człowiek musiałby przebywać obowiązkowo?

Rej wraz ze starszym szeregowym Marmuchą i Darkiem Stularczykiem, który również spóźnił się do SPR trzy dni, powędrował zaopatrzyć się w sorty mundurowe. Obydwaj spóźnialscy mierzyli ponad sto osiemdziesiąt centymetrów i byli średniej tuszy. Długo i natarczywie domagali się odzienia odpowiedniego do ich postury. Z trudem znaleźli właściwe mundury polowe. Natomiast odpowiednich strojów sportowych nie udało im się zdobyć, a mundurów wyjściowych w ogóle nie było już na stanie.

– Dresy wymienicie w magazynie wymiennym – poradził Marmucha, widząc że usiłują naciągać nowe, zdecydowanie za małe bluzy. – Cieszcie się, że mora dobre!

Moro, czyli mundur polowy, pasuje prawie na każdego. W odróżnieniu od munduru wyjściowego, jest ono bardzo praktyczne i wygodne. Żołnierz zakłada to ubranko, gdy rozlega się pobudka, a zdejmuje, słysząc sygnał capstrzyku; chyba że noc zimna – wtedy służy ono jako dodatkowa pidżama. Wielu zarzeka się, że w cywilu nie dotknie nawet drelichu, ale wyraża to raczej ich stosunek do *zaszczytnej służby*, której symbolem jest mundur polowy. Sam

uniform nie jest przecież niczemu winien. Mora nie trzeba prasować, a pierze się je wyjątkowo, i to tylko chemicznie. Nie można więc nakazać żołnierzowi, by je uprał czy zaprasował w kancik. Z punktu widzenia szeregowca to wielka zaleta; z punktu widzenia kadry dowódczej – równie wielka wada.

- Najpierw się podchorążowie obszyją!
- Z przyjemnością.
- Nie liczcie, że położycie się spać razem ze wszystkimi!
- A kiedy kładą się wszyscy?
- Za kwadrans.
- Co?! – oburzył się Rej. – Tak wcześnie?
- Najpierw się obszyjecie. Zaraz przyniosą wam materiały.
- Zawsze marzyłem o obszywkach bażanta! – entuzjazmował się Rej. – A ty czemu ich nie nosisz?
- Macie do mnie zwracać się: *obywatelu kapralu!*
- Dobrze, dobrze... Ale czemu, obywatelu kapralu, nie nosisz tych obszywek? – dociekał Rej.
- Bo ja nie jestem podchorążym...
- To znaczy... co się stało? Dyplomu nie wydrukowali?
- Niech się podchorąży ode mnie odpierdoli!
- Dlaczego tak niegrzecznie?
- Czy podchorąży zdaje sobie sprawę, że został przydzielony do mojej drużyny i że ja jestem jego bezpośrednim przełożonym? – zaszantażował Muca.

Musiał się uciec do tej metody, gdyż wokół zgromadziło się kilku bażantów. Przebrani już w pidżamy, udawali, że przyszli zapalić, i chichocząc, przysłuchiwali się rozmowie. Kapral zaczął się obawiać o swój podoficerski autorytet.

- To świetnie! – ucieszył się Rej. – Na pewno będzie wesoło!
- Niech podchorążowie idą przygotować sobie wozy na noc!
- Muca postanowił ich przegonić. – Biegiem!

– Już posłaliśmy – wyjaśnił Wścieklica, z lubością zaciągając się carmenem.

Podoficer dyżurny, widząc bezcelowość dalszych perswazji, odłożył swego papierosa na popielniczkę, wstał i poszedł do izby 103. Po chwili wrócił.

– No to teraz możecie ślać na nowo – powiedział. – Natychmiast! Ruchy, ruchy!

Publiczność opuściła widownię, przeklinając w duchu nieprzyjacielskiego pilota. Nie zmieniło to jednak faktu, iż Rej zyskał przewagę w tej potyczce.

– Fe, kapralu, ta gra nie była *fair*...

Ten jednak udał, że nie dosłyszał. Biorąc przykład z wielkich wodzów, postanowił niezwłocznie przejść do kontrataku.

– Nazywam się kapral Muca i jestem waszym bezpośrednim przełożonym! Jutro sprawę podchorążego przekażą do prokuratora. Nie bez znaczenia będzie opinia, jaką ja przedłożę o was!

Rej zareagował na kaprałską groźbę:

– A niby na jakiej podstawie?

– Opinię powinienem...

– Mniejsza o opinię. W tym syfie może się zdarzyć, że każą kapralowi donosić na człowieka, którego pierwszy raz na oczy widzi. Ale do prokuratora...

– Boi się podchorąży! – Muca poczuł, że chwila triumfu jest bliska.

– Tak, boję się – przytaknął Rej – że znowu wojsku trafi się okazja do kompromitacji.

– Jakiej kompromitacji?

– Bo mnie nie ma o co zaczepić. Wszystko załatwiłem legalnie. Nie wiem, czy zwróciliście na przykład uwagę na taki drobiazg, że moje zwolnienie zaczyna się wcześniej, niż dostałem kartę powołania do wojska.

– Kartę dostaliście już miesiąc temu! – uparcie atakował Muca.

– Czyżby? To proszę sprawdzić w moich dokumentach.

– Coś za wiele podchorąży filozofuje – skarcił kapral. – Tu trzeba prawnika, a nie filozofa!

– Tak się dziwnie składa, że jestem też prawnikiem. Skończyłem UJ.

Muca nie był zachwycony tą wiadomością. Postanowił uciąć dyskusję:

– A teraz podchorążowie umyją ubikacje! Jeden lewą, drugi prawą! Ale porządnie!

– Co?! – oburzył się Muca. – Tak ma wyglądać posprzątana ubikacja? Trzeba jeszcze solidnie pociągnąć posadzkę ścierą.

– Czemu nie... – zgodził się Rej.

– Mówi się: *rozkaz, obywatelu kapralu*.

– Rozkaz, obywatelu kapralu – powtórzył podchorąży. – Czemu nie, może być.

– Bez tego: *czemu nie, może być*, kurwa!

– Rozkaz, obywatelu kapralu, może być kurwa – grzecznie przytaknął bażant.

– Przyjdę tu za parę minut i ma być błysk! – rzekł Muca, udając się na konsultacje do Kozła. – Ruchy, ruchy!

Rej przysiadł na parapecie i z braku lepszego zajęcia zaczął uważnie lustrować zacieki zdobiące biały niegdyś sufit.

– Co, przyjął ci robotę? – wyrwał go z rozmyślań Stularczyk.

– Skądże.

– To czemu nic nie robisz?

– A tobie przyjął? – Rej odpowiedział pytaniem na pytanie.

– Nie.

– A jesteś w stanie coś poprawić?

– No... Nie za bardzo. Przecież tu niedawno inni przede mną sprząтали.

– No właśnie, tu wcale nie chodzi przecież o to, żeby posprzątać, ale żebyśmy robili to jak najdłużej.

Rej był zdania, że w wojsku warto stawiać się na każdym kroku, choćby i – pozornie – bez potrzeby. Przekonywał kolegę, że tylko w taki sposób można osiągnąć w miarę niezależną pozycję.

– Pewnie, że trochę się pocierpi przez parę dni, ale potem będzie święty spokój!

Stularczyk zasadniczo uznał tę tezę za słuszną, zgłosił tylko pewne drobne zastrzeżenia. Bolał szczególnie nad rozstaniem z żoną i dzieckiem. Reja natomiast w pewnej mierze bawiła perspektywa pobytu w czymś, co nazywał Krainą Czystej Groteski. Obaj zgodzili się, że rok w wojsku to czas całkowicie stracony.

Około jedenastej pogawędkę przerwał przełożony.

– Co podchorąży tutaj robi?

– Przyszedłem odnieść szmatę do magazynku – usprawiedliwił się Stularczyk.

– Czyli rejon zakończony?

– Tak jest.

– No to meldować.

Wykonali polecenie. Nie obeszło się, rzecz jasna, bez rytualnego ćwiczenia formuły meldunku. Ale rejonu zostały przyjęte.

– No to możecie zapalić – powiedział kapral, wychodząc z posprzątanego WC.

– Rzuciłem palenie – oznajmił Rej.

– Ale podchorąży też musi iść z nami, bo jest teraz pod moją opieką – stwierdził Muca.

Palarnia to wydzielona część korytarza, o długości ponad sześciu metrów. Od reszty hollu oddzielało ją – na wysokości drzwi do świetlicy – obite boazerią wysokie na półtora metra pudło, zwane okopem. Wewnątrz niej stały trzy ławy: dwie dłuższe i jedna krótsza, ustawiona przy kaloryferach, pod wielkim oknem na koń-

cu korytarza. Całości wyposażenia dopełniały cztery metalowe popielniczki. Nazywano je kozami albo wywrotkami (z uwagi na łatwość zmiany pozycji z wertykalnej na horyzontalną), a nawet rzygaczkami lub pijaczkami.

– A teraz podchorążowie wyszorują pisuary – polecił Muca, zgniatając niedopałek darowanego mu przez Stularczyka papierosa. – To się nazywa żyleta! – objaśnił zachęcająco.

To kolejne odpowiedzialne i miłe zadanie wybrał specjalnie, aby bażanci mogli docenić serdeczność, z jaką wita się w Szczupakowie spóźnialskich.

– Ja nie będę się w tym taplał – powiedział Stularczyk, zajrzawszy do wnętrza pisuaru.

– Czy to się da zrobić? – powątpiewał Rej, rozpinając rozporek.

– Jak podchorąży ze mną rozmawia, to na baczność ma stać! – upomniał Muca.

– Owszem, mogę – Rej popierał słowo czynem szemrzącego strumyczka. – Nawet w tej chwili. Ale czy to rozkaz?

– No, nie... – zreflektował się podoficer. – Poczekamy.

– O, to potrwa...

Widząc, że Rej gra na czas, kapral zaatakował drugiego delikwenta.

– Co się podchorąży śmieje? Drapać mi pisuar pazurami!

– Nie będę! – protestował Stularczyk. – To mnie obraża!

– To rozkaz!

– Nie będę!

– Bo jak nie, to podchorąży zobaczy, jakie mamy sposoby, żeby go nauczyć!

Stularczyk wysunął bojowo szczękę, by okazać, że nikt mu głupot nie będzie rozkazywał, po czym postąpił tak, jak polecił podoficer.

Rej, nie spiesząc się do powrotu na linię frontu, pomału zapinał kolejne guziki rozporka. Coraz mniej mu się to wszystko podobało.

– Starczy – Muca przerwał Stularczykowi po kilku ruchach.
– Weźcie z magazynku jakieś proszki i żyletki.

Na uwagę podchorążych, że w kabinie nie ma nawet kawałka żyletki, przełożony przypomniał, iż otrzymali przecież po dwie sztuki od Marmuchy.

– Ale do do celów kosmetycznych! – odważył się powiedzieć Stularczyk.

– Za miesiąc dostaniecie następne! – radośnie pocieszył go przełożony.

Rej nie protestował.

– Zużyliście całe zapasy proszków do prania! – biadolił Muca.

– Obywatelu kapralu – Rej z niesmakiem wypowiedział nakazaną formułkę. – To się nie da.

– Jak to się nie da? Wasi poprzednicy z innych turnusów robili to.

– Może mieli inne proszki albo żyletki – stwierdził Rej. – Proszę spróbować samemu...

Muca sięgnął po żyletkę. Pochylił się nad pisuarem. Zaciskając zęby, chrobotał stalowym ostrzem po powierzchni muszli. Żżż... żż... żżżż... Pracowicie, choć krótko, demonstrował właściwą metodę pracy.

– Rzeczywiście, kuśwa, nie idzie. Trudno. Zobaczymy kiedy indziej.

– To możemy już iść spać? – zapytał Stularczyk.

– Najpierw musicie się prawidłowo odmeldować.

Po kilkunastominutowej zabawie w składanie i odbieranie mel-dunków obu delikwentom pozwolono iść do łóżek, to jest wozów.

Spać poszedł też podoficer dyżurny SPR Artylerii, kapral Muca. W końcu każdy ma prawo zmęczyć się ciężką pracą. Nawet wzorowy podoficer służby zasadniczej.

ŚWIAT JEST PIĘKNY, I TO NIEDALEKO STĄD...

Edukacja poranna

– Pobudka, pobudka! Zniikają buty z korytarza! – Pooobudka! Ruchy, ruchy! Biegiem!

Krzyk podoficera dyżurnego był tak donośny, że mógłby zbudzić umarłego. Widać są jednak osoby obdarzone snem twardszym niż zimny nieboszczyk. Nie można wykluczyć, że sen taki jest wywoływany przez groźnego wirusa, i jeśli w porę nie zapobiec jego działaniu, ofiara może przespać nawet dzień Sądu Ostatecznego.

Wychodząc widocznie z takiego założenia, kapral Muca postanowił ratować lokatorów izby 103. Podziwiać go należy tym bardziej, że w owej sali walczyli o życie osobnicy, których nie miał powodu darzyć sympatią: Wścieklica, Ogórko, Chryń plus dwaj niedzielni goście – Rej i Stularczyk.

Najpierw postanowił zbudzić Wścieklicę.

– Co jest, do cholery?! – przebudzony złapał się za głowę.

– O, ocknął się wreszcie podchorąży! – ucieszył się podoficer.
– A już się bałem, że zasnął na śmierć!

– Co ten buciór robi w mojej pościeli? – zapytał bażant, już bardziej przytomnie wskazując na poduszkę.

– Buciki same przyszły właściciela obudzić – wyjaśnił Rej. – A przy okazji w łeb mu dojechały. Kapral pewnie to widział...

– Wstawać na zaprawę! Ruchy, ruchy!

Ćwiczenia poranne prowadził stary wiarus Kozioł. Na tę okazję założył *sliniaczek*, składający się z dwóch płóciennych kwadratów (jeden na pierś, drugi na plecy), połączonych tasiemkami.

Zaprawa trwała pół godziny: od piątej czterdzieści do szóstej dziesięć. Polegała głównie na biegu, urozmaiconym przerwami na marsz i ćwiczenia siłowe.

Plac musztry był prawie pusty. Ćwiczyła tylko szkoła elewów i SPR Artylerii. Pozostali żołnierze mieli pobudkę dopiero o szóstej, więc zaprawę poranną odbywali później, a towarzyszyła jej buchająca z chrypiących głośników muzyka (wcześniej jej nie włączano, żeby nie przeszkadzać śpiącym). W sumie lepiej było mieć zaprawę wcześniej. Dzięki temu nie chrypiały nad uszami zepsute głośniki, a przy okazji zyskiwało się pierwszeństwo przy śniadaniowym korytku.

Ta pierwsza poranna zaprawa, na którą piątka z izby 103 wcale się w końcu nie spóźniła, przebiegła spokojnie. Kozłowi nie chciało się ani ostro biegać, ani głośno wykrzykiwać komend do ćwiczeń. Myślam był już u siebie w domu – w tym tygodniu wybierał się na urlop. Potem powrót, jeszcze parę dni i – do cywila!

Pogrążony w marzeniach o życiu cywilnym podoficer nie był groźny. Ale i tak wielu bażantów wysiadło kondycyjnie w czasie biegu. Powinni sunąć zwartą kolumną czwórkową, utrzymując stałe odległości między szeregami. Tymczasem jedni biegali lepiej, inni słabiej, a jeszcze inni z najwyższym trudem toczyli się przed siebie.

Niektórzy hasali całkiem wesoło, choć nikomu nie biega się dobrze w przydużych albo za małych trampkach – wszyscy przecieży wyfasowali ten sam czterdziesty drugi numer (innych rozmiarów nie było w magazynie). Na domiar złego musieli założyć buty na gołe stopy, bo obowiązywał ich zakaz noszenia skarpet. No i też – nie da się ukryć – z kondycją wielu podchorążych nie było najlepiej, choć najstarsi mieli po dwadzieścia osiem, a najmłodszy

po dwadzieścia trzy lata. Tych bardziej wysportowanych wręcz mężczyźli zasapany truchcik słabszych kolegów.

– Do szeregu wraca natychmiast podchorąży! – Kozioł nie docenił sportowych zapędów Maronia. – Ruchy, ruchy! Kierunek – szkoła! Wykonać! Biegiem – marsz!

Sznur bażantów, odzianych w podkoszulki, trampki i przesławne atramenty, posłusznie ruszył ku drzwiom SPR. Niektórym szło to jakby nieco wolniej.

– Może jeszcze konie mam po podchorążych posłać!?! Co wy takie łajzy jesteście?! – Kozioł pogonił Chrynia i Borówkę. – Ruchy, kurwa wasza mać!

Jak po nocy nastaje dzień, tak w wojsku po zaprawie porannej przychodzi pora na mycie. O ile jednak prawa przyrody są na tyle silne, iż żaden – choćby i umundurowany – kaprys nimi nie targnie, o tyle reguły rządzące koszarami przewidują czasami drobne wyjątki. Wobec lokatorów izby 103 Muca pozwolił sobie na korektę programu zajęć. Mycie zastąpił poranną gimnastyką.

– Musicie odrobić to, że spóźniliście się na zaprawę!

– Ale my zdążyliśmy... – usiłował protestować Wścieklica.

– O tym to ja decyduję! Zero dyskusji, podchorąży Wścieklica! I tak dzisiaj z podchorążym podyskutują na temat jego postawy! A teraz pompki ćwiczyć!

– Obywatelu kapralu, kanonier podchorąży Rej melduje się z zapytaniem...

– O, nauczyliście się formuły! – z uznaniem wykrzyknął Muca. – Słucham.

– Nie mogę wykonywać ćwiczeń siłowych.

– A czemu to?

– Bo grozi mi odklejenie siatkówki.

– A jaką macie kategorię?

– A-3.

- Dobra, ścielajcie wóz.
- Czy mogę iść się umyć?
- Nie!
- A do ubikacji?... Muszę...

Na to kaprał łaskawie przyzwolił. Wówczas i Ogórko upomniał się o swoje prawa:

- Ja również mam A-3.
- Wróć! Jak się meldujemy?! – zagrział Muca.
- Obywatelu kaprału, kanonier podchorąży Ogórko!
- Pierwszego zwolniłem, bo na pewno ma A-3 – popisał się intuicją podoficer. – A wy to usłyszeliście i też chcecie się pod... podpiąć! Pokażcie książeczkę wojskową!
- Odebrano nam je w pierwszym dniu! – przypomniał Wścieklica. *Nota bene* jemu również kilka lat wcześniej Rejonowa Komisja Lekarska przyznała A-3.

– A widzicie! – triumfujący Muca nie wnikał w szczegóły. – Wszystko w tym temacie! Ćwiczyć! Ruchy, ruchy!

Rej, korzystając z takiego przebiegu dyskusji, chyłkiem zgarznął szczoteczkę oraz pastę do zębów i wymknął się na korytarz. Tam dopiero zorientował się, że nie zabrał ręcznika. Wolał jednak nie ryzykować powrotu.

W umywalni nadzorował mycie starszy szeregowy Marmucha, podchorąży udał się więc do ubikacji. Był tu tylko jeden kran z zimną wodą, ale za to nie było tłoku (w umywalni ogólnej przy kilku kranach kłębiło się kilkunastu półnagich mężczyzn; po ciepłej wodzie pozostało tam tylko wspomnienie). Rej – wynikało, że za karę – mył się sam, i to w spokoju.

Gdy powrócił do swojej sali, gimnastyka dobiegała końca.

– Za dziesięć minut wychodzimy na śniadanie – powiedział Muca. – Doprowadźcie szybko te wozy do pozycji na dzień. Zaraz was sprawdzę. Ruchy, ruchy!

– Co za sukinsyn! – stwierdził Chryń po wyjściu kaprała.

– Chyba trzeba będzie mu napierdolić – zasugerował Stularczyk.

– Zaciągnąć żłoba w ciemną uliczkę... – rozmarzył się Wścieklica.

– Może jednak najpierw pościelemy te wyra – Ogórko przerwał deliberacje kolegów – bo znowu nie zjemy śniadania.

Zabrali się rażno do dzieła i po chwili łóżka były posłane.

– Jak ty to zrobiłeś?! – oburzył się Wścieklica. – To ma być jednolicie, zupełnie inaczej...

– To znaczy jak? – szczerze zdziwił się Rej. – Pokaż.

– Sam za bardzo nie wiem. Coś w tym stylu – Wścieklica wskazał własne wyro – ale chyba niezupełnie. Nie patrzyłem, jak ten burak pokazywał.

– Mógłbym to posłać tak, jak sobie życzą, ale najpierw musiałbym wiedzieć, w czym rzecz – Rej bezradnie rozłożył ręce. – Niech mi ktoś pokaże.

Jego życzeniu rychło stało się zadość, choć w okolicznościach nieco innych, niż by pragnął.

– Zachodzić, zachodzić na zbiórkę! – Muca powrócił do izby 103. – Co się mówi, gdy przełożony wchodzi do pomieszczenia?!

Odpowiedziała mu cisza zamysłonych spojrzeń.

– No, podchorąży Rej powie.

Tym razem odpowiedź padła szybko:

– Nie wiem.

– Jak to nie wiecie! Takie rzeczy to z mlekiem matki wiedzieć trzeba! To powie – wskazał palcem na Chrynia – podchorąży.

– To wtedy trzeba...

– Wróć! Zwracać się do przełożonych nie umiecie?!

– Obywatelu kaprału, trzeba wtedy...

– Wróć! – zdawało się, że krzyk podoficera rozsadzi pomieszczenie. – Prawidłowa formuła ma być!

– Ooobywatelu kaprału, kanonier podchorąży Chryń.

– Wreszcie – odsapnął Muca. – Więc co trzeba powiedzieć?

– Melduję, że trzeba powiedzieć: *powstań*.

– To dlaczego nie powiedzieliście?

Pięciu podchorążych stało w sposób, który przy odrobinie dobrej woli można uznać za *baczność*. Ale nawet największa doza dobrej woli i silnego słuchu nie wystarczyła, by dosłyszeć słowa wyjaśnień.

– Mniejsza o to – zmienił temat podoficer – ale jeszcze do tego wrócimy. Spocznij!

Lustracja wozów również nie wypadła najlepiej.

– Czyj to barłóg?! Poprawić! Ruchy, ruchy!

Rej przystąpił do ponownego siania łóżka. W tym czasie jego koledzy pospiesznie się ubierali, by zdążyć na zbiórkę; mora zakładali na mokre po gimnastyce podkoszulki (Regulamin nie przewidywał zmiany bielizny w ciągu dnia).

Podczas lekcji siania wozu Reja irytowało, że niewiele potrafił zrozumieć z chaotycznych wyjaśnień instruktora, który na domiar złego zaczynał się jąkać. Muca natomiast obawiał się reprimendy podporucznika Siwaka – oficer odgrażał się, iż w poniedziałek rano zjawi się wcześniej, by sprawdzić, czy kaprale nauczyli już *mlode ptactwo* przynajmniej wozy słać.

W tej sytuacji kapral uciekł się do nietypowych metod działania:

– Niech już podchorążowie idą, ja sam ten wóz wyrychtuję, kurwa. Inne też.

– Dzieękuję – powiedział zaskoczony Rej.

– Ale ja tego podchorążemu nie odpuszczę i osobiście dopilnuję, żeby w czasie wolnym nauczył się obchodzić z wozem we wszystkich pozycjach! Inni będą odpoczywać, a ja będę wam piloty strzelać!

– Mam nadzieję, że obaj będziemy się równie dobrze bawić – krzywo uśmiechnął się bażant.

– Na zbiórkę! – zakończył poranne Polaków rozmowy kapral.

– Ruchy, ruchy!

Wściekły na cały świat, a na Reja w szczególności, zabrał się za sianie i poprawianie łóżek. We wszystkich salach. Na ponad trzydzieści wozów ledwie kilka nadawało się do zaprezentowania podporucznikowi Siwakowi i sierżantowi Maskiemu. A Muca tak chciał wyskoczyć we wrześnie na krótki chociażby urlop! Liczył się jednak z tym, że w obecnej sytuacji nie ma co marzyć o więcej niż trzech dniach. Żeby tak choć dwa udało się wywalczyć...

Zwyczaje stare i zwyczaje nowe

O szóstej trzydzieści podchorążowie, zachęceni krzykami kaprała, maszerowali na śniadanie. Najpierw jednak, co stało się już tradycją, udzielono im lekcji ustawiania się w czwórki.

Nauczycielem był Kozioł. Lekcja musiała trwać dostatecznie długo, by Muca zdążył się uporać z wykonywaniem obowiązków pokojówki.

Na śniadanie dostali, jak co dzień (oprócz niedziel i innych świąt), zupę mleczną. Posiłek uzupełniał czerstwawy chleb, margaryna, dżem i plaster szarej słoniny, oficjalnie zwanej wędzonym boczkim.

Jedli w ciszy, walcząc ciągle ze snem.

Niektórzy pili tylko mleko, inni za to podżerali dodatkowe porcje słoniny, z których zrezygnowali koledzy.

Porządek Dnia przewidywał na posiłek ponad dwadzieścia minut. Podchorążowie nie zdawali sobie sprawy, jak wielki to przywilej. Zwyczajni żołnierze musieli się uporać ze śniadaniem w czasie o połowę krótszym.

Bażanci otrzymywali jedzenie na oddzielnych talerzach (jak w cywilnej stołówce), natomiast szweje, czyli żołnierze służby zasadniczej, pobierali posiłki (za wyjątkiem zup) na półmisku wspólnym dla wszystkich siedzących przy jednym stole – z takiego talerza najpierw jadł dziadek, a dopiero potem przychodziła kolej na młodszych stażem (o ile starczyło im czasu, a zwykle nie starczyło). Zetka jadała niezbędnikami, które żołnierze zawsze noszą przy sobie, bażanteria zaś miała do dyspozycji wyłożone po cywilnemu sztuce. A jakość posiłków... Rozpieszczeni podchorążowie często na nie narzekali. Tymczasem szwejkom dania serwowane w stołówce SPR mogły się wydawać rarytasami z kuchni francuskich markizów...

Powrót do koszar opóźniał się, bo podoficerowie urządzili bażantom trening komend: *w lewo – zwrot, w prawo – zwrot* oraz *w tył – zwrot*.

– Tego nawet nie jarzycie?! Nawet obrócić się prawidłowo nie umiecie?!

Ekspонатem pocącym się przed szykiem był Rej. Choć uśmiechał się od ucha do ucha, w duchu było mu znacznie mniej wesoło.

– Gównu z was nie podchorąży! Wstąpić do szeregu!

Należało się spieszyć. Było już po siódmej, a bażanci ciągle nie wypastowali butów. I tak dobrze, że tego dnia nie było rozprawienia brygady, które zwykle inaugurowało tydzień. Dowództwo JW 1281 zrezygnowało tym razem z poniedziałkowej uroczystości, gdyż wielka feta odbyła się przecież w sobotę.

– Zacisnąć pas!

– Poprawić pas!

Dowódcy drużyn starali się nadać podopiecznym prezencję właściwą z punktu widzenia ogólnych przepisów oraz swych własnych wymagań.

– Tylko podchorąży Borówka zajarzył, o co chodzi! – pochwalił Muca bażanta, który ścisnął się pasem tak mocno, że aż z trudem łapał powietrze. – Żołnierz na wzór-konspekt!

Sprawdzano, czy aby nikt nie odważył się bezprawnie założyć skarpet – instrukcje Sztabu Generalnego LWP i pułkownika Wierzby jasno stwierdzały, że dużo zdrowsze są onuce. Kontrolowano jakość wypastowania butów i sposób zawiązania sznurowadeł (musiały być związane z tyłu).

Wyciągano z butów sznurowadła, które zostały przepuszczone przez dolne dziurki od góry, a nie od dołu. To była ponoć poważna nieprawidłowość. Zwracano uwagę na wiele innych rzeczy...

– O, widzę, że kilku podchorążych zapuszcza brody – rozpromienił się Muca. – Macie minutę na ogolenie! Biegiem! Ruchy, ruchy! Spróbujcie się spóźnić! Marmucha, skocz no z nimi, tempa popilnuj!

Lokatorzy izby 103 opuścili dwuszeręg.

Tymczasem na placu pojawili się dowódcy plutonów zwiadu i topograficznego: porucznik Śmiechocki i podporucznik Głodówka. Przyszli też podporucznicy Maćko i Siwak oraz sierżant sztabowy Maski.

Nieszczęśni kandydaci na brodaczy zdążyli wrócić przed przybyciem komendanta SPR. Ich zaczerwienione twarze wyglądały niczym sztandary wieńczące Jednostkę z okazji rocznicy Rewolucji Październikowej. Pocięte gęby stanowiły dowód kolejnego sukcesu w walce z niesubordynacją (jedynie Rej zdołał się ogolić bez zadrażnienia, ale kto mógł przewidzieć, że bezprawnie przemyci do szkółki kupioną za dolary w Peweksie jednorazową maszynkę do golenia?).

– Muca! – Siwak zepsuł kapralowi radość z triumfu. – Czemu, kurwa, nie ustawieś ich plutonami i drużynami, tylko kupą?!

Podoficer opuścił głowę w poczuciu winy. A tak się przecież starał. Czyżby upragniony urlop znowu się oddalił?

– Módl się, żeby Piontek nie zauważył – poradził mu Siwak – a teraz podziel ich tak, żeby wyglądało że to plutonami, kurwa mać. Kaprale dokonali przegrupowania.

Sierżant Maski wyszedł przed front żołnierzy.

– Baaaczność! Równaj w praaa-o!

Głowy posłusznie zwróciły się w nakazanym kierunku. Kapitan Piontek kuśtykał z przeciwnej strony.

– Baaaczność! Na lewo pa-rz!

Maski ruszył na spotkanie dowódcy krokiem, który w zamierzeniu miał być sprężysty i defiladowy. Gdy dzielił ich dystans zbliżony do przepisowych trzech metrów, obaj zatrzymali się.

– O-telu kaa-tanie! M-uję sz-łę na apelu po-nym! Stan: trz-uu p-żych, o-cnych t-uu, służba d-óch!

– Sz-ooooła!!! – zarządził Piontek. – Baaczność! Na-aa-oooo p-trz! Na-e-ooo p-trz! Baaa-ść! P-u-tooo-mi meee-oo-ać!

Trzej oficerowie opuścili dwuszereg. W czasie, gdy witali się z komendantem, kaprale tłumili chichoty niesfornych podchorążych.

– Żooo-nierze! – kapitan wyciągnął z kieszeni kartkę z przygotowanym przemówieniem. – Dzisiaj rozpoczął się pierwszy dzień waszego szkolenia, tak potrzebnego obronie ludowej ojczyzny. Szkolenia takiego, jakie was czeka przez najbliższe cztery miesiące. Ciężkiego szkolenia! I takiej też pracy...

Potem mówił trochę o ich prawach i dużo o obowiązkach wobec ludowej armii i ojczyzny. Radził rzetelnie wywiązywać się z zadań i godnie pełnić służbę, ufać doświadczonym dowódcom i całej kadrze, a także sumiennie zdobywać wiedzę, która będzie niezbędna w czasie ośmiomiesięcznej praktyki dowódczej i w życiu cywilnym. Zachwalał warunki, w jakich w Szczupakowie przyszło żyć podchorążym. Na koniec życzył wszystkim odpowiedzialnego podejścia do obowiązków i radości oraz dumy z odbywanej służby.

– Za to, żebyście mogli być tutaj, na tej ziemi, i w takich mundurach, pokolenia Polaków zapłaciły życiem!

Nic, co przyjemne, nie trwa długo – melancholijnie pomyślał Piontek, chowając plik kartek do kieszeni. Był jednak dobrej myśli. Pokazał Siwakowi i innym, jak się szkolili podchorążych. – Niech wiedzą, że co kapitan, to nie byle podporucznik. Choćby i ustosunkowany. Nie ma dziwne. Wszystko w tym temacie!

Kapitan chętnie głosiłby słowo wojskowe dłużej, ale nadchodziła godzina ósma – początek zajęć. A nie na darmo pułkownik Czachórski powtarzał na każdej odprawie: *Pierwszą cechą wzorowego oficera – przestrzeganie Porządku Dnia!*

„– Tylko podchorąży Borówka zajarzył, o co chodzi! – pochwalił kapral Muca bażanta, który ścisnął się pasem tak mocno, że aż z trudem łapał powietrze. – Żołnierz na wzór-konspekt!”

Stosunki międzyludzkie, czyli od pieszczela do wojen gwiazdnych

– Rozpoczyna się pierwsza godzina zajęć! – wykrzyczał podoficer dyżurny. – Podchorążowie zachodzą na salę dźwiękową! Biegiem! Ruchy, ruchy!

Sala ta była największym pomieszczeniem szkoleniowym SPR. Tutaj odbywały się zajęcia wspólne dla wszystkich plutonów.

Na jednej ze ścian zawieszono wielką tablicę ze składanymi skrzydłami. Przed nią, na podeście, stało potężne biurko, wypo-

sażone w mnóstwo szuflad i zakamarków. Ławki były ustawione w trzech szeregach.

Ścianę tylną ozdobił obraz namalowany kilka miesięcy wcześniej, za rządów Siwaka. Dzieło nieco przewyższało rozmiarami *Bitwę pod Grunwaldem* Matejki. Stworzył je podchorąży Gierej, absolwent krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych. Malowidło służyło nie tylko upiększeniu SPR, ale też pełniło ważne funkcje dydaktyczne. Między elementy krajobrazu – takie jak jezioro, rzeka, zarośla, drzewa, domy i góry – wmalowano dwie łaty (tyczki, służące do pomiaru odległości za pomocą PAB) i kilka dział. Co uważniejsi mogli dostrzec wśród uwiecznionych przez artystę dzieł natury również romantyczną parę. Młodzi ludzie odziani byli zgodnie z modą obowiązującą w czasach Adama i Ewy. Obok nich leżała butelka z czerwoną etykietą. Nieopodal walały się: stanik, majtki i kilka prezerwatyw, ale te szczegóły wypatrzeć mogli tylko najdociekliwsi koneserzy. Ciekawych detali znajdowało się na obrazie mnóstwo – tworzono go przecież z myślą, by służył również jako pomoc dydaktyczna w nauce posługiwania się lornetką i papką. Wytrwali wielbiciele dzieła Giereja jeszcze pod koniec pobytu w Szczupakowie odkrywali w malowidle nowe rewelacje. Niczym na obrazach Boscha, ale trochę inaczej.

Pierwszą godzinę wypełniły zajęcia z balistyki. Prowadził je Siwak. Oficer przystąpił do udzielania informacji niezbędnych do tego, by celnie strzelać z karabinu i pistoletu maszynowego.

– Na początek to, kurwa, pogonić trza tych chujów pochowanych. Z tylnych ławek na przód! Biegiem! Ruchy, ruchy! Bo ści-gnę!

Bażanci, którzy uplasowali się z tyłu, nie mieli ochoty opuszczać z trudem wywalczonych pozycji. Siwak musiał więc osobiście, używając wskazującego palca, pokierować operacją przegrupowania.

– Ty, kurwa, tutaj...

Nodryś z uwagą obserwował pulpit. Niestety, ławkę niedawno starannie umyto. Nie dało się wypatrzeć na blacie śladów twórczości poprzednich pokoleń podchorążych.

– Ty, tam, tustawy, kurwa, co się tak w stół ślipisz! Powstań, jak do ciebie mówię! W ostatniej ławce środkowego rzędu. Ruchy, ruchy! Kultury nie nauczyli?

Po dokonaniu odpowiednich przesunięć taktycznych oficer przystąpił do realizacji programu szkolenia. Na początek odczytał z Dziennika Zajęć listę obecności.

– Borówka!

– Jestem!

Podporucznika nie zadowolili postawa wywołanego:

– Po wojskowemu stać to was jeszcze nie nauczyli?!

– Jestem! – powtórzył Borówka, teraz przepisowo wyprężony na baczność.

– Siad! Bratek!

– Jestem!

– Kostyk!

– Obecny!

Siwak znowu się oburzył:

– Kurwa, obecności meldować nie potraficie?! Co?!

– Obywatelu poruczniku, przecież dobrze powiedziałem, że jestem i na baczność...

– Co wy mi tu pierdolicie! Tu jest wojsko i macie mówić: *jestem*, kurwa, a nie jakieś tam *obecny*!

Szmer zrozumienia przetoczył się przez salę. Niezidentyfikowany osobnik cmoknął z uznaniem.

– Zero hałasu! Bo wam, kurwa, jaja z dupy powyrywam! Wam to się wydaje, że jak jakieś tam studia zrobiliście, to wszystko wiecie! A wy gównio śmierdzące wiecie! Z wojskowego punktu widzenia to jesteście zera okrągłe! Kanonier po podstawówce lepiej zna się na rzemiośle wojennym od was! Wszystko na ten temat!

Wykładowca umilkł. Ale rychło uzupełnił wypowiedź mocnym i czerstwym jak oddech poligonu sformułowaniem:

– Kurwa mać! Chuje nad chujami, zarozumiałe...

Udowodniwszy podchorążym, że są zakałą wojska, powrócił do rutynowej czynności:

– Maroń!

– Jestem! O-telu poruczniku...

– No?!

– Melduję się z zapytaniem!

– Gadać!

– Proszę o pozwolenie przemieszczenia się do pierwszej ławki, bo stąd słabo widzę.

– Przejdźcie, kurwa.

Maroń przesiadł się z trzeciej do pierwszej ławki. Uważał, że postąpił niezwykle rozsądnie – przełożony z pewnością go zapamięta, i dzięki temu spojrzy życzliwszym okiem niż na innych!

– Rej!

– Jestem.

– A to wy tak ciągle robicie z siebie durnia? Z moim błogosławieństwem kaprale upierdolą was na całego.

Pod nosem bazanta pojawił się źle skrywany uśmiech.

– Kultury nie mata – grzmiał porucznik – żeby dobrze stać, jak do was przełożeni, kurwa, mówią?! I to ma być elita intelektualna jednostki? Zero elity!

Rej milczał, ale z pewnością nie wynikało to z faktu, że nie miał nic do powiedzenia. Owszem – miał, i to wiele.

– My was tu, kurwa, kultury nauczymy!

Podchorążowie, wdzięczni losowi, że dzieje się coś, co bezpośrednio w nich nie uderza, z przyjemnością obserwowali tę grę do jednej bramki. Równie mocno, jak solidaryzowali się z Rejem, dbali, by groźny oficer tego nie zauważył.

– Przerwa! Koniec pierwszej godziny lekcyjnej! Podchorążowie udają się na korytarz! Wietrzenie izby dźwiękowej!

Niektórzy podążyli do ubikacji, pozostali zasiedli w palarni. Nikomu nie chciało się rozmawiać – razem z nimi siedział Muca.

Byli zmęczeni i niewyspani. Choć już czwarty dzień przebywali w SPR, nie wiedzieli o sobie prawie nic. Na zbiórkach i podczas pucowania rejonów kazano im poruszać się biegiem, niepokornych karano porcjami pompek czy żabek. W nocy drzwi do sal były otwarte na oścież – podoficerowie dyżurni tępilili każdy szept. Karcono również za zbyt głośne odezwanie się do kolegi na stołówce czy palarni. Przywilej krzyku był zastrzeżony dla przełożonych.

– Wścieklica do komendanta – do palarni zawitał dyżurny SPR Artylerii, Hultajek.

– Zaraz – odpowiedział poszukiwany – tylko wypalę.

– Jakie: *tylko wypalę!* – przypomniał o swojej obecności Muca.

– Ruchy, jak dowódca wzywa! Powstań! Ruchy, ruchy!

Poznaniak posłusznie zgasił świeżo zapalonego papierosa, przeklinając w duchu stratę.

– ... I zarówno za symulację, jak i za zachowanie ogólne zostanie podchorąży ukarany... – dzwonek telefonu nie pozwolił Piontkowi dokończyć. Zniecierpliwionym ruchem sięgnął po słuchawkę.

– Kapitan Piontek...

– ...

– Melduję się, obywatelu pułkowniku! – wypowiadając sakramentalną formułę, oficer powstał z miejsca. Przy okazji przewrócił ogipsowaną nogą krzesło. – Faktycznie, była taka przykra sprawa i postanowiłem ukarać...

– ...

– Tak jest! Przepraszam, obywatelu pułkowniku!

– ...

– Ale mnie lekarz mówił co innego, obywatelu pułkowniku...

– ...

– Tak jest! Przepraszam obywatelu pułkowniku, nie przypuszczałem, że żartował. Tak jest, obywatelu pułkowniku. Przyjmuję do realizacji...

– ...

– Tak jest! On czuje się już regulaminowo...

– ...

– Odmeldowuję się, obywatelu pułkowniku.

Po zakończeniu rozmowy kapitan otarł pot z czoła i cierpiętniczo spojrział na podchorążego.

– Idźcie już sobie. Nie zostaniecie ukarani. Wszystko na ten temat...

Piontek przysiadł na stole – nie zauważył, że Wścieklica nie był łaskaw się odmeldować. Był rozgoryczony, bo kapitan-lekarz Jarmuł wykręcił mu kolejny numer. I to jaki! Popaść w niełaskę Czachóra to gorzej niż wojna.

Spanikowany kapitan zaczął się zastanawiać, czy nie skorzystać z przysługującego mu z racji chorej nogi urlopu zdrowotnego. Rychło jednak tę myśl odrzucił. Jego życiową pasją było szkolenie żołnierzy.

Siwak kontynuował wykład. Rozwodził się właśnie na temat konieczności czyszczenia broni oraz funkcji wyciora, gdy jeden ze słuchaczy uniósł rękę.

– Gadać!

– Kanonier podchorąży Rej – przedstawił się ciekawski. – Chciałem się dowiedzieć, czy...

– Wróć! Nie mówi się: *chciałem się dowiedzieć*, tylko *melduje się z zapytaniem!*

– Melduję się z zapytaniem. Czy można czyścić lufę suwakiem logarytmicznym?

Próba odgrzania brodatego kawału serdecznie rozbawiła bażantów. Znacznie mniej zadowolony był podporucznik.

– Za kogo, kurwa, mnie macie?

Wynikało, że oficer oczekuje odpowiedzi. Słowa *trep* podchorąży wolał w tym miejscu i czasie głośno nie wypowiadać. Powiedział więc:

– Za żołnierza zawodowego PRL.

Oświadczenie zostało przyjęte dobywającymi się spod pulpitów – bo tak klaskać bezpieczniej – brawami. Rej miał zapewnioną pozycję bohatera dnia, a może nawet miesiąca.

– Co wy tu, kurwa, tanią popularność chcecie zdobyć?! – warknęła Siwak. – Zapierdalać do kąta w podskokach! Zero dyskusji!

Rej wykonał polecenie, choć bez podskoków. Stojąc już w kącie, zastanawiał się, jakie wyrazy uznania czekają go jeszcze za wykazaną właśnie pilność. Uważał jednak, że warto było... On nie zamierzał być wzorowym żołnierzem. Nie chciał walczyć o awanse. Wręcz przeciwnie – idąc do wojska, przyjął kilka zakładów z przyjaciółmi o to, że: *primo*: nie awansuje po przysiędze; *secundo*: skończy SPR na jednym z ostatnich miejsc (a najlepiej ostatnim).

Wojsko jest miejscem starcia różnych planów i ambicji. Zamiatary Reja nie należały do najbardziej typowych, na pewno jednak nie był on w SPR Artylerii jedynym żołnierzem liczącym na podobne osiągnięcia.

Podczas gdy Rej przepowiadał sobie w kącie dowcipy o tematyce wojskowej, komendant SPR usiłował się dodzwonić do Jarmuła. Ten jednak wciąż bawił gdzieś poza izbą chorych. Piontek uważał, że kolega tchórzliwie unika rozmowy. Poleciał dyżurnemu chorowalni przekazać kapitanowi-lekarzowi, iż pilnie poszukuje go kumpel z boiska.

Kawał, na którym pasożytował Rej, wywodzi się jeszcze z Polski międzywojennej, niemniej jednak wiele osób utrzymuje, iż było świadkami jego narodzin całkiem niedawno. W wojsku i wojskowych opowieściach prawda lubi mieszać się z błagą.

Najpopularniejsza wersja dowcipu wygląda tak:

Stary zupak: Lufę czyścimy wyciorem.

Słuchacz szkoły podchorążych: A czy całą można?

Sierżant (nie będąc oświeconym, co to całka): Całkom tyż, jak wycioru ni mo.

W roku 1988 anegdota była znana tak powszechnie, że nikomu z obecnych w sali 114 nie trzeba było tłumaczyć, że intencje Reja były bardziej złośliwe niż dowcipne.

Oczywiście facecję znał również Siwak.

Wreszcie w kancelarii SPR zadzwonił telefon.

– A, jednak odezwałeś się łaskawie?

– ...

– Co ty mi za bzdeje opowiadasz?

Kapitan-lekarz przeprosił kumpla za przykrości. Użalił się, że i on sam dostał niezły *opeer*.

Niezadowolenie pułkownika Czachórskiego wywołała nieobecność Jarmuła na sobotniej Akademii Ku Czcii. O absencji tej poinformował dowódcę JW 1281 ktoś życzliwy, donosząc przy okazji, że kapitan nawet przez moment nie uczestniczył w uroczystości, co było przecież wierutną nieprawdą. Lekarz wytłumaczył się – choć z trudem – koniecznością udzielenia pomocy ciężko choremu podchorążemu.

Pułkownik zainteresował się sprawą. Usłyszał wtedy, że chory już ozdrowiał i wrócił na *pododzieł*. Czachórski, nie na darmo zwany Papą Czachórem, postanowił osobiście zainteresować się stanem zdrowia Wścieklicy. Stąd wziął się poranny telefon i utarcie

uszu Bogu ducha winnemu Piontkowi, któremu lekarz w swoim czasie przedstawił Wścieklicę jako symulanta.

– Przyślij mi jeszcze tego podchorążego w czasie apelu południowego, to dam mu jakieś prochy na wszelki wypadek, jak by się Stary coś jeszcze wtrącał – zasugerował dyplomatyczne rozwiązanie szef służby zdrowia JW 1281.

Rej dalej warował pod ścianą. Na jakiś czas stracił ochotę do manifestowania swych dowcipów. Dwie godziny na baczność to jednak dużo, szczególnie, że Siwak baczył, by podchorąży za często nie przestępował z nogi na nogę.

Wykład się przeciągnął. Temat zajęć był niezwykle frapujący, dotyczył bowiem materiałów, z jakich ludzkość wykonywała broń: *Od piszczeła do wojen gwiazdnych*. Ze szczególną pasją podporucznik opowiadał o drewnianych maczugach, nabijanych kościanymi guzami. Sugerował, że kształt Pershingów i SS-20 nawiązuje ideologicznie do zdobyczy neandertalskiej myśli technicznej.

– O dalszej części historii pomówimy, kurwa, za tydzień. A teraz żreć, wypierdalać. Ruchy, ruchy!

Po prostu podporucznik Maćko

Drugie śniadanie poprawiło nastroje. Każdy dostał po dwie świeże buły z masłem i solidny kawał kielbasy. Do picia podano herbatę! Kiepska, bo kiepska, ale zawsze lepsza od kawopodobnej lury dnia powszedniego.

– Kto zje szybciej, może wyjść przed budynek. Obok jest palarnia, można kurzyć!

Oświadczenie podoficera przyjęto z niedowierzaniem, które rychło przeszło w radość. Ponad połowa podchorążych skorzystała w oferty, w tym i niepalący.

Głównym obiektem zainteresowania był Rej. Gratulowano mu *przyłożenia trepowi*. Wielu zapowiadało, że oni to dopiero *tym chujom* pokażą, gdzie raki zimują. Rej szczerze życzył rozmówcom sukcesów.

Wymianę uprzejmości zakończył powrót Mucy:

– W dwuszeregu, na wysokości dębu...

Po drugim śniadaniu Stularczyk i Rej zostali wezwani na audiencję do komendanta SPR. Oprócz nich przed gabinetem dowódcy oczekiwał nowy kandydat na podchorążego.

– Cześć, panowie – powitał ich. – Wojtek Diabeł jestem. Jak tu jest?

– Też się spóźniłeś?

– Tak, bo dali mi w WKU zły adres – pokazał kartę powołania, na której przy numerze jednostki stało jak byk: Szczecin. Nazwę portowego grodu czyjaś ręka przekreśliła czerwonym atramentem. Jeszcze ktoś inny, zielonym kolorem, dopisał: Szczupakowo. – Najpierw pojechałem z Lublina do Szczecina, i dopiero stamtąd, znowu *via* Warszawa, tutaj.

– Wiele nie straciłeś – pocieszył go Rej.

Rozpoczęła się czwarta godzina zajęć. Szkolenie polityczno-wychowawcze było domeną podporucznika Maćki. Młody oficer dopiero debiutował w roli żołnierza zawodowego. Postanowił zachowywać się po koleżeńsku, nie stwarzać nadmiernego dystansu, akcentować, że sam przed kilkunastu miesiącami miał takie same problemy, jak oni teraz.

– Nie wstawajcie, koledzy – powiedział, wchodząc do sali. – Jak wicie, jestem tutaj, po prostu, oficerem politycznym. W związku z tym można się do mnie zwracać w razie potrzeby, tak po prostu, bez zachowywania drogi służbowej, która was obowiązuje w stosunku do innych oficerów. Nazywam się, po prostu, podporucz-

nik Maćko Krzysztof. Czy są może teraz jakieś pytania, po prostu, do mnie?

Ale pytań nie było. Oficer postanowił więc mile podchorążych zaskoczyć.

– Ja jeszcze kilka miesięcy temu też byłem, po prostu, podchorążym rezerwy i dopiero teraz zostałem, po prostu, żołnierzem zawodowym.

Lecz pytań ciągle nie było, jeśli nie liczyć kwestii wypowiedzianej szeptem, w jednej z tylnych ławek: *kretynem chyba trzeba być wielkim, żeby z bażanta trepem zostać*. Lecz podporucznik nie usłyszał tej uwagi i nadal starał się zachęcić słuchaczy do spontanicznych i szczerych wypowiedzi.

Rej został przez Piontka wezwany jako drugi. Ku miłemu zaskoczeniu bażanta, oficer zaproponował mu, by usiadł.

– Dlaczego podchorąży się spóźnił?

– Zwichnąłem nogę. Mam zwolnienie...

W odróżnieniu od Siwaka, kapitan nie negował wartości przedstawionego dokumentu.

– Jakie studia podchorąży ukończył?

– Prawo, UJ.

– W jakiej to miejscowości?

– UJ? – bażant uśmiechnął się szeroko, ale nie zachichotał.

– Uniwersytet Jagielloński w Krakowie.

– A co robicie obecnie?

– Studiuję w Szkole Filmowej w Łodzi.

– Bardzo ciekawe, bardzo. Miałem kiedyś znajomego reżysera. Nowaczyk się nazywał. Słyszał może podchorąży o nim?

Rej nie słyszał, co jednak kapitana specjalnie nie zdziwiło.

– A czy ma może podchorąży jakieś sprawy do mnie?

– Tak. Chciałbym iść do lekarza. Nie mogę wykonywać ćwiczeń siłowych.

– Dlaczego?
– Grozi mi odklejenie siatkówki. Właśnie na to mam A-3.
– Dobrze. Do lekarza to pójdziecie w przyszłym tygodniu, a na razie to ja was zwalnię z tego rodzaju ćwiczeń.
– Dziękuję.
– No, to proszę zawołać ostatniego.
– Dziękuję, przepraszam, do widzenia – Rej wydekłamał na pożegnanie formułkę nieprzyzwoicie odległą od przykazanej Regulaminem.

Piontka wprawiło to w osłupienie. Rej również był zdumiony. Nie mógł zrozumieć, jakim cudem komendantem SPR może być ktoś, z kim rozmawia się zupełnie bez wrzasków.

Pierwszy odzyskał równowagę kapitan:

– Może mi się odmeldować podchorąży raczy?

Rej zamykał już za sobą drzwi i może rzeczywiście nie dosłyszał upomnienia.

Do kancelarii zapukał Stularczyk.

Politruk uparcie próbował zainicjować dyskusję, w trakcie której podchorążowie mogliby szczerze wyrazić swe poglądy. Ale nadal nikt się nie kwapił do rozmowy na tematy polityczne. Maćko sięgnął więc po temat, który wydawał się samograjem:

– A co powie, może podchorąży – wskazał siedzącego w pierwszej ławce Borówkę – no, co powiecie o Gorbaczowie?

– Kanonier podchorąży Borówka! – zaśpiewał żołnierz.

– Prosiłem przecież, żebyście w czasie naszych zajęć, chyba że przyjdzie ktoś z wizytą, na przykład, po prostu, komendant SPR czy ktoś z zewnątrz, nie meldowali się, tylko robili wszystko tak po prostu, szczerze, spontanicznie... Żeby było, po prostu, zero fałszu...

Niektórzy bażanci szczerze i spontanicznie obgryzali paznokcie. Pozostali obserwowali Borówkę. Ten pewnie czuł ciężar spojrzeń.

– Ja... ja się nie znam, nie interesuję się polityką!
– O! – zdziwił się oficer. – Nie interesuje się, po prostu, podchorąży polityką? A jakie studia podchorąży skończył?
– Nauki po... polityczne.
Sala ryknęła śmiechem. Nie śmiali się tylko Maćko i Borówka. Z trudnej sytuacji wybawił obu Ruchacz, unosząc rękę w górę. Znalazł się wreszcie ktoś, kto chciał mówić!
– Proszę, podchorąży – wykładowca zezwolił, by Ruchacz zabrał głos.
– Obywatelu poruczniku, czy można wyjść do ubikacji?
Nie takiego pytania oczekiwał arbus (arbusami nazywają żołnierze oficerów politycznych, bo: *na zewnątrz zielony mundur, a w środku czerwona dusza*).
– Proszę iść. Ale może tak, po prostu, najpierw podchorąży coś nam powie o polityce?
– Ja skończyłem AWF i na polityce się nie znam. Mogę już iść na siku?

W osobistym kajecie Maćki znajdowały się m.in. takie zdania, zanotowane w trakcie nauki w SPR Oficerów Polityczno-Wychowawczych im. Feliksa Dzierżyńskiego w Łodzi:

Zawsze znajdzie się w końcu osoba, która ma ochotę włączyć się do dyskusji. Wszystko zależy od odpowiedniej zachęty. Zwykle jest to osoba, która pragnie przedstawić swoje poglądy i opinie, usłyszeć zarazem także zdanie innych. Taka osoba w naturalny i nieprzymuszony sposób pomaga prowadzącemu rozruszać dyskusję w pożądanym kierunku. Najlepiej, jeśli osoba taka jeszcze przed zajęciami uzgodni, o co i w jaki sposób ma pytać. Znakomicie się składa, jeśli

zgodnie z zasadami kultury takie zaskakujące i podchwytliwe pytania są przygotowane z odpowiednim wyprzedzeniem i przez tego, kto ma na nie udzielać odpowiedzi. Umożliwia to właściwą i komunikatywną odpowiedź.

Niestety, taki ideał nie był łatwy do osiągnięcia. Szczególnie w SPR-ach. Pod tym względem Szczupakowo na pewno nie stanowiło wyjątku. I to było przyczyną kulawego szczęścia Maćki, który na domiar złego zbyt krótko był oficerem polityczno-wychowawczym, by w pełni osiąść umiejętność prowadzenia trudnych dyskusji z podchorążymi. Obciążały go też przyzwyczajenia cywilne. Przecież doświadczony oficer nikogo nie zmusza do wyrażania poglądów, a po prostu mówi, jak powinny wyglądać wzorcowe odpowiedzi. Za ich powtórzenie chwali, a za sprzeciw – grozi rozmaitymi konsekwencjami.

Maćko popełnił oczywisty błąd taktyczny, a może i strategiczny. A za błędy popełnione w czasie operacji wojskowych zawsze przychodzi zapłacić...

– No to... niech może podchorąży tak po prostu powie... – cierpliwie wyłuskiwał *dobrowolnych* rozmówców Maćko – o polityce generała Jaruzelskiego.

Indagowany podniósł się ociężale i bez zachwytu spojrzął na oficera.

– Po co mam mówić? Tu i tak każdy swoje wie.

– Jesteście młodymi ludźmi, wasze światopoglądy są jeszcze nie do końca, po prostu, ukształtowane – podporucznik zagaił zgodnie z wytycznymi zdobytymi podczas szkolenia.

– Proszę pana... – uśmiechnął się Rej. – Przecież wszyscy tutaj są w tym samym wieku, co pan, albo i starsi.

– Podchorąży, proszę się jednak zwracać do mnie regulaminowo! Jesteśmy jednak, po prostu, w wojsku!

– Przepraszam.

– Ale tak, po prostu, nie przeszkadzajcie sobie, ja słucham.

– Mówimy o dyskusji. Ale na jaki temat?

– No, po prostu o naszym Generale, o polityce, gospodarce...

– Jaka jest gospodarka, to nawet ślepy widzi.

– Ale przecież, po prostu, polityka, taka ciekawa dziedzina. Historia... tyle szczegółów w ostatnich latach ujawniono. Białych płam... Nie można negować osiągnięć ludowej ojczyzny, błędy się każdemu zdarzają, po prostu. Gdzie drwa rąbią, tam wióry lecą. A podchorąży tak po prostu frontalnie podważa sojusze...

– Nic nawet na ten temat nie powiedziałem. To nie w tym rzecz. Problem w tym, że ciężko będzie porucznikowi znaleźć chętnych do rozmowy w sytuacji, gdy z góry wiadomo, jakie będą wnioski.

– Ale dlaczego podchorąży tak myśli? Jesteśmy w wojsku otwarcy, po prostu, na wszystkie wnioski, jakie są słuszne.

– Tylko że od lat spis tych jedynie słusznych wniosków się nie zmienia.

O dziwo, na sali wybuchła wrzawa. Wszyscy mówili – albo raczej krzyczeli – naraz. I chyba nie było nikogo, kto opowiedziałby się po stronie oficera.

– Cisza! Cisza! – Maćko zdjął but i walił nim o blat biurka. – Cisza! Bo zawołam, po prostu, resztę kadry!

Ta groźba poskutkowała. Nagle zrobiło się cicho jak makiem zasiał.

– Od lat wiadomo, że tylko program realnego socjalizmu jest, po prostu, słuszny! – Maćko groźnie powiódł wzrokiem po sali. Pantofel dalej dzierżył w dłoni. – Czy któryś z podchorążych, po prostu, zaprzeczy?!

Niczym na komendę wszystkie głowy pochyliły się pilnie nad pulpitemi.

– Nie, ja tego oczywiście nie neguję – odwaga Reja również miała realne granice. – Chodzi mi o inną kwestię.

– Czyli, po prostu, jaką?

– Dla nas nie mają sensu rozmowy o polityce, gdyż nie mamy na nią najmniejszego wpływu.

– No to dziękuję, że podchorąży wyraził swoje zdanie – powiedział ironicznie Maćko. – Czy ktoś chciałby coś dodać, po prostu? Tak szczerze, po prostu...

Głowy ponownie pochyliły się nad pulpitami.

– Koniec czwartej godziny lekcyjnej! – dobiegło z korytarza. – Przerwa!

– No to teraz dziesięć minut przerwy – potwierdził Maćko. – A po przerwie zrobimy sobie, po prostu, wybory do Sądu Koleżeńskiego i Rady Kultury.

Każdy mógł głosować jednocześnie na trzech kandydatów, bo tyle osób wchodziło do Sądu Koleżeńskiego. A że kandydować zgodziło się tylko czterech żołnierzy, wybór nie był trudny.

Reja poparło aż dwudziestu ośmiu podchorążych, Wścieklicę – dwudziestu pięciu, Tarkowskiego – piętnastu, a Maronia – ledwo pięciu. Ten rezultat jednoznacznie świadczył, że choć większość bażantów siedziała jak mysz pod miotłą i baczyła, by niczym nie narazić się kadrze, to ci, którzy ustawili się na pozycjach c o n t r a, cieszyli się sporym uznaniem, jako wyraziciele poglądów ogółu.

Rej zgodził się kandydować, bo był pewien sukcesu – uważał, że swoim zachowaniem zdobył już sympatię kolegów. Sądził również, że funkcja ta zawsze może się przydać. Słyszał o rozmaitych sytuacjach, w których Sąd Koleżeński wybronił podchorążych od kłopotów, jakie stałyby się ich udziałem w przypadku skierowania sprawy na drogę dyscyplinarną. No i miał spore doświadczenie w tym zakresie, ponieważ był członkiem podobnej instytucji podczas studiów.

Do Rady Kultury wybierano pięciu podchorążych, i tylu też zgłosiło się chętnych. Przewodniczącym został Jacek Bratek.

Wybory do obu organów kolegialnych przeszły gładko i bez animozji. Tylko Maroń czuł żal do kolegów.

Do zakończenia pięćdziesięciminutowej lekcji pozostało ponad pół godziny. Maćko wołał nie wracać do *ciekawej i spontanicznej* dyskusji. Przystąpił do dyktowania historii szlaku bojowego 1 ŚBAA w czasie II wojny światowej i nieco później. Oczywiście nie omieszkał wspomnieć przy okazji o zasługach Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej oraz samego Towarzysza Lenina dla przyznania Polsce i utrzymania przez nią niepodległości.

Zainteresowanie tymi rekolekcjami obywatela podporucznika było takie, na jakie one zasługiwały.

– Niech podchorąży nie patrzy w sufit, tylko notuje! Ja tych danych będę, po prostu, na następnych zajęciach wymagał! Tak po prostu, i nic więcej! Ale nikomu nie odpuszczę!

Szósta godzina zajęć nie odbyła się. Podchorążych zapędzono do klubu garnizonowego. Lokal ten, położony zaledwie kilka metrów od budynku sztabu brygady, znajdował się już poza obrębem koszar. Zbliżając się doń, bażanci poczuli więc lekki powiew wolności. Wrażenie to popsuka jednak obecność pokrzykujących na maszerującą kolumnę nadzorców. Gdy wszyscy znaleźli się wewnątrz budynku, atmosfera stała się znacznie przyjemniejsza. Oczekującym dostojnego gościa z Głównego Zarządu Politycznego Ludowego Wojska Polskiego pozwolono palić w hallu klubu i – co więcej – rozmawiać.

Doszło też do spotkania z podchorążymi OC. Wymieniono wrażenia. Porównanie praw i obowiązków wypadło dla artylerzystów katastrofalnie. Dla niektórych świadomość, że *tamci* mają lepiej, okazała się zbyt trudna do zniesienia.

– Jestem dumny, że jestem artylerzystą, a nie byle OCelotowskim tłukiem! – stwierdził Maroń. – Tacy jak wy to nie są prawdziwi mężczyźni, tylko nygusy!

To oświadczenie wzburzyło niektórych OCelotów, a zwłaszcza absolwentów AWF. Było takich wielu, gdyż tylko teoretycznie w OC należało legitymować się kategorią zdrowia A-3. W praktyce wystarczała A-1, byle w połączeniu ze stosownymi znajomościami, popartymi odpowiednimi prezentami we właściwym momencie.

– Zobaczmy! – warknął szeregowy podchorąży Dziobek. – W mordę go!

Zanosilo się na konflikt w stylu wiejskiego wesela. Ale dowództwo w porę, choć przypadkowo, zapobiegło awanturze. Okazało się, że pułkownik Żentyca nie dotarł... A przyczyną jego genialnego posunięcia był znakomity bimberk, pochodzący jeszcze z czasów, gdy profosem aresztu 1 ŚBAA był starszy sierżant Maski – butelka spokojnie drzemała w schowku pani Janiny, czekając na Wielką Okazję do zemsty na wiarołomnym mężu. Podchorążych zapędzono więc do koszar.

Skarpeta contra onuca

W czasie apelu południowego podchorążym rozkazano zdjąć po prawym bucie.

Kontrolowano, czy ktoś nie ważył się założyć skarpet, zamiast przykazanych onuc. Wzór onucy obowiązujący w 1 ŚBAA był bardzo praktyczny na papierze i w rozliczeniach księgowości. Onucki były dwoma prostokątnymi kawałkami tkaniny. Otrzymywano je, drąc stare prześcieradła. Tak wytworzone owijacze miały tylko jedną wadę: zupełnie nie chroniły stóp przed otarciami, a nawet same ich przysparzały. Przepis mundurowy jest jednak rozkazem, trzeba go szanować i przestrzegać.

Ośmiu delikwentów wpisano na czarną listę. Kazano im zdjąć skarpety, a założyć onuce. Ponadto za karę mieli zgłosić się po obiedzie, w Czasie Wolnym, do sierżanta Maskiego.

Sierżant zgarnął gromadkę winowajców, ustawił dwójkami i poprowadził w sobie wiadomym kierunku.

Okazało się, że ukarani bażanci byli potrzebni w szczupakowskim przedszkolu do wstawienia w kuchni zamrażarki. Zadanie wykonali w pięć minut.

– A teraz poczekajcie na mnie. Można palić!

Maski rozstał się z podwładnymi na dobrą godzinę.

– Obywatelu sierżancie...

– Słucham, podchorąży – Maski otarł szminkę z czoła. Właśnie zakończył spotkanie z czarującą przedszkolanką, więc świat widział w kolorach ciepłych i jasnych.

Rej świetnie wyczuł jego nastrój.

– Słyszałem – uśmiechnął się przymilnie – że szef kompanii może zwolnić żołnierza od chodzenia w onucach.

– A kto tak mówił?

– Słyszałem w audycji radiowej.

– A dlaczego podchorąży nie chce chodzić w owijaczach? W rozkazie jasno na białym pisze przecież, że są znacznie zdrowsze od skarpet. Nogi macie do ciężkich, kurewka, butów nieprzywykłe – wyciągnął z kieszeni paczkę popularnych. – Zapalicie?

– Dziękuję, nie palę.

– He, he, w wojsku palić się nauczycie. Sami zobaczycie.

– Mam to już za sobą. Paliłem, i to dużo. Rzuciłem prawie rok temu.

– Zobaczmy, zobaczymy... – powątpiewał sierżant. – Ale co z tymi onucami?

– Onuce powinny być wełniane i kwadratowe, żeby je dobrze owinąć. To, co tutaj dostaliśmy, to zwykłe ściery.

– Ale innych, kurewka, na stanie nie ma i nie będzie.

– A czy mógłbym chodzić w skarpetach? – wiedząc, że sierżant jest w dobrym nastroju, Rej kuł żelazo póki gorące. – Przed chwilą zdjąłem but. Już mam bąbla na palcu, choć onuce założyłem ledwo dwie godziny temu.

– Widać nogi macie nieprzyzwyczajone do ciężkich butów.

– To mój pierwszy bąbel w życiu! Ja jestem przewodnikiem górskim i sam nie pamiętam, ile traperskich buciorów zdarłem. Chadzałem po kilkudziesiąt kilometrów dziennie i nie miałem żadnych kłopotów z nogami!

– No tak, rozumiem... – sierżant uśmiechnął się do widocznej za firanką kobiecej sylwetki. – Ale jak ja wam mogę pomóc?

– Zezwolić mi na noszenie skarpet.

– Ale ja, niestety, nie mogę. Onuce są, kurewka, dla waszego zdrowia.

– Przecież więcej z nich szkody niż pożytku!

– No to co? Ja nie mam, kurewka, możliwości, bo czepialiby się mnie, że was ukarałem...

– I to jest pomysł! – zapalił się do idei Rej. – Może właśnie trzeba mnie ukarać! Zakazem noszenia onuc.

– Ale za co?

– Na przykład za uporczywe odmawianie ich noszenia.

– A, niech wam, kurewka, będzie – machnął ręką Maski. – Tylko przypomnijcie mi na SPR, żebym kazał to Marmusze do rozkazu wpisać.

– Dziękuję bardzo! Czyli zaraz po powrocie mogę założyć skarpety?

– Możecie. A teraz powiedzcie kolegom, że trzeba poczekać jeszcze na mnie chwilę. Za kwadransik wrócę, a wy zakurczcie jeszcze po jednym.

Rej wrócił do oczekujących po drugiej stronie przedszkolnego podwórza kolegów i opowiedział o swym sukcesie.

Podręczniki wojskowości słusznie twierdzą, że rozbudowany system kar w socjalistycznej armii jest rzeczą bardzo cenną. Ważne, by zarówno ukarany, jak i karzący zdawali sobie sprawę z przyczyny kary i znali jej dolegliwości.

Nieobecność sierżanta przedłużała się. Podoficer rozwiązywał problemy takie same, jak poprzednio, ale tym razem haftki haleczki pani Zosieńki były znacznie bardziej poplątane.

Ukarani powrócili do koszar dopiero przed osiemnąstą. Przed budynkiem SPR spotkali Kotwicę.

– I co tak długo robiliście? – zapytał, ocierając pot z czoła.

– Oj, bardzo ciężko pracowaliśmy w przedszkolu – roześmiał się Rej.

– My tutaj też ciężko – ze zrozumieniem pokiwał głową Kotwica. – Musieliśmy wynieść wszystkie łóżka i szafki, bo ogłoszono alarm przeciwpożarowy. Przegonili nas z tymi ławkami wokół placu, rękę sobie rozciąłem...

– A teraz co jest grane?

– Widzicie przecież, że mnie kazali liście zbierać. I tak mi się udało! Inni pracują w środku, przenoszą łóżka.

Okazało się, że postanowiono przekwaterować podchorążych tak, aby w każdej sali mieszkali żołnierze tylko z jednego plutonu. Dźwiękowy – w sali 107, zwiad – 106, a najliczniejsze topo ulokowano w 103 i 104.

Słyszając to, ukarani pracą w przedszkolu z zadowoleniem spojrzeli po sobie.

– Widzisz, już wczoraj mówiłem, że najważniejsze w wojsku to zostać ukaranym we właściwym momencie! – Rej mrugnął do Stularczyka. Wyprawę pod przewodnictwem Maskiego uważał

za najprzyjemniejszy akcent w swej blisko już dwudziestoczworo-
dzinnej karierze w Ludowym Wojsku Polskim.

Przeprowadzka nieprawidłowo zakwaterowanych podchorążych przebiegła w zasadzie prawidłowo. *W z a s a d z i e...*

Ogórkę przekwaterowano z sali 103 do izby zwiadowców – 106. Tak należało postąpić z ciuchami Reja, ale jego łoże i bagaże przeniesiono do 104, razem z dobytkiem Wścieklicy i Stularczyka. Za to Kostyka pozostawiono w sali 103.

Było również kilka innych drobnych pomyłek.

Maski wyjaśnił, że błędy zostaną naprawione następnego dnia. Zaś podchorążych czekały inne zajęcia. Niewątpliwie były one niezbędne dla dalszego systematycznego podnoszenia obronności ludowej ojczyzny.

Pierwsze z tych zajęć nie wzbudziło protestów – kolacja w wojsku zawsze przyjmowana jest radośnie. Koniec kolejnego dzionka miłej służby! Bo ta służba musiała być miła. Nie na darmo budynek klubu żołnierskiego zdobił transparent: *Przyszłeś do Wojska nie-
okszeszanym chłopcem, wyjdziesz – doświadczonego i świadomym swych
obowiązków wobec Partii i Ojczyzny mężczyzną i obywatelem.*

Drugie zajęcia również nie było czymś nadzwyczajnym. Co niektórym nawet z wolna wchodziło już w krew... Rejony! *Gdy na ba-
terii jest robota – każdy kot na wagę złota.*

Korytarz rychło zyskał reputację najgorszego rejonu. Tu podoficer dyżurny najłatwiej mógł się przyssać do prawdziwego lub urojonego brakoróbstwa. Wystarczyło przejść po posprzątanym odcinku podłogi, by sprezentować korytarzowcom kolejną działkę sprzątnięcia i zmywania. Również koledzy, nawet przy najlepszej woli, utrudniali pracę laserowcom i szmaciarzom, a ci musieli robić swoje, choć zawsze brakowało ścier, szczotek i szufelek. Po korytarzu wciąż krążył podoficer i ganił przezeń dyżurni, czasem zajął gość z zewnątrz.

Przydział rejonu decydował, na ile wątpliwą przyjemnością będzie wieczór.

– Król – korytarz! – wyczytał Muca.

– Z jakiej okazji?! – wybuchnął protestem podchorąży. – Już trzeci dzień z rzędu?! Czy ja tu sam jestem?!

– Zero dyskusji! – kapral nie zamierzał ustępować. – Morda w kubel!

– Wykonać! – rzekł z przekonaniem kapitan Piontek, który z boku kibicował przydziałowi rejonów. – I wszystko na ten temat!

Po chwili jednak zmienił zdanie:

– Ma teraz ktoś coś do powiedzenia?

O dziwo, chętny się znalazł.

– Obywatelu kapitanie, czy nie byłoby lepiej...

– Podchorąży – przerwał Piontek – wy mnie znacie, a ja was nie. To może przedstawilibyście się mnie i kolegom z pododdziału? Kultura tego wymaga, prawda?

– Obywatelu kapitanie, kanonier podchorąży Mamut – wygląd żołnierza stanowił absolutne zaprzeczenie jego nazwiska. Niski, cherlawy blondynek z wyraźnie zaznaczającą się łysinką. Przemykał dotąd po SPR tak niepostrzeżenie, że wielu odnosiło wrażenie, iż widzi go teraz po raz pierwszy. – Słyszałem, że w niektórych SPR-ach...

– Podchorąży – przerwał komendant – upominałem was już niejednokrotnie, by wymawiać pełną nazwę naszej Szkoły, a nie obywatel się skrótami.

Mamut zrobił zdziwioną minę, bo o takim poleceniu słyszał po raz pierwszy. Posłusznie jednak je wykonał:

– Słyszałem, że w niektórych Szkołach Podchorążych Rezerwy to sami ba... sami podchorążowie prowadzą listy rejonów, a nie robią tego za nich kaprale. Czy u nas nie dałoby się tak samo?

– Dobrze – kapitan przyjął propozycję. – Wybierzecie rejonowego i niech on się martwi, w ramach waszej samorządności, przydziałem pracy. Ale na dzisiaj musi już zostać w tym temacie tak, jak kapral powie.

Korytarzowcy podzielili już funkcje: rutyniarz Król zarezerwował dla siebie rozkładanie gazet na uwolnionym od brudu terenie, nowicjusze Rej i Stularczyk otrzymali szmaty, Hultajek sięgnął po laser, Ruchacz złapał za szczotę. Trzej pozostali założyli trampki, by nimi wymazywać szpecące podłogę duże i małe rysy.

– Podchorąży Rej!

– Co tam? – burknął wywołany żołnierz, pracowicie zbierający wodę szmatą.

– Powstań! Baczość!

Rej wykonał polecenie. Pozostali tym mocniej zaangażowali się w pracę na zleconych odcinkach frontu.

– Macie się po żołniersku zachowywać! – pouczał Muca. I nie myślcie sobie, że jak dziś wam odpuściłem naukę siania wozu, to jutro o tym zapomnę!

– Nie myślę...

– W wojsku nie jesteście po to, by myśleć, ale po to, żeby służyć!

– przypomniał kapral.

– Pieski służą – prychnął podchorąży.

– Co mówiliście?!

– Nic, nic...

Kiedy zabrzmiał sygnał Dziennika Telewizyjnego, Olszewski i Rej wyżymali szmaty w umywalni. Mokre dresy przyklepały im się do skóry.

– Cholera, nie ma nawet jak tych patrzydełek wyczyścić! – zaklął Olszewski. Obydwaj nosili okulary, zalane teraz brudną wodą i potem. – Trzeba chyba zajrzeć do pokoju, ręcznikiem ręce wytrzeć.

Ale Olszewski nie zdążył tego zrobić.

– Natychmiast na Dziennik! Bo do raportu pójdziecie! – Muca wpadł do umywalni. Wyrwał podchorążemu ścierę i cisnął na podłogę. – Ruchy, ruchy!

Polecenie zostało wykonane.

Czym uszczęśliwiano i edukowano żołnierzy, zanim na stan obowiązkowego wyposażenia każdej kapliczki wojskowego szkolenia politycznego weszły odbiorniki telewizyjne? Pewnie budującymi pogadankami wychowawczymi. Telewizor pojawił się w polskich koszarach dopiero w latach sześćdziesiątych, czyli nieco później niż inne nowoczesne rodzaje uzbrojenia. Ale rychło się zadomowił i stał się niezastąpiony jako środek masowego rażenia ideologicznego.

– Kto tam, kurwa, chrapie?! – zezłościł się kapral nadzorujący odbiór wieczornej porcji prawd codziennych.

Rzeczywiście, korzystając z tego, że światło było zgaszone, przysnął sobie Lange.

– Wróć! Zapalić światło! Nikt tu nie będzie spał, bo ZOMZ dostanie! Wykonać!

– Ale... – wyrwany ze snu nieśmiało próbował zabrać głos.

– Zero dyskusji! – kapral ukrócił wichrzycielskie zapędy. I dodał z przyzwyczajenia, choć bez sensu: – Ruchy, ruchy!

Ale nikt się nie roześmiał.

Tym razem rejonowy zostały przyjęte przed apelem wieczornym. Podoficer dyżurny, starszy kapral Kozioł, nie wydziwiał. Wiedział już, że w czwartek wyjedzie na zaległy urlop taryfowy, który przysługuje każdemu żołnierzowi w wymiarze siedmiu dni za pierwszy i dziesięciu dni za drugi rok służby. Na dodatek liczył jeszcze na pięć dni nagrodówki. Razem to ponad trzy tygodnie wczasów!

Kozioł ciągle nie wykorzystał urlopu taryfowego tylko dlatego, że mieszkał zaledwie kilkanaście kilometrów od Szczupakowa. A Siwak nie skąpił mu przepustek i nagrodówek. Starszy kapral prawie w każdą niedzielę – jeśli tylko nie miał służby – bywał w domu (jego ojciec, wicedyrektor PGR-u, sprzedał całe przydomowe stadko świń na łapówkę dla Rejonowej Komisji Uzupelnień, aby syn mógł służyć blisko domu... Kozioł był jedynym takim szczęściarzem w plutonie – pozostali pochodzili z południa Polski). Taryfę chował na lepszą okazję, ta jednak wciąż się nie trafiała. Teraz też jej w sumie nie było, ale urlop trzeba wykorzystać. Przecież już w październiku rozstanie się z wojskiem, za którym Bogiem a prawdą wcale nie przepadał. Nie na darmo napisał na swej fali, sporządzonej, jak każe obyczaj, z krawieckiego metra:

*Kiedy przyjdzie Jesień Polska
– wtedy właśnie wyjdę z wojska.
Jak powiadał sam Kopernik
– najpiękniejszy jest październik.*

Kozioł zastanawiał się, jak zaadaptuje się w cywilu. Przez dwa lata tak przyzwyczajono go do stylu życia opartego na: *wróć! rozkaz! wykonać!* i *zero dyskusji!* że już nie potrafił zachowywać się inaczej, niż nakazywały krzyczone normy. W jego przypadku przyzwyczajenie stanowiło nie tyle drugą, ile pierwszą naturę.

– Kurwa, szybciej na ten apel! – ponaglił. – Ruchy, ruchy!

Odczytał listę obecności z Książki Gotowości Bojowej Pododdziału. Następnie, pomny że jest dowódcą drugiej drużyny plutonu topograficznego, zdecydował:

– Pierwszy myje się pluton topo, drugi – zwiad, trzeci – dźwięk. Rozejść się. Ruchy, ruchy!

Wielki zegar wskazywał dziewięć minut po godzinie dziewiątej. Do capstrzyku pozostało dwadzieścia jeden minut.

W umywalni topografowie kończyli wychłapywanie ciepłej wody. Na korytarzu Kozioł dyrygował zwiadowcami:

– Kolejno ooo-licz!

– Raz!

– Dwa!

– Trzy!

– Cztery!

– Pięć!

– Pusty! – uzupełnił stojący w drugim rzędzie Kotwica.

– Idioto niedouczony! – wrzasnął podoficer. – Jak nie ma pełnej dwójki, to nic się nie krzyczy! Wiadomo, że pusty. Wróć.

Podchorążowie milczeli.

– Mówię przecie: wróć!!! Od nowa! Nie ma dziwne!

Szmer zrozumienia przebiegł przez dwuszereg.

– Znaczą się od nowa? – Hultajek manifestacyjnie podrapał się po tylnej części ciała.

Zmęczony szkoleniem kapral skinął głową.

– Raz!

– Dwa!

– Trzy!

– Cztery!

– Pięć!

– No to w prawo zwrot! Do umywalni marsz! Rząd w tył!

Lecz zwiadowcom nie było jeszcze dane się umyć.

– Wróć! Ma was być dziesięciu, a jest dziewięciu. Kogo brak?

– Na apelu wszyscy byli... – zastanawiał się senny Lange.

– Nie ma Reja! – wykazał się spostrzegawczością Kogutowski.

– Podchorąży Rej, podchorąży Rej! – zawołał podoficer.

– Jestem! – z izby 104 wyczłapała rozmemłana postać.

– A podchorążego to zbiórka nie obowiązuje?! – warknął Kozioł.

Rej odpowiedział we właściwy sobie sposób: uśmiechnął się uprzejmie.

– Zdejmujemy podchorążemu ten uśmiech z twarzy! – wrzasnął Koziół.

– Nie wiedziałem, że ta zbiórka jest i dla mnie. Mieszkam przecież gdzie indziej.

– A w jakim podchorąży jest plutonie?

– Zdaje się, że w dźwiękowym, ale mieszkam razem z topo.

Ignorancja Reja doprowadziła podoficera do eksplozji:

– Takich rzeczy, kurwa, nie wiedzieć! W zwiadzie jesteście! Spierdalajcie stąd w podskokach! Dziś się nie myjecie. Ruchy!

– Przez ciebie straciliśmy tyle czasu na mycie! – powiedział z wyrzutem Nodryś.

– Ale ja nie wiedziałem... – usiłował tłumaczyć się Rej.

– Wracać, podchorąży Rej, do sali! Reszta – w prawo zwrot, do umywalni marsz! Rząd w tył! Ruchy, ruchy!

– Obywatelu kapralu, proszę o pozwolenie odejścia! – tym razem Rej na wszelki wypadek odmeldował się przepisowo i głośno tupiąc, pobiegł do sypialni.

Daleki był od rozpaczy. Zgarnął kosmetyczne utensylia i podreptał, zadowolony, do ubikacji.

Lecz powtórzenie porannego manewru okazało się utrudnione – tym razem z kranu niechętnie wytoczył się strumyczek cieczy. Nie miała ona wiele wspólnego ze źródlaną wodą. Nawet kominiarza mogła tylko dobrudzić.

Życie w wojsku potrafi być zaskakujące – westchnął Rej.

Wtorek. Przebudzenie

W sali 104 kilka osób głośno chrapało. Rej długo nie mógł zasnąć. Ale rankiem obudził się rześki. Po smacznym śniadaniu zaczęły się wykłady. Apelu nie było.

Tematem pierwszej godziny zajęć była taktyka. Lekcję prowadził sympatyczny major. Aby łatwiej nawiązać kontakt z podchorążymi, usiadł na biurku, a nie na krześle.

– Wiecie, koledzy, jak to jest na wojnie. Człowiek raz na wozie, raz pod wozem... – wyciągnął z kieszeni wymiętoszoną paczkę klubowych. – Ma może któryś z panów zapałki? – po chwili ze smakiem zaciągnął się dymem. – Wiecie, jak to jest. Co ja wam będę pusto pierdolił...

Jedni słuchacze pisali listy, inni czytali książki, ktoś półgłosem przepowiadał sobie angielskie słówka. Niektórzy ułożyli się do snu. Jakiś wygodniś przydzwigał nawet poduszkę na salę, a inny rozłożył się na zerwanej z okna zasłonie.

– Tak, tak – kontynuował wykładowca – w wojsku trzeba dobrze żyć z ludźmi. Może któryś z panów się napije? – wyciągnął zza pazuchy butelkę bimbru. – Proszę, własnej roboty. – Odkręcił zakrętkę, solidnie łyknął i otarł rękawem usta. – Kto następny?

O chętnych nie było trudno. Zajęcia przebiegały w znakomitej atmosferze. Pojawiła się, nie wiadomo skąd, gitara. Przy jej akompaniamencie śpiewano utwory bardziej i mniej patriotyczne. Tych ostatnich było więcej.

– Niech no kto skoczy migiem do mnie – zaproponował major. – Mam w domu całą beczuszkę takiego specjału. Niech ze dwóch wezmie taczkę i przywiezie. A do córki koleżanki przyjechały. Przyprowadźcie wszystkie, niech się dziewczyny zabawią, he, he...

Chętni znaleźli się szybko.

– Tylko zadzwonię jeszcze do oficera dyżurnego, żeby samochód wam dał, bo po co się z taczkami szarpać – oficer podrapał szczeniasty policzek. – Dajcie telefon.

Okazało się, że podoficer dyżurny telefon już przyniósł. Znał obyczaj swego dowódcy. Ale przyrzeczonej beczuszki nie udało się napocząć z przyczyn bardzo prozaicznych...

– Pobudka, pobudka! – wydarł się wniebogłosy Kozioł. – Do zaprawy porannej pozostało dziesięć minut! Ruchy, ruchy!

– Taki miałem piękny sen – wstając, uzałił się Rej. – O SPR marzeń. Podobno istnieją takie...

– Trzeba być zdrowo pojebanym, żeby nawet śnić o wojsku – sarknął Wścieklica.

– W takiej szkółce też byś sobie odpoczął! – bronił się Rej.

– Nie gadać, tylko wozy do wietrzenia słać! – ponaglał Tulski.

– Bo stracimy punkty we współzawodnictwie izb! Ruchy, ruchy!

Rej ze zdumieniem spojrział na Tulskiego. Czyżby znowu coś mu się śniło?

– Co tak gały wywalasz? – oburzył się Tulski. – Ruchy, ruchy!

Prowadzona przez Mucę zaprawa przebiegała z urozmaicheniami. Podoficer wyszukiwał co słabszych podchorążych i trenował, ganiając ich w tempie przyspieszonym. Sam wprawdzie zadatków na rekordzistę świata nie miał, ale jego kondycja i tak z nawiązką wystarczała do pogněbienia Borówki, Nodrysia, Chrynia czy Szylickiego. Krnąbrny Wścieklica zaliczył trzy przymusowe okrężenia wielkiego placu, czyli ponad tysiąc dwieście metrów. Bazanci mieli za zadanie przebiec codziennie około trzech kilometrów. Do tego dochodziły ćwiczenia w miejscu (głównie pompki) i w marszu (pozorankie wymachiwanie ramionami lub męczące serie żabek). Niby nie było to wiele, ale trzeba pamiętać, że znakomita większość od lat nie była zmuszana do takiego wysiłku. Kurację biegową zaordynowano zbyt raptownie, bez żadnego przygotowania. A bieg po asfalcie w tenisówkach – założonych na boscie stopy – szczególnie ostro odczuwały ścięgni.

Wreszcie sportowa przyjemność dobiegła końca.

– Co za życie! Jeszcze się człowiek nie obudził, a już mu biegać każą! – narzekał Hultajek. – Co to ja koń jestem?!

– A dla mnie to jedyna przyjemna część dnia – powiedział ktoś, ku zaskoczeniu większości.

– Lepiej nie pleć, bo jeszcze usłyszą, i cały dzień nam biegać każą! – przeraził się Borówka.

– Mnie tam wisi! – wysportowany Ogórko zajmował pozycję neutralną.

W tej sprawie miał również swe zdanie i starszy szeregowy Marmucha:

– Morda w kubeł! Zero dyskusji! Ruchy, ruchy!

Izby żołnierskie zastali udekorowane białymi flagami. Rolę sztandarów pełniła pościel – w czasie zaprawy Kozioł, zmuszając do pomocy dyżurnych, solidnie przemeblował SPR.

– Żebyście za dużo rano nie gadali i pamiętali nauczyć się słać wozy do wietrzenia! – wyjaśnił z porannym uśmiechem podoficer. – Pierwszy myje się pluton topo! Pozostali ścielają wozy! Ruchy, ruchy!

– Pluton topo kończy mycie! Pluton dźwiękowy – zbiórka!

– Pluton dźwiękowy kończy mycie! Pluton zwiadu – zbiórka!

Tym razem Rej uważnie nasłuchiwał sygnału do mycia. Choć do grzyba miał dalej niż reszta plutonu, zjawił się równo z kolegami. Niestety...

– A czemu to podchorąży Rej już w spodniach?! – zagadnął Kozioł.

– Zaraz przecież wychodzimy na śniadanie. Myślałem...

– Nie od myślenia tu jesteście! Tu jest wojsko i macie być jednakowo ubrani! Tylko laczki i atramenty! Wykonać!

– Ojejku, obywatelu kapralu – wtrącił naiwnie Lange – to ja też mam zdjąć podkoszulek?

– Że też nie zauważyłem! Natychmiast zdejmować! Góra – goła skóra! Dół – atramenty! Ruchy, ruchy!

Śniadanie – tradycyjnie zupa mleczna, znowu przypalona. Do tego podejrzanie wyglądająca kawa. Większość racjonalizatorsko mieszała obie te rzeczy. Mikstura była zdecydowanie mniej obrzydliwa niż jej składniki solo.

Ponadto wyfasowali trochę margaryny, żółtego sera i praktycznie dowolną ilość słodkiego dżemu oraz średniej świeżości chleba.

Powrót.

Czyszczenie butów.

Apel.

Pierwsza godzina zajęć. I zarazem pierwszy poważny kontakt z Musztrą. A to zagadnienie podstawowe dla zwartości i siły bojowej ludowej armii. Musztra jest niezbędną zarówno dla właściwego przeprowadzania defilad, jak i wielu innych celów – niektóre z nich są tak tajne, że nawet myśleć o tym nie wolno.

Po kilkunastu minutach zajęć wielu bażantów uznało, iż właściwym zadaniem musztry jest uczynienie z nich tresowanych małp.

– Wyżej noga! Kurwa! Wyżej! Ruchy, ruchy! – instruował porucznik Śmiechocki. – To ma być dwaadzieścia centymetrów! Tak jak ja to robię! Wykonać! – i demonstrował, unosząc stopę na wysokość pasa.

– Wyżej noga, wyżej! – jak echo powtarzał za nim Muca. – Wykonać!

Po trzeciej godzinie ćwiczeń podążający na drugie śniadanie podchorążowie nie myśleli już w ogóle o celach, jakim służy szkolenie. Nie marzyli o niczym innym, jak tylko o szklance zimnej wody i choć chwili spokoju. I tylko Nawrocki, siadając już w stołówce, zdobył się na melancholijną refleksję:

– Świat jest piękny, i to niedaleko stąd...

Siwak, który spożywał śniadanie razem z podwładnymi, nie docenił tej refleksji:

– Zero dyskusji! Nawet jak sobaka je, to nie szczeka! – i dorzucił ironicznie: – Też mi k u l t u r a, kurwa! – Po czym przystąpił do wesołej konwersacji z przybyłym właśnie Śmiechockim; rozmawiali o przewidywanych podwyżkach uposażeń, których kadra zawodowa LWP spodziewała się lada dzień. Wreszcie pensje przekroczą sto tysięcy! A że Siwak pewien był przy tym rychłego awansu, więc powodów do radości mu nie brakowało.

W czwartej godzinie zajęć, również poświęconych musztrze, Siwakowi, Śmiechockiemu i Mucy przybyła do pomocy nowa siła fachowa – plutonowy podchorąży Zabawa. W związku z tym bażantów podzielono na trzy grupy treningowe. Całość nadzorował Siwak.

– Kończyć realizację zagadnienia pierwszego! – komenderował oficer szkoleniowy. – Dowódcy plutonów, do mnie!

– Bacność!

– Bacność!

– Bacność!

Śmiechocki, Zabawa i Muca odeszli od podopiecznych. Podchorążowie, stojąc w równych rzędkach, czekali na ich powrót.

– Co za cholerny upał – westchnął Malczyk.

„Musztra jest niezbędna zarówno dla właściwego przeprowadzania defilad, jak i wielu innych celów – niektóre z nich są tak tajne, że nawet myśleć o tym nie wolno. Po kilkunastu minutach zajęć wielu bażantów uznało, iż właściwym zadaniem musztry jest uczynienie z nich tresowanych małp.”

– Cicho, bo nas ukarzą! – skarcił go Borówka.

Szczęściem opiekujący się ich pododdziałem Muca był od nich oddalony o dobrych dwadzieścia metrów i wciąż jeszcze słuchał instrukcji dotyczących prowadzenia dalszych ćwiczeń.

– Instruktorzy... do drużyn... wróć! – zarządził Siwak.

Wszyscy trzej wykonali w tył zwrot i ruszyli ku swoim trzódkom.

– Baczość! Zagadnienie numer dwa: zwroty w tył! – grzmiał mocny głos Siwaka. – Realizacja w grupach! Wykonać! Spocznij!

– Ćwiczmy na tempa – tłumaczyli instruktorzy. – Tempo raz: ciężar na nodze lewej, prawa lekko, kurwa, ugięta... – demonstrował Śmiechocki.

– ... Obracamy się na pięcie lewej nogi i palcach prawej – z pełnym namaszczeniem wykonywał zadanie Muca. – ... i tempo dwa, czyli dostawiamy prawą nogę do lewej i przyjmujemy pozycję zasadniczą. To wszystko – podoficer rozejrzał się po twarzach. – To teraz zademonstruje wykonanie zagadnienia podchorąży Tomala.

– Jestem! – odpowiedział wywołany.

– Wystąp!

– Słuchaj, czy ten cyrk będzie trwał całe cztery miesiące? – zapytał, nie bacząc na nierówność szarż, Rej.

– Eee... Przyzwyczajacie się – odparł Zabawa. – Na początku to zawsze wkurwia. Najważniejsze to przestać się byle czemu dziwić i traktować wszystko jak normalkę. Tutaj szweje często powtarzają: *nie ma dziwne*. Wy też się przyzwyczajacie, jak inni, którzy przez to przeszli. Nie macie wyjścia.

– Przyzwyczajamy? Więc nic się nie zmieni, oprócz nas?!

– Wiesz... – pocieszył Zabawa. – Tu nie jest przecież najgorzej, to nie zetka. Jeszcze teraz wrócą chłopaki z urlopów...

– I co, nie będzie już tego cholernego Mucy? – zapytał Olszewski.

– Będzie, będzie... A co, już wam tak za skórę zalazł? – zaśmiał się Zabawa.

– Ten drugi kapral lepszy nie jest – powiedział Rej.

– Ale jeszcze nie wiecie – udzielił cennej informacji Zabawa – że on, w odróżnieniu od Mucy, nie kabluje trepom. Z Mucą ja też muszę uważać, co mówię.

– No, na nas to na razie tylko wrzeszczy i mówić się z nim nie da – stwierdził Rej.

– A co ten kretyn miałby do powiedzenia? – szydził Olszewski.

– To prawda – przyznał plutonowy podchorąży – pogadać z nim się raczej nie da. Choć przecież skończył i technikum, i dwuletnie studium potem. Na szkółce elewów go zastraszyli...

– Ale wrzeszczeć to potrafi! – przyznał Maroń.

Jakby na potwierdzenie tej opinii Muca ryknął wniebogłosy:

– Jak tego można nie jarzyć?!

Mamut przeżywał katusze pod żelazną ręką podoficera.

– Jak tego można nie umieć?!

Jednak podchorąży demonstrował uparcie, że można. Rychło pokazało to również wielu innych bażantów. Kolejni delikwenci udowadniali, że wykształcenie uniwersyteckie czy politechniczne nie wystarcza do prawidłowego wykonywania zwrotów w lewo, w prawo i w tył. O występowaniu z szeregu lepiej już nawet nie wspominać.

– Tępota, sama tępota! – rozpacział kapitan Piontek, obserwujący niesmaczne widowisko przez okno gabinetu. – Co za tępota! Zero myśli!

– W czasie Czasu Wolnego i Nauki Własnej podchorążowie ćwiczyć będą musztrę! – komendant SPR Artylerii objawił swą wolę na apelu południowym. – Dodatkowa porcja ćwiczeń jest niezbędną dla dalszego systematycznego podnoszenia poziomu wyszkolenia bojowego i ideologicznego stanu osobowego Szkoły!

Jęk okazał się chóralną odpowiedzią niedoszkolonego *stanu osobowego*.

– Zagadnienie drugie: mówiliśmy wczoraj o tym, że chcecie sami ustalać rejony – niezrażony protestami komendant przeszedł do kolejnej kwestii. – Czy wybraliście już rejonowego w celu podziału rejonów?

– Nie było kiedy... – odezwał się nieśmiało głos z drugiego szeregu.

– Widzicie? Jak co do czego, to za rękę trzeba was prowadzić – stwierdził pogardliwie Piontek. – Nawet tak prostej sprawy, jak wybory, zorganizować prawidłowo nie potraficie!

Kapitan nie wnikał w przyczyny. Postąpił słusznie, bo żołnierz powinien radzić sobie w każdej sytuacji, a nie oglądać się na przełożonych. Wojsko wyrabia samodzielność i uczy inicjatywy! Piontek w każdym razie święcie w to wierzył.

– No to róbcie teraz te wybory! – zarządził. – Żeby na jutro było z tym wszystko na ten temat!

– Proponuję podchorążego Mamuta – bąknął ktoś z tyłu.

– Czy są inne kon... konkandydatury?

– Podchorąży Maroń jest kontrkandydatem! – zaproponował szturchnięty przez tegoż Maronia Tarkowski.

Zgłoszenie Maronia zaktywizowało Reja i Wścieklicę.

– Mamut! Mamut! Mamut! – wydarło się kilka gardeł.

– Czyli gratuluję podchorążemu Mamutowi! – ogłosił rezultat Piontek. Nieraz był już członkiem rozmaitych komisji skrutacyjnych i dobrze wiedział, jak powinny wyglądać wybory w wojsku.

– Obywatelu kapitanie – zaprotestował Maroń – przecież nie było wyborów!

– Wy mi tu mówicie, że nie było wyborów?! – oburzył się komendant. – Ja tu jestem od tego, żeby decydować, co było, a czego nie było! A wy to się nawet zameldować prawidłowo nie potraficie!

– Zero dyskusji, kurwa, jak komendant każe! – również Siwak wystąpił w roli obrońcy demokracji.

Wreszcie zapanował spokój.

– Może niech podchorąży Mamut powie, czy przyjmuje obowiązki – zaproponował Piontek.

– Ja... ten... tego... – rozpoczął przemówienie stremowany bażant.

– Przedstawić się, jak mówicie, kurwa, w szyku! – upomniał Siwak.

– Ja... bo ja... kapral podchorąży Mamut...

– Zero, kurwa! Kapralem to przy takim meldowaniu się nigdy nie zostaniecie!

Łowiąc uchem życzliwe podpowiedzi Borówki, podchorąży przedstawił się wreszcie w sposób, który usatysfakcjonował przełożonych.

– No, wydusiliście z siebie, kurwa! – pochwalił Siwak.

– Powiedzcie kolegom o tym, jak będziecie rozdzielać rejony – Piontek był zwolennikiem demokracji sterowanej – i że oczywiście musicie uwzględnić nasze sugestie.

– Ja... no... dziękuję kolegom za wybór... Postaram się jak najlepiej... Żeby wszyscy byli zadowoleni...

– Mówcą to on nie jest – szepnął do Nawrockiego Maroń, który mimo wszystko uważał się za moralnego zwycięzcę elekcji.

Obiad.

Zupa nazwana grochową na pierwsze, a ziemniaki i całkiem smaczny kotlet mielony na drugie danie. Do tego dowolna ilość kompotu, który smakiem przypominał grochówkę i który cieszył się – mimo narzekań na podły smak – największym wzięciem.

I od piętnastej do siedemnastej znowu ćwiczenie musztry. Nawet najwytrzymalsi mieli szczerze dość zwrotów w rozmaitych kierunkach i na rozmaite sposoby. Tylko cywilowi może to się wy-

dawać proste i oczywiste. W wojsku jednak obowiązuje precyzja! Tak na przykład artykuł 18 Regulaminu Musztry Sił Zbrojnych Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej przedstawiał zawiłości jednego ze zwrotów:

Zwroty w miejscu wykonuje się na komendy: „Baczność”, „W lewo (w prawo, w tył) – ZWROT”, lub tylko: „W lewo (w prawo, w tył) – ZWROT”. Zwroty w lewo i w tył wykonuje się w kierunku lewej ręki, na obcasie buta lewej nogi i czubku prawego buta. Zwrot w prawo – odwrotnie.

Zwrot w miejscu wykonuje się na dwa tempa:

Tempo pierwsze - wykonanie zwrotu.

Tempo drugie - energiczne dostawienie najkrótszą drogą nogi pozostawionej w tyle.

W czasie zwrotu górna część ciała pozostaje jak w postawie zasadniczej, nóg w kolanach nie zgina się.

– Przerwa na papierosa!

Podchorążowie ruszyli w stronę najbliższej palarni – tak nazywał się placyk na terenie koszar, gdzie wolno było palić pod chmurką.

Dwa znaki pozwalały zidentyfikować ten teren. Pierwszym była tabliczka, na której wymalowano białą farbą: *Tu wolno palić. Palenie szkodzi zdrowiu.* Drugi stanowiła zatknięta w ziemię rura, symbolizująca zapewne popielniczkę. W sercu koszar były trzy takie palarnie: przy sztapie, szkole elewów oraz przy czwartym dywizjonie. Ponadto reprezentacyjna – wyposażona nawet w ławki i popielniczki – naprzeciwko klubu żołnierskiego, oraz szereg prowizorycznych, rozrzuconych hojną ręką kwatermistrza brygady po rozmaitych zakamarkach w okolicach garaży i magazynów.

– A podchorąży czego tu, kurwa, siedzi? – zapytał Siwak.

– Jest przecież przerwa! – odparł pewien swych praw Rej.

– Niepalący mają cały czas trenować na placu! To jest przerwa na papierosa, a nie na głupie gadanie! – pouczył oficer szkoleniowy.

– Powstać natychmiast wszyscy niepalący! Ruchy, ruchy!

Kilku bażantów ruszyło posłusznie za Siwakiem i Mucą w stronę miejsca kaźni.

– A gdzie podchorąży Rej? – zapytał kapral po lustracji wrogów palenia tytoniu.

– Tam – wskazał Borówka. – Na palarni.

– Zawołaj go, kurwa, Muca – zarządził Siwak. – Biegiem!

Kapral ruszył z kopyta. Po chwili wrócił i bezradnie rozłożył ręce:

– Obywatelu poruczniku, melduję, że on już pali.

Rzeczywiście, Rej wciągał w płuca dym z pierwszego od miesiąca papierosa. I po co było pół roku temu rzucać palenie? – pomyślał, przygryzając wargę. Sierżant Maski okazał się dobrym prorokiem!

– Szkoool! – Siwak zdecydował się zakończyć zajęcia. – W dwuszeregu, na wysokości masztu, frontem do mnie... Zbiórka! Tempo, w jakim wykonano polecenie, nie zadowoliło go:

– Wróć! Na zbiórkę udajemy się, kurwa, biegiem!

Wpajaniu podchorążym tego nawyku poświęcił kilkanaście cennych minut. Wreszcie uznał, że niczego więcej już z nich nie wydusi:

– Wróć! Tera koryto, kurwa, a potem pospisujecie się na liście, co który chce z umundurowania na inny rozmiar powymieniać i na apelu wieczornym mi to dacie. Odpowiedzialny: wasz rejonowy, podchorąży Mamut!

– Podchorąży Mamut! – upomniął się o szacunek dla Regulaminu kapral Muca. – Co się odpowiada?!

– Jestem!

– Jakie *jestem*?! – oburzył się kapral. – *Przyjąłem!*

– Przyjąłem – cicho przytaknął rejonowy, przytłoczony widać ciężarem nałożonych na jego wątłe barki obowiązków.

Po kolacji Mamut przygotował i odczytał wykaz rejonów. Zapowiedział też, że będzie się starał, by na każdego przypadła jednokrotna liczba zadań w ciągu miesiąca; dotyczyć to miało zwłaszcza laserowania znienawidzonego korytarza.

Ustalił, iż do wieczornych manewrów porządkowych potrzeba: do korytarza – siedmiu osób, do ubikacji i umywalni – trzech, do klatki schodowej – jednej, do świetlicy – dwóch, do kancelarii szefa – dwóch, do kancelarii komendanta i jego zastępców – trzech.

Wieczorem potrzebni byli również dwaj żołnierze zdający służbę i dwaj ją obejmujący. Lecz i tak wychodziło, że każdy będzie miał wolny prawie co trzeci dzień.

Przynajmniej na razie tak się wydawało.

Rej należał do tych, którym w wyniku dokonanego przez Mamuta podziału zajęć przypadło na ten dzień kilkadziesiąt spokojnych minut. Siedział właśnie na taborecie i zastanawiał się, co zgłosić do wymiany. Na pewno buty-opinacze, tenisówki, czapkę i dres. Wyściółki ciągle jeszcze nie dostał...

– A! Jest tu podchorąży! – ucieszył się Muca. – Sprawdzimy sobie, jak wóz bojowy uszykowany!

Rezultat inspekcji nie był zaskoczeniem dla żadnej ze stron.

– Pilot podchorążego odwiedził!

Rej nie zdążył wpisać się na sporządzaną przez Mamuta listę. Muca ze wszystkich sił starał się zrekompensować mu fakt, że nie otrzymał do realizacji żadnego odpowiedzialnego rejonu.

Słanie łóżka – na tempa i bez temp – może być również zajęciem pasjonującym. A jeśli do tego dojdzie porządkowanie wyrzuconych z szuflady żyletek, golarek, pędzelka, szczoteczki i pasty

do zębów, które – jak się ciągle okazywało – podchorąży nieprawidłowo układał w szafce...

Dopiero sygnał Dziennika Telewizyjnego przerwał dydaktyczne działania Mucy. Korzystając z jego nieobecności, Rej przemknął do sąsiedniej izby, by do leżącej na szafce Mamuta listy dopisać i swoje dezyderaty mundurowe.

– A co tu podchorąży robi? – w drzwiach stał rosły plutonowy podchorąży (pasek czapki zsunięty pod brodę – widać facet na służbie).

– Dopisuję się do listy – wyjaśnił spokojnie Rej. Uważał, że nie ma się czego obawiać. Nie taki podchorąży-asystent-praktykant w SPR straszny, jak kumple Reja malowali, gdy ten szedł do wojska. Z Zabawą rozmawiało się przecież całkiem normalnie.

– Natychmiast na Dziennik, kurwa! – ryknął plutonowy podchorąży Synek. Rej pospiesznie rzucił listę na szafkę. Kartka spadła na podłogę. – Natychmiast na Dziennik! Nazwisko!

– Zaraz, zaraz... – Rej zagrzebał się pod łóżkiem w poszukiwaniu cennego dokumentu. Po chwili z powrotem miał go w ręku.

– Nazwisko?! – nie ustępował Synek.

– Marek Rej.

– Kurrwa! Jaki Marek?! Zapomnijcie o imieniu, w wojsku jesteście!

– Rej.

– Jaki Ryj?! – plutonowy podchorąży kontynuował raz obrany sposób dyskusji. – Kanonier, kurwa, podchorąży Ryj się mówi!

– Kanonier podchorąży R e j, ja tylko...

– Żadne mi *tylko!* Ja sobie podchorążego zapamiętam! Na Dziennik! Ruchy, ruchy!

Marek Rej *vel* Ryj pospiesznie oddalił się w kierunku wskazanym przez nowego podoficera dyżurnego. Przez moment zapragnął znaleźć się pod rządami jakiegoś kaprała służby zasadniczej, na przykład Mucy.

Tęsknota ta rychło została zaspokojona. I to z nadmiarem.

Na razie jednak to Synek krzyczał za odchodzącym:

– Ja sobie podchorążego zapamiętam!

– A kto to włożył skarpety zamiast onuc? – dobiegł zza drzwi zew pochylonego nad wystawionymi butami kaprała. – Dyżurni, wyrzucić mi to! Do śmieci!

– Moje! – Rej wybiegł na korytarz w obronie swego dobytku (w końcu na cały rok pobytu w armii otrzymał tylko dwie pary wełnianych skarpet).

Na korytarzu zebrało się już grono gapiów, podziwiających niecodzienne zjawisko: skarpetę.

– A dlaczego nie onuce, co?! – Muca węszył grubszą afere. Nie wiedział, że Rej dogadał się z Maskim, który zezwolił mu na noszenie skarpet.

– Bo sierżant powiedział, że nie muszę nosić w trepach Mucy – czy to było przejęzyczenie, czy zwyczajna bezczelność, pozostanie słodką tajemnicą Reja.

Kibice przyjęli wypowiedź radosnym chichotem. Kaprał jednak nie wyglądał na szczególnie rozbawionego.

– Co podchorąży powiedział?! – wrzasnął.

– To – Rej posłał rozmówcy i kibicom uśmiech gwiazdora – że jestem zwolniony przez sierżanta-szefa z noszenia onuc.

– Podchorąży co innego powiedział! Podchorąży zostanie ukarany! To wszyscy słyszeli! – miotał się podoficer. Chcąc uzyskać potwierdzenie, zapytał stojącego najbliżej świadka: – Co podchorąży słyszał?

– To, że on jest zwolniony z noszenia onuc – odparł Kogutowski.

– Przecież słyszeliście, że zostałem obrażony!

– Ktoś tu ma majaki – skomentował osobnik ukryty za plecami kolegów. Nie po raz pierwszy, a zapewne i nie ostatni, miejsce

to okazywało się najdogodniejsze dla wygłaszania obrazoburczych opinii. – On i na onucę jest za głupi.

Rej, jak się okazało, odniósł tylko połowiczne zwycięstwo. Podoficer dyżurny zdecydował, że choć – zgodnie z rozkazem Maskiego – podchorąży może chodzić w skarpetach, to na noc musi wykladać na buty zaprasowane w kostkę onuce.

– W wojsku może być chujowo, ale przede wszystkim musi być, kurwa, jednakowo! – wyjaśnił motywy swej decyzji Ireneusz Synek, skądinąd absolwent Politechniki Warszawskiej.

Synek bawił w armii od stycznia, czyli osiem miesięcy z hakiem.

Środa

Koszary, jak jakiś samopowtarzalny pistolet, wypaliły kolejnym dniem. Nie różnił się on niczym szczególnym od dni poprzednich ani od tych, które miały pójść do boju po nim.

Lokatorzy izb żołnierskich w SPR Artylerii szybko pojęli tę regułę. Zrozumieli również następną: to, że dzień nie charakteryzuje się niczym szczególnym, wcale nie oznacza, iż jest kopią kalendaryzowych sąsiadów. Wojskowa nuda ma mnóstwo odcieni.

Niewiele osób zauważyło, że właśnie w środę 7 września Szczupakowo pożegnały ostatnie jaskółki. Jednak skrzydlate sejmiki na biegnących przez koszary drutach trakcyjnych i słupach nie były zupełnie pozbawione znaczenia dla tych, którzy na ptaszki zwrócili uwagę.

Jaskółki w tym roku odlatywały wyjątkowo późno. Nie bez powodu meteorologowie zastanawiali się, czy kiedykolwiek odnoto-

wano lato cieplejsze od tego w 1988 roku. Ale odlot ptaków sygnalizował zjawisko bardzo nieprzyjemne – lada dzień przyjdą chłody. W Szczupakowie, leżącym prawie na polskim biegunie mrozu, już jesienią bywało bardzo zimno. Tutaj śnieg mógł spaść nawet w ostatnich dniach kalendarzowego lata.

Na razie jednak na salę 104 spadł nie biały śnieg, lecz odziany w biało-niebieską pidżamę Muca.

– Tak ma wyglądać ślanie wozów na dzień?! – I z takim zapalem zaczął szkolić podwładnych w trudnej dziedzinie rychtowania wozów, że nawet na zaprawę nie poszli. Może by nie dotarli i na śniadanie, gdyby nie Synek, który w porę zauważył, że brakuje mu na zbiorce żołnierzy. A byłoby czego żałować, bo tym razem, oprócz sakramentalnej mlekozupy, zaserwowano po ciepłej bułeczce i solidnej porcji prawdziwego pszczelego miodu.

W wojsku nawet na stołówce potrafi zaświecić słońce! Szczególnie, jeśli jest to stołówka podchorążacka, a na dany dzień zapowiedziana jest inspekcja z GZP LWP.

– Podchorążowie zachodzą na salę dźwiękową! Ruchy, ruchy!

Po sprawdzeniu listy obecności kapitan Piontek zarządził:

– Teraz zanotujecie kilka definicji z zakresu taktyki. Będę ich wymagał i na egzaminie, i na kolokwium, i w czasie pytań kontrolnych – powiódł wzrokiem po sali. – Czy są pytania?

Ku jego zaskoczeniu, podniósł się las rąk.

– Jak notować, jeśli żadnych zeszytów nie mamy?

– Jak to nie macie? – zdziwił się komendant SPR. – Przecież wyfasowaliście.

– Zero wyfasowaliśmy! – krzyknął Maroń. Widać szybciej niż inni przyswajał sobie zwroty języka ogólnowojskowego. – Zero zeszytów mamy!

– To dostaniecie, jak przyjdzie pora! Są inne pytania?

– Obywatelu kapitanie, kanonier podchorąży Wittek – regulaminowo zameldował się łysawy żołnierz. – Chciałem rozmawiać z sierżantem-szefem, bo mieliśmy dostać od niego też strugaczki do ołówków, a ciągle ich nie mamy.

– Nie tak, nie tak... – z męczeńskim wyrazem twarzy powiedział Piontek. – Jak można tak prostej rzeczy nie wiedzieć? I to ludzie po studiach, niby kulturalni! Ja przez was osiwieję...

Nie po raz pierwszy okazywało się, że ukończenie studiów cywilnych nie jest przepustką wystarczającą do zrozumienia obowiązujących w wojsku konstrukcji myślowych.

– No, podchorąży – zachęcił komendant – nie mówi się: *chciałem rozmawiać*, tylko: *proszę o pozwolenie zwrócenia się do obywatela sierżanta*.

Tym razem Wittek wypowiedział magiczną formułę w sposób satysfakcjonujący oficera.

– Odmawiam – rzekł Piontek. – Sierżant-szef ma ważniejsze sprawy na głowie. Ołówki możecie zastrugać swoimi żyłkami. A teraz wy – wskazał na żołnierza siedzącego w ostatniej ławce przy ścianie – wyciągnijcie z tej szafy za wami podręczniki do taktyki i rozdajcie po jednym na ławkę.

– Tak jest! – powstał wywołany.

– Przedstawcie się! Czemu wy, po studiach ludzie niby, ciągle zapominacie o tak elementarnej zasadzie dobrego zachowania?

– Kanonier podchorąży Walicki.

– ... *obywatelu kapitanie* – uzupełnił Piontek.

– Obywatelu kapitanie – powtórzył podchorąży.

– Ale to ja powiedziałem, nie wy! Co tak na raty? – upomniał boleściwie Piontek. – Chorzy może jesteście? Na główkę, co? Mówcie, bo kara będzie!

– Kapral pod...

– Co wy mi tu z tym *kapralem* wyjeżdżacie?! Zero *kaprala*! Tak wam pilno do końca kursu?

– Nie... tak... nie... ja tylko...

– Niech się towarzysz nie cuka, tylko melduje!

Dzięki nieocenionemu Borówce poprawny meldunek spłynął z ust Walickiego.

– No widzicie! Zwiadowca to szczególnie takie rzeczy wiedzieć musi! No bo wyobraźcie sobie, pokonujecie w pocie czoła nawet linię frontu, docieracie wreszcie, po wielu trudach i usmotruchani, do Centrali. A tam nie potraficie generałowi czy marszałkowi dobrze się zameldować i was za drzwi wyrzucają! Rozstrzelać jeszcze każą! I co? Nie byłoby wam łyso? Informacje niedostarczone! Z waszej winy! Z waszej głupoty! Z waszego nieuctwa! I co? Kraj przez was by wojnę przegrał! No, jak byście się czuli? Przecież dzieci, jak się w piaskownicy bawią, to takich rzeczy w parę minut potrafią się nauczyć! A wy? **Z e r o!**

– Ale my wyrosliśmy już z wieku przedszkolnego, **t r e p i e!** – powiedział całkiem głośno ktoś siedzący w jednej z tylnych ławek.

– Ja wam... Ja wam... – oficer poszukiwał właściwej riposty. Wreszcie, gdy się trochę uspokoił, znalazł: – Nie wiem, co wam powiedzieć! Śmiejecie się, ale jak możecie się tak zachowywać! I to ludzie po studiach! I oczywiście ten, kto to powiedział, nie przyzna się teraz pewnie. Nawet sprawiedliwej kary nie potraficie ponieść!

Istotnie, nikt się nie przyznał. Na wszystkich twarzach malował się wyraz dziecięcej niewinności.

– Co za brak odwagi cywilnej! – skonstatował Piontek. – I to ma być przyszłość Polski Ludowej!

– A ja nie chcę mieszkać w Polsce! Szczególnie Ludowej! – odpowiedział tym razem chyba ktoś ze środka sali.

– Jak tak można! Ale trudno... – Piontek był żołnierzem na tyle doświadczonego, by nie brnąć w dalsze dyskusje z hałastrą. – Nie możemy się dogadać w ten sposób, będziemy się dogadywać inaczej! Powstać! Baczność!

Rozległ się szurgot przesuwanych taboretów.

– Wszyską resztę wykładu wysłuchacie na stojąco. To wam da zero głupich pomysłów! Smarkateria z zerem intelektu!

A wychodząc na przerwę, powiedział:

– Cieszcie się, że w wojsku jest porządek i zawsze trzeba przestrzegać Porządku Dnia. Jak prawo, to prawo! Możecie wyjść. Co z wami zrobię po przerwie, to się okaże. Spocznij!

Rej pobiegł do swej izby sypialnej razem ze Stularczykiem, któremu wydawało się, że widział strugaczkę w zakamarkach torby polowej, odziedziczonej po podchorążym z dwudziestego piątego poboru.

– Gdzie moje łóżko? – zdziwił się Rej.

W skąpo urządzonej sypialni zgadzały się przecież wszystkie inne detale. Wozy Stularczyka, Wścieklicy i innych stały tam, gdzie powinny, choć naruszone wizytami awanturnicznych pilotów. Były na swoich miejscach i metalowe szafki. Na ścianach spokojnie wisiąło godło państwa oraz kilka obrazków (namalowanych pewnie przez Giereja). Brakowało tylko łóżka Reja.

– Pod ziemię się przecież nie zapadło – zauważył logicznie Stularczyk. – Ktoś podpieprzył.

– Tyle to i ja wiem...

Problem wyjaśnił się w ciągu kilku minut – Rej został dokwaterowany do pozostałych żołnierzy plutonu zwiadu. Mieszkał teraz w sali 106.

– Koniec przerwy! Podchorążowie udają się na salę dźwiękową! Ruchy, ruchy!

Do sali wkroczył Śmiechocki:

– No, kurwa, a meldunek kto mi złoży?

– ...?

– No, nie wiecie? Ilu obecnych, ilu na urlopach, przepustkach i tak dalej. I na tablicy też to trzeba napisać, pod tematem zajęć – wyjaśnił porucznik, wskazując delikwenta siedzącego w pierwszej ławce. – No, niech podchorąży to wykona!

– Kanonier podchorąży Tulski!

– Dobrze, dobrze, tylko nie wrzeszczcie mi do ucha – zgasił entuzjazm podwładnego. – Podejdźcie do tablicy i zapiszcie, co trzeba.

Bażant wmaszerował na podest, stanął przed wielką tablicą, rozłożył jej skrzydła.

– Po kiego chuja tę krowę rozkładacie? – zainteresował się Śmiechocki. – Gieraj jesteście, żeby obrazki malować? Garba macie?

Nikt z obecnych nie złapał dowcipu – nazwisko i sylwetka sierżanta podchorążego Gieraja były im na razie zupełnie obce.

– Myślałem, że tak trzeba – wyjaśnił Tulski.

– Tu jest wojsko i myśleć to będziecie, jak generałem, kurwa, zostanieie.

– Tak jest – Tulski zamknął wrota.

– Co wy, do kurwy nędzy robicie?! – oficer ponownie poczuł się zmuszonym do interwencji. – Jak już otwarliście, to niech zostanie. Ale pomyśleć trochę trzeba, a nie tak na pałę wszystko!

Tulski chwycił leżącą na tablicy kredę. Napisał słowo *temat* i niepewnie spojrzął na Śmiechockiego.

– Kurwa! – powiedział wykładawca. – Co wy mi tu zieloną kredą mażecie, jak gdyby białej nie było! Zetrzeć!

– Ale tu nie ma białej... Tylko zielona.

– Zetrzeć!

Nie mając pod ręką gąbki ani ścierki, Tulski startł napis dłonią. Poświęcenie nie zostało docenione.

– W biurku pewnie jest ścierka! – rzekł porucznik, zniecierpliwiony nieudolnością pomocnika. – Biała kreda też.

Podchorąży otworzył największą szufladę. Było w niej jedynie kilka śmierdzących ogryzków.

– Zobaczcie w drugiej!

– Jest! – ucieszył się poszukiwacz. – Ale kreda tylko czerwona...

– Nie szło wam to najlepiej, kurwa – podporucznik litościwie podsumował wysiłki Tulskiego. – Z jakiego plutonu jesteście?

– Kanonier podchorąży Tulski, pluton topograficzny.

– Dobra, siadać. Ocena dostateczna – oficer sięgnął po Dziennik plutonu topo i wpisał notę. – Teraz następny...

Następnym był Rej. Posłusznie podszedł do przełożonego.

– Napiszcie na tablicy stan i temat zajęć.

Rej przybrał zafrasowaną minę.

– Jaki stan? – zapytał z uśmiechem.

– Stan osobowy, kurwa. Ilu was jest obecnych – Śmiechocki tłumaczył z cierpliwością, która jego zdaniem, niewiele ustępowała anielskiej.

– Muszę policzyć – Rej rozejrzał się po sali. – Raz, dwa... cztery, sześć...

– Siadać lepiej! Ocena niedostateczna. Z jakiego plutonu jesteście?

– Zwiadu.

– To u mnie. Nazwisko?

– Rej.

– To na początek znajomości macie, kurwa, dwa! A teraz następny!

– Ale skąd ja mam znać temat! – rozpaczal Borówka.

– Trzeba było przeczytać na planie! – wyjaśnił dowódca plutonu zwiadu. – Wisi przecie przy grzybie!

Podczas zajęć z porucznikiem Śmiechockim ocen posypało się sporo. Ale tylko Rej sprawiał wrażenie zadowolonego:

– To ja dostałem pierwszego fleka na naszym turnusie! – przechwalał się.

– Czego się cieszysz? – pochlipywał Borówka. – Tutaj wszystkie oceny trzeba poprawiać, przecież mówił o tym na koniec zajęć!

Po drugim śniadaniu Szkoła liczyła już nie trzydziestu trzech, ale trzydziestu czterech podchorążych. Stan osobowy plutonu zwiadu uzupełnił Mikołaj Olechowicz, absolwent informatyki na UJ.

– Byłem w Anglii na stypendium przez pół roku. Wczoraj wróciłem, a tu w drzwiach czeka na mnie WSW i mówią, że do wojska miałem się zgłosić! Wszystkie moje plany wzięły w łeb!

– A gdzie podchorąży pracuje?

– Jestem asystentem na uczelni, na stypendium byłem. Miałem ustalone ze Studium Wojskowym, że do wojska pójść dopiero w przyszłym roku... i to do OC...

– Podchorąży, powinniście być dumni, że ojczyzna już teraz was potrzebuje! – poradził kapitan Piontek.

– Koniec szóstej godziny lekcyjnej! – ogłosił wysłany przez Synka dyżurny. Tym samym uczynił zadość Porządkowi Dnia. – Do apelu południowego pozostało dwadzieścia minut.

Jeszcze tylko przeformowanie żołnierzy w kolumnę czwórkową i można wrócić na (tak w tej chwili przytulne) piętro SPR. I choć na chwilę wyciągnąć nogi. Siedząc na taborecie, oczywiście.

– Wszyscy pieszczą opinacze! – chrypiał Synek.

Podchorążowie wyciągali z woreczków szczotki do glansowania obuwia, pudełka brązowej pasty o konsystencji bliskiej stali damasceńskiej i małe szczoteczki, w nomenklaturze wojskowej tytułowane mazakami.

Sprzęt do pastowania obuwia otrzymali w prezencie od armii. Był po wojskowemu niezawodny.

– Przecież ona jest twarda jak kamień! – materia pasty stawiała zdecydowany opór nie tylko Tulskiemu.

W końcu jednak wykryto egzemplarz, który od biedy nadawał się do użytku. Rozdrapany został natychmiast.

Rej opinaczy nie pastował, bo uważał, że nadmiar kiepskiej pasty szkodzi skórze. Przetarł je tylko kawałkiem onucy.

– Widzisz – uśmiechnął się do Ogórki – nawet Muca może się do czegoś przydać.

– Co, już nie owijasz Mucy wokół nogi? – roześmiał się kolega.

Siedzieli w palarni na niskiej ławce, plecami do WC. Nie zauważyli więc, że z ubikacji właśnie wychodził rzeczony kapral.

Powiało grozą.

– Obraża mnie podchorąży! – stwierdził z zadowoleniem podoficer. – Mam świadków! Teraz podchorąży zobaczy!

– A co on takiego powiedział? – zainteresował się Patek. – Przecież było na apelu czytane, że jest zwolniony z onuc, więc jak chce je podrzeć, to jego sprawa...

– Nie owijajcie ko... ko... kota ogonem! – jak to się w chwilach dużego zdenerwowania zdarzało, Muca zaczynał się jękać. – Wszys... wszyscy słyszeli!

– Obywatelu kapralu – skrzywił się Rej – czy to, że kapral ma kompleks niższości, jest warunkiem wystarczającym, by się mnie ciągle czepiać?

– Ja wam po... po... pokażę! – zagroził podoficer.

– Proszę bardzo, kobiet i dzieci tu nie ma – zezwolił Rej. – Nikt się pewnie nie zgorszy, a śmiechu nigdy za dużo...

– A może kapral jest pedałem albo ekshibicjonistą? – zapytał Wścieklica.

Podoficer zacisnął szczęki. Pieniąc się ze wściekłości, pobiegł do Siwaka.

– I żeby się takie sprawy, kurwa, nie powtórzyły! – grzmiał Siwak. Prowadził apel pod nieobecność Piontka, którego wezwano na odprawę do sztabu. – Zero takich historii więcej! A podchorąży Rej to zostanie ukarany surowo! ZOMZ mu dopierdolimy!

Rej w głębi duszy wcale nie był zachwycony tymi groźbami. I co to jest ten straszny ZOMZ?

– I w ogóle to wam się za wiele zdaje! Wszystkim, jak jeden chuj! – kontynuował podporucznik. – Co, że niby fakultety skończyliście? A takie tam studia! – podkreślił wypowiedź lekceważącym gestem. – Z wojskowego punktu widzenia, to jesteście śmierdzące zera ogoniaste! Ale moja w tym głowa, żebyście nabrali trochę moresu! A teraz to uczta się od kaprali, bo oni to dobrą szkołę dostali, a nie takie przedszkole pierdolone, jak wy macie! Tu was się jak dzieci, a nie samodzielnych ludzi traktuje – zaznaczył, skądinąd słusznie, ale przyświecała mu idea zgoła odmienna niż wygłaszającym podobne opinie podchorążym. – Wszystko na tacy macie podane! Na żaden poligon nie jedzicie! Jak byście się w błocie potapłali, to wiedzielibyście, co to wojsko. Albo jak byście na poddziałach za kotów porobili! Ale ja trochę smaku i tak postaram się wam dodać! Zobaczycie sami! Ja dopierdolić potrafię!

Ta obietnica zakończyła wystąpienie oficera szkoleniowego. Po nim – w podobnej tonacji – przemawiali Śmiechocki i Maćko.

Wraz z ostatnimi jaskółkami opuszczała Szczupakowo letnia pogoda. W ciągu paru godzin temperatura spadła o kilka stopni. Zerwał się skoligacony z zawiejami dalekiej północy wiatr. Żołnierze odczuwali to dotkliwie. Wciąż obowiązywał ich ubiór letni: mundury polowe założone na gołe ciało (jeśli nie liczyć atramentów i podkoszulek bez rękawów).

Ale nie tylko dlatego w ich szeregach powiało mrozem...

– Janek, czemu nie jesz? – zapytał Rej podczas obiadu. – Ten kotlet jest całkiem strawny.

Borówka nie odpowiedział, szklanym wzrokiem patrzył przed siebie.

– Co ci jest, Jasiu? – zaniepokoił się losami imiennika Hultajek. – Jedz, to dobre.

– Jak wy możecie jeść w takiej chwili? – odezwał się wreszcie Borówka. – Jak możecie...

– A co, układy scalone Breżniewa zmartwychwstały? – zaśmiał się Olechowicz.

– Nie nabijaj się ze mnie! – wybuchnął Borówka. Jesteś tu dopiero dzień i nie wiesz, co z człowiekiem zrobić potrafia!

– Chwila... – Rej gestem uciszył kolegów, którzy wraz z nim okupowali stół ukryty w zakamarku niewidocznym dla przełożonych. – Czy coś z tobą wyczyniali na osobności? Bili cię?...

– Nie – odparł Borówka, wyraźnie rozczarowując słuchaczy. Spodziewali się widocznie usłyszeć o kole tortur, obsługiwanym w piwnicy przez Mucę i Siwaka. – Ale tu ciągle tyle krzyku. Lepiej gdyby już bili... On ciągle nie wie, co go czeka, a się mądrzy...

– Nie łam się! – pocieszył go Wścieklica. – Trzeba być twardelem i nie dać się tym skurwysynom.

– Ale jak?

– Mam takie chody, że ich wykończę!

– To znaczy? – zainteresował się Rej.

– Jak przyjdzie pora, to zabaczycie, jakie mam plecy! – ogłosił Wścieklica.

Tymczasem Borówka uległ kuszącemu zapachowi mielonego i pożarł kotlet do ostatniego kęsa.

Sześćdziesiąt minut między godziną piętnastą a szesnastą w Porządku Dnia nazywane było Czasem Wolnym. Tym razem te

cztery kwadransy podchorążowie poświęcili – zapewne nie całkiem dobrowolnie – słaniu wozów.

Na ile jest to zajęcie pasjonujące i sprzyjające wypoczynkowi, docenić może tylko ten, kto sam miał z nim do czynienia.

– Podchorąży! – zniecierpliwiony Muca zdecydował się w końcu na wykład. – To nie tak! To mają być ruchy!

– Czyli jak?

– Już nawet podchorąży Rej robi to lepiej niż wy! – wyjaśnił kapral.

– Co?! – zdziwił się Rej. – Ja robię coś lepiej?

– Bo u was przynajmniej długość kolumny jest prawidłowa – powiedział Muca.

Rej wzruszył ramionami. Co za kolumna? Co to za slang?

– Kolumną – wyjaśnił pobłaźliwie podoficer – nazywamy odcinek złożonego prześcieradła, powstały między poręczą wozu a miejscem, gdzie prześcieradło styka się z materacem. To miejsce powinno być odległe o jedną czwartą długości wozu od górnej jego poręczy. Nauczcie się definicji, bo na kolokwium będą takie pytania.

– Bez sensu...

– Zero dyskusji! Tak zalecają wytyczne kwatermistrza! Macie się do nich dostosować i wszystko na ten temat!

– Proszę pokazać – uległ Olechowicz.

– Najpierw – tłumaczył instruktor – po pobudce zdzieramy pościel z wozu. Potem prześcieradła składamy razem na połówkę, część konstrukcji zwieszamy za wóz, a resztę – demonstrował – zaginamy tak, by końcówka zachodziła pod poduszkę. W ten sposób uzyskujemy piękny trójkąt równoramienny...

Zapewne z podobnym uczuciem, jak obecnie Muca, spoglądali na swe dzieła konstruktorzy egipskich piramid czy katedry Notre Dame, nie wspominając o pomniejszych twórcach.

– To samo – kontynuował wojskowy specjalista do spraw obsługi wozów sypialnych – robimy z kocami. I spójrzcie, jak to regulaminowo wygląda!

Ale kibice w swej zdrowej większości dalecy byli od entuzjazmu.

Dalsze ćwiczenie z obsługi wozów przerwał podoficer dyżurny:

– Koniec Czasu Wolnego! Rozpoczyna się pierwsza godzina Nauki Własnej! W dwuszeregu, na wysokości umywalni, frontem do mnie... Zbiórka! Na zbiórkę udajemy się biegiem! Ruchy, ruchy!

Popołudnie przebiegło bez niespodzianek – podchorążowie ćwiczyli musztrę. Apel wieczorny poprowadził wściekły do granic wytrzymałości starszy kapral Koziół.

Tak liczył, że już w czwartek po południu wyjedzie do domu! A tu Piontek wpakował mu służbę, przez którą uwiązany będzie w koszarach co najmniej do dwudziestej. Ostatni autobus do jego wioski odchodził przed dziewiętnastą. Jeśli by nie zdążył na niego, musiałby czekać do południa następnego dnia – chyba że jako wytrzymały żołnierz, poszedłby do domu pieszo. Szosą to ponad czterdzieści kilometrów, ale na azymut, przez las i jezioro – zaledwie kilkanaście kilometrów. Lecz by je pokonać, trzeba było mieć łódkę i znającego bagna przewodnika.

– Gdzie się pcha podchorąży! – wybuchnął na widok Bratka wdzierającego się do umywalni. A ten zamierzał widocznie dołączyć do zwiadowców, którzy właśnie skutecznie mycie polegające na ochlapywaniu się zimną wodą.

– Naprawiałem łóżko i ręce mi się znowu pobrudziły – Bratek zademonstrował umorusane dłonie.

– To trzeba było nie naprawiać! Już raz się myliście! Wracać biegiem na izbę, bo was tam siłą zapędzę! Ruchy, ruchy!

– Dobrze już, dobrze – drobniutki podchorąży uległ przemocy. Ręce wytarł o moro i, lekko śmierzząc, położył się spać.

W pięć minut po capstrzyku wszyscy, którzy mogli sobie na to pozwolić, znajdowali się w objęciach Morfeusza, zapewne również oddelegowanego do odbycia zaszczytnego obowiązku.

Skrzypiące łóżka świadczyły, że – niektórzy przynajmniej – również w czasie spotkania ze starożytnym bogiem podnosili swe żołnierskie umiejętności. Ćwiczyli zapewne zwroty w przód i w tył, tudzież krok defiladowy. Jako oceniający prawidłowość wykonywanych zadań, śnił im się prawdopodobnie Muca.

Skończyła się środa. Wreszcie.

Czwartek. Wielki wyscig

– Pobudka! Pobudka! Znikają buty z korytarza! – trójka muszkieterów: Kozioł, Muca i Marmucha, wkroczyła na z góry upatrzone pozycje, wrzucając do izb żołnierskich pozbierane uprzednio z korytarza, gdzie stały w rzędkach, buty i onuce.

Niezupełnie jeszcze rozbudzeni podchorążowie rozpoczęli poszukiwania właściwych opinaczy i owijaczy. Na powiekach tych zmęczonych i ogłupiałych ludzi, dla których noc zawsze jest złośliwie za krótka, ciążył ołowiany sen. Tylko Rej – na własny wniosek ukarany przez sierżanta Maskiego – miał o połowę mniej problemów: szukał jedynie buciurów. Onuce mógł wziąć dowolne, bo służyły mu wyłącznie jako rekwizyt, czyli na sztukę.

– Do zaprawy pozostały dwie minuty! – komunikował Kozioł. – Obowiązujący strój: podkoszulek, atramenty, trampki, onuce! Nic więcej i nic mniej. Ruchy, ruchy!

Ale wykonywanie poleceń przychodziło bażantom nie bez problemów. Ciągłe nie wszyscy zdołali znaleźć onuce. Z butami poszło łatwiej, gdyż większość je podpisała (wbrew Regulaminowi, ale zgodnie z rozsądkiem). Poza tym odszukanie prawego czy lewego opinacza można pozostawić na później – na razie potrzebne tylko trampki. No i onuce, które tego dnia były już obowiązkowe. Słusznie – lepiej biegać w brudnych szmatach, niż wkładać do trampek zupełnie gołe palce.

– Zachodzić! Szybciej! – ponaglano. – Ruchy, ruchy!

Muca rozpoczął zaprawę od doszkolenia tych, których w wojskowym slangu nazywa się odstającymi. Rychło jednak znudził się zabawą z Borówką i Kotwicą. Szukał rozrywki bardziej ambitnej.

– A podchorąży Rej to czemu się tak snuje na tyłach?

– Ja?

– Przecież słyszy podchorąży! Co to, biegać nie umiecie?

– Umie – hardo odparł zapytany.

– Ha, ha! Jak umiecie, to damy wam specjalną dawkę – postanowił przywołać na świadków kłęski krnąbrnego bażanta wszystkich SPR-owców. – Od czoła... stój!

Ci wykonali polecenie z przyjemnością, bo oznaczało przynajmniej chwilę oddechu.

– Podchorąży Rej chwali się, że umie biegać...

– Wcale się nie chwale...

– Zero dyskusji! I tak ZOMZ na was czeka! – zgasił wraże zapędy kapral. – Więc podchorąży Rej chwali się, że dobrze biega. Dlatego pościgamy się teraz z nim przez dziesięć okrążeń...

Jęk przerażenia rozległ się w niedostatecznie usportowionych szeregach.

– ... A ten, kto przegra, za każde pięć sekund opóźnienia wykona tutaj, przy wszystkich, honorową pompkę! – I żeby podkreślić pogardę dla przeciwnika, kapral dodał: – Zobaczymy wtedy, co podchorąży Rej potrafi!

Nawet Maroniowi zrobiło się żal Reja, choć mieli ze sobą na pieńku.

– Cóż – powiedział Rej. – Jak nie ma innego wyjścia... Ale czy to rozkaz?

– To rozkaz! – poświadczyl Muca. – Ma on na celu wyrobienie w podchorążym wytrzymałości fizycznej. I tak za parę tygodni czeka was bieg na trzy kilometry, i to z bronią!

– Czyli obydwaj mamy teraz, tak czy owak, przebiec po dziesięć okrążeń? – upewnił się Rej.

– Tak! A ten, kto przegra, grzeje pompki!

– Rozkaz! – wyprężył się służbiście Rej, co zostało przez Mucę przyjęte z aprobatą.

– Niech się podchorąży nie przejmują – oświadczył. – Nie tacy ze mną przegrywali i grzali pompki! I niech sobie tylko podchorąży pomyśli, jak to będzie fajnie wyglądać, gdy podchorąży będzie ziemię jebał, a ja nad nim będę stał i mówił: *ruchy, ruchy!*

– Obywatelu kapralu, czyli mamy się ścigać przez dziesięć okrążeń, tak? A jeśli jeden z nas skończy dużo szybciej, to czy drugi będzie mógł nie kończyć już biegu?

– Ha, ha! Tak podchorąży chciałby się wykpić? Ja mam biegać, a wy sobie zejdzicie? Nie ma tak dobrze. Jeśli jeden z nas – powiedział z przekąsem Muca – zostanie zdublowany, to wali na dokładkę pięćdziesiąt pompek zwykłych, a jeśli zejdzie, to całe pięćset. Pięćset! Może być na raty.

– Plus jeszcze po jednej za każde pięć sekund?

– Tak!

– A jeśli zejdzie wcześniej?

– Za chytry podchorąży chciałby być! Ale niech wam będzie – łaskawie zgodził się podoficer – wtedy tylko pięćset za nieukończenie.

Więcej pytań nie było. Warunki ustalono. Kapral nie widział potrzeby wprowadzania ostrzejszych postanowień. Uważał, że i takie dadzą mocno w skórę przemądrzałemu filmowcowi.

– Marek, trzymaj się! – zachęcali Reja co odważniejsi koledzy.

– Nie daj się temu bucowi! Wytrzymaj do końca!

Rej ukląkł, mocniej zawiązał sznurowadła. Podciągnął do kolan grube zimowe skarpety. Nie był nimi zachwycony, bo na ciepłe dni się nie nadawały. Ale lepsze skarpety za grube niż żadne – albo parszywe onuce, na które skazani byli pozostali koledzy. Tylko on trafił

na moment dobrego humoru Maskiego. Inni chętni do wyrzucenia onuc zjawili się u sierżanta za późno. Przymusowy sparringpartner Mucy mocniej jeszcze ściągnął sznurówkami za duże o dwa numery obuwy. Może to i dobrze, że te skarpety takie grube...

– No to – ponaglił kapral – skończy wreszcie podchorąży wiązać te tenisówki i stanie obok mnie, jak na mężczyznę przystało! Ja już nawet linię startu i mety wyznaczyłem kredą. Ruchy, ruchy! Nie ma co odwlekać tego, co i tak was nie minie!

Wystartowali ze środka wirażu, przy stołówce żołnierskiej. Muca z miejsca narzucił ostre tempo. Rej dotrzymywał mu kroku. Po dwustu metrach, w pobliżu klubu żołnierskiego, dogonili kolumnę truchtających elewów. Mijając SPR, biegli już na czele niemrawego pelotonu.

– Nieźle zasuwiają! – przyznał Ruchacz. – Ciekawe, jak długo wytrzymają.

– Cicho! Zero dyskusji! – zainterweniował prowadzący ćwiczenia stacjonarne Marmucha. – Skłony w przód ćwicz! Głębokie do samych jajec! Raz, dwa... Ruchy, ruchy!

Muca prowadził, lecz Rej uparcie trzymał się przeciwnika. Dopiero przy budynku SPR osłabł. Przy końcu drugiego okrążenia stracił do kaprala około dziesięciu metrów, na finiszu trzeciego – aż kilkadziesiąt.

Mijając ćwiczących bażantów, Muca polecił Marmusze:

„– Na początku to zawsze wkurwia. Najważniejsze to przestać się byle czemu dziwić i traktować wszystko jak normalkę. Tutaj szweje często powtarzają: nie ma dziwnie. Wy też się przyzwyczajcie, jak inni, którzy przez to przeszli. – Przyzwyczajmy? Więc nic się nie zmieni, oprócz nas?!”

– Jó... Jó... zek – z trudem złapał oddech. – Każ im te... teraz po... pompki honorowe. Niech... zo... baczą, jak... to... jest... ech...

Rej zyskał dzięki temu parę metrów, ale niewiele zmieniło to sytuację.

– Marek, staraj się przynajmniej dokończyć! – krzyknął zlany potem Kostyk.

– Żeby Muca nogę złamał! – zapomniał o zasadach *fair play* Wścieklica.

Rej, prawie powłócząc nogami, przebiegł obok kibiców. Dystrans dzielący go od przeciwnika powiększył się.

– Ty! – zdziwił się Ogórko. – Przecież on wcale nie jest spocyny!

– Zero dyskusji! Teraz każdy dobiera sobie partnera, ramiona bocznie wyprostowane i jeden drugiego na plecy bierze – zaordynował Marmucha. – Podchorąży Ogórko ćwiczy razem z podchorążym Borówką, ha, ha!

Sytuacja na asfaltowej bieżni niewiele się zmieniła. Nie uległo jednak wątpliwości, że wreszcie przewaga Mucy przestała rosnać, a nawet nieco zmaląła. Wynosiła teraz trochę ponad pięćdziesiąt metrów. Przynajmniej w pobliżu klubu żołnierskiego, bo tuż przy budynku SPR stopniała o kilkanaście kroków.

Muca obejrzał się. Zdziwiony, że konkurent znajduje się mimo wszystko dość blisko, spróbował przyspieszyć. Ale po chwili znowu zwolnił. Więcej ze swych płuc i nóg nie był w stanie wycisnąć. Brakowało śliny w ustach. Marzył o szklance wody.

Na zryw kaprała podchorąży odpowiedział niespodziewanym przyspieszeniem. Lecz w odróżnieniu od przełożonego, nie zwolnił.

Kończyli czwarte okrążenie, a różnica między nimi stopniała do mniej niż dwudziestu metrów.

Tym razem podoficer, mijając SPR-owców, nic nie powiedział. Nie znaczy to jednak, że kibicom odebrana została przyjemność konwersacji z zawodnikami.

– Jak wam się podoba? – rzucił w biegu Rej.

– Trzymaj się! – odpowiedziały liczne głosy.

Przy bunkrze, gdzie przygotowywano do służby wartowników, czyli kilkanaście metrów za klubem żołnierskim – obaj zawodnicy posapywali już ramię przy ramieniu. Rej z oddali pomachał ręką towarzyszom podchorążackiej doli i niedoli, znajdującym się niemal dokładnie po przeciwnej stronie placu, na długim wirażu. Kilku odpowiedziało tym samym. Marmucha nie interweniował. On również śledził teraz wydarzenia na bieżni.

Rej opuścił ręce. Wzmocnił tempo – zrazu lekko, potem silniej. Klatkę piersiową wysunął do przodu, głowę odrzucił w tył, by ciągle nieprzycięte włosy nie spadały mu na oczy i okulary. Wydłużył krok, sprawiał teraz wrażenie niższego niż w rzeczywistości – obniżył swój środek ciężkości. Rytmicznie poruszał zgiętymi rękami – ani śladu tak wyraźnego jeszcze na poprzednim okrążeniu zmęczenia!

Przy budynku SPR dzieliło biegaczy już tylko kilkanaście metrów. Ale teraz role się odwróciły. To Rej piłował tempo. Muca zaciskał zęby, lecz nie mógł nadażyć. Miał jednak nadzieję, że to tylko rozpaczliwy zryw przeciwnika, który za chwilę padnie na bieżnię i poprosi o łaskę.

Na półmetku Rej miał już pięćdziesiąt metrów przewagi... Taką nadróbkę wywalczył na ostatnich dwustu metrach! I ciągle przyspieszał.

– Marek, nie zarznij się! – ostrzegali koledzy.

Na placu musztry już nikt nie ćwiczył. Przerwali zajęcia nawet elewi (przyszli kaprale) i z radością obserwowali widowisko, w którym pojawiała się szansa na pognębienie Mucy.

– Może kapral niewyspany? – ironizował, ku radości kolegów, Wścieklica. – Ruchy, ruchy!

– Byleby nasz się nie zarznął! – panikował Borówka.

Rej nie słyszał ostrzeżeń. Sprawiał wrażenie wypuszczonego z klatki dzikiego zwierza, który chce się przekonać, ile jeszcze potrafią jego mięśnie. Nikt już teraz nie mógł wątpić, że ten bażant umie i lubi biegać.

Kończąc szóste okrążenie, znów zapytał:

– I jak się podoba?

– Nie zarznij się!

– Nie ma obawy, panowie! Nie takie dystanse biegałem!

W kilkadziesiąt sekund później to samo okrążenie kończył milczący, z językiem na brodzie, Muca. Rej znajdował się wtedy już przy budynku Szkolnej Baterii Artylerii. Grubo ponad pół okrążenia przewagi!

– Bo kapral jaja sobie ozorem obliże! – ostrzegł Mucę któryś z elewów. – Ruchy, ruchy!

Podoficer nie dosłyszał zniewagi. Ponownie spróbował przyspieszyć. Przed oczami tańczyły mu migotliwe płatki. Przecież on wcale nie biegł wolno! Co za bydlę z tego Reja!

Kończący siódme okrążenie podchorąży zmienił sposób biegu. Zrezygnował z długiego kroku, przenoszącego stopy nad samą ziemią. Teraz jego krok był krótszy, stopy unosił wysoko. Sprawiał wrażenie finiszującego w walce z silnym przeciwnikiem. Tym razem nie odezwał się do kibiców, za to w pół minuty później zdublował Mucę.

I nie zwolnił.

Od pewnego czasu bieg obserwował także oficer dyżurny, podporucznik Głodówka. Niecodzienne widowisko podziwiał również wielu żołnierzy dywizjonów budzonych o szóstej. Koty, filce, garby, wicki i nawet dziadki – obległy okna. Pantoflowa poczta działała bez zarzutu i wszyscy wiedzieli doskonale, kto z kim i dlaczego rywalizuje. Zabawa była przednia. Muca nie cieszył się nadmierną sympatią nawet wśród żołnierzy niezwiązanych z SPR. Pamiętano mu, że choć był tylko filcem, wielokrotnie ośmielił się zatrzymywać

na placu szeregowców i kanonierów – nawet dziadków – żądając oddawania sobie honorów wojskowych. Podobno robił to tylko dla zabawy, ale teraz zabawa trwała jego, sk...syna, kosztem!

– Bażant! Bażant! – wyli widzowie z okien 3 i 4 dywizjonu (1 i 2 dopiero miały wrócić z poligonu).

Rej pomachał nieoczekiwanym fanom.

– Podchorąży! Bażant, trzymaj się!

Rozpoczynając przedostatnie okrążenie, Rej powrócił do długiego, wyraźnie dlań przyjemniejszego kroku. Lekko zwolnił. Ale i tak było jasne, że ponowne zdublowanie prawie drepczącego w miejscu i walczącego z kolką Mucy jest tylko kwestią czasu.

– Pod-cho-rą-ży! – skandowano z okien. Trybuny niejednego stadionu bywają bardziej powściągliwe.

– Żołnierze w oknach! – odezwały się megafony. – Prosimy zachować ciszę!

Apel pomocnika oficera dyżurnego nie przyniósł żadnych efektów.

– Ba-żant! Ba-żant! Bierz go! Lataj, bażant!

Kończąc dziewiąte okrążenie, podchorąży miał już ponownie zdublować kaprala. Brakowało mu do tego mniej niż trzydzieści metrów. Zbliżając się do kolegów, krzyknął:

– Zaraz mu zaapli... kuję kolejne pięćdziesiąt!

A na potwierdzenie tych słów podskoczył i uderzył się piętami w miejsce, gdzie plecy tracą swą szlachetną nazwę.

Źle postawiona stopa trafiła bokiem na krawężnik...

– Cholera! – zaklął Ogórko.

Rej podniósł się i próbował biec. Z kolana sączyła się krew. Utykał na lewą nogę. Zacisnął zęby i biegł dalej. Lecz o powtórnym zdublowaniu Mucy już nie marzył.

Pragnął za to doczłapać do mety. Jeszcze prawie całe okrążenie! Przewaga jednego okrążenia i ponad trzysta metrów drugiego to solidna zaliczka, ale...

Nie było mowy o tym, by mógł biec. Kuśtykając, posuwał się wokół placu defilad. Za to Muca zwietrzył szansę. Z najwyższym trudem, ale jednak to on, a nie Rej, przyspieszył. I choć był strasznie zmęczony – jednak biegł. Rej kuśtykał.

Publiczność milczała.

Kłęska nielubianego podoficera wydawała się jeszcze minutę temu zupełnie pewna. A teraz...

Rej skończył dziewiąte okrążenie, Muca walczył z ósmym.

Rej dotarł do sztabu, Muca do klubu żołnierskiego.

Rej przy klubie, Muca rozpoczął przedostatnią rundę.

Podchorąży doczłapał do budynku SPR, sapiący jak zdezelowany parowóz kapral – dotarł już prawie do klubu żołnierskiego.

Reja dzieliło od upragnionej mety czterdzieści metrów, dystans między podoficerem a nim był mniejszy. Koszary huczały. Nawet oficer dyżurny nawoływał przez megafon:

– Podchoronży, podchoronży!

Rej zacisnął szczęki i ciągle kulejąc, ostatnim wysiłkiem poderwał się do kaczego biegu.

Muca był coraz bliżej. Zataczał się jak pijany, ale Rej niemal czuł jego oddech na plecach.

Jeden kulawy, drugi półprzytomny z wyczerpania.

Jakże kłamią ci, którzy twierdzą, że współczesny żołnierz polski nie jest w stanie zdobyć się na heroiczny wysiłek!

Jeszcze tylko dwadzieścia... piętnaście... dziesięć... pięć metrów do drzwi stołówki... Już prawie biegli razem. Muca nie wygra wyścigu, ale pewnie zlikwiduje dubla. Jęk zawodu bażantów i innych obserwatorów.

Jeszcze pięć kroków... Prawie ramię w ramię. Do mety już tylko metr...

W moment później obaj padli na asfalt.

– Marek, co ci się stało? – koledzy pochylili się nad zwycięzcą.
– Pokaż nogę!

– Coś ze ścięgnem... Raczej nic poważnego. Ja nie powinienem biegać po asfalcie, tylko przełaje...

Drugi z uczestników kilkuminutowego biegu milczał. Szklanym wzrokiem oglądał swoje dłonie.

– Wi... wi... dzi podchorąży – powiedział wreszcie – jed... je... jednak to ja wygrałem! Ale pod... chorąży biegł... biegł... tak... eech... do...brze, że mu ppo... po... łowę pom... pek... daruję!

Był to gest niezwykle wielkoduszny; niestety – przypominał szczodrość pana Zagłoby, ofiarowującego królowi szwedzkiemu Niderlandy. Mucy coś się ze zmęczenia pokręciło w głowie. Linij mety istotnie przekroczył jako pierwszy, ale biegu nie ukończył, bo pozostało mu jeszcze jedno okrążenie.

– Ale ja kapralowi nie daruję – Rej przy pomocy Ogórki i Olechowicza doczłapał do schodów stołówki i usiadł na nich. – Była umowa, że kto dziesięciu okrążeń nie wybiega, to wali pięćset pompek!

Pomruk podchorążych świadczył o tym, że doskonale wiedzieli, co jest teraz obowiązkiem Mucy. Marmucha nie zamierzał przyjąć mu z pomocą. Też się śmiał.

Do kłębiących się bażantów podszedł oficer dyżurny. Marmucha zauważył go dopiero wtedy, gdy przełożony stanął obok.

– Co tu był za biig?

– Obywatelu poruczniku, starszy szeregowy Marmucha melduje Szkołę Podcho...

– Dobro, dobro – przerwał podporucznik Głodówka – co tu był za biig? Powi... – rozejrzał się po gromadce – kulega!

– Obywatelu poruczniku, kanonier podchorąży Kogutowski!

– Dobro, dobro – machnął ręką oficer. – Mówta lepij!

Kogutowski zreferował przebieg wydarzeń.

– No to kidy, Muca, bydziesz ziemie jebol? – rozsądził spór dowódca plutonu topograficznego SPR Artylerii. – Tyro czy późnij?

– Pó... pó... później – wysapał kapral. Nie był w stanie przyjąć postawy zasadniczej, właściwej przy rozmowach ze starszymi funkcją i stopniem.

– Łoj Muca, Muca, ni popisoł żeś sie – Głodówka dobił kandydata na wzorowego podoficera. – Jak ty tom swojom oesefke⁷ żeś zdobył, że tu cie podchoronży na dubla ujeboł?

– Du... du... dubla – zaprotestował Muca – nie... nie... by... by... było...

– Łoj Muca, Muca – stwierdził dobrotliwie oficer – toż ja ślipy ni jyzdym, kulego.

– Tak jest – odpowiedź podoficera świadczyła, że z wolna wraca do formy.

– A co z podchoronżym? – porucznik zwrócił się do Reja. – Có wom sie zrobiło?

– Źle stanąłem...

– To na izbe chórych! Jak sie podchoronży nozywo?

– Rej.

– Dobro – oficer nie skarcił bażanta za niewłaściwy sposób przedstawienia się. – Kuledzy zanosom podchoronżego na izbe chórych.

– Chyba mogę sam...

– Jak mówił zem, co zanosom, to zanosom! – stwierdził kategorycznie oficer dyżurny. – Pójdziez ty, ty, ty kulego i wy, podchoronży!

Izba chorych mieściła się na parterze budynku sztabu brygady. By zostać wpuszczonym do niej poza godzinami przyjęć (od siódmej trzydzieści do ósmej i od czternastej do czternastej trzydzieści), należało pukać specjalnym szyfrem. I lekarz, i sanitariusze nie lubili niepotrzebnych i nieterminowych wizyt. Zakłócały widocznie rytm ich uzdrowicielskich zabiegów, tudzież innych zajęć.

Dlatego zarówno nieśmiałe, jak i z czasem coraz bardziej natarczywe próby wtargnięcia przez eskortę Reja do przybytku wojskowej mutacji węża Eskulapa były skazane na porażkę.

⁷ Odznaka sprawności fizycznej.

– Popukaj teraz ty do tych drzwi – Tomala przekazał *dzięcioła* Szalskiemu. Ale ani on, ani Chryń, ani nawet kładący wszystkie siły na szali Borówka nie osiągnęli sukcesu.

– Có, czymu tutaj kiśnita, kuledzy? – zapytał znajomy głos.

To Głodówka przyszedł zobaczyć, jak miewa się podchoronży, który urozmaicił jego nudne i męczące obowiązki oficera inspekcyjnego.

– Nie chcą nas wpuścić – wyjaśnił Rej. – Może się boją inwazji NATO?

– Łotwiroć!!! – oficer interweniował głosem wprawionym do wydawania komend, popierając próbę kilkoma kopnięciami w drzwi. – Tu łoficyr dyżurny jidnostki!!!

Okazało się teraz, że ktoś jednak przebywa w izbie chorych.

– A spierdalaj, ty chuju! – dobiegło zza drzwi. – Przyjdz za godzinę, małpo jedna!

Absolwent Wyższej Szkoły Oficerskiej natychmiast rozpoznał rysującą się sytuację taktyczną. Okazało się, iż w bunkrze znajduje się wroga załoga, uzbrojona w arsenał mocnych słów.

– Ja ci pokażem chuja! – szturmował podporucznik. – Nich jyno wejdym!

– Ale, kurwa, nie wejdiesz! Spierdalaj, wieśniaku, krowy pasać!

Obrońcy twierdzy byli nieugięci. Dowodzący natarciem oficer postanowił sięgnąć po inne środki i sposoby walki.

– Skuczy no podchoronży na dyżurke, do mujego pumocnika, i powi, coby przedzwonił tutaj i kazoł łotworzyć – poleciał Borówce.

Kurier odmeldował się służbiście, choć w sercu jego kipiało. Że też zawsze jemu wlepiają takie misje!

Choć mało brakowało, by został wyrzucony przez pomocnika oficera dyżurnego – za to, że nieprawidłowo się przedstawił – zdołał wykonać zadanie.

Po powrocie do izby chorych Borówka zastał kolegów rozpartych na ławkach poczekalni. Z apartamentów izby dobiegał ryk Głodówki, strofującego starszego szeregowego Wotka, dyżurnego sanitariusza.

Trwało solidny moment, nim oficerskie oburzenie zostało ukojone.

Na pożegnanie z obersanitariuszem podporucznik powiedział:

– To tyra załopikujta się, jak trza, kulegom, a jo moży ni powim kapitanowi Jarmułowi, jak sie zachowaliśta! – czego by nie powiedzieć o Głodówce, na pewno nie należał do ludzi mściwych.

– Dziękuję, obywatelu poruczniku!

Wychodząc, Głodówka zgarnął eskortę Reja i polecił jej wracać do SPR. Zabrał też z szafki w ambulatorium kilka paczek białej waty – od lat niemożliwej do kupienia ani w sklepie, ani w aptece – dla żony. Podporucznik zawsze przestrzegał zasady, by przynosić do domu wszystko, co się może przydać.

Na schodach budynku SPR podchorążowie zderzyli się ze zbiegającymi na zbiórkę kolegami, prowadzonymi przez Kozła.

– Przebierać się natychmiast! – rozkazał podoficer. – Pozostali poczekają na was na dole!

– Ale umyć... – przypomniał o swoich prawach Tomala.

– Trzeba było nie grymasić godzinami na chorowalni! – zripstował starszy kapral. – Natychmiast się przebierać, bo nie zjecie śniadania! Tylko ruchy, ruchy!

Czterej miłośnierni samarytanie, już umundurowani, przywitani zostali na dole z radością przetykaną przekleństwami. Ich koledzy cieszyli się, że wreszcie ruszą na śniadanie. Musieli jednak dać upustu złości, spowodowanej przymusowym oczekiwaniem, bo na pewno nie było ono połączone z nudą – ostatnie minuty zajęły im ćwiczenia kroku defiladowego oraz pompki serwowane tym, którzy maszerowali nieprawidłowo.

Czarne chmury

Po śniadaniu czekała bażantów miła niespodzianka. W palarni zastali dwóch absolwentów dwudziestego piątego turnusu SPR: kaprała podchorążego Jarosława Millera i kaprała podchorążego Dariusza Mamciorka. Był z nimi również plutonowy podchorąży Zabawa.

Palarnia rychło wypełniła się amatorami czyszczenia butów i nieregulaminowych rozmów.

– No, jak wy teraz będziecie, to przecież nie będziecie nas tak ganiać, jak Muca? – zapytał Wścieklica.

– Pewno! – przytaknął Mamciorek. – Przecież też jesteśmy bażantami. Podchorąży musi podchorążego szanować, bo inaczej i jego samego nikt nie uszanuje.

– Ale wiecie – wtrącił Miller – coś uczyć to się musicie, dla własnego dobra...

– Niby po co? – zdziwił się Kostyk. – Tu niczego sensownego nauczyć się nie można.

– Ale jak potem pójdziecie do jednostek, to przecież nie wypada, żeby byle szwej znał się na czymś lepiej od bażanta!

– Mi to zwisa i powiewa.

– Nie śmiejecie się. To sprawa poważna – perswadował Miller. – Wyjdziecie później przed front, wydacie rozkaz, a tu wszyscy się śmieją, że komenda nieprawidłowo wydana i w miejscu stoją.

– No to niech się śmieją. Śmiech to zdrowie – parsknął Olechowicz. – Mam to gdzieś.

– A jak to tutaj najłatwiej przetrwać? – zmienił temat Wścieklica.

Po tym pytaniu w palarni zrobiło się cicho, niczym na pięć minut przed pobudką.

– No wiecie... – wyjaśnił Miller – jak nie założycie organizacji ZSMP, to nic nie zrobicie. Tu tylko z tym się liczą...

Propozycja Millera wywołała gwałtowną reakcję podchorążych:

– Eee...

– Z takimi pomysłami to się wypchaj!

– Szmacić nam się każesz?!

– Za komuchów mamy robić?!

– Panowie, panowie! – usiłował uspokoić towarzystwo Zabawa.

– To nie w tym rzecz. Tu chodzi tylko o p o z o r y. Wybiezrecie parę osób, żeby się nazywało, że ZSMP istnieje i działa... i tak zresztą na zewnątrz wykazują, że dziewięćdziesiąt dziewięć procent żołnierzy należy do tej organizacji, również zawodowi, jak mają poniżej trzydziestu pięciu lat. Zapiszecie się, to trepy będą się cieszyć, a wy będziecie mieć dobrze. Prawie miódzio. Będą wyjścia do kina, wyjazdy na wycieczki...

Tylko Maroń i Tarkowski odnieśli się ze zrozumieniem do propozycji zasilenia szeregów podporządkowanej PZPR Organizacji Młodzieżowej, do której każdy żołnierz LWP może, a nawet powinien należeć.

– Czego to ja się, kurwa, dowiaduję! – wrzał podporucznik Siwak. – Spoufalasza się z podwładnymi!

– Ja... o...telu po... po... po...

– Nie jākaj się wreszcie! Skompromitowałeś się, kurwa, i lepiej siedź cicho! Zakazuję ci, kurwa, robić te pompki!

Porucznik Śmiechocki miał jednak odmienne zdanie:

– Może niech to jakoś polubownie załatwi? To w końcu nieprawdłowo, że była, obywatela, umowa, a on jej nie będzie przestrzegał? Może najlepiej udajmy, kurwa mać, że o niczym nie wiemy...

– Wyjdź stąd Muca – polecił oficer szkoleniowy. – Czy masz jeszcze coś do dodania?

– Melduję – wyprężył się kapral – że słyszałem, jak Miller i Mamciorek są na ty z podchorążymi...

– Dobra. Odbój.

Oficerowie postanowili odpędzić gromadzące się nad dyscypliną SPR czarne chmury.

Zgodnie z planem, pierwsze dwie godziny poświęcone były taktyce. Tym razem kapitan Piontek nie zapomniał konspektu.

– Natarcie jest podstawowym rodzajem działań bojowych i zmierzają do całkowitego zniszczenia nieprzyjaciela. Czy zapisane?

– Jeszcze! Już! – z różnych stron sali napłynęły rozmaite mel-dunki. – Zaraz!

– Istotą natarcia jest porażenie npla wszystkimi środkami, wykonanie zdecydowanego ataku w głąb ugrupowania npla lub wzięcie do niewoli jego wojsk... Zapisane?

– Zaraz, zaraz...

– Za szybko...

– Nie lenić się! Piszcie dalej. Kto nie nadąży, to niech zostawi puste miejsce w zeszycie i później uzupełni braki. Ja tu mam w konspekcie podane czasy na realizację zagadnień i nie mogę ich naruszać. Pisać! Natarcie więc jest podstawowym rodzajem walki zbrojnej. Jakże znamy także zarówno inne formy? – wykładowca, chcąc nawiązać lepszy kontakt z podwładnymi, zachęcał ich do wypowiedzi. – No, podnieście ręce!

Na apel odpowiedział tylko jeden żołnierz:

– Kanonier podchorąży Maroń!

– Słucham.

– Atak!

– Eech! – ocenił odpowiedź oficer. – Siadajcie lepiej. Ktoś inny wie?

Lecz więcej ochotników się nie znalazło.

– Obrona jest drugim rodzajem walki zbrojnej – wyjaśnił po-błażliwie komendant. – Ma ona na celu utrudnienie lub odparcie natarcia npla... Zapisano? – odczekał kilkanaście sekund – ... od-

parcie natarcia nieprzyjaciela i zadanie mu znacznych strat, utrzymanie własnego przyczółka, a tym samym... Zapisano?

– Tak!

– Nie!

– ... a tym samym przygotowanie w ten sposób warunków do natarcia. Jest to więc pomocnicza i wymuszona forma działań bojowych... Zapisane?

Zamiast odpowiedzi, uniosło się w górę kilka rąk. Oficer, mile zaskoczony zainteresowaniem słuchaczy, udzielił głosu podchorążemu ze środkowego rzędu.

– Obywatelu kapitanie, podchorąży Wścieklica!

– Wróć! Przedstawcie się prawidłowo!

– Obywatelu kapitanie... – zawahał się moment, ale wybrnął zwycięsko – kanonier podchorąży Wścieklica.

– Słucham.

– Dlaczego mówi się, że Układ Warszawski ma doktrynę obronną, skoro przed chwilą usłyszeliśmy, że zadaniem obrony jest tylko przygotowanie warunków do natarcia, które jest niby podstawowym rodzajem walki?

– Wy mi tu, podchorąży, wrogiej propagandy nie siejcie! Głupich pytań nie zadawajcie! – rozwiął wątpliwości bażanta dowódca. – My się znamy na takich, jak wy! Takie rzeczy to tajemnica wojskowa. Siadajcie lepiej, nim się naprawdę zdenerwuję i was ukarzę. Siad! A inni to jakie pytania mają? Pewnie to samo? W kraju chcecie jątrzyć?! Zapamiętajcie sobie raz na jutro, że wy tu nie jesteście po to, żeby dyskutować, ale żeby się uczyć! Tu nie uniwersytet! To szkoła wojskowa! Tu się uczyć trzeba, uczyć i jeszcze raz uczyć, żeby o bzdetach nie myśleć! Wojsko to, a nie byle studia! Tu się odbywa poważne szkolenie, a nie ględzenie o byle czym!

Więcej pytań nie było. Po zniszczeniu w zarodku prób nieodpowiedzialnych i wrogich wystąpień kapitan kontynuował zajęcia. Omawiał teraz formy manewru.

Podczas krótkiej przerwy w palarni powrócono do dyskusji o roli i zadaniach ZSMP w SPR Artylerii. Wścieklica z zapalem referował zagadnienie Rejowi, który – z obandażowaną nogą oraz trzydniowym zwolnieniem z musztry i innych zajęć fizycznych – powrócił w *domowe pielesze*. Rej nie zwracał większej uwagi na Wścieklicę, agitującego za wstąpieniem w szeregi organizacji *uczciwych młodych Polaków*. Swoją drogą, agitacyjny zapal Wścieklicy zaskakiwał. Czyżby poznaniak w ciągu ostatnich godzin zapomniał o swoim, tak manifestacyjnie dotychczas afiszowanym antykomunizmie?

Zniecierpliwiony Wścieklica sięgnął po papierosa. Paczkę *carmenów* podsunął również Mamciorkowi.

– Teraz wezmę twojego papierosa, a potem ty mojego rozkazu nie wykonasz! – roześmiał się kapral podchorąży.

Ale papierosa wziął. Konwersacja jednak została ucięta.

– Rozpoczyna się druga godzina zajęć! Podchorążowie zachodzą na salę dźwiękową! Ruchy, ruchy!

Podporucznik Siwak musiał omówić z komendantem i całą zawodową kadrą SPR niecierpiącą zwłoki kwestię.

Po tej pospiesznej konferencji kapitan Piontek wezwał do kancelarii podchorążych–praktykantów. Rozmawiał z nimi na temat – jak zaznaczył w swoim Notatniku Rozmów Służbowych – *Właściwych i niewłaściwych postaw wychowawczych podchorążych–praktykantów wobec innych podchorążych*. Ponieważ wiedział, że w związku z tym spóźni się na zajęcia, wysłał umyślnego ze stosownym poleceniem dla słuchaczy SPR.

Do sali dźwiękowej wszedł plutonowy podchorąży Zabawa.

– Siadajcie i bądźcie cicho. Piontek i Siwak czekają na jakiś ważny telefon. Kazali, żebyście sobie przeczytali lekturkę – wskazał piętrzący się na biurku stos egzemplarzy *Taktyki*.

Potem dopilnował, by rozdano książki, i wyszedł, dokładnie zamykając za sobą drzwi.

Po chwili ciszę przerwał Hultajek:

– Ludzie! W mojej książce jest list do nas od poprzedników!

– Cisza! Ale czytaj! – grono ciekawskich obiegło ławkę odkrywcy.

– Usiądźcież w ławkach, do cholery! – zdenerwował się Hultajek. – Ja przeczytam to głośno. I tak będzie ciszej, niż gdy wierzgaćcie mi na karku. Pssyt...

Posłusznie ucichli.

Drogie nieopierzona bażanty! Piszą do was stare ptaszyska z plutonu dźwiękowego, pobór maj 1988. Trzymajcie się! I cieszcicie, bo z tego, co wiemy, to trafiliście do jednego ze spokojniejszych SPR-ów w Polsce...

– Tak! Spokojniejszych! – z niedowierzaniem przyjęto tę informację. – Niech się wypchają!

– Cicho, nie przeszkadzać! – zdenerwował się Hultajek. – Kto nie chce słuchać, niech sobie uszy zatka!

Uciszyło się. Wszyscy chcieli słuchać.

– No! – Hultajek wrócił do lektury:

Jeśli też jesteście dźwiękaczami, to macie najlepiej. Same prawie zajęcia w sali i święty spokój. W plutonie nie ma trepa (to lukratywna posada, etat kapitański, więc zbyt się żrą, by kogoś na stałe tu wsadzić), dowódcą pewnie i za waszych czasów będzie bażant Zabawa. To równy gość, choć też może mieć odbicia. Każdy tu trochę trepieje. Starajcie się nie strepieć, ale nie zawsze to wychodzi. Strepienie to w sumie chyba jedyna obrona przed tym całym syfem...

– Co tam... – chciał zabrać głos Patek, ale przywołały go do porządku groźne spojrzenia kolegów.

Jeśli chodzi o trepów, najporządniejszy jest Śmiechocki ze zwiadu, ale w ogóle to zwiad ma przejebane, bo dużo zajęć w polu i strzelań. Latem to bywa zabawne, ale zimą już mniej... W topo Głodówka, świeżo

po szkole oficerskiej, lubi wykorzystywać bażantów i nic za to nie dawać. To samo stary Maski, złodziej wyjątkowy, do szczęścianu. Obydwaj jednak mało szkodliwi. Z Siwakiem można się dogadać, warto robić coś dla niego, na przykład ławki, szafki i takie duperele. Niewiadomą jest nowy komendant, Piontek. Był tu kiedyś, ale ostatni rok włączył się po rozmaitych szkoleniach i sztabach. Wrócił dopiero w czasie naszych egzaminów i usiłował się świnić – ale głównie po to, żeby zaszkodzić Siwakowi...

– Cicho! – przerwał Nawrocki. – Ktoś stoi przy drzwiach...

Kogutowski, jak przystało na zwiadowcę, na palcach podkradł się ku drzwiom. Ostrożność niewiele pomogła, nowe buty tak czy owak skrzypiały przeraźliwie. Wreszcie podchorąży odważnie nacisnął klamkę i wyrzwał na zewnątrz.

Brawura została nagrodzona. Nie zobaczył nikogo. Zamknął drzwi, dał znak, by dalej czytać.

Podobno jest bardzo służbisty, ale nie złośliwy. Nic na jego temat więcej nie wiemy. Wiele zależy od tego, kto będzie politrukiem – kapita-na Grzegorzólkę przenieśli poza Szczupakowo i zrobił się wakacik. Dużo zależy od tego, kto przyjdzie na jego miejsce. Jeżeli chodzi o zeciorków: uważajcie na Koziołka, bo to kutas nieziemski! Ale Kozioł nie donosi, tylko wszystko we własnym zakresie załatwia. Za to Muca to kabel i tchórzliwy skurwysyn! Co do bażantów – o Zabawie już pisaliśmy. Synek – pojebany zdrowo. Z naszego turnusu dostaniecie do zwiadu Millera (trudno coś o nim powiedzieć), a od nas wujka Mamciorka. Mamciorek świetnie gra na gitarze i robi jaja. Ze wszystkimi problemami walcie do niego, to wam powie, co z czym robić i gdzie załatwić. Jeszcze jedno – załatwiajcie sobie ZIP-y, póki czas! Będą was pewnie straszyc, że ich nie uwzględniają, ale to nieprawda...

– Moment! Co to są ZIP-y? – zapytał Tulski.

– Zapotrzebowanie Indywidualne na Podchorążego z konkretnej jednostki, a tak naprawdę, Znajomości i Plecy – wyjaśnił Nawrocki. – Żona albo starzy muszą znaleźć dojdzie i załatwić...

– Cicho! Zaraz będzie koniec, to sobie pogadacie – zirytował się Hultajek. – *Egzaminy końcowe to w sumie parodia, a kolokwia czyste jaja...* Te *czyste jaja* to podkreślili i dodali pięć wykrzykników.

Na sali zapanowało wesołe poruszenie.

– No i jeszcze są tu tylko pozdrowienia dla nas i podpisy nabażrane – zakończył Hultajek. – A pod spodem wołowymi bukwami ktoś dopisał: *Bądźcie solidarni i nie dajcie się skłócić, bo im na waszych waśniach najbardziej zależy. Dopóki jesteście razem, to trepy mogą wam na ch... naskoczyć!*

Dłużej już ciszy utrzymać się nie dało. Rozpętała się ożywiona dyskusja.

Psychologia na dzień dobry

Na drugie śniadanie podano po dwie duże buły, pół serka topionego i solidną parówkę z musztardą. Do picia cienka herbata.

– Marek! Ich trzeba, tę komunę – uparcie przekonywał Wścieklica – rozkładać od wewnątrz. Zapiszemy się!

– Nie będę plamił sobie rąk.

– Ale to nam zapewni całkowitą bezkarność! Wiesz przecież, jak to jest!

– Będziemy tu niespełna cztery miesiące. Co nam mogą zrobić? Niewiele.

– Tu się mylisz – westchnął Wścieklica. – A poza tym jest kwestia praktyk. Czy chcesz trafić do jakiejś zasranej dziury?

– Chętnie – stwierdził Rej. – Najlepiej do jakiegoś *zielonego garnizonu*, gdzie jest dużo lasu, jezioro...

– Dobra. Niech ci będzie – Wścieklica z rezygnacją machnął ręką. – Ale przecież wcześniej nas tutaj zajebią! W tym kraju po każdym ślad łatwo może zaginać... Trzeba się bronić!

– Przy pomocy ZSMP? Może jeszcze do Partii się zapiszemy?! Przecież w ten sposób najbardziej im ustępujesz!

– Marek, nie panikuj – do politycznych rozważań włączył się Ogórko. – Robert słusznie prawi. Porobimy za piątą kolumnę...

– To nie dla mnie...

Lecz obaj agitatorzy nie poddawali się. Widocznie zapadł im głęboko w serce wykład kapitana Piontka na temat podstawowych rodzajów walki zbrojnej.

– Podchorąży – wychodzącego ze stołówki Reja zaczepił nerwowo drepczący przed budynkiem OC Muca – gratuluję...

– Dzięki. A kiedy pompki?

– No wie podchorąży... chyba nie wszystkie naraz?

– Pażywiom-uwidim. Ale proszę zacząć najlepiej od razu. – Rej ciągle czuł wstręt do tytułatury wojskowej. Jeśli tylko mógł, to unikał stosowania takich form, jak *kapralu*, a tym bardziej *obywatelu kapralu*. Mówienia na ty wołał już jednak nie ryzykować. – No, proszę...

Ku uciesze bażanciarni obydwu SPR-ów, kapral oparł się na rękach i palcach stóp. Rozpoczął pompowanie.

– Dziesięć... dwadzieścia... – liczyli podchorążowie.

– No! – stwierdził Rej. – Na razie wystarczy.

– Co ty robisz?! – oburzyło się kilku bażantów. – Darujesz mu?!

– Eee... Tylko na raty rozkładam. Będzie więcej zabawy – niechętnie tłumaczył Rej. Uznał, że należy spróbować osiągnąć porozumienie z bezpośrednim przełożonym. Trzeba w końcu pod jego rozkazami wytrzymać prawie cztery miesiące. Liczył, że kapral nie zapomni o okazanej wielkoduszności. Nie chciał jednak dopuścić do siebie myśli, że tym samym po raz pierwszy gwałci zasadę: *o nic się nie starać i bimbać na wszystko...* To był właśnie moment

wojskowego chrztu: Marek Rej stał się kanonierem podchorążym Rejem.

Kolejne godziny zajęć poświęcono balistyce. Siwak mówił o tym, jak należy celować:

– Muszka musi, kurwa, pokrywać się ze szczerbinką. I w żadnym wypadku nie wolno w czasie strzału zamykać oczu, co się często podchorążym zdarza...

Równocześnie w gabinecie zastępcy dowódcy SPR Artylerii do spraw polityczno-wychowawczych odbywały się przesłuchania, przewidziane w *Scenariuszu do rozmów indywidualnych d-cy jednostki wojskowej lub osób przez niego wyznaczonych z nowo wcielonymi żołnierzami*.

O kolejności wezwań decydowało ułożenie kart personalnych na biurku podporucznika Maćki. Jeszcze niedawno były ułożone w kolejności alfabetycznej. Nie wiedział jednak o tym żołnierz sprzątający biurko towarzysza porucznika, gdy więc przeciąg zmiotł część kart na podłogę, ten ułożył je na biurku po starannym przetasowaniu.

Młody oficer bardzo się przejął lekturą *Poradnika dla prowadzących rozmowy indywidualne*. Jego autor, pułkownik Stanisław Kwiatkowski, na jednej z pierwszych stron stwierdzał:

Sztuka konwersacji, sprawne władanie słowem, jest poniekąd obowiązkiem żołnierza zawodowego, wynikającym z jego pracy. (...) Racje zawodowe, moralne i polityczne musi umieć uzasadnić. W dialogu tym potrzebny jest język giętki, rzeczowy i poprawny⁸.

– Podchorąży tu, po prostu, napisał w ankiecie – podporucznik Maćko zatrzymał palec na stosownej rubryce – że ma światopogląd

⁸ S. Kwiatkowski, *Poradnik dla prowadzących rozmowy indywidualne*, Warszawa 1978 s. 7.

głęboko religijny. Jakoś, po prostu, rozumiem jeszcze, że religijny, ale to *głęboko!* Czy wam nie wstyd? To przecież, po prostu, takie przestarzałe i wsteczne!

– Dla mnie – wyjaśnił Mamut – religia jest częścią życia. Ona uczy ludzi...

– Nie, nie, towarzyszu! Przecież już dawno wiadomo, że religia to po prostu opium dla prymitywnego ludu. W ludowym wojsku, po prostu, nie możemy czegoś takiego popierać.

– Ale przecież są, nawet i obecnie, kapelani wojskowi.

– Tak, tak... są – przyznał niechętnie arbuż. – Po prostu są. Ale, wie podchorąży, kapelani wojskowi... Mają zresztą, po prostu, wysokie stopnie oficerskie, bo są, po prostu, księżmi rozumnymi. Z reguły nawet, po prostu, do naszej Partii należą i jej służą! Są należycie, po prostu, uświadomieni ideologicznie, wyrzekli się już dawnych grzechów, i z nimi to problemów nie ma. Po prostu, nie są już wsteczni i popierają socjalizm i Partię jako uświadomieni urzędnicy kościoła polskiego. Jak na kler, to po prostu robią dobrą robotę... Poza tym to, po prostu, zwykle już starzy ludzie, na emerytury czekają i nie lubią, jak ich daleko od Warszawy ciągać. Generalny Dziekanat Ludowego Wojska Polskiego jest po prostu instytucją rozsądną i ucicie się od niej tego, co mądre, towarzyszu podchorąży!

Rozmowy indywidualne z najmłodszymi żołnierzami mają znaczenie nie tylko poznawcze, lecz również wychowawcze. Pamiętać o tym warto do końca spotkania i deklarować pomoc w rozwiązywaniu spraw trudnych i kłopotliwych dla podwładnego, poprosić o wypowiedzenie się, jakiej pomocy oczekuje, poradzić, czym powinien się kierować w najbliższej przyszłości⁹.

⁹ *Tamże*, s. 43.

Jako trzeci przyszedł na rozmowę Tomala. Był to dryblas, który liczył prawie dwa metry wzrostu, a ważył ledwo siedemdziesiąt kilogramów.

Z niecierpliwością oczekiwał spotkania z Maćką – Zabawa mówił, że załatwienie tej sprawy zależy wyłącznie od oficera do spraw polityczno-wychowawczych...

– Na 17 września mam ustalony termin ślubu.

– Cóż, podchorąży, trzeba będzie, po prostu, inny termin wyznaczyć. Przecież to nie takie trudne – pocieszył podporucznik.

– Ale już wszystko załatwione. Co ja mam wobec tego zrobić?

– Zrozumcie, że żołnierz przed przysięgą nie może tak po prostu samodzielnie opuszczać koszar.

– Właśnie! – podchwycił Tomala. – Nie może samodzielnie... ale przecież może ktoś ze mną jechać!

– No tak – Maćko podrapał się w wydatną szczękę. – To rzeczywiście, po prostu, byłoby jakieś rozwiązanie, wysłać was z kimś... Mieszkacie, po prostu, w Warszawie?

– Tak.

– Pomyślimy, po prostu, pomyślimy. Pogadam z komendantem, może was, po prostu, puści pod opieką... Wy jesteście w dźwięku?

– Tak.

– To, po prostu, pod opieką plutonowego podchorążego Zabawy. Tak... na wszelki wypadek napiszcie podanie o urlop, po prostu, okolicznościowy i podrzućcie mi je jeszcze dzisiaj.

– Dziękuję bardzo – Tomala radośnie uśmiechnął się do dobroczyńcy.

– Nie liczcie, po prostu, czasem na za wiele – ostrzegł podporucznik. – Zobaczymy, co się da, po prostu, zrobić... Dużo lepiej by wasze sprawy stały, gdyby waszą prośbę poparł, po prostu, ZSMP...

Od tego, jak szybko dowódca potrafi rozpoznać szczególne właściwości podwładnych, zależy w rezultacie czas „aklimatyzacji” nowo wcielonych w kolektywie, ich wyniki szkolenia oraz stopień opanowania techniki i uzbrojenia¹⁰.

– Więc jest towarzysz, po prostu, zainteresowany służbą zawodową?! – ucieszył się podporucznik.

– Nie jestem jeszcze pewny. Myślę raczej o milicji. Ojciec jest emerytowanym chorążym artylerii i namawia mnie tutaj...

– Oczywiście do ZSMP podchorąży, po prostu, należy?

– Zapiszę się – obiecał Maroń.

– Mam również do towarzysza taką prośbę, po prostu – Maćko spojrzał rozmówcy w oczy. – Jak będzie podchorąży słyszał jakieś niepokojące opinie kolegów i, po prostu, rozmaite ciekawostki, to proszę mi składać takie ciche meldunki o nastrojach. Wie towarzysz, tak po prostu... Ja też o was, po prostu, nie zapomnę...

Najtrudniej pozyskać zaufanie i szczerłość, sprawić, że rozmowa zatracą czysto oficjalny charakter i staje się niejako prywatna, jakby koleżeńska, bez nieufności i obaw, skłania do zwierzeń ze spraw osobistych¹¹.

– A ma podchorąży, tak po prostu, dziewczynę?

– To moja osobista sprawa – wyjaśnił Kostyk.

– Ale ja, po prostu, muszę to zapisać! – nalegał Maćko.

– A dlaczego to?

– No bo gdyby na przykład podchorąży, po prostu, uciekł z jednostki, to wtedy wiemy, gdzie go szukać.

¹⁰ Tamże, s. 16.

¹¹ Tamże, s. 29.

Rozbrojony prostotą wyjaśnienia podchorąży udzielił stosownych informacji. Niezupelnie zresztą prawdziwych.

Nie jest łatwo dotrzeć do najbardziej osobistych przeżyć człowieka, do głębi jego psychiki, przełamać uczucie lęku, jaki może rodzić obawa przed nowym, niepokój wywoływany niepewnością - mają z tym trudności nawet zawodowi psychoterapeuci¹².

- Podchorąży jest żonaty?

- Tak - odparł Olszewski.

- No to wie towarzysz... - konfidencko ściszył głos oficer polityczno-wychowawczy. - Jakby podchorąży miał jakieś problemy z żoną... Po prostu, w łóżku na przykład, to niech, po prostu, do mnie się zgłasza, to ja doradzę. Sam, po prostu, kilka miesięcy temu też się ożeniłem, he, he...

Olszewski w ciągu siedmiu lat małżeństwa usłyszał wiele dobrych i złych rad. Tym razem jednak go zamurowało.

- Proszę, niech podchorąży nie dziękuje, to przecież, po prostu, ludzkie sprawy...

- A ile... Ile obywatel porucznik ma lat?

- Dwadzieścia pięć.

- To ja w tym wieku miałem już drugie dziecko w drodze.

Zakończenie rozmowy powinno mieć przebieg łagodny, z życzliwym, przyjaznym akcentem (np. podziękować za szczerą i zaufanie). Zaleca się, by w dobrym nastroju podsumować wspólnie uzgodnione zamierzenia i kierunki dalszego działania¹³.

¹² Tamże, s. 28.

¹³ Tamże, s. 44.

- No to, po prostu, dziękuję towarzyszowi i proszę przygotować to podanie. Osobiście, po prostu, je poprę! A właściwie to już teraz mogę powiedzieć, po prostu: witamy w naszej organizacji partyjnej!

- To ja dziękuję, towarzyszu - westchnął Nawrocki.

- To mój obowiązek, to mój obowiązek, po prostu... I proszę powiedzieć pozostałym podchorążym, że następne pogawędki odbędziemy po prostu jutro. A wam jeszcze raz gratuluję rozsądnej, po prostu, decyzji.

Zajęcia kończył również podporucznik Siwak. Mówił teraz o uzbrojeniu wozów bojowych LWP:

- Do drużyny na SKOT zaliczają się, kurwa: dowódca, celowniczy PKS, amunicyjny, kurwa, celowniczy rgppanc 7, mechanik-kierowca, strzelec, kurwa, drugi strzelec...

Podchorążowie spiesznie notowali. Niektórzy słowo w słowo.

Zarówno apel południowy, jak i obiad nie zaskoczyły podchorążych niczym szczególnym. Natomiast Czas Wolny...

- Podchorążowie zachodzą pod kancelarię szefa w celu odbioru żołdu! - ogłosił starszy kapral Kozioł. - Wszyscy! Biegiem! Ruchy, ruchy!

Ogonek ciągnął się od drzwi oznaczonych tabliczką z numerem 115 prawie do umywalni. Oczekiwali sierżanta Maskiego, który - wchodziło to w zakres obowiązków szefa kompanii - miał wystąpić w roli kasjera.

- Myślałem, że przynajmniej tutaj nie będę stał w kolejkach! - sarknął Patek.

- Na wolności wojsko rządzi i tu wojsko rządzi - odpowiedział któryś z kolegów. - Czego więc dobrego mogłeś się spodziewać?

- Zero dyskusji, kurwa! - wrzasnął Siwak. - Macie czekać, a nie czekać! Szkooofa baaaczność!!!

Podporucznik dokonał lustracji podkomendnych. Dokładnie sprawdził, czy mają prawidłowo zaciśnięte paski do spodni. Z reguły było z tym fatalnie. Ale znalazł się i chlubny wyjątek. Borówka otrzymał – w nagrodę za regulaminowe zaciśnięcie pasa na tłustym brzuchu – ocenę bardzo dobrą. I to jako jedyny ze wszystkich podchorążych! Zadowolony z sukcesu, postanowił starać się jeszcze bardziej.

Wreszcie po dobrym kwadransie zjawił się i kasjer.

– Zna się który na cyklinowaniu? – zapytał na powitanie.

– Jestem!

– Nazwisko?

– Melduje się kanonier podchorąży Tarkowski!

– Skąd się na tym znacie?

– Melduję, że ukończyłem wychowanie techniczne w Białymstoku, prywatnie też się takimi sprawami zajmowałem...

– Dobrze. Dobierzecie sobie, kurewka, pomocnika, i od jutra będziecie cyklinować SPR. Zgłosicie się do mnie zaraz po wypłacie.

– Rozkaz, obywatelu sierżancie!

– Starajcie się, kurewka, bo jak wam dobrze pójdzie, to pocyklinujecie też i u mnie, i u wszystkiej reszty kadry.

– Rozkaz!

– A czy jest tu może jakiś architekt?

– Jestem!

– Nazwisko?

– Bratek.

– Przedstawcie się po ludzku!

– Kapral podcho...

– Jaki *kapral*?! – przerwał Maski.

– ... To jest, kanonier podchorąży Bratek.

– Zero architektów więcej?

Ponieważ odpowiedzią była cisza, podoficer zdecydował:

– Wy też, Bratek, zgłosicie się do mnie potem. Dla was ma zadanie, kurewka, sam pułkownik Czachórski!

Informacja sierżanta nie wywarła szczególnego wrażenia ani na Bratku, ani na żadnym z jego kolegów. Jeszcze nie wiedzieli, kim jest Czachórski i jaką pełni funkcję. Zupełnie nie kojarzyli go z pułkownikiem, który onegdaj uszczęśliwił ich koszmarnym przemówieniem. Prawdę mówiąc, wciąż jeszcze mieli trudności z identyfikacją oficerów SPR. Żaden, z wyjątkiem podporucznika Maćki, nie przedstawił się imieniem i nazwiskiem. Na ogół przełożeni ograniczali się do niewiele mówiącej autoprezentacji: *Jestem oficerem szkoleniowym*, ale czasem i tego im skąpiono, wychodząc z założenia, iż *podwładny nie musi przełożonego znać – ale musi się go bać. Dzięki temu go pozna!*

Maski rozpoczął wreszcie urzędowanie:

– Marmucha! Zrób no herbaty i skombinuj mi papierocha!

Po wypaleniu drugiego klubowego i przejrzeniu „Trybuny Ludu” szef SPR przystąpił do wypłacania żołdu.

– Borówka, Bratek, Chryń!

Trójki wchodziły, odbierały pieniądze, podpisywały się na liście i wychodziły. Tylko Hultajek spowodował niewielkie zamieszanie: po podpisaniu listy i pobraniu pieniędzy założył czapkę, a następnie ją zdjął, wykonując jednocześnie głęboki – sięgający pewnie czasów chłopstwa pańszczyźnianego – pokłon i sięgnął po dłoń sierżanta, jak gdyby chciał ją ucałować.

– Dzięki, panie, ponad dwa tysiące! Bóg zapłać! – powiedział.

– Toć to prawie starczy na dziesięć piw lub pięćdziesiąt paczek popularnych!

Zachowanie Hultajka wzbudziło u sierżanta nastrój daleki od euforii, za to bardzo głośny:

– Ty chuju! Co ty sobie wyobrażasz?! Ja ci dopierdołę!

Hultajka odstawiono do dyspozycji podoficera dyżurnego, który miał mu znaleźć na pozostałe minuty Czasu Wolnego stosowne zajęcie. Wykonując je, bażant miał się zastanowić nad niestosownością swego zachowania.

Ale Koziół nie wykazał się zbyt dotkliwą inwencją. Może dlatego, że szczerze ubawił go hultajkowy występ?

- Podchorąży pozmywa lustra w umywalni! – zarządził.
- Czym?
- Jak to czym? Pastą do zębów. I gazetami!

Czas Wolny szybko dobiegł końca i podchorążych zapędzono na salę dźwiękową. Tam Muca zaczął ich wprowadzać w zawiloci Regulaminu. Proces ów polegał na tym, że podoficer czytał, czasem z lekka się zacinając, kolejne stronicze dzieła, które każdy żołnierz powinien przechowywać w sercu i pamięci.

Po sali hasał pomocnik kaprała, starszy szeregowy Marmucha. Pilnie baczył, by nikt nie odważył się zajmować czymś innym, niż nakazali przełożeni.

– Pokaże mi to podchorąży! – usiłował wyrwać kartkę papieru siedzącemu w ostatniej ławce Tomali.

- Nie!
- To jest rozkaz!
- Nie!

– Trzymaj go, Marmucha! – kaprał pospieszył z odsieczą kole-dze. We dwójkę bez trudu poradzili sobie z wysokim, ale cherla-wym bażantem.

– Listy sobie podchorąży pisze! – wrzasnął Marmucha. – Zaraz sobie poczytamy! – Odskokzył od szamoczącej się dwójki i zaczął czytać pełnym głosem: *Kochanie! Mam nadzieję, że już niedługo...*

– Dalej radzę nie czytać! – syknął Rej. – Bo możesz mieć kłopoty!

– Co sobie podchorąży... – Marmucha przerwał lekturę – wyobraża?!

– On ma rację. Da... da... damy ten list Piontkowi, ale głośno go nie czytaj... – westchnął Muca.

Mimo wszystko na następnej godzinie Tomala, korzystając z nieobecności Marmuchy, napisał nowy list do narzeczonej:

Kochanie!

Sytuacja tu taka, że nie mogę wiele pisać. Wiedziałem, że tu będzie głupota i chamstwo, ale nie sądziłem, że aż takie. Czasami czuję się nie jak bażant, ale zwykły szwejk. Trepy na okrągło rzucają „kurwami”. Mniejsza zresztą o to...

Marzę o tym, by Cię zobaczyć. Uwierzyć nie mogę, że widzieliśmy się ostatnio tydzień temu. Tydzień? Czuję się, jakby minęły lata, i to chude lata. Podtrzymuje mnie tylko myśl o Tobie. Śniesz mi się i w nocy, i w dzień...

Niepokoję się trochę weselem, bo robią mi tu trudności. Ale na pewno przyjadę, choćby dzień wcześniej, nawet jakbym miał stąd przez płot uciec... Wybacz chaos myśli, ale jestem zmęczony, na razie nie ma się nawet kiedy wyspać, a w ciągu dnia wszyscy tutaj dbają, byśmy się nie nudzili. Tak naprawdę to nie robimy nic, ale i tak ciągle jesteśmy zajęci bzdurami, choćby w ramach tzw. Czasu Wolnego stoimy na korytarzu na bacność, zamiast odpocząć.

Jakże ucieszyłem się po pierwszej nocy – jeden dzień mniej w tej ch...! – Wybacz słownictwo, ale tutaj wszyscy do nas tak mówią, i człowiek chcąc nie chcąc, nasiąka...

Drugiego dnia palącyrozpaczałi, że tylko jedno palenie. Ale za to mieliśmy Święto Brygady – co za paranoja!

Poza tym cały czas sprzątam albo ćwiczmy stanie i rozkładanie kostek z onuc, łóżek i czego tylko się da.

Pasjonujące!

W sypialniach smród – mamy tak naprawdę ze dwie minuty na umycie się i ogolenie rano i wieczorem. Cały ten czas zajmuje w praktyce golenie – bo tępią niedogolonych. Przyjemne.

Po korytarzu wolno, nawet do kibla, poruszać się tylko biegiem, co chwila ktoś się z kimś zderza. Wesoto...

Jeśli chodzi o moje wiadomości wojskowe: wiem co to pilot (nie ma nic wspólnego z lotnictwem), kot, dziadek, garb i parę innych rzeczy, o których nie masz pojęcia. Znam również Najkrótszy Regulamin Dyscyplinarny: „Paragraf 1 – przelozony ma zawsze rację; Paragraf 2 – jeśli nie ma racji, to patrz paragraf 1”. Fajne...

Kaprale (bo są tu kaprale z zetki! Mam nadzieję, że tylko tymczasowo) i trepy bez przerwy drą ryje. Trepom „kurwa” z pyska nie schodzi... Co to wojsko robi z ludźmi?...

Ale teraz będzie lepiej, bo zjawili się wreszcie bażanci-praktykanci. Pamiętasz pewnie, i Jurek i Kazik opowiadali, że u nich były to największe sk..., ale u nas tak nie jest. Pierwszy kontakt wypadł bardzo przyjemnie. Teraz jeden z tych praktykantów wysłał ten list, bo my nie możemy wychodzić z budynku, a nawet z piętra. Wszystko stadnie!

Cały, cały, cały czas myślę o Tobie!!!!

Wybacz, kończę, bo boję się, że znowu (już raz to zrobili) ktoś wyrwie mi list z ręki, a poza tym muszę oddać koledze długopis. On też chce pisać list. Tutaj wydano nam tylko (niezastrugane) ołówki, długopisów ani śladu!

Kocham Cię jeszcze bardziej, niż nienawidzę armii

Jurek.

– Podchorążowie zachodzą na Dziennik Telewizyjny! Ruchy, ruchy!

Zielone stwory posłusznie wtoczyły się do świetlicy. Tylko jeden pozostał w palarni.

– A podchorąży Rej to czemu jeszcze nie na Dzienniku? – zainteresował się Muca.

– Ja nie mogę oglądać Dziennika, bo na widok pewnych twarzy chce mi się rzygać. Za to odpuszczę zwolnienie z... niech będzie... dwudziestu pompek.

– Stu! – podoficer przystał na drogę handlu.

– Więcej niż pięćdziesiąt nie mogę. Co by chłopaki powiedzieli...

– Siedemdziesiąt pięć!

– Pięćdziesiąt!

– Wykorzystuje mnie podchorąży – westchnął Muca. – Ale niech już będzie. Tylko niech podchorąży schowa się w łazience, tak żeby nikt go nie zobaczył.

Rej poszedł do ubikacji, a kapral na Dziennik, którego oglądanie było obowiązkiem każdego żołnierza LWP.

Służbę podoficera dyżurnego przejął plutonowy podchorąży Zabawa.

– Dzisiaj mycie indywidualne!

Po raz pierwszy obyło się bez bałaganu i hałasu, które dotychczas towarzyszyły ablucjom. Każdy zdążył się umyć i ogolić. Mimo że nikt nie poganiał, prawie wszyscy zdołali liźnąć ciepłej wody. Okazało się, że kradnące czas i nerwy mycie plutonami nie jest idealnym sposobem na doprowadzenie wojskowej siły żywej do czystości.

Rozpoczęte zaraz po kolacji rejony przyjęte zostały rekordowo szybko, jeszcze przed wpół do dziewiątej. Zatem już na kilka minut przed capstrzykiem znakomita większość podchorążych przygotowana była do poświęcenia się jednemu punktowi Porządku Dnia, jaki sprawiał wszystkim nieklamana przyjemność.

– Wozy przygotowane do boju! – cieszył się Lange. – Zaraz spać! Przybój! Wykonać!

W izbie 106 trwała burzliwa dyskusja. Szło o to, czy należy wstępować do ZSMP.

- Nie ma sensu!
- Ale tu chodzi tylko o pozory!
- Daj palec, to ci całą rękę wezmą!
- Ale rzecz w tym, żeby ssać z tej komuny, co się da!
- Nie dać się skurwić!
- Ale kto o tym będzie wiedział? To z SPR-u nie wyjdzie!

Zdania w plutonie zwiadu były podzielone nie tyle z powodów ideowych, co taktycznych. Wreszcie Borówka postanowił zasięgnąć opinii jedyne go milczącego w trakcie sporu kolegi.

- A ty, Marek?
 - Co ja? – zastanowił się Rej. – Niewątpliwie zapisanie się do tego syfu to skurwysyństwo, ale z drugiej strony...
 - Co z drugiej strony?
 - Czemu nie zgasiliście światła? – do pokoju wszedł Zabawa.
 - Już po capstrzyku. Chcecie, żeby mnie za was opierdalali? Dobranoc – wyszedł, staranie zamykając za sobą drzwi.
 - No, co z drugiej strony? – Borówka ciągnął Reja za język.
 - Daj spokój. Nie widzisz, że wszyscy chcą spać?
 - Ale jak ty się zachowasz?
 - Zobacz, dziś po raz pierwszy mamy zamknięte drzwi – powiedział Rej. – Nie przeszkadza światło z korytarza... Ten Zabawa to jednak całkiem porządny gość.
 - Ale jak ty się zachowasz?
- Jedyną odpowiedź stanowiło skrzypnięcie sprężyn wozu. Widocznie Rej przewrócił się na drugi bok.

Piątek

Zaraz po śniadaniu Muca zarządził zbiórkę plutonu rozpoznania wzrokowego, jeszcze przed budynkiem SPR OC.

– Podchorążowie! Również nasz pluton ma swoją, małą zresztą, salę. Mieści się ona na drugim piętrze budynku SPR-u, w bloku szkolenia elewów. Muszę teraz wyznaczyć opiekuna, który dostanie ode mnie kluczyk, zrobi tam porządki i już na stałe będzie się tym pomieszczeniem zajmował. Za to ten podchorąży nie będzie robił rejonów. Kto jest chętny do tej fuchy?

Pierwszy zgłosił się Borówka. Ale ta kandydatura nie zyskała uznania dowódcy.

– Dobrze, to niech będzie podchorąży Rej.

Podoficer wręczył zwycięzcy przetargu klucz do sali 205.

Tym razem ulitowano się nad zabandażowaną nogą Reja i zwolniono go z ćwiczenia kroku defiladowego. Trudno powiedzieć, na ile wynikało to z dobrego serca porucznika Śmiechockiego, a na ile z zamieszania, jakie kulawy marsz bażanta powodował w szyku. Teraz więc Rej spokojnie obserwował wysiłki kolegów.

Zarówno Regulamin, jak i wszyscy instruktorzy teoretycznie byli zgodni: *noga wyprostowana, stopa dwadzieścia centymetrów od ziemi*. W praktyce pewne drobne różnice zachodziły jednak odnośnie tego, ile to jest owo dwadzieścia centymetrów. Tu istniało kilka, zupełnie odmiennych koncepcji.

Muca był zdania, że uniesiona stopa winna znajdować się na wysokości kolana drugiej nogi. Śmiechocki uważał, że kolano jest odległe od ziemi co najwyżej o osiemnaście, może dziewiętnaście centymetrów, w związku z czym trzeba nogi dźwigać solidniej. Natomiast Siwak sprawiał wrażenie, że owe dwadzieścia centymetrów dostrzega co najmniej na wysokości pępka.

– Wyżej, wyżej gira, podchorąży Borówka! Ruchy, ruchy!

Akurat Borówka naprawdę usiłował podnosić nogi jak najwyżej (bo niektórzy podchorążowie nie zamierzali dźwigać kończyn wyżej niż do kostek...). Niestety, to właśnie jemu najczęściej zwracano uwagę. Rej niezbyt mu współczuł, bo uważał, że dorosły czło-

wiek powinien wiedzieć, iż trepom najłatwiej pouczać i krytykować nie tych, którzy na to rzeczywiście zasługują, lecz takich, o których wiadomo, że przed atakami nie będą się bronić. W wojsku – i pewnie nie tylko – wielu szefów potrafi nieomylnie wytypować swoje ofiary. Gdyby takich ludzi nie mieli wokół siebie, musieliby ich stworzyć...

Takie rozważania snuł Rej, rozparty we wzorcowej palarni naprzeciwko klubu żołnierskiego. Nieopodal, na mniejszym placu ćwiczeń, trenowali pozostali podchorążowie. Słońce świeciło jak w środku lata. Spoceni, uflagani, z zazdrością zerkali na zaciągającego się carmenem Reja. Spoglądali nań tym chętniej, że na poczekaniu zorganizował prywatną scenę popisów mimicznych. Może bazując na wspomnieniu zabaw przedszkolnych, przygotowywał się do pojedynku z koalicją Syfona i Miętusa, bohaterów gombrowiczowskiej *Ferdydurke*?

– Podchorąży Tomala! To ma być d w a d z i e ś c i a centymetrów!

– Przecież podnoszę nogę aż do kolan! – tłumaczył najwyższy ze słuchaczy SPR.

– Zero dyskusji! – pouczył Muca. – Trzeba mieć wzór kroku w oku!

– To i oko duże mieć wypada, jak hełm! – odparł Tomala.

Trafność odpowiedzi poparł płynący przez kolumnę strumyczek szemrzącego śmiechu.

– Wzorzec takiego oka znajduje się pewnie w Borodino pod Moskwą! – uzupełnił z łoży kibica Rej. – I strzeże go sobowtór kaprała Mucy!

Szembrzący strumyczek zamienił się w kaskadę. By ją zatamować, niezbędna okazała się interwencja oficera szkoleniowego.

– Zero dyskusji, kurwa! Jak podchorążemu Rejowi tu niewygodnie, to mu jakąś robotę znajdziemy. Bierz go, Muca, na SPR i zajmij czymś.

Podążając za swym dowódcą, Rej utykał znacznie efektywniej niż kilkanaście minut wcześniej. Widocznie mu się pogorszyło.

Muca skorzystał z okazji. Wiedział, że w jego kapraleskim interesie leży, by sala zwiadu, gdzie za kilka dni miały zacząć się zajęcia z porucznikiem Śmiechockim, była wypucowana. I wiedział, że...

– Co za burdel! – Rej przeraził się, przekroczywszy gościnne progi sali 205. – Ja tego do sądnego dnia nie posprzątam!

– Zaczniecie teraz, skończyć trzeba do niedzieli. A za ten burdel to podziękujcie Millerowi, on był wcześniej opiekunem tej sali.

Na drugie śniadanie zaserwowano boczek, nazywany przez bractwo żołnierską boczusiem lub białym szaleństwem.

– Jaki dziś dzień tygodnia? – zapytał Borówka.

– Czwartek chyba.

– Nie sobota?

– Zapytajmy się lepiej kucharza.

– Po co kucharza... Wystarczy policzyć.

– A co było wczoraj?

– Rej kontra Muca!

– To przedwczoraj! Wtedy też były rozmówki z Maćką!

– Nie... to właśnie było wczoraj...

– Co ty mówisz?

Dopiero zirytowany gwarem Muca rozsądził spór:

– Piątek dzisiaj! I zero dyskusji!

– Po co od razu mają milczeć? – zdziwił się Zabawa. – Wystarczy, jak będą trochę ciszej.

Podchorążowie, czując poparcie najstarszego stopniem na sali, uciszyli się co najwyżej o pół tonu, a i to na krótko.

– Czyli co? W dzień postny mam słoninę szamać?! – oburzył się Mamut.

– Jak nie chcesz, to zjedz samą bułkę.

– Pójdę do kucharza, może przynajmniej dzemu mi da. Przecież dotychczas zawsze go wystawiali!

Po chwili Mamut wrócił. Bez dzemu.

– Powiedzieli mi, że owszem, dżem to mają zawsze, ale nigdy w piątki – wyjaśnił. – I kwatermistrz podobno osobiście lubi sprawdzać, czy aby go nie wydają...

– No tak. Czysta złośliwość – domyślił się Kogutowski. – Chodzi o to, żeby w dzień postu zjeść tłuszcz i mięso. A pytałeś, co będzie na obiad i kolację?

– Tak. Na obiad gulasz, a na kolację... nie pamiętam, ale też nic postnego.

– Ale zjeść coś trzeba... – nostalgicznie zauważył Nodryś, sięgając po swą porcję. – Tydzień temu, na powitanie, też było mięso, nie?

– Ale wtedy był pierwszy dzień – powiedział Mamut. – Większość nawet nie zauważyła, co je...

– Ja zjem samą bułkę! – oświadczył Borówka.

– Ja też! – dołączył Mamut.

Siedzący przy sąsiednim stoliku Ogórko wykorzystał sytuację:

– Kto nie chce jeść boczku, niech przyniesie do mnie!

Po chwili był posiadaczem kilkunastu porcji. Część z nich trzymał na kolanach, bo na stole się nie mieściły.

– I ty to wszystko chcesz zjeść? – zaciekawił się Rej.

– Nie wszystko. Z każdej porcji tylko to, co chude – wyjaśnił żartok. – Chcesz trochę?

– Dawaj!

– A czy i mnie coś chudego dasz? – grzecznie zapytał Borówka, który zdążył już zmienić zdanie.

Czwartą godzinę zajęć prowadził Maćko. Monotonnym głosem dyktował dalsze powojenne dzieje 1 ŚBAA. Były to dzieje burzliwe.

W roku 1948 ówczesna 11 Brygada Artylerii Armat przemianowana została na 5 Brygadę Artylerii Ciągnionej. W dwa lata później otrzymała imię wielkiego przywódcy narodów Europy Wschodniej i znacznej części Azji. W 1956 roku wódz ten stał się jakby mniej popularny, a nawet zaczęto powszechnie nazywać go mordercą. Jest pewną niesprawiedliwością dziejową, że szmat historii XX wieku otrzymał nazwę od jego pseudonimu, a jemu odebrano własną brygadę... Wziął ją teraz pod opiekunické skrzydła rewolucjonista już nie tak wielki i bez gruzińskiego wąsa, ale za to rdzennie polski, przynajmniej z pochodzenia. Feliks Dzierżyński rychło się tu zaaklimatyzował; nie dziwota, bo jego osiągnięcia różniły się od wyczynów poprzednika – głównie skalą. W 1962 roku nazwę 5 Brygady Artylerii Ciągnionej im. Feliksa Dzierżyńskiego wzbogacono o przymiotnik *Śląska*, co wiązało się zapewne z przerwaniem jej z południowo-zachodniej Polski do Szczupakowa. Jeszcze tylko w 1974 roku poprawiono nazwę na 1 Śląska Brygada Artylerii Armat im. Feliksa Dzierżyńskiego.

Osobną szczytną kartę w dziejach 1 ŚBAA stanowi tona medali i kwintal orderów, nadanych jednostce przez władze PRL w czasach i okolicznościach rozmaitych. Zainteresowanych odsyłamy do wielkiej tablicy przy bramie głównej koszar JW 1281. Na tejże tablicy wymalowane są portrety co ważniejszych odznaczeń.

Wreszcie przerwa!

„To, co wam wydaje się bałaganem, jest celowe! Chodzi o to, żeby żołnierz nie myślał szablonami, żeby był gotów w nietypowych sytuacjach reagować odpowiednio, żeby nic go nie zaskakiwało, tak? Chodzi o lepsze przygotowanie do wojny!”

– Słuchaj – poprosił kaprała podchorążego Mamciorka Tomala.
– Czy mógłbyś mi wysłać list? Dam ci dwadzieścia pięć złotych na znaczek, bo mnie nie wolno wyjść na pocztę...

– Co sobie podchorąży wyobraża?! – wrzasnął Mamciorek.
– Jak wy się do mnie zwracacie, kurwa?!

Zaskoczony Tomala w pierwszej chwili nie wiedział, co odpowiedzieć. Po chwili uznał, że Mamciorek zażartował.

– Słuchaj, Darek, co się wygłupiasz...

– Odkąd to jesteśmy na ty?! – ostro zapytał kaprał podchorąży.

– Daj lepiej zapalić... – zaproponował Tomala.

– Tego jeszcze brakowało!

Ale w ustach Tomala papieros znalazł się szybko. Usłudzie podsunął go Rej, do niedawna również niepalący.

Tomala jednak nie zdążył poddać się urokom nałogu.

– Nie palcie, jak z wami rozmawiam! – Mamciorek wyrwał mu papierosa z ust, rzucił na posadzkę i przydeptał. – Zameldować się!

– Meldować się! – powtórzyło echo ustami starszego szeregowego Marmuchy.

Tomala wreszcie zrozumiał, że wujek Mamciorek przeszedł wielką, choć niekoniecznie pozytywną metamorfozę, i upodobnił się do plutonowego podchorążego Synka.

– Obywatelu podchorąży...

– Jaki *podchorąży*?! – parsknął Mamciorek. – To tytuł, nie stopień, kurwa! Tutaj wszyscy są podchorążymi!

– Obywatelu kaprału... – zamilkł Tomala.

– Dalej – ponaglał Mamciorek. – Przedstawcie się i potem przedstawcie prośbę.

– Obywatelu kaprału, proszę o wysłanie... Nie, o nic nie proszę! – zmienił zdanie Tomala.

– I dobrze! – zakończył rozmowę Mamciorek. – Żebyście nie myśleli, że ja tu na posyłki jestem. Podchorąży musi się cenić, bo nikt inny go nie doceni!

W chwilę po rozpoczęciu piątej godziny zajęć na salę wtargnął kapitan Piontek.

– Powstań! Baczość! – poderwał słuchaczy wykładowca. – Obywatelu kapitanie, podporucznik Maćko melduje Szkołę Podchorążych Rezerwy Artylerii w czasie zajęć ze szkolenia politycznego!

– Maćko, bierz ich na spotkanie z pułkownikiem Wieczorkiem! Biegiem!

Podchorążowie udali się grzecznymi dwójkami do klubu garnizonowego. Tradycyjnie już dźwigali taborety – sądzili, że niepotrzebnie, bo choć nie pierwszy raz wzywano ich na spotkanie z umundurowanymi gośćmi z Warszawy, to dotychczas żaden nie przybył.

Spotkała ich niespodzianka, dowodząca, że w wojsku niczego nie można być pewnym. Do Szczupakowa zawitał z dawien dawna oczekiwany przedstawiciel GZP LWP, pułkownik Bunio!

Spotkanie już trwało. Pułkownik rozmawiał z przybyłymi wcześniej OCelotami.

– ... Więc uważacie, że w wojsku jest nieporządek i bajzel, że nikt niczego nie wie, tak? A to przecież nieprawda. To, co wam wydaje się bałaganem, jest c e l o w e! Chodzi o to, żeby żołnierz nie myślał szablonami, żeby był gotów w nietypowych sytuacjach reagować odpowiednio, żeby nic go nie zaskakiwało, tak? Chodzi o lepsze przygotowanie do wojny, gdzie niczego nie sposób przewidzieć tak do końca, nie? Wytłumaczyłem, tak? Więc możemy dalej omawiać zagadnienia główne, co? Jak już mówiłem, nie możecie narzekać. W wielu krajach ludzie po studiach nie mają żadnych przywilejów, a wy w Polsce jesteście traktowani jako elyta intelektualna wojska. Macie lepsze warunki niż inni żołnierze już teraz na Szkole, a na praktykach zajmiecie stanowiska nawet oficerskie, nie? Będziecie mieć okazję do porządzenia sobie ludźmi, zaspokojenia ambicji dowódczych, tak? Więc czego więcej chcecie! Nie bie-

rzemy ani jedynych żywicieli rodzin, ani takich z dwojgiem dzieci, tak? Nie bierzemy nikogo ze studiów podyplomowych ani artystycznych, choćbyśmy mogli... – mówca zauważył, że kilkanaście rąk znalazło się w górze. Postanowił zacząć od żołnierza siedzącego w jednym z ostatnich rzędów. – Proszę, podchorąży, co chcielibyście powiedzieć?

– Panie pułkowniku – Rej z dreszczem emocji zrezygnował ze słowa *obywatel*. – Czyli mnie tu nie ma?

– Jak to *nie ma*? – zdziwił się delegat GZP LWP.

– Bo ja jestem na studiach podyplomowych, a na dodatek są to studia artystyczne. Szkoła Filmowa w Łodzi...

– No... – zawahał się oficer. – Widocznie pan skończył w tym roku dwadzieścia osiem lat, nie?

– Nie. Dwadzieścia pięć. A powołanie dostałem trzydziestego sierpnia... na reklamację nie było czasu.

Podchorążowie obydwu SPR-ów radośnie zarechotali.

– Hmm... Hmm... – chrząknął pułkownik. – To rzeczywiście zbyt nagle, nie?

– A co ja mogę zrobić teraz?

– Teraz to już nic. Służyć! – doradził oficer. – Kto ma jeszcze pytanie?

Teraz zgłosili się obdarzeni dwójką lub nawet – był taki jeden – trójką dzieci. Pytań było wiele, ale rzutkiem oficerowi odpowiedź na nie nie zajęła wiele czasu.

– Po pół roku nienagannej służby możecie starać się o przedterminowe przeniesienie do rezerwy – wyjaśnił.

– A czy zgadza się pan, że to nieprawidłowość?

– No wiecie... gdzie drwa robią, tam wióry lecą, tak? A właśnie! – pułkownik przypomniał sobie o innych sprawach, które go sprowadziły do Szczupakowa. – Gdzie jest Radwański?

– Jestem! – porucznik Radwański z OC siedział przy drzwiach.

– Czemu nie ma tu majora Waszyńskiego?! Miał być już kwadrans czasu temu, nie? Z jakiej okazji się spóźnia, co?

– No nie wiem... – tłumaczył porucznik.

– To co wy wiecie? Za co wam płacą? Co tu u was za burdel, że takich rzeczy nie wiecie, nie? Natychmiast się dowiedźcie?! Ja mam was punktualności uczyć, tak?

– Obywatelu pułkowniku, proszę o pozwolenie wyjścia!

– Idź, szukaj go i przyslij natychmiast, nie?! Ja nie będę czasu na pierdoły tracił.

Porucznik wykonał przepisowe w tył zwrot i poszedł szukać komendanta SPR OC.

– Jak więc mówiłem, tak? – oficer wrócił do sprawy jedynych żywicieli rodzin. – Możecie się po pół roku służby starać o przedterminowe zwolnienie.

– A jakie są szanse?

– Duże, jak wasz dowódca się zgodzi i nie będziecie potrzebni w jednostce, nie?

– Aha... – wyjaśnienie niezupełnie usatysfakcjonowało pytającego.

– Są jeszcze jakieś inne wątpliwości, co? Mam jeszcze pięć minut, a potem muszę jechać na spotkanie do Płotkowa.

– Też na takie spotkanie jak z nami?

– Nie, tam to – wyjaśnił w przyпіływie szczerości Bunio – jestem umówiony na polowanie. Nagonka podobno już czeka... Ten cholerny Waszyński miał mnie zawieźć, nie? A ciągle cholery nie ma. Ale ja go ściągnę, co? No to ostatnie pytanie, do mnie, tak?

– Obywatelu pułkowniku – zapytał Szylicki – ja miałem skierowanie do SPR OC, a wrzucili mnie do Artylerii. I co z tym fantem zrobić?

– No wiecie – wyjaśnił pułkownik. – Do OC to tylko z kategorią zdrowia A-3, nie?

– Ja właśnie mam A-3, i to z kilku paragrafów!

O Celoci przyjęli ten dialog gromkim śmiechem. Połowa z nich miała A-1.

– Tak?... – oficer zwietrzył pismo nosem. – Jak się śmiejecie, to o tym mówić nie będziemy. Tego pytania nie było! Macie jakieś inne, co?

– Panie pułkowniku – powstał Ogórko – czemu daje się nas zwykle do SPR-ów o zupełnie innym profilu niż nasze wykształcenie cywilne? Prawnicy urzędują w artylerii, matematycy są politycznymi, poloniści w wojskach chemicznych, a chemicy w WSW. To przecież nie ma sensu!

Wystąpienie Ogórki ochoczo poparło wiele głosów. Bunio ucizył gwar pukaniem w stół, za którym siedział wraz ze swym wielkim brzuchem, i życzliwie powiedział:

– Mylicie się dzieci, nie? To jest bardzo słuszne. To ma głęboki sens. Czy myślicie, że jak wybuchnie wojna, to Mars z Aressem będzie się o wasze cywilne zawody pytać, tak?

Pułkownik był wielce zadowolony, że zakończył spotkanie akcentem świadczącym, że klasyczne wykształcenie nie jest mu obce. Co sądził na ten temat jego wielki brzuch, niestety nie wiadomo. W każdym razie głośno burczał.

– Marek, zapisz się razem z nami! – nalegał w czasie obiadu Wścieklica. – Ja będę prezesem, Darek Stularczyk wice, Jurek Ogórko członkiem zarządu, a ty sekretarzem! Porobimy za piątą kolumnę!

– Czyli uważasz, że jak już się szmacić, to na całego?

– A widzisz inne wyjście? Inaczej nas zajadą.

Przez chwilę przy stoliku panowała cisza. Rej w zamyśleniu wpatrywał się w dno kubka z kompotem. Niestety, nie była to szklana kula.

– Swoją drogą, to rzeczywiście zapewnimy sobie w ten sposób całkowitą bezkarność. Będzie można powymyślać jakieś głupie akcje i nie uczestniczyć w tych cholernych zajęciach.

– No to co, zapiszesz się?

– Pewnie nie będę mógł po tym – zdecydował Rej – na własną gębę w lustrze spojrzeć, ale się zapiszę...

– Bravo! – pochwalił Wścieklica. Był zadowolony, że najlepszym pomysłem ciągle z nikim się nie podzielił. A to była dopiero idea godna Machiavellego!

Nie wszystkich pochłaniały sprawy wielkiej i małej polityki. Borówka rozpaczliwie zerkał na parujący talerz gulaszu z ziemniakami. Z zazdrością spoglądał na Mamuta. Takiemu to łatwo przestrzegać postu! Małe toto, szczuplutkie, a na dodatek przezornie wziął tylko supę. Diabli nadali ten pachnący mięskim gulasz!

Przeżony perspektywą ponownego złamania piątkowego postu, ciągle nie odważył się tknąć talerza. I dopiero gdy Zabawa ogłosił, że pora kończyć posiłek, szybko przeżegnał się i chwycił za łyżkę. Łychą gulasz można przenieść na język szybciej niż widelcem – a to rzecz istotna, gdy nad człowiekiem stoją i go poganiają.

– Ruchy, ruchy! – kibicowali mu Ogórko i Stularczyk.

Wścieklica spodziewał się spotkać na zebraniu założycielskim ZSMP tylu *kolaborantów*, że bez trudu będzie można ich zliczyć na palcach jednej ręki. Obsadzenie stanowisk sobą i kumplami przyszłoby wtedy bez problemu.

Niestety, okazało się, że dźwiękacze postanowili spędzić Czas Wolny podobnie jak paczka Wścieklicy.

Zebranie prowadził Zabawa.

– Wiecie – rozpoczął ZSMP-owiec weteran – najlepiej by było, jakbym sobie poszedł, a wy byście sami odegrali tę szopkę.

– Nie, nie – zaprotestowali jednocześnie Wścieklica i Nawrocki. – To musi być ktoś zorientowany.

– Oczywiście na wolności nikt do tej organizacji nie należał?
– upewnił się Zabawa. – Na moim turnusie był taki jeden...
– A jak myślisz?
– W końcu nie jest to firma ciesząca się szacunkiem...
– To gorsze od ZSyPu...
– Wiadomo, czemu tu jesteśmy...
– No tak, wiadomo – zreasumował plutonowy podchorąży.
– Tylko przy trepach to tego lepiej nie mówcie. Aha, mam do was prośbę. Wiecie, jak jesteśmy sami, to jesteśmy na ty, ale przy trepach to zwracamy się do siebie oficjalnie. Zgoda?
– Nie ma sprawy – powiedział Maroń. – A w jaki sposób będziemy teraz głosować?
– Najpierw pozapisujcie się na listę członków, potem zgłosicie kandydatury, ja je wypiszę na tablicy i na każdą będziemy głosować...
Na kartce puszczonej w obieg przez Zabawę wszyscy uwiecznili swój udział w szacownym gremium.
– Czyli jest was dwunastu plus ja... – podliczył Zabawa. – Jak ktoś jest przesądny...
Wówczas rozległo się pukanie do drzwi. Zrazu nieśmiało, potem bardziej natarczywie.
– Proszę! – zaprosił Zabawa.
Do sali wkroczyli Borówka i Kotwica.
– Obywatelu plutonowy podchorąży, kanonier podchorąży Kotwica plus jeden...
Zabawa skrzywił się. Kotwica zamarł. Nerwowo przestąpił z nogi na nogę.
– Panowie, nie wygłupiajmy się we własnym gronie – poprosił Zabawa. – Może jeszcze Synka by to cieszyło, że mu *per kaloryfer* walicie, ale do mnie...
– Wy na zebranie? – zapytał przybyszy Rej.
– Tak, chcieliśmy się zapisać... – niepewnie wyznał Borówka.

– Znakomicie! Dopiszcie się do listy i siadajcie z nami – zaprosił ich do kompanii Wścieklica.
– Nie z nimi! – zaprotestował Maroń. – Siadajcie z nami!
Borówka i Kotwica popatrzyli niepewnie na Zabawę, licząc że ten zaproponuje rozwiązanie kompromisowe.
– No, to niech jeden usiądzie tu, a drugi tam! – plutonowy podchorąży nawiązał do tradycji salomonowych.
Na to jednak nie chcieli przystać mleczni bracia.
– Litości, ludzie! – zdenerwował się Rej. – Przecież cały środkowy rząd jest wolny. Tam mogą usiąść i nikt nie będzie się czuł pokrzywdzony.
Syjamczycy przyjęli propozycję Reja z wyraźną ulgą. Tak zostali ludźmi centrum. Takie rozwiązanie nie spodobało się jednak Wścieklicy.
– Nasze głosy im oddajesz, durniu! – warknął na Reja. – Ja tu jestem szefem! Kto ci pozwolił, buraku, m o j e głosy innym oddawać?!
– Co ci się stało? – Rej spojrział na sojusznika ze zdziwieniem.
– Zwariowałeś?
– Zwariowałeś, zwariowałeś! – oburzył się Wścieklica. – To ty zwariowałeś!
– Podchorążowie, zachowujcie się ciszej! – zaproponował Zabawa. – Podajcie lepiej kandydatury do zarządu. Prezes, zastępca, sekretarz i członek. Najpierw wybieramy zarząd, funkcje dzielą już wybrani między sobą. Zaczynamy!
– Proponuję – z taboretu wstał Wittek – podchorążego Tarkowskiego.
– Powiedz coś o kandydacie – polecił Zabawa. – Parę słów.
– Eee... – rozpoczął prezentację Wittek.
– To może ja sam! – przerwał Tarkowski.
– Proszę – zgodził się Zabawa. – Może tak już zostać. Niech się każdy, jak chce, sam prezentuje. W końcu jeszcze niewiele o sobie nawzajem wiecie.

Na zakończenie autoprezentacji Tarkowski zaproponował na kolejnego członka zarządu Organizacji Młodzieżowej swego partnera-cykliniarza. Maroń stwierdził – nie bez racji – iż fakt, że ukończył rusycystykę, może być bardzo przydatny w ZSMP-owskiej pracy. Przerwał mu Wścieklica, rekomendując Stularczyka – człowieka po studiach zaocznych, więc dobrze w życiu zorientowanego. Stularczyk w rewanżu zgłosił kandydaturę Wścieklicy – *którego już wszyscy poznali, co jest wart.*

Nawrocki zaprotestował, mówiąc, iż w ogóle nie wie, kto to jest Wścieklica, za to zgłasza kandydaturę Wittka, który jako ekonomista z zawodu *znakomicie się sprawdzi w strukturach organizacyjnych ZSMP SPR Artylerii.* Wittek z kolei zaproponował siedzącego z nim w jednej ławce Tomalę. Ten jednak nie wykazał się należycie obywatelską postawą, mówiąc, iż w żadnym zarządzie być nie zamierza, a do ZSMP zapisuje się, bo chce spokojnie wyjechać na własne wesele. Za to poleca podchorążego Nawrockiego. Ten ostatni przedstawił się jako instruktor muzyki, który z racji swego zawodu *potrafi pracować z dziećmi, więc i z trepami sobie poradzi.*

– To chyba już wszystkie kandydatury? – zapytał Zabawa. – Już połowa kandyduje!

– Jeszcze ja! – zgłosił się Ogórko. – Proponuję Marka Reja.

Rej, wyczuwając, iż koalicja wścieklicowców w starciu ze zwartą grupą dźwiękaczy ma wątpliwe szanse sukcesu, wygłosił mowę w tonie nieco odmiennym niż przedmówcy.

– Skończyłem prawo w Krakowie, teraz studiuję w Szkole Filmowej w Łodzi. Tutaj natomiast... nie ukrywam, że zapisałem się do organizacji, której nazwy wolę nawet nie wymawiać...

Przerwał mu wybuch aprobującego śmiechu.

– ... jak i chyba wszyscy tutaj. Zależy mi na tym, żeby było tu trochę weselej, a nie taki pogrzeb, jak dotychczas... I jeszcze jedno: jeśli wejdę do zarządu, to interesuje mnie w nim tylko jedna funkcja – sekretarza. Mogę pisać na maszynie, załatwiać papierko-

we duperele, ale na pewno nie mam zamiaru tutaj niczym kierować, bo mi się, jak to mawia nasz politruk, p o p r o s t u nie chce...

Zabawa odczytał krótką ordynację wyborczą, którą przyjęto przez aklamację. Ponieważ do zarządu miały wejść cztery osoby, każdy obecny głosować mógł jednocześnie na tyłuż kolegów.

Na czternaście możliwych głosów Nawrocki i Rej zebrali po dziesięć, Tarkowski – siedem, Maroń – sześć. Pozostali odpadli, z reguły bez żalu. Jedynie Wścieklica (uzyskał pięć głosów) był oburzony porażką.

– To granda! – stwierdził. – Ja wam jeszcze, buraki, pokażę!

Obaj ze Stularczykiem (też zdobył pięć głosów) manifestacyjnie – w końcu to niedoszły prezes z niedoszłym zastępcą – opuścili salę topograficzno-wyborczą.

Odprowadzały ich zaciekawione spojrzenia.

– Co mu odbiło? – zapytał Nawrocki.

– Eee... nic takiego – zbagatelizował sprawę Kostyk. – Nerwo- wy jest chłopak.

– Mniejsza o to – stwierdził Zabawa, zadowolony z zakończenia misji zleconej przez podporucznika Maćkę i kapitana Piontka. – Zostawmy teraz zarząd w spokoju, niech się powybijają na funkcje.

Po zakończeniu zebrania nowozaciężni aktywiści hurmem ruszyli ku drzwiom. Kilkanaście minut, jakie pozostały do końca pierwszej godziny Nauki Własnej (zebranie przeciągnęło się poza Czas Wolny), zamierzali spędzić w sposób pożyteczny i – na tyle, na ile to możliwe – przyjemny. Udali się więc do palarni, ostatnio coraz częściej nazywanej maglem.

– To przez was – Wścieklica atakował Reja i Ogórkę – przegraliśmy wybory, buraki jedne!

– Dlaczego akurat przez nich? – włączył się do dyskusji Kostyk.

– I przez ciebie też! – wyjaśnił Wścieklica. – Jakby te dwa buraki, co się spóźniły, siadły razem z nami, to byśmy wygrali!

– Jakim cudem? – zainteresował się Nawrocki, od niedawna przewodniczący ZSMP SPR Artylerii. – Nas było ośmiu, a was, nawet z tamtymi dwoma...

– Nikt cię o opinię nie prosił, kolaborancie czerwony! – przerwał Wścieklica. – Teraz ja mówię!

– Podchorążowie udają się na salę dźwiękową! Ruchy, ruchy! – wrzask Mucy zgasił w zarodku sprzeczkę podchorążych-ZSMP-owców.

– A kto wam pozwolił otworzyć okno?! – do izby 104 wpadł nowy podoficer dyżurny, kapral podchorąży Mamciorek. – Zamknąć natychmiast!

– Nie wiedzieliśmy... – zaczął tłumaczyć się Kostyk. Ale nie było to potrzebne, bo Mamciorek znalazł nowy obiekt zainteresowania.

– Co tak podchorąży na mnie krzywo patrzy?! Co udajecie, że mnie nie słyszycie?!

– Robert... – Wścieklicy przyszedł na pomoc Stularczyk. – To do ciebie chyba mówią...

– A niech się burak odpierdoli! – odparł Wścieklica.

– Co sobie podchorąży wyobraża?! – twarz Mamciorka przybrała barwę lekko zgniłej wisienki. Podoficer dyżurny doszedł do wozu, którego oporządzenie Wścieklica właśnie pracowicie poprawiał, chwycił materac i wyrzucił do góry. – Nawet wozu pościelać podchorąży nie umie! I nie udawać mi tu głuchego!

– Ale ja jestem głuchy – wyjaśnił bażant. – Na prawe ucho prawie nie słyszę. To jest do sprawdzenia w moich aktach.

– Aaa! – triumfował Mamciorek. – Już się podchorąży grzeczny zrobił! Teraz mu daruję, ale żeby się to nie powtórzyło!

Podczas gdy kapral podchorąży strofował Wścieklicę, Stularczyk przystąpił do operacji zamknięcia okna. Mamciorek nie zwracał

cał na to uwagi dopóty, dopóki nie skończył zajęć wychowawczych ze Wścieklicą.

– A kto wam kazał, kurwa, zamknąć to okno?!

– Przecież miało być zamknięte...

– Macie się do mnie zwracać regulaminowo!

– Obywatelu podcho...

– *Obywatelu kapralu, a nie obywatelu podchorąży!* Takich rzeczy się nauczyć, kurwa, nie potraficie?!

– Obywatelu kapralu, przecież był roz...

– Przedstawić się, jak do mnie mówicie!

– Obywatelu kapralu, kanonier podchorąży Stularczyk.

– Teraz walcie, o co chodzi.

– Było polecenie, żeby okno zamknąć...

– A kto niby je wydał? – zapytał Mamciorek.

– No przecież sam...

– Ja takiego – przerwał Mamciorek – polecenia nie wydawałem! Otwórzcie okna, i to wszystkie, bo tu od waszego smrodu zdechnąć można!

Na pożegnanie doradził jeszcze lokatorom sali 104:

– A jak starszy stopniem wchodzi, to też wypada, kurwa, żeby ktoś krzyknął: *baczność!* i *powstań!* I jeszcze jedno: na przyszłość to zero dyskusji! Jak coś każe, to wykonać macie! Zero dyskusji, kurrrrwa! Zero!

Ciepło, ciepło... zimno

– Pobudka! Znikają buty z korytarza! Ruchy, ruchy!

Mamciorek osobiście wrzucał stojące na korytarzu obuwie do izb 103, 104 i 106. Starał się celować tak, by ciężkie trepy lądowały na łózkach (a najlepiej – głowach) śpiących. Sali 107 nie zdążył

żył obsłużyć, bo szybszy był Nawrocki. Przewodniczący zarządu ZSMP wstał wcześniej od innych, dzięki czemu ogolił się, korzystając z ciepłej wody. Nie mógł spać. Nigdy dotychczas nie narzekał na bezsenność, nigdy przed wojskiem...

Większości kolegów wystarczyło przyłożyć głowę do poduszki, a nawet przysiąść na ławce, by zasnąć. Nawrocki też był ciągle niewyspany, ale spać nie mógł. Męczył go ciągle ten sam koszmar: jego ciężarna żona zwija się w ataku bólu i nie ma nikogo, kto mógłby jej pomóc. Żona była wprawdzie dopiero w czwartym miesiącu ciąży, ale przecież wiadomo, jakie nieszczęścia chodzą po ludziach... Po raz pierwszy od chwili poznania Asi, od pierwszego roku studiów, nie widział jej już przeszło tydzień. A nie pamiętał, by kiedykolwiek była w gorszym nastroju niż w dniu jego wyjazdu do wojska. Miała pretensje, że mąż opuszcza ją kilkanaście godzin wcześniej, niż musi. Rozpaczała, że cieszy się pewnie, iż na parę miesięcy się od niej uwolni. Za cholerę nie chciała zrozumieć, że on wyjeżdża wcześniej tylko dla niej! Tylko po to, by stawić się jako pierwszy i zyskać w nagrodę za pilność kilka dodatkowych dni urlopu, by wyrwać się do rodziny, która w czasie jego pobytu w armii miała się powiększyć o małą i hałaśliwą istotkę...

Mysłał o tym wszystkim z rozczuleniem, ale i z przerażeniem: czy Asieńka da sobie radę sama, bez niego?

List wysłał, ale co tam list... żeby przynajmniej do sąsiadów zadzwonić (w domu nie było telefonu). Ale tu, w wojsku, nikt mu przecież na to nie pozwoli. Chyba że... w końcu trzeba się zdecydować... Pierwszy krok już zrobił, dalsze to tylko formalność. Trudno być z tego dumnym, ale jak już się zaczęło, to korzystać trzeba do końca. Jak się szmacić, to przynajmniej z zyskiem. Koszty prawie jednakowe.

Nie tylko Nawrocki wstał w tę sobotę z kaczem moralnym. Niewesołe miny mieli Ogórko i Borówka, wściekły na siebie był Rej, przygnębiony Kostyk, a przecież nie tylko oni powitali dzień

w niezbyt przyjemnych nastrojach. Choć byli przecież i tacy, którzy akces do Organizacji Młodzieżowej (od której dotychczas się odzegnawali – często hałaśliwie i z przytupem) traktowali jako najzwyczajniejszą w świecie życiową konieczność. Dzięki temu miało się żyć łatwiej i prościej w nieprzyjemnych i dość skomplikowanych okolicznościach.

– Dziś trzepanie koców! Ubiór: moro, buty! Pozostały trzy minuty na sianie wozów! – ponaglał podoficer dyżurny. – Ruchy, ruchy!

Po zbiórce przed budynkiem SPR Muca nie przegonił, jak zawsze, swej trzódki wokół placu musztry, lecz pognał bażantów na tyły budynku. Tam trzepali koce. Przy okazji wyszło na jaw, że były one zakurzone znacznie bardziej, niż przystało na tygodniowe użytkowanie. Ale po kilku minutach intensywnego trzepania były już czyste.

– Fajnie! – cieszyli się powracający na górę. – Nie dość, że dziś nie musieliśmy biegać, to jeszcze na mycie mamy o dziesięć minut więcej niż zwykle.

– A wy dokąd?! – na klatce schodowej zagrzmiał bas Mamciorka. – Wracać! Na trzepanie przeznaczone jest pół godziny, a nie pół minuty! Ruchy, ruchy!

Szarozielony tłumek posłusznie zawrócił. Tylko Wścieklica przycupnął na schodach do piwnicy. Nie przewidział, że Mamciorek i tam zajrzy.

– A podchorąży co tu robi?! –

– Ja...

– Mojej inteligencji nie doceniliście! Nazwisko?! –

– Wścieklica.

– W wojsku jesteście, a nie w chlewie! Tu się trzeba meldować, kurwa, a przynajmniej przedstawić!

– Kanonier podchorąży Wścieklica.

– Biegiem do kolegów! A ja was pod specjalną kontrolę wezmę!
Nie myślcie, że wam łatwo ze mną pójdzie!

– Ja nic nie myślę...

– To po waszej twarzy widać! A teraz: won stąd!

Wścieklica pochylił głowę, zgarnął koce i ruszył ku drzwiom.

– Wróć! – Mamciorek postanowił ukarać podwładnego za to, że mu się nie odmeldował. – Dziesięć pompek!

Wścieklica spojrział na przełożonego, bardziej rozbawiony niż zirytowany. Co to w końcu dla niego dziesięć pompek? Bułka z masłem.

– Pamiętajcie, co trzeba recytować w czasie karnych pompek?!

– przypomniał Mamciorek.

– Tak... – teraz Wścieklica jęknął. To nie były takie pompki, jakich się spodziewał! Te zaordynowane przez Mamciorka można ćwiczyć do omdlenia. – Ale ja...

– Wykonać! Zero dyskusji!

Podchorąży rozpoczął mozolne ruchy, połączone z deklamacją tekstu:

– Jestem dum-ny, że jestem... żołnierzem... Pierwszej Śląskiej...
Bryga-dy... Artylerii Ar-mat...

– Pompki szybciej, a recytacja wolniej!

Rzeczywista liczba *pompek honorowych* zależała wyłącznie od nastroju żołnierza nadzorującego wykonanie ćwiczenia.

– Podchorążowie – kapitan Piontek powiódł wzrokiem po podwładnych – zostałem zobowiązany do przedstawienia wam nadzwyczaj poważnej i przykrej sprawy. Zostało ukradzione...

W szeregach ucichło. Nawet najbardziej krnąbrni bazanci zrezygnowali z poszturchiwań i szeptanych dyskusji. A nuż usłyszą coś ciekawego?

I rzeczywiście. Komendant SPR odczytał rozkaz specjalny dowódcy brygady. A mówił on o tym, iż na terenie koszar skradziono

broń. Rzuciło to oczywiście cień na dobre imię 1 ŚBAA. Jedyną szansą *zmniejszenia tego cienia* było odnalezienie oręża własnymi siłami; tak *by sprawa zatoczyła jak najmniejsze kręgi na zewnątrz*. Broń należało znaleźć jak najszybciej! Cała brygada miała przeznaczyć na przeszukiwanie koszar i ich okolic *wszystek swój czas i wszystek stan osobowy prócz niezbędnych służb*. Podejrzani o przestępstwo byli wszyscy, z wyjątkiem przebywających w Szczupakowie dopiero od kilku dni podchorążych. Ich to należało kierować w najbardziej podejrzane zakamarki, bo na nikim, stwierdzał rozkaz dowódcy JW 1281, nie można polegać tak, jak na nich!

– *Bo nie ma się co ludzi!* – kończył odczytywanie elaboratu kapitan Piontek. – *Nawet, jeśli oręż zostanie przez nas rychło odnaleziony, to i tak fakt jego zaginięcia splamił i plamić będzie nasz Sztandar. Tego nie unikniemy, musimy to sobie prosto w oczy powiedzieć. Honor każdego żołnierza brygady został zbrukany!*

W ostatnim zdaniu rozkazu pułkownik Czachórski apelował o *pomoc szczerych serc wszystkich żołnierzy, szczerze oburzonych postępkami zbrodniarza* i obiecywał szczęśliwemu znalazcy zdjęcie na tle rozwinętego Sztandaru, nagrodę pieniężną, tudzież pięć dni urlopu.

– Pewnie jeśli znalazca potrafi udowodnić, że to nie on ukradł! – podsumował rozkaz Chryń.

– Zero dyskusji! – uciszył go Muca, który ciągle nie był wtajemniczony w sekrety generalskiego rodu Chryniów.

Na zakończenie Piontek polecił żołnierzom zdjąć czapki. Następnie dokonał lustracji fryzur, która nie wypadła najlepiej. W morzu głów, ostrzyżonych wedle wzoru 366 dni do cywila, raziły regulaminowego oficera wysepki niedostrzyżonych włosów.

– Podchorąży... – wskazał pierwszego z brzegu delikwenta.

Olechowicz nic nie odpowiedział.

– Przedstawić się, podchorąży Olechowicz! – upomniał Muca, wiecznie czujny stróż ładu i porządku w szeregach SPR.

– Podchorąży Olechowicz – bażant wykonał polecenie na miarę swych możliwości ogólnowojskowych.

– Pełnym stopniem!

– Kapral podchorąży Olechowicz!

– Ja z wami osiwieję... – stwierdził komendant SPR głosem zdjętego z krzyża. – Nie dość, że broń zginęła, to jeszcze i wy... Nawet własnych stopni nie znacie! Co ma podchorąży na swoje usprawiedliwienie?

– No bo w całym wojsku jest szeregowy – wyjaśnił Olechowicz – a u nas akurat kanonier, a to się z kapralem płacze.

– Ech! Zawsze jakiś głupi wykręt znajdziecie! – Piontek popukał kulą w swoją ogipsowaną stopę. – I chyba ja z tym moim gipsem lepiej bym defilował niż wy! Więc chociaż przedstawcie się nareszcie prawidłowo!

– Kanonier podchorąży Olechowicz, obywatelu kapitanie!

– To ma być po żołniersku! Głośniej!

– Kanonier podchorąży Olechowicz!!! – wrzasnął tak, że stojących obok kolegów zabolowały uszy. – O-telu kapitanie.

– Nie słyszałem – stwierdził kapitan. – Głośniej!!!

– Ka-ee p-żżżż O-cz, lu-nie!!!!

– I tak ma być! – pochwalił oficer. – Powiedźcie mi teraz, czemu nie jesteście obstrzyżeni?

– Bo zjawiłem się z opóźnieniem, już mówiłem...

– Tak, przypominam sobie... To dziś pójdziecie do fryzjera i się obstrzyżecie. Tak samo pozostali – Piontek utykał wzdłuż szeregu, wyławiając hippisów. – Nazwisko?

– Kapral... to jest kanonier podchorąży Rej!!!

– K-er p-ży St-czyk!!!!

– Ja?! – oburzył się Wścieklica. – Ja już się strzygłem tutaj!

– To obstrzyżecie się raz jeszcze, byle prawidłowo. Zero dyskusji! – pouczył kapitan. – A odpowiedzialny za to będzie... kapral Muca! Wszystko na ten temat!

– Rozkaz, o-telu ka-nie! – podoficer Muca.

Na zakończenie porannego spotkania komendant SPR rozkazał, by przez najbliższe dni żołnierze chodzili bez czapek. Z uwagi na temperaturę ciągle bardziej letnią niż jesienną polecenie zostało w dwuszeregu przyjęte z radością.

Ale przyczyną decyzji kapitana nie była bynajmniej chęć ulżenia podchorążym – przecież żołnierz jest od tego, by warunki atmosferyczne znosić cierpliwie i z godnością. Piontek cierpiał, gdy jego nieudolni podwładni próbowali mu oddawać wojskowe dzień dobry. Nie był w stanie dłużej znosić profanacji aktu salutowania – tego zewnętrznego i spontanicznego przejawu spistości wewnętrznej każdej armii.

– W waszym wykonaniu oddawanie honorów jest bardziej widmem i koszmarem niż przejawem gotowości. Ale i tego was nauczymy! – zakończył oficer. Nie zapomniał jednak zaznaczyć, że nie wszystko jeszcze stracone. – Was tego nauczymy, a broń też znajdziemy! Wszystko na ten temat!

Niestety, nie znalazł się chętny, który by w imieniu swoim i kolegów obiecał poprawę. Takiego ciężaru nie chciał wziąć na swoje barki nawet Maroń.

– Czekamy tu już pół godziny i ciągle nikt nie przychodzi! – utyskiwał Olechowicz. – Zapomnieli o nas, czy co?

– Co narzekasz? – uspokajał Rej. – Wolisz gnąć na gorze i słuchać tych bzdetów?

– Jak ci się nudzi, to skocz po Mucę – poradził Wścieklica.

– Obyś nie wymówił tego w złą godzinę... – zląkł się Stularczyk.

Czwórka długowłosych czekała na fryzjera. Niestety, pani Krysia przebywała właśnie na urlopie. Muca poszukiwał więc bombardiera elewa Trochińczuka, który w cywilu był fryzjerem. Ale okazało się, iż on także wyjechał na urlop czy przepustkę.

– Nie ma rady – Muca zjawił się z pękiem kluczy. – Musicie się ostrzec sami.

– Co???

– No, sami – wyjaśnił kapral. – Jeden drugiego.

Czterej podchorążowie, świadomi żołnierskich obowiązków, dokonali autopostrzyżyn. Operacji tej poświęcili blisko dwie godziny, efekt zaś, jaki uzyskali...

– I to ma być obstrzyżenie?! – wrzał sierżant Maski. – Toć wy chyba teraz macie włosy dłuższe niż przed strzyżeniem?! Wróć! Do diabła! Muca!

– Jestem, obywatelu sier...

– Znowu zmoka, Muca, znowu! Niby się starasz, ale pożytku z ciebie zero, kurewka! Polegać na tobie nie można! Zmiataj stąd!

– Obywatelu sierżancie, proszę o pozwolenie...

– Wszystko w tym temacie! Won!

Czterej bażanci nie sprawiali wrażenia zmartwionych wpadką podoficera.

– Co tak zęby szczerzycie?! – warknął Maski. – W poniedziałek to ja osobiście, kurewka, dopilnuję, żeby was obstrzygli, jak potrze! Na 720 dde! Na glacę! A teraz... – sierżant gorączkowo szukał czegoś po kieszeniach munduru. – Nie ma który papierosa?

Trzy paczki usłużnie wysunęły się do jego dyspozycji.

– Klubowe, carmeny i opale – ucieszył się podoficer. – To dajcie po dwa albo lepiej po trzy, i biegać stąd!

– Dziękujemy, przepraszamy, do widzenia – pożegnał się Rej.

Zza chmurki papierosowego dymu błysnęła para sierżanckich oczu, zaskoczonych sposobem odmeldowania się czwórki bażantów.

– Trzeba ich przyzwyczajać do cywilnej grzeczności – wyjaśnił Rej kolegom na korytarzu. – Już parę razy tak powiedziałem na pożegnanie i żaden mnie nie sklął!

– Pewnie do nich nie dociera to, co mówisz, albo w ogóle nie słuchają. Nie rozumieją twojego języka. Gdzie ty spotkasz – zaśmiał się Olechowicz – *wszystko na ten temat w normalnym świecie? Żeby przynajmniej któryś potrafił wymówić wszystko... A to zero, że niby tacy precyzyjni, debile... zero dyskusji, zero palenia, zero myślenia...* Sami są zera. *Pododziel zamiast pododdział!*

– Trzeba ich uczyć! – Rej chyba odkrywał w sobie pokłady talentu pedagogicznego, którymi dotychczas nadmiernie się nie interesował.

– Nauczycielem chyba nie jesteś? – zapytał Wścieklica.

– Nie, skądże...

– Bo widzisz...

Wścieklica nie zdążył dokończyć wypowiedzi, która najpewniej nie byłaby Rejowi życzliwa (bo czył się nań od wyborów do władz ZSMP), bo akurat wypadł na nich z sali 106 Mamciorek.

– Na zajęcia! Biegiem!

Ruchy, ruchy! I zameldować się na sali prawidłowo, żeby wstydu innym podchorążym nie przynosić! Podchorąży musi się szanować, a nie zachowywać jak ta łajza! – aby nie było wątpliwości, do kogo adresował *clou* wypowiedzi, dodał: – Słyszycie, podchorąży Wścieklica?

Olechowicz w tym czasie kołatał do wrót sali dźwiękowej, gdzie prowadził ćwiczenia kapitan Piontek.

– Słyszycie, Wścieklica?!

Drzwi zamknęły się za czwórką niezupełnie wzorowych podchorążych.

Zaraz potem znowu ktoś zapukał.

„Wiedział dobrze, że w wojsku nie ma tragedii, jeśli czegoś brakuje, ale brakować musi w taki sposób, żeby dowództwo też mogło udawać, iż nic o tym nie wie.”

– Wejść! – zezwolił kapitan.

– Obywatelu kapitanie, podoficer dyżurny Szkoły Podchorążych Rezerwy Artylerii, kapral podchorąży Mamciorek melduje się z powiadomieniem!

– Słucham.

– Melduję, że podchorąży Wścieklica uciekł tutaj, niewykonawszy uprzednio mojego polecenia, choć nalegałem!

– O, widzę, Mamciorek – pochwalił dowódca – że zajarzyliście wreszcie, o co w waszych obowiązkach chodzi! Trzy dni nagrodówki dostaniecie w przyszłym tygodniu.

– Ku chwale ojczyzny, obywatelu kapitanie!

– A podchorąży Wścieklica... Do mnie!

Wścieklica posłusznie wykonał polecenie.

– Bacność! Zostaniecie ukarani upomnieniem! Dodatkowo macie się nauczyć na pamięć punktów 101, 102 i 103 Regulaminu Służby Wewnętrznej. Spocznij!

Wścieklica chciał wrócić na miejsce. Ale zbyt się pospieszył.

– No, jak się odpowiada? – zatrzymał go kapitan.

– Rozkaz...

– Cooo?! – oficer z wrażenie oparł się o biurko. – Cooo?! *Kara* się mówi! Wykonać!

– Kara... – bąknął podchorąży.

– Głośniej!

– Kara!!

Piontek polecił Mamciorkowi sprawdzić przy najbliższej okazji umiejętności mnemotechniczne odstającego słuchacza SPR.

Triumfujący i zadowolony z urlopu Mamciorek rażno odmeldował się i przystąpił do jeszcze bardziej natchnionego pełnienia służby podoficera dyżurnego.

– Dyżurni do mnie! Ruchy, ruchy!

– Melduję się, obywatelu kapralu! – powiedział Kogutowski, a w chwilę później dołączył do niego Król.

– Połóżcie, Król, tę ścierę przynajmniej na ziemi!

– Rozkaz!

– Obijacie się obaj dzisiaj! Ale teraz to wysprzątaście mi tu porządnie... – zawahał się moment – korytarz. Na mokro!

– Ale przecież...

– Nie dyskutować, lenie, tylko pracować! Bo dostaniecie *re-
playa*! Nie myślcie, że nie będziecie mnie słuchać! Ja wam tu zaraz manewry urządzę! *Wszystko* na ten temat!

Koszary to nie tylko budynki, w których żołnierze mieszkają i odbywają szkolenia, nie tylko place defilad i musztry oraz sztaby i biura przepustek. To również rozrzucone na ogromnym terenie boiska, magazyny, garaże, hala sportowa oraz cała sieć łączących je dróg. W koszarach szczupakowskich mieszkało ponad tysiąc osób. Teren wojskowy był nawet większy od obszaru zajmowanego przez całe miasteczko, w którym żyło blisko dziesięć tysięcy ludzi.

Odnalezienie tutaj jakiegokolwiek zguby, drobniejszej od czołgu, nawet według największych optymistów był zadaniem z góry skazanym na klęskę.

Pułkownik Czachórski cieszył się, że tak pięknie przygotował obchody rocznicy brygady – nawet pomnik wytrzymał tyle, ile trzeba. A tu taka katastrofa! Żeby przynajmniej własnymi siłami coś wykryć... A przecież WSW i tak już na karku siedzi...

– Który podchorąży ładnie pisze? – zapytał Piontek po powrocie z drugiego śniadania.

Zgłosiło się kilku. Z ich grona wybrano czterech kaligrafów.

– Wy pójdziecie do sztabu przepisywać takie poufne materiały, a resztę podporucznik Siwak poprowadzi na poszukiwanie broni w terenie. I pamiętać mi, że jutro, jakby do kogoś odwiedziny

z domu były, bo niedziela, to nie wolno słowa o kradzieży pisać, bo to tajemnica wojskowa. A jak nie... – zagroził komendant SPR – to pod sąd wojskowy pójdzie taki zdrajca! Wszystko na ten temat!

Po paru minutach nieśpiesznego marszu pododdział dowodzony przez oficera szkoleniowego dotarł do porośniętego wysoką trawą boiska.

– Czterech ochotników, wystąp!

Wezwanie Siwaka wywołało – mówiąc językiem raportów – *oddźwięk umiarkowanie silny*.

– No, czego się, kurwa, boicie?! Wystąp, bo jak nie, to sam wyznaczę! Nie ma się czego bać!

Pierwszym ochotnikiem był Rej. Liczył, że może – podobnie jak kaligrafom – trafi mu się fucha, która umożliwi lepszą orientację, i przy okazji dowie się, co właściwie jest grane, jaką broń ukradziono i gdzie.

Za Rejem podążył Ogórko i mimo ostatnich swarów, Wścieklica.

– Więcej chętnych nie ma?! To sami żeście są sobie winni! Bo tych trzech będzie sprawdzać teren z drugiej strony płotu, a wy przekopiecie boisko! Szpadle i łopaty wyda, kurwa, sierżant Maski! A ci trzej – do mnie!

Prowadzona przez Maskiego kolumna pomaszerowała, niezbyt ochoczo, ku magazynowi.

– Czy wiecie, kurwa, czego w ogóle szukacie? – zapytał Siwak.

– No... broni...

– Broni, broni, ale jakiej?

– Nikt nam nic nie wyjaśnił.

– PM-63 – obwieścił podporucznik.

– Tak?... – brzmienie głosu Ogórki świadczyło, że niewiele mu to mówi.

– Popularnie nazywa się to rakiem – wytłumaczył oficer.

– Chwila moment! – Reja olśniło wspomnienie lektury dzieciństwa. – Taki jak zrobiony Tytusowi przez kaprała, z drewna, w czwartej księdze *Tytusa, Romka i A'Tomka*?

Okazało się, że nikomu z całej czwórki ta książka nie była obca.

– No tak, w tym, kurwa, komiksie – Siwak ucieszył się ze znalezienia wspólnej platformy wiedzy podchorążackiej i oficerskiej. – Tego, jak mu tam...

– Chmielewskiego – przypomniał Ogórko. – Znakomity komiks!

Zadumali się chwilę. Milczenie przerwał oficer.

– No, dobra, obywatele. Powspominaliśmy, ale chyba wiecie już, jak to wygląda.

– Takie dość długie z krótką lufą, która może być wysuwana – podsumował Wścieklica.

– No to tera przeleźcie przez płot i idźcie wzdłuż ogrodzenia. Zaglądajcie pod każdy krzak, patrzcie, czy gdzie ziemia nie przekopana, kurwa, świeżo...

– Że niby ktoś – powątpiewał Wścieklica – wyniósł broń i zaraz za koszarami ją zakopał?

– Słuchajcie, kurwa – dowódca zrezygnował z przyjacielskiego tonu – wy tu jesteście po to, żeby słuchać, a nie grymasić! Zero dyskusji!

– Rozkaz! – powiedział w imieniu kolegów Rej. Bał się, by zdenerwowany Siwak nie kazał dołączyć im do kopaczy.

– No, to rozumiem! – ucieszył się podporucznik. – A czy macie jakieś jeszcze, kurwa, pytania?

– Tak jest!

– To walcie.

– A tak prywatnie... – zapytał konspiracyjnym tonem Rej. – Czy sądzi obywatel porucznik, że my tę broń rzeczywiście znajdziemy?

– Sam nie wiem za bardzo, co jest grane, a i tego, co wiem, nie mogę, kurwa, mówić – wyznał szczerze oficer.

– To taka tajemnica?

– No. Zakazali nam mówić nawet podchorążym. Zresztą jest w koszarach WSW, węszy wszędzie...

– Ale czy nie dałoby rady jeszcze czegoś dowiedzieć się na temat okoliczności? – naciskał Rej. – Przynajmniej skąd to zginęło i ile tego jest.

– Nie wiem ile. A zginęło z drugiego dywizjonu – podporucznika najwidoczniej świerzbiał język, odczuwał też satysfakcję, że podchorążowie są wreszcie autentycznie zainteresowani tym, co ma do powiedzenia. – Zagonili ich wszystkich już poprzedniego dnia na halę gimnastyczną i tak tam siedzą, aż się który przyzna. Nawet do kibla tylko pod eskortą mogą wychodzić...

– A ilu ich tam?

– Ze dwustu pewno będzie. A teraz, obywatele, do pracy. Przełazić przez płot i szukać!

– Ustawcie się w szeregu i kopcie – tłumaczył Muca. – Każdy gdzieś na szerokość metra.

– Jak głęboko?

– Nie za bardzo. Tak gdzieś na pół metra.

– Jeśli te pół metra będzie wyglądało tak – zauważył Lange – jak dwadzieścia centymetrów na musztrze, to się do środka Ziemi dokopujemy.

– Kopać, nie dyskutować! – polecił kapral. – Ruchy, ruchy!

Przewidywania Langego okazały się defetystyczne. W trakcie kopania wyszło na jaw, że pięćdziesiąt centymetrów równało się co najwyżej wysokości łopaty. A i to tylko u pilniejszych.

– Ale tu ścieżek! – zadziwił się Rej, wylądowawszy za ogrodzeniem koszar.

– Pewnie tędy szweje na lewiznę chodzą.

– Panowie, jesteście na wolności!

– No to, na początek – zaproponował Wścieklica – po papierosku! Za wolność!

Papierosowy toast wzniosł również, uważany za niepalącego, Ogórko.

– Podchorąży Borówka! Podchorąży Borówka! Podchorąży Borówka!

Dopiero po kilku sekundach nawoływań z najgłębszego dołu wyłoniła się umorusana twarz:

– Jestem!

– Zameldujecie się, kurwa, u kapitana Piontka – wyjaśnił Siwak. – Muca pójdzie z wami. Tylko umyćcie się wcześniej na litość boską! Do sztabu przecież idziecie!

– Obywatelu poruczniku – nogi zadrżały pod Borówką – ale czemu to akurat ja mam tam iść?...

– Dowiedcie się, jak przyjdziecie, kurwa, na miejsce – wyjaśnił oficer.

– Tak jest... – westchnął podchorąży.

– Może byśmy tak jednak posymulowali jakieś poszukiwania? – zaproponował Rej po kwadransie wylegiwania się na trawie.

– A myślisz, że znajdziemy? – prychnął Wścieklica.

– Może znajdziemy. Broń jak broń, ale może piwko ktoś by nam kupił... jak poprosimy... Pieniądze mam.

Ta propozycja spotkała się z ciepłym przyjęciem.

W drodze do sztabu brygady Muca i Borówka natknęli się na bardzo grubego i zupełnie łysego oficera.

– A podchorąży to czemu taki umorusany? – zapytał podpułkownik.

– Obywatelu pułkownika, kapral Muca plus jeden!
– No co podchorąży taki brudny? – powtórnie zapytał oficer, lekceważąc meldunek Mucy.
– Ja... ja... ja... – na widok nowej twarzy nogi Borówki stały się jeszcze bardziej gumowe. – Ja... pracowałem... ja... kopałem...
– No i co? – kontynuował życzliwie podpułkownik. – Dobrze pracowaliście?
– Ja... ja...
– No, kapralu, dobrze pracował ten podchorąży?
– Melduję, obywatelu pułkownika, że dobrze!
– A jak tam jego ogólne zachowanie? No, powiedzcie, podchorąży, jak się sprawujecie?
– Melduję, że staram się, o-telu pu-ku!
– Brawo, brawo... A jak się nazywacie?
– Kap... kono... Kanonier podchorąży Borówka, o-telu niku!!!
– wyrzeszczał Borówka.
– A czemu jesteście tacy brudni?
– Bo przekopujemy boisko – Borówka nabrał wreszcie odwagi. Zrozumiał, że oficer wcale nie zamierza na niego krzyczeć.
– Kto im kazał przekopywać boisko, kapralu?
– Obywatelu pułkownika, melduję, że to z góry rozkaz...
– Aha, szukają broni?
– Tak jest!
– No to niech dalej kopią. Ale – spojrzał krytycznie na umorusanego nieszczęśnika – możecie, podchorąży, przekazać kolegom, że w przyszłym tygodniu wydám rozkaz, w którym podchorążowie zostaną zwolnieni, już na stałe, ze wszelkich prac fizycznych poza terenem SPR-u. Przecież nie mogą wyglądać jak byle szweje... A wy, jak się nazywacie?
– Kanonier podchorąży Borówka, obywatelu pułkownika – przypomniał żołnierz.

– Baczność! – zarządził podpułkownik, a Borówka ponownie skurczył się z przerażenia. – Nagradzam was za wzorową żołnierską postawę urlopem krótkoterminowym w wysokości trzech dni! Spocznij!

Takiego szczęścia podchorąży nie spodziewał się w najśmielszych marzeniach. Wreszcie trudy zostały nagrodzone!

– No, co się odpowiada? – zapytał oficer.
– Dziękuję bardzo!
– Nie, nie... – roześmiał się podpułkownik.
– Ku chwale ojczyzny... – odpowiedział Muca.
– Ku chwale ojczyzny – powiedział niepewnie Borówka (a nuż Muca był zazdrosny o urlop i odpowiedział złośliwie?).
– Brawo – pochwalił oficer. – Widzę, że i to jednak wiecie. A ty, obywatelu kapralu, przekażesz moją decyzję kapitanowi Piontkowi. Niech mi przypomni, gdybym zapomniał.
– Rozkaz, obywatelu pułkownika!
– Dobrze, udajcie się do swoich zajęć – polecił oficer. – A czy wiecie, podchorąży, kto ja jestem?
– Nie wiem – odparł przerażony Borówka. Czyżby urlop miał okazać się mrzonką?! – A powinienem?
– No tak – oficer ponownie się roześmiał. – Powinniście. Jestem dowódcą dywizjonu szkolnego, nazywam się podpułkownik Mleczko.
– Janek Borówka – odruchowo powiedział bażant. – Miło mi.
– To się cieszę, he, he! A teraz już zmykajcie.
– Obywatelu pułkownika – pożegnał się Muca – proszę o pozwolenie odejścia plus jeden!
– Podchorąży będzie pomagał koledze przepisywać te listy, co tu leżą – polecił Borówce porucznik Kowacz. – Kolega wam wyjaśni, o co chodzi.
– To ja cię tutaj ściągnąłem! – pochwalił się Kotwica po wyjściu oficera. – Pytali mnie, kto jeszcze ładnie pisze...

– Dziękuję ci – powiedział Borówka. – Dzięki temu i urlop dostałem!

– Co? – w głosie Kotwicy zagrała nutka zazdrości.

– Obywatelu poruczniku, zróbmy dłuższą przerwę, bo już ręce odpadają!

– Macie, kurwa, dziesięć minut przerwy – zezwolił Siwak.

– Ale ręce...

– Po obiedzie sobie odpoczniecie. Jeszcze tylko godzina, kurwa! Ruchy, ruchy!

Tym razem poobiedni Czas Wolny okazał się rzeczywiście czasem wolnym. Leżenie w wozach było oczywiście zabronione – wszyscy już traktowali ten zakaz jako coś naturalnego. Zawsze jednak lepiej siedzieć na taborecie i rozmasowywać zmęczone mięśnie rąk, niż przerzucać kwintale piachu i darni.

Trwały dyskusje.

– Tak, tak – oburzał się Kotwica. – Myślicie, że nam to lekko! Cały czas piszemy, też palców i ręki nie czuję.

– Ale co piszecie?

– To tajemnica wojskowa. Ale mogę wam powiedzieć, że herbaty do picia mamy tyle, ile chcemy. Prawdziwej herbaty, nie takiej jak na stołówce. A do tego, wyobraźcie sobie, cukier i ciastka!

Rozmowę przerwało wkroczenie Mucy.

– A podchorąży Rej co tu robi? Nie wolno wam się wylegiwać przed przysięgą! Odpoczywać wolno tylko na siedząco!

– Wiem – odparł uprzejmie Rej. – Ale ja naprawiam łóżko, bo sprężyny siadają.

Podoficer zrezygnował z dalszej dyskusji i opuścił izbę 106. Tak oto Rej zainicjował nowy sposób wypoczynku poobiedniego: leżał pod łóżkiem, wygodnie rozciągnięty na kocu. Wszyscy poszli w jego ślady, a on skromnie wyjaśnił, iż tak mu poradził kumpel,

który w swoim czasie odbywał zaszczytną służbę w Kędzierzynie-Koźlu.

Ale po paru minutach kapral powrócił:

– Koniec Czasu Wolnego! Podchorążowie udają się na zbiórkę. Ruchy, ruchy!

– Zobacz w tych krzakach!

– Wiadomo, że tu niczego nie ma.

– A wcale nie! Jest...

Wokół niewielkiego drzewka owinięty był brudny stanik.

– Widzisz! – triumfował Rej. – A mówiłeś, że wokół koszar nie warto niczego szukać!

– Już wiem – stwierdził Ogórko – skąd twórca fresku z sali dźwiękowej czerpał natchnienie...

Koledzy nie zrozumieli aluzji Ogórki. Obiecał więc, że gdy tylko wróćą do budynku, pokaże im stosowny fragment ściennego malowidła, uświetniającego salę 114.

– Co, macie coś? – Siwak podszedł do płotu z drugiej strony.

Podchorążowie pokazali mu obiekt swych kontemplacji, trzymając go na kiju.

– Tak, kurwa, tutaj na lewiznie często panienki obracają – nie zdziwił się doświadczony oficer.

– A czy nie byłoby lepiej na górze tego płotu nawalić drutu kolczastego? – zapytał Wścieklica. – Teraz tu przecież dziecko może przejść.

– Może i można – odparł Siwak. – Ale po co? Żołnierz jak musi iść na lewiznę, to zawsze pójdzie. Też mógłbym coś w tym temacie... Ale szukajcie lepiej, kurwa, dalej!

– Już rąk nie czuję... – jęknął Hultajek. – Galery, cholera...

– Tamtym za płotem to się udało – dodał Nodryś.

– I tym w kancelarii – uzupełnił Maroń.

– Tylko my jak te murzyny...

Narzekania były powszechne. Ale podporucznik Głodówka, który właśnie złuzował Siwaka, szybko je uciszył:

– Nie godać, ino pracować! Zyro dyskusji! Ruchy, ruchy!

Prace wykopaliskowe prowadzono do poniedziałku. We wtorek podchorążowie powrócili do musztry, dzięki czemu mogły odpocząć ręce, a intensywniejszej rozrywki zażyły nogi. Od środy zaś wrócono do zajęć w salach.

Nikt nie podał przyczyny przerwania prac na boisku. Pytania, czy broń została odnaleziona, również zbywano milczeniem.

Dowództwo SPR Artylerii odebrało jako kiepski dowcip propozycję Mamuta, by za przepracowaną niedzielę przyznać dzień wolny w środku tygodnia. Zamiast wolnego czwartku otrzymał on poza kolejką – *w celu przemyślenia swej niewłaściwej postawy* – służbę dyżurnego SPR również w następną niedzielę.

Prawdopodobnie wyfasował ten dyżur wcale nie za pytanie dotyczące Czasu Wolnego. To był raczej wynik innej jego propozycji:

– *Obywatelu kapitanie, czy można by zorganizować w następną niedzielę dla SPR-u wyjście do kościoła?*

– *To koszary, a nie klasztor! I obowiązują was reguły wojskowe, a nie zakonne! Wszystko w tym temacie!*

– Ale...

– Zero dyskusji! Pompki ćwicz!

I tym optymistycznym akcentem zakończył się poniedziałkowy apel południowy. Większość jego uczestników gościła w Szczupakowie już jedenasty dzień.

To był dopiero początek.

CZEŚĆ DRUGA KLIMAT PRZYSIĘGI

DOO – PRZYSIĘGI!!!

Nowy prymus SPR

Niezwykłe zjawisko miało miejsce w środę 21 września 1988 roku. Podczas apelu porannego na lewym skrzydle plutonu zwiadu ustawił się cywil. W ręku dzierżył plastikową torbę z kanapkami.

Niektórzy byli pewni, że jeszcze śnią.

– No co? – zagadnął przybysz. – Jak tu się czujecie?

– Ty do... do nas? – Rej najszybciej otrząsnął się ze zdumienia.

– Czemu nie?... – uśmiechnął się nowy. – Dziwne?

– Jak ty to zrobiłeś? – zapytał Nodryś.

– Chorowałem...

– Na tydzień przed samą przysięgą przyszedłeś! – stwierdził ni to z podziwem, ni z zawiścią Borówka. – Jakim cudem?

– O, to nie był żaden cud. Po prostu leżałem...

– Cisza w szyku! – zainterweniował kapral Muca.

– ... w szpitalu – dokończył z uśmiechem na ustach gość z innego świata.

– Zero dyskusji, nowy podchorąży, bo wam – zagroził Muca – zetrzemy ten uśmiech z twarzy!

– Brawo! – szepnął Rej. – Dotychczas tylko do mnie tak mówili.

Rej był najwidoczniej dumny ze swej roli zakąty kompanii. Teraz przepchnął na swe miejsce Nodrysia, by znaleźć się bliżej cywila. Od przybycia do koszar po raz pierwszy zobaczył ubiór inny niż mundur!

– Podchorąży Rej – niesubordynacja nie uszła uwagi porucznika Śmiechockiego – kurwa, do szyku!

Zgodnie z wolą dowódcy plutonu, Rej zamarł w miejscu. Dopiero po chwili zamienił się z Kogutowskim i zaraz potem ze Zdybem. Ponieważ właśnie zjawił się komendant SPR i należało stać na baczność, żaden z przełożonych nie przeszkadzał już w manewrach.

– Na m-ją komendę: Sz-łaaa! Baaaaczność! – sierżant Maski ustawił się kilkanaście metrów przed dwuszeregiem i stamtąd dyrygował powitaniem kapitana Piontka. – Sz-ooołaa! Naaaa p-a-ooo... patrz! Baczność! Na moją komendę: Szkooła! Naaa leeo-ooo! Patrz!

A z lewej strony ostrożnie – dopiero co zdjęto mu ze stopy gips – nadchodził komendant.

– O-telu ka-tanie, szef SPR Artylerii, sierżant sza-a-owy Maski melduje Szkołę na a-elu porannym!

Oddali honory. Teraz krokiem defiladowym – Piontek bardziej, a Maski mniej – doszli do miejsca, które przed chwilą zajmował sierżant. Stanęli.

– Sz-ooołaa! – Piontek z ułańskim przytupem zestawiał pięty i zaszalutował. Ten przytup nie był co prawda zgodny (podobnie jak meldunek Maskiego) z obowiązującym Regulaminem, ale kapitan nie potrafił sobie odmówić tej przyjemności.

– Ba-ść! Na p-a-o patrz! Na le-o patrz! B-ooość! P-tooo-miiii... m-e-o-a-ć!

Śmiechocki, Głodówka i Zabawa ruszyli na spotkanie dowódcy.

– Czyste jaja! – ocenił scenę Piotr Daczny (bo tak nazywał się niezołniersko odziany uczestnik apelu porannego SPR Artylerii).

– Sądziś, że takie czyste? – zaśmiał się Rej.

– Cisza, kurwa! – upomniał plutonowy podchorąży Synek.

– Co to za przejęty bażant? – zapytał Daczny.

– Sam zobaczysz – szepnął Rej. – Tu niestety więcej takich. Skundlony bażant to coś gorszego od trepa...

– A wy tak dajecie się?

– Sam zobaczysz, co jest grane. Większość ordynarnie trzęsie dupami.

– Jak to w życiu – mrugnął okiem Daczny.

– Cicho... bo nas opieprzą... – upomniał szepczących Lange.

– No tak... widać. A wesoło tu przynajmniej?

– Jak to w więzieniu – skrzywił się Rej. – Ale mam nadzieję, że będzie weselej...

I Rej, i Daczny nosili okulary. Poza tym byli zupełnie do siebie niepodobni. Daczny był przygarbiony i bardzo szczupły, a atletycznie zbudowany Rej zawsze trzymał głowę wysoko. Ale już na pierwszy rzut oka łączyło ich coś, co denerwowało wszystkich przełożonych: wargi wygięte w lekkim uśmiechu – uśmiechu kogoś, kto lekce sobie waży to, co się dzieje wokół. W armii taki uśmiech nie jest wskazany, bo poddaje w wątpliwość żołnierską sumienność.

– Podchorążowie! – warknął starszy szeregowy Marmucha. – Zamknąć ryje, bo obaj do raportu pójdziecie! Obiecuję!

Rej zamilkł. Był zły, że nie dostrzegł przycupniętego z tyłu Marmuchy – widać kompanijny pisarczyk załatwiał coś w SPR i dopiero teraz przyłaził na apel.

Nie znosił Marmuchy do tego stopnia, że chwilami zastanawiał się, czy po przysiedze nie warto byłoby dostać belki. Jako bombardier podchorąży byłby wówczas starszy rangą od starszego szeregowego służby zasadniczej.

O ile większość kadry, nawet znienawidzony przez ogół Muca, została zmuszona przez konsekwentnie niepoprawne zachowanie Reja i jego wysoką funkcję w ZSMP SPR do patrzenia nań przez palce, o tyle Marmucha – choć najmniej w całym towarzystwie ważny – na każdym kroku usiłował stawiać go na baczność. Marmucha nie ukrywał, że nienawidzi ostentacyjnego luzu Reja, czyli tego, za co lubiła go większość kolegów i co uwielbiał w sobie on sam.

Lecz im bardziej czepiał się Reja, tym chętniej ten drugi śmiał się od ucha do ucha. Nawet gdy wcale mu nie było do śmiechu. Fortele były jego murem obronnym. Czuł się trochę jak osaczony przez sforę lis, który mimo wszystko w i e, że szczęśliwa gwiazda dopomoże mu w ucieczce.

Oprócz złośliwości przełożonych, Rejowi najbardziej dawały się we znaki płaczące żale niektórych kolegów oraz wszczynane przez innych awantury o byle co. Otrząsnął się już z szoku przeraźliwie dłużącego się drugiego tygodnia szkolenia w SPR. Tak, ten cholerny drugi tydzień... O ile pierwszy przeszedł jak błyskawica, drugi przypominał rozmemłaną i klejącą się do wszystkiego gumę do żucia. Może przez to, że przeważnie siedzieli w salach i wysłuchiwali rozmaitych mądrości wojskowych i politycznych? Trepki czytają na głos hasła i dane, których sami nie znają – na co zresztą komu dane taktyczno-techniczne wozu bojowego wycofanego z uzbrojenia dwadzieścia lat temu? Jaka szybkość? Ilu ludzi w załodze? Jakie działa? Jakie karabiny? A grubość pancerza z przodu, z tyłu i po bokach? Uzbrojenie dodatkowe? Liczba i ciężar kół? Itp., itd. A takich wozów i dział do wykucia była z setka! Z dwojga złego już lepsza ta musztra... Przynajmniej coś się dzieje.

Po apelu Muca zabrał Dacznego do sztabu brygady, gdzie przechowywano akta podchorążych.

– Proszę siadać – przyjął ich starszy kapral Jarząbek. Oficjalnie był zastępcą pomocnika zastępcy pomocnika pomocnika oficera personalnego jednostki, ale faktycznie to on kierował wszystkimi pracami o charakterze statystyczno-sprawozdawczym; przez jego ręce przechodziły rozmaite ważne kwity i szereg innych dokumentów.

– Nazwisko?

– Piotr Daczny.

– Zapomnijcie o imieniu! – włączył się do rozmowy opiekun z ramienia SPR. – W wojsku jesteście!

– Co ty się, Franek, wygłupiasz? Jarząbek uniósł głowę nad papierów. – Jebali cię na szkółce, to teraz chcesz się na każdym odgrywać. Ale lepiej nie rób tego przy mnie, zgoda?

Muca zwiesił głowę.

– Może pan pozwoli swoją książeczkę wojskową i dowód osobisty? – wrócił do pracy Jarząbek.

– Podchorąży Borówka! – powtórkę z musztry prowadził Śmiechocki.

Ćwiczenia odbywały się na pomocniczym placu musztry. Duży plac zajęty był przez kompanię SPR OC. Tamci również przygotowywali się do przysięgi.

– Jestem!

– Nie słyszę! – roześmiał się porucznik.

– Jestem!

– Głośniej!

– J-eee-m!!! – rozpaczliwie zaskowyczał Borówka.

– Wystąp! – oficer uznał, że więcej z niego nie wycisnie.

Borówka nabrał powietrza w płuca i zamasyście, mocno przy tym pomachując rękoma, wykonał trzy kroki wprzód.

– Co to jest, kurwa, musztra? – oficer zadał jedno z rutynowych pytań.

– Musztra kształtuje zewnętrzne oblicze wojska, przygotowuje żołnierzy i pododdziały do wystąpień służbowych...

– Jaką funkcję, kurwa, spełnia w *pododdziale*?

– Spełnia doniosłą funkcję, bo oddziałuje dodatnio...

– Wróć! Opuściliście liniijkę! – ryknął porucznik.

Zrozpaczony Borówka nawet nie usiłował sobie przypominać. Znowu się nie udało! Wiedział już dobrze, że w wojsku liczy się nie tyle sens odpowiedzi, ile jej zgodność z literą Regulaminu.

– O-telu poruczniku... Ja się uczyłem... powiem... Tylko zapomniałem jednego wyrazu...

– Co wy mi tu, kurwa, pierdolicie. Widzę, że się uczyliście i dlatego trzy, nie dwa. *Wszystko w tem temacie*. Wystąp!

Borówka wykonał polecenie.

– Oj, Borówka, Borówka! Za odpowiedź trzy, ale za wadliwe wykonanie powrotu – dwa! – oficer otworzył Dziennik i wpisał oceny. – Poprawcie się, Borówka! Tylko nasz cholerny as, kurwa jego mać, Rej, ma więcej fleków niż wy! Poprawcie się?

– Tak jest! – przytaknął podchorąży, czerwony ze wstydu i rozpaczy.

– No to teraz, kurwa, Rej. Wystąp!

Wywołany rozpoczął nawet regulaminowo: klepnął ramię stojącego w pierwszym szeregu (sam zawsze wpychał się do tylnego rzędu, bo łatwiej się tam ukryć przed okiem przełożonych). Następnie zrobił kilka kroków do przodu i zatrzymał się.

– Pierwsza dwójka, kurwa – podsumował ten manewr porucznik. – Powiedzcie teraz przynajmniej dobrze to, co miał powiedzieć Borówka.

– Hmm... Nie dosłyszałem, o co był pytany.

– O funkcje musztry – Śmiechocki zdaje się szczerze liczył, że wydobędzie coś z zakąty swego plutonu.

– No... musztra ma wiele funkcji... Wyrabia różne cechy żołnierskie...

Oficer wściekle pokręcił głową i postanowił przerwać ten pokaz lekceważenia obowiązków służbowych:

– Kurwa, wstąpcie już lepiej. Pała.

Lecz kolejna dwójka nie została wpisana do Dziennika.

– Cholera, tu się już fleki nie mieszczą! – przeraził się porucznik, patrząc na rubrykę przy nazwisku Reja. Zbyt wielka liczba ocen niedostatecznych mogła okazać się groźną dla niego samego. Dowódca brygady, pułkownik Czachórski, wychodził bowiem z założenia, że nie ma złych uczniów, są tylko źli nauczyciele. W praktyce oznaczało to możliwość odebrania Śmiechockiemu comiesięcznej premii... – Co wy myślicie, kurwa, że ja to za was będę poprawiał!?

– Hmm... – przytaknął bażant, nie próbując już kryć uśmiechu.

– Kurwaaaa... – zamyślił się porucznik. – Dopóki nie poprawicie tych pał, to z koszar nie wyjdziecie! Nawet po przysiędze!

– Jak ta księżniczka uciemieżona? – zainteresował się podchorąży.

– Milczcie już lepiej. A na początek dzisiejszych fleków wam nie wpiszę. Na dobry, kurwa, początek! Nauczycie się, to zaliczycie te tematy u Mucy albo Millera, kurwa mać! Na wzór-konspekt macie poprawić! Z innych przedmiotów też! Żeby w Dzienniku śladu fleka nie było! *Wszystko na ten temat!*

– Zawód pana? – zapytał Jarząbek (Mucy w pokoju już nie było. Po jego kolejnym niewczesnym zapędzie wychowawczym kancelista wyrzucił go za drzwi).

– Astronom.

– Astronom? – zdziwił się Jarząbek.

– Rzadki zawód, prawda?

– Też studiowałem astronomię. Zacząłem w 1981, na UW...

– To tak samo jak ja! Ale cię nie pamiętam!

– Bo zrobiłem błąd – wyjaśnił Jarząbek. – Przeniosłem się na fizykę do Gdańska, zaraz w październiku. Rozumiesz, stamtąd jestem, a dziecko mi się urodziło...

– To czemu nie jesteś w SPR-ze?

– Bo na czwartym roku wyjechałem do Reichu, żeby zarobić na rodzinę. Wróciłem, do końca studiów zostało mi tylko napisanie pracy... a oni wyrzucili mnie za NZS.

– I od razu do wojska?!

– Tak. Po to przecież wyrzucili – Jarząbek uśmiechnął się smutno. Wolał już nie opowiadać, z jakim trudem wymigał się od propozycji kontynuowania studiów w WSO. – Starłem się o reaktywację, ale wiesz, jak to jest...

– Najgorzej tu jednak chyba nie masz?

– Jak na wojsko, to... sam zresztą widzisz. Jeszcze ze szkółki elewów mnie tu zgarnęli, starszym kapralem zostałem po kilku miesiącach. Całą kancelarię im tu trzymam... no i traktują mnie niemal jak cywila, trzeba przyznać. Ale ciągle mnie kaloryferem chcą zrobić, i to irytuje...

– Czym? – Dacznym nie zrozumiał wojskowego slangu.

– Ka-lo-ry-fe-rem – uśmiechnął się Jarząbek. – Czyli plutonowym. Mówi się: kaloryfer, bo ma na pagonach po cztery belki, czyli żeberka. To najniższy stopień, jaki może mieć trep. Kto to trep, chyba wiesz?

– No to, może, kurwa, ktoś na ochotnika? – widocznie Śmiechocki postanowił przerwać dwójkową passę.

Kilka rąk uniosło się do góry. Oficer szybko dokonał wyboru.

– Kanonier podchorąży Lange! – przedstawił się ochotnik.

– Wystąp!

Tup-tup-tup. Tup! Noga do nogi. Stopy rozwarłe na szerokość środkowej części podeszwy buta. Nogi w kolanach wyprostowane, ich mięśnie lekko naprężone. Brzuch wciągnięty, ramiona cofnię-

te, ręce wyprostowane w łokciach, palec wskazujący dotyka szwu spodni. Głowa uniesiona, oczy wychodzące z orbit i wpatrzone na wprost. Usta oczywiście zaciśnięte jak u buldoga, którego złapał szczękoscisk.

– Widzicie, kurwa! – pochwalił porucznik. – Tak ma wyglądać postawa na baczność! Bierzcie, kurwa, przykład z podchorążego Lange! To wzór-konspekt!

– Ma niemieckie nazwisko, więc mu łatwiej! – parsknął ktoś w drugim szeregu.

Plecy Langego drgnęły – widać nie był zachwycony tym, co usłyszał.

– Który to, kurwa, powiedział?! – wrzasnął Śmiechocki, z góry wiedząc, że nikt się nie przyzna. Trzydzieści par oczu wpatrywało się teraz, jak najbardziej regulaminowo, w przełożonego. Poszukiwania warchoła skazane były na fiasko. – No to powiedzcie, kurwa, podchorąży Lange...

– Jestem! Musztra spełnia doniosłą funkcję wychowawczą, oddziałuje dodatkowo na osobowość żołnierza, wyrabia obowiązkowość, zdecydowanie, energię, wytrwałość i systematyczność – podchorąży recytował z szybkością ciężkiego karabinu maszynowego nowego typu.

– Brawo! – pochwalił oficer, zamykając Regulamin. – Każdy przecinek na swoim miejscu! Widzicie, że jak ktoś chce, to potrafi!

Na drugą godzinę zajęć ściągnięto już Dacznego. Niestety, nie załatwiono dla niego – z niewiadomych przyczyn magazynu mundurowy był zamknięty – ani mora, ani butów. Dlatego wciąż był częściowo ubrany po cywilnemu.

Lecz przecież nie można było dopuścić, by stracił ważne ZPDP – Zajęcia Przygotowawcze Do Przysięgi. I tak już miał wielkie zaległości. Posiadał za to znakomite oceny, choć jeszcze o tym nie wiedział. Stało się tak dlatego, że wpisano go do Dziennika plutonu

zwiadu na miejsce Kotwicy (przeniesionego kilka dni wcześniej, po interwencji jego wujka – pułkownika z Warszawy – do SPR OC). Uznano, że nieładnie wyglądałoby w Dzienniku skreślanie czegokolwiek, więc jedno nazwisko zgrabnie zaklejono drugim, wszystkie pozostałe drobiazgi pozostawiając nienaruszone. Żołnierz nigdy nie powinien zapominać o estetyce!

Daczny zasilił więc szeregi SPR Artylerii. Przyznano mu, mimo wzrostu nieco przekraczającego średni, miejsce na szarym końcu kolumny. Niech na razie tu się uczy i podpatruje lepiej wyszkolonych kolegów. W końcu odziedziczona po Kotwicy pozycja prymusa zobowiązuje!

Po drugim śniadaniu kapitan Piontek pofatygował się na plac musztry, by osobiście nadzorować szkolenie żołnierzy. Chciał zobaczyć, jak podchorążowie spisują się w czasie zajęć: tego dnia po raz pierwszy założyli hełmy, a kałaszki przewiesili przez pierś.

– Czoło stój! Niech ten podchorąży przejdzie lepiej na miejsce do pierwszej, a tamten do drugiej czwórki!

Z pierwszej czwórki dowódca usunął dryblasa Tomalę, który jako prawoskrzydłowy czwórki czołowej, a tym samym całego pododdziału, winien dyktować tempo marszu całej kolumnie. Niestety, czy to z powodu wspominek o zakończonym przed kilkudziesięcioma godzinami weselu (dostał na nie całe trzy dni urlopu), czy za przyczyną wrodzonej dyskoordynacji ruchów, Tomala nie wywiązywał się z tego zadania najlepiej.

– Ja?! – zdumiony Rej, bo to on był żołnierzem awansowanym z drugiej do pierwszej czwórki, dla pewności wskazał na siebie własnym palcem.

– Tak. Ale nie na kierunkowego... tylko... od środka, a podchorążego – kapitan przestawił teraz Maronia – damy na kierunkowego...

Wszyscy już wiedzieli, że to pierwsza czwórka decyduje o wrążeniu z przemarszu całej kolumny. Jeśli ona źle maszeruje, to i inne też – choćby bardzo się starały.

– Szkooooła! – wydając komendę, kapitan wyprężył się na baczność. – Kierunek na wprost. Marsz!

Zaczynał kropić deszcz.

Na szarym końcu pododdziału dreptał Daczny. Na głowę nałożono mu zbyt wielki hełm, a pierś ozdobiono karabinem. Jeśli pominąć te dwa szczegóły, jego ubiór pozostawał nieprzyzwoicie cywilny.

– Piontek! Co to u ciebie za partyzant, kuśwa, defiluje?! – obok kolumny podchorążych jak spod ziemi wyrósł niewysoki oficer. Na pagonach miał po dwie belki i trzy gwiazdki.

– Obywatelu pułkownika! Komendant Szkoły Podchorążych Rezerwy Artylerii kapitan Piontek melduje Szkołę Podchorążych Rezerwy Artylerii podczas ćwiczeń musztry na temat trzy łamane przez pięć: przygotowanie do przysięgi, pierwsze zajęcia z bronią!

– Ja się was zapytuję, co to za partyzant! – upomniał kwatermistrz brygady.

Piontkowi zrzedła mina. Jak mógł zlekceważyć fakt, że przestrzeganie przepisów mundurowych jest jednym z najczulszych punktów pułkownika Wierzby... Co za pech!

– Obywatelu pułkownika, bo to... okoliczności obiektywne...

– Ja się zapytuję, kuśwa, czemu tu u ciebie partyzant łązi, a nie chcę słuchać żadnych tego tamtego! – huknął Wierzba. – Zero dyskusji! Jedno zdanie macie!

– Nie mamy munduru dla niego – wyznał kapitan.

– Czemu?! –

„Dlaczego Daczny był prymusem plutonu, choć o tym nie wiedział? Bo stopnie odziedziczył po podchorążym Kotwicy, przeniesionym do innego SPR.”

– Nasz magazyn jest pusty, a brygadowy zamknięty.
– Jak to z a m k n i ę t y?!
– Nikogo tam nie ma.
– Niech no zara jakiś kapral pójdzie tam z tym partyzantem, kuśwa. Ja tam zara podeśle Gruchę – przypuszczalnie pułkownik znał miejsce bytności głównego magazyniera. – Ale na przyszłość, jak dla kogoś munduru nie macie, to powieście go w szafie, a nie wyprowadzajcie, kuśwa, żołnierzom na pośmiewisko! SPR to ma być wzór-konspekt!

Zadbawszy o żołnierską godność Dacznego, pułkownik dziarskim krokiem podążył w stronę sztabu. Ale po kilku krokach odwrócił się. Przypomniał sobie o innej ważnej sprawie – poprzedniego dnia przyszedł nowy rozkaz mundurowy z Centrali.

– I niech no te paski od hełmów mają zapięte nie pod, kuśwa, ale po ludzku, na brodzie! I to mocno, żeby szcękami kłapać nie mogli! Wykonać!

Po odejściu kwatermistrza kapitan wysłał Dacznego – bez karabinu, za to z hełmem i pod opieką Mucy – do magazynu mundurowego brygady. Następnie ze zdwojoną energią i nie zwracając uwagi na coraz mocniej siąpiący deszcz, powrócił do szkolenia żołnierzy. Przedtem oczywiście zadbał, by wszyscy zmienili sposób założenia hełmów na zgodny z obowiązującym wzorem. Dzięki temu żołnierze zyskali chwilę odpoczynku. Niektórzy sięgnęli po papierosy. Wszyscy przeklinali mżawkę i kapitana. Ich mundury były coraz bardziej przemoknięte.

Borówka miał jednak inny problem:

– Słuchaj, Rej... To ty już zawsze – dopytywał z zazdrością – będziesz w pierwszej czwórce chodził? To taki zaszczyt!

Deszcz już nie kroił, ale lał. Podchorążowie pod wodzą niezmordowanego Pionka ciągle ćwiczili musztrę.

Kapitan był szczęśliwy, że nie gnuśnieje już w sztabie, lecz osobiście dowodzi pododdziałem! Był przemoczony tak samo jak żołnierze, ale miał poczucie, że rzetelnie wykonuje wojskowe rzemiosło.

– Równy krok! Prawo na skos! Baczość! – pokrzykiwał. – Poznajcie, co to wojsko! Ruchy, ruchy!

Po godzinie deszcz zaczął słabnąć, wreszcie niemal ustał. Ukażało się słońce.

– Kurwa, a ten matros... – przywitał Mucę i Dacznego szefa magazynów mundurowych brygady, starszy sierżant sztabowy Grucha. – Zara, kurwa, co wyjebiem...

– Obywatelu sierżancie... – postanowił zameldować się Muca.

– Dobra, dobra... Wiem, o co, kurwa w dupe jebana, biega. Co się podchorąży tak śmieje? Może jeszcze zostaniesz oficerem, he, he – Grucha starał się nawiązać przyjacielską pogawędkę. – Jakie studia kończyliście?

– Astronomię.

– A, kurwa, jak tyn Kupyrynik? A gdzie?

– W Warszawie.

– To i mój Tomuś w Warszawie, kurwa jebana, studiuje! Pewno się znata, jak razym w tyj, no, stolicy jesteście! Oba studenty, kurwa wasza mać?

– A na jakiej uczelni?

– Na tym, chuj ci w dupe, chyba Wacie!

– No nie... wie pan... – bąknął Daczny. – Wojskowa Akademia Techniczna to zupełnie gdzie indziej.

– Ale w jydnym mieście, ni? – nastawał sierżant, któremu Warszawa jawiła się jako trochę większe Szczupakowo. – Musita się, kurwa, znać, ni?

Gawędzili sobie czas dłuższy. Muca nie brał udziału w konwersacji. Słuchając Gruchy, z najwyższym trudem powstrzymał się

od śmiechu, wolał więc przezornie wymknąć się za drzwi. Wiedział, że – skądinąd bardzo poczciwy – sierżant nie lubi, gdy jego mowa budzi wesołość. Wyrzucał wtedy z siebie (jak to było możliwe?) jeszcze więcej przekleństw na sekundę niż normalnie. Kapralowi zrobiło się żal nieprzyzwyczajonych do wojskowych manier uszu Dacznego.

– Napierdól to, kurwa, na chuja – w narzeczu sierżanta Gruchy oznaczało to propozycję przymierzenia munduru.

Deszcz znowu zaczął siąpić. Zrazu nieśmiało, jakby ostrzegając, że mimo świecącego słońca może jeszcze pokazać, co potrafi. Później – mocniej. A wreszcie tak, że nawet kapitan Piontek uznał, iż pora kończyć zajęcia.

– Szkoool!a!

Stanęli na baczność.

– Bieeegiem...

Niektórzy wyrwali z kopyta, inni nie ruszyli się z miejsca.

– Wróć! – rozkazał Piontek. – Czy już zapomnieliście, co się robi na komendę *biegiem*?

Niestety, wiedzieli.

– Na komendę *biegiem* ugnijcie ręce w łokciach. Dopiero jak powie: *marsz*, to zasuwaszcie – przypomniał na wszelki wypadek Muca. Kapral był jeszcze bardziej przemoczony niż podchorążowie. Oni mieli przynajmniej hełmy, a on tylko czapkę moro.

– Bieeegiem!

Ale i tym razem nie usatysfakcjonowali oficera, który przekrzykując szum deszczu, ogłosił:

– Wróć! Od nowa... Szkoool!a! Bieeegiem... do budynku SPR... Marsz!!!

Wojsko hurmem rzuciło się w nakazanym kierunku.

Stłoczeni i przemoknięci, stali na dole, przy wejściu do klatki schodowej. Przez otwarte drzwi patrzyli na przecinające niebo błyskawice. Kapitan nie pozwolił wejść na piętro, bo sądził, że burza zaraz się skończy.

– Zostało nam jeszcze parę minut ćwiczeń! Korzystając z chwili wolnego czasu, może więc powiecie mi, jak się tu czujecie, jakie nastroje. Tak prywatnie, bez żadnego meldowania się...

Rej szepnął do stojącego obok – już umundurowanego – Dacznego:

– Człowieku! Tydzień temu o takim tekście nikt nawet nie marzył! Pewnie zaczął się bać, bo dziś pierwszy raz dostaliśmy broń do ręki...

– Co, masz zamiar strzelać do kogoś?

– Ja nie. Ale skąd wiesz, co trep myśli?

Tymczasem kapitan starał się zachęcić podwładnych do szczerzej rozmowy.

– No mówcie, nie bójcie się. To zostanie między nami. Ja tylko chciałbym wiedzieć, co sądzicie na ten przykład o SPR-ze, o kadrze...

Pytanie zaliczało się do drażliwych. Jednak kilku podchorążych, dobrze ukrytych za plecami kolegów, odezwało się natychmiast.

– Czemu tyle *kurw* trzeba wysłuchiwać? Jakaś gwara niepolska...

– Kieszenie zaszywają, żeby do nich rąk nie wkładać...

– Jak już czegoś się niby uczymy, to tylko cyfry i tabele. Tego nikt nie zapamięta na trwałe...

– Tu chodzi o to, żeby nas myślenia oduczyć, a nie czegoś nauczyć...

– Mamy aprobować wszystko, nawet bez sensu?

– Te *kurwy* nieustanne...

– Oj, podchorążowie, podchorążowie... – Piontek był wyraźnie rozczarowany impresjami podwładnych. – Zwracacie uwagę na ta-

kie drobiazgi, a czemu nikt nie zapyta o to, kiedy zaczniecie strzelać albo na jakim sprzęcie będziecie pracować?! Nie chcecie ani godziny Czasu Wolnego poświęcić dla Szkoły! Nie wstyd wam? W wojsku przecież jesteście i mamy służyć ludowej ojczyźnie! A mnie uszy wędzną, jak was słucham! Ja przez was osiwieję! Czemu nikt nie zainteresuje się, czy będziecie mieli poligon szkoleniowy...

– A będziemy?

– Niestety, chyba nie... LWN w brygadzie został wyczerpany i dowództwo nie chce was puścić ani na poligon, ani nawet do ośrodka szkolenia fizycznego. To duża strata szkoleniowa, więc może coś z tym limitem załatwimy...

– A co to za limit?

– Limit Wypadków Nadzwyczajnych. Nawet takich rzeczy nie wiecie? – zadziwił się komendant. – Określa on, ile nieprzewidzianych wypadków może się wydarzyć w ciągu roku. Niestety, w tym roku brygada już go prawie wykorzystała...

– Obywatelu kapitanie, a czy można by tak na ochotnika pojechać na poligon z elewami? – zapytał Maroń.

– Właśnie! – poparł go Borówka.

– Chłopcy! – Piontek nie ukrywał wzruszenia. – Niestety, chyba nic się nie da zrobić...

– Jaka szkoda! – Rej udał, że ociera zalewającą twarz łzy. – Toż my bez tego nie zostaniemy prawdziwymi żołnierzami.

Zawtórował mu głośny śmiech kilku innych niezupełnie wzorowych bażantów.

– Podchorążowie! – zaapelował kapitan. – Nie róbcie sobie prześmiewisk, to jest poważna sprawa. To jest istotne dla waszego wyszkolenia bojowego. Zero śmiechów!

Dobrze, że do jego uszu nie dotarły wypowiedzi Ogórki czy Kostyka na temat tego, w której części ciała wymościła sobie legowisko ich dbałość o wyszkolenie bojowe.

– No cóż... – Piontek spojrział na zegarek. – Widzę, że jednak trzeba iść na górę, bo broń zardzewieje. Wyczyścicie gnaty, to apel i na obiad. A gdzie są praktykanci?

Kapitan ze zdziwieniem skonstatował, że tylko on – i niezawodny Muca – sprawują opiekę nad trzódką bażantów. Praktykanci – jeden kapral i dwóch plutonowych – wyparowali niczym zawartość kieliszka pozostawionego czujnej opiece porucznika Śmiechockiego.

– Pewnie oglądają Olimpiadę – usłużnie wyjaśnił Maroń.

– Ja im dam Olimpiadę w czasie służby! A ty, Muca, prowadź podchorążych do sali czyszczenia broni!

Sala czyszczenia broni miała dwadzieścia metrów długości i dziesięć szerokości. Wszystkie jej ściany oblepiono planszami prezentującymi budowę rozmaitych typów i rodzajów broni ręcznej, a przede wszystkim hasłami nawołującymi do dalszego umacniania sojuszu robotniczo-rolniczego i przyjaźni z ZSRR. Niektóre plakaty mogłyby robić za eksponaty muzealne, na przykład: *Żołnierskim czynem popieramy V Zjazd PZPR!*

– Zajmować miejsca, brać pakuły! – komenderował plutonowy podchorąży Synek. – Mamy tylko godzinę! Zero dyskusji! Cisza na sali! Ruchy, ruchy!

Rej starał się na bieżąco wprowadzać Dacznego w klimat SPR:

– Na tego, co teraz wrzeszczy, to uważaj. Solidny z niego kawał...

– Czy przynieść wam pakuły? – zapytał Borówka, który starał się trzymać w pobliżu Reja.

– Tak, proszę, jeśli możesz – przyzwolił Rej.

Bażant odwrócił się służbiście i powędrował do kolejki po pakuły.

– Co to za tłuszczoszek? – zapytał Dacznego.

– Taki... w sumie nieszkodliwy, ale czasem irytujący – wyjaśnił Rej. – Sympatyczny, ale śmieszny. Wszyscy się go czepiają, a on boi się słowem odezwać, i byle kto jeździ na nim jak na łysym koniu.

Konwersację przerwało wkroczenie na salę Piontka.

– Baczość! – pierwszy zauważył dowódcę plutonowy podchorąży Zabawa. – Obywatelu kapitanie, melduję...

Dochodziła szesnasta. W sali czyszczenia broni urzędowało kilku podchorążych, którym rozkazano poświęcić ich Czas Wolny na pielęgnację kałasznikowów.

Byli tu oczywiście również Daczny i jego *cicerone* – Rej. Słuchając rewelacji kolegi, Daczny czuł się jak odkrywca nieznanych krain i lądów. A były to krainy wcale ludne. W Polsce we wrześniu 1988 roku zielone i niebieskie mundury nosiło kilkaset tysięcy *stanów osobowych*.

Kuchnia – raz!

Do sali czyszczenia broni wkroczył podoficer dyżurny, kapral podchorąży Miller.

– Czy jest tu podchorąży Rej? – zapytał.

– Jestem!

– Zapomniał podchorąży, że dzisiaj jest w drużynie na kuchnię?

– Dzisiaj? Na jutro byłem czytany... – Rej jeszcze nie wiedział, bo bażanci dopiero rozpoczęli dyżury w kuchni, że ziemniaki należy obrać w przeddzień właściwego dyżuru.

Daczny został z kolegami, którzy przedstawili się jako Igor i Mirek. Z trudem ich rozróżniał. Obydwaj mali, ostrzyżeni prawie na zero. Zresztą, choć spędził tu już kilka godzin, nie zapamiętał właściwie nikogo prócz Reja.

Zastanawiał się, ile czasu zajmie zapamiętanie twarzy, powiązanie ich z imionami i nazwiskami. W tych mundurach i z tymi fryzurami wszyscy byli tak do siebie podobni, jakby wycięci z jednej sztancy... Jak tu szaro i ponuro! Czy za parę tygodni to wszystko będzie go jeszcze raziło? Czy też się przyzwyczai?! I czy też, jak jeden z tych dwóch, będzie mówił tylko o wódce i żarciu? Wódka dobra, ale jej nie ma. A żarcie podłe, lecz za to jest go pod dostatkiem... Ileż można o tym gadać!

– Słuchaj – odezwał się – a czy ciebie tylko wódka interesuje? A panienki to nic?

Ruchacz odłożył karabin i ciężko westchnął:

– Myślisz, że tu komukolwiek jeszcze staje? Człowieku, stojąca pała to temat tabu! Żonaci to w zupełnej panice, co będzie, jak po przysiedze pojedą do domów!

– Co, brom dają? – przeraził się Daczny.

– Tydzień temu było takie spotkanie z lekarzem jednostki – wyjaśnił Mamut. – Chłopaki pytali i o to. Ale on powiedział, że żadnego bromu nikt nie daje, bo to zakazane.

– Podobno to, no wiesz... – uzupełnił Ruchacz – to dlatego, że nie jesteśmy niby przyzwyczajeni do intensywnego wysiłku fizycznego, jak powiedział ten kapitan, lekarz niby. Ale przecież ja jestem po AWF, więc niech mi nie opowiada o *wysiłku fizycznym*! O Celoty mówią, że to jednak brom.

– Przecież lekarz by chyba nie kłamał – powiedział Daczny. – W wojsku są dobrzy specjaliści. Sam leżałem teraz w wojskowej klinice.

– Obawiam się, że jesteś w błędzie – stwierdził Mamut. – Tam była klinika, a tutaj są tacy do obsługi szeregowców i tłumaczenia im, że symulują.

Miller wiodł trzech łachmaniarzy na spotkanie z kucharskim losem.

– Niby tego nie wolno robić, ale dobrze, że założyliście mora i dresy pod te kuchenne łachy. Teraz wam gorąco, ale zobaczycie, jak będzie w piwnicy przy ziemniakach.

– A dużo tych ziemniaków?

– Dla jakichś dwustu osób, plus rezerwa... Zobaczycie. Chyba że wam się trafi na obiad ryż albo kasza.

– Mnie to się i tak podoba – powiedział z przekonaniem Hultajek. – Jak tu szedłem, ojciec mówił: synu, trzymaj się jak najdalej od sztabu, a jak najbliżej kuchni!

Wszyscy, oprócz niego, parsknęli śmiechem.

– A jakiego to stopnia dosłużył się ojciec podchorążego?

– Eee... żadnego. Szeregowiec. Ale ma już trzech synów kaprali, a ja to, ho, ho, może i gwiazdek na emeryturze się dosłużę!

Minęli bramę.

– Po co ten Wścieklica tak szalał? – zagadnął Miller. – Zarobił ZOMZ i zaraz samobójstwo...

– To było solidne sukinyństwo z tym ZOMZ-em! – zdenerwował się Rej. – I na dodatek wlepił go bażant bażantowi! Chyba pierwszy raz coś takiego się zdarzyło!

– Przesadza podchorąży... On musiał. Przecież Wścieklica go obraził.

– Obaj wiemy czym! Tym, że *krzywo patrzy!* O to się go Mamciorek czepiał. Każdy to słyszał!

– No... niby tak... Ale to chodziło o ten telefon do jego kumpla, trepa. Wścieklica na cały korytarz do słuchawki krzyczał, że praktykanci to buce... Ja rozumiem, każdy się może zdenerwować, ale przecież to wojsko i różnica stopni...

– Ale teraz jakoś wszyscy – kąśliwie stwierdził Rej – staliście się grzeczniejsi, prawda?

– To nie tak. Podchorąży nawet nie wie, kogo broni. Żebyście słyszeli, co on wygadywał, jak na dywanik poszedł. Ale i tak mi nie uwierzycie. Zresztą, nie mogę mówić.

– Ale intrygować można, tak?

– Nie... zresztą... Sami zobaczycie za jakiś czas.

Podoficer dyżurny przekazał trójkę kuchcików pod opiekę starszego szeregowego Kotleta, oberkucharza stołówki podchorążackiej.

Niewysoki i szczupły Kotlet w cywilu był kierowcą i pracował w PKS-ie. Skierowano go do Szkoły Młodszych Specjalistów Wojskowych kształcącej kucharzy. Kotlet poszedł do kotletów, bo komendant RKU uważał to za znakomity dowcip.

Kucharz powiódł bażantów do sutereny. Wszyscy czterej zatrzymali się przed potężnymi drzwiami, zamkniętymi na dwie wielkie kłody.

– Który to z tych kluczy, do chuja pana?! – zdenerwował się Kotlet. Do pierwszej kłódki dopasował klucz szybko, ale z drugą nie poszło tak łatwo. – Poczekajta, skoczę na górę, może tam zostawiłem.

– Obywatelu kucharzu – odezwał się Lange.

– Co ty, zwariowałaś?! Jędrak jestem! Za trepa mnie bierzesz?

– Przepraszam, ja tylko, obywatelu...

– Nie dziw się – wtrącił Rej. – On cały czas tak wszystkim obywateluje, że ciężko już mu inaczej. Spluń tym *obywatelem*... Jak ty masz na imię? – wszyscy się roześmiali. – Sam widzisz. Nas tak krótko trzymają, że własnych imion nie znamy, choć jesteśmy z jednego plutonu.

Wreszcie odnaleźli klucz. Kucharz otworzył metalowe drzwi.

– Jezu, jak tu śmierdzi! – przeraził się Hultajek.

Daczny smętnie spojrzął na zegarek. Zajęcia trwały zaledwie dwadzieścia minut, a on już miał dość! Kapral czytał monotonnym głosem tekst Regulaminu Służby Wewnętrznej:

5I. I/ **Żołnierze są obowiązani oddawać honory:**

- a) **pierwszemu sekretarzowi Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej,**
- b) **przewodniczącemu Rady Państwa,**
- c) **fladze państwowej w czasie jej podnoszenia i opuszczania...**

To, że w wojsku za głowę państwa uważany jest I sekretarz PZPR, a nie przewodniczący Rady Państwa, ma niewielkie znaczenie, bo obecnie to ta sama osoba – pomyślał Daczny. – Wiadomo: konstytucja jest do ozdoby i na sztukę, a do rządu – Partia i armia...

Pomieszczenie miało osiem metrów długości i cztery szerokości. Zakratowane okienko dawało niewiele światła. Brudna żarówka – jeszcze mniej.

Ekipa kuchcików zasiadła na taboretach. Między nimi stała drewniana skrzynka z ziemniakami. Żołnierze mieli buty unurzane w wodzie; co prawda na środku podłogi znajdowała się dziura, którą winna spływać ciecz zbierająca się po płukaniu kartofli; chwilowo jednak odpływ wody był przez coś zablokowany.

Do smrodu rozkładających się warzyw przywykli po kilkunastu minutach.

– Ten odorek – stwierdził Hultajek – to przynajmniej swojski.

– I, kurwa, nie wydziera mordy – uzupełnił Lange.

Jedynie Rej z obrzydzeniem siąkał nosem.

Dochodziła już szósta. Wydawało im się, że pracują szybko, ale stos ustawionych pod ścianą skrzyń z ziemniakami małał bardzo powoli. Pochyleni, nie zauważyli wejścia kucharza.

– Co chceta na kolację? – zatroszczył się o swoich podwładnych Kotlet.

– A co jest?

– Dla drużynki zawsze się coś lepszego znajdzie... Może kotlecika, albo i po dwa? Tylko, panowie, nie obirajta tych jebanych kartofli w ten sposób, bo do rana nie skończyta! Tu trza po wojskowemu! – Kucharz chwycił nóż i trzema ruchami oskalpował ziemniaka.

– W ten sposób – skrzywił się Rej – to pół bulwy idzie na śmietnik!

– No a co cię to obchodzi? Twoje, kurwa? Normy są takie, że tak trza obierać. Jeszcze nie zajarzyliśta? Jak byśta chciały się memłać jak w cywilu, to musiałyby być was dziesięciu. A tu trza zapierdalać szybko, po wojskowemu! Nie ma dziwne!

– Ciężko przyzwycząić się do takiego marnotrawstwa – powiedział Lange. – Jak bym w domu tak pyrę obrał, to by mnie żona ze skóry obdarła.

– Tu baba cię nie widzi – pocieszył Hultajek.

– A, kurwa, panowie, niech stracę! – zaofiarował pomoc Kotlet. – Jak z tym skończyta, to powiedzta mojemu kotu, on na górze siedzi, żeby wam pomógł kostkę do zupy pokrajać. Niech coś porobi, ogon jeden! Praw starego mu się zachciewa, bo fuchę w kuchni załapał! A jakby chuj chciał was gonić, to mu powiedzta, że wicek kota ścignie!

– Jaki wicek? Przecież obywa... przecież ty masz na imię Jędrek – zdziwił się Lange.

– Takich rzeczy nie wiesz?! – chórem wykrzyknęli Hultajek i Rej. – Wicek to drugi po dziadku!

W Ludowym Wojsku Polskim wśród żołnierzy służby zasadniczej (czyli zetków, szwejów, zeciorków), rządziła fala. Ponieważ podstawowe naboru odbywały się w kwietniu i październiku, fala przeskakiwała co pół roku. Żołnierz świeżo wcielony najczęściej zwany był kotem, choć sporadycznie również – szczurem, bol-

kiem, jaśkiem, janem, fujarą, psem, kitą czy ogonem. Na przeciwnym krańcu hierarchii znajdował się dziadek, czyli żołnierz mający do końca służby mniej niż pół roku. Na sto pięćdziesiąt dni przed przewidywanym terminem wylinki (zrzucenia munduru i wyjścia do cywila) żołnierz w c h o d z i ł n a f a l ę w ł a ś c i w ą. Dlaczego akurat na sto pięćdziesiąt dni? Bo tyle centymetrów liczy sobie krawiecki metr. Taki metr był starannie malowany, zdobiony wierszykami i karykaturami (prace zdobnicze wykonywały oczywiście kocury). Czasem owe metryczne fale były prawdziwymi dziełami sztuki. Niestety, nigdy nie mogły przetrwać długo – zwyczaj nakazywał odcinać po jednym centymetrze z fali wraz z każdym upływającym dniem. Na trzydzieści (choć czasem nawet na pięćdziesiąt) dni przed opuszczeniem szeregów armii dziadek zyskiwał tytuł obywatela cywila – z tą też chwilą przestawał gnębić kotów, pozostawiając trudy wychowawcze wickom, czyli wicedziadkom (powyżej roku służby). Miejsce na fali pomiędzy wickami a kotami zajmowali żołnierze mający za sobą więcej niż sześć, a mniej niż dwanaście miesięcy służby. Tych to prawie w każdej miejscowości nazywali inaczej, najczęściej jednak garbami lub góralami (bo już wspięli się lekko pod górkę szwejskiej doli). Kotów i górali określano zwykle mianem młodych, a wicków i dziadków – starych.

W niektórych jednostkach różnica w położeniu dziadka i kota była taka, jak między kapo a ostatnim więźniem obozu koncentracyjnego. Porównanie jest na pewno brutalne, ale oddaje przecież hierarchię, oddaje sytuację, w której kot nie mógł nawet krzyczeć ani płakać, a głównym przywilejem dziadka była prawo do znęcania się nad kotem. Piekło żołnierskiej fali znakomicie służyło interesom kadry zawodowej, która udawała, że o niczym nie wie, ale często i półoficjalnie na takie praktyki przyzwalała. Nie bez racji: im więcej wśród żołnierzy podziałów, tym łatwiej zwierzchnikom wygrywać jednych przeciwko drugim.

Fala istniała również wśród żołnierzy zawodowych, ale to osobny problem.

– Mówił, że jak się zbierze za dużo wody, trzeba przetkać spływ mocnym strumieniem, prawda? – upewnił się Rej. – Więc zrobmy to, zanim się potopimy.

Hultajek chwycił szlauch i wepchnął w dziurę. Lange do końca odkręcił zawór. Pozostało tylko czekać, aż woda zrobi swoje.

Rej postanowił zapalić carmena. Nie miał zapalek, więc wspiął się na parter, by odpalić od tamtejszego podoficera dyżurnego lub innego OCelota. Nim jednak kogoś znalazł, z dołu dobiegły go jakieś dziwne dźwięki, a potem przeraźliwe okrzyki kolegów.

– Rej! Ratuj! Potop mamy! – wołali Lange i Hultajek. – Niech wodę zakręca!

– Już lecę!

W wyprawie na kolację towarzyszył podchorążym podporucznik Głodówka.

– Wyżyj nuga, wyżyj, kulego! Szkuła! Bacznosc!

Daczny stanął w miejscu jak wryty. Na jego plecy wpadł Borówka.

– Kurwa, czemu się wygłupiasz, nowy?!

– Maszeruj, bałwanie – dodał Tulski.

– Przecież było *bacznosc* – usprawiedliwiał się Daczny.

I wtedy dowiedział się, że w czasie marszu komenda *bacznosc* oznacza nakaz zmiany kroku (równego lub zwykłego) na defiladowy. Wielu innym podchorążym nie mieściło się w głowach, że tak oczywistej rzeczy można nie jarzyć i denerwowała ich złośliwość jełopa, przez którego spóźnił się na kolację.

Kapral Wyjadacz, który był podoficerem dyżurnym SPR OC, poszedł razem z Rejem do kotłowni znajdującej się pod internatem garnizonowym.

Palacz, cywil koło czterdziestki, znał problem nie od dziś:

– To, cholera, dałoby się na stałe naprawić, jakbym żem miał gut kolanka i zawory. Ale to wszystko, szlag by jebał, ponemieckie i nasze wymiary nie pasują...

Jakoś jednak dał sobie radę z awarią, a nawet przepchał dziurę, przez którą woda teraz spokojnie odpłynęła. Zastrzegł przy tym, że wszystko będzie grało tylko do następnej awarii. Czyli raczej niedługo.

– A warzywa wkładajcie do wody w korycie, żeby się przepłukały. Tylko zatkajcie otwór w korycie.

– Tu nie ma żadnej zatyczki.

– Ziemniakiem albo marchewką zatkajcie. Tylko dobrze przynijcie, a woda przeciekać nie będzie.

Daczný ze zdziwieniem przyjął obowiązek oglądania Dziennika Telewizyjnego. Nie protestował jednak, gdyż był ciekaw, co wydarzyło się na seulskiej Olimpiadzie.

Po Dzienniku powrócił do pierwszego w swojej żołnierskiej karierze sprzątanía korytarza. Okazało się ono zajęciem na tyle absorbującym, że pochłonięto go do samego capstrzyku, a nawet nieco dłużej.

Ale to przecież stanowiło zaskoczenie tylko dla niego.

– Wiecie, wolę jednak ten dyżur od sprzątanía korytarza – poważnie oznajmił Rej.

– Pewnie, tu robota jak w domu! – roześmiał się Hultajek.

– To ty, Hultajek, kurwa, żaby w domu trzymasz? – śmiał się Lange.

Powoli oswajali się ze sobą. Dotychczas praktycznie nigdy ze sobą nie rozmawiali, bo nie było czasu ani okazji.

– A ty, Rej, co sądzisz o tej Olimpiadzie? – zapytał Hultajek.

– Panowie! Litości! – zachnął się Rej. – Nie mówmy sobie po nazwisku, bo strepiejemy!

– To prawda... – markotnie przytaknął Lange. – Ale tu, kurwa, wszystko ciągle po nazwisku... Staszek jestem.

– Marek.

– Jasiu.

Podali sobie ręce.

– I to cholerne *kurwa*, kurwa – westchnął Lange. – Ja wiem, że tak nie powinienem mówić, ale nie mogę się powstrzymać...

– A dawniej, przed wojskiem, też tak? – zapytał Rej.

– Coś ty, kurwa! – oburzył się Lange. – Jestem nauczycielem, dyrektorka by mnie chyba zajębała...

Pierwszy roześmiał się sam Lange. Wesoły rechot wypełnił piwniczkę.

– No sami, kurwa, widzicie. W domu to mi chyba żona gębę plastrem zaklei, żeby dziecko nie słuchało.

– A czego uczysz?

– Matematyki, kurwa...

– To i tak dobrze, że nie polskiego.

Obierali ziemniaki i rozmawiali. Ale o czym by nie zaczęli mówić, zawsze wracali do spraw związanych z wojskiem.

– To wszystko te chuje, komuniści – psioczył Hultajek. – To przez tych partyjniaków taka sytuacja.

– Panowie – zaproponował Rej – jak mamy rozmawiać o polityce, to lepiej w ogóle nic nie mówmy.

– A co? – zaśmiał się Lange. – Czujesz się obrażony jako członek ZSMP?

Rej bynajmniej się nie obraził:

– Przyganiał kocioł garnkowi. A wy niby nie?

– Panowie – przypomniał Hultajek – przecież cały pluton się zapisał. Nie było wyjścia...

– Wyjście to było, ale zachowaliśmy się jak tchórze.

– Chyba nie powiesz, że trzeba was było bardzo zachęcać? Po prostu czekaliście, żeby zebrało się większe grono. Jak wszyscy są w tym syfku, to i nikomu nie śmierdzi, bo wszyscy tak samo pachną.

– Nie ma co, wszyscy się, kurwa, przestraszyli, jak Śmiechocki powiedział, że ci, co się nie zapiszą, będą mieli zlikwidowane przepustki.

– Ja nawet tego nie słyszałem. Mnie namówił Wścieklica. Miałem chwilę słabości umysłowej i uległem argumentacji, że tylko w ten sposób można rozkładać od środka to komuchowe wojsko.

– Widziałeś się z Wścieklicą po tym jego samobójstwie? – przerwał Hultajek. – Wiesz, jak to naprawdę było?

Niestety, okazało się, że Rej prawie nic nie wiedział. Co prawda, już w poniedziałek rano, gdy w czasie zaprawy dla zwolnionych z zaprawy (a w praktyce zwolnionych tylko z niektórych ćwiczeń) dreptał wokół placu, zauważył że Wścieklica zachowuje się jak nieprzytomny. Ale nie próbował z nim rozmawiać, bo przecież boczyli się na siebie.

– Może Stularczyk powiedziałby coś więcej – zakończył Rej. – Ale ciężko go złapać, bo teraz, jak Wścieklicy nie ma, sam musi szatnię remontować i cały czas tam siedzi.

– To ty nie wiesz?! Od wypadku Wścieklicy to Chryń ze Stularczykiem robi! Nawet już po dwa dni urlopu za to im dziś wyczytali na apelu!

– To znaczy Stularczyk i Wścieklica dostali po dwa dni? Ha, ha! Robert ma ZOMZ i jednocześnie urlop dostaje!

– Nie... – rzekł z przekąsem Lange. – Stularczyk i, kurwa, Chryń...

– Ten syn trepa? – upewnił się Hultajek. – Takich u brata w Szczecinie nazywali trepsynami.

– A córki trepów?

– Trep córki albo trepiczki? – zapytał domyślnie Rej.

Rozległ się głośny rechot. W tej samej niemal chwili do piwnicy wkroczył niespodziewany gość.

Kapitan. Przez pierś przewieszona raportówka. Przy pasie kabura. Pasek pod brodą opuszczony, widać że na służbie...

– A nie za wesoło tu u was? – zapytał.

Fala śmiechu opadła.

– A nie łaska to powstać, kurcze, jak starszy stopniem wchodzi?

Lange posłusznie dźwignął się z taboretu. Lecz nie zdążył wstać – powstrzymał go Rej.

– Jak się pracuje – by podkreślić, jaka to ważna praca, Rej podniósł obranego ziemniaka do oczu i oglądał tak dokładnie, jak gdyby to był co najmniej brylant – to zgodnie z Regulaminem Służby Wewnętrznej wstawać nie trzeba.

– A to czemu się tak śmiejecie, jeśli pracujecie? – przełknął gorzką pigułkę oficer.

– Już towarzysz Lenin powiedział – podchorąży uniósł głowę i rzekł z patosem – cytuję: *z uśmiechem pracuje się lepiej!*

– A to już pracujcie, kurcze. Ale radzę wam dobrze pracować, bo efekty sprawdzę!

Wystarczyło, że kapitan odwrócił się plecami, a gruchnęła kolejna salwa śmiechu. Oficer wołał jej nie słyszeć. Szybko wyszedł.

– Poszedł już kutas czy nie? – głośno zapytał Hultajek. – Bo może trepowskim zwyczajem podsłuchuje? Pójdę sprawdzić.

– Kurwa – burknął Lange. – Nie dość, że zapierniczamy tutaj jak te małe motorki, to jeszcze skurwysyn chciałby, żeby w milczeniu... A co to, obóz koncentracyjny?!

Do piwnicy wkroczył następny umundurowany osobnik:

– Jak leci, panowie? – w roli dyżurnego stołówki podchorążakiej debiutował Król. – Wiecie, jak zmarłem na odprawie? Pogoda się zmieniła, deszcz leje jak z cebra.

– Ech... My tu mieliśmy własny potop. Widzisz, jak wyglądamy!

– Ale to nie wy staliście godzinę na deszczu! I to tylko przez złośliwość pomocnika!

Rzeczywiście, sierżant Ryłko, który przejął wieczorem służbę pomocnika oficera dyżurnego, szczególnie sumiennie sprawdził w czasie odprawy znajomość litery Regulaminu wśród żołnierzy.

– Wystąłem się ponad godzinę w deszczu! I jeszcze pół, póki było sucho! – utyskiwał Król. A jak zaczęło padać, to sierściuch sobie przyniósł pałatkę, a my tak staliśmy do figury. I jak się, bydle, cieszył, że mokniemy! A na koniec jeszcze mnie odesłał, że niby nie znam obowiązków dyżurnego stołówki żołnierskiej.

– A znasz?

– Przyczepił się, że zamiast *meldować o niedociągnięciach*, powiedziałem: *meldować o nieprawidłowościach*. Mam się niby nauczyć i przyjść do niego o dziewiątej. A potem znowu trzeba będzie tam chodzić...

– Coś ty dzisiaj taki pesymista?

– Tamci kaprale, podoficerowi dyżurni, ostrzegali...

– Z kapralami, kurwa, rozmawiałeś?! – zdziwił się Lange.

– Pewnie. I wyobraź sobie, jacy ugrzecznieni... Ale to nie od nas przecież kaprale, tylko z dywizjonów. Mówili, że Ryłko nas do północy będzie co parę minut wołał na poprawki. Ponoć z nudów zawsze się tak wygłupia...

Oczywiście Ryłko nie znał na pamięć przepisów, z których tak dokładnie egzaminował swoje ofiary – sprawdzanie cudzej pamięci ułatwiał mu otwarty na stosownej stronie Regulamin Służby Wewnętrznej Sił Zbrojnych PRL.

Tym właśnie Regulaminem wymachiwał teraz Król:

– Co ja, magnetofon jestem, żeby co do przecinka całą książkę wykuć?!

– Może czytaj, kurwa, głośno – zaproponował Lange. – To i my się poduczmy.

– Co to, to nie! – zaprotestował Rej.

– Ale ty sam znałeś Regulamin, kurwa, jak trep przyszedł! – rzekł z wyrzutem Lange.

– Bo słyszałem, jak Miller z Mucą kłócił się w palarni. Żeby rozstrzygnąć zakład, sprawdzali w regulaminach – wyjaśnił. – Ale teraz słuchać regulaminów? Nadmiar szczęścia! W ogóle, Staszku, przepraszam, że się ciebie czepiam, ale czy ty nie za bardzo się tu starasz? Do odpowiedzi się zgłaszasz, maszerujesz, jak chcą, piosenki śpiewasz, gdy każą...

– Tobie to łatwo, kurwa, tak mówić. A ja muszę jechać do żony i dzieciaka.

– Na urlop rodzinny i tak muszą cię puścić!

– Niby tak, ale wiesz, jak z nimi jest.

– Słuchaj, Zbyszek – praktyczny Hultajek zwrócił się do Króla.

– Może byś nam coś pomógł?

– Nie mogę tego łacha pobrudzić – Król miał na myśli mundur wyjściowy. – Co najwyżej cebulą mogę się zająć.

Po chwili dzielnie popłakiwał, dobierając się do szczypiącego oczy warzywa. Przez łzy zerkał na artykuł 228 mówiący o prawach i obowiązkach dyżurnego stołówki żołnierskiej.

– Mam nadzieję, że mnie ten sierściuch pierdolony nie zagryzie, jak zaraz do niego pójde – westchnął Król, sięgając po czapkę.

– Co za pojeb! Telewizor jeden, cholera!

– Jak będziesz wychodził, zajrzyj przy okazji do kuchni. Młody kucharz miał nam pomóc pokroić ziemniaki w kostkę.

Okazało się jednak, że kucharz-kot zaszył się gdzieś równie skutecznie, jak kucharz-wicek. Do sporządzenia kostki przystąpił zatem Rej.

– Ty to raczej robisz kości, nie kostki!

– Po wojskowemu, kurwa mać! – odparował zarzut Rej. – Tego ma być całe wiadro! Ja tej zupy jadł nie będę!

– Co, ty też zacząłeś kłąć? – zdziwił się Lange.

– Niech będzie słychać, kurwa, że i ja się czegoś w tym wojsku nauczyłem!

– Nie przesadzaj – zaśmiał się Hultajek. – Przecież jeszcze potrafisz sprzątać w nieskończoność korytarz i wiesz, że na cyngiel mówi się: *język spustowy*...

– O broni, to niczego – zaprotestował Rej. – Nawet gdybym chciał, nie mogę. Raz naprawdę próbowałem. Ale okazuje się, że za bardzo dokładnie udało mi się zaimpregnować na wojskową wiedzę, i nic z tego.

– A *Czterech pancernych i psa* nie lubiłeś?

– Tylko w przedszkolu. Później to brzydziłem się korkowca do tknąć. Zawsze wolałem książki niż bieganie z garnkiem na głowie i kapiszonowcem.

– Nie powiesz chyba, że w przedszkolu czytałeś książki? – sarknął Hultajek.

– Najpierw oglądałem obrazki, a jak miałem pięć lat, to już całkiem nieźle czytałem. Pamiętam, że jak poszedłem do podstawówki, to mnie jeden chłopaczek pobił, bo mówiłem, że czytam bez poruszania wargami, a on uznał, że to niemożliwe, bo zawsze trzeba szeptać to, co się czyta.

– Rzeczywiście. U mnie też, kurwa, wiele dzieci fatalnie czyta. Uczę od piątej do ósmej klasy, a nawet najstarsi często sylabizują. Ja na szczęście niewiele mam do tego. Ale co mają zrobić poloniści? Przyjdzie prikaz z góry, że nikogo na drugi rok zostawić nie można...

– To szczególnie od czasu, jak trepy pojawiły się w szkolnictwie. Znam miejscowość, gdzie zaraz po wprowadzeniu stanu wojennego przysłali, jak do każdej gminy czy miasta, takiego wojskowego doradcę czy raczej nadzorcę, jak to się tam wtedy nazywało...

– Terenowy komisarz wojskowy chyba – podpowiedział Hultajek.

– Może... Tak czy owak, działał w imieniu WRONY. Wszędzie nos wtykał, ale na szczęście trwało to krótko. Doczepił się, że w gminie marnowane są podręczniki, i to z polecenia nauczycieli i inspektora oświaty. Wiecie, o co chodziło?

– Że po książkach dzieci mazały? – domyślił się Hultajek.

– Niezupełnie. Rzecz w tym, że mazały w zeszytach ćwiczeniowych do geografii, które z założenia przeznaczone są do kolorowania i wpisywania uzupełnień w teksty. Pan major rozpętał aferę i nikt mu niczego nie mógł przetłumaczyć. On oczywiście wiedział wszystko lepiej. Opieprzył nawet inspektora oświaty. Na swoje szczęście inspektor miał lepsze plecy i przenieśli nie jego, ale majora.

– I co, degradację mu może jeszcze dopieprzyli?

– W jakim ty kraju żyjesz? Przenieśli go do innego województwa i awansowali na podpułkownika. Swoich ludzi trzeba przecież bronić! Nie znacie tego? *Mierny, ale Partii wierny!* I tak trep podobno czuł się strasznie skrzywdzony, że wykrył tak poważne marnotrawstwo, a nikogo za to nie wsadzili. A na jego miejsce skierowali kapitana, który interesował się tylko wódą i przynajmniej nikomu nie przeszkadzał w pracy.

– I co dalej?

– Nic. Ale przynajmniej w tym miasteczku nikt nikomu nie wmówi, że trepy na czymś poza wódką się znają, bo pan major zdążył wprowadzić kilka innowacji – wyjaśnił Rej. – Był tam też na przykład browar, robili piwa niewiele, ale bardzo dobre, głównie na eksport. Urządzenia jeszcze z początku wieku. Wiecie, żeby piwo było dobre, to ważny jest osad w kadziach, w rurach... A pan major po obejrzeniu browaru postanowił doprowadzić rejony do wzorowej czystości i kazał osad zewsząd usunąć. Najpierw ludzie tylko

udali, że to zrobili, więc zagroził im więzieniem za sabotowanie jego rozkazów. To i w końcu usunęli te *brudy*.

– No i skończyło się dobre piwko?

– Jasne! Ale pozytywnie ten, że nikt tam się już na wojskowe mity nie nabierze... *Dyscyplina i porządek*, ha, ha...

– Nigdzie wojska nie lubią, szczególnie w miastach. Ale jednak ciągle szczeniaki, przeważnie ze wsi, idą do szkół wojskowych...

– Co ty mówisz! Wielu starych ludzi nawet po stanie wojennym uparcie wierzy w mundur. A i młodzi głupcy też zawsze się znajdują. Zresztą idą przede wszystkim dla pieniędzy, dla mieszkań, bo dostaną je już po trzech latach, a czasem kilku miesiącach, i przede wszystkim dla wlaaaadzy.

Rej przerwał krojenie kostki.

– Niby człowiek rozpytuje każdego, co go w armii czeka, i wydaje mu się, że jest niezłe zorientowany, a tu co i rusz wyłazi coś nowego. Może nawet ktoś już o tym opowiadał, a ty nie zwróciłeś uwagi i dopiero na własnej skórze przekonujesz się, jak jest naprawdę. Mnie to najbardziej wkurzają te bezsensowne zajęcia teoretyczne i to, że nie mogą oglądać Olimpiady.

– Mamciorek, ten kutas, zamyka się w świetlicy i nikogo z naszych nie wpuszcza.

– Nikogo? – powątpiewał Hultajek. – Tarkowski i Maroń zawsze jakoś wejdą...

– Te chuje – wyjaśnił Lange – to donoszą na nas wszystkich trepom, więc nawet Mamciorek ma na nich wzgląd.

– Jak wszedłem niebacznie przedwczoraj do świetlicy, to mi Mamciorek kibel kazał sprzątać. Była akurat przerwa, ale ja mu przeszkodziłem w oglądaniu, bo drzwi skrzypnęły! Jeszcze od kotów mnie wyzwał, jak gdyby fala dotyczyła też bażantów!

– Panowie, już niewiele tych pyr nam zostało. Zmieńmy, kurwa, temat – zaproponował Lange – żeby przed snem chociaż raz o wojsku nie mówić.

– To o czym?

– Najlepiej o duchach!

Gdy mistrzowie kuchni wrócili do SPR Artylerii, ze świetlicy dochodziły odgłosy transmisji obserwowanej przez Mamciorka, Millera, Zabawę i kilkunastu innych bażantów-praktykantów.

Przez nikogo nie niepokojeni, umyli się. Śmierdzące stroje kuchenne cisnęli obok łóżek (byle jak najdalej nosów!) i zapadli w sen. Wcześniej wskazali dyżurnym – Maroniowi i Patkowi – swoje wozy. Dyżurni mieli ich zbudzić, bez hałasu, przed czwartą.

Na drużynie

Przedwczesna pobudka popchnęła ich w objęcia nowego dnia. Wozy posłali niedbale: raz, że nie chcieli przeszkadzać śpiącym kolegom, dwa, że ewentualne piloty niczym nie mogły im zagrozić.

Na dworze nie było widać świata. Pojawił się za to pierwszy jesienny śnieg.

Wyszli z budynku. Zimno... Śmierdzące i lepkie od brudu be-rety nacisnęły na uszy. Wiatr chłastał twarze drobnym śniegiem. Poszli do stołówki żołnierskiej, odebrać sześć baniek mleka, które mieli przewieźć wózkiem do stołówki podchorążackiej. Okazało się jednak, że mleka jeszcze nie ma. Ale w chwilę później wyszło na jaw, że wręcz przeciwnie – już się gotowało, bo tutejsza drużyna rozlała dwie bańki i, żeby to ukryć, uzupełniła kotły dobrem SPR.

Sprawę wyjaśnił kucharz Kabała, podgotowane mleko przelano z powrotem do baniek, a brak we własnych kotłach uzupełniono – jak zwykle – wodą z kranu; mleczko będzie trochę chlorowane, ale tak jest właściwie zawsze, więc nikt nie zauważy różnicy.

Teraz bańki na wózek. Trzeba było zrobić dwa kursy, bo na raz dało się załadować tylko trzy pojemniki. Hultajek wystąpił w roli wołu pociągowego, a Lange i Rej pchali wózek z tyłu.

Po prawej minęli sztab brygady, izbę chorych, potem dyżurkę oficera inspekcyjnego. Zakręcił w prawo, za nim wreszcie szlaban i brama. Wartownik ziewnął, oczywiście niczego nie sprawdzając, ale szlabanu nie podniósł. Nie chciało mu się – wolałby, by przeszli furtką. Nie chcieli, żeby bańki pospadały z wózka przy wjeździe na wysoki krawężnik. Wartownik, mnąc w ustach wiązanek popularnych wyrazów na „k” oraz „p”, zrobił wreszcie wszystko, co do niego należało.

Przeszli przez pustą ulicę. Potem wiecznie rozwarta brama podkoszar SPR OC.

Kucharz-kot już czekał. Wnieśli mleko do kuchni. Wlali do kotłów. Zabrali puste kany i wrócili po drugą porcję.

A tu niespodzianka! Przed stołówką żołnierską powitało ich białe bajorko. Ktoś wylał ich mleko, żeby i bażanci skosztowali zupki mlecznej na wodzie.

Kucharz Kotlet nie był zdziwiony katastrofą. Poleciał dolać wody. Kuchcikowie zaproponowali, żeby jednak zrobić zupy mniej, ale za to dobrej. Ale oberkucharz wytłumaczył im, że to niemożliwe, bo gdyby ubytek zauważył oficer dyżurny (który tu jada kontrolne posiłki), mógłby kucharza włączyć do *baszty* za kradzież lub marnotrawstwo. A tak, z wodą, jak się zupę dobrze przypali, nikt nie pozna, ile jest w niej mleka.

Rej kroił chleb na maszynie elektrycznej, Lange pomagał kucharzom przy kotłach, a Hultajek rozstawiał w jadalni kubki.

Szum na korytarzu. Idą głodomory!

Przy szynkwasiu ustawiła się kolejka. Kucharz nalewał zupę, Król nieporadnie nakładał na płaskie talerze po łyżce dżemu i ko-

steczce twardej margaryny. Żołnierze usiedli, wielu przeżykało tylko łyżkę ohydnej cieczy, czasem zjadło deko wyłowionego z niej ryżu. On jak gdyby był mniej przypalony, za to twardy jak skała.

Artyleria wyszła, do jadalni wbiegła pierwsza tura SPR OC. Teraz dopiero zacznie się gorąca pora dla drużynki!

Minęła ósma. Podchorążowie zostali w tzw. strojach roboczych. Błękitny kolor ich ubrań już dawno został wyparty przez barwę nieokreśloną, na którą zapracowały kilogramy pomoy i soku z obieranych warzyw. Dlatego ciągle nie mogli przywyknąć do wydzielanego odorku i chętniej pracowaliby w polówkach. Kierowniczka, słysząc taką propozycję, oburzyła się. Jak można samowolnie zmieniać mundur! Do pracy tutaj jest przecież *ubranko robocze!* Tylko i wyłącznie. Ma być jak w rozkazie!

Dwudziestopięcio- i pięćdziesięciolitrowe kotły myli szczotkami ryżowymi i ciepłą wodą. Gorąca woda w termie już się skończyła, ale zostało jeszcze trochę w dwustulitrowym kotle ciśnieniowym.

Teraz posadzka: należało posypać ją proszkiem, skropić wodą, szorować laserami. W tym mieli wprawę – korytarz SPR się kłania! Potem wzięli się za wiadra: bluzgali wodą o ściany, spłukiwali resztki proszku i brudów. To było łatwe dzięki konstrukcji podłogi: betonowa posadzka lekko zapadała się ku środkowi pomieszczenia, gdzie znajdował się otwór odpływowy.

Do drugiego śniadania zostało jeszcze półtorej godziny, ale postanowili w spokoju przygotować szańce stołówki na atak głodomorów. To przypomniało im, że sami nie mieli jeszcze niczego w ustach. Nie ma jednak tego złego, co by na dobre nie wyszło. Zamiast przypalonej zupki, spałaszowali przygotowane na drugie śniadanie jajka na twardo i mogli sobie wybrać najchudszy boczek, a musztardy nabrać do woli. Mocna, p r a w d z i w a herbata,

a nie te *siki świętej Weroniki*, przyrządzane wedle receptury: dwa dekagramy herbaty gruzińskiej na pięćdziesiąt litrów wody.

Przegryzając kromki, ustawiali na stołach kubki i solniczki, były nawet cukierniczki. Te ostatnie wywalczyli podczas spotkania z lekarzem jednostki. Dzięki temu, jeśli była herbata – co jednak zdarzało się rzadko – każdy słodził tyle, ile chciał, a wielu wcale. Z kawą już tak dobrze nie było. Musiała być słodzona w kuchni. Dlaczego? Wyjaśniono, że po prostu tak być musi, i tyle. Zadowoleni z triumfu przynajmniej w potyczce herbacianej (w końcu od podobnego sukcesu rozpoczęła się wojna o niepodległość Stanów Zjednoczonych), nie poszli za ciosem i skapitulowali w boju o kawę zbożową.

Wynieśli z piwnicy pomyje. Cholerna robota, bo beczki miały pourywane trzymadła i właściwie nie było jak ich złapać. Lange i Rej z trudem wciągnęli na przyczepę dwie pierwsze. Z największą, trzecią, poszło gorzej. Wymknęła im się z dłoni i kilkadziesiąt litrów pomyj wylało się na podtrzymującego ją od dołu Hultajka.

– W końcu lepsza kąpiel w świeżych pomyjach niż żadna – Hultajek ze spokojem godnym syna rolnika począł strząsać ze stroju resztki jedzenia. – Gdyby tak jeszcze można było wziąć prysznic...

Koledzy zaproponowali, że co najwyżej mogą na niego wylać ostatnią beczkę.

Wrócili do kuchni i pod nieobecność kierowniczkę obmyli Hultajka w ubraniu (nie chciał się rozebrać) szlauchem na środku kuchni.

Potem ustawili na co drugim stoliku półlitrowe słoiki z prawdziwym miodem. Ten miód również był efektem spotkania z kapitanem-lekarzem. Prawie dziesięć litrów na dwieście osób. Trochę to co prawda bez sensu, bo na drugie śniadanie było jeszcze jajko i boczek, ale lepiej przecież grymasić na nadmiar niż na braki.

Kwadrans po dziesiątej. Za chwilę przyjdą artylerzyści. Wypadało ustawić na stołach dzbanki z herbatą. Nieco przestygnie, to i pić będzie łatwiej. Hultajek zaproponował, by napluć do dzbanków stojących przy stolikach kadry SPR. Lange i Rej uznali takie zachowanie za prymitywizm. Ale zaprotestowali bez zdecydowania, więc Hultajek wcielił swój zamysł w życie. Ledwie skończył, dał się słyszeć szum na schodach. Pospiesznie więc nalał herbaty do kubków – niech się kadra cieszy, że tak o nich zadbano! Przeskoczył przez kontuar do kuchni, gdzie czekali koledzy.

W kuchni upał, ponad trzydzieści stopni Celsjusza. Król kipiał potem – nie dość, że miał na sobie ciężki mundur wyjściowy, to jeszcze na domiar złego upchano go w przyciasny i brudny fartuch kucharski. Do tego czapka (z paskiem pod brodę, cholera...), której nie można zdjąć, bo zaraz kaprale i praktykanci darliby mordy.

Podoficer dyżurny, plutonowy podchorąży Synek, stanął przy ladzie. Zdjął czapkę – jemu wolno, bo nie widzi tego nikt z jego przełożonych.

– O, ten kawałek boczku dla mnie zostaw! – przechylił się przez kontuar i zaczął grzebać między ułożonymi na tacy porcjami.

– Podchorąży Rej, kurwa! – wrzasnął kapral podchorąży Mamciorek na kuchcika podającego właśnie kucharzowi talerze. – Co się lenicie?! Tutaj przyjdźcie porządku pilnować! Zawsze któryś z was powinien stać z tej strony. Ruchy, ruchy!

Nie wypadało teraz przechodzić przez kontuar, nie było zresztą jak, bo był zastawiony talerzami, więc Rej wyszedł z kuchni. Na korytarzu chwila przyjemnego chłodu i po kilku krokach był już w jadalni. Po drodze zastanawiał się: czyżbym miał być kolejnym po Wścieklicy *ulubieńcem* Mamciorka?

– Kurwa, podajcie świeży chleb! – zażądał Mamciorek. – Co się lenicie?! Ten jest czerstwy!

Chleb – choćby i dopiero co pokrojony – musiał być czerstwy. Regulamin nakazywał, aby przed spożyciem przynajmniej przez

dwa dni leżał w magazynku żywnościowym (miało to niby zapewnić rytmiczność zaopatrzenia). Czasem doświadczeni kucharze tego nie przestrzegali i wydawali świeży. Ale taki bochenek trafił się głównie im i drużynie. Tym razem wygospodarowano kilka kromek również dla Mamciorka.

No i teraz kapral podchorąży żarł świeży chleb z miodem i masłem, popijając herbatą. Trochę okruszyn przylepiło mu się do sumiastych wąsów. Patrząc na wraźną mordę, Rej pożałował, że nie przystał na propozycję Hultajka.

– A co tam podchorąży robi? – W drzwiach kuchni pojawiła się kierowniczką. I oczywiście z miejsca przypomniała, kto tu rządzi: – Natychmiast niech na kuchnię obywatel wraca! Tutaj jest na drużynie potrzebny! Wykonać!

Zwolniony z funkcji kelnera Rej musiał się jej teraz tłumaczyć, czemu polazł do jadalni. Wysoka i tłusta kobieta strasznie się zdenerwowała, na twarz wystąpiły jej czerwone plamy. Może dlatego, że – choć wyglądała na zaawansowaną czterdziestkę – była w ciąży? A ten sobie polazł na jadalnię! Niechby ktoś się doczepił, że pracuje przy jedzeniu w tak usmotruchanym stroju!

Dryyyyyy! W gabinecie kierowniczką zadzwonił telefon. Tęga kobieta pędem ruszyła ku niemu i zatrasnęła za sobą drzwi.

– Rej, wracać tu natychmiast! – wrzasnął Mamciorek. – Wykonać! To rozkaz!

Podchorąży opuścił kuchnię. Ale tylko po to, by zapukać do kancelarii kierowniczką. Zdążył się już nauczyć, że w wojsku od czasu do czasu nie zawadzi mały donosik...

Kierowniczką urządziła awanturę Mamciorkowi, a na koniec obiecała przedzwonić w sprawie jego wymagań do komendanta SPR Artylerii. Obecni na sali przyjaciele i znajomi kaprala podchorążego nie potrafili ukryć radości. Każda afera, w której się uczestniczy z bezpiecznej odległości, jest przecież przyjemnym urozmaiceniem jałowego życia koszar.

Wściekły na cały świat Mamciorek zrejterował z sali. Podchorążowie pożegnali go gwizdami, tudzież waleniem łyżkami w stoły. Muca chciał interweniować, ale powstrzymał go plutonowy podchorąży Zabawa.

Po drugim śniadaniu wreszcie spokój. Do zmywania zostały tylko kubki, sztućce i płytkie talerze. Zlewki do wyniesienia też niewiele. Teraz najwięcej pracy mieli obaj kucharze. Gotowali zupę i gulasz oraz kompot ze zgniłych (to też zasługa przepisów o rytmiczności dostaw) jabłek.

– Co, ten miód mam wylać dla świń?! – Lange sądził, że się przesłyszał. – Przecież on jest nietknięty!

– Słyszysz przecie podchorąży, co żem rozkazała! – pouczyła kierowniczką. Nie zgodziła się na pozostawienie miodu chociaż do kolacji, na którą w jadłospisie zaplanowano chleb z żółtym serem. Stwierdziła, że przepisy nie pozwalają przechowywać w kuchni rozhermetyzowanych słoików. Zawartość otwartego słoja trzeba natychmiast albo zjeść, albo wyrzucić.

– To przecież miód!

Miód nie miód, ale słoik choć pełny, to przecież otwarty. Niechby to pułkownik Wierzbą zobaczył! Kierowniczką musiała rozliczyć się ze słoików i tylko to było dla niej istotne. Zastanawiała się co prawda przez moment, czy nie warto za-

„Sprawę wyjaśnił kucharz Kabała, podgotowane mleko przelano z powrotem do banierek, a brak we własnych kotłach uzupełniono – jak zwykle – wodą z kranu; mleczko będzie trochę chlorowane, ale tak jest właściwie zawsze, więc nikt nie zauważy różnicy. Jak się zupę dobrze przypali, nikt nie pozna, ile ocalało w niej mleka”.

brać trochę miodu do domu. Nie miało to jednak sensu, bo i tak zgromadziła w prywatnej spiżarni pokaźne zapasy czystych i nieotwieranych słoiczków, pobranych bezpośrednio z magazynu żywnościowego brygady. Mąż to załatwił (major Zientara był jednym z zastępców kwatermistrza brygady). Skombinował też protokół stwierdzający komisyjne zniszczenie tego, co zabrał do domu. Nie było więc sensu brać czegoś, czego i tak jest pod dostatkiem. Lepiej wyrzucić, żeby uczynić zadość przepisom.

Około pierwszej spotkała kuchcików niespodzianka. W kuchni zjawiała się starsza kobieta, która okazała się pracującą tu na pół etatu pomywaczką. Zmywanie talerzy po obiedzie poszło więc gładko. A że na dodatek jeszcze przed trzecią ulotniła się kierowniczką, popołudnie zapowiadało się całkiem przyjemnie. Kucharze odpuścili im poobiednie mycie podłogi. Wystarczyło ją potoknąć. Miała zostać dokładnie wyszorowana dopiero po kolacji.

Hultajek i Lange zestawili stoły w jadalni i położyli się na nich spać. Tak samo postąpił Król. Rej wyciągnął zza pazuchy papierosa i przeglądał gazety. Nie potrafił spać w dzień. Ale czytanie też mu nie szło – zupełnie nie potrafił się skoncentrować, nie docierały do niego najprostsze informacje. Zniechęcony, w końcu odłożył gazety i zapalił kolejnego papierosa.

– Co, Marek, obijasz się?

Niczym z nieba spadł mu Tadek Malec, kolega z UJ, teraz podchorąży OC.

Plotkowali głównie o kolegach ze studiów w Krakowie. Okazało się, że prawie połowa wyjechała za granicę i najprawdopodobniej nie wróci już do Polski.

– Panowie – przerwał im kucharz. – Pomóżcie mi postawić te kotły na gaz.

No tak, trzeba przygotować kawę na kolację.

– Pokaż, jaką kawę zbożową dziś robisz? Turka czy tę w szarym papierze? – poprosił Malec.

Kucharz trochę się opierał. Twierdził, że kierowniczką zakazała mu kogokolwiek dopuszczać do kawy, ale w końcu ujawnił bażantom tę istotną tajemnicę służbową LWP. Malec otrzymał kilogramową szarą torebkę, opatrzoną etykietą: *Kawa zbożowa słodzona*.

– Zobacz, Marku. Na etykiecie tylko trzy słowa, nic więcej. Ani producenta, ani daty produkcji, ani polskiej normy. To ta cholerna trucizna z bromem. Kucharzu, często taką kawę dajecie?

– Te to każą dwa razy w tygodniu, a poza tym Kujawianka albo Turek leci.

– Turka sami słodzicie?

– Tak kazali. Kierowniczką pilnuje.

– Marku – skrzywił się OCelot – powiedz chłopakom u siebie, żeby tego świństwa nie pili. Sprawdziliśmy, co to za trucizna.

– Jakim cudem?

– Jest tu u nas kolega po chemii, którego ojciec ma aptekę w pobliskim miasteczku. Zabrał próbkę tego syfu i przeanalizował. Wykrył brom. Dużo bromu.

– Czyli lekarz kłamał?

– Dziwi cię to?

Rej roześmiał się. Mimo wszystko najbardziej oburzało go marnotrawstwo miodu. Kawy zbożowej i tak nie pijał, zwłaszcza słodzonej. Ale nie omieszkał, gdy przyszła pora kolacji, przejść między kolegami, by szepnąć im kilka słówek.

– Dzisiaj kawusia-bromusia. Powiedz innym.

– Skąd wiesz?

– OCeloty sprawdzili.

Kawę pili więc głównie praktykanci i kapral Muca. Zawierała ona nie tylko brom. Hultajek, Rej i Lange doprawili ją śliną, przygotowując kubki na stoliku kadry. Byli tylko trochę źli, że Mamcio-

rek zmienił miejsce przy stole i specjalna, przeznaczona dla niego dubeltowa porcja przypadła najmniej szkodliwemu Millerowi.

– Cóż, mógł nie podsiadać Mamciorka – pocieszył się Lange.

Kucharze poszli odpocząć do swej kanciapy. Jedzenie wydawali Król i Hultajek. Rej i Lange leniwie zmywali naczynia. Niewiele tego, tylko płytkie talerze, kubki, widelce i noże. Za to ogromne ilości kawy wylądowały w pojemniku na pomyje. Jedynie nieliczni wypili trochę tego płynu – cóż, coś pić trzeba, a wyboru przecież nie było. Ogórko ukuł nawet na poczekaniu teorię, że to znakomicie, iż kawa jest z bromem: łatwiej znosić tę wojskową chujozę, bo po bromie człowiek się robi spokojniejszy.

Przed wpół do ósmej z jadalni wymiotło ostatniego OCelota. Choć stosunki w SPR OC były znacznie liberalniejsze niż w SPR Artylerii, jednak i tam Dziennik Telewizyjny był ważkim elementem Porządku Dnia, przed którym każdy musiał pochylić czoła.

Teraz wyszorować podłogę w kuchni – to robota dla Reja i Hultajka. Lange zaś miał posprzątać jadalnię, bo to praca dla jednego. Potem cała trójka zajęła się kancelarią kierowniczką i niewielkim korytarzykiem przykuchennym.

Kwadrans po ósmej pożegnali się z Kotletem. Kucharz żalił się, że wolałby pracować w stołówce żołnierskiej, bo w podchorążackiej nazbyt uważnie trzeba gotować.

– Wy, bażanty, to rozpieszczone jesteście. Boczuś za tłusty, herbata syfiasta, kurwa, kotlecik zimny... A tam, to się koty o suchy chleb proszą. Za dobrze wam, cholera... I jeszcze dodatki żywnościowe mata!

– Uczyć się trzeba było, uczyć – przygadał Rej – to mieliby jak my. Choć przecież u nas też kiepsko...

– A co wy mata?! Luz, kurwa, jak ostatnia cholera!

– Co ty! – oburzył się Lange. – Nasza szkółka jest przejebana. Choćby kaprale...

– Zobaczycie po przysiędze – pocieszył kucharz. – Wtedy zacznieta ich ustawiać.

To samo mówił im brygadowy szewc, staruszek, który już teraz z co niektórymi robił tajemne interesy, i wielu elewów miewających zajęcia w budynku SPR. Ale czy to można w takie opowieści wierzyć? Ostatnio rzeczywiście sytuacja się poprawiła, zdecydowanie ubyło wrzasków. Niektórzy, jak Ogórko i Rej, uważali że był to efekt starań kadry o wyciszenie afery Wścieklicy. Byli i tacy, jak Olszewski czy Nodryś, którzy sądzili, że przyczyna tkwi raczej w zbliżającym się pierwszym strzelaniu.

Tak czy owak, droga do wymarzonego świętego spokoju wydawała się ciągle daleka i wybojów pełna.

Dyżurny stołówki podchorążackiej, Król, musiał oddać klucze do kuchni oficerowi dyżurnemu, co wiązało się oczywiście z małymi perypetiami, natury nie tylko meldunkowej. Natomiast Hultajek, Lange i Rej mogli spokojnie wrócić do SPR, oddać do szatni prześmierdnięte ubranka robocze i umyć się bez tłoku, gdyż wszyscy inni wciąż pracowicie sprząтали rejony.

W umywalni zastali Borówkę, który z wysiłkiem wyżywał ścierekę. Korytarzowiec nie omieszkał zapytać, jak wyglądał – będący dlań jeszcze *terra incognita* – dyżur w kuchni.

– W porządku, nikt na ciebie nie wydziera mordy, wiesz, co masz robić i dlaczego – odparł Rej.

– Czasem możesz się nawet wykapać, tak jak Jasiu – dodał Lange, mając na myśli kubek pomyj, który przypadkiem wylał się na głowę Hultajka.

– To tam jest prysznic? – ucieszył się Borówka.

– I to jaki! – Hultajek zrobił tajemniczą minę. – Ale czemu tutaj nie ma teraz ciepłej wody?

– No... do korytarza była potrzebna – wyjaśnił Borówka.

– Kurwa, i dlatego, że tobie nie chciało się zimnej wody dotknąć, to my się z tego gnoju obmyć nie możemy?!

– Ale to nie tylko ja – usprawiedliwiał się Borówka. – Jak ja przyszedłem, już prawie zimna była...

Tak czy owak, lepsza zimna niż żadna. Grunt, że przynajmniej mydło było.

Kuchcikowie zawędrowali do wozów, podobnie jak Patek i Maroń, którzy zdali dyżur w SPR. Pozostali podchorążowie poszli na apel. Z jednym wyjątkiem: Król krążył między kuchnią a dyżurką oficera inspekcyjnego. Sierżant Ryłko, choć zdał już własną służbę, został godzinę dłużej. Postanowił zmusić Króla do wykucia na blachę obowiązków dyżurnego stołówki żołnierskiej oraz wzorcowego jadłospisu kuchni polowej na cały tydzień (łącznie z gramaturą posiłków). Biedny bażant nie wiedział, że zawdzięcza te szykany temu, iż jako dyżurny stołówki nie przyniósł Telewizorowi kilograma mięsa, który to podarek stanowił zwyczajowy przywilej każdego prawie pomocnika oficera dyżurnego w JW 1281. Ale o tym dowiedział się dopiero po kilku dniach. Wyciągnął stosowne wnioski i następną służbę zakończył naprawdę szybko – ku zadowoleniu swojemu oraz pomocnika oficera dyżurnego.

Safari, czyli polowanie na słonie

W piątek Daczny zbudził się razem z innymi, dokładnie o piątej trzydziści. Jakoś przetrwał zaprawę, poranne pseudomycie i śłanie wozów. Ze snu otrząsnął się właściwie dopiero w drodze na śniadanie. Maszerującą kolumnę zatrzymał oficer dyżurny, bo nie spodobała mu się pogwizdywana przez bażantów melodia *Most na rzecę*

Kwai. Za miłość do starego przeboju musieli zapłacić kilkuminutową musztrą, którą przeprowadził pomocnik oficera dyżurnego, młodszy chorąży Greczko.

Gdy więc, pomlaskując przypaloną kaszką, Rej zaproponował Dacznemu wycieczkę do lekarza, ten był już prawie przytomny. Jeszcze bardziej oprzytomniał, gdy usłyszał, że tego dnia ma się odbyć pierwsze strzelanie. Nie zrobiła jednak na nim wrażenia informacja, że kto nie wystrzela normy, będzie musiał potrenować pełzanie w słoniach.

– Nie wiesz, co to słonie? – zdziwił się Rej. – Maski przeciwgazowe i to całe gumowe ubranko. Dzisiaj znowu zapowiada się ciepłko, po śniegu ani śladu... A jak to tałatajstwo założysz, od razu spływasz potem. Choć to i tak lepsze od błota. Jak jest błoto, to każą podobno zakładać tylko maski, żebyś się lepiej w kałużach wytałał.

Daczny uświadomił sobie grozę sytuacji. Poprzedniego dnia co prawda został wysłany przez kapitana Piontka do lekarza, gdzie sobie załatwił parę zwolnień, ale o strzelaniu akurat nie pomyślał...

Dodatkową zaletą kolejnej wizyty u lekarza była nieobecność na porannym apelu. Zapisali się więc w czerwonej Książce wyjść do lekarza, przechowywanej pieczętowanej w szufladzie biurka podoficera dyżurnego. Nie mogli oczywiście do izby chorych pójść sami – przed przysięgą żołnierzom nie wolno było poruszać się po koszarach pojedynczo. Wyruszyli zatem zwartą, trzyosobową grupą, prowadzoną przez dyżurnego SPR, Nawrockiego. Nie szli oczywiście najkrótszą drogą, lecz wokół placu musztry.

Porucznik-lekarz Grywoda nie robił okularnikom trudności. Uzyskali upragnione zwolnienia ze strzelania. Ale ponieśli klęskę w starciu z porucznikiem Śmiechockim.

– Co wy mi tu pierdolicie! Stawać do szeregu i sprzęt, kurwa mać, zakładać, obywatel! Zero wykrętów! Inni też okulary noszą!

Ja sam przeciwstoleczne założyłem! – na dowód prawdziwości swych słów, wyciągnął z kieszeni moro okulary bez jednej szybki (zamierzał je w stosownej chwili podarować Głodówce).

Nawlekli ładownice na parciane pasy.

Gdy Daczny i Rej gościli u lekarza, koledzy znieśli im broń i ładownice, maski przeciwgazowe i stroje ochronne OP-1 oraz torby polowe. Widocznie problem podpisów, potwierdzających w odpowiedniej rubryce pobranie kbkAK MS cal. 7.62 mm, rozwiązano bez udziału nieobecnych żołnierzy. Po wojskowemu!

– Zwyyyky krook! – zakomenderował kapral Muca.

Kapitan Piontek, podporucznik Siwak i porucznik Śmiechoc-ki pojechali na strzelnicę samochodem. Nadzór nad przemarszem zlecieli podoficerom i podporucznikowi Głodówce (bo to on był najmłodszy oficerską falą).

– Od czuuuła... śpiiiw!

Tomala, który znowu był kierunkowym, podał sygnał:

– Raz, dwa, trzy... Ra-du-je się ser-ce, ra-du-je się du-sza, gdy nasz SPR na cwi-cze-nia ru-sza...

Początkowo śpiewali niemal wszyscy, bo wielu bawił udział w chórze, który niczym przedszkolaki skandował pieśń. Wkrótce jednak znudziło ich to. Zaczęli szeptać z sąsiadami, lekce sobie ważąc integracyjną funkcję wojskowych marszy. Śpiew jest przecie bardzo istotnym elementem szkolenia, bo żołnierz, który śpiewa, nie może rozmawiać o sprawach szkodzących dobremu imieniu LWP.

*Nasze epoety to nie są gadżety,
Bo my są SPR, ludowy SPR!
Każda dzisiaj panna
Za nami poleci, hej ludowy SPR!*

– Skąd wzięliście taki idiotyczny tekst? – zapytał Daczny.

– Nie wiesz? To napisał ten kretyn, Mamciora – uśmiechnął się Rej.

– Cóż... – westchnął Daczny. – Tekst na poziomie autora. To już chyba nawet wykonanie lepsze...

– Nie gadać w szyku! – pouczył idący z boku Mamciorek. – Śpiewać! I wesoło! Na pogrzeb idziecie?

Widocznie lubił rozkoszować się brzmieniem własnej poezji.

*Gdzie może być śliczniej
Gdzie może być ładniej
Niż na warcie nocą
Kiedy deszczyk spadnie!*

– Głośniej tyro, kuledzy – polecił Głodówka – zbliżali się do domostwa pułkownika Czachórskiego. Żona dowódcy JW 1281 siedziała na ganku i wypadało zrobić na niej dobre wrażenie.

Na czele dumnie kroczył Maroń. Broń przewiesił przez plecy, co jest przywilejem i obowiązkiem prowadzącego kolumnę. Pozostali musieli przewiesić karabiny przez pierś, więc szło im się znacznie mniej wygodnie.

*SPR idzie na ćwiczenia,
Chcemy nabrać doświadczenia!
By później na bój, na bój!
Za Partię i Ojczyznę – w bój!*

Strzelnicę dzieliły od koszar jakieś trzy kilometry. Minęli ostatnie domki, potem pomnik ku czci *Bojowników o Polskę Ludową 1944-1948*. Teraz szosa wiodła przez pociągnięty pędzlem wczesnej jesieni las. Ten dziwny urok kolorowych plamek liści... Jest jednak coś w urodzie polskiej jesieni, że najpiękniejsze obrazy tej twarzy roku malowali nie Flamandowie, nie Włosi, nie Anglicy, nie Rosjanie – a właśnie Polacy. Gierymski, Podkowiński, Chełmoński, Gerson, Pankiewicz, Sidorowicz, Malecki. To chyba coś

związanego z charakterem narodowym: zawsze to poczucie piękna chwili i świadomość, że zaraz nastąpi coś gorszego – konieczność walki i przecucie kłęski... Może dlatego tak ślicznie malują Polacy kwiaty i więdnące liście, bo są to rzeczy, których uroda przemienie. I na szczęście za jakiś czas powróci, by znowu przeminać, przeminać, przeminać...

*Dzisiaj tu, a jutro tam,
podchorążowie śpiewają granatami wam!
By później na bój, na bój!
Za Partię i Ojczyznę – w bój!*

Czerwone... żółte... zielone... drzewa ubrane w prawie wszystkie barwy tęczy. Lekki wiatr od jezior. Dopiero co zaatakowały forpoczty zimy, a teraz pamiętają o śniegu tylko nieliczne kałuże w ocienionych miejscach. Ostatni dzień kalendarzowego lata, które – jak się okazuje – wcale nie zamierza łatwo poddawać tyłów. Aż przyjemnie maszerować, rozglądając się na boki, i niewiele brakuje, by zapomnieć, w co człowiek wdepnął i jaki ekwipunek dźwiga. Na dodatek nie dalej jak dwa kilometry stąd jest jezioro, pewnie nie wszystkie żaglówki odpłynęły, wielu zażywa spóźnionych wakacji. A ty człapiasz w żelaznej czapeczce, i jeszcze masz śpiewać idiotyczne piosenki.

*W słońcu błyszczą epolety,
W sercu zaś nadzieja świeci!
Bo my są w druźbie,
Partii i Narodu służbie!*

– Podchorąży Bratek – warknął Mamciorek – co się tak zamysłiliście? Teraz wy poprowadzicie kolumnę! Czoło stój! Ma być wzór-konspekt!

Maroń przeszedł jeszcze kilka kroków, dopiero upomnienie osadziło go w miejscu. Widocznie również zatonął w myślach, jakie nie przystoją żołnierzowi.

– Za mną, marsz! – powiedział Bratek, grzecznie już ustawiony w miejsce Maronia.

– Podchorąży Bratek niech prawidłowo komendę poda – wrzasnął Muca. – I broń przez plecy przewiesi!

Bratek podrapał się palcem wskazującym prawej ręki po nosie. O co tu chodzi? Naprawdę dużo przyjemniej uciekać myślami w rozważania o malarstwie, niż zastanawiać się nad sensem wojskowych reguł. Nie zwracał nigdy uwagi na komendy, po prostu robił zawsze to, co wszyscy.

– Kierunek na wprost, marsz! – zarządził rozpaczliwie.

– Podchorąży! – kapral podchorąży Miller załamał ręce. – Wam to się naprawdę na praktyce przyda! Czy chcecie, żeby się z was wszystkie szweje nabijały?!

W odpowiedzi Bratek podciągnął górną wargę do koniuszka nosa. Żołnierze z pierwszych czwórek – bo tylko oni mogli dostrzec wyraz twarzy niziutkiego bażanta – wybuchli śmiechem.

– Co się stało? – pytali ci z tyłu. – Co jest grane?

– Podchoronży, wróćcie kulego – zdecydował podporucznik Głodówka, dobrze wiedząc, że kapitan Piontek nie lubi długo czekać – na puprzydnie mijsce.

Kolumnę znowu poprowadził Maroń. Gdybyż go teraz ojciec widział!

– Szkołaaa! – ryknął. – Za mną maaarsz!!!

Ruszyli z przytupem.

– Oood... czoooooła!!!... – Maroń był pojętnym uczniem. – Śpieeeeew!

– Maaarsz SPR! – zapowiedział przebój sezonu Tomala.

*Raduje się serce
Raduje się dusza!
Bo nasz SPR
Na ćwiczenia rusza!*

Mamciorek był w siódmym niebie. Jako poeta i kompozytor czuł się spełniony.

– Podchoronży Cylko, puprawcie tem ładownicem, bo wom jaja połurywo! – doradził Głodówka.

Uwaga oficera przypadła do gustu szczególnie Mamciorkowi:

– Podchorąży Tułski, bo wam ładownica jaja pourywa! Podchorąży Malczyk, wam to pewnie już urwało! Podchorąży Zdyb to samo! – upominał twórca hymnu SPR Artylerii Szczupakowo.

– W prawo skos! – polecił kapral Muca.

Zeszli z szosy w boczną drogę. Po kilkudziesięciu metrach stanęli przed szlabanem. Przypięta do barierki tabliczka informowała: *Teren wojskowy – wstęp wzbroniony. Alkohol to twój wróg!*

Na powitanie wyszedł podporucznik Siwak.

Przeszli jeszcze kilkaset metrów jesiennym lasem. Dotarli do wielkiej polany, okolonej wałem ziemnym. Od strony północnej zamykała ją wysoka betonowa ściana, o którą opierała się hałda żółtego piasku, pełniąca rolę kulochwytu. Kilka metrów przed kulochwytem stały drewniane tablice. Do jednej z nich kapitan Piontek przypinał właśnie papierową tarczę.

Podzielono ich na cztery grupy. Z pierwszą plutonowy podchorąży Zabawa miał omawiać budowę granatów, druga rzucała granatem ćwiczebnym pod opieką kaprali podchorążych Millera i Mamciorka, trzecia ćwiczyła postawy strzeleckie pod okiem Mucy, a czwarta – strzelała. Tej ostatniej patronował, rzecz jasna, sam Piontek. Naboje dobywał z żelaznej szkatuły porucznik Śmiechocki.

Drużyny odeszły do właściwych stacji. Już po chwili dały się słyszeć pierwsze wystrzały. Hałas wcale nie jest tak wielki, jak się niektórzy obawiali.

Grupa, w której znaleźli się Borówka, Chryń, Erazm, Nodryś, Olszewski i Rej, rozpoczęła od wizyty u Zabawy.

Stanęli przy wiacie, na stoliku było kilka makiet granatów. Zabawa rozpoczął wykład:

– Ja sam się na tym nie znam. Prawdziwego granatu w życiu na oczy nie widziałem. Jak kogoś to interesuje, ma z drugiej strony wiaty tablicę poglądową.

Zainteresowanymi okazali się Borówka i Nodryś.

– Dobra. A reszta niech zostanie tutaj i robi mądre miny, żeby nikt się nie czepiał. Ja mam kaca giganta i nie chce mi się gadać.

– A co piliście? – zaciekawił się Rej.

– Bimberek dobry tutaj robią, znaleźliśmy dojsście...

– Obywatelu plutonowy podchorąży, a ten granat to zaczepny czy obronny? – zapytał Borówka.

– Co, podchorąży natkę w atramentach nosi? – Mamciorek szydził z rzutu Reja. – To już nawet podchorąży Borówka lepiej od was rzucił. No, podchorąży Olszewski kawał chłopa, to pokaże, kurwa, co potrafi!

Dwumetrowy Olszewski wszedł do okopu. Przeciągnął się, rozmasował mięśnie prawej ręki i sięgnął po granat. Wziął potężny zamach i pokazał, co potrafi.

– To nie kamień, kurwa, Olszewski! Tak cisnąć to każdy głupi potrafi. Dwa. Styl też się liczy!

Potem przyszła pora na Erazma.

– Człowieku! Ty byś na wojnie, kurwa, całą własną baterię takim rzutem załatwił. A jakby to był prawdziwy granat?!

Kapral podchorąży Miller pocieszył podwładnych, że rzuty z pozycji klęczącej i leżącej pójdą im znacznie lepiej.

Był w błędzie.

– Na rubieży wyjściowej... Zbiórka! – wydarł się na ćwiczących postawy strzeleckie Muca.

Podoficer pracował również nad zagadnieniami teoretycznymi:

– No, powiedzcie, podchorąży Borówka, przykład meldunku po strzelaniu!

– Obywatelu kapralu, kapr... kanonier podchorąży Borówka melduje, że trafił cel pięcioma pociskami i uzyskał pięćdziesiąt punktów!

– Dobrze, podchorąży Borówka. Takiego wyniku co prawda w SPR na oczy nikt nie widział, ale urlop się należy już od czterdziestu ośmiu punktów.

– Tak? – zainteresował się Nodryś. – A konkretnie?

– Za pięćdziesiąt punktów – pięć dni urlopu, za czterdzieści dziewięć – trzy, i za czterdzieści osiem – dwa. Ale te czterdzieści osiem to w życiu widziałem ze trzy razy, a i też nie na SPR. Rekord poprzedniego turnusu to było chyba czterdzieści cztery.

– A imię jego Czterdzieści i Cztery... – wtrącił Rej.

– Bez prześmiewisk, podchorąży! – upomniał kapral.

– A za ile punktów jaka jest ocena? – zapytał Erazm.

– Od czterdziestu włącznie – pięć, od trzydziestu pięciu do trzydziestu dziewięciu to cztery, a trzydzieści do trzydziści cztery – trzy.

– To strasznie ostro... – przeraził się Borówka.

– Bacność! – przerwał pogaduszki podoficer. – Do tematu wróć! Spocznij! Meldunek o wynikach strzelania zademonstruje podchorąży Rej!

– Obywatelu kapralu, kanonier podchorąży Rej melduje, że trafił cel jednym pociskiem i uzyskał zero punktów.

– No! To by podchorążego safari ustrzeliło! Kolejnego słonia w czołgu byśmy mieli!

– Nie... Mam zwolnienie od lekarza ze strzelania. Kapitan Piontek kazał mi strzelać, ale powiedział, że jeśli mi nie wyjdzie, to karany nie będę...

– Ech! – machnął ręką Muca. – Podchorąży to zawsze próbuje się sianem wykręcić!

– Nie sianem, tylko okularami – sprostował Rej.

– Na rubież wyjściową, myyyrsz! – uciął dyskusję przełożony.

Do tej pory najwięcej wystrzelał Ogórko – czterdzieści dwa punkty. Nikt poza nim nie dostał na razie piątki, choć blisko byli Tulski i Maroń – zebrali po trzydzieści dziewięć punktów. Kilkanaście osób musiało za karę drogę powrotną od tarcz do rubieży wyjściowej pokonać czołgiem, czyli pełzając. Kapitan Piontek litościwie nakazał im nałożyć jedynie maski przeciwgazowe, a gumowe OP-1 zezwolił dźwigać zwinięte na plecach. Czołgali się przy tym po suchej trawie, w sumie więc pokonanie stu metrów nie okazało się takie straszne. Zwłaszcza dla tych, którzy przezornie zaopatrzyli się w za duże słonie, dzięki czemu mogli chłonać powietrze nie tylko przez filtr, ale i ze wszystkich stron maski. Zdyb, który uczciwie założył najmniejszy rozmiar trąby, omdlał na chwilę, więc kapitan pozwolił mu – po doprowadzeniu go do przytomności – dokończyć jazdę czołgiem już bez maski.

Pierwszego stanowiska strzeleckiego nikt nie zajął. Na drugim uplasował się Rej, na trzecim – Erazm, na czwartym – Borówka, piąte pozostało wolne, na szóstym ułożył się Nodryś, na siódmym – Olszewski, a na ósmym – Chryń.

Legli na drewnianych podestach. Torby polowe podłożyli, dla wygody, pod brzuchy. Trzewik karabinu należało oprzeć o anatomiczny dołek strzelecki, znajdujący się poniżej obojczyka. Podobno jeśli dobrze się zaprzeć o karabin, to prawie nie kopie. Lufy spoczęły na drewnianych przedpiersiach. Podchorążowie, na znak, że zajęli już wygodne pozycje, unieśli do góry prawe dłonie. Oczywiście Rej jako ostatni. Nawet nie dlatego, że tak długo mościł sobie legowisko, ale z powodu tego, że zapomniał o wskazówkach Mucy.

Porucznik Śmiechocki jeszcze na rubieży wyjściowej wręczył każdemu po pięć szpiczastych pocisków. Musieli umieścić załadowane magazynki w ładownicach, a do automatu podpiąć puste. Teraz te próżne powędrowały na pas. Pełne trzymali w prawej ręce, przy kolbie. Dość długo trwali w tej pozycji, oczekując dalszych rozkazów. Ręce cierpły!

– Łaaaduj broń!

Wreszcie! Suchy chrzęst i wszystko na swoim miejscu. Podobno.

– Odbezpiecz broń!

Przypominano im wielokrotnie, żeby przesunąć bezpiecznik z pozycji górnej (broń zabezpieczona) na środkową, czyli ogień pojedynczy. A mimo to znalazło się kilku takich, którzy nacisnęli mechanizm za mocno (pozycja dolna – ogień ciągły). Wszyscy poznali smaczek safari.

– Ognia!

Tarcza była wielokolorowa. Namalowano na niej popiersie żołnierza w hełmie typu niemieckiego. Pod sylwetką biegł zielony pas. To w jego górną krawędź trzeba było strzelać, żeby ustrzelić dyszki...

Padł pierwszy strzał. Zaraz potem drugi...

– Przerwać ogień! Zabezpiecz broń!

Co się stało!?! No tak, ten pajac Rej znowu coś spaprał. Uniósł prawą rękę, a to znak jakiejś usterki.

Podbiegł do niego Śmiechocki. Wziął od leżącego karabin. Zaczął manipulować przy broni i coś tłumaczyć.

– Za słabo podchorąży pociągnął suwak i nabój się zablokował. Teraz będzie, kurwa, gut Felek.

Ten Rej to buć! Nodryś był wściekły. Mógłby się założyć, że pierwszy strzał wyszedł mu znakomicie, a tu przerwa i na nowo trzeba się koncentrować. Co za patałach! Potrafi tylko kpić z cudzej pracy!

– Odbezpiecz broń! Ognia!

Muszka ma się pokrywać ze szczerbinką... Uważać, by nie przechylać broni na boki... Strzałów nie liczyć, bo to rozprasza... Nie celować za długo, bo ręka się męczy... wolno ściągnąć cyngiel... hi, hi, język spustowy, niech im będzie... Otworzyć usta, żeby wystrzał bębneków nie uszkodził... Puf! Poszło. Łuska uderzyła w plecy; nie szkodzi, to siła taka, jakby szyszką rzucił... Kałasznikow też, okazuje się, całkiem cichy i wcale nie kopie. Szkoda, że nie ma pod ręką lornetki, fajnie byłoby zobaczyć, gdzie się trafiło... Puf! Rej oddał drugi strzał tak trochę bez mierzenia, niemal przypadkiem. Puf! Puf! Raz za razem. Czy została jeszcze jakaś kula? Puf! Została. Teraz już pewnie pusto w komorze, ale na wszelki wypadek trzeba sprawdzić – a nuż się coś zaplątało? Cyk! Rej jako pierwszy oparł kbkAK MS magazynkiem o przedpiersie, sygnalizując w ten sposób zakończenie strzelania.

Leżał teraz spokojnie i czekał, aż to samo zrobią inni. Całkiem tu przyjemnie. Słoneczko świeci, ptaszki śpiewają... prawie wczasy.

Wreszcie zakończył strzelanie i Nodryś, który za każdym razem mierzył bardzo długo i uważnie.

– Przeeerrwać ogień! Zabezpiecz broń!

Wstając, poprawiali ekwipunek. Nieznośne torby obsunęły się, hełmy osłaniały bardziej kark niż czoło.

– Kieerunek na wprost, do t-cz, biegiem... Myyrz!

Pobiegł Nodryś, który oczyma wyobraźni widział już radość na twarzy żony, gdy do urlopu rodzinnego dołączy nagrodowy za strzelanie. Pobiegł Borówka, bo mu kazali biec. Może strzelił na tyle dobrze, że wracając, nie będzie musiał się czołgać? Pobiegł, ciekaw rezultatu, Olszewski. Ruszyli tak szybko, jak na to pozwalały objijające się o ciało torby i trzymane w rękach karabiny, Erazm i Chryń. Pogoniony przez porucznika Śmiechockiego, pobiegł też Rej. Był już kilkanaście metrów od tarczy, ale nic na niej nie dostrzegął. Pomyślał, że to nic dziwnego, bo pewnie trafił Panu Bogu w okno.

Do tarcz wszyscy dotarli prawie jednocześnie.

– O, cholera! – wykrzyknął Rej.

– Kurwa mać! – skrzywił się Nodryś.

– Hmm... – jęknął Borówka.

Siwak podchodził kolejno do każdego kandydata na snajpera.

– Obywatelu poruczniku, kanonier podchorąży Rej melduje, że trafił cel pięcioma pociskami i uzyskał czterdzieści sześć punktów. Ale jak to się stało?!

– No, widzisz, kurwa, Rej – szczerze ucieszył się oficer. – A nie chciałeś strzelać.

– Ale jak to się stało? – gestem zdziwienia rozłożył ręce Rej. – W okularach?

– Wzrok przy strzelaniu to, kurwa, nie wszystko. Masz widać dobrą koordynację i pewną, kurwa, rękę. Rozrzut też niewielki – za-demonstrował Siwak, przykrywając na dużej tarczy dłonią wszystkie ślady po kulach Reja.

Za oficerem kroczyli Daczny i Mamut. Jeden rozmazywał wokół wybitego przez pocisk otworu pastę do zębów nivea (tym razem ta OSDW – Ogólnowojskowa Substancja Do Wszystkiego – występowała w roli kleju), a drugi zalepiał otwory zielonym papierem.

– Obywatelu poruczniku, kanonier podchorąży Erazm melduje, że trafił cel trzema pociskami i uzyskał piętnaście punktów.

– Są i gorsi, kurwa – pocieszył strzelca Siwak – ale i tak maskę pe-gaz włóż! Padnij! Na rubież wyjściową... czołgiem marsz! Ruchy! Ruchy!

– Obywatelu poruczniku, kanonier podchorąży Borówka melduje, że trafił cel jednym pociskiem i uzyskał jeden punkt... – płacz-

liwie wykrzywił twarz Borówka. Maskę przeciwgazową przezornie wyjął już z torby.

– Padnij!

– O-telu poruczniku – Nodryś oparł się ręką o tablicę tarczy – ja naprawdę starannie celowałem!

– Padnij!

– Obywatelu poruczniku, kanonier podchorąży Olszewski melduje, że trafił cel ośmioma pociskami i uzyskał trzydzieści jeden punktów.

– Dobrze... Co?! Kurwa, iloma pociskami?!

Przez chwilę oficer kontemplował dziury, licznie rozsiane po tarczy.

– To pewnie, kurwa, cały ten Nodryś też do waszej strzelał! Padnij!

– Obywatelu poruczniku, kanonier podchorąży Chryń trafił cel czterema pociskami i uzyskał dwadzieścia pięć punktów.

– No, podchorąży! Mogło być lepiej, ale na początek może być. Zapiszemy czterdzieści. Tak między nami to zostanie, kurwa, co? Niech wasz ojciec się cieszy, że syn wzorowo strzela...

W wyniku pierwszego w życiu kontaktu z ostrą amunicją Rej, Ogórko i Chryń otrzymali pochwały, wpisane do Karty kar i wyróżnień, za *wzorowe-przygotowanie się do zajęć strzeleckich*.

Więść gminnaniosła, iż trzy pochwały automatycznie pociągają za sobą dwa dni urlopu. Ogórko już zdążył złapać wyróżnienia za okitowanie okien oraz naprawienie stołu w gabinecie sierżanta Maskiego. Tamte zasługi były wspomniane w rozkazie, nie wpisano ich jednak do Karty kar i wyróżnień, ale Ogórko liczył, że coś może jeszcze załatwi i przedłuży sobie urlop rodzinny, który mu przysługuje po przysiędze.

Rej natomiast czuł się wyraźnie nieswojo. Co prawda, pocieszał się myślą, że bycie prymusem w strzelaniu nie przynosi wstydu, ale... Nie! Jednak tego, że wpisano mu do Dziennika ocenę bardzo dobrą, nie mógł sobie darować. Tak niemile kontrastowała ze ślicznym szeregiem pał.

Tak czy owak, w Szczupakowie pierwsze safari dwudziestego szóstego turnusu SPR dobiegło końca.

Kłopoty tu, kłopoty tam

Dla Dacznego sobota rozpoczęła się rozmową z Mucą.

– Niech mi podchorąży nie wmawia, że nie wie, co to teodolit, jak astronomię podobno skończył! Dopiero co żeście tu przyjechali, a już daliście się we znaki dyscyplinie Szkoły! Co wy sobie w ogóle wyobrażacie! Nie ma dziwne, jak z Rejem kolegujecie! Jakbyście nie mogli z podchorążymi Borówką, Langem czy Kogutowskim! Nie macie żadnych ambicji dowódczych! Gorszi od Reja jesteście, bo on przynajmniej potrafi strzelać! A wy co? Cztery dni tutaj jesteście i już trzy wyjścia do lekarza! Wojsko na izbie chorych chcecie spędzić?! I jeszcze... – Muca musiał zerknąć na trzymaną w rękę karteczkę z przygotowanymi przez porucznika Śmiechockiego zarzutami – ... i jeszcze to krnąbrne zachowanie! Czy wy choć raz przedstawiliście się, kurwa, inaczej jak *kapral podchorąży*?! K a p r a l! Czy wy wiecie, kto to jest kapral? Odpowiedzialny człowiek! Ma ludzi pod sobą! To podoficer! A wy szeregowym jesteście! – Podoficer uspokoił się wreszcie i już spokojniej zapytał: – Są pytania?

– Kapral podobno jest z Kielc?

– Tak – potwierdził zaskoczony Muca.

– Ja też jestem z Kielc i nie chciałbym więcej słyszeć, jak tu wszyscy mówią o kapralu: *ten kielecki kutas*, bo to i mnie obraża.

Z tego wszystkiego, z czym Daczny spotkał się w wojsku, najbardziej podobała mu się kąpiel. A za swój najlepszy numer uważał przygotowanie jednego z Dzienników Telewizyjnych.

Kąpiel była zabawna, bo zawsze jest wesoło, gdy kilkudziesięciu golasów kłębi się pod prysznicami w kilkumetrowej salce. Zwłaszcza gdy z góry leje się albo ukrop, albo zupełnie lodowata woda. Sztuka polega wtedy na tym, by samemu dać się trafić jak najmniejszej liczbie kropel, za to pod główny nurt wepchnąć kumpla. A jeszcze jeśli się uda kogoś walnąć mydłem w łeb... Taka atrakcja zdarzała się w każdy piątek i prawie każdą środę. Zwykłym żołnierzom łaska pluskania się w łaźni przysługiwała tylko raz w tygodniu.

A Dziennik... Któregoś dnia sprzątał świetlicę, ponoć najprzyjemniejszy rejon, i poprawił co nieco przy telewizorze. Co prawda, o dziewiętnastej trzydzieści – zgodnie z uświęconym Rozkładem Dnia – i tak ich posadzono przed odbiornikiem, ale przez całe pół godziny obserwowali tylko wędrujące po ekranie białe pasy. To była zemsta za to, że nie mogli oglądać niczego poza Dziennikiem i wystąpieniami rzecznika rządu, Jerzego Urbana, bo monopol na korzystanie z telewizora przyznała sobie kadra. Nawet w nocy wyganiano ze świetlicy tych kilku chętnych, którzy chcieli oglądać transmisję z igrzysk olimpijskich.

Ten racjonalizatorski zabieg na niewiele się zdał, bo praktykanci wyszukali jakiegoś kaprala-elektronika i ten w końcu usunął awarię. Znalazł się natomiast świadek (oburzony, że nie zobaczył w Dzienniku dwóch minut sportu), który widział, jak Daczny majstruje przy odbiorniku...

W sali 107 spali oprócz Dacznego jeszcze dwaj inni zwiadowcy: przy drzwiach Marek Rej, a w środku jakiś niezwykle cichy i uprzejmy chłopaczek. Jak mu na imię? Pozostali współspacze byli dźwiękaczami. Reszta zwiadowców została ulokowana w sali 106.

Kogo jeszcze Daczny odróżnia od tła? Oczywiście tego grubaska, Janka Borówkę, wiecznie ściśniętego pasem do oporu – wygląda jak przygruba pszczołka. A jak pocieszenie maszeruje! Łapie powietrze w płuca, robi się cały czerwony, i... lewa, lewa, lewa! Powinien trenować pływanie pod wodą, skoro potrafi tak długo wstrzymać oddech. A poza zwiadem?

Spodobał mu się Jurek Ogórko. Widać, że łebski gość. Nieźle poznał też niejakiego Roberta Wścieklicę, choć na oczy go nie widział; Ogórko i Rej ciągle o nim mówili...

Ten Wścieklica ponoć próbował popełnić samobójstwo. Szybko się połapali, że coś z nim nie w porządku, zaordynowali mu płukanie żołądka na izbie chorych i odratowali.

Trepy z SPR straszyły, że dadzą Wścieklicę pod sąd wojskowy, za to, że *w celu zupełnego albo częściowego uchylecia się od służby wojskowej albo od wykonania obowiązku wynikającego z tej służby* – o czym mówił artykuł 306 kodeksu karnego – spowodował u siebie *uszkodzenie ciała lub rozstrój zdrowia*. Kapitan Piontek ogłosił, że jest prawie pewne, iż samobójca może dostać, przy dobrych układach, nawet osiem lat więzienia. Co prawda SPR-owscy bażanci-prawnicy (Rej, Cylka, Zdyb, Patek) taką informację wysmiali, ale niepokój został zasiany. Uspokoiło się dopiero po zeznaniach doprowadzonego do przytomności Wścieklicy (*nota bene* też prawnika), który stwierdził, że wcale nie zamierzał popełnić samobójstwa, a tylko w zdenerwowaniu połknął za wiele pigułek uspokajających. Ponieważ lekarstwo otrzymał z izby chorych, od kapitana-lekarza Jarmuła, odpadło oskarżenie o samowolne posiadanie i użycie takich środków, jak relanium i delargan. Nie było więc na Wścieklicę haka... Co więcej, przeszedł do ataku. Utrzymywał, że bardzo się zdenerwował z powodu niesłusznie wlepionego mu ZOMZ-u. Dowódca brygady miał podobno powołać specjalną komisję do wyjaśnienia tej afery. Dlatego wśród kadry SPR zapanała lekka panika.

– Powstań! Baczość! – w rozmyślania Daczego twardo wdarła się żołnierska codzienność.

Do sali wszedł podporucznik Siwak.

– Siadajcie podchorążowie. Mam dla was dobrą, kurwa, wiadomość...

Informacja była rzeczywiście miła: ustalono wreszcie ostatecznie, że przysięga odbędzie się w niedzielę, 2 października, a nie – co też wchodziło w rachubę – 9 albo nawet 12 października, w Dzień Wojska Polskiego.

Z przysięgą wiązano nadzieje na znaczną poprawę sytuacji – skończy się wreszcie okres unitarny. Pewne było również to, że zaraz po defiladzie żonaci wyjadą na urlopy rodzinne, a kawalerowie – nagrodowe.

– Zaraz po przysiędze ci, co mają urlopy, to na nie pojedą, a reszta dostanie pejotki na dwadzieścia cztery i czterdzieści osiem godzin, w zależności, kurwa, od zasług!

Na sali zawrzało. Czy jeszcze zdążą zarobić na tych parę dni wolności?

– Ale musi być na ten czas zapewniona obsada służb. Nie chcę na siłę wyznaczać, bo po co komuś bez potrzeby plany rozpieierać? Zawsze robiłem tak, jak tu komendantem byłem, że służbę tą trzymali ochotnicy. Taki dobrowolec pojedzie później, jak główna fala wróci, kurwa, zamiast na pejotkę, na dwudniowy urlop! Są chętni?

Wszyscy już wiedzieli, że taki urlop wcale nie jest równy czterdziestoosmiodzinnej przepustce. Pejotka pozwalała opuścić koszary najwyżej na 48 godzin. Do urlopu zaś nie wliczano czasu na dojazd do domu. Jeśli więc wyjedziesz ze Szczupakowa zaraz po obiedzie, urlop biegnie dopiero od północy. Już tu dziesięć godzin dochodzi! A i nie trzeba wracać we wtorek przed północą, bo – jeśli daleko mieszkasz i trafisz na dobry humor dowódcy – uda się wywalczyć przedłużenie urlopu do środowego apelu porannego.

– Obywatelu poruczniku... – z łomotem poderwał się żołnierz siedzący w ostatniej ławce w rzędzie pod oknem. – To ja się zgłaszam!

– O! – nie krył zdziwienia oficer. – Cóż to się stało, że wykazujecie tak, kurwa, społeczną postawę?

– Nie potrzebuję w tej chwili nigdzie wyjeżdżać. Innym bardziej się to przyda – powiedział Rej. – A ten urlop jest pewny?

– Ja wam to, kurwa, obiecuję! – przyłożył do serca prawicę zastępcę dowódcy SPR do spraw szkoleniowych, który właśnie pełnił, z racji służbowego wyjazdu Piontka, obowiązki komendanta SPR. – Nie po to obiecuję, żeby was w chuja robić. U mnie jak jest robota, to jest i zapłata! Jakbymżem chciał na siłę, to bym rozkaz wydał.

– Rzeczywiście. Ja w każdym razie mogę jechać później, bezproblemowo.

– To wy, kurwa, weźmiecie służbę w następną niedzielę. A kto weźmie od Reja?

Trwało chwilę, zanim znalazł się następny ochotnik.

– Jak nazwisko?

– Hultajek. Kanonier podchorąży Hultajek.

– To wy w poniedziałek. No, to jedną sprawę mamy z głowy. Jest jeszcze druga... Trzeba, żeby ktoś z waszych rodziców wygłosił przemówienie dziękczynne za wasze, kurwa, szkolenie...

Na sali zapanowało poruszenie. Nastroju wcale nie poprawiło zapewnienie, że mowa już dawno jest przygotowana i wystarczy tylko ją przeczytać.

– Najlepiej, jakby to, kurwa, zrobił tata podchorążę...

Chryń wyczuł intencje Siwaka i przezornie poderwał się z miejsca, machając przy tym rękoma, jak gdyby rozganiał stado natrętnych komarów.

– Mojego ojca nie będzie, nie będzie!

– Hmm... kurwa... – zmartwił się oficer. – To wielka szkoda. Kto więc zgłasza swego ojca do wygłoszenia szaczonego przesłania? To naprawdę jest już dawno przygotowane i zatwierdzone!

Niestety, podchorążowie znowu pogrążyli się w lekturze blatów ławek.

Sytuacji nie zmieniło oświadczenie Siwaka, że nie musi to być ojciec, może być również matka.

– Najlepiej Matka-Polka! – doradził któryś z obecnych.

– Kto tu sobie, kurwa, jaja robi?!

Nie znalazł się chętny do odbycia zasłużonej pokuty w kącie sali.

– No to może... – doświadczony żołnierz wpadł na chytry pomysł – zaproponujecie rodziców swoich kolegów?

Teraz odzew padł szybko.

– Podchorąży Hultajek!

– Co wy, ludziska! Moja matka ledwo czytać potrafi!

– Podchorąży Rej!

– Do mnie nikt nie przyjeżdża!

– Czemu, podchorąży? – zainteresował się oficer.

– Bo nie ma się czym chwalić!

– To nikt nie chciał, kurwa, przyjechać? A jakaś panienka?

– Na wszelki wypadek powiedziałem, że to będzie w końcu października, żeby się zabezpieczyć.

– Podchorąży Ogórko!

– Ojciec w szpitalu...

– Nawrocki!

– Rodzice nie żyją...

– Maroń!

„– Napierdól to, kurwa, na chuja, kurwa twoja mać – w narzeczu sierżanta Gruchy słowa te oznaczały uprzejmą propozycję przymierzenia nowego munduru.”

– Obywatelu poruczniku, chętnie, ale chyba tylko brat przyjdzie, bo matka w szpitalu. Może by więc brat...
– Nie, kurwa, brat to nie... To ma być starszy człowiek.
– Borówka!
To nazwisko natychmiast podchwyciło kilkanaście gardeł..
– No, właśnie, kurwa – ucieszył się oficer – podchorąży Borówka! Czerwony ze zgryzoty bażant uniósł ciężkie ciało.
– Ale... ale u mnie, obywatelu poruczniku, nie będą chcieli...
– Co to znaczy, że nie będą chcieli? – udał zdziwienie oficer, wietrząc rychłe rozwiązanie kryzysu przysięgowego. – To zaszczyt, kurwa! A do was przecież przyjeżdżają, co?
– No tak... to znaczy nie...
– Wzięliście przecież druki na zaproszenia? – zadał podchwytliwe pytanie Siwak.
– Nie...
– Nie? – groźnie zapytał oficer. – Bo sprawdzimy...
– Tak – szepnął Borówka.
– Głośniej! – zażądał podporucznik.
– Nie...
– Nie?!
– To znaczy tak...
– Zdecydujcie się żesz, kurwa!
– No nie... to znaczy tak...
– No to – ogłosił Siwak – sprawę mamy załatwioną. Liczymy na was, kurwa, Borówka! Wszyscy na was liczą! Brawa za odwagę!
Chór głosów podchorążych, uradowanych z odparcia zakusów na spokój ich własnych rodzin, szczerze i donośnie przyklasnął decyzji przełożonego.
– Hip-hip! Niech żyje Borówka! Niech żyje, niech żyje!
– I dalej tyje!
– Aż mundur rozsadzi!

– Zero hałasu! – Siwak, by dać dobry przykład, zasłonił rozsmianą twarz dłonią.
– Panowie, zlitujmy się nad tym męczennikiem! – apelował Rej.
– Pomożecie?
– Pomożemy, jak Gierek Polsce!
– Kurwa, cisza! – Siwak przestał żartować. – Bo jak nie, to zaraz kolokwium zrobię! Kto dostanie dwa, ten po przysiędze nigdzie nie wyjedzie!
Taki apel przemówił do sumień.
– To te, kurwa, sprawy, mamy załatwione. Są pytania?
– Kanonier podchorąży Ogórko. Kiedy dostaniemy mundury wyjściowe?
– Przecież w pierwszy dzień dostaliście!
Dostali, ale nie wszyscy. Nie mieli wyjściówek Ogórko, Olszewski, Rej – bo za wysocy. Nie mieli Mamut i Bratek – bo za niski. Nie mieli Cyroń i Terleś – bo zabrakło. I nie miał oczywiście Daczny.
– Co?! To jedna czwarta SPR-u! Ja to załatwię! Piontek nawet tego nie potrafi!
Sala zareagowała radosnym rechotem.
Po wyjściu Siwaka kapral podchorąży Mamciorek z powrotem sięgnął po konspekt, według którego prowadził zajęcia z metodyki.
– Co to jest wojsko? – czytał maszynopis wykładowca. – Możemy to pojęcie rozpatrywać w kilku aspektach...
Słuchacze pochylili się nad zeszytami.

- A: pod względem organizacyjnym to instytucja. B, czyli pod względem osobowym, zaliczamy tu nie tylko żołnierzy, ale i pracowników cywilnych...

Musisz notować. Sprawdzają, co masz w zeszytcie. Jak nie zanotujesz, każą ci przepisać od kogoś w Czasie Wolnym – czyli najprędzej w nocy, więc lepiej zapisywać wszystko od razu.

- F: wojsko jako synonim ludu pracującego miast i wsi. G: wojsko jako zespół obrony granic...

Żeby już ogłosili tę przerwę... – sennie marzył Kostyk. Trzeba chłopaków pogonić, żeby wypełnili zielone świstki zaproszeń na przysięgę. Są one zarazem przepustkami na wejście do koszar. Należy je jeszcze podstemplować, wszystkie razem (nie chcą przyjmować pojedynczo, *żeby bałaganu nie robić*), w Tajnej Kancelarii. Potem musi swoją wysłać do domu ekspresem... Rodzice przyjadą samochodem i od razu zabiorą go do domu. Z powrotem też ojciec go przywiezie. Do Poznania prawie sześćset kilometrów pociągiem, a na mazurskiej części trasy wciąż chodzą ciuchcie, *błyskawice północy*, jadące ledwo dwadzieścia kilometrów na godzinę... Pociągiem nie miałyby sensu jechać, bo w domu zabrakłoby czasu na sen.

– Pisać, Kostyk! A nie w sufit ślepić, bo każę wam przepisać cały ten kurewski konspekt! Musicie to mieć spisane, bo po przysiędze zrobimy z tego sprawdzian!

Odpowiedź stanowiło westchnienie trzydziestu kilku piersi. Tyle już było tych sprawdzianów. W trakcie klasówki (trepy używały napuszonej nazwy *seminarium* lub *kolokwium*) w sali urzędowała cała kadra SPR. Czasem udawało się coś zerznąć, ale nie za bardzo. Za dużo materiału, ciężko na ściadze zmieścić (i k i e d y ją przygotować?!), a prawie wszystko to same wyliczanki. Typy czołgów, armat, uzbrojenie, liczba osób...

Większość obrywała z tych klasówek pały i musiała je poprawiać ustnie. Na poprawkach wymagano właściwie tylko prawidłowego zameldowania się, ale kazano dodatkowo opracowywać

karnie konspekty dla oficerów lub sprawozdania z działalności PZPR w SPR Artylerii. Podporucznik Głodówka rozkazał kiedyś Ogórcie przygotować swój Terminarz Wojskowy do przedstawienia pułkownikowi Wańkowowi. Najgorzej jednak było zaliczać poprawki u kapitana Piontka, bo on często kazał smarować elaboraty dla żony, która studiowała zaocznie w pobliskiej filii WSP. To też nie była przyjemność... I kiedy, no kiedy, to pisać? Tylko w nocy...

Sposób na...

– Wiem, jak zarobić pięć dni urlopu! – ogłosił Ogórko.

W jadalni zapadła pełna wyczekiwania cisza. Łyżkę na bok odłożył nawet Borówka, pogrążony dotąd po uszy zarówno w smaku czerwonego barszczyku, jak i w rozmyślaniach nad sposobem przekazania ojcu hiobowej wieści o czekającym go oratorskim wyróżnieniu.

– Sposób dla jednej czy więcej osób? – rzeczowo zapytał Rej.

– Bez ograniczeń! – obwieścił Ogórko. – Kilka dni wolności dla każdego!

Teraz już nikt nie próbował udawać braku zainteresowania. Także starszy szeregowy Marmucha i kapral podchorąży Mamićciorek zamienili się w słuch. Słowa Ogórki usłyszał widać również kucharz Kotlet, bo aż usiadł na kontuarze.

– No to... powiedz... – poprosił Rej.

– Wszystkim powiesz? Wszystkim? – opuścił swój stolik Maroń.

– Nawet tobie. Ale tylko na ucho.

– Dlaczego? – zapytał nieufnie Maroń.

– Bo – Ogórko wskazał stolik kadry – nie wszyscy muszą to słyszeć.

– A mnie powiesz?

– Powiem, ale sam rozumiesz, że nic darmo... musisz uklęknąć tutaj, przy mnie...

Pięć dni urlopu okazało się dla Maronia wystarczającą zapłatą za lekkie naruszenie godności osobistej.

– Ale na dwa kolana, nie na jedno – włączył się do akcji Daczny.

Maroń posłusznie wykonał i to polecenie. Ogórko pochylił się nad nielubianym kolegą. Rej zaczął się lekko krztusić.

– TRZEBA WYSTRZELAĆ PIĘĆDZIESIĄT!!! – wrzasnął w ucho Maronia Ogórko.

Do rękoczynów nie doszło tylko dzięki interwencji plutonowego podchorążego Zabawy. Ale śmiał się nawet Borówka.

Ogórko i Maroń wracali z obiadu jak zwykle w pierwszej czwórce. Nie można powiedzieć, by oddzielający ich Olszewski stanowił granicę przyjaźni.

– Paweł, Paweł... Bardzo cię ucho boli?

– Odpierdol się! – warknął Maroń.

– Przepraszam. Myślałem, że masz gumowe ucho... – śmiał się Ogórko, pijąc do współpracy Maronia z podporucznikiem Maćką, która stała się już, nie wiedzieć jakim sposobem, tajemnicą poliszynela. – Jeśli twoi mocodawcy nie dadzą ci urlopu, to mogę ci podać jeszcze inny sposób na urlop. Ale tylko na trzy dni!

Maroń spojrzał nieufnie, ale się nie odezwał.

– Powiedz! – poprosił za to Olszewski.

– Ale też tylko na ucho...

Tym razem jednak nikt nie zaryzykował.

W sypialniach czekała ich niespodzianka: wszystkie torby polowe były wyrzucone z szafek, a ich zawartość poniewierała się po wozach i podłodze.

– Zbiórka! Szkoła, w dwuszeregu, prawe skrzydło na wysokości umywalni, frontem do mnie... Zbiórka!

Tup, tup, tup. Podchorążowie szybko znaleźli się w wyznaczonym miejscu. Prawie wszyscy przybiegli, niewielu tylko się ociągało, choć tym razem to akurat ci drudzy postępowali prawidłowo. Bo właśnie uległy zmianie wytyczne odnośnie zachowania się na korytarzu. Już nie należało *poruszać się wyłącznie biegiem*. Trzeba było za to *poruszać się ostrożnie*. Przyczyną tej zmiany było stłuczenie oszklonej gabloty, informującej o sukcesach POP dywizjonu szkolnego. Rozbili ją wspólnymi siłami Mamut i Malczyk. Obydwaj pędzili na zbiórkę: Malczyk biegł od palami, a Mamut nieszczęśliwie wyskoczył wprost na niego z sali topo. No i stojąca przy tej sali gablotka poszła w proch, a jej niszczyliciele – w bandażu. Ręka Mamuta była rozwalona tak paskudnie, że nawet podporucznik Siwak nie proponował mu strzelania, a z miejsca wyznaczył do obsługi tarcz.

– Podchorążowie! – rozpoczął Muca. – Jest karygodna sprawa z waszymi torbami! Torba brezentowa jest przeznaczona do celów służbowych, a nie do trzymania w niej byle czego. To nie jest miejsce na prywatne szpargały! Raportówka ma być taaakiej grubości! – zademonstrował torbę, rzeczywiście cienką. – No, czyja to polówka?

– Moja chyba! – zgłosił się Walicki. – Ale ona jest pusta. Ja wszystko trzymam gdzie indziej!

– Kieszenie macie przecież zaszyte!

– Ale ja jestem opiekunem sali dźwiękowej. Tam jest duża szafa pusta...

– Tak ma być! – przyzwolił Muca. – Inne plutony również mają takie szafy. Zróbcie to samo. Polówki mają być cienkie na wzór-konspekt!

– Oto moje królestwo! – powiedział Rej, otwierając drzwi sali 205.

– Malutka salka, ale miła – przyznał Daczny, kładąc na biurku kilka paczek herbatników.

Piętrzył się tu już cały stos takich pakunków. To Hultajek z Nodrysem przydźwigali swoje bogactwa ze stołówki. Tam niekiedy do posiłków wystawiano pudło z herbatnikami i sucharami, każdy bażant mógł więc brać do woli. Takie zapasy przydawały się zwłaszcza podczas nocnych służb.

Obok ciastek leżała zatłuszczona paka w szarym papierze. Jej zawartość stanowił kilogram salcesonu. Nodryś podkraść go z kuchni podczas pracy na drużynie. Salceson zaczynał śmierdzieć, ale zapobiegliwy żołnierz zamierzał spożyć go w czasie podróży do domu. Przecież bezpośrednio po przysiedze – pewno nie zdąży zjeść obiadu – czekało go kilka godzin w autobusie.

– Ta sala to mój azyl. Od czasu, jak zobaczyli, jaką robotę odważyłem, nikt się tu mnie nie czepia. Teraz to tylko kosmetykę odstawiam. Ale chowam się przy każdej okazji, że niby coś muszę sprzątać. Schodzę im z oczu, więc nawet kieszenie mam całe – mówił Rej. – A jak tobie podoba się ta szkółka?

– Inaczej to sobie wyobrażałem...

– Ba! Trzeba tu wiele pozmieniać. Niektórzy boją się nawet własnego cienia.

– Ty się też tym wszystkim za bardzo przejmujesz. Mówisz tylko o wojsku.

– Ja? – obruszył się Rej. – Mnie chodzi tylko o to, żeby młynek się kręcił i cały czas coś się działo, bo inaczej nudno...

Ktoś zapukał do drzwi.

– Proszę!

– Słuchaj, Marek – do sali wszedł dyżurny bloku szkolenia elewów – mówiłeś, że piszesz na maszynie, a Radecki szuka kogoś na miejsce chłopaka od nas, który odejdzie...

– Kto to jest Radecki?

– Polityczny dywizjonu szkolnego, porucznik. U niego jak piszesz, to ci da herbaty, kawy nawet. Na co dzień pisze jego pisarz, a ty byś wchodził tylko na większą robotę.

– Hmm... – Rej spojrzał pytająco na Dacznego. – Będę mógł się jeszcze lepiej zakonspirować...

– Obywatelu kapralu, a daleko ta poczta?

– Bliżej niż chata Maskiego. Wiecie chyba gdzie...

– Tak, już trzy razy tam byłem!

– Ale laseczka ta żona sierżanta, co?

Pytanie Mucy wprawiło Borówkę w zakłopotanie. Na szczęście byli już prawie przy poczcie.

– Obywatelu kapralu, a długo stąd będzie szedł telegram do Białegostoku?

– Nie jest z tym źle. Do Kielc to najwyżej półtora dnia, a do was przecież bliżej...

– Obywatelu kapralu, a co by się stało, gdyby ojciec nie przyjechał?

– Oj, podchorąży, nie chciałbym być wtedy w waszej skórze!

Borówka postanowił wysłać *telegram pilny*. To dwa razy droższe, ale i przecież pewniejsze: ojciec będzie miał więcej czasu, by dojechać do siebie po niespodziance, jaką zgotował mu syn.

Tato nie denerwuj się stop To nic strasznego stop Masz wygłosić przemówienie na przysiedze stop To zaszczyt stop Już jest przygotowane stop Musisz bo będzie źle jak się nie zgodzisz stop Przepraszam Janek.

Przesłanie tego elaboratu kosztowało go prawie połowę żołdu.

Powróciwszy z poczty, Muca znalazł w drzwiach podoficerki kartkę z wierszykiem:

*Czy to brudna jest onuca,
Czy też może kapral Muca?*

– Kto... kk-to tttto na... napisał?! – jękał się ze zdenerwowania, wymachując kartką.

– O, to kapral umie czytać? – wyraziło szczere zdziwienie jedno ze stojących w dwuszeregu niewiniątek.

– Ja na... nauczycielem jestem! – Muca zapomniał, że nigdy nic dobrego nie wynika z wdawania się w dyskusje z podwładnymi. – Skończyłem dwuletnie policealne...

– Jakim cudem?

– To tylko dowodzi, że w tym zawodzie jest selekcja negatywna!

– Z takimi nauczycielami rzeczywiście tylko do wojska!

Te uwagi nie spodobały się podoficerowi.

– Pocałujcie mnie w dupę! – wyraził swe oburzenie.

– O nie! Mógłby to kapral, nie daj Boże, odebrać jako dowód sympatii! – zaprotestował Daczny.

– Coś ty, zobaczysz, kurwa, że zaraz na skargę do Siwaka polecisz. Skurwysyn-skarżypyta – powiedział Lange.

– Podchorążowie, czy nie jarzycie, że to dla waszego dobra?! – zaapelował do bażancich sumień podoficer.

– A czy mogę obejrzeć głowę obywatela kaprala? – zapytał Ogórko.

– Czemu? – Muca był zupełnie zdezorientowany.

– Chciałem zobaczyć, jak wygląda pancerna mózgowczech!

Tego już było za wiele. Kapral sięgnął po słuchawkę telefonu. Zadzwonił do Siwaka, a ten z kolei do oficera dyżurnego. Szybko ogłoszony alarm przeciwpożarowy zduł płomień buntu w zarod-

ku. Wynoszenie wozów i szafek na plac musztry, a następnie taszczenie ich z powrotem, zapewniły podchorążym rozrywkę na cały wieczór.

Tymczasem Rej siedział w kancelarii porucznika Radeckiego, zastępcy dowódcy dywizjonu szkolnego do spraw polityczno-wychowawczych, i przepisywał jego pracę semestralną. Oficer studiował zaocznie na wydziale nauk politycznych w O.

– Wie pan, jak to jest... co tu dużo mówić... w końcu szkoła oficerska tylko teoretycznie daje wykształcenie wyższe. W cywilu na dobrą sprawę nikt tego nie uznaje. To tylko nasze szarże, cholera, mają zagwarantowane, że jak na uczelniach cywilnych wykładają, to mają zapewnione uprawnienia docentów i profesorów. Ale do tego to trzeba być przynajmniej podpułkownikiem. A tak jak ja...

Przez kilka lat nie dawano Radeckiemu zgody na złożenie papierów na studia cywilne. Dopiero gdy politrukiem brygady został jego daleki kuzyn, pułkownik Wańkow, porucznik mógł zrealizować swe ambitne plany.

Radecki był mężczyzną o urodzie playboya z kiczowatego brazylijskiego serialu. Mimo to zrobił na Reju dobre wrażenie, ponieważ o przepisaniu tekstu go p o p r o s i ł, a na dodatek zwracał się do niego *per pan* i prawie wcale nie przeklinał. Oswojonemu już z wyzwiskami i chamstwem podchorążemu wydał się zjawiskiem z innego świata – tego, który istnieje poza koszarami. Rej przystał na wszystkie życzenia oficera. Na szczęście nie były one wygórowane: około trzydziestu stron maszynopisu do wieczora.

Rej nie narzekał, choć już od dawna nie dotykał klawiatury. Chyba po raz pierwszy od założenia munduru wydawało mu się, że robi coś, co ma jakiś sens. Nie wyszedł nawet na posiłek. Kolację przyniósł mu dyżurny elew. Praca była pilna, bo nazajutrz Radecki musiał dostarczyć swe dzieło na uczelnię.

– Proszę tylko to dokładnie sprawdzić – pożegnał się z porucznikiem. – Tak się śpieszyłem, że mogą być błędy.

– Bardzo panu dziękuję i polecam się na przyszłość! – powiedział oficer. Miał powody być uprzejmym, bo gdyby wynajął zawodową maszynistkę, musiałby jej zapłacić po jakieś sto złotych za stronę. W sumie wyszłoby więc więcej niż miesięczny żołd kanoniera podchorążego.

Rej wrócił do SPR po dziewiątej. Manewry wokół rejonów były zakończone. Korytarz lśnił czystością, przez jego środek wiodła ścieżka z gazet, i tylko nią należało chodzić.

Przy grzybie warował Daczny. Wlepiono mu pierwszą służbę. Opowiedział Rejowi o wesołym popołudniu.

Opowiadając o alarmie przeciwpożarowym, wymachiwał rękoma i demonstrował zabiegi związane z wynoszeniem wozów. Opisał też scenę strachu Borówki, który usłyszał o alarmie, gdy akurat przebierał się w szatni. By umknąć przed płomieniami, wybiegł na plac musztry w samych kalesonach i jednym bucie.

Bawiący się w aktora Daczny nie zauważył ubranego w dres żołnierza, który podążał w ich stronę. Gdy cofnął rękę do tyłu, demonstrując wyczyny bawiącego się w strażaka Hultajka, żołnierz ten spadł na niego. Dacznego aż zarzuciło na ścianę.

– Co to, kurwa, podchorąży z rękami na mnie się rzuca? Ja was upierdolę!

– A niby co się stało? Sam na mnie wskoczyłeś!

– I jeszcze na ty! Do starszego stopniem!

– Jaki starszy stopniem? Pierwszy raz cię, dziecko, widzę.

– Koledzy wam powiedzą, kto ja jestem! Zaraz tu przyjdzie oficer dyżurny! Do aresztu was wsadzą!

– To ja powiem – wtrącił się Rej – że, po pierwsze, bażantom areszt nie przysługuje, a kapralom owszem. A jak przyjdzie oficer dyżurny, to powiem, żeby pozwolił kapralowi sobie

w twarz tą wodą chuchnąć! Zobaczysz, komu wtedy uśmiech się zetrze!

To był mocny argument. Koziół dopiero co wrócił z urlopu. W październiku miał wyjść do cywila. Ale gdyby się wydało, że jest pijany, to pułkownik Czachórski z miesiąca mógłby zrobić dwa albo i więcej...

– A, dajcie mi już spokój – poddał się Koziół. – I tak już prawie jestem cywilem. A wy w tym mundurze będziecie gnąć jeszcze przez rok!

Podoficer dyżurny, kapral podchorąży Mamciorek, nie zgodził się przyjąć żadnego rejonu, mimo że jego poprzednik uznał, że wszystkie są wykonane prawidłowo. Dlaczego? Może podpuścił go Koziół? A może zdenerwowały go zachwyty podkomendnych, którzy cieszyli się, że w związku z niedzielą i ze zmianą czasu z letniego na zimowy czeka ich aż dziesięć godzin snu?

– Ale przecież plutonowy podchorąży Zabawa wszystko już przyjął!

– To się poskarżcie kaloryferowi Zabawie! Od ósmej to ja jestem podoficerem dyżurnym i on nie miał prawa niczego przyjmować! Gównu mnie jego zdanie obchodzi! Będziecie sprzątać od nowa!

Najbardziej ucierpieli korytarzowcy. Ich rejon Mamciorek przyjął dopiero wtedy, gdy skończył oglądać nocną transmisję z Seulu, czyli około czwartej. Szczególnie ponurą minę miał Cyroń, który robił rejon tylko dlatego, że przeskoczył kolejkę: poprzedniego dnia koledzy – z racji jego imienin – dali mu wolne.

Sprawili mu prezent w iście wojskowym stylu!

POO... PRZYSIĘDZE!!!

Największe z Możliwych Świąt Żołnierskich

Przysięga!

Z chwilą jej złożenia mieli się stać żołnierzami pełną gębą. Za taki zaszczyt zdrowo przyszło zapłacić.

Przez ostatni tydzień prawie nie schodzili z placu musztry. Nawet we wtorek, gdy zaaplikowano im jakąś niezidentyfikowaną szczepionkę i wszyscy skręcali się z bólu. Starszy kapral Koziół – za którego *stuchem do kroku defiladowego* tak tęsknił plutonowy podchorąży Zabawa – pokazał, co potrafi. Oj, pokazał... Nawet się nie wydzierał, a po prostu kazał jednemu czy drugiemu delikwentowi trzymać karabin w wyprostowanych rękach, na wysokości piersi, i unosić ku niemu nogi. Już lepiej byłoby żabki ćwiczyć... Zresztą żabki też były, na zmianę z pompkami. Za to nie uznawano żadnych zwolnień, w tym i prawa do noszenia tramppek. Maszerowali więc w ciężkich buciorach, krew godna lepszej sprawy wsiąkała w onuce i trepy. Jęki kwitowano sentencją autorstwa podporucznika Siwaka: *jakby była, kurwa, wojna, to byście dopiero zobaczyli! Na przysiędze, przed rodzinami, chcecie chyba wzorowo wypaść?! Nie maszerował jedynie Wścieklica, wciąż stacjonujący w izbie chorych.*

Na przysięgę podchorążych, w której uczestniczyło stu kilkudziesięciu bażantów, przybyło – jak informowało biuro przepustek – stu osiemdziesięciu siedmiu gości. Nie była to liczba imponująca, bo do dwustu elewów ściągało zwykle około trzech tysięcy ludzi,

czasem i więcej, jeśli wielu żołnierzy pochodziło ze wsi. Uzupełniono więc szeregi rodzin i przyjaciół, zganiając na plac defilad (mimo niedzieli) uczniów szczupakowskiej szkoły podstawowej i przedszkolaków. Tym ostatnim impreza podobała się najbardziej.

Niska frekwencja gości była zapewne spowodowana tym, że po przysiędze niemal wszyscy podchorążowie jechali – choćby na kilka godzin – do domów. O takim szczęściu mógł marzyć ledwo co dziesiąty żołnierz służby zasadniczej. Dla pozostałych dostępne były – nawet z okazji Najważniejszego z Możliwych Świąt Żołnierskich – tylko pozwolenia na wyjście z rodziną poza koszary, ale bez prawa opuszczania garnizonu.

– Dooo... przysięgi!!! – komenderował mistrz ceremonii, szef sztabu brygady, major Łysak.

Wszyscy odruchowo stanęli na baczność, każdy uniósł prawą rękę ku górze.

Przed nimi, bliżej trybuny honorowej, stało dwóch bażantów z OC i dwóch artylerzystów. Ci ostatni to Maroń i Tomala. Zamiast Tomali (w grę wchodzili tylko najwyżsi podchorążowie) miał być Rej, do którego kapitan Piontek zapałał ostatnio sympatią. Nie jest dobrze być przez dowódcę szykanowanym, ale nie jest też przyjemnie zostać jego ulubieńcem, gdy się tego nie pragnie...

– Ale czemu nie chcecie? Przecież to zaszczyt! W sam raz dla najlepszego strzelca SPR!

– Obywatelu kapitanie, melduję, że jeszcze nie dojrzałem do tego zaszczytu.

– Ale podchorąży...

– I nie dojrzeję!

Ceną takiej niedojrzałości była utrata łask oraz wysłuchanie wykładu o zarozumiałych magisterkach.

Reja zaskoczyło, że tak wielu posłusznie deklamowało słowa przysięgi, choć jeszcze poprzedniego dnia mówili, że im przez usta nie przejdą...

– Ja, obywatel Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej...
– Przysięgam służyć wiernie...
– Strzec pokoju w braterstwie broni z sojusznicznymi armiami...

– Składając tę uroczystą przysięgę, jestem świadom swej odpowiedzialności wobec narodu i praw s o c j a l i s t y c z n e g o państwa polskiego...

Tych, którzy – jak Rej – milczeli, było w końcu niewiele. On sam nie chciał się czuć związany przysięgą. W życiu nie zamierzał walczyć. Przeciwno komu? I ramię w ramię z kim?... Wszyscy wokół mówili, że też tak uważają! Śmiali się, że to znakomicie, iż są w zwiadzie, bo dzięki temu w razie czego będą bliżej kapitalistycznego przeciwnika, który najłatwiej dostrzeże wywieszoną właśnie przez nich białą flagę. A teraz klepią słowa tej przysięgi...

Rotę co prawda przed kilkoma miesiącami zmieniono – znikły groźby *surowej ręki sprawiedliwości ludowej i niezłomnej obrony praw ludu pracującego przed zakusami imperializmu*. Nie było też mowy o *braterskim przymierzu z Armią Radziecką* (to sformułowanie zastąpiono bardziej eufemistycznym), ale wszystko to bez znaczenia... słowa na wiatr, uczucia do kosza...

Rej całą noc nie spał. Dopiero w sobotę znaleziono dla niego używany mundur wyjściowy, wyciągnięty ze sterty ciuchów przeznaczonych na szmaty. Tego rozprasować się nie dało. Zlitował się nad nim – proszę sobie wyobrazić! – Muca. Polał łach wodą, i nad ranem Rej jakoś doprowadził wyjściówkę do względnego stanu.

Zresztą ten nocy mało kto zmrugał oko. Porządki, ciągłe porządki... Sierżant Maski nawet wywiesił papier toaletowy w ubikacjach, bo przecież w dniu przysięgi rodziny mogły zajrzeć do SPR. Rzeczywiście, byli chętni... hi, hi. Ojciec Maronia, podobno chorążak, ale w cywilkach przyjechał, i brat Hultajka, kapral lotnictwa, niebieski mundurek, czarne buty... Wszędzie zaglądał i po-

równywał z tym, co u niego. Papier toaletowy prawie przyprawił go o szok, hi, hi... Mówił, że mamy bosko... hmm... to jak mają oni? A ojciec Maronia... w czasie przysięgi rzucił mu się na szyję i zapłakał: *Synku, kurwa, belkę dostałeś, wzorowym żołnierzem jesteś! Matka się, kurwa, ucieszy! Oficerem prędko zostaniesz! Czy można się dziwić, że Maroń jest taki, jaki jest... choć w ostatnim tygodniu, trzeba przyznać, uspokoił się. Może dlatego, że Maćko nie załatwił mu urlopu za donosy... Cóż, zapewne raporty były za mało wartościowe. Ale o czym miał donosić?*

– Dzień dobry, panie podchorąży.

Rej był jedynym bażantem z SPR Artylerii, który został w koszarach po przysiędze. Siedział teraz przy grzybie i gapił się w sufit. Jednak wstał z krzesła (właściwie to w ciągu dnia nie wolno mu siedzieć), spojrzął i ocenił przybysza. Nie... nie będzie składał mel-dunku...

– Słucham, lu kapitanie.

– Wie podchorąży... – obcy oficer przestępował z nogi na nogę.
– Czy zastałem może podchorążego Nowackiego?

– Nowacki? Nie znam takiego. Może w SPR OC. Zresztą wczoraj mieliśmy przysięgę...

– No tak, tak... wyjechał? – zmartwił się kapitan. – A kiedy wróci?

– Ale jestem pewien, że nie ma nikogo o tym nazwisku.

– Od was, od was... – oficer nerwowo zacierał ręce. – Poznałem go na zebraniu Partii.

– Co?! Na jakim zebraniu?!

– No, PZPR. Jest przecież w Partii kilku podchorążych od was...

To była kolejna rewelacja. Cały czas wszyscy, bez wyjątku, tak Partię-władczynię odsądzali od czci i wiary!

– Ten, o którego mi chodzi, jest też szefem Organizacji Młodzieżowej...

To już dyżurnemu coś mówiło.

– Ach, Nawrocki...

– Właśnie, właśnie. On się też zajmuje wrózeniem z ręki... i mi wywróżył... – zawahał się oficer – że... że... No, w każdym bądź razie mojej żonie wywróżył coś takiego, że muszę szybko się z nim spotkać. On musi jeszcze raz sprawdzić.

– No ale... ale co ja mogę pomóc?

– Kiedy on wróci? Gdzie mieszka?

– Ja nie wiem. To może podać tylko ktoś z tre... – Rej ugryzł się w język – ktoś z żołnierzy zawodowych.

– A jest ktoś?

– Podobno siedzą w sztabie dywizjonu szkolnego. O ile wiem – ujawnił z satysfakcją – bawią się w gry komputerowe.

– Pójdę tam, pójdę... – kapitan z niewesołą miną opuścił piętro SPR. Przygnębiony brzemieniem przepowiedni, ciężko schodził po schodach.

Rej znowu został sam. Szukając rozpaczliwie jakiegoś środka przeciwko nudzie, sięgnął do szuflady grzyba. Wśród regulaminów leżał Ceremoniał wojskowy.

Już pierwsze słowa książeczki brzmiały interesująco:

Ceremoniał wojskowy jest wyrazem godnej realizacji przez żołnierzy Sił Zbrojnych PRL szlachetnych ideałów socjalizmu. (...) Sprawia, że stają się bliskimi takie ważne pojęcia, jak patriotyzm, internacjonalizm, honor i godność żołnierska, nadaje im bowiem konkretną formę. (...) Pozwala przeżyć wzruszenie trwale pozostające w pamięci. (...) Wychowawcze oddziaływanie ceremoniału wojskowego sięga daleko poza bramy koszar. (...) Budzi także wśród widzów ceremonii wojskowych – zwłaszcza młodzieży – odczucia szczególnie ważne dla przyszłości naszego kraju, takie

jak poczucie tożsamości z chlubną przeszłością narodu, jego osiągnięciami i nakreśloną przez Partię wizją rozwoju socjalizmu¹⁴.

– No, podchorąży, już jestem! – wrócił plutonowy podchorąży Zabawa.

– Czemu tak długo?

– Piontek mnie zatrzymał. Sam jest dziś nocnikowym i nie może wyjść z kanciapy, to mamy na razie spokój...

Kapitan Piontek pełnił tego dnia funkcję oficera operacyjnego brygady. Oznaczało to, że w przypadku ogłoszenia alarmu przez, dajmy na to, dowództwo Okręgu czy ministra Obrony Narodowej, on dowodziłby 1 ŚBAA do czasu przybycia pułkownika Czachórskiego lub któregoś z jego zastępców. Była to funkcja bardzo odpowiedzialna (powierzano ją przeważnie majorom i podpułkownikom). Wiązała się jednak z pewnym niemiłym ograniczeniem: przez bite dwadzieścia cztery godziny oficer operacyjny nie miał prawa ruszyć się ze swego pokoju, choćby na krok. W związku z tym przysługiwał mu specjalny dyżurny, dostarczający posiłki i wynoszący – kiedy trzeba – nocnik (stąd złośliwe miano oficera nocnikowego).

– Jest wściekły, bo dowiedział się, że wczoraj któryś z naszych ptaszków zaraz za bramą rozebrał się do atramentów, zrzucił wyjściówkę i przebrał w cywilki, które miał w worku.

– Aha... – na Reju ta informacja nie zrobiła wrażenia. Sam namawiał Jurka Ogórkę, żeby w taki właśnie sposób rozpoczął urlop. A ubranie cywilne miał w worku, gdyż szkółka do tej pory nie poroszyła ich dobytku do domów. – Przecież wolno się przebrać w cywilki na urlopie?

– No tak. Ale nie w czasie podróży. Tylko w domu.

¹⁴ Ceremoniał wojskowy, Warszawa 1974 s. 7-8.

– Tak?

– Nikt by zresztą z tej przebieranki afery nie robił... Ale ci z kompanii OC zadzwonili do Czachóra, że bażant z artylerii płami honor munduru...

– Co?! OCeloci zadzwonili?!

– To znaczy ichnie trepy. Tam są dużo większe chuje, niż się wydaje. Szczególnie że na co dzień nie na wiele mogą sobie pozwolić. A wiadomo, obydwie szkoły walczą o to, która lepsza... – Zabawa umilkł. – Cholera, ktoś tu chyba lezie...

I rzeczywiście. Po chwili kopnięciem otworzył drzwi podporucznik Siwak.

– Obywatelu poruczniku, podoficer dyżurny SPR, plutono...

– Dobra, kurwa, nie wygłupiaj się – przerwał oficer. – W swoim gronie jesteśmy. A jak się podchorąży Rej spisuje?

– No, po tym, co powiedział kapitan Piontek... – zaczął kwaśno Rej.

– Niech się podchorąży, kurwa, nie przejmuje. On wam urlopu dać nie chce, tylko pejotkę. Ale ja już coś w tym temacie wymyślę. Słowo oficera dałem, kurwa, przecież!

Była to wizyta wyjątkowo kurtuazyjna. Siwaka znużyło kibicowanie majorom i kapitanom relaksującym się grammi na komputerze, przywiezionym przez jednego z elewów (oczywiście w zamian za urlop nagrodowy). Niestety, wyższe szarże nie dopuszczały go do rozgrywek, przypomniał więc sobie, że ma w swojej kompanii studenta szkoły filmowej i postanowił posłuchać plotek o polskiej kinematografii. Uważał, że po przysiędze można już z żołnierzem na takie tematy porozmawiać. Rej był z tego całkiem zadowolony. Popisywanie się przed zakompleksionym, jak się okazało, trepem sprawiało mu niekłamaną przyjemność. Aby oficera dobić całkowicie, wtrącał od czasu do czasu zwroty, które – choć zgodne z prawdą – nie należały do najdelikatniejszych:

– Cholera... jak on się nazywa... hmm... jednak w wojsku człowiek strasznie kretynieje... Zapomniałem na śmierć! – Rej wiedział, że takie zachowanie to dziecinada, ale nie potrafił z niego zrezygnować.

Po każdym takim wtręcie podporucznik nerwowo przetykał ślinę. Ale musiał przyznać, że bażant opowiada ciekawie, a i zna chyba wszystkie filmy świata! Chociaż bywały wyjątki.

– A zna podchorąży, kurwa, *Sfery miłości*?

– Nie. Co to za film?

– No właśnie, ja też go nie widziałem. A tam podobno kurewki ze zwierzątkami, ha, ha... Nie to, żeby takie rzeczy lubił, ale... jak to w ogóle wygląda, człowiek ciekawy, nie?

Nawet wojskowy dryl nie jest w stanie zdławić wrodzonej ludzkiej ciekawości. Przynajmniej w pewnych kwestiach zasadniczych.

Po obiedzie Rej postanowił się zdrzemnąć. Leciał z nóg. Dawały o sobie znać zarwane noce.

– Co, nie śpi podchorąży? – zdziwił się Zabawa, wchodząc do izby 107.

– Nie mogę. Wolę peta zapalić. Może też...? – podsunął przełożonemu paczkę carmenów.

– O! Gdzie je podchorąży zdobył?

– Wczoraj rzucili w klubie żołnierskim, pewnie z okazji przysięgi.

– Może mi jeszcze podchorąży ognia podać?

Podał. Ale irytowało go to ciągle *podchorąży*. A przecież na samym początku ten sam Zabawa był znacznie mniej oficjalny... Widać, że to prawda, co chłopaki mówili, iż Piontek wściekł się na praktykantów, że zbyt liberalni... Teraz byli sami, a ten i tak się boi. Co, może mu przez to urlopu nie dadzą? Palant!

Drrryyń!

– Podoficer dyżurny SPR Artylerii, plutonowy podchorąży Zabawa – zameldował się do słuchawki bażant-praktykant.

– ...

– Melduję się, obywatelu kapitanie.

– ...

– No cóż, ja mam tylko dyżurnego na piętrze.

– ...

– Może załatwić z OCelotami, żeby kogoś podesłali?

Rej domyślił się, że Piontek nie wyznaczył wcześniej żołnierzy do obsługi kuchni. A tak wypychał z SPR-u tych kilku, którzy chcieli pojechać na przepustkę dopiero w następnym tygodniu! Dobrze mu tak! Typowa wojskowa organizacja pracy, czyli jeden wielki bajzel! J e g o zmartwienie.

Okazało się atoli, że nie tylko jego.

– Co, czyli jego wysłać? Zero przerwy między dyżurami?!

– ...

– Tak jest. Rozumiem. Przepraszam, obywatelu kapitanie.

Zabawa odłożył słuchawkę. Nie musiał nic mówić. Wystarczyło spojrzeć na minę Reja: teraz dyżur, zaraz drużynka, może jeszcze i na wartę go pošlą, a potem posadzą jako oficera dyżurnego?

– Podchorąży, robiłem co mogłem. Zresztą zaraz was tam podmienią.

– Kto mnie podmieni?

– Nie wiem. Ale na pewno ktoś jest przygotowany na wzięcie dyżuru od was?

– Hultajek.

– To razem pójdziecie.

– Teraz czwarta, on dopiero za dwie godziny będzie.

Ale Hultajek, na swoje nieszczęście, pospieszył się.

Relacje Reja

– Cholerka, chciałem się przespać przed dyżurem, bo mi nieziemski kac dokucza, a tu ziemniaki obieraj! – Hultajek cisnął szary kartofel w kałużę.

– A co ja mam powiedzieć? – jęknął Rej.

Spojrzeni na siebie: brudni, wściekli, obydwaj z worami pod oczami.

– A wiesz – obwieścił Rej – Piontek powiedział, że nie da nam urlopów, a co najwyżej przepustki!

– Cholera, gość jest niepoważny! Na pejotce ja nawet kłamki w domu nie powącham! Z jazdą w obie strony się nie wyrobie!

– Powiedział, że Siwak przekroczył swoje kompetencje, obiecując nam urlopy.

– A co Siwak?

– Widać, że mu głupio. Powiedział, że coś wymyśli.

– J u ż wymyślili, dranie jedne...

Rej roześmiał się. Hutlajek najpierw spojrział na niego jak na wariata, a po chwili również radośnie zarechotał.

– Co nam zostało, cholera? Tylko się pośmiać!

Bogiem a prawdą, śmiać się mogli jedynie z własnego pecha. Idąc do kuchni, myśleli, że nie ma tam zbyt wiele pracy, bo przecież następnego dnia ludzie zaczną się zjeżdżać dopiero koło kolacji. Obrac ziemniaki dla trzydziestu osób – to nie było straszne. Niestety, okazało się, że to, iż ktoś udał się na przepustkę, wcale nie oznacza, że nie trzeba gotować dla niego śniadania, obiadu i kolacji. Szykowała się więc wielka wyżera. I jeszcze większe transporty zlewek dla świń.

Kot-kucharz przyszedł w końcu, by im pomóc obierać ziemniaki. Usiłowali go przekonać, że nie ma sensu obierać więcej, niż rzeczywiście potrzeba.

– Panowie, ja wiem, że to dla świń pójdzie! Komu to mówicie? Ale nie da rady inaczej. A co będzie, jeśli kierowniczką zobaczy, albo jaki trep? Myślicie, że dla przyjemności tu do was przyszedłem? Też bym wolał te kartofle na jutro zostawić. Ale ona się nie zgodzi, bo ma, pinda, swoje normy: lepiej dać świniakom, byle ugotowane, niż zostawić surowe na następny dzień! A zresztą... czy to wasze albo moje? *Wszystko na miętko trza brać!* Jeszcze was, cholera, tego nie nauczyli?

Wracając potem do SPR, zastanawiali się, ile pieniędzy wylądnie nazajutrz w błocie.

– Stawka dzienna na łeb wynosi, jak kogoś na urlop wyprowadzają, coś koło dwóch-trzech stówek – powiedział Hultajak.

– Ale my mamy ją podwyższoną w stosunku do szwejków o pięćdziesiąt procent. Słyszałem od Zabawy.

– Możliwe. Ale powiedz lepiej, jak ci tu było samemu?

Szkoła Podchorążych Rezerwy Artylerii szła na niedzielną kolację. Awangardę kolumny stanowił Muca, ariergardę zaś, Rej. Między nimi nie było nikogo.

– *Te, bazant!* – krzyknął któryś z oczekujących na odprawę wartowników. – *Jaką zmożę odstawicieś, że cię do domu nie puścili?*

– *Na ochotnika zostałem!* – pomachał zdjętą z głowy czapką podchorąży.

Żołnierz śmiał się z niedowierzaniem.

– *Ciiicho...* – *delikatnie skarcił go kapral – bo nas oficer dyżurny opierdoli...*

Wyszli na ulicę.

– *Podchorąży, ja mam do podchorążego taką prośbę...*

– *Tak?...*

– *Nie mógłby mnie podchorąży trochę angielskiego, tak podstaw tylko, poduczyc?*

– *Wyobraź sobie, że on ma prawie całą rodzinę w Kanadzie!*

– *Co?! – wykrzyknął Hultajak. – I jeszcze tu siedzi?!*

– *Mówi, że zaraz po wojsku też wyjeżdża. Wcześniej nie chcieli go wypuścić. Cieszył się, że po Szczupakowie tylko pół roku karencji na paszport.*

– *To faktycznie ma super. Brat po lotnictwie przynajmniej trzy lata zakazu wyjazdów dostanie. Ciekawe, ile nam wpakują? To zależy od jednostek, do których trafimy na praktyki...*

– *Całe niedzielne popołudnie konferowałem z kapralami i dawałem im wykłady o filmie.*

– *A na wojsko najeżdżałeś?*

– *Wyobraź sobie, że oni też!*

– *Podchorąży nie może sobie nawet wyobrazić, co my przeszliśmy na szkółce elewów. Czy podchorąży wie, co to jest alarm dla nietoperzy albo rzut granatem? Wy to tu ciepłarnię macie.*

– *Aby na pewno? Z tego, co słyszałem od kumpli, którzy byli w innych...*

– *Zapali podchorąży? – Muca wyciągnął paczkę klubowych.*

– *Dziękuję – Rej wziął papierosa. – W innych SPR-ach podobno urlop rozłąkowy przystugiwał każdemu, a nie tylko żonatym. Przecież w Regulaminie jest napisane, że to urlop na kontakt z rodziną, a nie tylko z żoną. Tutaj to wyszedł z tego taki urlop bardziej rozrodczy niż rodzinny...*

– *Niby tak – wzruszył ramionami Muca. – Ale... Tutaj nawet był w poprzednim turnusie przypadek, że chłopak był po rozwodzie i miał dziecko, którym sam się zajmował. Jego żona spłynęła do RFN, wypięła się na wszystko, z Niemcem się na nowo chajtnęła, a na dziecko w Polsce nawet alimentów nie chciała płacić. Nasz chłopak dziecko u rodziców trzymał. A tu nie dawali mu urlopu rozłąkowego, bo wytyczne mówią, że tylko żonatym...*

– *Czyste draństwo!*

– Siwak nawet chodził za sprawą...

– Już widzę, jak to załatwia!... – sarknął Rej.

– Co też podchorąży mówi! Siwak niby od ostatnich chujów was wyzywa, nas też, ale nie świni się. Zjebie na sztuki i zapomina. Urlop też da, jak go poprosić. A ten Piontek to pijałka, jak się przyczepi. Żeby podchorąży wiedział, ile razy ja zmoczyłem dupę przez was.

– Bo kapral niepotrzebnie drażni ludzi.

– Wiem, cholera, nerwus jestem. Przed wojskiem byłem spokojny chłopak, nic mnie zdenerwować nie mogło. A tutaj...

– Na SPR to i tak dla kaprali superfucha, prawda?

– Wiadomo. Jak by podchorąży widział, jakie warunki mają ci na dywizjonach! I jaka odpowiedzialność! Tam to dopiero wszyscy kaprali na cztery strony dupy jebią!

– Ale was zawsze będą jebać, bo taka jest wasza rola. Jak byście to olewali, to by było tak samo, wcale nie gorzej.

– Nie... Przed Marmuchą był tu inny pisarz, którego potem wypieprzyli na dywizjon...

– Dlatego Marmucha tak się z tym meldowaniem wygłupia, bo niby jedną belkę nosi?

– Po prostu przestrzega swoich praw.

– Mnie przez to szlag trafia. I nie tylko mnie.

– Eee... niech podchorąży nie przesadza... Fala musi być.

– Bażantów fala nie dotyczy.

– Tak się panu wydaje – włączył się do dyskusji Kozioł, który wyszedł z ubikacji. Użył obcego tu słowa „pan”, by podkreślić, że do końca służby dzieli go mniej niż miesiąc, jest więc już c y w i l e m. – Są jednostki, gdzie i bażantów dotyczy.

– Niemożliwe!

– Zobacz podchorąży – teraz przyzwyczajenie wzięło górę. – Zresztą fala to dobra rzecz. Dzięki niej każdy zna swoje miejsce, wie, na co może sobie pozwolić. Gdyby fali nie było, to dopiero w wojsku

wszyscy by się z nudów pozabijali, a tak tylko kotów trochę się pojebie... Kopsnijcie szluga, panowie.

– Tylko że najpierw samemu jest się tym kotem – Rej podsunął Kozłowi papierosy. – Nie mam zapalek. I po co tu kogoś, jak mówicie, jebać?

– Zobacz podchorąży – Kozioł znalazł zapalniczkę – na praktyce, że bez fali by sobie rady nie dał. A dla kotów to też nie jest złe, bo wiedzą, że same, jak swoje przejdą, też dziadkami zostaną!

– No tak... dla nadzorców najlepsze więzienie to takie, gdzie więźniowie sami siebie pilnują. To jest właśnie fala!

– Eee tam... Zobacz podchorąży, jak dowódcą plutonu zostanie, że bez starych by sobie rady nie dał. To oni porządku pilnują!

– Ja mam zamiar wszystko puścić na żywioł... Tylko falę będę tępił!

– Chce pan, żeby go wszyscy na okrągło jebali i nie dostawał awansów? – zdziwił się prawie-że-cywil. – Przecież wy nawet starszego sierżanta na wyjście możecie dostać!

– Takie zaszczyty mnie nie interesują. A co, mogą mnie jebać bardziej niż tutaj? – roześmiał się bażant.

Kaprale zrobili to samo.

– Oj, podchorąży, mało jeszcze w wojsku widzieliście! Ale trzeba przyznać, że bez takich jak wy to byłoby nudno!

– O, właśnie! – przypomniał sobie o starych sprawach Rej. – To może by tak parę zaległych pompeczek? W końcu cała Szkoła widziała, jak wygrałem z kapralem ten zakład...

– Ha, ha! – roześmiał się Kozioł. – Ale podchorąży Mucy wtedy narobił! Gdzie się pan nauczył tak biegać?

– No i co? Zrobił? – zapytał Hultajek.

– Nie. Ale zawarliśmy układ, że za każdą setkę pompek będzie dzień urlopu...

– Tylko wie podchorąży... Ja to urlop mogę niby dać, ale musi go zatwierdzić Śmiechocki. Więc i u niego musi podchorąży zaplusować. Ale na razie to wiem, że on strasznie podchorążego nie lubi...

– Mogę zrobić wszystko. Nawet dzieci na ulicy straszyć – zaofiarował się dzielny słuchacz SPR Artylerii. – Ale do kucia czegokolwiek to mnie tutaj nikt nie zmusi! Tabele i definicje, które zapomina się w pięć minut po klasówce...

– Ale to chodzi o p o z o r y... Wiadomo, że tego i trepy nie umieją, ale klasówki z czegoś trzeba robić. Muszą przecież zostać w aktach.

– No tak! Widziałem kronikę najlepszych klasówek w gabinecie politruka. Mam uwierzyć, że jakiś facet w dziesięć minut zapisał sześć stron drobnym maczkiem i jeszcze pokolorował wszystko jak w przedszkolu?

– Niby tak... ale jak ktoś z góry przyjedzie, to dzięki temu zawsze pochwali SPR za wysoki poziom...

– Owszem – krzywo uśmiechnął się Rej. – Pozorowanie ruchów to najważniejsza rzecz w wojsku. Ale mnie nie interesuje czynny udział w tej błazenadzie. Tu wszyscy oszukują wszystkich i udają, że nie wiedzą, iż sami są oszukiwani... Czysta groteska, ale to trochę niesmaczne...

– No a potem gadaliśmy o filmie – opowiadał Rej towarzyszowi kuchennego dzieła. – Wypytywali mnie o rozmaite bzdury, szczególnie o to, czy aktorki się dużo pierdolą. To chyba tutaj obsesja.

– A co, pierdolą się ostro? – Hultajka również intrygował ten ważki problem.

– Ja z żadną nie spałem chyba – uśmiechnął się filmowiec *in spe*. – No i byli też bardzo ciekawi, czy zrobię film o wojsku. Najbardziej mnie dziwiło, że narzekali na armię jeszcze bardziej niż my. Po czym znowu wojsko zachwalali...

– Jutro ma przyjść nowy kapral? – zapytał Rej.

– Nawet dwóch – odparł Muca.

– Będzie miał kto na podoficerce podłogę laserem pieścić! – trudno powiedzieć, w jakim stopniu Kozioł żartował, a w jakim mówił poważnie. – Jak ja lubię tak sobie do snu postuchać takiego szuru-szu, szuru-szu-szu... Mucy ani Marmuchy już zmuszać nie mogę, bo cywil jestem, ale dopilnuję, żeby oni młodych kaprali do sprzątanía ściągęli!

– Fala to fala! – poparł go Muca.

– Ale przyszedł tylko jeden kapral. Ten, o którym mi elewi opowiadali, że jest fryzjerem z zawodu. Jego wujkiem jest kapitan Trochęńczuk...

– Fiuu-u! – Hultajek zagwizdał z wrażenia.

Trochęńczuk był szefem kontrwywiadu w Szczupakowie. Prześmiewcy szeptali, że w brygadzie pięćdziesiąt procent władzy należało właśnie do tego skromnego kapitana, trzydzieści procent – do pułkownika Czachórskiego, a dwadzieścia – do rozmaitych innych osób. Obydwaj podchorążowie byli u niego na ponad dwugodzinnych rozmowach i wspominali go jako człowieka bardzo miłego i uprzejmego. Podobno także skończył prawo. Rejowi powiedział, że w Krakowie, a Hultajkowi – że w Lublinie.

– A drugiego kaprala nie będzie. Zamiast niego przysłali młodszego chorążego na dowódcę dźwiękaczy.

– I jaki?

– Spokojny. Ja go dziś wprowadzałem w sytuację na SPR. Taki zastraszony, ale sprawia wrażenie nieszkodliwego. Wyobraź sobie, że byliśmy na ty...

– Co?!

– Tak zacząłem, a jemu było głupio zmieniać – zaśmiał się Rej. – Jak mu powiedziałem, że prawie wszyscy dźwiękacze są po studiach humanistycznych, zaczął rozpaczać, czy zdoła ich czegokolwiek nauczyć: *I ja mam z nich zrobić takich samych specjalistów, jak sam jestem?!*

Roześmiali się obydwaj.
Słusznie. Potem już długo nie mieli czasu na śmiech.

Fakty są faktami

Spali trochę ponad pięć godzin. I tak nieźle. Ale cóż z tego... Miał rację kucharz Kotlet, mówiąc w swoim czasie, że kierowniczka stołówki to kawał...

Dość długo posłusznie wykonywali, co kazała. Zaprotestowali dopiero wtedy, gdy około dziesiątej zażądała, by umyli ściany.

– Nas jest tylko dwóch i ledwo nadążamy...

– A gównu mnie to obchodzi! Dziś ma być inspekcja bhp! Nie będę zbierała w dupę za to, że was za mało!

I szorowali, szorowali, szorowali... Szczotka ryżowa śpiewa inaczej niż laser, ale Kozłowi z pewnością i przy tych dźwiękach smacznie by się zasypiało. Najgorsze, że im też chciało się spać. Rej zszedł z drabiny i usiadł na posadzce.

I wtedy przyszedł ratunek. Niemal jak w filmach Griffitha...

– Czy jest tu podchorąży Rej? – zapytał obcy żołnierz.

Pierwsza dostrzegła go kierowniczka:

– Wynocha stąd! Natychmiast! Nieuprawnionym wstęp wzbrowniony! Czytać nie umiesz?!

– Ale ja...

– Zero dyskusji! Wynocha za próg!

Szeregowiec wykonał polecenie. Stał grzecznie przed drzwiami, na korytarzu SPR OC.

– O-telko kierowniczko! – powiedział spieszenie, bojąc się widocznie, że kobieta mu przerwie. – Mnie przysłali pułkownik Młeczko w pilnej sprawie.

– A czyj ty jesteś? Zameldować się nie umiesz?

– Obywatelko kierowniczo, melduje się szeregowy Bielonek z kompanii transportowej! – wyprężył się żołnierz.

– Trza tak było od razu! – stwierdziła kierowniczka. – O co biega?

– Mam zastąpić podchorążego Reja. On ma się przebrać i iść na zebranie ZSMP.

Pierwszą osobą, która wróciła do SPR z urlopu, był Borówka...

– Co się stało? Znudziło ci się w domu? – zapytał Rej.

– Lepiej nie pytaj! – bażant zasłonił twarz dłońmi. – Daj mi spokój!

– Ale co się stało?

– Odpierdol się! – warknął Borówka, a potem uciekł do sali 106 i zatrzasnął za sobą drzwi.

Za to na korytarz wyszedł podporucznik Siwak:

– Rej! Zasuważ, kurwa, w podskokach do szatni! Marmucha już na ciebie czeka. I pędź na zebranie Organizacji Młodzieżowej do klubu żołnierskiego! Tylko żebyś tam czego nie nagadał! Jak ci urlop, cholera, obiecałem, to dotrzymam!

– Mam nadzieję... – podchorąży wzruszył ramionami.

– Czekaj no! Zanim wyjdiesz, zamelduj się na moment u mnie, żebyś, kurwa, zobaczył, czy dobrze wyglądasz.

Po paru minutach odziany w ciężką wojskową marynarę i wzorowo ściśnięty skórzanym pasem bażant zapukał do kancelarii dowódców plutonów.

– A dlaczego na służbowo? – zdziwił się kapitan Piontek. – Przecież miał iść na wyjściowo!

– Bo jeszcze przecież, kurwa – przypominał Siwak – nie wydali mu podchorążackich spodni, więc lepiej już, że tak pójdzie, niż gdyby szwejskie tasiemki mu przy pantoflach powiewały.

– To niech tak idzie podchorąży. Dobrze, że przynajmniej opinać zaczęliście po kuchni wyczyścić.

– To zasługa bombardiera Marmuchy – nie ukrywał satysfakcji Rej. – Wyczyścił, gdy ja się przebierałem. Do widzenia!

Całą tę scenę obserwował – milcząco i uważnie – siedzący w pokoju żołnierz, przepasany białym pasem (dlatego formacja, do jakiej należał, popularnie nazywana była *bandażami*). Po wyjściu Reja odezwał się:

– Obywatele, czy nie uważacie, że należałoby tego podchorążego ukarać za nieregulaminowe zachowanie?

Zebranie sprawozdawczo-wyborcze ZSMP 1 ŚBAA odbywało się w izbie kinowej klubu żołnierskiego. Oglądanie w kinie garnizonowym filmów – zwłaszcza panoramicznych – wiązało się z dość istotnymi trudnościami. Ekran był za niski, kinooperator musiał więc zwykle dokonywać wyboru: czy amputować bohaterom spektaklu nogi, czy może raczej głowy. Z reguły wybierał rozwiązanie pośrednie, skutkiem czego na ekranie miotały się tułowia ze szczątkami ud i kawałkami nosów. Pół biedy, jeśli film był polski – wtedy przynajmniej udawało się z szumów, trzasków i głośnych uwag publiczności wyłowić jakieś słowa. Jeśli jednak obraz szedł z napisami, nikt nie miał szansy odczytać choćby słowa, bo tekst wyświetlał się na podłodze. Oglądać film dawało się tylko siedząc w pierwszym rzędzie, bo fotele na widowni umieszczono w niezwykły z cywilnego punktu widzenia sposób: na najwyższych podestach te z przodu, a na najniższych – z tyłu.

Pomimo tych drobnych mankamentów widzów nigdy nie brakowało, większość stanowili żołnierze młodego rocznika. Sala odgrywała bowiem rolę Hyde Parku. Dzięki ciemnościom każdy mógł – nie obawiając się identyfikacji i związanych z nią konsekwencji – wyrazić swe poglądy na wojskową rzeczywistość; mógł też po-

rozmawiać z kumplem, mając błogą pewność, że nie widzi tego ani kapral, ani żaden inny przełożony.

Czasem trafiał tu również jakiś sierżant czy porucznik, poszukujący, na przykład, żołnierza, który miał mu naprawić samochód czy przypilnować dzieciaka. Jakaż radość wybuchała na widowi, gdy ktoś taki niebacznie stawał w strumieniu wpadającego przez drzwi światła: on nie wdział nikogo, a jego – wszyscy! Wielu bardzo interesujących rzeczy – choć niekoniecznie cenzuralnych – można się było wtedy dowiedzieć o proveniencji jego mamusi czy żony oraz o walorach umysłowych tudzież seksualnych samego trepa. Jednak tego dnia, o godzinie jedenastej, miało się tu rozpocząć zebranie Organizacji Młodzieżowej. Salę udekorowano więc odświętnie. Scenę przyozdobiono hasłem: *Młodzież z Partią, Partia z Młodzieżą* i biało-czerwonymi szarfami. Na tym tle jaśniało gipsowe popiersie Lenina. Obok czekała na chętnych mównica, a przy niej stolik dla przewodniczącego zebrania.

Poniżej sceny znajdowały się stoły zastawione butelkami z oranżadą, wodą mineralną oraz talerzami z wypiekami kuchni kasyna. Było nawet kilka półmisek z kanapkami (z szynką!), a do tego herbata. Co lepszym gościom oferowano kawę...

– Ciężko nam było zgarnąć tego Borówkę. Okazało się, że pojechał na imieniny do jakiejś ciotki – tłumaczył starszy chorąży Kozłowski, odziany na służbowo, z białym pasem i takąż kaburą (białe akcesoria były znakiem WSW). To on właśnie był *bandażem*, który gościł u komendanta SPR Artylerii i zainteresował się nieregulaminowym zachowaniem Reja. – I to jeszcze ośmielał się tam występować w mundurze!

– Rzeczywiście w mundurze? – zdziwił się kapitan Piontek. – No tak... to bardzo pilny żołnierz.

– Jaki tam żołnierz! – oburzył się Kozłowski. – Toż to szpieg i dezerter! Od wojska się uchyla, sukinsyn, a w mundurze cho-

dzi! Ale tchórz! Żebyście, towarzysze, widzieli, jak się zestrachał, gdy wpadłem z patrolem do cioteczki i postawiłem go pod ścianą, z łapskami do góry!

– On jest naszym żołnierzem! Nawet jego ojciec na przysiędze przemawiał!

– Oj, towarzysze... – bandaż uderzył w złowrogie tony. – Coś wy mi tu tego agenta za bardzo bronicie. A przecież fakty są faktami: WKU stwierdziło, że do wojska się nie zgłosił, telefonowali też do Szczupakowa, odpowiedź była, że go nie ma. A on tymczasem w mundurze paradował, ale, dureń, książeczki wojskowej to już nie podrobił i nie ma wpisu, że stawiał się na przeszkolenie!

Faktycznie, tak się złożyło, że w nawale innych prac zapomniano wpisać podchorążym do książeczek, że się stawili do służby... – pomyślał komendant SPR. – Oj, żeby jeszcze z jakiejś stacji kolejowej kogo innego za *samowolne oddalenie* nie zwinęli...

– Tak więc – kontynuował Kozłowski – przywieźliśmy go tu, gdzie rzekomo odbywa służbę, i tu w areszcie niech czeka na dalsze decyzje. Jestem pewien, że zainteresuje się nim kontrwywiad!

Rej siedział przy stole po lewej stronie sceny. Obzerał się sernikiem o prawie domowym smaku. I to jeszcze popijając prawdziwą kawę! Przyniósł ją – już trzecią – usłużny szeregowiec, odziany w kelnerski kitel.

Na mównicy występował starszy kapral Jakubek, przewodniczący ustępującego zarządu. Wygłaszał sprawozdanie. Słuchano go bardziej z obowiązku niż z zainteresowania.

Naprzeciwko dwóch bażantów (drugim był szeregowy podchorąży Janota z SPR OC) siedział, otoczony kilkuosobową świtą złożoną z poruczników i jednego majora, sam Czachórski. Rej z zaciekawieniem obserwował dowódcę JW 1281: to był ten, na którego cześć przez tydzień trenowali okrzyk: *czotem telu niku*, w ostatnim momencie zastąpiony przez: *czotem lu puł-niku*, przy czym trepy

cały czas się kłóciły, czy należy krzyknąć: *telu, lu*, czy może *o-telu...* (ze sztabu co chwila nadchodziły sprzeczne wytyczne). A ten facet wygląda nawet inteligentnie... Ale nieładnie, że nawet nie udaje, iż słucha przemówienia, tylko otwarcie czyta gazetę. Zresztą, co mu się dziwić? Toć on takie mowy słyszał już tysiące razy.

Na szczęście przemówienie Jakubka nie trwało dłużej niż pół godziny. Potem zabierali głos inni.

Pierwszy dyskutant wprost idealnie odpowiadał wyobrażeniom Reja o działaczu ZSMP:

– I ten... ten tego... no bo my już tego... mówili... że tamten... tego... bo to wtedy... tam... no... każdy wie...

Pułkownik taktownie zasłaniał usta dłonią, słuchając płynących z mównicy stęków. A obydwaj podchorążowie, by się nie zakrzuszyć, musieli przerwać pałaszowanie dostarczonego im właśnie torciku.

Następny mówca również nie zaskoczył Reja:

– W imię współpracy narodów świata... musimy... dalej... kontynuować... braterski rozwój... zbroić się... również ideologicznie... w imię pokoju... socjalizmu... przyjaźni z bohaterskimi narodami Związku Radzieckiego...

Widać był to pilny obserwator wydarzeń ukazywanych przez szybę Dziennika Telewizyjnego.

Za to trzeci chłopak na mównicy...

– Chcę zabrać głos w nieco innych sprawach niż moi przedmówcy. Jestem dowódcą drużyny i bardzo wiele się nauczyłem i nasłuchałem na temat swojej roli wychowawczej i dowódczej. Ale jak w praktyce wygląda ta moja rola? Utało się jakoś,

„Otóż: nie jest sztuką dużo mówić, sztuką jest mówić dobrze i używać właściwych wyrazów!
– oznajmił pułkownik.
– Bierzcie przykład ze mnie!”

że wszystkie obowiązki zwała się z góry na dół: dowódca baterii na dowódcę plutonu, a dowódca plutonu na kaprała, na dowódców drużyn. Każe nam się niby dowodzić drużynami, karać i nagradzać. To w porządku. Rozumiem. Ale to tylko teoria! Tak naprawdę pozwala mi się na własną rękę tylko karać. Jak kogoś ukarzę, to żaden dowódca nie zapyta dlaczego, tylko z miejsca aprobuje. Ale jeśli chodzi o nagrody, to co najwyżej mogę dać pochwałę. Niby w Regulaminie jest, że mogę przyznać i urlop, ale u nas w brygadzie jest to wstrzymane. Ba! Ja nawet stałki wydać nie mogę, bo u szefa kompanii w biurku leżą! Jak ja mogę spojrzeć w oczy chłopakom? A poza tym...

Czachórski poderwał się z miejsca.

– Obywatelu! – zagrmiał głosem nawykłym do wydawania rozkazów. – Ja wiem, że to nie wypada komuś przerywać, ale tym razem muszę się podzielić z wami uwagą, z której, mam nadzieję, wyciągniecie właściwe wnioski już w czasie tego zebrania. Otóż: nie jest sztuką dużo mówić, sztuką jest mówić dobrze i używać właściwych wyrazów! Już nasi wieszczowie powiadali, że *najważniejsze to odpowiednio dać rzeczy słowo!* Musimy dbać o czystość naszego pięknego języka polskiego! A zdarza się, że nawet kadra zawodowa nie dba!

– Ty, słuchaj... – szepnął do Reja Janota. – Czyżby miał mówić o tych wszystkich *kurwach* i *chujach*?

– Pewnie tak... – odszepnął Rej. – Ale czemu akurat teraz?

– Tak jak moje pokolenie walczyło o sprawiedliwy ustrój – perorował Papa Czachór – tak wasze winno zająć się walką o czystość języka ojczystego. I to zaczynajcie najlepiej od siebie samych! Biercie przykład ze swoich dowódców, bierzcie przykład ze mnie samego! Forum Organizacji Młodzieżowej to bardzo dobre miejsce, by o tym mówić! Jakże przecież przyjemnie słuchać towarzysza, który nie zaśmieca wypowiedzi niewłaściwymi słowami. Takie złe słowa służą określonym siłom, o których mówić nie ma tu teraz

potrzeby... Ja tu, w tym miejscu, przepraszam obywatela kaprała – oficer zwrócił się do wytrwale stojącego na mównicy Anczyca – że to akurat przy nim wyszło, ale... chyba zrozumiały, że musimy być czujni, bo wróg zawsze czuwa, nawet w nas samych i w tym momencie. Nie sztuką jest mówić o naszych zaletach, towarzysze, trzeba i o wadach. A wy, obywatelu kaprału, powiedzieliście – pułkownik skrzywił się z niesmakiem – *stałka*. A takiego wyrazu nie ma ani w Regulaminie, ani w *Słowniku poprawnej polszczyzny*, jak nie wierzycie, to sami sprawdźcie... Mówicie też: *rozłątka*, *nagrodówka*, *pejotka*, *taryfa*, i wiele innych nieprawidłowych słów, dobrej polszczyźnie wbrew! To musi boleć każdego, komu zależy na urodzie języka ojczystego, każdego prawdziwego patriotę! Czy nie piękniej, a i bardziej regulaminowo, jest mówić: *urlop rozłatkowy* czy *urlop nagrodowy*, nie *pejotka*, tylko *przepustka jednorazowa*, i nie *stałka*, lecz *przepustka stała*? A o obowiązku używania przez każdego żołnierza poprawnej polszczyzny mówi w sposób oczywisty artykuł 47 paragraf 2 Regulaminu Służby Wewnętrznej. Tam jest wszystko na ten temat! Szkoda, że nie czytaliście tego, co powinniście, szczególnie jako dowódca drużyny. Wyciągnijcie z tego wnioski, obywatele, wyciągnijcie... żeby ja za was nie musiał ich wyciągać! Skończyłem.

Czachórski usiadł, a na nogi poderwał się prowadzący zebranie starszy kapral Jakubek:

– Bardzo dziękuję z tego miejsca obywatelowi pułkownikowi za wkład w... rozwój intelektualistyczny tu obecnych i też mam nadzieję, że wszyscy się dostosują. Dziękuję również koledze Anczycowi za głos w dyskusji i proszę następnego...

– Ja jeszcze nie skończyłem... – Anczyc był irytująco uparty.

– Tutaj to ja decyduję, kto skończył, a kto nie! Miał kolega dziesięć minut na swoje wystąpienie, a tu już więcej czasu minęło! Teraz następnym. Prawda, obywatelu pułkowniku?

Ponieważ Czachórski aprobująco skinął głową, kapral Anczyc posłusznie zszedł z trybuny. Jego miejsce zajął kolejny ZSMP-owski orator:

– No bo... jak to już było... to ja chciałbym towarzyszowi pułkownikowi... ten tego... podziękować za uwagi i zaciągnąć w imieniu kolektywu pierwszego dywizjonu zobowiązanie, że u nas na dywizjonie to takich słów, jak to obywatel pułkownik mówił, w ramach współzawodnictwa socjalistycznego używać się nie będzie, znaczy się ten tego... w tym temacie...

– Brawo, obywatelu! – zaaprobował społeczną postawę Czachórski.

Casus Borówki wydawał się nierozwiązywalny. Mimo zapewnień kapitana Piontka, że ów podchorąży nosi mundur całkowicie legalnie, a do SPR nie dość, że się nie spóźnił, to jeszcze przyjechał wcześniej niż musiał, żandarm kręcił nosem. Najwidoczniej uważał, iż przyczynił się do przyłapania na gorącym uczynku kolejnego szpiega międzynarodowego imperializmu, niejakiego Jana Adolfa Borówki, syna Józefa i Marii z domu Krzysztofek.

Dopiero podporucznik Siwak (po krótkiej telefonicznej naradzie z kapitanem Trochińczukiem) zastosował argumentację umożliwiającą rozwikłanie tego gordyjskiego węzła:

– Spierdalaj stąd i dupy nam, kurwa, nie truj! Orderów mu się zachciało!

Siwak nie zrzucił gościa ze schodów tylko dlatego, że ten sam wyszedł; starszy chorąży Kozłowski odgrażał się jednak, że zadba o wyciągnięcie odpowiednich konsekwencji służbowych wobec kadry SPR.

Ale ciągle pozostał problem zagospodarowania przebywającego teoretycznie na urlopie Borówki, który tymczasem zaszył się w kącie podoficerki. Tam pocieszał go Kozioł.

Zdecydowano wreszcie posłać urlopowicza do kuchni. Niech pomaga Hultajkowi! Borówka nie protestował. Wolał starcie ze ścierą i kotłem od ponownej rozmowy z ambitnym chorążym, który tak nieszablonowo nastąpił na jego żołnierskie losy.

– ... I jeszcze jak na szkółce byłem, gdy raz na drużynkę poszliśmy, to wieczorem położyliśmy trutkę na szczury. A rano znaleźliśmy w piwnicy kilkanaście trupów szczurów. A żywe szczury, to jak się rano do kuchni wejdzie, tylko ich tuptanie słychać – żalił się z mównicy kapral Chrymuszko. – Ale dziwota, że chcą jeść to, co my jemy! A poza tym...

Dowódca JW 1281 poczuł się zmuszony do tego, by ponownie zabrać głos:

– Ja tu znowu muszę w tym temacie interweniować i dać odpór! Prosiłem już, żebyśmy mówili poprawnie, a nie plugawili naszego pięknego języka ojczystego! A tu raz na raz kilka błędów usłyszałem! Muszę z tego miejsca stwierdzić, że mnie osobiście to najbardziej oburza mówienie *szkółka*, zamiast *Szkoła Podoficerska*, a przynajmniej *Szkoła*. Takie *szkółka* to brzmi tak pogardliwie! A przecież w *Szko-le Podoficerskiej* – mocno zaakcentował oficer – przygotowujecie się do *obrony ojczyzny*! Za taaakie błędy to ja naprawdę będę karać, ostrzegam! Nie radzę także zarówno mówić *drużynka*, zamiast *obsługa kuchni*, i uprzedzam, że rozkazę dowódcom dywizjonów, żeby się bliżej zajęli kwestią plugawienia języka przez żołnierzy. W ostatnich latach zajęła się działaniami zmierzającymi do podnoszenia kultury języka polskiego między innymi Komisja Słownictwa Wojskowego Sztabu Generalnego. Wojsko musi dbać o kulturę słowa! Zrozumiano?! – oficer na chwilę przerwał, sięgając po szklankę z herbatą, i po chwili kontynuował: – I jeszcze jedno. Ja oczywiście odpowiem po przerwie na wszystkie wasze pytania, a i o tym, co mi się nie podoba, też wam wreszcie coś po przerwie od siebie powiem, bo tu mi za dużo na sercu na-

rosło w tym temacie. Ale już teraz nie mogę milczeć, gdy mówicie o stołówce. Przecież fakty są faktami! Przecież zajęliśmy czołowe miejsce w konkursie na najlepszą stołówkę w Okręgu! A i ja zawsze pytam mojego kierowcę, a to przecież jeden z was, żołnierz służby zasadniczej, no więc jego pytam, jak to jest z jedzeniem na stołówce. I mówi, że świetne! Wy po prostu w swym krytykanctwie umiaru nie znacie i ulegacie naciskom określonych kół!

Kapral Chrymuszko nie protestował. Jaki sens miało tłumaczenie, że taka persona, jak osobisty kierowca dowódcy JW 1281, zaliczana jest przez kucharzy do koszarowej elity i jada razem z nimi, a nie to, co łaskawie rzucą na miskę zwykłym żołnierzom? Pułkownik pewnie i ten zarzut odparłby bez trudu. Choćby w taki sposób, jak rozprawił się z ostatnim:

– I to jeszcze ośmiela się takie ohydne zarzuty zgłaszać ktoś, kto jest na tym samym dywizjonie, co ci bandyci, Dobraczyński i Kartzen-dorff, którzy ukradli broń z magazynu i na bazarze sprzedali, a o tej zbrodni to nawet się nie zająknij! A tam właśnie było miejsce dla interwencji prawidłowo działającego kolektywu. I na co wy w ogóle śmiecie narzekać?! Ludowa ojczyzna z kryzysem się zmagą, z określonymi siłami walczą, a wy macie co zjeść i mundurów też wam nie brakuje. A o reszcie pogadamy po wyborach.

Akurat na temat mundurów, szczególnie wyjściowych, Rej miałby coś do powiedzenia, ale zrezygnował z zabierania głosu. Uznał, że Czachórski jest oficerem doświadczonym i otrzaskanym w słownych bojach.

Faktów jeszcze więcej

– Nie, nie – protestował kapral Mularczyk. – To podchorąży musi być przewodniczącym komisji skrutacyjnej! Jak by to wyglądało, gdybym ja... Musi być podchorąży!

– Słuchaj – Rej stwierdził, że widać on tu jest osobą ważniejszą; nie było to uczucie niemiłe. – Skończ z tym *podchorążym!* Marek jestem.

– Dziękuję, podchorąży.

– Słuchaj, chyba się mnie nie boisz, że mi cały czas tytułem lecisz?

– Przepraszam. Tomek mam na imię.

Dwuosobowa komisja skrutacyjna uściśniła sobie ręce. Teraz konferowali szeptem nad zebranymi do urny kartami z nazwiskami kandydatów do nowego zarządu ZSMP 1 ŚBAA.

– Jak już muszę, to będę tym szefem. Ale nie zamierzam się odzywać ani słowem.

– Tak, tak. Ja wszystkim się zajmę, ale to naprawdę lepiej będzie wyglądać, jak ty będziesz szefem. Zawsze podchorąży musi być szefem, bo Czachór to lubi.

W czasie, gdy inni poszli na obiad, oni liczyli głosy, racząc się resztkami sernika i ćmiąc papierocha za papierochem.

– Cholera, ci tutaj obydwaj mają po trzydzieści jeden głosów – zmartwił się Mularczyk. – Trzeba będzie chyba jednemu głos skasować i wyrzucić...

– Nie trzeba! Ja przezornie jeszcze swoich głosów nie wrzuciłem. Jaki jest ten Chrymuszko? Chyba porządny gość?

– Na szkółce byliśmy w jednym plutonie. Rzeczywiście porządny. Nawet jak nas zapisali do ZSMP, to chciał protestować, ale starszy mu wytłumaczyli, że nie ma sensu...

– Jak to?

– No tak. Zaraz jak przyszliśmy, to nam z żołdu potracili na składki. Nikt się nie buntował, bo to były jakieś dwie dychy, zupełne grosze. Kazali, to dawałeś. A potem Radecki powiedział, że już wszyscy jesteśmy w ZSMP. I co, będziesz występował? Od razu cię upierdolą. Elew musi być w ZSMP, choćby na sztukę. Tak jak trep w Partii...

Delegaci powrócili z obiadu, komisja skrutacyjna zasiadła przy przeznaczonym dla niej stoliku. Rej spojrzał na stojącą na blacie metalową tabliczkę z wygrawerowanym napisem: *Komisja Skródacyina* i z niesmakiem położył ją płasko na blacie, by nie było widać treści nazbyt kontrastującej z zasadami poprawnej polszczyzny.

Po ogłoszeniu wyników (zwyciężyli buntownicy: Anczyc i Chrymuszko, oraz wazelinarze: Kotek, Zajdel i Raclawski) na mównicę wszedł pułkownik:

– Chciałem w pierwszym rzędzie podziękować staremu i pogratulować nowo wybranemu zarządowi. Z niecierpliwością czekam na podział funkcji, który nastąpi, zdaje się, w przyszłym tygodniu. Ja wam tu nie chcę niczego narzucać, obiecuję więc, że udzielę wszechstronnej pomocy nowo wybranemu przewodniczącemu, mam nadzieję że spodoba wam się w tej roli towarzyszbombardier Raclawski, he, he... Niestety, teraz mowa moja będzie krótka. Jest bowiem – spojrzał na zegarek – dziesięć minut po godzinie piętnastej. Za pięć minut czeka was miła, mam nadzieję, niespodzianka. Ale teraz powiem wam jeszcze kilka ważnych słów. Najpierw w temacie przepustek. Narzekacie, że za mało wychodzicie z koszar. A dlaczego? Gdzie wam tak pilno? Do wódki w tutejszych knajpach? Czy koszary to więzienie? Przecież tutaj właśnie jest drugi dom każdego żołnierza, możecie sobie sami zorganizować czas na terenie koszar. Sami! Złóżcie tylko stosowne propozycje, prześlijcie drogą służbową, z opiniami kolejnych dowódców i jak wszystko będzie w porządku, to możecie robić, co chcecie. Od ręki wyrazimy zgodę. A poza tym... jest coś takiego, i dobrze o tym wiecie, jak Stan Gotowości Bojowej. Zawsze dwie trzecie składu osobowego brygady musi być na terenie koszar, i w gotowości bojowej! Wy tu jesteście po to, żeby ojczyzny bronić, jak wojna wybuchnie, a nie się bawić! I nie chlać wody! A większość z was to potrafi się tylko samorealizować w temacie alkoholowo-wódczanym! A o tym, żeby ojczyzny

bronić, to zero myśli! Chyba że od wielkiego dzwonu! A tu trzeba codziennie, rano i wieczorem!

Jakby na potwierdzenie słów dowódcy JW 1281 zawyła syrena alarmowa. Czyżby pożar?...

Do sali wpadł zdyszany major Senkowski:

– Obywatelu pułkowniku, melduję, że alarm bojowy rozpoczęty!

Czachórski skinął głową:

– Żołnierze! Do obowiązków alarmowych rozejść się! Biegiem!

Wykonać! Ruchy!

W ten sposób zakończyła się część zebrania poświęcona odpowiedziom dowódcy na pytania zadane przez żołnierzy.

Rej obserwował zamieszanie na placu, stojąc przy oknie na korytarzu klubu żołnierskiego. Widok trochę ograniczały stojące przy budynku kilkumetrowe drewniane pseudoludowe rzeźby, wyobrażające równie dobrze alegorię przyjaźni polsko-radzieckiej, co akt kopulacji słonia z mrówką.

Hultajka i Borówkę ściągnął do SPR starszy szeregowy Marmucha, a Reja – kapral Muca. Oprócz kuchcików znajdowali się tu już członkowie ekipy, która – jak by powiedział pułkownik Czachórski – samorealizowała się w temacie alkoholowym w hotelu PGR-u w pobliskich Mordkach: Ruchacz, Zdyb, Szalski, Walicki, Król i Daczny.

– Dziewięciu ich, kurwa, a na samą jedynkę potrzeba czternaśtu! – zmartwił się podporucznik Siwak. – Muca, kurwa, dzwoniłeś już do Piontka?

– Nie ma go w domu.

– A gdzie chuj jest?

– Wyszedł z dziećmi na spacer.

– To może syrenę, cholera jedna, usłyszał... Ale dzwoń do skutku, żeby jak najszybciej się zjawił. I wyślij Marmuchę do praktykantów, żeby ich z internatu tu ściągnąć, nim uciekną! Zadzwoń

też do Głodówki i Śmiechockiego. I do Maskiego! Albo nawet nie dzwoń... I tak chuje udadzą, że ich nie ma.

Z okazji alarmu Muca przejął dyżur od siebie samego. Był zarówno żołnierzem pełniącym służbę podoficera dyżurnego, jak i wyznaczonym – zgodnie z Książką Gotowości Bojowej – do tej funkcji na wypadek alarmu.

– No to, kurwa, podchorążowie... – polecił Siwak. – Do szatni, przebrać się w mora, zabrać plecaki i jeszcze te, no, cholera... koce z wozów. Wykonać!

– Biegiem! – dodał Muca.

– Zbiórka przed magazynem broni!

– A czy hełmy też bierzemy?

– A co, podchorąży ma zamiar stać na warcie w czajniku?

– Ale te koce to założyliście jak te chuje połamane. Trza było zrolować...

– Nie wiedzieliśmy...

– Trudno, kurwa. Zbierać się, bo czasu nie ma!

I oto już za kwadrans czwarta stali na placu musztry, oczekując zaprzysiężenia. Do podchorążych dołączono pięciu szeregowców, wypożyczonych z któregoś dywizjonu – zadziałały układy Siwaka.

Choć umundurowanie wartowników (jeśli nie liczyć bażan-cich makaronów na pagonach) było identyczne, wprawne oko i tak nie mogło pomylić bażanta ze szwejmem. Podchorążowie byli w znakomitej większości nieogoleni i w ogóle – z powodów, jak wiemy, rozmaitych – nie wyglądali nazbyt bojowo. Ich postawa na baczność też pozostawiała wiele do życzenia. Niby próbowali, ale starać się im się jakby nie chciało; może tylko Borówka we właściwy dla siebie sposób przeżył tors. A szeregowcy? Prawidłowo zrolowane i dopięte do plecaków koce, wyprężeni, oczy wlepione w dowódcę warty...

Chociaż mora podchorążych były przybrudzone, przy strojach szeregowców prezentowały się niczym dworskie surduty wobec łachmanów żebraka. Polówki szwejków były pocerowane, pokancerowane dziurami i rozdarciem, przyozdobione łątą na łącie.

I jedni, i drudzy byli uzbrojeni w kbkAK. Ale i tu istniała różnica. Bażantów wyposażono w kbkAK MS z metalową składaną kolbą, zaś żołnierze służby zasadniczej dźwigali ciężkie kałasznikowy starego typu z drewnianą kolbą.

Dowódcą warty był wściekły na cały świat plutonowy podchorąży Zabawa. Gdyby nie to, że zachciało mu się zajrzeć do biblioteki w klubie żołnierskim (i tak, jak zwykle, była zamknięta), nie wpadłby w oko oficerowi dyżurnemu i udałoby mu się szybciotko, w internacie, przebrać w cywilki... Tak zrobili pewnie Synek i Mamciorek, a przynajmniej taką wersję przedstawił Siwakowi Marmucha.

Oficerem dyżurnym na wypadek alarmu był kapitan Jaronim.

– Obywatelu kapitanie, dowódca warty numer jeden, plutonowy podchorąży Zabawa, melduje wartę gotową do objęcia służby wartowniczej. Stan warty: dziesięciu podchorążych, dwóch podoficerów służby zasadniczej, pięciu szeregowych. Wartę wystawia SPR Artylerii.

– Czołem żołnierze! – przywitał się oficer.

– Cz-łem lu nie!

– Spocznij! Znają obowiązki? – zwrócił się Jaronim do dowódcy warty.

– Nie. Tego jeszcze nie było w programie...

– No to co zrobimy? – zmartwił się kapitan. – Nie mogę przyjąć takiej warty.

– Przyjmiesz! – pocieszył go stojący z boku Siwak. – Masz inne wyjście?

Teoretycznie oficer dużurny-inspekcyjny powinien nieprzygotowaną wartę odesłać i zameldować o tym dowódcy jednostki,

by ten ukarał dowódcę pododdziału, który dostarczył wartowników-nieuków. Skąd jednak wziąć w czasie alarmu ludzi na podmiętę? W tej sytuacji Jaronim musiał podjąć decyzję salomonową:

– To ja wam w skrócie powiem – westchnął. – Służba wartownicza to wykonywanie zadania bojowego w czasie pokoju. Polega ona na obronie posterunku, osób powierzonych pieczy wojskowej oraz oddanych pod straż. Wartownik podlega jedynie dowódcy warty i jego pomocnikowi oraz swemu rozprowadzającemu...

Terkotał jak porządny karabin maszynowy. To, co zajmuje kilka stron Regulaminu, wyrzucił z siebie w ciągu kilkudziesięciu sekund.

– Warty, na moją komendę... Bacność! Służbaaa wartowniczaaa! Do-cy wart... Do mnie!

Z tą chwilą podopieczni Zabawy i dowodzącego wartą numer dwa (obejmowała teren poza koszarami) porucznika Howańca z SPR OC stali się pełnoprawnym stróżami koszar.

– Spocznij!

Oficer dyżurny przez chwilę coś tłumaczył dowódcom wart, by upozorować wagę zadań, które wszystkim były znane i obojętne.

– Bacność! Warty do miejsc pełnienia służby... Odmaszerować! – nakazał kapitan. – Spocznij!

– W lewo zwrot! Naprzód, marsz! – Ostatnią komendę wydał już plutonowy podchorąży Zabawa.

Na warcie, czyli „wykonywanie zadania bojowego”

Kapral podchorąży Miller i kapral Trochińczuk zgarnęli swych wartowników i jako rozpylacze (tak zwało się w żołnierskiej gwarze rozprowadzających wartę), poszli przejmować posterunki.

Dotarli do znajdującego się przy klubie żołnierskim bunkra.

– Stój! – rozkazał Miller. – Hmm... Józek, jak to leci?

– Powtarzaj za mną – poradził Trochińczuk. – Zmiana od prawego pojedynczo, magazynkiem... ładuj! Bacność! W prawo zwrot! Zmiana za mną, marsz!

To samo powtórzył Miller.

W wartowni gwałtownie wzrosło zainteresowanie wojskową wiedzą, co w znacznym stopniu stanowiło zasługę pomocnika dowódcy warty, starszego kaprała Kozła.

– Słuchajcie, nauczcie się przynajmniej prawa użycia broni, bo jak was Czachór sprawdzi, to od ancla się nie wybronicie!

Grozę wzbudziło odkrycie, którego dokonał Borówka.

– O Boże! Przecież w tym Regulaminie te strony akurat wyrwali!

I choć Rej twierdził, że bażantom areszt nie przysługuje, a co najwyżej ZOMZ, Borówka był niepokieszony.

Upłynęło trochę czasu, zanim do wartowni dotarli podporucznik Siwak i kapitan Piontek.

– Co to, kurwa, za hałasy? – przywitał się Siwak.

Jeden z wypożyczonych żołnierzy zetki pobladł, zerwał się na równe nogi i wrzasnął:

– Powstań! Bacność!

On i jego dwaj koledzy wykonali polecenie wzorowo. Nawet Borówka nie mógł się poszczycić takim wytrzeszczem oczu i zaciśnięciem szczęk.

– Spocznij! – zezwolił Piontek.

– No, co tak, kurwa, lamentujecie, podchorąży Borówka? – życzliwie zagał Siwak.

– Obywatelu poruczniku, bo nie mamy Regulaminu i nie możemy się nauczyć prawa użycia broni!

– Ha, ha! Trzymam zakład, że macie tutaj to prawo, ale nawet o tym nie wiecie – spojrzal po twarzach szeregowców. – Ilu jest was, kurwa, z drugiego?

– Obywatelu poruczniku, kanonier Januszko melduje, że z drugiego dywizjonu jest nas trzech tutaj plus dwóch na posterunkach! – powiedział wyprężony jak struna żołnierz.

– Ile wart, kurwa, zaliczyłeś?

– O-telu poruczniku, melduję, że czterdzieści osiem!

– A ty? – oficer wskazał drugiego szeregowca.

– O-telu po-niku, melduję że siedemdziesiąt jeden!

– A trzeci?

– O-telu po-niku, bombardier Rudnik!

– Ile, kurwa, wart?

– O-telu poruczniku, melduję że to pięćdziesiąta pierwsza.

– To powie, kurwa, Moś...

– Rozkaz! – wyprężył się wskazany.

– Prawo użycia, kurwa, broni, znasz?

– Tak jest, telu ku!!!

– No to – oficer zwrócił się do podchorążych – wyciągnijcie ołówki, weźcie od Zabawy kartki i notujcie. A przy okazji to mogliście zobaczyć tera, kurwa, jak wygląda żołnierz w pozycji baczność. Widzicie, jak ich tresują? Nie to, co wy macie! Bierzcie przykład z Mosia, kurwa!

Pod wpływem pochwały kanonier Moś pokraśniał ze szczęścia. Zaplusował!

Po chwili znalazły się kartki i ołówki. Rej i Borówka dysponowali nawet długopisami.

– Żołnierz pełniący służbę wartowniczą... ma prawo i obowiązek zastosowania wszelkich możliwych środków przymusu, do użycia... broni włącznie, w następujących sytuacjach. A: w obronie... własnej i w obronie innych żołnierzy... – Moś wyrzucał z siebie wiadomości seriami, po kilka słów, niczym sam generał Jaruzelski; przerwy

były króciutkie i nie miały żadnego związku z interpunkcją – warty lub patrolu dla odparcia... bezpośredniego zamachu zagrażającego ich życiu. B: w obronie...

– Wolniej, kurwa. Ja wiem, że ty to umiesz, ale niech oni zdążą zapisać!

– Rozkaz, telu i-ku! B: w obronie życia osoby ce... w celu zamachu... no... bliskiego... no... na...

– Co, kurwa?! Prawa użycia broni nie znasz?! Gadaj!

– O-telu poruczniku – zaczerwienił się żołnierz – ja umiem, tylko muszę szybko, bo inaczej mi się pierdoli. Tak żeby powoli, to mi nigdy na odprawach nie kazali.

– No dobrze, kurwa. Nie będziesz karany.

– Dziękuję, telu niku! – żołnierz z powrotem wrócił do krainy szczęśliwości.

– A który z was spróbuje, kurwa, wolno?

Po pewnych wahaniach zaryzykował Rudnik. Posiadał belkę, więc zdarzało mu się niekiedy występować w roli rozpylacza. Rzeczywiście szło mu znacznie lepiej.

– C: w celu odparcia bezpośredniego zamachu na ochraniane obiekty, urządzenia i inne...

– Słuchaj – przerwał Rej – a jak na przykład jakiś przechodzący obok cywil powie, że chce wysadzić koszary, też masz do niego strzelać?

Rudnik oczywiście do nikogo by nie strzelał, ale za czorta nie mógł sobie przypomnieć, co na ten temat mówi Regulamin. Intensywnie poszukiwał odpowiedzi w czubkach butów i deskach podłogi. Wreszcie znalazł!

– No to... chyba też...

– No tak! – triumfował Rej. – Założę się, że i teorii ślepych noży go nauczyli jako właściwej...

Ruchacz, znajdujący się na posterunku pierwszym, krążył trasą wokół ogrodzenia koszar – strzegł boiska sportowego i magazynów. Dochodząc do miejsca, gdzie wiodły liczne ścieżki na lewiznę, usłyszał podejrzany szelest.

Podszedł bliżej.

– Te, kurna, wartownik – zaszeptał osobnik rozkraczony na krawędzi betonowego ogrodzenia. – To ja, kurna, wracam już...

– Jaki ja?! – Ruchacz zdjął karabin z ramienia.

– O kurna?! Bażant! – przeraził się szwej. – Nie strzelajcie, podch... chorąży!

– Co, na lewiznę prysnąłeś?

– Pozwolicie, kurna, zejść, obywatelu podchorąży?

Zlął na dół. Był odziany w moro, bez belek i naszywek. Szeregowiec lub kanonier, co na jedno wychodzi.

– Dzięki, kurna, podchorążemu – powiedział intruz. – Chce podchorąży łyka?

Oddech żołnierza jednoznacznie wyjaśniał, o łyk jakiego napoju chodzi.

– Dawaj! I uważaj, jak będziesz szedł do swoich, bo alarm ogłosili!

– O kurwa! Widać tak żem się zapierdolił, że syreny żem nie słyszał... To dlatego bażanci, kurna, na warcie, nie? Kurrna... – to ostatnie słowo drgało szczególną trwogą.

– Podchorąży Rej! – zawołał Zabawa. – Do kapitana!

Wezwany powłókł się do pokoju dowódcy warty.

– No, podchorąży... – Piontek mówił, ładując jednocześnie magazynek do służbowego P-61, nieregulaminowo skierowanego lufą w stronę bażanta – zdecydowałem, że jednak dostaniecie ten urlop. Jak tylko alarm się skończy, to sprawę rozpatrzemy pozytywnie.

Rej był tak zmęczony, że nawet stanął (prawie) przepisowo na baczność i niczego nie odburknął w swoim stylu. Oficer zauważył to i docenił:

– Jak chcecie, to i postawę zasadniczą potraficie przyjąć! Mimo wszystko widzę u was zasadnicze postępy. A jak jeszcze na warcie czegoś nie zbroicie, to urlop pewny!

– Dziękuję, obywatelu kapitanie.

Hultajek wachtował na czwartym posterunku – przy bramie wjazdowej. Jego jedyną powinnością było więc wpuszczanie i wypuszczanie samochodów oraz *czuwanie* i *baczenie*. Ponieważ z racji alertu szlaban był otwarty i do koszar wchodził i wjeżdżał, wychodził i wyjeżdżał każdy, kto chciał i kiedy chciał (pod warunkiem, że człowiek w mundurze, a samochód wojskowy), zakres obowiązków obywatela wartownika skurczył się do spraw wyłącznie reprezentacyjnych. Jako że po alarmach bardzo wielu rzeczy w koszarach brakowało, złośliwi twierdzili, iż urządza się je głównie po to, by *w spokoju można sobie pokraść, potem sporządzić protokół zniszczenia i sprawę odłożyć „ad acta”*.

Bażant stał teraz przy otwartym szlabanie i zerkał w stronę placu musztry. Wspominał popis, jaki Chryń ze swoim ojcem – generałem urządzili tutaj przed kilkusetosobowym audytorium:

– *Ja się tutaj nie prosiłem! To ty mnie na to zadupie władowałeś! Przez cały miesiąc byłem spokojny, nie wyciąłem ci żadnego numeru! Miateś jakieś problemy przeze mnie?! Mercedesa za „męską próbę” obiecałeś!*

– *Ale...*

– *Cicho! Ja mówię! – darł się na całe koszary bombardier podchorąży Chryń na generała dywizji Chrynia.*

– *To ja cię już przeniosę...*

– *Gównu! W dupę se wsadź swoje przenosiny! Na przysięgę miał być merc, a ty chcesz zatkać mi gębę fiatem! Nic od ciebie nie chcę! ZIP-a też!*

Ech... Co to był za obrazek! Ilu żołnierzy mogło widzieć na własne oczy prawdziwego generała, musztrowanego na środku koszar przez jednobelkowego żołnierza?

– Czy są ochotnicy, żeby iść po kolację? – zapytał Kozioł.

– Ja mogę iść! – Rej, choć leciał z nóg, nie zamierzał kłaść się w intensywnie woniejącej starymi (bardzo starymi!) skarpetami Izbie Odpoczynku Nocnego.

Zgłosili się również Zdyb i kanonier Januszko.

Zabrali dwa dziesięciolitrowe termosy – jeden na herbatę, drugi na jedzenie – i pod wodzą kaprała podchorążego Millera wyruszyli do stołówki podchorążackiej. Przepędzili obok nieregulaminowo opartego o szlaban Hultajka. Termosy pobrzękiwały.

Już na ulicy usłyszeli mroźące krew w żyłach wycie.

– Co to, wilki? – zapytał mieszczuch Zdyb.

– Eee, nie – zaśmiał się Januszko. – To Zośka, pewnie chce jeszcze!

– Jaka Zośka?

– A, taka jedna kurwa – wyjaśnił żołnierz.

– Nie mów, że kurwa! – zezłościł się Miller. – Ją przecież zgwałcili!

– Eee tam, zaraz zgwałcili – Januszko wiedział swoje. – No, ma niby podchorążę rację, ale i wcześniej to dziewczyna ona nie była...

– Jaki gwałt? – zapytał Rej.

Miller wyjaśnił, że stało się to późną wiosną. Szwendła się po okolicy taka dziewczyna, nie miała chyba jeszcze osiemnastu lat, lekko upośledzona umysłowo. Mieszkała w starej ruderze razem z matką, alkoholiczką, ale sama wtedy jeszcze nie piła. Chyba również się nie puszczała, choć kto ją tam wie... Niby szweje mówili że tak, ale oni mówią w ten sposób o każdej mieszkającej w pobliżu koszar panience, choćby nawet żadnego na dziesięć metrów do siebie nie dopuściła. Pewnego razu wartownicy zaciągnęły ją na wartownię i tam siłą spili. A potem dziewczynę zataszczyli do kotłowni, i – żeby było śmieszniej i weselej – ściągnęli kumpli z aresztu, bo tam jest przejście. Po każdym trzech numerach podmywali ją szlauchem. Na początku każdy – no bo to spragniony kobiecego ciepła – obrócił ją parę razy... i starzy kocurów nie chcieli dopuścić. Ale nad ra-

nem diametralnie zmienili zdanie. Kiedy okazało się, że jakiś kociak nie chce, to położyli go na nią, walnęli parę razy pasem przez dupę, i też musiał ją przelecieć: niech nie mówi, że dziadki nie zadbały o inicjację młodego! Przez kilka dni tak dziewczynę przetrzymywali, dopóki się nią nie znudzili i nie uciekła.

– Wielu teraz siedzi? – zapytał Zdyb.

– Jeśli gdzieś siedzą, to najwyżej u lekarza – parsknął Miller. – Bo prawie wszyscy złapali syfa. Ale czy panienka ich zaraziła, czy też złapali jeden od drugiego, nie wiadomo. A Zośce się wtedy z głową pogorszyło i od tego czasu tak łązi i wyje. Szczególnie wieczorami.

– A co z tymi szwejami? Wsadzili ich? – dociekał Zdyb.

– Zwariowałaś? – roześmiał się sardonicznie Miller. – To by przecież, jak mawia Czachór, *zbrukało dobre imię brygady!* Dali matce jakieś pieniądze, córce to i tak było wszystko jedno, bo od tamtego dnia tylko wyje, nic nie mówi, i nikt się z nią nie dogada. A sprawy o gwałt to tylko z oskarżenia prywatnego...

– To znaczy – sprecyzował Rej – na wniosek pokrzywdzonej.

– No właśnie. Więc wszyscy zadowoleni, bo sprawie ukręcono łeb. A wtedy Czachórski miał znacznie poważniejsze zmartwienia. Wiosną jeden z podchorążych z SPR OC odmówił złożenia przysięgi wojskowej (wówczas jeszcze obowiązywała stara rota), w związku z czym zgarnięto go najpierw do więzienia, a potem przerzucono do jednostki karnej. A inny chciał sprowadzać księdza, żeby w niedzielę odprawiał msze dla wojska. To były p o w a z n e sprawy... O tych dwóch aferach – kontynuował Miller – mówiła „Wolna Europa”. To było piekło! Najbardziej o te msze, bo trepom strasznie ciężko szło wyjaśnianie, czemu to niemożliwe, skoro w wojsku są kapelani, nawet na etatach. To się chyba nazywa Generalny Dziekanat Ludowego Wojska Polskiego. Dekoracyjne księżulki...

– Dlatego tak się wściekli, gdy Mamut wyskoczył z tym wyjściem do kościoła?

– Bali się repety. Szczególnie, że te afery działały się głównie w SPR OC.

– Ale chyba jednak ukarali jakoś tych gwałcicieli? – powrócił do poprzedniego tematu aplikant prokuratorski Zdyb.

– Coś ty! Jeszcze im dali po pięć dni nagrodówki, żeby trzymali język za zębami i nie plamili *d o b r e g o i m i e n i a* – zaakcentował Miller – naszej kochanej brygady. Ale szweje i tak nie mogli wytrzymać i chlupali ozorami na lewo i prawo. W wojsku się przecież takie rzeczy nie ukryją. Początkowo im zresztą za bardzo nie wierzono, ale jak matka panienki zaczęła przechwalać się w knajpie, ile ma pieniędzy i za co... Cieszyła się, że wreszcie córka na coś się jej przydała. Śmiała się też, że jej matkę przeleciały *Miemce*, ją – *Ruski*, a córkę – *Poloki*...

Wycie na chwilę się nasiliło, a zaraz potem – ucichło. Tylko w oddali ktoś cicho płakał.

Zbrodnia i kara

– Stój! – polecił kapral podchorąży Miller. – Od pierwszego... Jak to, cholera, dalej idzie?

Niestety, w okolicy nie było drugiego rozprowadzającego. Dobrze przynajmniej, że tym razem Miller zabrał Regulamin Służby Garnizonowej i Wartowniczej.

– Gdzie to jest? – wertował stronice, przyświecając sobie latarką.

– Co za wstyd, żeby byle szwej lepiej znał komendy? – przygadał Rej.

– Ale wy nie jesteście szwejami – zaśmiał się Miller. – Załadujcie to jakkolwiek, i tak żaden chuj nas nie widzi! Ja dopiero drugi raz na warcie jestem, to skąd mam wiedzieć.

Tymczasem w wartowni szykowała się iście królewska uczta. Wszystko zaczęło się od przypalonej kaszanki, którą dostali na kolację. Uznali ją za jadalną jedynie żołnierze drugiego dywizjonu. Rozpieszczone żołądki bażantów zbuntowały się przeciwko takiemu posiłkowi.

– Nie dość, że przypalona, to jeszcze śmierdząca! Ech... frytki by się zjadło!

Idea ta wszystkim przypadła do gustu, szczególnie że jej realizacja nie nastroczała problemów. W kuchni wartowni zainstalowane były dwie kuchenki gazowe, nie brakowało też garów i rondli. W naczyniach rozgościły się co prawda kwitnące kolonie pleśni, ale żołnierze nie takie brudy już szorowali! Ziemniaki i tłuszcz bez trudu zdobyli w stołówce. Szykowała się wspaniała wyżera.

I w takim momencie trzeba było wyjść na wartę! Żyjący cały dzień o ZSMP-owskim serniczku i torciku Rej był niepokieszony.

Na posterunku najpierw sprawdził telefon. Aparat ukryty był we wnęce, przy bramie jednego z garaży. Trzeba podnieść słuchawkę, zakręcić korbką i odczekać chwilę.

– To ja, Marek Rej, z piątki. Wszystko OK. Smacznych frytek! – zameldował się na swój prywatny sposób. Z Zabawą mógł sobie na to pozwolić. Zwłaszcza że Siwak i Piontek poszli już w diabły. Podobno mieli wrócić dopiero na koniec alarmu.

Odłożył słuchawkę, nie czekając na odpowiedź. Połączenie telefoniczne skonstruowano tak sprytnie, że umożliwiała tylko jednostronny kontakt: stąd-tam. Rej zadzwonił, bo umówili się, że Zabawa będzie oczekiwał sygnału o każdej pełnej godzinie. Gdyby posterunek milczał, dowódca warty musiałby wysłać kogoś na kontrolę. A komu chciałoby się opuszczać rozkosznie pachnącą wartownię?

Król czatował na posterunku numer trzy. Pilnował asfaltu placu musztry oraz dwóch pustych garaży.

Naraz przy jednym z nich dostrzegł podejrzane ruchy.

– Nie strzelać, nie strzelać! – przeraził się osobnik manipulujący przy bramie. – Ja zawsze plombuję dziewiąty garaż!

Na dwójce czuwał Borówka. Posterunek numer dwa, zmiana druga... posterunek numer dwa, zmiana druga... – powtarzał w myślach, starając się zapomnieć o tym, że formalnie rzecz biorąc, przebywa nadal na urlopie. Co za pech! Czy jego nieszczęścia nigdy się nie skończą?!

Znowu dostał wyjątkowo odpowiedzialne zadanie. Na powierzonym mu terenie mieściło się wiele garaży i, co ważniejsze – stacja benzynowa brygady. Tu naprawdę należało być czujnym! Chętnych do podprowadzenia paliwa nie brakowało...

– Co, bażant? A czemuś ty, kurwa, taki gruby? A co zrobisz, jak ci plombę upierdole?

Przed Borówką stał, kołysząc się lekko na nogach, nieznamy mu żołnierz. W skąpym i nieznacznie tylko rozpraszającym ciemności świetle lamp podchorąży dojrzał jednak na pagonach intruza parę oficerskich gwiazdek, otoczonych sierżancką obwódka. Starszy chorąży... Chorąży! Taki sam stopień, jak u tego palanta, który go przytargał z Białegostoku...

– Stój! Służba wartownicza!

– Nie wygłupiaj się, kutasie. Ja ci nic nie zrobię, tylko plombeczkę zajebię, he, he...

– Bo będę strzelał!

– He, he, w dupę se lepiej strzel. Nawet komend nie znasz, chujku głupi! Patałach! I I nawet giwerek źle, kurwa, trzymie!

Rzeczywiście, Borówka zupełnie zapomniał o karabinie. Pewnie dlatego, że nie myślał o możliwości jego użycia. Ale teraz patrzył w nalaną twarz trepa, migąły mu przed oczami jego pagony. Poczul, jak do gardła podpływa zawartość żołądka. Niech się dzieje, co chce!

– Obywatelu podchorąży – zameldował bombardier Rudnik.
– Wierzba dzwoni!

– Otworzyć! – polecił Zabawa Rudnikowi, a do kuchni krzyknął:
– Panowie, panika! Kwatermistrz przyłazł! Zbudźcie tych, co śpią!

Zgrzytnęły ciężkie drzwi. Kwatermistrz brygady zaszczycił wartowników wizytą. I żeby tylko on! Za nim wkroczył pułkownik Czachórski. Stał widać z boku i Rudnik nie zauważył go przez wizjer. Żołnierze zmian czuwającej i odpoczywającej (w ciągu dnia spać nie wolno, więc po sygnale o pojawieniu się dowódców ściągnięto ich spiesznie z wozów) wyprężyli się na baczność.

– Obywatelu pułkowniku! – zsalutował dowódca warty (szczęśliwie zdążył założyć zdjęty uprzednio pas). – Plutonowy podchorąży Zabawa melduje...

– Starczy, starczy... Co mi tu podchorąży chce zameldować? Wartę czy drużynkę na kuchni? Co tu za smrody czuć? Co wy tu właściwie robicie? – Czachórski wyrzucił z siebie serię pytań, głosem gniewnym, ale odległym od krzyku. – I to podchorążowie, elita intelektualna Jednostki! Zawiodłem się na was w tym temacie!

– Tu są i ci ze służby zasadniczej – zauważył pułkownik Wierzba.

– Ilu ich? – warknął Czachórski. – Powie dowódca warty!

– Pięciu, w tym na wartowni obecnych czterech – wyjaśnił Zabawa.

– Żołnierze służby zasadniczej... wystąp! – huknął dowódca JW 1281.

Czterech nieszczęśników wykonało polecenie.

– Nazwiska? – Wierzba wyciągnął pękaty notes i ułamek ołówka. – I z jakiego pododdziału?

– Wszyscy z drugiego dywizjonu – zameldował Zabawa.

– Podawać nazwiska! – zażądał Czachórski. – Co, głusi jesteście?! Żądać i narzekać, wódek chlać i broń kraść to potraficie, ale swych obowiązków to już nie chcecie znać?! Meldować się!

W czasie gdy Wierzba osobiście zajął się porządkami w kuchni, żołnierze przedstawiali się Czachórskiemu. Ich nogi – dotyczyło to zwłaszcza kanoniera Januszki – trzęsły się w sposób nieosiągalny nawet dla Borówki w chwilach szczytowej grozy.

– A gdzie reszta?

– Melduję, że na posterunkach – przypomniał Zabawa.

– Ich też ukarzę! – zdecydował Czachórski. – Przekażę sprawę dowódcy dywizjonu, żeby ukarał. Stołówkę sobie z wartowni zrobili! Skandal! Największe draństwo, z jakim się w wojsku spotkałem!

Według Czachórskiego, tutejsza kuchnia służyła jedynie do e w e n t u a l n e g o podgrzewania jedzenia przyniesionego ze stołówek. Nie wolno było przygotowywać w niej niczego samemu, bo to zbyt odrywało od żołnierskiej powinności i było sprzeczne z zasadami bhp. I co by było, gdyby oni obierali ziemniaki, a tu nagle wybuchła wojna? No co by było?!

W czasie wykładu na temat szkodliwości frytek dla obronności Polski twarz pułkownika przechodziła różne fazy kolorystyczne, niemal jak malarstwo Picassa, choć w odmiennej paletce i kolejności barw: blady, żółty, pomarańczowy, siny, wreszcie czerwony z odcieniem beżu (plus biała piana w kącikach ust), i znowu siny, choć teraz oscylujący w kierunku błękitu. Żyły na jego czole nabrzmiały.

– I to jeszcze podchorążych deprawujecie, jeden z drugim! Chcielibyście ich zbałamucić, bandyci! Faszyci! Jak dowódcy dywizjonu zabraknie kary, to ja podniosę! W areszcie zgnijecie!

Kwatermistrz brygady wtrącił się w kwestii praktycznej:

– Nie mamy już miejsc w areszcie i kolejka do lutego zajęta. Za to, co zrobili, lepiej tych tutaj do Orzysza...

– Słusznie, towarzyszu! Niech pójdą do oddziału dyscyplinarnego! Tam dostaną szkołę, jak będą musieli pobiegać w ołowianych pasach! Jeszcze będą płakać za brygadą! Wszystko na ten temat!

Borówka odciągnął zamiek. Suchy szczęk broni przywołał i jego, i intruza do przytomności.

– Nie, panie podchorąży, kurwa, ja żartowałem – chorąży jakby trochę otrzeźwiał. – Ja już sobie pójdę lepiej...

Wartownik przypomniał sobie, że plutonowy podchorąży Zabawa ostrzegał, iż jeśli wprowadzi się nabój do komory, zawsze pozostanie na sponcie ślad, zatem należy sporządzić odpowiedni meldunek. Trzeba przedstawić wtedy wyjaśnienie, a najlepszym usprawiedliwieniem jest ktoś przyłapany na zakłócaniu porządku. Szczególnie jeśli ten ktoś jest pijany. Chyba żeby strzelić do niego, gdy ucieka...

Na posterunku Reja nie działo się nic. Znużony, dreptał dookoła i zastanawiał się sennie... Bolały go nogi, skóra stóp szczypała. Co się dziwić: nie pamiętał, kiedy prał skarpetki. Czasu nie było, a na wymianę nie miał, bo ktoś mu ukradł zapasową parę. Ech! Niby nikt tu nikogo nie bije, czasem powrzeszczą tylko. Jedzenia, choć raczej podłego, nie brakuje... właściwie to często go za dużo... żeby, cholera, nie utyć!...

Więc co w tym wojsku jest najgorsze? To, i tamto... Właściwie trudno wyjaśnić to komuś, kto sam tego nie zaliczył. Chodzi o c a ł o k s z t a ł t. Wszystkie szpilki z osobna byłyby tylko irytujące, głupie, bardziej lub mniej dotkliwe i nie tak bolesne, jak ten cholerny całokształt. W wojskowym rozrachunku dwa plus dwa rzadko równa się cztery, zwykle jest to trochę więcej lub dużo mniej – zależnie od widzimisię rozkazodawcy. Tym światem rządzi logika, której nie może pojąć ktoś, kto nie był jego mieszkańcem. To k r

„Wojskowa nuda ma
mnóstwo odcieni:
od leniwej sielanki
po prawdziwy horror,
nadchodzący nie wiadomo
skąd.”

a i n a i n n e j g e o m e t r i i p s y c h i c z n e j. Choć z daleka może wyglądać nawet fascynująco. Matematyka rozróżnia, zdaje się, geometrię euklidesową i nieuklidesową. Więc jeśli świat normalny oparty jest na aksjomatach Euklidesa, to wojskowy... Wojsko to taka kraina mieszcząca się na wstędze Moebiusa. Ładnie nawet wygląda, ale niechże ktoś, kto jest przyzwyczajony do trójwymiarowej przestrzeni, spróbuje wejść w tryby dwóch wymiarów...

I jak w tym światku żyć? No jak?! Niby śmiech jest bronią, która coś znaczy... Ale czy przypadkiem nie mówi się, iż śmiech i szyderstwo pochodzą z arsenału ludzi słabych i pozbawionych możliwości rzeczywistych działań?

Dryń, drryń, drrrrrryń! – natarczywie zabrzączał telefon.

– Odbierze podchorąży! – polecił Zabawie pułkownik Czachórski.

Plutonowy podchorąży wrócił do pokoju dowódcy warty i wykonał rozkaz.

– Coooooooooo?! Który posterunek?! – Zabawa zrobił wielkie oczy, ale telefon był jednostronny, więc rozmówca nie mógł usłyszeć jego krzyku. Za to usłyszał, oczywiście, pułkownik.

– Co się stało, podchorąży? – uprzejmie zapytał Czachórski.

– Obywatelu pułkowniku, melduję, że wartownik z... – Zabawa nie był pewien, bo w słuchawce wyraźniejsze były trzaski niż głos wartownika, trzeba więc było strzelać – z trzeciego posterunku zameldował mi, że zatrzymał agresywnego pijaka.

– To idziemy tam! Podchorąży da mi rozprawdzającego!

Po kilku minutach ekspedycja powróciła. Okazało się, że wartownik posterunku numer trzy, Król, nigdzie nie dzwonił i nikogo nie złapał.

Posterunek czwarty był pod nosem, więc nie wchodził w grę. A piąty... Zabawa był zdania, że Reja prędzej można podejrzewać

o samowolne oddalenie się od chronionego obiektu niż o nadmierne zaangażowanie w *wykonywanie zadania bojowego w czasie pokoju*. I dobrze. Przynajmniej nie ma z nim problemów. Najpewniej chodzi więc o pierwszy lub drugi posterunek...

Czachórski przyjął usprawiedliwienia nad podziw spokojnie:

– Rozumiem, podchorąży, rozumiem. Nie tłumaczcie się bez potrzeby, bo to nie przystoi elicie intelektualnej jednostki. Dobrze wiem, że te telefony wartownicze są nic nie warte, a do tego jednostronne. Ale pieniędzy na to ciągle z e r o. Są pilniejsze wydatki... Ojczyzna w potrzebie...

– Rozprawdzający, zbliżyć się do rozpoznania, pozostałe osoby pozostać w miejscu! – polecił wartownik Borówka.

Kapral Trochęczuk podszedł bliżej i nie oczekując dodatkowych dyspozycji, skierował światło latarki na własną twarz.

– Droga wolna!

Okolicę garażu blado oświetlała odległa latarnia. Mimo to Czachórski zauważył, że kilka metrów od wartownika ktoś leży (jego twarz spoczywała w niewielkiej kałuży). Leży i pochrapuje. Co za hańba! A najgorsze, iż Papa Czachór był pewien, że wie, kto to taki...

Problemy ze starszym chorążym Półkośnikiem zaczęły się kilka lat wcześniej, kiedy ten złożył podanie o przeniesienie do rezerwy. Zmianę planów życiowych motywował chęcią prowadzenia odziedziczonego po rodzicach gospodarstwa (zresztą zanim został żołnierzem zawodowym, ukończył technikum rolnicze, i tylko konflikty rodzinne spowodowały, że założył mundur). Ówczesny dowódca JW 1281, generał Wąbrzuski, prośbę oczywiście odrzucił, gdyż wzorowy szef tuczarni był Jednostce niezbędny.

Wtedy chorąży po raz pierwszy urznął się w trupa (wcześniej też za kołnierz nie wylewał, ale tym razem poszedł na całość). Gdy

po trzech latach mógł ponownie złożyć prośbę, również mu odmówiono. Teraz uczynił to już pułkownik Czachórski, acz z zupełnie odmiennej przyczyny – nie mógł przecież wypuścić ze swej jednostki żołnierza legitymującego się lekarskim orzeczeniem o chorobie alkoholowej (*wojsko musi oddziaływać wychowawczo również na kadrę zawodową!*). Zgodnie z wojskową logiką starszy chorąży Półkośnik musi więc pozostać żołnierzem zawodowym tak długo, aż przestanie być alkoholikiem albo osiągnie wiek emerytalny. Bo zwolnić wcześniej do cywila można tylko wyleczonego. Jeśli jednak ów wyleczony okaże się żołnierzem pełnowartościowym – a na pewno się okaże – to nie ma sensu go zwalniać, bo potrzebny będzie w mundurze. Sytuacja była więc wybitnie patowa.

Czachórski zastanawiał się już od dawna nad tym, czy Półkośnikowi nie obniżyć stopnia. Uczynił to już zresztą w pierwszym roku swego pobytu w Szczupakowie (oczywiście na wniosek tuższego sądu honorowego) i Półkośnik z chorążego sztabowego stał się starszym chorążym, tym samym osiągając najniższy stopień w korpusie starszych chorążych. Regulamin zezwalał obniżyć stopień tylko w obrębie korpusu, a zarówno młodszy chorąży, jak i chorąży, byli już w odrębnym korpusie chorążych młodszych, zatem do tej grupy mogła przenieść Półkośnika jedynie degradacja. Ale taką karę mógł wymierzyć wyłącznie sąd. To nie wchodziło w grę, bo sprawa wypłynęłaby poza Jednostkę i zhańbiła jej dobre imię (poza tym jak już sąd degradowe, to od razu do szeregowego, a zawodowych szeregowych w LWP nie było, więc trzeba by go było zwolnić do cywila). No i na dodatek mówiono by, że Czachórski nie potrafi załatwić sprawy we własnym zakresie! I jak wtedy wyjaśnić, dlaczego Półkośnik posiada kilka odznaczeń? Powiedzieć, że pierwsze dostał, bo nie miał jeszcze żadnego, drugie, ponieważ dostał pierwsze, a od trzeciego już jakoś poszło? A może przyznać, że kiedyś był wzorowym żołnierzem? Jeszcze gorzej! Będą gadać,

że Czachórski nie potrafi zadbać o dobrą atmosferę i socjalistyczne współzawodnictwo w brygadzie...

– Podnieście go! – polecił dowódca JW 1281.

Borówka i Trochińczuk wykonali polecenie. Pijak otarł ubłoconą twarz.

– A, kuurwa, no i co... o... Czachór?...

Pułkownik odpowiedział pośrednio:

– Zadzwońcie na wartownię po patrol. Niech go zamkną w areszcie do wytrzeźwienia!

– A czyyyy... czy... dostanę tę samą celę, co zawsze? – zainteresował się Półkośnik.

Czachórski nie czuł się w obowiązku odpowiadać na te pytania. Dla odprężenia postanowił skontrolować posterunek pierwszy, gdzie wartował kanonier Januszko.

– ... I zostajecie ukarani trzema miesiącami służby w oddziale dyscyplinarnym, w Orzyszu! Oraz odebraniem urlopu taryfowego. Spocznij! Wszystko na ten temat!

Żołnierz zwiesił głowę.

– Co się mówi?!

– Kara... – jęknął delikwent.

– Tobie się tylko wydaje, że takie frytki to nic! Ale to osłabia dyscyplinę! A dyscyplina w wojsku być musi! I nie wymiguj mi się tu, że o frytkach nic nie wiedziałeś, bo na warcie stałeś, bandyto!

Wypełniwszy podstawowe obowiązki wychowawcze, Czachórski powrócił na posterunek numer dwa. Oczywiście wraz z kompletem adiutantów.

– Podchorąży, jak wasze nazwisko?

– Kanonier podchorąży Borówka, obywatelu pułkowniku!

– Wiecie, że to, co tu zaszło, to tajemnica wojskowa?

– Tak jest, obywatelu pułkowniku!

– Baczość! Za wzorową postawę w czasie wykonywania zadania bojowego w czasie pokoju nagradzam was zdjęciem na tle rozwiniętego Sztandaru brygady! Spocznij!

Oficer zdziwił brak entuzjastycznej reakcji.

– No, co się odpowiada?

– Ku chwale ojczyzny, obywatelu pułkowniku! – przypomniał sobie regulaminowy odzew Borówka.

– Bravo! A może macie jakieś sprawy do swojego dowódcy? Mówcie – zachęcił pułkownik. – Macie okazję, tak bez drogi służbowej.

– Obywatelu pułkowniku...

– No, słucham, nie bójcie się, towarzyszu!

– Oby... obywatelu pułkowniku, a czy... czy nie dałoby się – wyjąkał Borówka – zamiast tego zdjęcia... urlopu?

– Oj, podchorąży, podchorąży... – ojcowsko skarcił Czachórski.

– Rozczarowaliście mnie. Przecież takie zdjęcie to o wiele większe wyróżnienie. A wy chcielibyście zwyczajny urlop? Urlop minie i nic z niego nie zostanie. To taka skórka chleba rzucona na wiatr. A takim zdjęciem-pamiątką to i wnukom będziecie mogli się pochwalić! Będą wiedzieć, że wzór-konspekt żołnierz byliście!

Trudno powiedzieć, czy ten argument przemówił do poczucia wojskowej ambicji Janka Borówki. W każdym razie więcej życzeń nie zgłaszał.

Złe dobrego początki

Alarm odwołano, lecz nie dla wszystkich się zakończył.

Zamiast grać się na wartowni, Daczny powtórnie wyszedł na piątkę. Nałożył na siebie cały żołnierski rynsztunek, ale i tak było mu zimno. Niedaleko wielkie jeziora, ciągnie od wody. Ślicznie nad tymi jeziorami. Zabrać żaglówkę i z dziewczyną...

– Daczny! Jesteś tam?

– Jestem!

To patrol. Kapral Trochińczuk oraz podchorążowie Szalski i Zdyb. Szli uliczką po drugiej stronie siatki.

– Kiedy mnie zmienicie?

– Potrwa chwilę – wyjaśnił podoficer – bo jeden z patroli nie wrócił i mamy go szukać.

Wybiegając nieco w przyszłość, możemy wyjaśnić, że zaginiony patrol odnaleziono w knajpie na drugim krańcu Szczupakowa. Dzielni żołnierze wdali się w bójkę, gdyż wyśmiewano ich stroje. Korzystając bowiem z tego, że jeden z nich miał rodzinę w Szczupakowie, zajrzeli do tej bazy, założyli cywilne swetry, a spodnie i buty pozostawili wojskowe. Czyli: dół – moro, góra – sweterek, plus karabiny.

Na szczęście w czasie bójki byli już na tyle pijani, że zapomnieli o spoczywających pod stołem argumentach systemu Adrianowa-Kałasznikowa. Broń znaleźli dopiero oglądający pobojuwisko milicjanci. Oczywiście MO nie rozdmuchiwała sprawy, która mogłaby godzić w dobre imię umundurowanej społeczności Szczupakowa, ale sprawiła żołnierzom baty we własnym zakresie.

Czachórski zaś ukarał patrolowców dziesięciodniowym ZOMZ-em. Bowiem *na bieżący tydzień* limit kar bardziej dotkliwych wyczerpali już frytkowi aferzyści.

Dacznego znudziło sumienne sprawowanie obowiązków wartownika. Dawał mu się też we znaki przeszywający, z każdą chwilą silniejszy, północny wiatr. Wartownik ulokował się więc w palarni, położonej blisko śmietnika, trochę w kierunku bramy, przez którą artylerzyści chadzali na posiłki. A co to za sylwetka?...

– Stój! Służba wartownicza!

– Nie strzelać, nie strzelać! To tylko ja, palacz!

Rzeczywiście, wspominał coś Miller, że palacze przychodzą na śmietnik.

– Podejść do rozpoznania!

Mężczyzna wysypał wiadro kamieni do metalowego kontenera i ruszył ku palarni.

– Można, panie podchorąży, chwilę pogadać? Nie nudno tu tak samemu? Zapali pan?

Daczny zaprzeczył. Nie był zachwycony wizytą. Tak naprawdę to, choć się nudził, nie miał najmniejszej chęci na rozmowę.

– Wie pan, jak SPR bierze tutaj wartę, to – uśmiechnął się palacz – trepy zaczynają trząść dupami. Właściwie na tym parkingu nie wolno im w nocy trzymać samochodów. Sam Czachór ich za to jebie. Tego terenu też pan niby ma strzec. Zwykli szweje to się, kuśwa, boją, ale niektóre bażanty lubią się z trepami pobawić...

Rej nie zamierzał dawać wiary byle bajdom.

– Co wy, za Borówkę mnie macie? Mam uwierzyć, że ten cały bajzel w kuchni to jakiś pułkownik osobiście zrobił? Jak już nie chcecie frytek zostawić, to jesteście chuje i Bóg z wami. Ale ja mam sprzątać całe to pobjowisko?! Wypchajcie się!

Borówka również nie wierzył w bajki. Mimo to, przeklinając złośliwość kolegów, obaj zgarniali kałuże tłuszczu z podłogi kuchni.

Borówka dodatkowo boczył się na Reja za to, co właśnie o sobie usłyszał.

– Też mi! Pułkownik się pofatygował, żeby im frytki na podłogę wylać! – burczał ciągle Rej – Takie rzeczy nawet w wojsku są niemożliwe! Mogliście coś mądrzejszego wymyślić!

Najgorsze, że tłuszcz w wielu miejscach pozasychał. Zalewali go więc wrzątkiem, żeby się rozpuścił. Co to w ogóle za konsystencja?

– Bo do oleju dolaliśmy smalcu i margaryny, żeby było lepsze – wyjaśnił plutonowy podchorąży Zabawa. – A ten kutas wylał...

Pożegnawszy palacza, Daczny zaczął się bliżej parkingu, za tablicą niezbyt optymistycznie informującą, że *Obrona Cywilna – potrzebna dziś, niezbędna jutro*. Slogan, który dekorował w Polsce wiele stacji kolejowych, nie mógł przecież ominąć SPR OC.

Ktoś idzie... Chołera, że też tak ciemno...

– Stój! Służba wartownicza! Kto idzie?!

– Do samochodu – spokojnie oświadczyła jakaś osoba, odziana w mundur z niewidocznymi dystynkcjami.

– Wróć!

Żądanie Dacznego nie zrobiło na samochodziarzu wrażenia.

– Stój, bo będę strzelał!

– Nie wygłupiaj się! – perswadował, widoczny już w świetle latarni major. – Ja jestem, kurwa, komendant SPR OC!

Oświadczenie nie wywołało jednak oczekiwanego skutku.

– Stój, bo będę strzelał!

– Nie wygłupiaj się, kurwa, bo tak załatwię, że ci działkę przypierdołają!

– Wróć! Bo strzelam!

– Eee, co mi, kutasie jeden, pierdolisz!

Starcie słowne zakończył szczęk bezpiecznika kbkAK.

– Żołnierzu, nie wygłupiaj się, kurwa! – poprosił major Waszyński. – To naprawdę ja!

– Odejść w tył, bo będę strzelał! Broń odbezpieczona!

– Podchorąży! – Daczny wreszcie wyszedł z cienia i oficer zobaczył, z jakim przeciwnikiem ma do czynienia. – Ale ja, kurwa, mieszkam w Mordkach!

– Odmaszerować, bo będę strzelać!

– Podchorąży, ja się poskarżę kapitanowi Piontkowi!

– Proszę bardzo, ale teraz won! Trzeba było uprzejmiej...

Major nie ryzykował. Formalnie rzecz biorąc, wartownik miał rację. Oficer posłusznie odmaszerował na ulicę.

Daczny zaś był z siebie zadowolony. Wiedział, że komendanci obu szkół żyją ze sobą jak pies z kotem i żale dowódcy SPR OC mogą Piontka jedynie ucieszyć. *Wykonywanie zadania bojowego w czasie pokoju* może też okazać się przyjemnością!

Ale mogliby go wreszcie zdjąć z tej warty. Miał tu stać kilkanaście minut, a już minęła godzina. Żeby ich pokręciło!

– Nie narzekajcie, że zimno – pocieszał kapral podchorąży Miller. – Przecież jeszcze do siódmej było całkiem w porządku. Zobaczycie, jak na wartę numer dwa pójdziecie. W nocy będzie tam tak zimno, że i behatki nie pomogą! To nad samym jeziorem!

– Tragicznie? – zapytał znad szmaty Rej.

– Hmm! Ale latem tam przynajmniej jaja były. Jeden kumpeł, jak stał na wieżyczce, to dwie laseczki do niego podeszły. Pod tę wieżyczkę, znaczy się. Jedna rozebrała się do naga i pyta: *chcesz?*

– A on? – Borówka odłożył szmatę.

– No to on jej mówi, że chce, ale nie może zejść... – opowiadał Miller.

– Janek, cholera, za ciebie mam robić? – Rej był widocznie mniej zainteresowany seksualnymi aspektami służby wartowniczej.

– Podchorąży, ja tylko plombę sprawdzę – powiedział nieznany porucznik.

– Proszę – zezwolił Szalski.

Oficer podszedł do garażu i zaborczo chwycił kłódkę.

– Do raportu staniecie – wrzasnął – że na posterunek dopuszczacie osoby nieuprawnione, jak ja! Regulaminu nie znacie! I to ma być żołnierz z wyższym wykształceniem! Zarozumiały magisterrek!

Szalski zwiesił głowę. Czy mógł liczyć na darowanie winy za to, że na wartę zostali zgarnięci wcześniej niż przewidywał Program Szkolenia? Szlag by to trafił!

W wartowni nadal dyskutowano o pokusach czyhających nad jeziorem.

– Ja bym zlął! – powiedział z przekonaniem Król.

– A gdyby to zauważył kontrolny? – zapytał Borówka.

– Powiedziałbym – wyjaśnił Król – że stało się ze mną coś dziwnego i musiałem ulec!

– Pewnie za mało kawusi-bromusi pijasz! – skarcił Rej. – Lepiej sprzątaj to gównno!

No, wreszcie leżą! Daczny nie nudził się na służbie, gdyż przepłoszył już dwóch kapitanów, trzech sierżantów i jednego podporucznika albo porucznika (stopnia ostatniej ofiary nie był pewien, bo zbyt szybko odryglował broń i oficer uciekł).

Jakąż satysfakcję daje żołnierzowi dobrze spełniony obowiązek! Jak miło popatrzeć na wypełniony samochodami parking! Jak przyjemnie dokładnie wypełniać zadania służbowe! Przynajmniej niektóre.

Ale dobrze, że wreszcie idą. Zaraz im urządzi powitanie. Wcześniej na wszelki wypadek podpiął do kałasznikowa pusty magazynek i oddał kilka strzałów kontrolnych, by być pewnym, że nie trzyma w ręku niczego niebezpiecznego.

– Stój! Służba wartownicza! Kto idzie?

– To my. Zabieramy cię – powiedział kapral podchorąży Miller.

– Jacy *my*? Stój, bo będę strzelać! Oświetlić twarz!

– No, co się wygłupiasz? Zapomniałem latarki...

Wartownik odbezpieczył broń i odryglował zamek. W odpowiedzi cztery figurki schowały się za wielki, stojący przy bramie pojemnik na śmieci.

- To my!!! Przyszliśmy cię zmienić!
- Wyjść z podniesionymi rękami, pojedynczo, bo będę strzelał! *Schneller! Raus! Hande hoch!*
- Kurrwa, co ci odbiło...

Stali już blisko godzinę przed wartownią. Dawno temu powrócił nawet rozradowany Daczny z Millerem i Hultajkiem. Ten ostatni usiłował opowiedzieć o tym, jak zostali powitani przez wzorowego wartownika i ile strachu ich to kosztowało, ale wychylony z okna dyżurki kapitan Jaronim zbeształ go od ostatnich ch... Oficer też miał swoje problemy. Za to, że dopuścił do zabiegów kulinarnych w wartowni, został ukarany pozbawieniem do końca roku premii miesięcznej.

Czekali i czekali, bo czwarty dywizjon uparcie wynajdywał coraz to nowe usterki na wartowni i nie chciał przejść służby. A to kubek okazywał się brudny, a to szafka zakurzona... Dowodzący wartą starszy kapral Łosowski nie zamierzał łatwo odpuścić bażantom, skoro już miał ich w rękach.

Dopiero występujący w przeciwnych barwach kapral Trochińczuk znalazł rozwiązanie:

- A czy od was nie przejmuje czasem raketówka?

Łosowski zrozumiał delikatną aluzję. Stacjonująca w jednym budynku z SPR bateria artylerii raketowej mogłaby następnego dnia upomnieć się o prawa zaprzyjaźnionych bażantów...

Teraz pozostało już tylko przeliczyć naboje i magazynki w zapasach wartowni. Około dwóch tysięcy naboji i kilkadziesiąt magazynków. Jeden za drugim. Dokładnie sprawdzając, czy nie ma rys po iglicach. Tu rzeczywiście wszystko musiało być w porządku. Teoretycznie przynajmniej, bo przecież prawie każdy kapral posiadał kilka rezerwowych naboji, żeby w razie czego było co podrzucić na sztukę. Na strzelnicy nietrudno załatwić...

Wreszcie...

- Baczość! Warta, pod broń! – rozkazał Łosowski.
- W lewo zwrot! Za mną marsz! – polecił plutonowy podchorąży Zabawa.

Zawiedli się ci, którzy sądzili, że od razu wylądują w wozach. Kapitan Piontek zarządził czyszczenie broni. Trzeba przyznać, że nadzorował pracę osobiście i nie wymagał cudów. Dokładne czyszczenie miało się odbyć następnego dnia, w środę. Teraz chodziło tylko o przetarcie karabinów po deszczyku, który delikatnie je skropił przed wartownią. Nikt nie protestował.

- Podchorąży Rej już skończył czyszczenie? – zaciekał się komendant SPR.

– No... prawie...

– Proszę pokazać.

Oficer zmierzył broń krytycznym spojrzeniem.

- Niech już będzie! Jutro podchorąży poprawi. A teraz proszę do mnie. Porozmawiamy o urlopie.

W Reja wstąpiły nowe siły.

- Baczość! Za wzorową służbę nagradzam podchorążego dwoma dniami urlopu nagrodowego! Spocznij!

Rej milczał.

- No, co się, podchorąży, mówi? – zapytał oficer. – *Ku chwale...*

– Nic z tego – odparł Rej. – Ma być pięć dni.

– Co sobie podchorąży wyobraża! Ja i tak łaskę...

– Jak nie będzie pięciu dni – przerwał podwładny – to poinformuję pułkownika Czachórskiego, ile czasu bez przerwy pełniłem służbę i dlaczego...

Piontek przygryzł dolną wargę.

- Dobrze. Szantażuje mnie podchorąży. Trzy dni dam.

– Nie... – uśmiechnął się Rej. – Powiedziałem: pięć.

– Zrozumcie, podchorąży – zaapelował do żołnierskiego sumienia oficer – że pięć dni ja mam do dyspozycji tylko teoretycz-

nie, a gdybym dał, to i tak musiałbym się gęsto tłumaczyć pułkownikowi Czachórskiemu, czemu aż tak dużo! Wiecie dobrze, że nikt teraz nie dostał więcej niż trzy!

– No to niech będzie cztery.

– Podchorąży – głos oficera nabrał wręcz pieszczotliwych odieni. – Zrozumcie moją sytuację... Chcacie, żebym osiwiiał przez was?

– Najpierw proszę zrozumieć moją.

– Ach! Za dobrze tu macie – sarknął Piontek. – Żeby ze swoim dowódcą tym tonem rozmawiać i jeszcze go szantażować! Tylko o własnych interesach myślicie! A o ojczyźnie i kolektywie...

– Tu się tego nauczyłem.

– Dobrze, dostaniecie te swoje cztery dni, ale to zwykły szantaż!

Kapitan dotrzymał obietnicy. Nie przepuścił jednak okazji do maleńkiej zemsty: Rej musiał czekać cały tydzień, by w rozkazie dziennym ukazał się punkt o przyznaniu mu urlopu. Dopiero wtedy mógł zapisać się do Książki Wyjazdów, gdzie zgodę na zaproponowany przezeń termin wyrażali kolejno kapral Muca, sierżant Maski i – zamiast nieobecnego przez kilka dni (podobno wziął urlop na życzenie żony) porucznika Śmiechockiego – kapral podchorąży Miller. W zastępstwie bawiącego na szkoleniu w Warszawie kapitana Piontka podpisał się podporucznik Siwak.

Potem Rej zdał przed Mucą egzamin z *zasad żołnierskiego zachowania się na urlopie lub przepustce*. Nie była to ciężka próba, gdyż kapralowi zależało na tym, by podchorąży przywiózł mu obiecany podręcznik do nauki angielskiego.

Reja czekało już tylko wyprasowanie i obszycie nowego podchorążackiego munduru wyjściowego, a następnie nerwowe oczekiwanie na blankiet rozkazu wyjazdu, bez którego nie mógł legalnie opuścić garnizonu. Otrzymał go wreszcie na dziesięć minut

przed planowym odjazdem autobusu – to tutaj reguła, ale jakże denerwująca! Potem musiał jeszcze wypisać się na biurze przepustek i – biegiem na przystanek.

Pożegnalną satysfakcję sprawiło mu spotkanie z dowódcą swego plutonu. W pierwszej chwili go nie poznał, bo Śmiechocki był w cywilkach.

– Rej, a ty dokąd się wybierasz?

– Na urlop!

– A kto ci, kurwa, dał ten urlop?

– Kapitan Piontek.

– Za co?

– Aa... to już nasza słodka tajemnica.

– Cuda się dzieją, kurwa mać... – pokręcił głową Śmiechocki. – Żeby komuś takiemu dawać urlop... A ile dni?

– Cztery! – triumfalnie obwieścił podchorąży.

– Cooo???!!!!

Autobus podjechał. Rej wskoczył na stopień. Przez szybę pomachał oficerowi.

Wszystko dobre, co się dobrze kończy. Czasem jednak warto się postarać, by dobry koniec był początkiem jeszcze lepszego dzieła...

Odjeżdżając, bażant zastanawiał się, od czego zacząć urlop. Z każdym kilometrem wzbierała fala pomysłów... Również tych związanych z wojskiem. Pewnie w koszarach by na nie nie wpadł.

Najlepszy z nich był tak prosty, że aż genialny. A rykoszetem zatruł życie kapitana Piontka na parę tygodni.

CZEŚĆ TRZECIA OSTATNIE TYGODNIE

POKÓJ Z WIDOKIEM

Impresje podchorążego Dacznego

*Gazety huczą o rozbrojeniu,
może do wojska nie będą brać...
Człowiek się tudził ciągle nadzieją.
Ale zabrali. Kurwa ich mać!*

Właściwie wcale nie musiał wstawać. Obudziły go jęki śpiącego obok elewa – tego, u którego wczoraj była rodzina i narzeczona. Podobno chłopak pluje krwią, wszystko go boli. Może rzeczywiście nie symuluje? Czasem trochę pokaszle, w nocy jęczy. Wysoki prawie na dwa metry, a chudy jak szczapa. Gdy tylko może, leży w wozie, a jak mu nie pozwalają, siedzi na nim. Z nikim nie rozmawia. Nazywa się Mirek Orłoś – przymusowy kandydat na kaprała.

Jest tych elewów więcej. Stanowią ponad połowę pensjonariuszy izby chorych. Trafili tu z różnymi sprawami, ale leczy się ich podobnie: witaminami, aspiryną, a co bardziej chorych – również zastrzykami penicyliny. No i oczywiście nieśmiertelnym ruti-

noscobinem, który otrzymuje każdy, kto zawita do majora-lekarza Jarmuła.

Puk, puk, puk!

No, trzeba podciągnąć gacie i wracać do wyra.

Gazety huczą o rozbrojeniu... Ciekawe, kto napisał ten wierszyk. Wczoraj wieczorem drzwi kibla były myte, więc ktoś w nocy... Tu codziennie pojawia się nowy wierszyk. Pielęgniarki niby krzyczą i gonią do ścierania, ale sami też chętnie czytają tę ubikacyjną poezję. Różni się ona od propagandowej papki, oferowanej przez stojące wokół placu musztry tablice.

Dobra, wypada wyjść, bo słyhać, jak nieszczęśnik po drugiej stronie drzwi przestępuje z nogi na nogę. Niby izba chorych, a ubikacja tylko jedna...

Sięgnął po papier toaletowy. Przyznać trzeba, że chorownia była jedynym miejscem w brygadzie, nie licząc sztabu, gdzie żołnierz co dzień mógł spotkać taki rarytas.

– No, już wytrzymać nie mogłem! – rzekł z ulgą szeregowy Kudlak, zapalając papierosa.

Ponieważ w izbie chorych obowiązywał zakaz palenia, jedyną ostoję palaczy stanowiła kabina WC, ewentualnie natrysk. Dostęp do natrysku był trudniejszy, gdyż sanitariusze nie lubili wypuszczać klucza z rąk – obydwaj też przecież musieli gdzieś zapalić. Choć sam major-lekarz Jarmuł kopał we własnym gabinecie, ile w płuca wlaźło, innym nie zezwalał na tak rażące lekceważenie przepisów sanitarnych.

Dacznego zajrzał do gabinetu lekarskiego. Pod kontrolą sanitariuszy siedzieli tu chorzy. Pod pachami ściskali termometry.

– Podchorąży – powiedział pielęgniarz, starszy szeregowy Wotek – proszę zmierzyć sobie temperaturę.

Okazało się, niestety, że szklana rurka była pęknięta i omotana u góry plastrem.

– Dawaj, kocie, dobry termometr dla podchorążego! – zwrócił się do któregoś z chorych drugi sanitariusz, szeregowy Gajda.

Żołnierz posłusznie oddał swój, a wziął potłuczony. Daczny nie protestował przeciwko tej transakcji. Przywykł już przynajmniej do niektórych zasad żołnierskiej fali. Szczególnie, że w tej hierarchii pozycja podchorążego, choćby tylko kanoniera, była bardzo wysoka. A przy tym najwygodniejsza – bo z boczku. Jedynym obowiązkiem było tolerowanie przywilejów uzyskiwanych kosztem kotów. Do gorszych rzeczy można się przyzwyczaić, prawda?

Po zmierzeniu temperatury Daczny poszedł do sali i leżał na wozie. Przyjemnie tak wałać się na wyro, kiedy tylko ma się kaprys!

Jego łóżko stało przy oknie. Naprzeciwko leżał szeregowy podchorąży Nawalka, który jeszcze wczoraj miał nogę w gipsie. Wstyd przyznać, ale nawet on sam dokładnie nie wiedział, co było przyczyną tej kontuzji. Wyszedł na stałkę w Dzień Wojska Polskiego, trochę popił... Rano obudził się we własnym wozie, z przeraźliwie bolącą kończyną. Major Jarmuł zaordynował okłady z altacetu. Nie chciał słyszeć o prześwietleniu czy choćby zwolnieniu bażanta z noszenia ciężkich buciorów. Szczęśliwie Nawalka załatwił pejotkę u dowódcy plutonu, któremu obiecał przywieźć prądnicę do wartburga (nie była to obietnica bez pokrycia, bo jego ojciec prowadził warsztat samochodowy). Koledzy z trudem zapakowali go do autobusu. Z opuchniętą i bolącą nogą dojechał do domu – przerażeni rodzice natychmiast zawieźli go do szpitala. Prześwietlenie wykazało złamanie kości strzałkowej. Założono gips i kazano zjawić się na kontrolę za sześć tygodni. Nawalka nie mógł zostać w domu, gdyż komendant garnizonu uznał, iż *gips nie przeszkadza żołnierzowi w lżejszych zajęciach szkoleniowych*, i polecił wracać do Szczupakowa. Tutaj Nawalkę przyjęto na izbę chorych, gdzie zajmował się przede wszystkim czytaniem gazet i paleniem papierosów.

Podchorążowie otrzymali najlepsze łóżka, przy oknach, dobrze oświetlone, a do tego z widokiem na plac musztry. Tylko oni mogli w ciągu dnia wylegiwać się w wozach, pozostałym – nie wyłączając

dziadków – przysługiwało co najwyżej prawo do siedzenia na zasłanej pościeli.

Pokój był sześciuosobowy: trzy łóżka z jednej i trzy z drugiej strony drzwi. Lokatorami byli dwaj podchorążowie, dwaj elewi (obaj leżeli na prawo od Dacznego) oraz jeden garb i jeden dziadek. Porządku na sali pilnował oczywiście dziadek, szeregowy Włoch, a jego pomocnikiem był garb, starszy szeregowy Matla. Ponieważ elew Orłoś ledwo trzymał się na nogach, większość obowiązków spadała na elewa Siejaka.

Podchorążowie próbowali pomagać w sprzątaniu, ale w końcu zakazał im tego Jarmuł: *Fala musi być, bo bez fali wojsko by się rozleciało* – wyjaśnił.

Czterej współlokatorzy bażantów zabrali szczoteczki do zębów, mydła i ręczniki. Poszli się myć. Tu zawsze myto się indywidualnie, nie tak, jak w SPR. Ablucjami dyrygowali dziadkowie Włoch i Chełmoński.

W tej społeczności każdy miał ściśle wyznaczone obowiązki, mycie również przebiegało według utartego ceremoniału. Najpierw golili się i myli obydwa dziadkowie. Potem czyniły to wicki, do tychczas z szacunkiem przyglądające się ceremonii; ale niechby który spróbował ją zbojkotować!

Bażantów ten zwyczaj nie dotyczył. Istniała niepisana umowa, że myją się albo później, albo wcześniej – wtedy obrządek ogólny musiał być opóźniony.

Daczny uważał, że sensowniej szczotkować zęby po jedzeniu niż przed nim. W cywilu zawsze tak postępował, a w wojsku dopiero teraz nadarzyła się sposobność powrotu, chociaż w taki sposób, do zarzuconych zwyczajów...

„Bażanci chcieli pomóc chorym elewom, ale zakazał im tego major. – Fala musi być, bo bez fali wojsko by się rozleciało – wyjaśnił.”

Już prawie wpół do siódmej. Jak pięknie jest mieć taki pokój z widokiem na kawałek koszar! Widać, jak jedni jeszcze ganiają na zaprawie – to ci, którzy mają pobudkę o szóstej – a inni, budzeni pół godziny wcześniej, podążają już na pierwsze śniadanie...

Obok klubu żołnierskiego maszerowała kolumna elewów. Oczywiście mieliby bliżej uliczką oddzielającą duży i mały plac musztry, jednak dowództwo uważało, iż trzeba wykorzystać każdy moment do ćwiczenia umiejętności prawdziwie żołnierskiego chodzenia.

Tylko podchorążym od początku wolno było chadzać na skróty. Nawet o tym nie wiedzieli, więc i nie mogli docenić przywileju.

Jeszcze we wrześniu kapitan Piontek wydał rozkaz, by Szkoła Artylerii na posiłki udawała się albo krokiem defiladowym, albo równym (lecz z pieśnią na ustach), ale nikt nie potrafił tego wyegzekwować. Z elewami sprawa prostsza... Spróbowałby który nie uczestniczyć we wspólnym śpiewie!

*Ma-ma przy sprzą-ta-niu,
ta-ta przy go-le-niu,
a żoł-nie-rze w mar-szu,
ra-mię przy ra-mie-niu.
Wojsko lu-bi śpie-wać
Słoń-ce czy ule-wa...¹⁵.*

To przeszedł pierwszy pododdział. Zaraz winien pojawić się i drugi. Czemu go nie słyszać? Aaa!... To bazanci leniwie leżli przez koszary i elewi musieli przystanąć, by zrobić im miejsce.

*Witaj Zosieńko, otwórz okienko
Na wschodnią stronę...*

¹⁵ R. Maklakiewicz, *Wojsko lubi śpiewać*.

Drugi pluton SBD sięgnął, jak słysząc, po repertuar tradycyjny. A co śpiewał trzeci?

*Siedem stolic, siedem krajów,
wolna ziemia, jasne niebo,
każdy z nas drugiemu bratem,
wspólne troski i przyjaźnie.
To my, Armia Pokoju
tu nasz ojczysty dom...
to my w codziennym znoju
pełnimy służbę swą
Od Łaby po Pacyfik
W słońcu i świetle gwiazd...¹⁶.*

Trzeci pluton SBD, jak się okazało, opiewał Układ Warszawski. Za to pierwszy pluton SBA śpiewał pieśń, której słowa i melodia jeszcze kilka lat temu były zakazane. Obecnie były jak najbardziej dozwolone, acz z kilkoma niezbędnymi poprawkami, wprowadzonymi czujną ręką jakiegoś generała czy pułkownika:

*Artyleria to żołnierska nuta
Artyleria to straceńców los
Artyleria to żołnierska buta
Artyleria to ofiarny stos...
My, pierwsza brygada,
artyleryjska gromada,
na stos rzuciliśmy
nas życia los,
na stos, na stos.*

¹⁶ J. Babicz, *Marsz braterstwa*.

Przyznać trzeba, że – w odróżnieniu od poprzednich – ten pluton śpiewał w miarę poprawnie. Tej po ludowemu ulepszonej pieśni słuchało się więc mimo wszystko lepiej niż przeboju następnego pododdziału.

*W cywilu nikt mnie nie doceniał
lecz wojsko na mnie poznało się
tu dobre noty mam z wyszkolenia
dobrego słowa nie szczędzi szef
Wojsko każdego szybko odmienia
tu się na bakier nie da żyć.
Bierz się więc w karby, wylecz się z lenia
zadania swoje wykonuj w mig!¹⁷.*

Pierwsze plutony należały do SBD, a kolejne do SBA. Teraz maszerował ostatni, trzeci pluton SBA.

*Przyjaciół poznaje się w biedzie
w żołnierskiej potrzebie to wiesz!
Przyjaciół podzieli się chlebem,
I sercem podzieli się też!¹⁸.*

Ciekawe, co będą zawodzić, wracając? Przecież każdy pluton winien przygotować minimum po siedem utworów na konkurs *Żołnierska Nuta*. Obowiązkowa była tylko *Pierwsza Brygada*, co świadczyło o zamiarze zaanektowania jej dla potrzeb reprezentacyjnych 1 ŚBAA. Resztę pieśni można było czerpać zarówno z repertuaru tradycyjnego, jak i z dostępnych w bibliotece Jednostki śpiewników z piosenkami-laureatkami festiwalu żołnierskich w Kołobrzegu.

¹⁷ L. Sęk, *Wojsko każdego odmienia*.

¹⁸ J. Urbanowicz, *Kto przyjaciela ma*.

– Obywatelu dziadku, proszę o pozwolenie pozostania plus jeden! – zwrócił się do szeregowego Włocha elew Siejak. Za nim stał, oparty o futrynę, z trudem utrzymując pozycję *bacność*, elew Orłoś.

– Podaj azymut i kod! – zażądał dziadek.

– Azymut 14-30, kod 34-49!

– Zezwalam na pozostanie!

– Dziękuję, obywatelu dziadku!

Początkowo Daczny nie wiedział, co w kontekście izby chorych oznacza azymut i kod. Wyjaśniono mu, że azymut to ilość dni brakujących dziadkowi do wylinki, a kod – liczba godzin dzielących go od definitywnego opuszczenia koszar.

– Dziesięć honorowych pompek! – rozkazał Włoch.

– Tak jest!

– Padnij!

Elew Siejak wykonał polecenie. Ćwiczył pompki, deklamując jednocześnie:

– Jestem dumny, że jes-tem żołnie-rzem Pierw-szej Śląskiej Bry-ga-dy Arty-lerii Ar-mat, uff... w Szczu-pa-kowie, uff, imie-nia, uffff, Fe-lik-sa Dzier- uff... kie-go uffff... Jes-tem dum-ny, że...

– Wróć! – przerwał szeregowy Włoch. – Pierwsza pompka niezaliczona!

– Tak jest! – poderwał się na bacność Siejak.

– Dlaczego? – wtrącił się Daczny. – Przecież on zrobił już kilka pompek, a nie tylko jedną.

– Za szybko, kot jeden, mówił. Pompkę zalicza się za dobry tekst – grzecznie wyjaśnił Włoch. Następnie odwrócił się z powrotem do elewa. – To ma być zrobione elegancko, ze smakiem, kurwa. Zrozumiałeś, chuju ogoniasty?

– Tak jest, obywatelu dziadku!

– To wykonać! I ruchy, ruchy! Bo cię ścignę! Siejak powtórnie wykonał przepisowe *padnij*.

– Jestem dum-ny, że jes-tem...

– Który tu ma zastrzyk?

To przyszedł sanitariusz Wotek. Tym samym celebra ćwiczeń fizycznych została przełożona na później.

– Ja... – szepnął elew Orłoś.

– No to kładź się i obróć na brzuch.

Żołnierz najpierw położył się, potem z widocznym wysiłkiem przybrał nakazaną pozycję.

– No, głuptasie, rozluźnij się – zachęcił pielęgniarz, przecierając skórę pacjenta watką zmoczoną w spirytusie. – Stary chłop jesteś, nie ma się czego bać. No, poczekajże w tymi nerwami, bo cię będzie bolało...

Lecz chyba nie bolało. Sanitariusz robił zastrzyki – trzeba przyznać – znakomicie, lepiej niż pomagająca lekarzom pielęgniarka. Skończył dwuletnie medyczne studium policealne, na studia nie zdążył zdawać, bo go wcześniej zgarnęło wojsko.

Daczny zastanawiał się czasem, jakim cudem ten chłopak – bliiski już końca wojskowej kariery – uchował się z taką postawą. Kiedyś nawet przy innych dziadkach odważył się stwierdzić, że fala jest największą atrakcją dla tych, którzy nie potrafili skończyć podstawówki. Oczywiście nie mógł fali lekceważyć, ale sam niezwykle rzadko czynił z niej użytek, a i to bardziej dla śmiechu, niż żeby dać komuś odczuć *rękę dziadka*.

Drugi pielęgniarz też był w sumie w porządku. Wyleciał z drugiego czy trzeciego roku stomatologii. Tutaj był przede wszystkim do dyspozycji dentysty, kapitana Chrostowskiego.

No, przynieśli śniadanie dla szeregowców i elewów. Dacznemu przyjdzie jeszcze poczekać. Posiłek przynosił mu zawsze ten z dyżurnych, który jako drugi wracał ze stołówki. Powinien być gdzieś za kwadrans...

Daczny nie cierpiał wojskowej menażki i starał się korzystać z niej jak najrzadziej. Zabronił więc przynoszenia sobie mlecznej

zupy. Może dostanie jakiś dzem lub żółty ser? Bogiem a prawdą, w ogóle nie czuł się głodny. Wystarczy mu herbata, a tej jest w chorowalni pod dostatkiem. Jedzenie da wiecznie głodnym elewom. Dziś co prawda poniedziałek, więc wczoraj kilku miało odwiedzi-ny i rodziny nazwożyły im masę prowiantu... Dziadki, rzecz jasna, wybrały co lepsze kaski, ale kotom też sporo zostało. Wyjątkowo może nie być chętnych na resztki z bażanciego stołu.

– Telefon do podchorążego Dacznego! – krzyknął sanitariusz.

Dzwonili z SPR. Podoficerem dyżurnym był Kogutowski, który dobrze znał zwyczaje Dacznego. Pytał, czy dyżurny ma mu przynieść pierwsze śniadanie, które dziś wyjątkowo podłe: zupa mleczna, suchy chleb i margaryna.

Dobrze, że zadzwonił. Po co brudzić manierkę? Nie jest głodny, zjadł już jabłka, które wczoraj podrzuciła mieszkająca w Szczupakowie cioteczna siostra. Lepiej poczekać na drugie śniadanie, zwykle o niebo lepsze od pierwszego. Do jedenastej z głodu nie zemrze.

– Zbiórka do przydziału rejonów!

Ta zbiórka nie dotyczyła podchorążych. Oni sprzątać nie musieli. Sanitariusze przydzielali rejony według stałego klucza: dziadki – kancelaria, wicki – gabinet lekarza, garby – świetlica, koty – korytarz i co się da. Krzysiek Kostyk opowiadał, że gdy był tutaj w połowie października, sprzątał gabinet lekarza. Ale wtedy izba chorych była wyludniona. Starym żołnierzom chorować się nie opłacało, bo już niedługo mieli wrócić do cywila (żołnierz zgłoszony jako chory nie może opuścić koszar), a nowi się jeszcze nie zjawili. Pobór odbył się dopiero z końcem października. Co się wtedy działo! Przy bramie ustawiono namiot. Każdy, kto wchodził tam cywilem – wychodził kotem. Na razie miał tylko moro, czapkę, buty, pas. Resztę sprzętu wyciągał z hałdy zajmującej solidny kawał placu musztry. Ci, którzy przyszli pierwsi, mieli w czym przebierać – ekwipunku było dla blisko trzystu osób.

Potem kaprale wyzwiskami oraz poszturchiwaniem gonili ich do SPSZ lub do kompanii unitarnej. Podchorążym nie spodobały się te wyzwiska i kopniaki, więc naskarżyli oficerowi politycznemu brygady, pułkownikowi Wańkowowi. Ależ zrobił się szum! Jaki dumny był z siebie Nawrocki, który poszedł z tą historią do politruka! Posypały się kary na kaprali, a nawet na trepów. Trzeba jednak przyznać, że elewom nie na długo to pomogło, za to zaszkodziło bażantom, bo zostali przez własnych dowódców skarceni za mieszanie się do nieswoich spraw i pouczeni, że w wojsku to trzeba dbać o własną d..., a nie zabawiać się w trybunów ludowych. *Chcieli podchorążowie zyskać tanią popularność – powiedział major Piontek – to zyskają! O czyjeś prawa to się upominać potrafią, ale o własnych obowiązkach zapominają!*

Odebrano im załatwione w październiku – Wittek przywiózł z domu – wideo. Dopiero w zeszłym tygodniu pozwolono im znów korzystać z magnetowidu. Filmy dostarczone przez Wittka nie były za ciekawe, ale w morzu wojskowej nudy stanowiły jakąś atrakcję.

Filmy filmami, ale zaraz na placu rozpocznie się niezły teatr. Fajnie, że można go obserwować w ciepłej izbie chorych. W SPR ostatnio jest zimno jak wszyscy diabli. Wydali nawet po dodatkowym kocu, a młodszy chorąży Zięba uczył, jak rychtować wóz, żeby w nocy zimno nie wyrывało ze snu. Zaczęła się zima. Na izbach żołnierskich nieraz bywały i dwa, trzy stopnie Celsjusza. Podobno kiedyś w pierwszym dywizjonie temperatura spadła poniżej zera, ale z tym to może kłamią.

Brrr... aż otrząsnął się na to wspomnienie. Dobrze, że siostra zna Jarmuła, dzięki czemu można sobie teraz w spokoju leżakować. Inaczej za cholere by się tu nie dostał – kogo w wojsku obchodzi czyjeś wypadanie czy migotanie zastawki sercowej?! Żeby zostać przyjętym na izbę chorych, trzeba legitymować się przynajmniej trzydziestoma ośmioma stopniami gorączki. Marzenie ściętej głowy, jeśli się nie ma układu z odbierającym termometry sanitariu-

szem. No nie, bądźmy sprawiedliwi! W zasadzie oprócz temperatury i znajomości są jeszcze dwie przesłanki przyjęcia kogoś na izbę chorych: gips i wysypka.

Jeśli chodzi o wysypkę, w najlepszej sytuacji są alergicy. By osiągnąć pożądaną rezultat, wystarczy takiemu szczęściarzowi maznąć skórę olejem do czyszczenia broni. Niestety, niewielu ma aż tak wrażliwą skórę. Podobno lepiej jest urządzić sobie chłostę gałązkami jałowca. Doświadczony Włoch opowiadał, że taki numer jest dobry, ale ma też i złe strony: trzeba go ponawiać przed każdym spotkaniem z lekarzem. Powstaje jednak problem: jak przemyć gałązkę jałowca do izolatki, bo tam lokuje się podejrzanych o świerzb. W sumie więc nie jest to sposób idealny, a na domiar złego rozpowszechniony tak bardzo, że kapitan-lekarz Grywoda coś pokapował i ostatnio rozpoznał pacjenta z objawami wysypki jako symulanta.

Tak czy owak, dzięki układom siostry Daczny grzeje się teraz w wyrze, a nie włóczy po lesie. Chłopaki mówią co prawda, że zajęcia prowadzone przez starszego kaprala podchorążego Millera – porucznik Śmiechocki znowu na urlopie – sprowadzają się do palenia ognisk i lepienia bałwanów, ale zawsze przyjemniej wylegiwać się w izbie chorych.

Wracając do placowego teatru, to cotygodniowe Rozprowadzenie brygady wygląda zabawnie z łoży Dacznego, ale musi być nieprzyjemne dla tych, którzy stoją w śniegowej breji. Odwilż przyszła i śnieg zamienił się w maź. Wystarczy postać parę minut, i już buty na cały dzień mokre. A tutaj tak ciepłutko...

Paragraf trzynaste

Major-lekarz Jarmuł wrócił z Rozprowadzenia wściekły. Że też podpułkownik Herman, zastępujący bawiącego w sanato-

rium Wańkowa, musiał podpuścić Czachórskiego, by ten zapytał, co żołnierze sądzą o tutejszej opiece lekarskiej! Afera zaczęła się pewnie od tego cholernego elewa ze śrubą w łokciu, któremu kazali robić pompki. No i śruba w diabły poszła. Podpułkownik Mleczek chciał (trzeba przyznać, że stary kumpel robił, co mógł) ukarać elewa za samookaleczenie, ale nie wyszło, a na dodatek sprawa doszła do bażantów i ci rozpętali burzę. Jakby było się kim i czym przejmować! Jak ma gnój śrubę w ręce, to i tak ta ręka nigdy nie będzie dobra. Z cywila tę śrubę przydźwigał, nie?! A tu, kurwa, lekarza się czepiają, że mu nie chciał dać zwolnienia z zajęć sportowych. A nie chciał, i owszem! Niech się smarkacz uczy żołnierskiego rzemiosła, jak chce być kapralem!

Ech! Żeby jeszcze tylko to! Nie takie rzeczy się tuszowało, jak trza było...

Ale co temu Czachórowi przyszło do łba, żeby pytać, czy podchorążowie nie mają jakichś zastrzeżeń do pracy wojskowej służby zdrowia? Nie mógł to zapytać się elewów, a nie tych pierdolonych bażantów?! Zwykli żołnierze siedzieliby jak mysz pod miotłą i jeszcze by się cieszyli, że nikt ich nie jebie. A te przemądrzałe magisterki nie potrafią docenić tego, jak im dobrze! Za mało w dupę dostali, kurwa...

No i jak Czachórski zażądał, żeby wystąpili ci, którzy mają zastrzeżenia do tutejszej służby medycznej, to wystąpiła połowa – p o ł o w a! SPR-ów! Jakże się cieszyli Jarmułowi koledzy i przyjaciele w oficerskich mundurach!

Teraz trzeba to piwo wypić.

Najpierw stały fragment gry: odbębnić wizyty żołnierzy z unitarki. Po dziewiątej przyleżą te w dupę jebane bażanty. On już im pokaże! Zobaczą, że to, co plotą, to czcze wymysły! Najlepsi byli ci, co narzekali, że wzrok mają słaby, a są w plutonie rozpoznania wzrokowego. On im, kurwa ich mać, pokaże, kto tu dobrze widzi!

Ale swoją drogą trzeba na Czachórskiego i Hermana uważać. Szczególnie ten ostatni czasem nie wie, z kim powinien trzymać. A od czasu, jak został pierwszym sekretarzem POP w Jednostce, zupełnie go pokręciło z przerostu ambicji. Jakże się rozczulił nad losem tego bażanta, co nie mógł wydusić z siebie zdania, bo kichał i kasłał! A czy to wina Jarmuła, że miejsc na izbie chorych brak? I tak wszyscy prawie w brygadzie chodzą z grypą albo anginą, więc co to zmieni, że jednego na izbę weźmie, skoro inni i tak będą chorzy? Samo przejdzie. Już niejednemu przeszło, to i innym też przejdzie! Czemu niby miałoby być inaczej? Jak kto chce wyzdrowieć, to wyzdrowieje! Wieczorem połknie rutinoscobin i asprocol, rano – zaprawa i, proszę patrzeć, jaki ma silny organizm, za dwa dni będzie zdrowy, aż miło.

W rozmyślaniach przeszkodził mu podoficer dyżurny kompanii unitarnej. Czy można się dziwić, że Jarmuł nie miał teraz czasu?

Diagnozę dla żołnierzy unitarki postawił więc szybko i zbiorowo:

– Niech przyjdą o drugiej albo jutro!

Miał teraz ważniejsze sprawy na głowie.

I wkurzał go kapitan-lekarz Grywoda. Też z niego kumpel! Chwila moment... a może coś sam z tym całym bajzłem naraił, skoro – siedząc na urlopie – pofatygował się dziś zajrzeć na izbę. Niby miał zaległe pieniądze w kasie, a to w tym samym budynku, co chorzy, ale... ale... czy tylko z tego powodu by tu zaglądał? A może już się szykuje do wskoczenia na etat Lekarza Jednostki, może znudziło mu się być wiecznym zastępcą? Nie wie, na kogo się mierzy! Dostanie jeszcze, intrygant, za swoje! Ale czy to aby na pewno on?...

Zjawili się punktualnie.

– Aż tyłu was? – choć Jarmuł spodziewał się gorącego boju, nie oczekiwał aż tak frontalnego natarcia.

Przeciwnik był roześmiany i chętny do zwady.

– No, chodźcie, chodźcie! Najpierw ci okularnicy! Ja wam, panowie, pokażę, że możecie być zwiadowcami!

Olszewski, Rej i Lange nosili okulary stale. Hultajek w potrzebie również ujawnił się jako osobnik o słabym wzroku. Do czterech umundurowanych dołączył odziany w szpitalny szlafrok Daczny. Każdy z nich ostatni raz stawał przed Wojskową Komisją Lekarską przynajmniej siedem lat temu. Rekordzistą był Olszewski, który dopełnił tej kłopotliwej formalności w 1978 roku.

Major powiódł intruzów do ambulatorium. Tam, w otchłaniach kasy pancernej, w towarzystwie leków narkotycznych i pół litra żubrówki, spoczywała opasła księga.

– No, macie tu tabelę, gdzie kto może być – major-lekarz uśmiechnął się ironicznie – żebyście na przyszłość bzdur przyłożonych nie opowiadali, że macie złe przydziały.

Jarmuł rozpoczął poszukiwanie paragrafu trzynastego, gdzie skatalogowano wady wzroku. Podchorążowie nerwowo obserwowali jego zabiegi. Plotka niosła, że jeśli kogoś skierowano do nieodpowiedniej – z punktu widzenia stanu jego zdrowia – służby, to w przypadku, gdy był po przysiędze, lądował w cywilu, a jeżeli przed przysięgą – w try miga przenoszono go do innej formacji.

Byli po przysiędze... Na pewno nie miało sensu ich przekwalifikowanie... Jakże gorąco pragnęli zakończenia wojskowej kariery Olszewski i Lange! Dla Hultajka i Dacznego sprawa nie była aż tak istotna. A taki Rej może czułby się i zawiedziony przedwczesnym powrotem do normalnego życia. Uważał, że odpoczynek w Krajinie Czystej Wojskowej Groteski jest coraz weselszy. Szczególnie po miesięcznej przerwie, jaką sobie sprawił, przedłużając urlop dzięki pobytowi w szpitalu oraz *niezbędnej dla zdrowia rehabilitacji domowej*, którą zaordynował mu zaprzyjaźniony lekarz, i to nawet bez łąpówki (no – prawie bez łąpówki). Teraz czuł się w wojsku

jak w egzotycznym państwie sennych mar – dla niego nieszkodliwych.

– No, panie podchorąży – triumfalnie rzekł lekarz – jaki ma pan paragraf?

Lange wyciągnął z kieszeni książeczkę wojskową.

– Na siódmej stronie... – odpowiedział Olszewski.

– Paragraf trzynaście punkt trzy – znalazł pieczętę Lange.

– No, to widzi pan – powiedział lekarz. – Jest tu ten paragraf!

– No jest – dodał przechylony przez stół Daczny – ale na stronie, gdzie wymienione są zakazy.

Major przełknął ślinę.

– Rzeczywiście, kurwa mać... A drugi z was? Jaki ma punkt?

– Paragraf trzynaście punkt dwa – podał Hultajek. – Lepiej niż Stasiu.

– Hmm... jest... no, wy to w artylerii być możecie, ale nie we zwiadzie... A następny?

Daczny miał paragraf trzynaście punkt cztery, podobnie jak Olszewski.

– Was to zupełnie nie powinno być w SPR-ze! – przeraził się opiekun zdrowia żołnierzy JW 1281. – Wy to tylko w służbach pomocniczych! To najniższy punkt wzroku!

Olszewski radośnie podskoczył do góry. Oczyma wyobraźni widział siebie w domu, z żoną i dziećmi. Już najbliższe święta bez munduru!

– A pan to czemu się tak śmieje? – Jarmuł patrzył jednak nie na Olszewskiego, lecz na radośnie rechoczącego Reja. – Co się stało?

„Jarmuł rozpoczął poszukiwanie paragrafu trzynastego, gdzie skatalogowano wady wzroku. Podchorążowie nerwowo obserwowali jego zabiegi. Plotka niosła, że...”

Rej położył książeczkę wojskową na biurku lekarza. Otworzył ją na stronie z wpisami lekarskimi...

– Co?! Trzynaście punkt pięć?! Tego to w ogóle nie ma! Takiego punktu to ja w ogóle w tej książce nie mam!!!

Major wpił wzrok w stronicę, jak gdyby uważał za możliwe, że pod przeczytany tekst ujawni się jakiś inny, bardziej mu życzliwy.

– Nie rozumiem! Nie ro-zu-miem! Nie ro-zu-miem, kur-kur-wa!

Ni stąd, ni zowąd wypił żółtawą ciecz ze stojącego na biurku flakonika. Została najwidoczniej zapomniana przez tych, którzy wyrzucili zwiędnięte kwiaty.

To go wreszcie uspokoiło.

– Brr... – otrząsnął się – co za świństwo.

Na chwilę musiał opuścić ambulatorium. Uczynił to w dużym pośpiechu.

– Panowie! – wykrzyknął Olszewski. – Czyżby koniec tego syfu?

– Ani chybi wyrzucą nas z wojska – ocenił sytuację Hultajek.

– Za karę... – uzupełnił radośnie roześmiany Rej – za karę z wojska wylecieć! Tyle że oni nie mają zwyczaju wypuszczać tego, co już raz chwycili.

– Prędzej przeniosą nas do OC – przytaknął Lange. – Dobrze i to.

– A przenieśli tam wreszcie Szylickiego? – zapytał Dacny.

– Czachórski ponoć osobiście interweniuje w Warszawie, żeby wydali zgodę. Ale Waszyński powiedział, że nie będzie zgody, bo to obniży poziom w OC...

– Poziom czego? Rzeczywiście, Szylicki jest chorowity, więc i chła mniej niż przeciętny OCelot...

Rozmowę przerwał powrót Jarmuła, który ocierał mokrą jeszcze twarz rękawem munduru.

– Wielu was takich we zwiadzie? – zapytał.

– Połowa. Pięciu – powiedział Lange. – Ze wzrokiem oczywiście, bo z czym innym też się znajdują...

– My jesteśmy taki bardziej zwid niż zwiad – uzupełnił Rej.

Major zmierzył podchorążego, ciągle przesadnie wesołego, zimnym spojrzeniem.

– I sądzicie, że to takie śmieszne? Co z wami zrobić?

W rzeczy samej wiedział co. Musi złożyć meldunek pułkownikowi Czachórskiemu. Brr... dobrze, że przynajmniej teraz ten awans dostał, bo gdyby był przewidziany w kolejce dopiero na 9 maja, pewnie musiałby się obejść smakiem. Ale Czachór będzie szalał! A Herman! Ten to własne gwiazdki zje ze szczęścia, że pokazał, jaka Partia jest dobra i jak dba o porządek! A podchorążych doholuje się jakoś do egzaminów i w grudniu podrzuci na praktyki innym jednostkom... Niech tam się martwią!

– No to, panowie, trzeba was będzie na razie wysłać do Ołku, niech tam zadecydują.

Do Ołku! Wyjazd służbowy na cały dzień, bez opieki trepa! Co za radość! Jak dobrze pójdzie, znajdzie się czas na kino, a nawet i piwko. Do księgarni też można będzie zajrzeć. Tylekroć już o ten Ołk wszyscy zabiegali, a tylko Szylickiemu i Cyroniowi się udało. No i Wścieklicy.

– A kiedy tam pojedziemy?

– To nie zależy ode mnie. Ja wam dam skierowanie, a resztę, bo to i wyprowiantowanie dostaniecie, musicie załatwić ze swoim szefem. A teraz idźcie sobie – otarł pot z czoła. – Ja tu nic więcej wam nie pomogę. I tak dzisiaj wykańcza mnie to całe zamieszanie.

Atoli okazało się, iż zamieszanie nigdy nie jest tak dużo, by nie mogło być więcej.

Ktoś zapukał do drzwi ambulatorium.

– Proszę!

– Obywatelu majorze, dyżurny Szkoły Podchorążych Rezerwy Artylerii, kanonier podchorąży Borówka melduje się z powiadomieniem!

– Panie podchorąży – powiedział z wyrzutem lekarz – czy ja kiedyś od was meldunków wymagałem?

– Mówzesh, Janek, po ludzku – doradził Hultajek.

Lecz wierny uczeń kaprała Mucy nie zamierzał zdradzać litery z takim trudem wykutego na blachę Regulaminu.

– Obywatelu majorze, melduję, że podchorąży Rej potrzebny jest w Szkole Podchorążych Rezerwy Artylerii!

– Dobrze, dobrze... Idźcie sobie już, wszyscy! Tamci z poczekalni też! Niech tylko podadzą nazwiska sanitariuszowi, a też pojedą do Ołku.

Po wyjściu podchorążych major ułożył zmęczone ciało na zabiegowej kanapce. Następnie zażądał, by sanitariusze przygotowali mu okład. Na rozbolałą głowę.

Bagażnik a stomatologia

– Aaa! Uuu!

Przeciągłe wycie świadczyło, że kapitan-lekarz stomatolog Chrostowski rozpoczął przyjmowanie pacjentów.

Było więc już dobrze po dziesiątej. Co prawda tabliczka na drzwiach gabinetu dentystycznego informowała, że przyjęcia trwają od siódmej trzydzieści do trzynastej trzydzieści, ale jej treść świadczyła tylko o tym, iż słowu pisanemu nie zawsze należy ufać.

– Uuuuuuu! Bo-li!

Z gabinetu nie dochodziło charakterystyczne dla zwyczajnych placówek tego typu rżenie bormaszyny. Mimo że taka stała w pokoju, Chrostowski z zasady jej nie używał.

Szeregowy Gajda współczująco patrzył na wijącego się w fotelu biedaka z unitarki. Musiało go rzeczywiście potwornie boleć, skoro przetrzymał całe badanie wstępne, dokonane przez kapitana-stomatologa. Zwykle kilka pierwszych ruchów wystarczało, by delikwent uciekł. A ten tu ciągle siedzi... Osunął się co prawda mocno w głąb fotela i z przerażeniem śledzi ruchy lekarza, który długo przebiera między szczypcami... Odkłada jedne, podnosi drugie... Gajda podziwiał wytrzymałość chłopaka, sam już dawno by uciekł.

Wreszcie Chrostowski znalazł, czego szukał.

– No, nie bój się, kutasku, nie bój, otwórz usteczka – przemawiał dentysta z miną Baby Jagi szykującej się do przygotowania pieczeni z Jasia i Małgosi.

Unitariusz polecenie wykonał, o czym mogli przekonać się również wszyscy obecni w okolicy.

– Uuu-ouuuuuuu!

Ciekawe – pomyślał bez emocji Gajda – czy wyrwał chory ząb? Mając za sobą kilka miesięcy współpracy z kapitanem-lekarzem, podejrzewał, że raczej nie. Wiedział, że stomatolog dzięki stosowanym w izbie chorych metodom stara się odstraszać ewentualnych pacjentów od swojego gabinetu. Przy okazji mścił się też na żołnierzach za to, że sam musiał chodzić w mundurze.

Przed laty nic nie zapowiadało tego, że Bogumił Chrostowski zostanie żołnierzem zawodowym. Studiował na Akademii Medycznej, bez rewelacyjnych wyników – jak opowiadał w chwilach szczerości – ale do najgorszych też się nie zaliczał. Pech chciał, że pod koniec studiów wpadł w złe towarzystwo. Wiedziony bezsensownymi ideami ulepszenia świata, zaczął współpracować z nielegalnym Ruchem Obrony Praw Człowieka i Obywatela oraz Komitetem Obrony Robotników.

W zasadzie studentów szkół medycznych – w odróżnieniu od innych wyższych uczelni – nie powoływano do służby woj-

skowej. W zasadzie... rokrocznie bowiem kilku absolwentów każdej z nich łądowało w wojskowej służbie medycznej, otrzymując gwiazdki podporucznika. Czasami (choć rzadko) limit ten wypełniany był ochotnikami, których znęciły korzystne warunki materialne. Zwykle jednak byli to ludzie tacy jak Chrostowski, którym należało zaszczerpić cechy żołnierskie, a co za tym idzie, wyprostować kręgosłup moralno-polityczny.

Z chwilą powołania do wojska od Chrostowskiego odwrócili się znajomi i przyjaciele. Nie chcieli uwierzyć, że nie był kapusiem, nie potrafili też zrozumieć, że jego nowa rola była wyłącznie rezultatem kaprysu służb specjalnych ludowej ojczyzny. Lekarz nie mógł im tego darować. Opowiadał Gajdzie, że z rozpaczy się rozpił. Co innego zresztą mógł robić w Szczupakowie, gdzie znajomości w gronie oficerów zawierano tylko przy kielichu, a na niepijącego patrzono jak co najmniej na kanibala?

– Uuuu... boli dalej... oj... obywatelu kapitanie, ooj... czy to ten ząb?... Uuuu...

Lekarz ciekaw był widać spustoszeń, jakie poczyniła jego sztuka medyczna w wersji dla szeregowców, gdyż władował do gęby pacjenta lusterko dentystyczne.

– Uuuuuu... – jęczał żołnierz.

Żeby tak z miejsca urazić nerw lusterkiem, trzeba być mistrzem w swoim fachu. Musiał to przyznać nawet Gajda, choć wciąż trudno mu było zaakceptować metody Chrostowskiego, który uważał, że szwejnom zastrzyki znieczulające *nie przystługują*.

Gajda bardzo powoli przyzwyczajał się do praw szczupakowskiej lecznicy. Ale przecież do wszystkiego można przywyknąć. Nie na darmo na unitarce powtarzali mu ciągle, że w wojsku to tylko *parasola w dupie nie da się rozтворzyć*.

– Auuuuuu! Uuuuuuu!

– Wyrwiemy zaraz chorego ząbka – pocieszył pacjenta lekarz.
– Tamten, to się szczypce obsunęły...

Żołnierz posłusznie rozwarł szczękę.

– Aaaaaa! Uff...

Litościwy Gajda wcisnął wychodzącemu kilka pylarginów. Przeteterminowane, że aż strach, ale lepsze takie niż żadne.

– Oby-obywatelu... ka-kapitanie... proszę o pozwolenie pozostania – wyseplecił kolejny pacjent.

– Pozwalam. Siad!

Żołnierz, przyzwyczajony widać do wysłuchiwanie takiego polecenia z ust swych dziadków, potulnie przykucnął.

– Na fotelu! – pouczył Gajda. Nie dziwił się kociakowi. Sam też przez kilkanaście dni odbywał szkolenie w baterii unitarnej. Na szczęście po dwóch tygodniach wybawił go stamtąd obecny przełożony. Gajda nadal był kotem, ale już *kotem w butach*. Dzięki obecnej fuszce stał się nietykalnym nawet dla najbardziej awanturnych dziadków. Był osobą prawie tak ważną, jak kucharz. Choćby za to musiał polubić dentystę. A i innych powodów było sporo. Tak, tak...

Gajda był w kamaszach ledwo pół roku, a już zaliczył na przepustkach i urlopach prawie dziesięć dni. To był wynik, o jakim nie śnił żaden z chłopaków, z którymi wspólnie przyszedł w maju na pododdział unitarny. Nawet dla dziadka to rezultat-bajka! Wotek przy Jarmule przez półtora roku na dłużej nie wyjechał... A do tego trzeba przyznać, że Gajdzie udało się pracować w zawodzie, który uprawiał w cywilu. Prawda, że za marne pieniądze, ale fachu przez te dwa lata nie zapomni, a jeszcze się doksztacił. Robił dla Chrostowskiego protezy do szczęk (po maturze, a przed przerwaniem studiów, skończył dwuletnie Studium Protetyczne). Wykonywał zamówienia zawsze u niego w domu – lepiej ludzkich oczu nie razić! Jedna taka proteza warta była niezłe tysiące, a Gajda robił kilka miesięcznie. Sam forsy z tego nie miał, ale Chrostowski traktował go nie jak byle szweja, lecz jak kumpla po fachu. Zawsze poczęstował kupionym w kasynie ciastem czy kiełbasą. Postawił

kawę, porządną herbatę, jeśli pił koniak (a pił rano, wieczorem i w południe), to nie poskąpił i pomocnikowi. A jak miesiąc temu, w niedzielę, przyjechała do Gajdy dziewczyna, zostawił mu do dyspozycji swoje mieszkanie, żeby panienkę godnie przyjąć. Na dodatek Chrostowski załatwił swemu asystentowi specjalną nagrodę za wzorową służbę: dwa tysiące złotych wręczył mu sam pułkownik Czachórski.

Jaki żołnierz w Szczupakowie mógłby mieć lepiej? Gdybyż jeszcze po pijanemu Chrostowski nie płakał, jak to go wojsko skrzywdziło! Przecież sam dobrze wiedział, że choć za cztery czy pięć lat będzie mógł odejść do cywila, i tak tego nie zrobi. Śmiało można powiedzieć, że – również dzięki gajdowym protezom – należał do najlepiej zarabiających ludzi w Szczupakowie i okolicach. A pracą się nie przemęczał, nawet popołudniami.

– Łooo-Ło-ooo! – Drugi pacjent wył na zupełnie inną nutę niż pierwszy. Chrostowski ze złością patrzył na leżącego z zaciśniętymi powiekami chłopaka. Kawałek zęba został w dziąśle. Dentysta władował do ust jęczącego żołnierza wziernik. Tym razem jednak pacjent nie stanął na wysokości zadania: zgryzł lusterko, kopnął w łydkę lekarza i plując szkłem oraz krwią, uciekł.

– No, mam nadzieję, że na dziś to z nimi koniec – uśmiechnął się Chrostowski.

Kapitan-stomatolog nie krył zadowolenia z dobrze odwalonej pracy – ci, których obsłużył, więcej mu głowy zawracać nie będą!

Chrostowskiego czekało pracowite popołudnie – miał przecież prywatną praktykę. Oczywiście taką niezarejestrowaną i bez płacenia podatków. Niekłopotliwą, tylko dla zaufanych pacjentów... Korzystał zawsze z pomocy żołnierza-sanitariusza. Trzeba przyznać, że dbał o dopływ wykwalifikowanych kadr. Po każdym kolejnym naborze wyszukiwał kandydatów spośród tych, z których papierów wynikało, że liznęli trochę medycyny. Ale taki skarb, jak Gajda, trafił mu się pierwszy raz od czasów Gąsiorka!

Kapitan wiedział, że jego popołudniowa praktyka stoi ością w gardle wielu przełożonym. Pułkownik Czachórski po paru tygodniach pobytu w Szczupakowie ośmielił się nawet mu jej zakazać. Trzeba trafu, że niemal następnego dnia panią Czachórską rozbolał ząb. Chrostowski oświadczył, że i owszem, bardzo chętnie ją wykuruje, ale tylko w godzinach przyjęć, w gabinecie na terenie izby chorych. Był tak uprzejmy, że pokazał jej nawet swój znakomicie urządzony prywatny gabinet, podkreślił jednak stanowczo, że obowiązuje go zakaz... więc choć bardzo ubolewa, niestety... Aby pocieszyć panią pułkownikową, zapewnił ją, że choć sprzęt w izbie chorych jest co prawda znacznie gorszy i często się zacina w czasie pracy, jakoś postara się jej dopomóc... Pani pułkownikowa nie miała chęci cierpieć bez potrzeby i być leczoną za pomocą tego samego wiertła co byle szeregowiec, wyjaśniła więc mężowi niestosowność jego decyzji.

Wtedy to Chrostowski (wówczas porucznik) i pułkownik Czachórski zawarli dżentelmeńską umowę: dowódca JW 1281 będzie udawać, że nic nie wie o tym, iż dentysta łamie jego zakaz, a ten ze swej strony ma postępować na tyle oględnie, by jego dowódca mógł z w miarę czystym sumieniem udawać, że nic mu nie wiadomo o naruszaniu jego własnych rozkazów. Prywatni pacjenci byli zadowoleni ze zdrowych zębów, a Chrostowski czuł się jak konspirator i zwalczający wojsko Konrad Wallenrod. Tylko Czachórski zastanawiał się czasem, czy aby wszystko jest rzeczywiście w porządku, ale byle uwaga szacownej małżonki, że w końcu zęby trzeba gdzieś leczyć, tłumiała te wątpliwości w zarodku. Sam jednak do Chrostowskiego nie chadzał. To znaczy poszedł tylko raz. No, może zresztą dwa razy. A co najwyżej cztery. I to *incognito*, z czapką nasuniętą na oczy. Na dodatek późnym wieczorem, dla pełnego bezpieczeństwa.

– Aha, Gajduś, dziś pojedziesz do mnie... Jak przyjdę tutaj z powrotem około trzeciej, to żebyś już czekał gdzie trzeba.

Tylko pięć osób posiadało przywilej wjeżdżania prywatnymi samochodami na teren koszar: pułkownik Czachórski, kwatermistrz Wierzba, szef sztabu Łysak, kapitan kontrwywiadu Trochę i – Chrostowski. To zezwolenie było niezbędnym elementem *konspiracyjnej działalności* tego ostatniego i wiązało się z pewnym niemiłym aspektem współpracy Gajdy z pryncypałem. Chodziło tu w dodatku o coś, co było permanentnym utrapieniem sanitariusza.

Otóż miejscem, gdzie pielęgniarz oczekiwał stomatologa, był bagażnik fiata. Trzeba przyznać, że Chrostowski dbał o wygodę swej złotonośnej kury – w bagażniku znajdował się pieczołowicie rozłożony gruby koc. Na ciasnotę kryjówki i smród benzyny nie było jednak żadnego lekarstwa. Kapitan z dawien dawna wywoził w ten sposób z koszar kolejnych pomagierów – łudząc się, że nikt nie wie o jego tajnych praktykach. Wiedzieli prawie wszyscy.

Dla Gajdy ta bagażnikowa konspira była również przyczyną cierpienia natury moralnej. Niektórzy koledzy podejrzewali, zupełnie bezpodstawnie, że przyczynę tak skrytego wymykania się sanitariusza z koszar stanowi chęć tuszowania praktyk homoseksualnych, jakim oddaje się on ze swym przełożonym.

Gajda bardzo nie lubił, gdy nazywano go pedziem, a tym bardziej cwelem lub ciotą. A tak czasem przeżywał go nawet, zorientowany przecież w całej sprawie, starszy szeregowy Wotek.

Był widać zazdrosny o przywileje...

Przed obiadem

– Baczość! – ryknął elew Siejak na powitanie starszego szeregowego, dziadka Chełmońskiego.

Polecenie nie dotyczyło oczywiście bażantów ani dziadka – szeregowego Włocha, czy wicka – starszego szeregowego Matli. Od-

nosiło się do samego Siejaka i zajmującego sąsiednie wyro elewa Orłosa.

Ale Orłoś nie podniósł się z taboretu, na którym siedział, opierając się o poręcz wozu.

– Spocznij – zezwolił Siejakowi przybysz. – A ten drugi buc, to czemu dupy, kurwa, nie ruszy?

Orłoś nie odpowiedział. Tylko zakasłał.

– Padnij! Pompki grzać! – rozkazał mu dziadek Włoch. – Dwa-dzieścia honorowych!

Tego było za dużo dla Dacznego. Zerwał się z łóżka i skoczył na środek pokoju.

– Co ty sobie wyobrażasz?! Nie widzisz, że chłopak ledwo siedzi?!

– To... symulant – usprawiedliwił się Włoch. – Nie potrafi powiedzieć, co mu naprawdę jest. Sam Jarmuł mówił!

– Ciesz się, że sam nie jesteś takim symulantem! – warknął Daczny. – Dopóki ja tu jestem, to jego fala nie obowiązuje!

– Też SPeRmen zafajdany się znalazł, kurwa! – fuknął Włoch.

– Słyszałeś, co mówiłem?!

– No, dobrze, dobrze, niech się podchorąży nie rzuca... W końcu co się temu tu stanie, jak trochę popompuje – przedstawił swój pogląd starszy szeregowy Chełmoński.

– To, że my jego teraz pojebiemy, to nasze, a za parę miesięcy to chuj kapralem będzie, a my dalej szeregowymi...

– O ile mi wiadomo – przerwał podchorąży – to jak on dostanie belki, wy już będziecie w cywilu.

– No tak... ale fala musi być. Była za naszych czasów, będzie i po nas. A czemu to niby inni mają mieć lepiej?

– Ale on jest chory!

– Chodź już, Heniek – powiedział Włoch do Chełmońskiego. – Nie będziemy tu hrabiczom przeszkadzać! Fali nie uznaje, chuj jeden...

– Co powiedziałeś?! Wróć! Baczość! Zero dyskusji! – wydarł się Daczny.

Podpatrzone u kadry SPR metody wychowawcze przyniosły spodziewany skutek.

– Przepraszam, obywatelu podchorąży – potulnie powiedział Włoch. – Tak mi się, kurwa, wymaskło.

– I zapamiętać: nad tym tutaj nie będziesz się już wyżywał!

– No... niech będzie... ale do innych, to się podchorąży nie będzie chyba czepiał? W końcu koty trzeba trochę pościgać, żeby im ogony pourywać!

– Koszar sam nie przebuduję... – westchnął Daczny.

Orłóś zupełnie nie sprawiał wrażenia zainteresowanego sprzeczką. Nie protestował, gdy podchorąży ułożył go w łóżku i przykrył kocem. Czuł się widać tak źle, że nie docierała doń groźba *opeeru* ze strony lekarza.

Zresztą Jarmuł był tego dnia niegroźny. W starciu z doborowym plutonem zwiadu SPR Artylerii doznał tak dotkliwych obrażeń moralnych, że już trzecią godzinę leżał na kanapce, a starszy szeregowy Wotek donosił mu co chwila świeże kompresy.

Nawet *zbiórkę do lekarza* (która zastępowała cywilny obchód) przeprowadziła, w zastępstwie majora, pielęgniarka.

Około trzynastej przyszedł kapral Jąder z 1 dywizjonu. Jego bateria obejmowała wieczorem służbę, przyniósł więc kartę warty. Teraz lekarz winien przebadać potencjalnych wartowników.

Oczywiście była to tylko teoria.

Jarmuł złożył podpis *in blanco* w stosownej rubryce. Nazwiska wpisać miał dowódca pododdziału, który wystawiał wartę.

Przed obiadem odwiedził Dacznego Maroń. Pensjonariusz izby chorych wyszedł na spotkanie do poczekalni. W razie potrzeby pełniła ona również funkcję izby odwiedzin.

– Słuchaj, Piotrek, ty znasz dobrze rosyjski? – zapytał nieco zakłopotany gość.

W PRL wiele książek z zakresu astronomii i fizyki najłatwiej było zdobyć w języku rosyjskim. Astronom Daczny musiał więc go znać co najmniej przyzwoicie.

– Bo wiesz, mam taką sprawę, że sam sobie poradzić nie mogę...

Oficerowie LWP musieli co jakiś czas pisać klasówki, dyktanda lub wypracowania z języka rosyjskiego. Był to bowiem język wiodący w siłach zbrojnych Układu Warszawskiego. Niektórzy oficerowie 1 ŚBAA znajdowali się w tej szczęśliwej sytuacji, że pracowali w dywizjonie szkolnym. A nie zdarzyło się jeszcze, żeby w SPR nie pojawił się jakiś dyplomowany rusycysta. Tym razem był taki – na własne nieszczęście – tylko jeden.

– Widzisz, najgorsze w tym wszystkim jest to, że to dyktando trzeba napisać kilkunastoma różnymi charakterami pisma, i jeszcze błędy w miarę indywidualnie porobić, żeby nie wyglądało podejrzanie. Mają być tylko dwie piątki, a reszta czwórki i cztery plus lub minus. No to jak będzie, Pierdaczny?...

Piotr Daczny nazywany był w SPR Pierdacznym, czego bardzo nie lubił, ale co niestety powszechnie się przyjęło. Była to oczywiście ksywa wymyślona przez Reja, który nieustannie kombinował, by – jak to mówił – maszynka się kręciła i działało się coś nowego.

– No... parę ci mogę przepisać...

Jeszcze kilka tygodni temu przyjacielska rozmowa Dacznego z Maroniem byłaby nie do pomyslenia. Od jakiegoś miesiąca sytuacja się zmieniła, bo – zmienił się Maroń. Raz, że chyba trochę przestały mu się podobać ubóstwiane niegdyś wojskowe porządki, a dwa, że był oburzony niesprawiedliwością. Podporucznik Maćko chwalił go za dostarczane informacje, lecz wciąż odwlekał przyznanie urlopu nagrodowego. Teraz więc Maroń robił już tylko to, od czego nie mógł się wymigać, a i to z jak najmniejszym nakładem sił i środków.

– Najlepiej byłoby, gdybyś dał to paru chorym. Są tu przecież i chłopaki po liceum, dla nich może to być nawet zabawa, cholera... A gdyby im się spodobało, to bym jeszcze więcej przyniósł...

Faktycznie, chętni znaleźli się bez trudu. Szczególnie wśród elewów. Praca dla bażanta chroniła przed szykanami ze strony dziadków i wicków.

– Obywatelu podchorąży, a dla kogo to piszemy?

– Ile razy wam mówiłem, żebyście mnie nie dobijali tym *obywatelem*?

– To jak mamy mówić?

– Piotrek jestem.

– Tak to głupio... A jakby jakiś kapral albo dziadek usłyszał i zakapował?

– Piszecie dla OCelotów, na egzaminy.

To była wersja oficjalna. Wspólnie z Maroniem uznał, że nie ma co elewów dopuszczać do jądra tajemnicy. Rozpapła, a to nie było w interesie bażantów, którym za pracę miał kapnąć urlop.

Elewi byli żołnierzami na tyle krótko, by jeszcze wierzyć wersjom oficjalnym.

*Rycerska to sprawa
na miecze zabawa, hej, hej, dana, hej!
Gdy tarcza do tarczy
kły szczerzy i warczy, hej, hej, dana, hej!*¹⁹

No tak, już pora obiadu. Baterie maszerują, sławiąc śpiewem kolejne przeboje, owoce festiwalu pieśni żołnierskiej.

*Dobrze mieć przyjaciół
w każdej stronie świata,
serce dać za serce,
bratem być dla brata.
Przyjaźń bywa nawet
pośród sfer niebieskich,
jak na przykład: Klimuk
i nasz Hermaszewski*²⁰.

No, no! Że i taka pieśń istnieje! Ciekawe, kiedy się narodziła? Czy zaraz po locie w kosmos majora Hermaszewskiego, czy też wtedy, gdy już jako generał brygady został on członkiem-maskotką WRON?²¹

*Raduje się serce,
Raduje się dusza,
Gdy Pierwsza Brygada
Na Germana rusza!*

Hmm... żeby w pieśni z wojny 1920 roku zamienić *Moskala* na *Germana*! A niech ich szlag... Nadali jej właściwy z punktu widzenia przyjaźni radziecko-polskiej wydźwięk. Kłusują na polskim repertuarze narodowym ile wlezie...

Za to SBA śpiewała o typowym – podobno – śnie żołnierza.

*To jedzie placem defilada,
błyszczą pancernych wozów stal*

¹⁹ J. Bekker, *Rycerska to sprawa na miecze zabawa*.

²⁰ J. Nowicka, *Nie zawiedzie drub*.

²¹ Dacny się mylił. Mirosław Hermaszewski, zostając w grudniu 1981 roku członkiem WRON, był tylko podpułkownikiem. Rangę generalską otrzymał w 1988 roku, kilka miesięcy przed powołaniem Dacznego do wojska.

*a w górze smóg parada,
kwiaty, dziewczęta, tłum i gwar!
I śmieją się żołnierzom oczy,
orkiestra dla nich marsza gra...²².*

Czyżby nie zdążyli jeszcze poznać, że defilady mają to do siebie, że widzom – szczególnie tym z trybuny – podobają się tak samo, jak dają się we znaki tym, którzy w nich maszerują?

*Wielu jest dowódców
w naszym gar-ni-zo-nie,
co im na żoł-nier-ce
po-si-wia-ty skro-nie.
Ale i nikt i nigdzie,
i o żadnej porze
z jednym oficerem
równać się
nie może.
On pomoże przemoc nam
każdą biedę!
Który to dowódca?
To dowódca nasz!²³.*

Zerwana fala

– Zbiórka do rejonów!

Starszy szeregowy Wotek zwolnił z manewrów porządkowych elewa Orłosa – widać było, że chłopak ledwo stoi na nogach. Zmierzył mu też nadprogramowo temperaturę.

²² J. Kusz, *Majowa defilada*.

²³ M. Łebkowski, S. Werner, *Tylko jeden taki jest*.

Czterdzieści stopni! Przeraził się i zatelefonował do domu Jarmuła, by dowiedzieć się, co robić. No i dowiedział się.

– To twoja sprawa. Ja już skończyłem pracę.

– Ale chłopak ledwo dyszy!

Odpowiedź stanowiło szczęknięcie odkładanej na widelki słuchawki.

Wotek zadzwonił więc do kapitana-lekarza Grywody. Nie zastał go. Żona powiedziała, że wyjechał do rodziny.

Teoretycznie mógł telefonować jeszcze do znajdującego się w Szczupakowie szpitala cywilnego, ale wołał tego nie robić. Dostał już kiedyś od Jarmuła dychę ZOMZ-u za taką samowolę.

Wszystko, co mógł zrobić dla chorego, to zastrzyk uspokajający i zwolnienie z rejonów.

A jeszcze w zeszłym tygodniu mówił Jarmułowi, że z Orłosiem jest coś poważniejszego i że trzeba go odesłać do Ołku!

Lekarz był jednak pewien, że to tylko zatrucie, może lekkie wrzody, i Orłosiowi w zupełności wystarczy tutejsza opieka. W końcu już niejedną ją przeżył.

*Na imieniny sam pan pułkownik
przystał mi życzenia,
że sobie życzy, abym się stawił
jutro na ćwiczenia.
No to na ćwiczenia,
no to na ćwiczenia,
tu się człowiek duchowo
i fizycznie zmienia!
Tu się człowiek czuje
nowo narodzony.
Bo wszystkie dolegliwości
warta zatrzymała przy bramie
No to na ćwiczenia,*

*no to na ćwiczenia,
Nie ma tłumaczenia,
Biegiem marsz!*²⁴.

Popołudnie w izbie chorych to czas niepodzielnych rządów dziadków. Sanitariusz Gajda opuścił już koszary wiadomym sposobem, a Wotek poszedł na oranżadę do kantyny. W końcu i on, który prawie wcale nie wychodził z koszar, musiał kiedyś odpocząć. Przez to, że kapitan-stomatolog Chrostowski całkowicie zawłaszczył Gajdę, wszystkie dyżury spadły na barki starszego pielęgniarza. Takie już było jego pieskie szczęście. Właściwie nie powinien nawet wychodzić do kantyny, ale na to szefowie patrzyli przez palce. Wiedzieli przecież, że to on trzyma całą izbę w garści, zamawia leki, kuruje chorych... No i Grywoda. Trzeba przyznać, że ten miał często naprawdę dobre intencje, nawet na urlopie. Potrafił zajrzeć i zapytać, co z chorymi. Ale po prawdzie to przede wszystkim przychodził zabrać leki dla siebie, stary hipochondryk...

Sanitariusz popijał kawę – siedemdziesiąt dziewięć złotych za szklankę lury – a przy sąsiednim stoliku konferowało kilku bażantów. Kopcili... Palić w kantynie niby nie było można, ale jak wszędzie w armii, i pod tym względem byli równi i równiejsi. Przypięta nad bufetem tabliczka informowała: *Palenie tytoniu dozwolone jedynie żołnierzom zawodowym i podchorążym SPR.*

Takim to dobrze... On nie mógł pociągnąć dymka przy kawie, ale musiał gnić w kabinie natrysków... Niby mógłby, bo przecież po południu nikt mu tego nie zabroni, zapalić choćby w świetlicy izby chorych, ale niechby wtedy wpadł pułkownik Wierzba, niechby tylko poczuł dym... Zmoka pewna! A kto lubi moczyć dupę na darmo?

²⁴ M. Łebkowski, S. Werner, *No to na ćwiczenia.*

Dobrze, pora wracać na izbę, zobaczyć jak rejony trzepią, i poczytać się biologii, żeby po wyjściu z wojska zdawać na medycynę. Szanse miał spore, bo należało mu się mnóstwo punktów za odbycie służby wojskowej.

Po otwarciu drzwi izby uderzył Wotka odór nie gorszy niż na sali szpitalnej, gdzie leżą gastrycy z rozwolnieniem. No tak, oto skutki dzisiejszego obiadku... Bigosik! Dobrze, że sam nie jadł. Nie miał zaufania do takich potraw w wojsku. Przecież przez te półtora roku wlał już hektolitry kropli miętowych w żołądki amatorów stołowego bigosu. Elewów, przerażonych wizją salmonelli, pocieszył, że po mięcie ból przejdzie i spokojnie dokończą rejony.

– Na naszej stołówce to nawet salmonella z brudu wyginęła! A zresztą, chorować nie chcecie?

Wiedział dobrze, że chorobę w wojsku bardzo się ceni. W cywilu człowiek chce jak najszybciej wyzdrowieć, działać (oczywiście, gdy nie uczy się już w szkole, bo tam tydzień anginki też czasem nie zawadzi). W wojsku chorobę się pielęgnuje i dogląda. Jeśli zaczniesz się zbyt pocić, zaczną ci doskwierać bóle głowy – najlepiej nie robić nic. Czekać. Bo jeśli pójdziesz do lekarza wojskowego, on cię wyśmieje, a co najwyżej zapisze trampki, uniwersalne remedium na wszystkie żołnierskie przypadłości. Może jeszcze dorzuci przeterminowany rutinoscobin lub polopirynę, a później dowódca plutonu czy baterii wyzwie cię od ostatnich, że chciałeś się wymigać od warty.

Stary wiarus czyni zupełnie inaczej. Jest jak cierpliwy wędkarz, zasadzający się na wielką rybę. Czeka i patrzy. Obserwuje organizm. Do żadnego lekarza oczywiście nie idzie. Za to idzie na wartę albo łapie się do drużynki na kuchnię. Jeśli wyzdrowieje, to znaczy że ryba nie wzięła, ale przynajmniej zdrowie złapał. Za to, jak go porządnie przyciśnie... o, to lepsze od szczupaka! Bo z chorobami w wojsku jest też jak z rybami. Jak już ktoś coś złapie, stara się

sukces wyolbrzymić, a lekarz pełni rolę kolegi z koła wędkarskiego, który choć nie widział, i tak wie lepiej. Od czasu do czasu uwierzyć jednak musi.

Najłatwiej nabawić się otarcia stóp. To bardzo proste, szczególnie u tych z platform. Niby sprawa niewielka, góra trzy dni izby, a najczęściej po prostu trampki. Ale trampki to cenny przywilej, zwłaszcza dla młodego kota. Masz trampki, to nie możesz pełnić służby – żadnej służby! A gdy na dworze ciepło, znacznie wygodniej się ćwiczy musztrę w nich niż w ciężkich opinaczach.

No, w każdym razie otarcie stóp to taki kiełbik, góra płotka. Jeśli jednak pozaciskać zęby i połączyć z krwawiącymi nogami z tydzień, można dostać – pod warunkiem że trafi się na Grywodę – nawet skierowanie do Ołku, na badania specjalistyczne. Tam położyć ze dwa tygodnie w szpitalu, a wreszcie i wyfasować kilka dni na rekonwalescencję we własnym domu. Taki rezultat to już solidny szczupak. Za kadencji Wotka wywalczyło go co najmniej kilkunastu. A przecież pamięta i większych tuzów! Taki Rosołek to aż B-12 dostał po tym, jak mu na poligonie działał zmiażdżyło stopę. B-12 oznacza odroczenie tylko na dwanaście miesięcy, ale to pic na wodę, bo później dadzą E, czyli całkowite zwolnienie z armii. Nie mogą dać E od razu, bo to by znaczyło, że Rosołkowi zdrowie pogorszyło się w wojsku i trzeba by chłopakowi płacić rentę. Gdy zaś najpierw B, a dopiero potem E, to wytłumaczą, że pogorszyło mu się ze stopą dopiero w cywilu, bo zaniedbał leczenia. Ministerstwo Obrony Narodowej ma pilniejsze wydatki. Każdy ma własne prerogatywy, jak lubi mawiać pułkownik Wierzba.

Własne prerogatywy miał i Wotek. Czasem więc ułatwiał, co niektórym, kilkudniowy odpoczynek w swoim księstwie, rzecz jasna za drobną opłatą.

Łubudu, łubudu, łubu-du-du-dudu!
Co się tak dobijają?

Wotek wstał ze stołka, przeskoczył mokre płytki, stanął na gazecie rozłożonej przez sprzątających korytarz. – Co się tak dobijają? Pewnie to znowu...

No tak, z noszami przyszli. Choć na korytarzu ciemno, i tak było wiadomo, że przynieśli elewa Gerhardta z SBD. Normalka. Zwykle gościł tu ze dwa razy dziennie. Według książeczki wojskowej miał kategorię A-1, czyli był zdolny do służby każdego rodzaju. Atak, taki jak ten, zdarzył mu się przed wojskiem ponoć raz czy dwa razy. A tutaj... Najpierw myśleli, że to symulant, ale później Grywoda zdecydował się jechać z nim osobiście, wojskową karetką, na konsultacje neurologiczne. I okazało się, że chłopak ma po prostu histerię nerwicową. Zalecenie: odpoczynek. Na Wojskową Komisję Lekarską go nie skierowano, bo psychiatra stwierdził, że *wystarczy mu zapewnić spokój, by się dobrze w wojsku spisywał*. Ale w wojsku o spokój trudno. Kaprale mówili, że z daleka go obchodzą i żadnych poleceń mu nie dają, nie mówiąc już o czepianiu się. Ale chłopak – proszę sobie wyobrazić – obowiązkowy, i cierpi, że nie może robić tego, co wszyscy, że go oszczędzają. I już mamy jeden powód ataków histerii. A drugi – że jednak czasem ktoś się zapomni i warknie na niego.

To nie jest taka zwyczajna histeria. Bardziej przypomina padaczkę. On nikogo nie wyzywa ani nie atakuje, a po prostu pada na ziemię i się trzęsie. Trzeba mu wtedy szybko włożyć coś do ust, żeby nie odgryzł sobie języka. Czasem nawet sam zdąży sobie wpakować do gęby gumowy walek, który stale nosi przy sobie. Podczas ataku nie traci przytomności, ale nie panuje nad własnym ciałem. Czasem byle co wystarczy, by go zdenerwować. Choćby wczoraj w nocy. Wstał się odlać i zauważył, że mu chłopaki podmienili nowe buty na stare. Nie ma dziwne, wiadomo, że takie podmianki to przywilej dziadków i kaprali. Jeśli coś w tej historii jest osobliwe, to ewentualnie fakt, że wciąż miał nowe buty, i nie podkradli mu ich znacznie wcześniej.

– Przyciśnijcie go trochę!

Żołnierze, którzy przydźwigali chorego, spełnili życzenie pielęgniarsza. Teraz mógł, jeszcze uważniej niż zwykle, zrobić zastrzyk. Relanium działa rozluźniająco na sferę drgawkową i likwiduje sztywność mięśni. Ale skutkuje tylko do następnego razu... A kiedy będzie ten następny raz? Jeszcze dziś czy już jutro?

Leży teraz chłopak i odpoczywa. Niestety, nie można zostawić go tutaj, bo Regulamin izby chorych nie przewiduje takiej możliwości.

Koty cały czas zajmują się rejonami. Większość ma gorączkę, ale żaden nie narzeka. To, co robią na izbie, jest miodem wobec codzienności na pododdziałach. Nawet teraz mogą być pewni, że do kolacji rejon będzie przyjęty, a w nocy nikt ich nie będzie ściągać z wozów do poprawek. Wiadomo – chorzy.

Na razie Wotek mógł odsapnąć. W sumie to był, trzeba przyznać, nadzwyczaj spokojny dzień. Dobrze, że nie przyprowadzili żadnego z samookaleczeniem. Łykają te kotwice i inne świństwa, żeby udowodnić, że są *psycholami*, i wyjść na wolność. Takich stałych klientów miał w brygadzie kilkunastu, plus czeredy jednorazowców – głównie facetów, którzy otarli się o więzienie, a przynajmniej o poprawczak. Ostatnio było jednak coraz więcej debiutantów. Liczyli, że wyjdą do cywila, a niewiele brakowało, by wylądowali w prawdziwym więzieniu, ze słynnego artykułu 306 kk. Ratowało ich tylko stanowisko pułkownika Czachórskiego, który uważał, że wyciągnięcie takiej sprawy poza mury koszar zaszkodziłoby JW 1281.

Niektórzy łykają te paskudztwa po kilka razy albo sypią sobie w oczy popiołem. Wotek przed przyjściem do wojska nie słyszał o takich numerach. Czyżby samookaleczenia dopiero niedawno weszły w modę? Eee... pewnie też je konspirowano, żeby nie *hańbiły dobrego imienia* tej czy innej jednostki.

Czy już czasem nie pora zagonić koty na Dziennik? Ale która godzina? Jego zegarek zepsuty, nie było kiedy do naprawy oddać, a zresztą póki nie pojedzie do domu, nie stać go na wydanie kilkuset złotych na zegarmistrza. Żołd ma trochę wyższy niż dwa tysiące, i to po ostatnich inflacyjnych podwyżkach. W sam raz na pół litra i zagrychę. Teraz kaprale mają coś koło trzech, a SPR-owcy, cholerniki, gdzieś dwa razy więcej, i to na szkółce... Bażanci-praktykanci po kilkanaście kafli na rękę biorą. Bażantom zawsze dobrze, ciągle narzekają, ale prawdziwe wojsko to z daleka widzą, dziwi ich to, co tu jest normalne. Takiemu Dacznemu wydaje się, że Włoch znęca się nad Siejakiem, ha, ha... Zobaczyłby, co się dzieje na dywizjonach... Ech! Dobrze mają bażanty. I tylko rok tu gniją. A Wotek dopiero po roku rzucił kotom blachę z metra, na znak wejścia na falę. Parę dni temu to było. Ale się o ten kawałek metalu biły kocury z kompanii zaopatrzenia... Tam rzucał, bo to jest miejsce jego stałego zakwaterowania. Kilku dziadków rzucało po blasze i tyłuż kotów mogło te blachy chwycić. Ci, którym się udało, przez dwa tygodnie cieszyli się pełnymi przywilejami dziadka. Ale za wszystko trzeba płacić: jak pięćdziesięciu kotów rzuci się na jedną blaszkę, w ruch idą kułaki i szlag trafi parę zębów.

– E, ty, która godzina? – zapytał elewa zbierającego gazety z suchej już podłogi.

– Obywatelu dziadku, kanonier elew Maciej!

– Która godzina, pytam.

– Melduję, że nie mam zegarka.

– To idź się zapytać.

– Rozkaz, obywatelu dziadku.

No tak, elewi nie mieli zegarków. Odebrano im je, aż do przysięgi, żeby nie zadawali głupich pytań o to, że pobudka za wcześnie czy capstrzyk za późno.

– Obywatelu dziadku – elew powrócił – kanonier elew Maciej melduje, że jest godzina dwadzieścia po siódmej.

– To włącz telewizor, skończ tu, i szoruj na salę.
– Rozkaz!
– Chorzy udają się na salę telewizyjną! – obwieścił Wotek tubalnym głosem podoficera dyżurnego izby chorych. – Nie dotyczy do elewa Orłósia! Jak chce, może zostać na wozie!
Orłoś nie zasiadł przed telewizyjnym ekranem.

Wotek zdenerwował się zaraz po wejściu do świetlicy. Okazało się, że jeden ze stołów zastawiony był talerzami, na których poniewierały się resztki kolacji. Trudno się dziwić, że po doświadczeniach z ostatnim obiadem powodzeniem cieszył się tylko suchy chleb. Na półmiskach leżały połówki pomidorów, ochłapy mięsa nieco na wyrost nazwane w jadłospisie zrazami, i garście kiszzonej kapusty, podejrzenie podobnej do wygotowanego siana.

– Kto sprzątał świetlicę?! – huknął Wotek. – Dlaczego nie zostało to wyniesione i umyte?!

– Obywatelu starszy szeregowy, kanonier Materek melduje, że zabrali pojemnik na zlewki, a nie przynieśli nowego.

– To bierz teraz i do klopa wyrzuć! Wykonać! Ruchy, ruchy!

I tak ma ogon szczęście, że trafił na Wotka, a nie na innego dziadka, na przykład Chełmońskiego, który się spóźnił i przyszedł właśnie teraz.

– Powstań! Baczość! – krzyknął na jego powitanie ktoś z kociarstwa.

Chełmoński zajął jedno z krzeseł. Przy okazji dał kuksańca siedzącemu obok elewowi i upomniał go, że nie było *spocznij*.

– Siadać, koty! – zarządził Wotek. – I ogonami nie machać!

Dopiero teraz, wraz z sygnałem rozpoczynającego się Dziennika, młodzi mieli prawo usiąść.

Spiker telewizyjny powitał widzów mową wyjaśniającą, że opozycja blokuje zwołanie Okrągłego Stołu. Podczas zajęć politycznych oficerowie mówili o Okrągłym Stole jako o wielkim sukcesie

polityki PZPR, który *nie może być sfinalizowany wskutek bezczelnego oporu opozycji*. Mianowicie nie chciała ona zrozumieć tego, że kierownictwo Partii, choć chce rozmawiać z każdym, to jednak nie życzy sobie mówić z kilkoma liderami solidarnościowej opozycji, szczególnie z takimi wrogami realnego socjalizmu i jego zdobyczy, jak Kuroń i Michnik.

– Aaaa! – zawył ktoś przeciągle.

– Ha, ha, ha, kobyłka, kurwa! – radośnie zarechotał dziadek Włoch, który chwycił jakiegoś kota za mięśnie podudzia.

Nie wiedzieć czemu, elewowi zupełnie nie sprawiało to przyjemności.

– A teraz – karczycho! – rozkazał Włoch.

Żołnierz posłusznie nadstawił karku.

– Plask! Plask! Plask! – dziadek wymierzył kilka razów.

– Następnym do mnie! – polecił Chełmoński. – Tylko na buddę! Wykonać!

Na buddę oznaczało, że ofiara ma usiąść po turecku przed krzesłem dziadka, tyłem do niego, a głowę pochylić nisko w dół. Dzięki temu może on uderzać w kark, szyję i głowę kota, nie wstając z krzesła. Można w ten sposób bez wysiłku odegrać całkiem niezły koncert na coraz bardziej czerwonej skórze młodziaka.

Po paru minutach gra na perkusji znudziła się dziadkom, posłuchali więc przez chwilę informacji o programie gospodarczym rządu premiera Rakowskiego, lecz nie wzbudziły one szczególnych emocji.

– Mucha leci! Po lewej! – zarządził szeregowy Włoch.

– Ham!

– Ham!

– Ham!

Klapnęły szczęki kociaków.

– Po prawej!

– Ham, ham, ham, ham...

– Znowu po prawej!

A za moment:

– I po lewo!

Gdy Chełmońskiemu znudziło się polowanie na nieistniejącego owada, rzucił hasło:

– Granat!

Wszystkie koty padły twarzą ku podłodze.

– Grzybów szukać!

Kocury posłusznie zaczęły się czołgać.

Nie bez powodu takie polecenie padło właśnie teraz. Brakowało kilku minut do ósmej, więc w Dzienniku zaczynały się wiadomości sportowe. Po co byle ogon ma je oglądać?

– Grzyby! Powstań! Granat! Powstań! Siad! Prawa noga na lewą!

Lewa gira na prawą!

Pensjonariusze lecznicy JW 1281 posłusznie wykonywali polecenia żołnierza starszego służbą. W swoich staraniach sprawiali wrażenie niezupełnie dobrowolnych aktorów podłej rewii.

– Karczycho wyjściowie!

Kocury rzędem stanęły przed drzwiami i pochyliły głowy. Dwaj dziadkowie – Wotek się do nich nie przyłączył – wymierzili poze-gnalne ciosy.

Dzięki tym i podobnym rozrywkom Dziennik Telewizyjny mi-
nął szybko i przyjemnie.

– Auuu! Ku-ku-ku-ku-ku!

Na korytarzu szeregowy Lissek zdybał elewa Jarosza. Obalił go na ziemię i począł tarmosić w miejsce, gdzie żaden szanujący się mężczyzna nie pozwala się, w cywilu przynajmniej, dotykać in-nemu mężczyźnie. To było WKKW, czyli wojskowe koleżeńskie kręcenie wora. Rozrywka tania, lekka i podobno przyjemna, choć dla ofiary – nie da się ukryć – bolesna.

– Auuu! Ku-ku-ku-ku-ku!

Jedynym wybawieniem z chwytu WKKW było kukanie. Powalony musiał kukać tyle razy, ile liczył lat, albo tyle, ile dni brakowało ściskającemu go za mosznę dziadkowi do wyjścia z wojska. Mogła to być również liczba włosów, jakie udało się dziadkowi wyrwać za jednym pociągnięciem z czupryny kota. W sumie wszystko za-leżało od fantazji starszego kolegi. Starszego służbą, oczywiście, bo z wiekiem różnie bywało. Zdarzało się przecież, że ktoś lądował w zetce, bo wyleciał nawet z piątego roku studiów, przebywał dłu-żej za granicą czy – po prostu – nie do końca skutecznie ukrywał się przed wojskiem. Takie przerośnięte kocury tępiono ze szczególną satysfakcją i starannością. W znacznym stopniu dlatego, że właśnie oni już po kilku miesiącach trafiali koniec końców na najlepsze fuchy. Przecież każdemu sierżantowi-szefowi wygodniej i przyjemniej mieć za pisarza żołnierza, który prawie skończył studia, niż takiego, co się nie uporał nawet z zawodówką.

W świetlicy został tylko Wotek. Chwilę rozkoszował się samotnością i ciszą, przerywaną jedynie dochodzącym z korytarza kukaniem coraz to innych ptaszków. Zwykle o tej porze stare wojsko oglądało film, lecz to był poniedziałek, w telewizji dzień teatru. Niejeden kot pewnie by obejrzał, ale dla nich dozwolony był jedy-nie Dziennik. A dziadków teatr nie interesował.

Po capstrzyku, który dla chorych ogłaszano już o dwudzie-stej pierwszej, zjawił się, podśpiewując, szeregowy Gajda. Znowu będzie spał w ambulatorium, zamiast na własnym wozie. No tak, tu bezpieczniej. Zachlany jak ostatnie bydło. Pewnie włożył przez płot na jedyńce. I tak dobrze, że niczego sobie nie złamał. Dziś niby jego dyżur...

Wotek już się przyzwyczaił, że musi pracować za dwóch. I to jeszcze nim nastał Gajda. Przy jego poprzedniku było tak samo.

Gajda też się cieszył z fuchy u Chrostowskiego. Pytanie, czy nie na wyrost... Podobno każdy asystent demonicznego stomatologa, może z wyjątkiem legendarnego kombinatora Zygadły, wychodził z wojska alkoholikiem.

– Słuchaj – Daczny przerwał rozmyślenia sanitariusza – z tym elewem obok mnie coś niedobrze. Leżał cicho, a teraz charczy. Nie kontaktuje w ogóle...

Choć po capstrzyku nie wolno tego robić, Wotek zapalił światło na sali. Mógł zresztą liczyć na to, że nikt nie będzie się czepiał, bo z dyżurki oficera nie widać okien izby chorych.

Elew Orłós leżał spokojnie. Pościel równiutko ułożona, głowa na bok. Z ust sączył się strumyczek krwi.

Wotek nigdy nie widział umierającego człowieka. Martwych – tak, ale umierającego – nigdy. Lecz coś, co i dlaczego – nie wiedział... ale to coś mówiło mu, że właśnie teraz widzi.

Wyobrażał to sobie zupełnie inaczej. Nie tak! Za spokojnie.

Chłopak miał bledziutką twarz, przeciętą wąziutkim strumyczkiem spływającej po brodzie krwi. Oczy zamknięte. Nie rzeził. Ale choć trudno to było dostrzec, oddychał. Nie kasłał, nie ruszał się, już nie charczał. Miał słabo wyczuwalny puls, lecz oddychał. I chyba nie cierpiał.

Było trochę po dwudziestej drugiej.

Wotek najpierw zatelefonował do Jarmuła. Major-lekarsz przypomniał mu, że obowiązany jest zajmować się zdrowiem byle elewa tylko w ciągu dnia, a nie w środku nocy.

W domu kapitana-lekarsza Grywody nikt nie odbierał telefonu.

Zdeterminowany sanitariusz zadzwonił więc do oficera dyżurnego po zgodę na ściągnięcie do koszar cywilnej karetki pogotowia. Ten powiedział, że najpierw sam zobaczy chorego, a potem podejmie decyzję. Nie upłynęła nawet minuta, a porucznik Siwak zjawił się w izbie chorych.

Najpierw ponowił próbę skontaktowania się z Jarmułem. Ale słuchawka telefonu została najwidoczniej przez spragnionego odpoczynku lekarza odłożona w taki sposób, by nikt nie mógł się do niego dodzwonić. Siwak mógłby osobiście po niego jechać, ale nie zamierzał tego robić.

– Dzwon – polecił Wotkowi – na to pogotowie. Tam chłopaka prędzej, kurwa, odratują niż ten nasz łamignat.

Ponieważ na pogotowiu nie dowierzano Wotkowi, że cywilna karetka zostanie wpuszczona do koszar, Siwak osobiście jeszcze raz tam zadzwonił. Potem skontaktował się z oficerem operacyjnym brygady, by *post factum* wymusić aprobatę dla swej decyzji. Major Gomółka nie był zachwycony, że cywile wetkną nos w wojskowe sprawy. Jednak, choć niechętnie, oświadczył, że jeśli pułkownik Czachórski będzie wściekły, on mimo wszystko poprze stanowisko porucznika. W końcu w zeszłym roku na izbie chorych zmarło dwóch żołnierzy i – co się oszukiwać – zawiniło niedbalstwo Jarmuła. A teraz... jeśli stanie się coś złego, nie ma go co bronić. Szczególnie po dzisiejszym Rozprowadzeniu brygady...

Orłosiowi te dworskie rozgrywki były najzupełniej obojętne. Z ust puścił mu się nowy, jeszcze węższy niż poprzednio strumyczek czerwonej cieczy. Nie tęsknił już do dziewczyny, nie myślał o domu ani o psie, z którym lubiły bawić się jego małe siostrzyczki. Nie myślał o bracie ani o wiecznie zapracowanych rodzicach. Nie myślał o niczym i nikim.

I to już na zawsze.

CYFRA I CYFERKA

Grudniowy poranek

– Pobudka, pobudka, znikają buty z ko-ko-ko-ko-ko... – podoficer dyżurny gdakał niczym znosząca jajo kura – ko-ko-ko-ko...

– Zamknij się wreszcie, Jasiu, bo uszy pękają! – skarcił przełożonego dyżurny SPR Artylerii, Ogórko.

– Ko-ko-ko...

– Bo cię palnę w japę!

To skłoniło bombardiera podchorążego (awansował z okazji Dnia Podchorążego – 29 listopada) Hultajka do powrotu z ojcowskiego kurnika w realia SPR.

– Strój na zaprawę: trampki, dres! Niećwiczący stopień wyżej!

To *stopień wyżej* oznaczało, że powinni zabrać również behatki. Tyle że dziś ta koncesja nie miała najmniejszego sensu.

Z izby 107 wyczłapał ziewający Rej.

– Kurrwa, Jasiu! Przecież wszyscy są niećwiczący! Że też ty musisz zawsze tyle hałasu robić!

– A obudzę kogo inaczej? Wiem, że na dwór nikt nie wyjdzie, ale niech przynajmniej wstaną.

– Wstają przecież, wstają...

– To zobacz lepiej Chrynia! – zaśmiał się sardonicznie Hultajek. –Tnie capa w 114!

Chryń, w mocno przybrudzonej wyjściówce, leżał na wozie. Zapach, jaki szedł, a raczej bił od niego, zmusił Reja do szybkiej rejterady na korytarz.

– Kiedy wrócił?

– Z godzinę temu – wyjaśnił Ogórko. – I od razu się zerzygał. Tłumacząc cały czas Jasiowi, żeby wynieść to pijane bydlę do szatni, ale Hultajek to woli gdakać! Wielki bombowiec!

– Dobrze – westchnął Rej. – Chryniowi i tak trepy nic nie zrobią, a nam mogą łby suszyć i stałki wstrzymać...

Jeden w mundurze, drugi w pidżamie, chwycili pochrapującego Chrynia pod pachy. Na korytarzu nie było z ładunkiem problemu, gorzej szło na schodach.

– Ble-ble-ble, kur-wa... – Chryń wyraził dezaprobatę, że traktuje się go tak, jak by był worem ziemniaków.

– Sam się zachłnął? – zapytał Rej.

– Jak zwykle ze Stularczykiem. Ale tamten lepiej się trzyma, nawet się przebrał...

W szatni mieli pewne kłopoty z ocuconym za pomocą wiadra wody Chryniem. Co prawda, operacja rozebrania go z munduru wyjściowego przebiegła spokojnie, ale Chryń za nic nie chciał założyć moro. Uparł się, że pójdzie na zaprawę. Wykrzykiwał, że zrobi to dla ojca-generała. I nie były to czcze przechwałki – rozpoczął pracowite poszukiwania dresu. Rej i Ogórko usiłowali mu wytłumaczyć, że nie ma tu żadnych dresów, ale ich wyśmiał.

Odziany tylko w skarpetki Chryń na czworakach miotał się po szatni, świecąc na wszystkie strony gołą d...

– Ja, kur-wa, mu-żee, na zap-rawe zdo-żyć...

Wreszcie usiadł w kucki na betonowej posadzce i jego zaczerwienione oczy spojrzały trzeźwiej.

– Kops-nijcie, kurwa, szługa, co?

Rej trzymał papierosy nawet w pidżamie. W ostatnich tygodniach jego ręka sięgała do leżącej w szafce paczki, nim zdążył się na dobre przebudzić. Zapalki też miał.

– Pilnuj go. Jak wypali, może wytrzeźwieje. Ja zajrzę na zaprawę. Może będą jakieś jaja?

– *How do you do, mister caporal?*

– *Do you how, mister cadet?*

Rej wysunął wargi w świński ryjek i krytycznie spojrzął na Mucę: – Rzeczywiście, mają chyba rację ci, którzy mówią, że kapral ma pancerną mózgową szkieletkę!

– Znowu coś mi się źle powiedziało? – zmartwił się podoficer. – Ale co?

– Na palarni wytłumaczę.

Przeszli korytarzem przez szpaler podchorążych. Niektórzy, idąc za przykładem starszego szeregowego Marmuchy, ćwiczyli coś, co z grubsza nawiązywało do skrętów tułowia, połączonych z wywracaniem oczyma. Stularczyk trenował zaś utrzymywanie pozycji pionowej. Osiągał nawet na tym polu pewne sukcesy. Głównie zresztą dzięki pomocy ściany.

– No co? – zagaił Rej. – Widział kapral kiedyś taką zaprawę?

– Jarmuł chyba zwariował – zaśmiał się podoficer. – Wszystkim chętnym bażantom daje zwolnienia! Ale potrafilicie wyzyskać sytuację! W końcu całe koszary do góry nogami wywrócicie!

– A widział kapral coś takiego, żeby zaprawę na korytarzu robić, i to tak, jak naszą?

– Skądże! Ale miał mi podchorąży wyjaśnić, jakie błędy zrobiłem.

– To w ciągu dnia.

– Przecież lepiej teraz...

– Nie.

– Ale dlaczego?

– Za karę. Za wczorajsze zachowanie.

– Co ja takiego zrobiłem?

– Nie zgodził się kapral, żeby Borówka prowadził nas z kolacji.

– Bo bałem się, że oficer dyżurny mnie opieprzy!

– Nie można mieć wszystkiego na raz – filozoficznie zauważył

Rej. – Dlatego dziś lekcji angielskiego nie będzie.

– Ale podchorąży...

– Zero dyskusji!

Rej okazywał się pojętnym uczniem. Sam często miał o to do siebie pretensje. Nie był zachwycony, że przejmując coraz więcej cech swojego wojskowego otoczenia. Najpierw naśladował pewne sformułowania i zachowania tylko po to, by tym łatwiej je wyśmiać, potem – jakoś niepostrzeżenie – wdarły się w jego codzienny sposób bycia i język. I tak dobrze, że przynajmniej nie przeklina, choć i z tym różnie ostatnio bywało...

Borówka bardzo lubił wydawać komendy i kroczyć na czele kolumny żołnierzy. Jeszcze bardziej lubili oglądać go w tej roli pozostali podchorążowie, bowiem zawsze dokładał starań, by wywiązywać się z zadania jak najlepiej. Nie było to proste, bo miał płatuska obu stop. Gdy szedł, jego tłusty tyłek kolebał się na wszystkie strony. Ponieważ rozrywki nigdy za wiele, bażanteria, szczególnie z pierwszych czwórek, ubóstwiała patrzeć na kroczonego na czele, przejętego obowiązkami grubaska. Aby i mikrusy miały się z czego pośmiać, każdy starał się jak najlepiej naśladować chód Borówki. Niedościągłymi mistrzami byli tu Rej, Tomala oraz Ogórko, choć i inni nie wypadli sroce spod ogona...

Ale oficerów dyżurnych taki przemarsz na ogół nie bawił (choć i tu bywały wyjątki). A przed dwoma dniami przyłapał SPR na tym przestępstwie sam pułkownik Wierzba. Miała wtedy miejsca bardzo nietypowa rozmowa:

– Za co Piontek i ty pieniądze bierzecie?! – huknął Wierzba na towarzyszącego przemarszowi oficera szkoleniowego SPR Artylerii. – Maszerować nawet nie umią!

– Nie takie znowu, kurwa, duże te pieniądze! – odparł, śmiejąc się, porucznik Siwak.

Podchorążowie oniemieli. Spodziewali się, że karząca ręka kwartmistrza JW 1281 zetrze na proch i piasek krnąbrnego porucznika. Lecz nic takiego nie nastąpiło. Wierzba wykonał przepisowe w tył zwrot i poszedł do sztabu.

– Na chuja mi, kurwa, mogą naskoczyć – dumnie stwierdził Siwak. Był bardzo z siebie zadowolony. W całej brygadzie jeszcze tylko jeden porucznik (Dziedzic z raketówki, syn generała), mógł sobie pozwolić na odcięcie się wyższej szarzy.

– Mówię ci, że Poznań jest ważniejszy od Warszawy czy Krakowa! – podkreślając wagę swych słów, Wścieklica wałnął pięścią w stół. Uderzył na tyle mocno, że wywrócił się jeden z kubków.

– Chciałeś powiedzieć *ładniejszy* chyba? – spokojnie zapytał Rej. – Poznań to rzeczywiście bardzo ładne miasto, ale rynek ma zeszepecony tym barakiem-muzeum wojska.

– Poznań jest najważniejszy! A jak ktoś myśli inaczej, to mu przyjebię! Skurwysyny!

Teraz Wścieklica nie uderzył już w stolik, lecz zrzucił na podłogę talerz pełen zupy mlecznej.

– Chodźmy stąd – zaproponował Ogórko. – On naprawdę jest walnięty.

Za przykładem Ogórki białą kałużę sforsowali i Rej, i Dacny, przechodząc do jednego z wolnych stolików.

– Spierdalajcie, chuj! – pożegnał ich Wścieklica. – Ja i tak za dwa dni wychodzę z wojska!

Wścieklica powrócił do Szczupakowa niedawno, po przeszło miesięcznym pobycie na obserwacji w wojskowym szpitalu psy-

chiatrycznym w Ołku. Już pierwszego dnia po *come backu* przestało się do niego odzywać kilku podchorążych, których zirytował wylaniem wiadra wody na posprzątaną korytarz. Był oburzony, że nie doceniono jego dowcipu. W ciągu tygodnia przysłużył się na różne sposoby innym kolegom.

Teraz, choć siedział sam przy stoliku, usta mu się nie zamykały – wyrzucał z siebie gęsto okraszone inwektywami opinie o obecnych na sali i ich rodzinach. Ale nikt nie interweniował. W końcu te trzy tygodnie można się jeszcze przemęczyć, a jak popatrzeć w odpowiedni sposób (i z przymrużeniem oka), to jego zachowanie było całkiem zabawne. Bo w to, że wyjdzie z wojska za dwa dni – nie wierzył nikt. Zapowiadał to samo jeszcze przed wyjazdem na badania do Ołku. A wcześniej, zaraz po powrocie z poprzysięgowego urlopu (w czasie odbywania ZOMZ-u), twierdził, że lada dzień przeniosą go do innej szkółki, bliżej Poznania.

Na razie jedynym namacalnym rezultatem tych starań o zrzućcie munduru była zmiana kategorii z A-3 na A-2, co miało oznaczać, że w wojsku zdrowie psychiczne Roberta Wścieklicy uległo znacznej poprawie. Starszy szeregowy Marmucha, który nie cierpiał Wścieklicy, biegał po SPR i wszystkim wciskał przed oczy donoszące o tym poufne pismo z Wojskowej Komisji Lekarskiej.

Tak czy owak, niezrażony porażką Wścieklica uparcie twierdził, że za dwa dni wychodzi do cywila.

On w ogóle dużo mówił. Jego współlokatorzy z sali 104 utrzymywali, że jest bardziej męczący niż wrześnieowa musztra.

– No, cu podchuronży słychoć? – przywitał się podporucznik Głodówka. – Jak leci, kulego?

– Jakoś leci – odburknął Ogórko.

– Hy, hy... – zatarł drobne rączki oficer – a przyszli już Chryń i Stularczyk, hy, hy?...

Dawno już Ogórko nie widział swego dowódcy plutonu równie zakłopotanego. Chyba od czasu, gdy Kostyk zapytał go, czym się różni mapa od planu. Oficer po chwili milczenia wydukał wtedy, że nazwą, co wywołało huragan śmiechu...

– Hy, hy... A nie złapał ich kto? Hy, hy?...

– Chryń leży w szatni, a Stularczyk doczołgał się na śniadanie.

– Hy, hy... wicie, żeby ino komyndont sie ni dowidzioł... Pamin-tojta, że jo tyż niedawno byłem podchoronżym...

– Ale w szkole ł ó f i c y r s k i e j! – z naciskiem powiedział Ogórko.

Jego dowódca nie dał się sprowokować.

– Nu, nich podchoronży schowa to z tymi dwoma dla siebie, hy, hy... Jo i wom dobrego, hy, hy, bimbru przyniose, hy, hy... Od tyścia wzionym, hy, hy...

– A ci dwaj to co tam? Mieszkanie malowali za bimber czy meble przenosili? Chyba powiem Piontkowi...

– Hy, hy... niech podchoronży nie żyrtuje, hy, hy – przestraszył się oficer. – Z kim, hy, hy, bydzieta mieli lypij niż zy mno, kulego, hy, hy?

Ogórko musiał przyznać, że rzeczywiście żaden *Muppet show* nie jest w stanie zapewnić tyle uciechy, co rutynowy wykład Głodówki. Młody oficer zresztą domyślał się tego i panicznie unikał prowadzenia zajęć. W sali topo pojawiał się tylko wtedy, gdy w budynku SPR przebywał major Piontek. Na szczęście ostatnio komendant koncentrował się przeważnie na prowadzeniu zajęć z plutonem dźwiękowym, co było połączone z udowadnianiem młodszemu chorążemu Ziębnie nieuctwa. Znęcanie się nad Ziębnią dostarczało tyle samo satysfakcji Piontkowi, co i radości podchorążym. Bażanci cieszyli się z każdorazowego wyszydzenia dowódcy plutonu dźwiękowego nie dlatego, żeby Ziębnie nie lubili (był całkiem w porządku, choć bardzo nerwowy), lecz dlatego, że dzięki temu coś się działo – dla nich nieszkodliwego, a wesołego.

Obecnie kadra SPR Artylerii coraz częściej z nostalgią wspominała złote czasy, kiedy obowiązki komendanta pełnił podporucznik Siwak (teraz już porucznik, bo podobnie jak Piontek, Maski i Jarmuś awansował o stopień wyżej z okazji Dnia Wojska Polskiego).

– Wacek, chodź z nami do Jarmuś!

– Kiedy nic mi nie jest... – opierał się Kogutowski.

– Ale jak i ty pójdziesz – argumentował Rej – to na apelu nasz pluton będzie reprezentował tylko Muca. Wyobrażasz sobie, jak Piontek się wkurzy?

Rzeczywiście, major nie był zachwycony, choć Rej nieco się pomylił w kalkulacjach. Pluton zwiadu reprezentowali, oprócz Mucy, starszy kapral podchorąży Miller i porucznik Śmiechocki. Pluton dźwiękowy – młodszy chorąży Zięba i pięciu podchorążych, a liczący kilkanaście osób pluton topograficzny – podporucznik Głodówka, plutonowy podchorąży Synek i ich sześciu podwładnych. Nie było nawet kaprała Trochińczuka. Też pewnie polazł do lekarza, pyskacz jeden... Przy swoim cholernym wujku czuł się bezkarny...

– Chętni na wyjazd do Ołku trójkami wchodzić! Najpierw podchorążowie! – polecił dyżurny izby chorych, starszy szeregowy Wotek.

– Do kogo skierowanie? – zapytał major-lekarz Jarmuś.

– Do internisty – odparł Daczny.

„Na razie jedynym namacalnym rezultatem tych starań o zrzucenie munduru była zmiana kategorii z A-3 na A-2, co miało oznaczać, że w wojsku zdrowie psychiczne Roberta Wścieklicy uległo znacznej poprawie.”

– Do laryngologa – rzekł Cyroń.

– To ja do urologa – zdecydował Rej.

Nie ma tego złego, co by komuś innemu na dobre nie wyszło. Dzięki śmierci elewa Orłosa uzyskanie skierowania do Ołku stało się dziecinnie proste. Teraz bowiem Jarmuł demonstrował na wszelkie sposoby swą dobrą wolę i chęć niesienia pomocy bliźnim. Co prawda, powołana w celu wyjaśnienia *przypadku Orłosa* komisja po dwugodzinnych wnikliwych badaniach stwierdziła, że major nie był winien śmierci żołnierza, ale smrodek pozostał, a i wciąż czekano na szczegółowy raport. Na domiar złego rodzice zmarłego byli odmiennego zdania niż komisja, a na poparcie swych racji powoływali się na rozmowę z lekarzem, który przyjął elewa w szpitalu cywilnym. Był to jednak dowód wątpliwy i nie można go było potwierdzić, ponieważ w kilka dni po śmierci Orłosa lekarz wyjechał do pracy w Iraku (szeptano, że w załatwieniu intratnego kontraktu dopomógł mu *gumowy* kapitan Trochińczuk).

Zresztą i z innych powodów sprawa ze starymi Orłosiami była obecnie na najlepszej drodze. I na nich znaleziono skuteczne metody perswazji. Wystarczyło, że Trochińczuk przypomniał Orłosiowej, iż ta ma młodszego syna, który też może do wojska trafić. Ale może też być od razu przeniesiony do rezerwy, jeśli zadba o to ktoś kompetentny...

Atoli na wszelki wypadek Jarmuł zmienił swoje podejście do pacjentów. Przekonał również Wotka, by nie chlapał ozorem, czego nie trzeba. Miał na to swoje sposoby.

Sprawa powoli przysychała. W pierwszych dniach po śmierci Orłosa SPR-y ośmielały się zarządzać podczas apeli minutę ciszy ku czci zmarłego (Jarmuł wiedział, że zachęcał do tego nawet taki Piontek, mściwe bydłę!). Dopiero gdy pułkownik Czachórski wydał zakaz podobnego naruszania Porządku Dnia i obiecał osobiście zająć się wyjaśnieniem zagadki śmierci elewa, i z tym się uspokoilo.

Jarmuł przyznawał, że dowództwo JW 1281 zachowało się w całej sprawie bardzo rozsądnie. On sam musiał tylko wysupłać forszę na bilet lotniczy dla tego doktorka cywila... Cóż, uderzyło go to trochę po kieszeni, ale ta część sprawy była załatwiona. Co się dziwić? Lekarz cywilny, szczególnie młody, zarabia w szpitalu tyle, że ledwo wystarczy na szare życie. Nie ma dodatku za stopień ani premii za zadania bojowe. Jarmuł trochę morfiny na lewo sprzeda i już ma na bilet lotniczy... Lecz jest druga strona medalu: taki cywil może sobie za *prawdziwą granicę* pojechać. Natomiast żołnierz zawodowy – najwyżej do Bułgarii lub Czechosłowacji, a i do tego trzeba mieć szczęście i niezłe układy. Dobrze, że Czachór obiecał sanatorium, i to za parę tygodni, jak tylko w Warszawie sprawę przepchnie. Należy się to sanatorium Jarmułowi, oj, należy. Ile ostatnio nerwów zszargał... Pojedzie więc sobie do Zakopanego, po Krupówkach z nartami pochodzi, złym ludziom z oczu zejdzie. Wróci, to do innej jednostki go pewnie przerzucą, i niech matka tego Orłosa szuka wiatru w polu. Ale co się przez tych Orłosiów nacierpiał, to jego.

To nie były miłe wspomnienia. Major zdenerwował się. Ręka drgnęła – wypisywane właśnie skierowanie *na konsultacje lekarskie* do Ołku splamił kleks.

– Morderca... – szepnął podchorąży, który odbierał papier.

Ponieważ mądrzejszy głupszemu ustępuje, Jarmuł udał, że niczego nie słyszał. Może zresztą rzeczywiście tylko mu się zdawało?

Rozmowy i spotkania

– Słuchaj, ja się nie będę z tobą więcej sprzeczał. Miałeś załatwić ten papier.

– Ale...

– Wiesz, ja jestem spokojny, bo nie lubię wrzasków. Ale też potrafię być niemiły...

– Przepraszam – kapral Merkle z zakłopotaniem przestępował z nogi na nogę. – Załatwię, obiecuję, najdalej na drugie śniadanie będzie...

Rozmowa ta odbywała się na korytarzu bloku mieszkalnego SBD, a dokładniej we wnęce stanowiącej palarnię. Były tam dwie takie palarnie, obie przeznaczone wyłącznie dla kadry. Elewi mogli ciągnąć dymka wyłącznie na dworze i tylko w trakcie *przejazdu parowozu*. Obrządek ów polegał na tym, że kaprale ustawiali chętnych do palenia – a chętni byli, po doświadczeniach pierwszych dni, prawie wszyscy – w kolumnę czwórkową. Na sygnał każdy elew zapalał papierosa. I na komendę wszyscy zaciągali się i wypuszczali dym jednocześnie. – Raz... wdech! – komenderowali kaprale. – Dwa... wydech! I raz...

Elewi maszerowali powoli, wydychając dym w regularnym rytmie. Dobywające się jednocześnie z wielu gardeł: puf... puff... puffff rzeczywiście przypominało dźwięki lokomotywy.

W tym czasie nieliczni niepalący ćwiczyli pompki honorowe:

– ... Jestem dum-ny... że... uff jestem... żół-nie-rzem...

Nawrocki i Rej interweniowali w tej sprawie u pułkownika Wańkowa. Dało to tyle, że niepalący nie musieli już wykazywać się umiejętnościami sportowymi, a tylko symulowali palenie – zamiast papierosów trzymali białe patyczki. Parowóz był rytuałem uświęconym tradycją, więc nie można było zeń rezygnować; dowództwo na dodatek argumentowało, że wspólne palenie wpływa na *dalsze systematyczne zwiększanie aklimatyzacji, dyscypliny i poziomu współżycia koleżeńskieg* oraz *wyszkolenia bojowego żołnierzy młodego rocznika*. Obyczaj ten stanowił zatem pomocniczą, acz istotną formę wykorzystania czasu wolnego do celów szkoleniowych – takie *ba-wiąc, uczyć*.

W pobliżu palarni-wnęki od dłuższego czasu krążył dyżurny elew. Obserwował rozmawiającą dwójkę, czyhając na właściwy moment... Wreszcie doczekał się chwili przerwy w rozmowie.

– Obywatelu podporuczniku! – wyprężył się na baczność dyżurny SBD. – Proszę o pozwolenie zwrócenia się do obywatela kaprała Merkle!

– Słuchaj – powiedział Rej – czy musisz mnie przezywać?

– Ja... ja... obywatelu...

– Między innymi tym *obywatelem* – roześmiał się Rej. – Marek jestem. Ale za to, że mylisz bażanta z trepem, należy ci się niezła bura...

Biedny elew zrozumiał, że coś poplątał. Widział, że ten z blachą na pagonach opieprza kaprała – więc jest ważniejszy. Wiedział też, że ci z biało-czerwonymi otokami to jacyś pod... podporucznicy chyba?

Ale nie mógł zrozumieć, czemu się z niego śmieją.

– Jak się nazywasz?

No, na to pytanie odpowiedź była prosta:

– Kanonier elew Wątroba!

Rej zapytał elewa o nazwisko, tchnięty przecuciem, iż już coś o tym żołnierzyku słyszał... a raczej czytał. W końcu jest sztuką po miesiącu służby nie odróżniać podporucznika od podchorążego. Co prawda, kaprale skrupulatnie przestrzegali zasady, by elewi oddawali honory bażantom, ale SPR-owcy na nie demonstracyjnie nie odpowiadali. Manifestowali w ten sposób, że wojskowe zabawy ich nie dotyczą.

– ... No i wyobraź sobie, on nazwał mnie *podporucznikiem*!

– A przy okazji nieregulaminowo z tym „pod”! – roześmiał się Ogórko.

Stacjonowali w kancelarii zastępcy dowódcy dywizjonu szkolnego do spraw polityczno-wychowawczych, porucznika Radeckie-

go. Był to drugi (obok tego w SPR Artylerii) gabinet, gdzie urzędował Rej, teraz prawie codziennie parający się maszynopisaniem. Arbuz, trzeba przyznać, starał się nie przeszkadzać mu w robocie; wpadał do swego gabinetu jedynie okazjonalnie, a większość czasu spędzał w kancelarii podpułkownika Mleczi, gdzie sztabowcy całymi dniami zabawiali się grami komputerowymi, przywiezionymi przez elewów. Rej pobłażliwie obserwował kadrę zawodową. Jego flippery nudziły i uważał je za stratę czasu. Zdecydowanie wolał pogaduszki z kumplami.

Drugi gabinet *Reja* znajdował się w SPR Artylerii. Tam wykonywał zamówienia porucznika Siwaka i było tej roboty bez porównania więcej niż w sztabie. Kancelarię przejął od starszego sierżanta sztabowego Maskiego, który nie był tym faktem zachwycony – żalił się, że został bezdomnym szefem kompanii.

Teraz jednak Rej pracował dla Radeckiego. Miał wypisać kilkanaście tabelk. Tabelki są znacznie bardziej pracochłonne od zwykłego tekstu, ale maszynista i tak był w stanie zrobić je w dwie godziny. Gdyby zechciał... Atoli tutejszy stały kancelista, starszy szeregowy Wikło, przezornie pouczył go, że w wojsku pracę wypada cenić i szanować. Bo jak coś robisz za szybko, i tak nikt tego nie doceni, za to dwa razy więcej ci na garba władają, żebyś się nie nudził.

Rej zaplanował więc, że tabelkom poświęci cały pracowity dzień. Może zresztą pisałby szybciej, gdyby nie to, że miał pomocników. Przyznać trzeba – to nie on wpadł na pomysł, że do pisania na maszynie niezbędny jest ktoś, kto tekst głośno czyta. Najpierw dyktowali osobiście Radecki i Siwak, ale rychło znudziło ich to zajęcie. Przyznawali, że Rej pisze szybko i bez błędów, denerwowało ich jednak, iż robi to zbyt automatycznie – więc i zapisuje wszystkie błędy językowe, jakie im się zdarzały. W dodatku maltretował ich psychicznie, żądając, by sygnalizowali mu każdy przecinek i kropkę. Poczęli więc wynajdywać preteksty, by się wymigać

od dyktowania, a później weszło już w zwyczaj, że sam szukał sobie pomagierów. Najczęściej wybawiał od codziennej nudy Dacznego i Ogórkę.

– No, podchorążowie – zajrzał do swej kancelarii Radecki – może też byście chcieli na komputerach zagrać?

– Nie... – udał pilnego żołnierza Rej. – Najpierw praca, potem przyjemności. Ktoś w koszarach pracować w końcu musi!

Oficer zamknął drzwi, a podchorążowie wybuchnęli śmiechem. – Ale go zgasiłeś! – cieszył się Ogórko.

– Eee – westchnął Rej – szczeniacko tu się zachowuję, ale nie mogę sobie odmówić okazji do grania tym nierobom na nosie.

Dobrze wiedział, że oficerowie zdają sobie sprawę z tego, że lepszego (i darmowego!) maszynisty w koszarach nie znajdą. Do tego pokazał, iż potrafi zreperować uszkodzony sprzęt. A maszyny psuły się często, gdyż lubiły się nimi bawić dzieci obu pryncypałów.

Rej był więc dla Radeckiego i Siwaka bardzo cenny. Pisał zresztą w sumie naprawdę dużo, raz czy dwa zdarzyła się nawet jakaś pilna robota nocna. Wykonał zadanie z lekkimi tylko grymasami, niezbędnymi do wyszantażowania przepustki na wyjazd do Łodzi, bo miał akurat pilne sprawy do załatwienia w Szkole Filmowej. Poza tym nie zamierzał ruszać się ze Szczupakowa.

Już przecież udzielił sobie miesięcznego urlopu, którym omal nie przyprowadził majora Piontka o zawał serca. Wysłał wtedy do Szczupakowa telegram o treści: *Jestem w szpitalu stop oddział laryngologiczny stop garnizon powiadomiony*, nie podając żadnych szczegółów. A major przekroczył termin, w jakim powinien zameldować WSW o żołnierzu, który nie powrócił do jednostki w przewidzianym czasie. Gdyby zgłosił taką sprawę z opóźnieniem, sam mógłby oberwać. Pozostało mu więc czekać i – podobno – modlić się, by podchorąży nie wyjechał za granicę; a ten teoretycznie mógł to uczynić, bo w jego książeczce wojskowej i dowodzie osobistym

sierżant Maski zapomniał wpisać (jak zresztą wszystkim zwiadowcom) adnotację o odbywaniu służby wojskowej.

Sam Rej był w porządku, bo wszystkich formalności dopełnił, zarówno w szpitalu, jak i komendzie garnizonu. Tam sprawę przyjęto do aprobowanej wiadomości, jakiś pułkownik podpisał co trzeba w rejowych papierach i... zapomniał, że winien przesłać stosowny meldunek do JW 1281. Dzięki temu manewrowi garnizonu z centralnej Polski w odległym Szczupakowie Piontek rwał sobie włosy z głowy i widział już swego podchorążego w jakimś obozie dla uchodźców w Wiedniu czy Rzymie, a siebie... Oj!

Rej zdziwił się, gdy usłyszał, czego obawiali się jego dowódcy. Tym bardziej radowały go ich perturbacje. Cieszyło, że zalażł za skórę tym, którzy zwykle innych przyprawiają o nerwicę.

– Słuchaj – przypomniał Rej – mieliśmy sprawdzić, czy Wątroba to ten kandydacik...

W gabinecie oficera politycznego dywizjonu szkolnego znajdowało się kilka zeszytów z opiniami o elewach SBD i SBA. Były oczywiście *tajne tamane przez poufne*, o czym informowały wielkie czerwone litery na okładkach. Tym bardziej więc podchorążowie nie mogli sobie odmówić przyjemności ich przejrzenia. Notatki określały w pierwszym rzędzie pochodzenie: robotnicze, chłopskie czy inteligenckie. Większość uwag jechała sztaampą:

aklimatyzacja w wojsku prawidłowa, aklimatyzacja przeciętna, tęskni za dziewczyną, odpowiada mu wojskowe życie, chce zostać kapralem i dowodzić innymi, chciałby zdawać na studia. Znalazły się tu jednak i perełki. Najpiękniejsza z nich donosiła: Posiada wykształcenie: zasadnicza szkoła zawodowa niepełna. Kłopoty z przyswajaniem wiedzy.

Bardzo chce zostać kapralem. Pali tytoń w ilościach dużych. Ma skłonności do nadużywania alkoholu. Nieśmiały i czasem agresywny do kobiet. Członek ZSMP i kandydat PZPR. Myśli o zostaniu żołnierzem zawodowym.

Tak, to był elew Wątroba.

– Chodź, przepiszemy sobie tę charakterystykę – zaproponował Ogórko.

– Nie ma sensu. Tu są aż za bardzo wszystkie elementy. Nikt nie uwierzy, że to autentyk.

– Zwróć uwagę – Ogórko odłożył zeszyt do szuflady – że teoretycznie każdy elew powinien mieć maturę, a w rzeczywistości ma ją może z połowa, reszta zaś tylko zawodówki, a niektórzy, jak ten Wątroba, tak naprawdę tylko osiem klas zaliczyli.

– Tak... świetne jest to: *zasadnicza szkoła zawodowa niepełna*... Kaprale i falowcy są właśnie tacy. Najlepszy materiał na najbardziej wrednego kaprała. W cywilu był niczym. Tu poliże dupę paru trempom i... najważniejszy na baterii. Da szeregowcom popalić...

Na chwilę zamilkli.

– A pamiętasz, jak wczoraj Wścieklica tu płakał? – nie wiadomo dlaczego akurat teraz przypomniał sobie o tym Rej. – Jak go Piontek do raportu u Mleczki postawił?

Rej i Ogórko podśluchali zeznania Wścieklicy. Przypadkiem. Przyszli do Radeckiego przepisywać dokumenty, ale porucznik poprosił, by chwilę poczekał, bo ma gościa. Ponieważ nie domknął drzwi, na korytarzu słyszeli rozmowę...

– Ja mam żonę i dziecko – naśladował jęki Wścieklicy Ogórko. – Ja się naprawdę poprawię!

– Podchorąży! – udawał podpułkownika Mleczkę Rej. – Jeśli w ciągu tygodnia w waszym zachowaniu nie nastąpi widoczna poprawa, to nie dopuścimy was do egzaminów i pójdziecie służyć jako zwykły kanonier!

– Ale ja mam żonę i dziecko! – całkiem przekonywająco chlpał Ogórko. – I do Partii chciałem się zapisać! Mnie się o wszystko czepiacie, a taki Ruchacz to...

– Starczy tego teatru – spowaźniał Rej – rzygać mi się chce, jak pomyślę o tym kutasie. Kabel lepszy od Maronia! Wyśmiewa tych, co do PZPR się zapisali i na komunę pomstuje, ale słowem nie pisał, że sam też złożył podanie o przyjęcie do Partii-mateczki. Odrzucili mu je, bo był akurat na ZOMZ-ie i sądzili, że sobie jaja z nich robi. Więc teraz znowu wielki antykomunista się zrobił, sukusyn! A na dodatek to przez niego wplątałem się w ZSMP...

Co prawda, i Rej, i Ogórko zadbali o to, by już nie należeć do Organizacji Młodzieżowej. Wiedzieli jednak o tym na razie tylko oni sami. Kartoteka ZSMP dywizjonu szkolnego znajdowała się w gabinecie porucznika Radeckiego – okazja sama wzięła w ręce... Pracownicy powykreślali (dokładnie zamazując!) swoje nazwiska ze wszystkich list, a ankiety personalne spalili.

– Pomyśl tylko: jeszcze siedemnaście dni, może nawet już bez miseczki, i spokój... dziesięć dni wolności... Taka piękna cyfra ta siedemnastka... I koniec!

– Tak, cyfra... Ale za nią czai się druga, chora na słońowaciznę – zauważył Rej. – Jakies *d w i e ś c i e c z t e r d z i e ś c i*. Osiem miesięcy.

– Tam już będzie inaczej. Widzisz, jak tu praktykanci mają na dywizjonach? Kwiatki do kożucha.

– Faktycznie. Najgorzej mają na naszej szkółce, bo muszą być, przynajmniej do południa. W sumie przysłużyliśmy się, cholera, Mamciorkowi, załatwiając mu wyrzucenie z SPR...

– Przynajmniej nie trzeba jego gęby oglądać...

– A mówiłem ci – przypomniał Rej – jak to było, gdy w Dzień Wojska wspólnie z Millerem złapał mnie pod koszarami i zmuszał do chlania z nimi z gwinta? Gaworzyli, że muszę się z nimi napić...

– A ty co?

To było 12 października i już następnego dnia Rej zamierzał wyruszyć na swój wielki urlop. Obawiał się więc problemów na biurze przepustek i nie zamierzał pić, szczególnie w *t a k i m* towarzystwie. O ile nie miał większych zastrzeżeń do Millera, o tyle Mamciorka nie znosił.

– Płakali mi, że zostali na szkółce, wyobraź sobie, dla naszego dobra. Bo gdyby nie oni, to miały pozostać jakieś cholerne kutasy...

– Zdaje się, że Mamciorek za bardzo wszedł w rolę. Buc przebrzydły. Teraz jak mnie widzi, to leci z rozcapierzonymi łapami, jak gdyby spotkał najlepszego kumpla.

– A ty co?

– Nie będę przecież uciekał ani w gębę mu pluć, choć może powinienem...

– Tak... skundlony bażant to gorzej niż trep. Dużo gorzej. Choć my go też po chamsku z tym donosem załatwiliśmy...

Zamilkli. Wydało się im, że ktoś kaszlnął za drzwiami – czyżby podsłuchiwał?

– Proszę! – powiedział Ogórko.

Nikt nie wchodził, ale po drugiej stronie ktoś ponownie nerwowo zakaszał i wreszcie zachrobotał. Czyli – pewnie jakiś kociak, bo oni przyzwyczajeni, że nie mają prawa pukać, a tylko drapać w drzwi.

– Wejść! – wrzasnął Rej.

Polecenie zostało wykonane.

– Obywatelu podchorąży, dyżurny Szkolnej Baterii Dowodzenia, kanonier...

– Wróć! – polecił Ogórko.

Zdezorientowany elew wlepił wzrok w podłogę. Zacerwieśniał się. Znowu będą go ochrzaniać za nieprawidłowy meldunek! Ale przecież tym razem wszystko dobrze powiedział!

– Darujże sobie, chłopie, tego *obywatela* – pouczył go Ogórko.
– Nie ma tu żadnego trepa, nie musisz się wygłupiać.

– Ech... – westchnął kanonier elew Wiercioch. – Już się bałem, że znowu mnie ktoś będzie jebał na surowo.

– Siadaj – zaproponował Rej. – Chcesz herbaty? Odziedziczyliśmy po Radeckim...

– Nie, nie... ja tylko przyszedłem powiedzieć, że był telefon, żeby się podchorąży Rej zgłosił pilnie do majora Piontka.

Rej nie był zachwycony propozycją.

– Po co?

– Jakies materiały ma podchorąży odebrać. Nalegał na tempo.

– Daruj sobie to *podchorąży* – upomniał Rej. – Jak już musisz mnie tytułować, to mów lepiej: *bażancie*.

– Przepraszam – uśmiechnął się elew. – Tylko musi go podcho... musisz go znaleźć w wozie dźwiękowym, gdzieś za garażami, w parku.

Był grudzień, ale temperatura w słońcu śmiało przekraczała dziesięć stopni Celsjusza. Rej wybiegł więc odziany do figury.

– Wróć! – czyjś krzyk zatrzymał go, ledwo znalazł się przed budynkiem.

– O co chodzi? – zmierzył wzrokiem niskiego sierżanta, Pal-Secama.

– Co sobie, kurwa, podchorąży wyobraża?! Ma być podchorąży ubrany w behatkę! Zgodnie z przepisami, kurwa, ubiorczymi! Jest pora zimowa!

– Ale ciepło jak wiosną – uśmiechnął się Rej. – Ślicznie, prawda?

– I jeszcze dyskutuje, kurwa, szczeniak! – Pal-Secam zadreptał w miejscu króciutkimi nóżkami. – Wy mnie nie znacie, ale mnie poznacie, ja was sobie zapamiętam! Za wiele wam się wydaje, a kultury sami nie mata! Wszystko na ten temat!

– Tak? – Rej sprawiał wrażenie bardzo zadowolonego z przebiegu rozmowy. Szybko rozejrzał się, czy w okolicy nie ma zbędnych świadków. Nie było. – Tak? A ile sierżant ma lat?

– Dwadzieścia cztery! – warknął sierściuch.

– Trzeba mniej pić, bo wygląda pan na pięćdziesiąt. A jak obywatel sierżant urośnie, to może się dowie, że z chwilą ukończenia studiów jest się trochę starszym – wyrzucił z siebie krótką serię Rej. – A na razie radzę mniej chlać oraz nosić buty na wysokim obcasie i filcowy kapelusik z pawim piórkiem. To pomaga! I nie mówi się *wszysko*, tylko *wszyst-t-tko!*

Bażant bez pożegnania znikł za rogiem. Zaś sierżant Ryłko postanowił przekazać dowództwu SPR wniosek o ukaranie wysokiego podchorążego-okularnika. Uznał, że najwłaściwszą osobą będzie oficer szkoleniowy SPR Artylerii. Już on pokaże temu... temu...

Ryłko ze wściekłości albo połykał odpowiednie słowa, albo ich po prostu nie znał.

Niełatwo było znaleźć właściwy garaż, a jeszcze trudniej AZK, czyli wóz dźwiękowy. Napotykanymi szweje (licznie się tu snuli) odsyłali Reja od Annasza do Kajfasza, a oficer dyżurny parku maszynowego nie lepiej niż oni orientował się w tym, gdzie czego i kogo szukać.

Wreszcie, bardziej siłą przypadku niż woli, spotkał właściwy pojazd. Za kierownicą drzemał Maroń.

– Jest tu Piontek?

– Aaa! – ziewnął zapytany. – Tam, w środku.

– A ty czemu tu?

– C y f r a mi wejść do środka nie pozwala. To *siedemnaście* tak na barkach ciąży i nogi pęta...

– A na poważnie?

– Uznał, że musi być idealna symulacja, kurwa, więc mnie za kółkiem posadził – zaśmiał się Maroń.

– Chyba nie narzekasz?

– Wiesz, on czasem nawet nieźle opowiada... I jaja z Maćka Zięby robi. Ale tu za to spokój. Zapalisz?

– Nie, dziękuję. Jak mam już coś przepisywać, to wolę szybko zacząć, żeby czas lepiej rozłożyć.

– No, jest wreszcie podchorąży! – sarknął major Piontek. Siedział w głębi wozu dźwiękowego w towarzystwie młodszego chorążego Zięby oraz kilku bażantów, w tym i plutonowego podchorążego Zabawy. – Ileż można na was czekać!

– Nie mogłem znaleźć wozu.

– Oj, podchorąży, podchorąży... jesteście przecież zwiadowcą! Ja to z wami osiwieję. Zawsze jakąś wymówkę sobie znajdziecie. Bierzcie już lepiej te materiały i zmykajcie mi z oczu – podał Rejowi kilka zapisanych zielonym atramentem stronic. – To jest bardzo pilna robota partyjna, więc inne rzeczy zostawcie na boku. Za ile to może być gotowe?

Maszynista przerzucił kartki.

– Może nawet w dwie-trzy godziny bym się wyrobił, skoro pilne... Ale niestety teraz nie mogę.

– Czemu to?!

– Bo mam pilną robotę dla pułkownika Hermana.

– Najpierw macie zrobić dla mnie.

– Ale pułkownik...

– Powiecie mu, że wydałem wam taki rozkaz!

– Dobrze – wzruszył ramionami podchorąży. – Mnie tam wszystko jedno. Ale jemu zależało...

– Dobrze, dobrze. Nie bawcie się w adwokata – zaśmiał się komendant SPR Artylerii. – To już mój problem. A teraz to niech podchorąży szybko znika i jak skończy, to mi tu podrzuci.

– Ale po drugim śniadaniu...

– Choroba! Rzeczywiście, już po dziesiątej... To znikajcie wszyscy razem. Ale chorąży Zięba niech zostanie tutaj i niech się wreszcie, korzystając z okazji, czegoś poduczy! Przecież on umie jeszcze mniej niż wy!

Dowódca plutonu dźwiękowego spłonął się niczym panienka. Coraz bardziej żałował, że został zawodowym wojskowym. To, co miało być przyjemnością i łatwym sposobem na chleb z szynką, okazywało się Wielką Cyfrą 5x365 (bo minimum pięć lat musi siedzieć w wojsku, nim uda mu się wyjść do cywila). Że też trafił akurat do tego cholernego Piontka! Mysia pipa – jak to bażanty go ochrzciły przez malutki wąsik pod nosem – zrobi wszystko, żeby go stąd wysadzić, bo ma na ten ciepły etacik jakiegoś kuzyna, który w tym roku skończy WSO. Ale o tym Zięba dowiedział się od współmieszkańców internatu, a nie od Piontka. W ogóle coraz mniej mu się tu podobało... Mieszkanie miało być po trzech miesiącach, właśnie ten trzeci miesiąc się zaczął, poszedł więc do politycznego, a ten go wyśmiał... A co on może zrobić? Tylko uszy pod dupę stulić. Nie dość, że mały stopień, to jeszcze zero znajomości. On się tu nie liczy. A wszystko przez jego główny problem życiowy: Basię, studentkę pedagogiki w Toruniu, z którą chodził do liceum. Zawsze bardzo podobali jej się chłopcy ze szkół wojskowych, ich mundury... była w nich wręcz zakochana. Gdy powiedział o tym na imprezie w Dzień Podchorążego Rejowi, to tamten myślał, że Zięba robi sobie z niego jaja. Według bażanta, czasy, kiedy za mundurem panny ciągnęły sznurem, skończyły się definitywnie w początkach stanu wojennego. Rej uważał miłość wykształconej kobiety do munduru za poważne zbroczenie. Spróbowałby to powiedzieć Basi! Oczy by mu wydrapała, taka kotka! Jak się zawsze po t y m rozkosznie przeciągała, też jak kotka... Żeby jak najszybciej i co noc widzieć ją taką, poszedł do szkoły chorążych, a nie do oficerskiej. W końcu to tylko dwa, a nie cztery lata. A mieszkanie i tak miało być...

Poszedł na zawodowego, choć wcześniej był w zetce i wiedział, czym to pachnie, że w wojsku każdy ma nad sobą kogoś, kto go jebie, choćby dla sportu i z nudów. Gdy był kapralem, sam się nabijał za plecami młodszych chorążych, że mają na pagonach gwiazdkę

nadziei i krokiewkę przetrąconego życia... Ale mieszkanie, pieniądze i Basia...

– Słuchaj Ryłko! – powiedział porucznik Siwak. – Jak ty w ogóle śmiesz mówić, że nasz podchorąży nie zna zasad żołnierskiego zachowania?! Dobrze imię SPR-u brukasz, raketowy chuju jeden! Bo jak ja u ciebie, kurwa, na dyżurze inspekcję odwalę, to...

– Obywatelu poruczniku, kiedy naprawdę...

– Zero dyskusji, Ryłko! Ty się lepiej w sprawy nas, ludzi wykształconych, nie przypierdalaj! Nawet jakbyś prawdę mówił, i tak chuja mnie obchodzi! Nie wpierdalaj się między wódkę a zakąskę! A wiesz czemu? Bo ty masz zero autorytetu, kurwa, Ryłko! Ty w ogóle nie wyglądasz na kogoś z autorytetem! Dlatego cię wszyscy opierdalają! Zajarz se, że nie masz postawy, kurwa twoja mać! Widać po tobie z miejsca, że masz, te, no, kurwa... kompleksy! I cieszyć się, że ci chuj na nosie nie wyrósł! Wszystko na ten temat!

– Ja...

– Za niski w uszach jesteś! Też się łokietek znalazł, kurwa jego mać! Pal-Secam jeden!

Siwak również nie był zbyt wysoki, lecz spoglądał na Ryłkę z astronomicznej wysokości swych trzech srebrnych gwiazdek na pagonach.

– I zapamiętaj se, kurwa, Ryłko, sierściuchu jeden, że ty masz na pagonach tylko cyrkle, a jak któryś z nich teraz podpisze na zawodowego, to dwie gwiazdki z miejsca dostanie. Ty się tego nigdy nie dosłużyysz, złamasie! A tera – won, chuju jeden!

– Obywatelu poruczniku, proszę o pozwolenie wyjścia.

– Pozwalam, kurwa! I spróbuj mi tu jeszcze z taką sprawą wrócić, kmiecie jeden!

Porucznik nie wygonił służbistego sierżanta kopniakiem tylko dlatego, że nie chciało mu się wstawać z krzesła.

Po śniadaniu Rej wrócił do kancelarii. Zaparzył dwie herbaty – nigdy nie pijał serwowanej w stołówce lury – i począł wiercić wzrokiem sufit. Czekał na Ogórkę. Mieli się razem przejść do sztabu brygady po gazety. Przyjął na siebie ten stały obowiązek, odkąd rozgościł się w sztabie dywizjonu szkolnego. Dzięki temu stwierdził, że wojsko otrzymuje znacznie więcej tytułów, niż wynikałoby z lustracji żołnierskich świetlic. Prasa szybciotko opuszczała koszary, wędrując do żon i dzieci trepów – zawsze to oszczędność w domowym budżecie. Do świetlic docierały tylko te pisma, które przetrwały selekcję, głównie „Żołnierz Polski”, „Trybuna Ludu”, „Kraj Rad”, „Przyjaźń” oraz najbardziej cenione, choć z odmiennych przyczyn, „Żołnierz Wolności” i radziecka „Prawda”. „Żołnierz Wolności” drukowany był na miękkim papierze, nadawał się więc na lekturę w ustronnym miejscu. Zaś jego ideologiczna przewodniczka znakomicie spisywała się w roli dywanu na umytej posadzce korytarza. „Prawda”, w odróżnieniu od innych gazet, zupełnie nie brudziła farbą drukarską wyszorowanych płytek i dzięki swej sztywności nie przyklejała się do nich.

Wreszcie przyszedł Ogórko.

– Co, już tyle napisałeś? – zdziwił się spóźnialski.

– Przecież z godzinę na ciebie czekałem! Herbata ci już wystygła. Wypij i po gazety idziemy.

– Jest jeden problem – Ogórko wskazał biało-czerwoną opaskę na ramieniu.

– Co?! Dałeś się zrobić w dyżurnego?

– Wiesz, Borówka mi płakał, że musi iść na zajęcia, jak to on, a miał być dyżurnym tylko przez dziesięć minut, bo Cyroń mu dał opaskę i poszedł szukać Bratka, który też mu ją dał tylko na kwadrans...

Dla żołnierza tak doświadczonego jak Rej to tłumaczenie wcale nie było zagmatwane.

Po powrocie z Wielkiego Urlopu zaskoczyło go, że o ile dawniej asystowało podoficerowi dyżurnemu dwóch dyżurnych, to teraz tylko jeden. Major Piontek usiłował wszelkimi sposobami ratować sypiącą się z dnia na dzień dyscyplinę w SPR. Uznał, że lepszy jest jeden dyżurny wykonujący wszystko, co należy, niż dwóch zajętych głównie poszukiwaniem siebie nawzajem. Trzeba przyznać, że pracy dla nich było znacznie mniej, gdyż obowiązki podoficerów dyżurnych pełnili obecnie podchorążowie, więc nie wynajdywali bezsensownych zajęć dla młodszych stopniem kolegów.

Tak czy owak, zaostrenie spowodowało rozluźnienie. Często zdarzało się, iż dyżurny potrzebny był – głównie dla celów dekoracyjnych – na zajęciach swego plutonu. Wtedy przekazywał czasowo opaskę podmiennikowi. Takie precedensy zachęciły podchorążych do własnych manewrów. Rychło insygnia dyżurnego zaczęły pełnić rolę Czarnego Piotrusia. Punktem honoru było jak najszybsze pozbycie się ich. W tym szczególnym berku gubił się i sam komendant Piontek. Choć ustawiczne podmianki dyżurnych (a z czasem i podoficerów dyżurnych) mocno targały mu nerwy, były i inne przyczyny tego, że włosy zaczynała mu zdobić siwizna. Wykrakał sobie...

Rej i Ogórko weszli do jednego z pokojów na pierwszym piętrze budynku sztabu brygady.

– Są gazety?

– Siadajcie – powiedział sierżant podchorąży Dzida – kaprał zaraz przyjdzie. Co wy znowu za aferę rozpętaliście?

– Jaką aferę? – zapytał niewinnie Rej.

– No, że Maćkę z SPR-u zabierają... Co wy od niego chcecie?

– Widocznie były powody...

– A ja uważam, że wy beczelnie – wybuchnął gniewem Dzida.

– Powtarzam: b e z c z e l n i e wykorzystujecie sytuację w kraju! Wydaje się wam, że jak w Krakowie czy Warszawie studenci straj-

kują przeciwko wojsku, to i wy na wszystko możecie sobie pozwolić!

– Ojejku... – uśmiechnął się Ogórko. – Po której ty właściwie stoisz stronie? Naszej czy trepów?

– Macie tu jak u Pana Boga za piecem, a ciągle jakieś protesty zakładacie!

– Ale czy nie przychodzi ci na myśl, że nam wcale nie zależy, by mieć jak u Pana Boga za piecem, ale chcemy zrobić coś sensownego? Nie sądzisz, że sprzątanie rejonów i gapienie się w sufit jest na dłuższą metę nieco nudne? Tak ci się w wojsku podoba?

– Ale z tym strajkiem głodowym to przegięliście pałę!

– Nie przesadzaj – Rej uważał pomysł strajku głodowego za najlepszy, na jaki wpadł w wojsku (ale było zamieszanie!). – Nawet nie był potrzebny. Wystarczyło, że ktoś puścił plotkę.

– Właśnie! Wy to byście dla prywaty uciekli się i do pomocy wrogich rozgłośni! Za mało w dupę dostaliście, że takie pomysły macie! Za duży, kurwa, luz tu macie. Aż przykro patrzeć!

– Ale OCeloci mieli lepiej...

– Od stycznia i za nich się weźmie, kto trzeba! Jest projekt, żeby na wychowawców sprowadzić im praktykantów po SPR-ach zmechanizkich²⁵. Ci to sobie nie dadzą w kaszę dmuchać! Dadzą OCelotom popalić!

– Uważasz? – powątpiewał Rej. – Sam skończyłeś szkółkę politrucków w Łodzi?

– Tak...

– Tam dopiero mieliście luz. I pokoiki dwuosobowe...

– Pokoiki tak – przerwał sierżant podchorąży. – I nam się rzeczywiście wydawało, że mamy luz. Ale to, co zobaczyłem w waszym wykonaniu... Przecież wam nawet zajęć z taktyki w polu nie zrobili! A u nas to takie rzeczy prowadzili oficerowie z piechoty i dali

²⁵ Wojska zmechanizowane, piechota. SPR-y o tej specjalności cieszyły się raczej złą sławą.

nam popalić! A okopywanie się w styczniu! Wy nawet wyobrazić sobie tego nie możecie! Was nie wzięli, bo sobie zwolnienia lekarskie załatwiliście! Wykorzystaliście cudze nieszczęście, kurwa! A ja to musiałem zimą dwa metry dołu wykopać!

– To nie my z a b i l i ś m y elewa.

– A kto go tam zabił! – oburzył się bażant-arbuz. – Zobaczycie raport, tam będzie wszystko prawidłowo wyjaśnione!

– Słuchaj – Ogórko postanowił zmienić temat na mniej drażliwy – a znałeś na szkółce takiego bażanta, Frydrycha? On też w styczniu do Łodzi poszedł, twoja fala.

– Taki mały, łysawy?

– Tak. Wiesz, on mi mówił, że można dostać się do łódzkiego SPR-u, nie zapisując się do Partii. Sam chciałem iść do szkółki politruków, ale powiedzieli mi, że nie ma co się starać, bo bez Partii nie da rady.

– Jak bezpartyjnego do nas przyjmą, to w pierwszym tygodniu powinien się zapisać. Jak nie chce, to go do innej szkółki przerzucą. U nas prawie jedną czwartą przerzucili.

– Ale on mi mówił, że nie zapisał się.

– Bzdura. W jednym plutonie byliśmy.

– Słyszałem – powiedział Rej – że w całej Polsce tylko siedmiuset studentów jest w PZPR. Czy to prawda?

– A skąd to wiesz? Takie rzeczy to tajemnica partyjna!

– Gdzieś czytałem...

– Oj, ty to lepiej uważaj – doradził sierżant podchorąży – żeby ci się kiedyś noga nie powinęła, bo dopiero cię udupczą. Z więzienia nie wyjdiesz!

– Nie rozumiem, do czego pijesz – lekceważąco wzruszył ramionami Rej. – Nie podobają mi się te aluzje.

– Ale mi się podobają! Przecież wiesz, że...

Lecz nie było dane sierżantowi podchorążemu Dwidzie nawrócić kanonierów podchorążych na drogę wierności ideałom Polskiej

Zjednoczonej Partii Robotniczej. Przeszkodziło mu w tym przybycie pierwszego sekretarza brygadowej Podstawowej Organizacji Partyjnej, podpułkownika Hermana.

Polityka duża i mała

– Nie wstawajcie, nie wstawajcie – przywitał się z podchorążymi podpułkownik. Od lat starał się reprezentować PZPR w taki sposób, by ich skutecznie agitować na rzecz tej organizacji ludu pracującego miast i wsi. Był zdania, że wywiązuje się ze swych obowiązków bez zarzutu. Jednak przełożeni wielokrotnie mieli mu za złe zbyt wybujałe projekty zmian w Partii i Wojsku – w swoim czasie był tak nierozsądny, że *zaplątał się w poziomki* (struktury poziome w PZPR, bardzo źle widziane przez Komitet Centralny); mówiąc prosto z mostu: zarzucano mu liberalizm i rewizjonizm. Dlatego w początkach stanu wojennego, kiedy na wszystkich spadł grad awansów i odznaczeń, Hermana przeniesiono z Warszawy do Szczupakowa.

Herman przyzwyczyił się już do myśli, że nie zostanie generałem. Poza tym nie narzekał: ostatecznie Szczupakowo nie było takie złe – spokojne miejsce, przede wszystkim znakomity klimat, nie bez znaczenia przy astmie młodszej córki. Teraz miała zdawać na studia, jak dobrze pójdzie, znowu wyląduje w Warszawie. Żeby jej się tylko zdrowie nie pogorszyło... bo teraz o chorobie przypominały jedynie inhalacje, na które chadzała kilka razy w miesiącu.

– O, jest i podchorąży Rej! – ucieszył się podpułkownik. – To towarzyszy nam, kurka, sprowadził w zeszłym tygodniu „Poligon”, prawda?

Rej uśmiechnął się dwuznacznie i mocno ucisnął tłustą dłoń Hermana. Niech sobie myślą, co chcą, o tym „Poligonie”. On nie miał

nic wspólnego z tą propagandową szopką telewizyjną, ale po co trepy mają o tym wiedzieć... Każda taka plotka umacniała mit o jego filmowo-telewizyjnych superkoneksjach. Już teraz niektóre trepy odnosiły się do niego z większym respektem niż do Chrynia. A on coraz lepiej się bawił... Najlepiej niech sami sobie wytłumaczą to, czego nie rozumieją. Wtedy dopiero wychodzi czysta groteska!

– To znakomicie, że jest podchorąży, bo ja akurat takie mikrozebranko partyjne urządziłem za ścianą.

– Ja nie jestem członkiem Partii...

– He, he, towarzyszu, to takie, he, he, konspiracyjne zebranko. I to w sprawie waszej Szkoły. Zgódźcie się, towarzyszu. Nie szkodzi, że na razie bezpartyjni, he, he, jesteście. Powinniście brać w tym udział. Może to was zachęci... Jak to się mówi: nic o was bez was!

Rej zmienił zdanie, skoro usłyszał, że będzie mowa o SPR. Był ciekaw wszystkiego, co się dzieje w brygadzie. Słusznie Piotrek Daczny zarzucał mu, że tak naprawdę bardziej zabiega o to, by było zamieszanie, niż o konkretne rezultaty. Przypominał trochę futbolistę potrafiącego przebiec z piłką całe boisko, ośmieszając przeciwników tylko po to, żeby w końcu strzelić na wiat nad poprzeczkę.

Rzeczywiście, Rejowi chodziło tylko o zabawę. Uważał, że cze-gokolwiek by ich turnus nie wywalczył, to i tak ci, którzy przyjdą w styczniu, będą musieli zaczynać od nowa. Nie wierzył w jakiegolwiek rzeczywiste i trwałe zmiany w armii. Teraz pomaga bażantom specyficzna sytuacja w kraju, ale za parę miesięcy wszystko pewnie powróci do zamordystycznej normy. Gdy tylko ustanie strajkowy nacisk na trepów, oni z miejsca wrócą do tego, co dla nich najwygodniejsze i do czego przez lata przywykli. Jedyne, czego człowiekowi nie można odebrać, to radość z udanej zabawy. A obecnie było wesoło! Z perspektywy koszar wyglądało to tak, jak gdyby między Solidarnością a PZPR toczyła się gra na miny, których nie powstydziliby się gombrowiczowscy Miętus i Syfon.

W kancelarii Hermana czekali już podporucznik Maćko oraz Maroń, Nawrocki, Tarkowski i Wittek.

Podchorążowie usiedli na wyściełanych krzesłach przy ścianach, a podpułkownik swój fotel wysunął na środek pokoju, tak by mógł wszystkich widzieć. Maćko skromnie przycupnął na drewnianym zydelku pod oknem i dane mu było jedynie podziwiać rozłożyste plecy partyjnego guru.

– Wiecie, towarzysze, że tak powiem z tego miejsca, w tym temacie, sadzę, że będziemy się rozumieć, he, he, w końcu wszyscy jesteśmy rozsądnymi ludźmi, więc nie ma co, tego, w bawełnę owijać, więc, wiecie, chodzą słuchy, że narzekacie na majora Pionka. Dlaczego?

– Tu chodzi, obywatelu pułkowniku, głównie, choć nie tylko, o urlopy – wyjaśnił Nawrocki. – I chodzi też o zachowanie majora wobec naszego dowódcy plutonu, chorążego Zięby.

– Tak, tak. Słyszałem o tym. Przykra historia. Nie powinien był go ganić w obecności niższych stopniem, bo to niezgodne z Regulaminem i z socjalistyczną kulturą współżycia żołnierskiego. To zostanie załatwione. Ale o co chodzi z urlopami?

– Nawet jak ktoś inny nam przyzna urlop – żalił się Nawrocki – na przykład towarzysz Maroń dostał pięć dni urlopu jako podchorąży października w brygadzie, przyznany przez ZSMP, a Pion... a major Piontek zamienił mu to na dwa tysiące złotych!

„Teraz pomaga bażantom specyficzna sytuacja w kraju, ale za parę miesięcy wszystko pewnie powróci do zamordystycznej normy. Gdy tylko ustanie strajkowy nacisk na trepów, oni z miejsca wrócą do tego, co dla nich najwygodniejsze i do czego przez lata przywykli – uważał Rej.”

– Nie, towarzyszu – obruszył się pułkownik – to żaden zarzut! Przecież, kurka, nagroda pieniężna jest wyższa w hierarchii niż urlop! Urlop przeminie, a za pieniądze coś trwałego możecie sobie kupić!

– Ale dla nas urlop ma wartość większą, bo można stąd wyjechać. Odwiedzić rodzinę, znajomych. A takie dwa tysiące i na bilet nie starczy, jak ktoś dalej mieszka.

– Przecież macie urlopy rozłąkowe...

– Ale one przysługują tylko żonatym, niestety. Słyszeliśmy, że są SPR-y, gdzie otrzymują je wszyscy.

– Jak to? – udał zdziwienie podpułkownik. – Gdy ja byłem dowódcą dywizjonu szkolnego, to...

Oooo! – ucieszył się Rej: jakaś konkretna informacja wskoczyła do koszyczka plotek. Może się przydać! Trepy zawsze wybałuszają oczy, gdy się okazuje, że wiesz, kto tu miał jakie stanowisko w przeszłości i na jakie je zamienił, a jeszcze jak się wie dlaczego...

– ... to u mnie taki urlop wszyscy z urzędu dostawali! Komentantem SPR-u był Piontek, wtedy jeszcze kapitan, najsamprzód nawet porucznik... Pamiętam, że był bardzo dobrze nastawiony do podchorążych.

– A teraz to mówi, że ma dość i nas, i wojska – rzekł Maroń.

Rej porozumiewawczo mrugnął do Ogórki – choć Maroń zrezygnował już ze służby w charakterze konfidenta u Maćki, to, jak widać, przyzwyczajenia pozostały...

– Słyszeli to nawet porucznicy Siwak i Śmiechocki – uzupełnił Tarkowski.

Kolejna wymiana sygnałów między Ogórką i Rejem. Sprawa jasna! To Siwak nasłał tu aktyw partyjny. Przecież ostatnio zupełnie jawnie rozpaczał, że Szkoła jest źle dowodzona. Stęsknił się za posadką, którą zajmował podczas pobytu Piontka na kilkumiesięcznym szkoleniu.

– Wiesz coś o tym, Maćko? – obrócił się przez ramię podpułkownik.

– No... po prostu, były takie głosy... – powiedział ostrożnie podporucznik. On też miał swoje żale do Piontka, ale nie wiedział, co właściwie konkretnego można zarzucić obecnemu komendantowi SPR. Bo tego, że za sprawą stoi Siwak, też się domyślał.

– To czemu nic mi nie mówisz, kurka?! Swoich obowiązków nie znasz?! Pogadamy jeszcze w tym temacie!

Do drzwi zapukał kapral Kluba. Wniósł na tacy szklanki z herbatą. To podpułkownik zamówił uprzednio coś do picia, by uczynić atmosferę spotkania bardziej domową.

– No, a powiedzcie, towarzysze kochani, czego nauczyliście się w wojsku?

To było pytanie z gatunku drażliwych. Za najbardziej dyplomatyczną odpowiedź uznano więc milczenie.

– No, powiedzcie, tak szczerze! – zachęcił gospodarz.

– To widać po naszych ocenach! – rad nie rad, rzekł Rej. Pamiętał, jak się oburzał, gdy po powrocie z Wielkiego Urlopu zauważył, że z jego imponującej kolekcji dwój ostały się ledwie mizerne resztki. Ten radykalny postęp w nauce zawdzięczał poufnej operacji przeprowadzonej pod kryptonimem: *Przepisanie Dziennika w celu zaakcentowania progresji wyników podchorążych dwudziestego szóstego turnusu*, przeprowadzonej w związku z przewidywaną wizytą gości z Centrali. Od tego czasu przybyło mu również wiele piątek, które mnożyły się w postępie geometrycznym. Rej od dawna nie bywał na zajęciach, nie mógł więc swoimi błyskotliwymi występami przyprowadzić przełożonych o ataki wściekłości – zresztą zajęć też w zasadzie nie było. Kursanci SPR Artylerii koncentrowali się na pracach porządkowych – też zwykle pozorowanych. Gdyby nie wódko i wódka, zanudziłoby się na śmierć.

Rejowi, jako pracującemu społecznie maszyniście, oceny wpiisywano zaocznie. Teraz tylko Wścieklica i Ruchacz mieli prawo

do zarabiania dwójek, a i oni byli ograniczeni limitami: jedna na tydzień... Oficerom zależało na tym, by *przyrosty wojskowej wiedzy u podwładnych* były widoczne już przy pobieżnej lustracji Dziennika. Przeciętna ocen w SPR za wrzesień wyniosła 2,9 (a po przepisaniu Dziennika – 3,5), za październik – 3,8, a w listopadzie już powyżej 4. Ile wyniesie w grudniu, kiedy to cały turnus musi wykonać Roczny Plan Kształcenia, by oficerowie mogli otrzymać regulaminowe premie za wzorowo przeprowadzone szkolenie?

– Cieszę się, kurka. Naprawdę się cieszę, kochani, że jesteście prawidłowo wyszkoleni. W końcu w tym temacie zbliża się chwila waszego rozstania z nami, rozjedziecie się po całej Polsce, tu tylko kilku zostanie... I, właśnie, ja tu w tym miejscu mam sprawę do podchorążego Reja. Bo wiem, że podchorąży jest filmowcem, a tu mamy taką ciekawą pracę... Będziemy od stycznia potrzebowali kogoś na etat oficerski, do spraw filmu. Jest to związane z akcją *Humanizacja*, wiecie... Chodzi w tym temacie, żeby rozszerzyć klub garnizonowy, seanse urządzać. Mamy tu już kamerę wideo, chcielibyśmy prowadzić kursy dla dzieci rodzin wojskowych. A podchorąży Rej ma w tym temacie swoje kontakty, prawda?

– Naturalnie – przytaknął bażant. Proponowany zakres obowiązków wiązał się ściśle z jego zawodem.

– Interesowałaby podchorążego ta robota u nas, he, he?

– Oczywiście! – Rej uznał, że zabawa w wojsko i tak pozostanie zabawą i że przy okazji będzie mógł zrobić coś sensownego, może również dla tutejszych szwejków. – Z przyjemnością!

– To się, he, he, bardzo cieszę i mogę już oficjalnie pogratulować wam etatu kapitańskiego. Waszym zastępcą będzie podporucznik Maćko. Już go dlatego od was ze szkoły zabieramy, żeby sprawę z klubem przygotował organizacyjnie. A od stycznia pod ręką podchorążego wchodziłby w tajemnice fachu...

To była dopiero nowina! Rej spojrzał na Maćkę. Wyraz twarzy młodego politruka świadczył, że wiedział on wcześniej o tym,

co zostało przed chwilą powiedziane, i zdążył już pogodzić się z losem.

– Bardzo dziękuję. Rzeczywiście postaram się postawić tutejsze kino na nogi. Pościagam filmy z Filmoteki. I łatwe, i trudniejsze, jakiś cykl komedii, może też filmy o wojsku...

– No to ja się w tym temacie cieszę, że podchorążemu to pasuje, he, he – Herman też był zadowolony. – Mamy prawdziwego fachowca, to trzeba go wykorzystać, prawda? Podchorąży jest człowiekiem energicznym, ambitnym, z autorytetem wśród kolegów, powinien więc być tam, gdzie się rodzą decyzje, kochani, he, he. A ja podchorążego osobiście rekomendować będę do Partii, a drugą rekomendację da albo Organizacja Młodzieżowa albo ktoś z Kadry SPR!

– Chwileczkę... – Rejowi zrzedła mina. – Obawiam się, że nie ma mowy o zapisaniu się do PZPR...

– He, he, wiem że o ZSMP też tak mówiliście. Niech się podchorąży nie boi – pocieszył podpułkownik. – My na siłę, kochany, nikogo nie ciągniemy. Ale podchorąży jest elementem wartościowym, choć buntowniczym, he, he, i chętnie go u nas zobaczymy, we wspólnym froncie w tym temacie. Jeśli przyjmiecie tę pracę, a na to wszyscy liczymy, to, wiecie sami, w pionie polityczno-wychowawczym pracują wyłącznie członkowie Partii, więc na pewno się podchorąży zapisze! Macie, towarzyszu, prawie dwa tygodnie na podjęcie decyzji w tym temacie. To nic pilnego...

– Dziękuję – powiedział Rej. Nie dał jednoznacznej odpowiedzi, lecz decyzję podjął od razu. Uważał, że wyczerpał już limit politycznych ustępstw. Dobrze, że przynajmniej dobrał się do papierów w kancelarii porucznika Radeckiego, i nie pójdzie za nim ZSMP-owski smród...

Herman poczęstował wszystkich – oprócz Maćki – przygotowanymi na specjalną okazję marlboro.

– A wracając do mojego pytania w tym temacie, jak wam się tak w ogóle w wojsku podoba? Jak porównujecie oczekiwania z rzeczywistością? Nie spotkaliście przecież, he, he, ani tego słynnego niby malowania trawy na zielono czy strzyżenia trawy nożyczkami do paznokci, prawda?

– Ale – zauważył Ogórko – ja osobiście uczestniczyłem w zrywaniu liści z drzew, żeby na dziedzińcu nie spadały. A na Dzień Podchorążego elewi musieli nanosić śniegu na plac musztry. Całą noc to robili!

– No tak – pogodnie zgodził się oficer – ale przecież, kochani, dzięki temu uroczystość ładnie wyglądała na takim białym placu!

– Przecież ten śnieg roztopił się, jak tylko na nim stanęliśmy. Jeszcze w butach było mokro...

– Oj, podchorąży, nie bądźcie, kurka, taki malkontent. Życiem się trzeba cieszyć! Nie ma przecież róży bez kolców, jak to mawiają poeci, he, he.

Na chwilę zapadło milczenie.

– Wiecie, podchorążowie, he, he, kurka... – powiedział podpułkownik, zacierając tłuste dłonie. – Ja tu mam w tym, że tak powiem, temacie, żeby tak w bawełnę nie owijać, wiecie, he, he..., taki pomysł, żebyśmy z tego miejsca, towarzysze, ze Szczupakowa, wysunęli propozycję, że to wy, nasi podchorążowie SPR, ludzie po studiach cywilnych, pojedziecie na uczelnię... bo dotarło do was pewnie, że gdzieś tam jeszcze, kurka, strajkują wbrew obecnej formie służby wojskowej, he, he... Więc wy byście wyjaśnili waszym młodszym kolegom, studentom, jak to naprawdę u nas w wojsku wygląda, i że nie jest to czas, kochani, he, he, stracony, że są rozmaite kursy i te, tego, dokszałty...

Rzeczywiście, w Szczupakowie były. Zainicjowali je, zaraz po przysiędze, podchorążowie obu SPR-ów. Byli przecież wśród nich specjaliści z różnych dziedzin, nie brakowało też nauczycieli. Koncepcja kursów trafiła na dobry grunt: pułkownik Czachórski

nerwowo poszukiwał akcji, która przesłoniłaby głośną aferę związaną z kradzieżą broni z magazynu brygady, a w szczególności wyjednałaby mu przychyłność na górze. Tak więc po raz pierwszy w historii Jednostki ogłoszono zapisy na kursy hydraulików, elektryków, ogrodników, małej gastronomii i nawet przewodników turystycznych. Akcja *Wiedza* wystartowała (po uzyskaniu, oczywiście, zgody Centrali) w pierwszych dniach listopada 1988 roku.

– Przecież teraz żadne zajęcia się nie odbywają! – zaprotestował Ogórko.

– No nie, kurka, choćby tu, na tym stole – wskazał oficer – mam meldunki, że nawet wczoraj odbyły się zajęcia na kursie hydraulików!

– Tak?... – wyrwało się Tarkowskiemu.

– Kolega Tarkowski jest, obywatelu pułkowniku – wyjaśnił pospiesznie Rej (bał się, że Tarkowski nie pociągnie tematu i położy uszy po sobie) – bardzo zdziwiony, bo to on jest kierownikiem tego kursu...

– Tak, kurka? – zdziwił się Herman. – A co podchorąży Tarkowski ma w tym temacie do powiedzenia?

Tarkowskiemu nie wypadało się wycofać. Zmierzył Reja wściekłym spojrzeniem.

– Niestety, od dwóch tygodni nie mogłem poprowadzić żadnych zajęć. Żołnierze mi donieśli, że im w tym czasie dowódcy urządzają alarmy...

– Aa! Jak alarmy, kurka, to rozumiecie! Szkolenie bojowe przede wszystkim! Wojsko to nie wczasy w mundurze!

– No dobrze – pilił Ogórko – ale skąd się wzięło to sprawozdanie i kto je napisał?

– Hmm... Nie wracajmy już, kurka, do tego. Ważne, że inne kursy się skończyły. Nie szukajmy dziury w całym!

Rzeczywiście, skończyły się kursy małej gastronomii i przewodników turystycznych. Ten drugi urządzono wyłącznie dla podcho-

rażych (konieczne było wyższe wykształcenie). A pierwszy... To dopiero była czysta groteska! Na zajęcia chadzało co najwyżej dziesięciu żołnierzy, za to na egzaminie zjawiała się setka osób z okładem – kilkunastu szwejków i bażantów, a do tego tłum trepów i ich żon. Taki kurs warto było zrobić, bo dawał uprawnienia do prowadzenia małej restauracji. W cywilu trwał pół roku i kosztował kilkadziesiąt tysięcy złotych, a kończył się ciężkimi egzaminami. A tu... nie trzeba było chodzić na żadne zajęcia, zapłaciło się po pięć tysięcy (resztę dopłacano z funduszu przeznaczonego na popieranie działalności kulturalnej wśród żołnierzy służby zasadniczej, bo oficjalnie dla nich szkolenie było przeznaczone), wypilo po kielichu z nieprzytomnymi egzaminatorami i odebrało świadectwo ukończenia kursu z oceną dobrą. Na tyle wyceniono wiadomości żołnierzy zawodowych i ich rodzin. Podchorążym hurtem wystawiono piątki, a szwejom – trójki.

– No to co, kurka, sądzicie towarzysze w tym temacie? Chcielibyście tak jechać i powiedzieć młodszym kolegom na uczelniach, co trzeba? Nie podejmujcie decyzji pochopnie, bo to poważne zadanie. Musicie się dobrze przygotować, kochani, nawet pod względem oratorskim, to jest, he, he, oratorskim. Tam, na uczelniach cywilnych, trzeba waszym młodszym kolegom wytłumaczyć, że muszą być jak dorośli mężczyźni, świadomi realnych uwarunkowań geopolityki. Trzeba im obiektywnie wyjaśnić, że są, kurka, śmiesznymi smarkaczami, którzy za pomocą paru gazetek chcą przekreślić wyniki II wojny światowej i konferencji jałtańskiej. Trzeba im uzmysłwić, że raz zdobytej władzy nasza Partia wydrzeć sobie nie da!

Rej pomyślał, że z przyjemnością by się przejechał... Ale nie po to, by tłumić strajki studentów. O, już on by powiedział, jak to tu wygląda! Ludzie na studiach opowiadają rozmaite brednie o wykładach studium wojskowego: a to, że ten czołgiem do czyjejs chałupy wjechał, że tamten za dużo pił, że jeszcze inny jest tak durny, iż nie chcieli go w koszarach... słowem – że ich pułkownicy i majorzy

wylądowali w Studium Wojskowym z a k a r ę. Nie wiedzą ludziska, że w studiach wojskowych uczelni cywilnych lądują wcale nie najgłupszy oficerowie, ale rzeczywista śmietanka intelektualna LWP, ci, którzy mieli na tyle rozsądku i układów, by przejść do pracy – leciutkiej i bez żadnej odpowiedzialności – na uczelniach. A to, że ci, którzy znają jedynie trepów *przydzielonych do studentów*, nie potrafią w to uwierzyć, to już całkiem inna historia. Ech, już Rej by powiedział chłopakom z UJ, co to jest wojsko! I że nie wczesnych pobudek i wysiłku fizycznego trzeba się tu obawiać, lecz zarażenia się lenistwem i arogancją, nie musztry i salutowania, ale skretynienia i wulgaryzacji, tchórzostwa i alkoholizmu. I nie tego trzeba się bać, że w wojsku niczego się nie nauczysz, ale tego, że nauczysz się tu zbyt wiele! Że nauczysz się służalczości, złodziejstwa, kłamstwa, okrucieństwa wobec słabszych i radości, że to biją innego, a nie ciebie! I nie można wyjść z tej edukacji obronną ręką. Można olewać wszystko, wmawiać sobie, że jest się na te wojskowe zielone zarazy odpornym. Ale trzeba pamiętać, że aby być odpornym, też trzeba łyknąć jakąś szczepionkę. Stajesz się więc twardszy, nie dziwisz się już żadnej bzdurze i żadnemu nieszczęściu. I w tym tkwi największe niebezpieczeństwo: na wszystko reagujesz szwejkowskim *nie ma dziwnie*. Z armii na pewno nie wychodzi się takim samym człowiekiem, jakim się do niej przyszło. W mniejszym stopniu dotyczy to bażantów, ale szeregowi żołnierze... Ci trafiają tu najczęściej w wieku osiemnastu czy dziewiętnastu lat, do tego aż na dwadzieścia cztery miesiące! Przychodzą wtedy, gdy formuje się ich system wartości. I kształtuje ich *ludowe wojsko*. Kto wie, czy to właśnie nie przez to cholerne zakłamanie wojskowe *kształtowanie* cały kraj nie wygląda tak, jak wygląda. Przecież prawie każdy mężczyzna zaliczył tę zieloną szkołę życia. I to jest to, co niektórzy nazywają *męską przygodą*.

Ale Marek Rej – choć powszechnie uważany za żołnierza, który odnosi się do przełożonych bez należytego respektu, a nawet

aroganko – wystarczająco długo nosił mundur, by nie mówić głośno tego, co myśli.

– No tak, obywatelu pułkownika – powiedział – ale czy zgodzą się na to wyższe czynniki?

– To właśnie z góry przyszła ta propozycja. Ale co wy, kochani, w tym temacie sądzicie, tak bez owijania w bawełnę, he, he?

– Ja sądzę – odezwał się Maćko – że to po prostu dobra idea i...

– Cicho, Maćko! – fuknął podpułkownik. – Słuchaj lepiej, kurka, jak mądrzejsi mówią! Dokszałcaj się!

– No cóż – zabrał głos Nawrocki – ja uważam, że to niewątpliwie bardzo słuszny wniosek.

Wszyscy zgodzili się z przewodniczącym koła Organizacji Młodzieżowej SPR Artylerii.

– To się bardzo cieszę! A macie jeszcze jakieś sprawy, he, he?

– Tak – powiedział Wittke. – Pogorszyło nam się ostatnio jedzenie na stołówce. Na drugie śniadanie ciągle fasujemy pięciocentymetrowy kawałek zimnej kiełbasy, a chleb cały czas suchy na kamień!

– No wiecie, towarzysze, stawki żywnościowe są takie, jakie są. Kryzys wszystkich dotyka! – Herman melancholijnie poklepał się po wydatnym brzuchu. – Ja też schudłem.

Tłumaczenie to przekonało Wittka, ale nie Ogórkę:

– Ale czy tej kiełbasy nie można by przynajmniej podgrzać, a chleba dać świeżego? To przecież wcale nie kosztowałoby drożej!

– Tego się nie da wykonać, kurka! – podniósł głos oberpolitruk. – To byłoby nieekonomiczne! Jecie zimne dla waszego dobra, żeby było więcej! W gotowaniu by się, kurka, skurczyło! Tłuszcz w wodzie by się rozcieńczył! To przecież logiczne!

Ogórkę już nic nie mówił – był zły, że w ogóle pytał o cokolwiek. Zwiedziony przyjemną atmosferą, zapomniał, że w wojsku nie warto o nic pytać ani niczemu się dziwić.

Naturalną kolejną rzeczą głos zabrał znowu przełożony:

– Oj, podchorążowie, kurka... wiem, że narzekacie. Jak byłem młody, to też na byle co się skarżyłem – stwierdził, znacznie już spokojniej. – Ale wiecie, jaka w tym momencie sytuacja w kraju panuje... Kryzys. Wojska też to dotyczy. Pichci się ten Okrągły Stół cały czas i zero w tym temacie, ciągle, kurka, wychodzi, bo tak zwana Solidarność prowokuje awantury i nie chce pojąć podstawowych impon... impon... imponderabiliów. Ale ważne, że jest postęp i już jakoś się może dogadamy... Musimy mieć nadzieję... W końcu i najbardziej tępe głowy po obu stronach zaczynają rozumieć, że w tym temacie wszyscy są trochę winni. Stan wojenny był konieczny, ale niepotrzebnie, kurka, podciął skrzydła wielu wspaniałym ludziom. Ja sam miałem nieprzyjemności w tym temacie, wyobraźcie sobie... Ale wszyscy liczą, że to się, kurka, zmieni! Przecież już na dzień dzisiejszy wiele reform przeprowadzono pozytywnych! A i sprawy ludzkie się naprawia. Ja od niedawna jestem tu pierwszym sekretarzem POP, a już tyle spraw załatwiłem. Tak, tak... wiele się zmienia i wojsko w tych zmianach znajduje się w awangardzie. Hmm... A w temacie jedzenia, to nie wiem, czy słyszeliście, że ostatnio Amerykanie chcieli dowiedzieć się od komputera, czym najlepiej i najtaniej karmić żołnierza, żeby jednocześnie dostarczyć mu wszystkie potrzebne składniki odżywcze. To podobno – kolega z Warszawy mi mówił – w jakiejś amerykańskiej gazecie, chyba w „Newsweeku”, było. I wiecie, co komputer obliczył, he, he? Że idealnym i najtańszym pożywieniem jest dla żołnierza trzydzieści kilo marchwi dziennie!

Podpułkownik osiągnął oczekiwany efekt. Roześmiali się wszyscy, a najgłośniej Maćko.

– Nodrysiowi by to pewnie odpowiadało – szepnął Rej do Ogórkę – bo cały dzień mógłby zreć, i zreć, i zreć...

– O czym tak podchorążowie, kurka, dyskutujecie na boczkę? – zaciekał się Herman. – Podzielcie się z nami, he, he...

– Kolega przypomniał mi... – jak już *moczyć*, pomyślał Rej, to przynajmniej wściekłość Hermana rozdzieli się na dwóch – o sprawie „Tygodnika Artylerzysty”. Tam ukazały się wywiady z kilkoma żołnierzami z naszego SPR-u, a oni mówią, że z żadnym dziennikarzem nie rozmawiali, i są wściekli, że bez ich zgody...

– Znam sprawę, kurka, znam – oświadczył podpułkownik. – To dlatego, że ten dziennikarz bardzo się spieszył, więc Maćko dał mu kilka nazwisk wzorowych podchorążych i ich zdjęcia, żeby w gazecie zamieścić. To przecież wyróżnienie!

– No... ale oni woleliby tego uniknąć...

To wyróżnienie dotknęło Borówkę, Dacznego, Hultajka i Malczyka (tylko ich fotografie były na podorędziu). Gazetowy bombardier podchorąży Borówka (pismo awansowało go na potrzeby artykułu, podobnie jak pozostałych) mówił o doświadczeniu, jakiego nabral w trakcie szkolenia bojowego. Daczny dał wykład o przewodniej roli Partii, a starszy kapral podchorąży Hultajek (redaktor hojną ręką dorzucił mu na epolety aż po dwie belki) – o konieczności wrócenia do koncepcji kołchozów, bo indywidualny chłop ziemi zagospodarować nie potrafi. Wspomniał także o potrzebie rozkułaczania wsi. Malczyk wypowiedział się zaś na dyżurny temat każdej wojskowej gazety, czyli o tym, że tak zwana Solidarność leje wodę na młyn rewizjonistów i *określonych kół* w RFN.

Najgorzej na tym wszystkim wyszedł Hultajek, który modlił się teraz, by „Tygodnik Artylerzysty” nie dotarł do jego rodzinnej wioski. Bo, jeśli dotrze, to... Bał się, wcale nie bezpodstawnie, że ani chybi sąsiedzi zaciukają go kłonicami na śmierć, gdy się im tylko na oczy pokaże! Przecież nawet ojczulek nie uwierzy, że w gazecie wojskowej napisali nieprawdę. Rodzony syn chciałby mu te pięć hektarów na zmarnowanie oddać! I pewnie jeszcze do białych miśców ojca wysłać!

– Ale przecież tak pięknie się, kurka, wypowiadali – rozwiął wszystkie wątpliwości Herman. – Ten dziennikarz naprawdę ładnie napisał. Widać, że żołnierz!

– Ale...

– O, właśnie, towarzyszu, dobrze, że sobie przypomniałem, mam istotne zapytanie do was! – przerwał Rejowi podpułkownik. – Dużo się teraz mówi w temacie zniesienia kary śmierci. Wśród wielu proponowanych zmian i ta została skierowana do dyskusji. A wy przecież prawo skończyliście, prawda? No więc co byście nam powiedzieli *pro* i *contra* przeciw karze śmierci? Tyle teraz wszyscy w tym temacie mówią i piszą! Prawie jak o Okrągłym Stole, he, he!

Podchorąży wolał już – z dwojga złego – mówić o karze śmierci niż o Okrągłym Stole, który uważał za kolejną propagandową szopkę.

– Cóż... zawsze są argumenty za i przeciw – westchnął Rej. – Z własnego doświadczenia mogę powiedzieć, że na drugim roku, bo wtedy jest w programie prawo karne, wszyscy są przeciwko karze śmierci. A potem już różnie bywa. W końcu każda kara pełni różne funkcje, czasem sprzeczne... Jest wśród nich i funkcja represyjna. Przeciwko karze śmierci występującej w jej ramach jestem na pewno. Kwestia jeszcze, jak które społeczeństwo ceni życie ludzkie, kwestia czasów... Ja nie mam obecnie do końca sprecyzowanego stanowiska. Jest jednak pewne, że nie wolno zapominać i o pomyłkach sądowych, które wcale nie są rzadkością, i pamiętać też trzeba o tym, że w latach sześćdziesiątych skazano ludzi na śmierć za tak zwaną aferę mięsną...

– Tak, tak – przytaknął oficer – to rzeczywiście była tragedia.

– Właśnie. Teraz żaden polski sąd, mam nadzieję, by tych ludzi za kradzież paru ton mięsa nie skazał na śmierć. Choć teoretycznie ciągle jest to możliwe, niestety. Ale według mnie przeciwko takiej karze, w końcu zupełnie ostatecznej, przemawia to, że zawsze możliwa jest omyłka. Z więzienia można człowieka wypuścić, z grobu raczej trudno...

– Ale takiego, co się na mnie po prostu zasadza z cegłówką za rogiem – wybuchnął Maćko – to ja bym, po prostu, kazał koniami rozwłóczyć! Na śmierć, po prostu!

– To już niejaki Hammurabi – replikował Rej – przed paroma tysiącami lat był bardziej humanitarny.

– Brawo! – poparł podchorążego podpułkownik. – A ty, Maćko, cicho, kurka wodna! Słuchaj lepiej, jak mądrzejsi mówią!

Herman odchylił się nieco do tyłu, w stronę Maćki, i machnął kilkakrotnie ręką, jak na niesforną muchę. Podporucznik skurczył się w sobie.

– Tak jest, obywatelu pułkowniku – miauknął – po prostu...

– I żebyś mi się, kurka, nie odzywał, niepytany! Za dobrze w tym SPR-ze miałeś, ale ja cię jeszcze wojska nauczę! A teraz to słuchaj, jak towarzysze podchorążowie mówią! Mądrzejszych, kurka, słuchaj!

– Z drugiej zaś strony – kontynuował Rej, niezwykle zadowolony z rozwoju sytuacji – zwraca się uwagę na fakt, że jeśli najwyższą karą jest dożywocie, to skazany na nie jest już praktycznie bezkarny. Jeżeli to rzeczywiście notoryczny morderca, sytuacja może być nieco kłopotliwa...

Rej zakończył wystąpienie. Nie chciało mu się dłużej epatować Hermana resztkami wiadomości prawniczych. Zauważył, że wojsko znakomicie sprzyja zapominaniu tego, czego nauczył się w cywilu. A teraz wołał wlepić wzrok w Maćkę. Boże, jak on musi mnie nie znosić, ten *po prostu* – pomyślał z satysfakcją.

– Obywatelu pułkowniku – Nawrocki przypomniał o sprawach przyziemnych. – Ale jak będzie z tymi urlopami? To ostatnie dni, żebyśmy zdążyli je wykorzystać!

– Jakimi urlopami? – zdziwił się pułkownik.

– Tymi rodzinnymi... bo chodzi nie tylko o kawalerów. Żona-tym skrócono z pięciu dni do trzech, w tym wyjazd i powrót. Ma-

jor pokazał nam nawet rozkaz podpisany przez dowódcę artylerii z Okręgu Warszawskiego, gdzie jest o tym mowa...

– No nie, kurka, towarzysze. To już nieaktualne, to stary rozkaz. Teraz jest *Humanizacja życia wojskowego* i będą te tematy, kurka, powiększane!

– Obywatelu pułkowniku – Rejowi znowu nie udało się utrzymać języka za zębami – ale to chyba właśnie w związku z tą akcją ograniczono urlopy. Sam kilka dni temu przepisywałem rozkaz dowódcy wojsk rakietowych, generała Kwaczywody, gdzie się na nią w pokrętny sposób powoływał.

– No nie, towarzyszu, kurka, nie ujmujcie sprawy w ten sposób! Gdzie się u was podziała dialektyka? Akcja *Humanizacja* jest, kurka, procesem złożonym i długotrwałym. Najpierw pokonamy jeden etap, potem dopiero drugi! Niczego nie da się tak od razu... Czasem trzeba się cofnąć, żeby tym mocniej ruszyć do przodu. Jak to mówią: co nagle, to po diable!

– To czemu ten rozkaz wyszedł właśnie teraz? Czy to właśnie nie była odruchowa zemsta za strajki studentów?

– Wie podchorąży, jak to jest – wyznał podpułkownik. – Wy i tak, towarzysze, nie możecie narzekać. I nie rozdrabniajmy się, podchorąży Rej, na tematy poboczne, ale wróćmy, kurka, do tematu, który poruszyli inni towarzysze. Bez prywaty, bo ta już niejednego zgubiła. Kiedyś całą Polskę zgubiła i rozbiory były. Więc wróćmy do tematu urlopów. I tu muszę z tego miejsca, kurka, zaznaczyć, że w tym temacie macie dużo lepiej niż inni. Żołnierze służby zasadniczej to mieli na ten przykład trzy dni od zawsze, kurka, i to raz na dwa miesiące. I zawsze tylko żonaci!

– No, u nas przecież też tak wyszło – zauważył Tarkowski. – Za wrzesień nam nie dano, za grudzień też ma nie być...

– Bo przecież, kurka, zjawiliście się dopiero 2 września, a urlop rozłąkowy przysługuje tylko za pełny miesiąc!

– No a grudzień?

– Tu z kolei, towarzysze, wchodzi przepis o tym, że w danym miesiącu nie przysługują dwa różne urlopy. Ja tu nie chcę, kurka, nikomu w tym temacie zarzucać, że regulaminów, he, he, nie znacie, ale... Tak samo nie przysługują żołnierzom zawodowym. Myślicie może, że ja dostaję te kilka dni miesięcznie na kontakt z rodziną? A wy w grudniu dostaniecie dziesięć dni taryfy! Sam bym tak chciał!

Rejowi przemknęła myśl: ciekawe, czy Czachór by Hermana skarcił za tę *taryfę* zamiast *urlopu taryfowego*? Głośno zaś powiedział:

– Właśnie o tej taryfie też jest mowa w piśmie generała Kwaczywody. O ile wiem, nasi poprzednicy dostawali po dwa tygodnie, a my tylko dziesięć dni.

– No cóż, my, kurka, nic tu zmienić nie możemy – rozłożył bezradnie ręce oficer. – To nie od nas zależy. Ale trzeba wychodzić naprzeciw zmianom...

– A czy to prawda, że służba wojskowa będzie skrócona? – zapytał Nawrocki. – To przecież główny postulat strajków studenckich.

– W żadnym wypadku, po prostu! – odważył się dorwać do głosu Maćko. Mówił bardzo szybko, bał się widocznie, że przełożony mu przerwie. – Nowe technologie wchodzi, po prostu! Trzeba będzie przedłużyć, po prostu! Rok po studiach to za krótko, po prostu!

Żaden z podchorążych się nie odezwał. Czekali na podpułkownika. Nie bez racji.

– Oj, Maćko, Maćko, aleś ty głupi – rzekł z politowaniem Herman. – Teraz o takich tematach mówisz? Czy ty, kurka, myślisz, że jak ty sobie przedłużyłeś, he, he, to wszyscy podchorążowie SPR też muszą, he?

Podchorążowie wybuchnęły szczerym śmiechem. Doskonale wiedzieli, że podporucznik *po prostu* Maćko jest byłym bażantem.

– I siedź już lepiej, kurka, cicho, Maćko – uzupełnił Herman – bo i tak żadnego pożytku z ciebie nie ma.

Jeszcze nie uciął radośny rechot, gdy w pokoju zabrzmiał dzwonek telefonu. Oberarbus uniósł słuchawkę.

– Halo? Podpułkownik Herman.

– ...

– Dobrze, za chwilę będę – Herman odłożył słuchawkę i zaczął się żegnać z gośćmi. – No widzicie, jak to jest, kurka. Każdy ma swoich przełożonych, ja też. Musimy kończyć.

– A będzie obywatel pułkownik – przypomniał Nawrocki – pamiętał o wszystkich sprawach? Również o tej Nauce Własnej...

Ten problem omawiali przed przyjściem Reja i Ogórki. Chodziło o czas od piętnastej trzydzieści do kolacji, określane w Porządku Dnia jako Nauka Własna. We wrześniu odbywały się w tych godzinach mniej lub bardziej regularne zajęcia pod batutą kaprali i praktykantów. W październiku, na fali ogólnego zamieszania, każdy mógł robić w tym czasie, co chciał, byle urzędował w którejś z sal lekcyjnych. Gdzieś od połowy listopada wolno było po południu robić, co się chce i gdzie się chce. Dopiero przed kilkoma dniami major Piontek podjął kontrofensywę zimową, próbując z powro-

„ – Obawiam się, że nie ma mowy o zapisaniu się do PZPR... Rejowi zrzęda mina.

– He, he, wiem że o ZSMP też tak mówiliście. Niech się podchorąży nie boi – pocieszył podpułkownik. – My na siłę, kochany, nikogo nie ciągniemy.

Ale podchorąży jest elementem wartościowym, choć buntowniczym, he, he, i chętnie go u nas zobaczymy, we wspólnym froncie w tym temacie.”

tem zagonić bażanterię do sal lekcyjnych – W SPR zbliżały się egzaminy końcowe.

– Tak, tak... – przytaknął oficer. – Oczywiście, że, kurka, splukam głowę Piontkowi. Ważne jest przecież to, byście materiał opalniali, a nie to, gdzie to robicie.

– Obywatelu pułkowniku, ale.. – Maćko znowu chciał się dorwać się do głosu, lecz nie zdążył wyrzec nawet swego *po prostu*.

– Maćko! – wrzasnął podpułkownik. – Zero dyskusji! Pogadam z tobą później w temacie twojego zachowania.

Podporucznik skulił się pod oknem (zdążył już zakosztować tych rozmów w cztery oczy z Hermanem!), zaś podpułkownik uśmiechnął się promiennie do podchorążych.

– Widzicie, kurka, jak to z nim jest. A ja mam do towarzyszy jeszcze dwa szybkie tematy, he, he... Podchorąży Rej, czy podchorąży napisał już te materiały?

– Niestety nie. Major Piontek rozkazał, bym najpierw przepisał dla niego. Ja mówiłem, jaka jest sytuacja, ale...

– Rozumiem, kurka. Już ja mu pokażę w tym temacie! Będzie miał wszystko na ten temat! A podchorąży niech te jego, kurka, gryzmoły wyrzuci do kosza, a teraz moje przepisuje!

– Czy rzeczywiście mam wyrzucić?

– Tak. Niech się nauczy, kurka, porządku!

– Czy mogę to traktować jako rozkaz? – upewnił się Rej, korzystając z obecności licznych świadków.

– Tak. Rozkaz. Wykonać!

– Tak jest! – regulaminowo wyprężył się bażant. Bardzo go to polecenie cieszyło. Oczywiście nie zamierzał przepisanych już materiałów wyrzucać, a tylko dobrze schować. Wiedział, że ta robota i tak w końcu do niego wróci. Ale przez parę dni będzie mógł pograć Piontkowi na nerwach. W wojsku człowiek musi mieć swoje małe przyjemności, bo inaczej – jak mawia Nodryś – *by się zachla- stał na śmierć...*

– A do podchorążego Maronia... – podpułkownik wyciągnął z szuflady biurka kilogram papieru. – Tu, kurka, mam taką w tym temacie prośbę, żeby nam towarzysz, jako rusycysta, sprawdził te klasówki i wystawił oceny.

– Rozkaz, obywatelu pułkowniku!

– Po co od razu rozkaz, he, he – roześmiał się Herman. – To tylko taka moja prawie prywatna prośba, bo towarzysz wywiąże się na pewno dobrze i sumiennie w tym temacie... Tak po wojskowemu!

Podchorąży zabrał ciężki zwój. Już na korytarzu położył go na parapecie, by zorientować się, z czym ma do czynienia.

– Kurrrrwaaa! – zawył, aż echo poszło. – Kurrrwa-aaa!

Drzwi kancelarii pułkownika Czachórskiego uchylły się...

Podchorążowie błyskawicznie umknęli do ubikacji. Szczęściem Papa Czachór miał na głowie ważniejsze sprawy niż wrzaski na korytarzu. Musiał podjąć decyzję co do ostatecznego kształtu, którego odsłonięcie uświetni Czterdziestą Piątą Rocznicę Pierwszej Bitwy Stoczonej przez 1 ŚBAA im. F. Dzierżyńskiego. Do Szczupakowa właśnie dotarł *Suplement do Katalogu Monumentów Standardowych*, opracowany przez Centralę w związku z akcją *Humanizacji życia wojskowego*. Nowy pomnik miał formą nawiązywać zarówno do przeszłości, jak i obecnie zachodzących zmian, związanych z polską pieriestrojką.

– Kurwa! – powtórzył, lecz już szeptem, Maroń. – Po co ja się wtedy tak mordowałem?

– Co się stało? – zająrzył mu przez ramię Tarkowski.

W odpowiedzi Maroń włądował mu na ręce otrzymaną od Hermana paczkę. Zawierała klasówki, które napisał on sam, korzystając z pomocy Dacznego i elewów (pensjonariuszy izby chorych).

– I pomyśleć, że ja opracowałem do każdej osobny zestaw błędów! Cholera jasna! A teraz znowu je wyszukiwać!

Rej doradził, by Maroń niczego nie sprawdzał, a stopnie wypisywał według klucza: wyżsi oficerowi – piątki, niżsi – czwórki, chorążowie i podoficerowie – dety. Chyba żeby odwrotnie...

– Ty to masz, kuśwa, łeb! – zachwycił się pomysłem Maroń.

Postanowiono zrobić kilka wyjątków od reguły. Major Piontek miał otrzymać tylko trzy plus, porucznik Siwak – całe pięć, a podporucznika Maćkę wyceniono ledwo na trzy minus.

Po opracowaniu tego manewru podchorążowie byli z siebie bardzo zadowoleni.

– Tylko – doradził Rej – potrzyмай te klasówki parę dni, żeby myśleli, że sprawdzasz...

To też brzmiało rozsądnie. Po wojskowemu.

Inspekcja

– Marek! – z okna na półpiętrze wychylił się Hultajek. – Śmiechocki kazał, żebyś natychmiast zajrzał na małokalibrową i choć raz strzelił!

Rej, znudzony już rozgrywkami dworskimi, posłusznie zmienił marszrutę. Zamiast do kancelarii, podreptał na strzelnicę małokalibrową. Mieściła się ona w budynku dawnej stajni, którą podchorążowie dziesiątego czy jedenastego poboru SPR zaadaptowali na strzelnicę. By tam dotrzeć, należało przejść pół koszar, przy okazji mijając wielu żołnierzy starszych stopniem. Jednych Rej nie zauważał, a na cześć drugich poprawiał okulary lub drapał się po nosie, co było substytutem salutowania.

Wreszcie otworzył ciężkie wrota i wszedł do środka. Zimno! Gorzej niż na dworze!

– Widzicie obywatela, kto się, kurwa, zjawił z inspekcją?! – ucieszył się porucznik Śmiechocki. – Czy ty, Rej, zdajesz sobie

sprawę, że egzamin ulejesz i pójdziesz służyć jako zwykły kanonier na osiem miesięcy?! Będzie zero makaronów i zero wkurwania przełożonych! Jak po sznureczku będziesz, kurwa twoja mać, wtedy zapierdalał!

Rej skrzywił się. Jakoś ze Śmiechockim ciągle nie udawało mu się dogadać. Teraz, pod wpływem sugestywnego tonu oficera, poczuł się niewyraźnie, choć był przeświadczony, że cała ta gadanina to strachy na lachy i oblanie egzaminów jest rzeczą niemożliwą. Udowodniły to w pełni niedawne egzaminy w znajdującej się po drugiej stronie ulicy SPR OC.

– Ja, kurwa wasza mać, to zawsze się starałem na egzaminach! Prosiłem, wódę z komisjami piłem, ale teraz gówno! Już mi nie zależy na tej pracy, w dupę, kurwa, jebanej, w tym cholernym SPR-ze!

Było tajemnicą poliszynela, że major Piontek, choć w stosunku do bażantów całkiem uprzejmy, kadrę SPR traktował gorzej niż kapral rekruta. Nie bez przyczyny wszyscy, włącznie z praktykantami, tak teraz wychwalali dawne rządy Siwaka.

– Dawniej to chciałem, żeby było jak najlepiej, ale się popierdoliło! Teraz to chcę, żeby mnie stąd wyjebali! Żebyście wiedzieli, że wolę na dywizjon wrócić! Już prośbę złożyłem, lecz mi ją chuje do kosza wypierdolił! Ale teraz mnie sami wyjebią. W moim interesie jest, żeby jak najwięcej z was upierdolił na egzaminach!

Porucznik najwyraźniej oczekiwał od Reja aktu skruchy. Doczekał się jednak tylko pytania zupełnie niezwiązanego z przedmiotem zajęć:

– Ciągłe te komary tutaj – Rej wskazał sufit. – Co za miejsce! Grudzień, komary fruwią, a człowiek w behatce marznie! Nie dałoby się tu przynajmniej piecyka przynieść? Tu zimniej niż na zewnątrz. Ręce grabieją.

– Nie ma tutaj żadnego gniazdka. Trzeba by do drutów się podłączyć – dowódca plutonu zwiadu-zwidu został spacyfikowa-

ny. Nie wracał już do grózb. Postanowił sięgnąć po zachęty innego rodzaju. – Jak podchorąży, kurwa, dobrze wystrzela, to puszcę go na pejotkę jeszcze przed egzaminami!

– Nie zależy mi – uśmiechnął się Rej. – Mnie w koszarach też dobrze. To w końcu już ostatnie dni. Szesnaście i miseczka.

– Dobra, obywatele, kurwa – Śmiechocki postanowił zakończyć jałową dyskusję. – Niech podchorąży poczeka i popatrzy, jak strzela Borówka!

Rej bez oporów przystał na tę propozycję. Wszak zaliczał się do Klubu Miłośników Kanoniera Podchorążego Borówki. Zawsze z prawdziwą pasją podziwiał rezultaty jego żołnierskiej gorliwości. Uważał, że bez Kanoniera Parówki życie w plutonie zwidu byłoby znacznie mniej ciekawe.

– Uwaga, koduję teren! – powiedział Śmiechocki. – Prawo, te piaski, kurwa: żółte. Żółte i w lewo, tam taki, kurwa, ciemny las: brązowe...

Zasadniczą część strzelnicy stanowiła makieta terenu. Przedstawiała obszar zgodny ze wzorem mapy ćwiczebnej, opracowanej przez sztab generalny LWP. Na makietę naniesiono rzekę, jezioro, lasy, miasteczka i wsie. Było też mnóstwo obiektów, do których strzelano: czołgi, sylwetki żołnierzy (symulujące całe pułki piechoty), były i zwodowane w środku lasu okręty.

– Brązowe i wyżej, te łąki za jeziorem to, kurwa, zielone. Zielone i w prawo: płaskie. Płaskie i w prawo: czerwone, wokół tego miasteczka. Podaję dozory... No, Rej, co to są dozory? Wiesz, kurwa?

– Takie wyraźne i stałe punkty terenowe, według których ustala się położenie celów.

– Prawidłowo, obywatele, kurwa – pochwalił oficer i powrócił do kodowania. – Dozór pierwszy: na żółtym, samotne wzgórze. Dozór pierwszy, lewo siedemdziesiąt, góra dziesięć na brązowym... Wieża w miejscowości Bathorn: dozór drugi. Dozór drugi, prawo

dwadzieścia, góra dziesięć, na płaskim, samotne drzewo... dozór, kurwa, trzeci. Dozór trzeci...

– Obywatelu poruczniku – zameldował Borówka – kiedy ja nie widzę!

– Na środku, kurwa, płaskiego! – wyjaśnił oficer. – Czy ty czy to masz w dupie?!

– U mnie tu jest jakiś żołnierz...

– Bo patrzysz, kurwa, z innego kąta niż ja. Musisz wziąć jakieś dziesięć tysięcznych poprawki!

Strzelcy oddzieleni byli od makiety wielką szybą. Pomieszczenie, w którym przebywali, miało kilkanaście metrów szerokości, więc każdy obserwował makietę – co czynili przy pomocy lornetek – z nieco innego kąta. W plenerze te kilka metrów odległości między nimi nie miałyby żadnego znaczenia, lecz na makiecie sprawiało sporo zamieszania.

– Widzę, widzę! Naprawdę! – ucieszył się Borówka.

– No to lecimy obywatele dalej. Dozór trzeci, góra czterdzieści, lewo siedemdziesiąt, pojedyncza wysepka na Jeziorze Ockland na zielonym. Widać, kurwa?

– Tak jest, obywatelu poruczniku!

– No, obywatele... Dozór trzeci, prawo...

– Trzeci?

– Chyba nie jestem, kurwa, Głodówka, żeby seplenić! Trzeci! Dozór, kurwa, trzeci, prawo pięćdziesiąt, góra trzydzieści, szczyt ratusza w miejscowości Tiger – dozór piąty.

Wskazane przez oficera miejsca żołnierze odnajdywali w terenie dzięki naniesionym na lewą soczewkę lornetki podziałkom. Cyfry podawane przez porucznika oznaczały liczbę stosowanych w wojsku jednostek kątowych, odmiennych od stopni cywilnych. Podobno system ten przyjęto we wszystkich artyleriach świata, musiał więc posiadać swoje zalety. Według Langego i Dacznego,

takie zalety rzeczywiście istniały, acz tak przysięgli humaniści, jak Borówka czy Rej, niewiele mieli na ten temat do powiedzenia.

– Podaję cele. Cel pierwszy: dozór czwarty, dół piętnaście, lewo dwadzieścia – gniazdo karabinów maszynowych. Taki tam okop, kurwa, widać, nie?

– Tak jest! Widać! – przytaknął Borówka.

– Cel drugi: dozór pierwszy, dół dziesięć, pojedynczy żołnierz, kurwa, widać, nie? U ciebie, Borówka, to on może się trochę schować...

– Jest!

– Cel trzeci: dozór pierwszy, góra trzydzieści, tam, zaraz za to-rami, takie nie wiadomo co... widać? Tam, gdzie naciera 313 Hano-werski Samodzielny Dywizjon...

– Tak jest!

– To plutonowy punkt oporu. I cel, kurwa, czwarty... To może dozór piąty, góra trzydzieści, prawo dwadzieścia: PDO, czyli Punkt Dowódczo-Obszerwacyjny. Taki zielony szwej na, kurwa, tyczce... Więc zadanie brzmi: wybrać cel i zniszczyć lub obezwładnić. Wykonać!

– Rozkaz, obywatelu poruczniku! – przyjął zadanie Borówka.

Śmiechocki niewątpliwie znał się na wykładanym przedmiocie. Chwalił się zresztą, że niedawno zajął drugie miejsce w Okręgu na zawodach w strzelaniu symulacyjnym. Zupełnie nie obchodziła go polityka, do PZPR zapisał się tylko dlatego, że w WSO tak mu kazali przełożeni – w każdym systemie i w każdym kraju byłby żołnierzem zawodowym. Idąc za przykładem kolegów oficerów, oczywiście migał się, jak tylko mógł, od prowadzenia zajęć teoretycznych i wymarszów w teren (co się dało, zwał na Millera lub Mucę). Ale uwielbiał strzelnicę małokalibrową – powstała zresztą głównie dzięki jego, wówczas jeszcze podporucznika, staraniom. Poświęcał jej masę czasu, między innymi wtedy, gdy urywał się

z innych zajęć. Po definitywnym odejściu żony wieczory spędzał zwykle najpierw tu, a potem w klubie garnizonowym, przy wódce.

– Obywatelu poruczniku... – po chwili wahania odezwał się Borówka – zdecydowałem: cel pierwszy, gniazdo karabinów maszynowych...

– Co?! Kurwa! Jaka kolejność w Instrukcji strzelania?

– To ja – poprawił się Borówka – powiem... cel drugi!

– Co! Artylerią pojedynczego żołnierza?! Teraz to dopiero oci-piałeś! Wiesz przecież, że artyleria to na hektary strzela! Szczegół-nie raketowa, kurwa! Chodzi o pokrycie pola ogniem, a nie o po-jedynczy czołg czy rower! Jak salwą przyjebiesz, i tak rozwalisz ostatniego chuja w okolicy! Ale do pojedynczego żołnierza się nie strzela! Chyba żeby już do czołgu, po lufie, przeciwpancer-nym... Ale tak strzelają, kurwa, ogniowcy, nie zwiadowcy. Wy tak strzelać nie będziecie!

– A gdyby do generała? – zapytał Lange. – Albo do majora Piontka?

– Aaa! – ucieszył się porucznik. – Jak, kurwa, do Piontka, to prawidłowy cel! Sam bym jebał na całego! Eee...

Śmiechocki się zreflektował. Powiedział za dużo. Co prawda, nawet gdyby ktoś o tym wybuchu doniósł majorowi, i tak niewiele by się zmieniło. Stosunki między dowódcą plutonu rozpoznania wzrokowego a komendantem SPR gorsze już być nie mogły.

– No, Borówka, obywatelu, kurwa. Kieruj ogniem dobrze, bo pała będzie!

Podchorąży nerwowo przełknął ślinę i wlepił wzrok w mapę rozłożoną na PŁO. PŁO, wymawiane jako *pulo*, było skrótem nazwy rosyjskiej, oznaczającej Przyrząd Kierowania Ogniem. To urządzenie od czasów pierwszej wojny światowej zmieniło się tylko w ten sposób, że wówczas jego podstawa była drewniana, a obecnie jest metalowa. Przechowuje się tego pradziadka komputera w walizce. Po rozłożeniu, PŁO okazuje się metalowym blatem, na który

naniesiono siatki kartograficzne w rozmaitych skalach (1:25000, 1:50000, 1:1000000).

– No, kurwa, Borówka! – ponaglił oficer.

Szczęściem obok Borówki stał Kogutowski.

– PDO wybierz... – odpowiedział szeptem.

– Obywatelu poruczniku, zdecydowałem! – wyrecytował teraz Borówka. – Cel sto czwarty: PDO. Zadanie wykonam działonem!

– Borówka, kurwa, wróć! Do PDO możesz strzelać plutonem albo nawet baterią, ale nie jednym działem! A poza tym występujesz jako dowódca plutonu lub nawet baterii, a działonem strzelać może taki Muca czy inny kapral, ale nie podchorąży!

Borówce było szczerze przykro, że się pomylił. Zaraz się poprawi.

– Obywatelu poruczniku, zdecydowałem! Cel sto czwarty: PDO. Zadanie wykonam baterią.

– Wykonać, kurwa!

Borówka przystąpił do nanoszenia na mapę wskazanego celu. Praca szła niesporo, bo w grubych rękawicach nieporęcznie było kreślić precyzyjne linie. A jeśli je zdjąć – jeszcze gorzej, bo palce grabiały z zimna.

– A ten, kurwa, liczy i liczy – powiedział Śmiechocki. – Na Zachodzie to takie *puła* mają tylko w muzeach, a u nas to podstawowy sprzęt. Tam komputery...

– U nas też przecież są – zauważył Daczny.

– Tak, zapłacić pewnie za nie zapłaciliśmy, ale u Ruskich leżą! W Polsce są jednostki, które mają trochę takich nowości, ale to, kurwa, w Okręgu Pomorskim lub Śląskim. Ale nie w Szczupakowie! Tu to też, kurwa, udana brygada! – sardonicznie zaśmiał się oficer. – Dwanaście procent rozwinięcia, jednostka siódmozutowa. Zanim my byśmy dojechali do frontu, wojna by się skończyła! Wiecie, że w naszej brygadzie jest ze trzydzieści dalmierzy, z któ-

rych dwa uchodzą, kurwa, za dobre? A jeden z nich to ten, który tydzień temu wzięliśmy na plac ćwiczeń!

– Ale on nie działał – przypomniał Zdyb.

– Właśnie! Bo jakiś szwejk zastawkę podpierdolił! Na co chujowi taka zastawka, pytam?! Zresztą... Ten nasz dalmierz waży ze trzydzieści kilo, a nawet dobry dalmierzysta przy jego pomocy ledwo parę celów na minutę wetnie! I to musi być, kurwa, majster! A wiecie, ile wcinają automatyczne dalmierze amerykańskie? Kilkaset na minutę!

– Ale i u nas są dalmierze laserowe! – stwierdził Nodryś. – W „Poligonie” niedawno pokazywali.

– Tak, są. Na sztukę. Kiedyś testowałem taki, kurwa... Waży toto kwintal i nie chce wcinać celów w niskiej temperaturze. Amerykanie to lepsze buzery mają w lornetkach! A wy to się śmiejecie z kadry, ja wiem! A czy wy w ogóle wiecie, co to jest, kurwa, zwiad?! Ja mam z was zwiadowców zrobić? Połowa to okularnicy, a reszta prawie wszystka też ma A-3! Jaki w tym pierdolcu sens? A wy jeszcze się śmiejecie, zamiast przykładać się do nauki! Czy wiecie, że życie porucznika w przyszłej wojnie, kurwa, obliczone jest na przeciętnie osiem minut?

– A na ile życie szeregowca? – zapytał starszy kapral podchorąży Miller.

– Ty to się, Miller, nie śmieć, bo ci urlopu na święta nie dam! Wy wszyscy jesteście jednako udani! Magisterkowie, kurwa, podchorążowie rezerwy, phi. A z wojskowego punktu widzenia gówna jesteście i na niczym się nie znacie! Dobrze wam robi, jak do zetki karnie wylądujecie! I zobaczą też ci, którzy gwiazdki dostaną, i na jednym wózku będziemy zapierdalać! Zobaczycie tych waszych ukochanych szwejków, obiboków, złodziei, nierobów, co tylko kraść dobrze potrafią i o przepustki łeb ci suszyć, kurwa wasza mać! Jak na nich mocnym słowem nie rzucisz, to udają, chuje, że nie słyszą! Dopiero, jak kurwami sypniesz...

– Obywatelu poruczniku, obliczyłem! – Borówka dumnie wyprężył pierś. Tyrady porucznika chyba nawet nie słyszał, tak był skoncentrowany na swej pracy.

– No, kurwa! – stwierdził oficer. – Jakbyś w wojnę miał takie tempo, to lepiej, żeby wojny nie było! Pokaż te wyniki.

Sięgnął po kartkę z obliczeniami. Ale nie było potrzeby sprawdzać karty strzeleckiej Borówki.

– Obywatelu poruczniku – zameldował Kogutowski. – Ja na bieżąco go kontrolowałem. Dobrze zrobił!

– A, jak ty tak, kurwa, mówisz... Niech będzie.

Śmiechocki lubił Kogutowskiego. Zresztą lubili go prawie wszyscy, nawet wojskowi abnegaci w rodzaju Reja nie nabijali się z jego zasłużonej pozycji prymusa plutonu. Należał do tych niesłychanie rzadko spotykanych ludzi, których wszyscy akceptują. Ukończył nauki polityczne w Białymstoku, podobnie jak Borówka. Był niezwykle spokojnym i uczynnym człowiekiem. Choć sam również miał swoje sympatie i antypatie, niełatwo było się w nich połąpać.

– Strzela bateria, cel sto czwarty: PDO! – wyskandował Borówka. Musiał mówić głośno, by dosłyszał go stacjonujący na pięterku oficer ogniowy. Obok Borówki stał co prawda aparat telefoniczny, ale służył głównie ku ozdobie. Połączyć się przy jego pomocy z pięterkiem było można, ale trzaski nie pozwalały się porozumieć. Sprzęt pamiętał pewnie czasy, kiedy służył jakiemuś hitlerowskiemu generałowi.

– Śpisz tam, Muca?! – wrzasnął porucznik. – To nie zebranie partyjne, żebyś se chrapał! Tu jest, kurwa, konkretna robota!

Obowiązki oficera ogniowego pełnił kapral Muca. Jego zadania polegały na obsłudze bębna nastaw i pociąganiu za spust kbks-u. Karabin miał uszkodzone przyrządy celownicze, aby nie można z niego celnie strzelać po lufie (czyli wykorzystując szczerbinę i muszkę), lecz tylko sposobem artyleryjskim.

– Już, zaraz! – odkrzyknął kapral. – Bęben mi się zaciął!

Po chwili usterka została zlikwidowana.

– Strzela bateria, cel sto czwarty: PDO – wydał komendę Borówka.

– Strzela bateria, cel sto czwarty: PDO – powtórzył Muca.

– Tak, współrzędna x równa się siedemdziesiąt jeden pięćset czternaście.

– Współrzędna x równa się siedemdziesiąt jeden pięćset czternaście...

– Tak. Y równa się pięćdziesiąt jeden sześćset dziewięćdziesiąt dwa.

– Y równa się pięćdziesiąt jeden sześćset dziewięćdziesiąt dwa...

– Tak. Poziomnicę zwiększyć zero zero dwa...

– Kurwa, Borówka! – upomniał porucznik. – *Powiększyć* mów, nie *zwiększyć*!

Rzeczywiście, Śmiechocki nie pierwszy raz zwracał na to uwagę. I miał rację. Bo w tym wypadku konwencja miała duże znaczenie. W warunkach polowych komendy ze stanowiska dowodzenia na stanowisko ogniowe przekazywane były telefonicznie lub krótkofalówkami. Nawet przy dobrym sprzęcie zdarzały się szумы. Chodziło więc o redukcję przekłamań, o to, by słysząc jako pierwszą głoskę „z”, nie mieć wątpliwości, iż chodzi o wyraz *zmniejszyć*, natomiast „po” jednoznacznie sygnalizuje *powiększyć*.

– Poziomnicę powiększyć zero zero dwa.

– Poziomnicę powiększyć zero zero dwa – odkrzyknął Muca.

– Tak! – to *tak* również było istotne, bo potwierdzało oficerowi ogniowemu, że dobrze przyjął komunikat.

– Widły boczne zero zero jeden...

– Tak! Snop zbieżny, celownik sto osiemdziesiąt jeden...

– Snop zbieżny, celownik sto osiemdziesiąt jeden...

– Tak! Kierunkowe, jeden pocisk...

Na początek należało wstrzelać się w cel, bo dokładne nanie-
sienie go na mapę było niewykonalne. Dopiero po praktycznym
określeniu prawidłowych parametrów celownika strzelano wielo-
ma działami i salwą. Najpierw trzeba więc było operować tylko
działem kierunkowym, czyli trzecim lub czwartym spośród sześciu
armat baterii.

– Tak. Ognia!

– Ognia!

– Tak!

Borówka przycisnął patrzalękę do oczu. Trzeba pilnie obserwo-
wać okolice celu, określić dokładnie miejsce upadku pocisku i po-
prawić nastawy! Dlaczego tak długo musi czekać na strzał?

– Kurwa, Muca! – interweniował Śmiechocki. – Co się znowu
popierdoliło?

– Pocisk nie wypalił. Muszę na nowo załadować!

Wreszcie usłyszeli suchy szcęk wystrzału.

– Muca! My tu nie byliśmy, chuju jeden, gotowi!

– Obywatelu poruczniku, bo mi się samo wystrzeliło!

Śmiechocki skrzywił się. Niestety, kbks ze strzelnicy małokali-
browej nadawał się na złom.

– Gotowe! – zameldował Muca.

Padł strzał.

– Prawa trzydzieści, krótki.

Po określeniu błędu pierwszego strzału Borówka przystąpił
do dokładnego obliczania poprawki, a kapral do ponownego łado-
wania krnąbrnej broni.

Podchorążowie wyciągnęli papierosy, któryś poczęstował Śmie-
chockiego. W zasadzie nie wolno było tu palić, ale jak wszystkie
abstynenckie zarządzenia Czachórskiego, tak i to konsekwentnie
łamano. Bez ryzyka zresztą. W bunkrze jedynym łatwopalnym ma-
teriałem była przeterminowana gaśnica.

– Celownik sto osiemdziesiąt pięć...

– Celownik sto osiemdziesiąt pięć!

– Tak. Zwiąć... – ugryzł się w język Borówka – powiększyć zero
zero trzy!

– Powiększyć zero zero trzy...

Tych fragmentów komendy, które dotyczą nastaw, jakich
nie trzeba zmieniać, nie podawano ponownie.

– Tak... Ognia!

Tym razem strzał padł prędko. Pocisk przebił zatknięte na draż-
ku popiersie żołnierza.

– Stój, zapisać – ucieszył się Borówka – cel sto czwarty:
PDO...

Porucznik był jednak odmiennego zdania.

– Kurwa, Borówka, myślisz że cię po dupie polizę? Gównno,
nie zapisać, do chuja wafla! A o skali to kto będzie pamiętał? Partia
może? Co ty, kurwa, Głodówka jesteś, żeby takie pizdy strzelać?
To przecież proste jak jebanie!

– Ale przecież trafiło – poparł kolegę Nodryś.

– No to co, że trafiło! – oburzył się oficer. – Ale skala, kurwa!
Trzeba w dół, tam gdzie wbita tyczka! Przecież to makieta, ona
nie jest wyskalowana w pionie, a wyłącznie w poziomie. W pod-
stawę masz dojechać! Tyle razy już wam to mówiłem! Przeniosło,
kurwa!

Co racja, to racja... Borówka szybko obliczył poprawki i podał
komendę: ognia!

– Wróć, Borówka! Niech żesz cię chuj piękny strzeli! Przecież
uzyskałeś, obywatelu, obramowanie celu!

Rzeczywiście, pierwszy pocisk padł za blisko, drugi za daleko.
Oznaczało to wielkie prawdopodobieństwo, że cel jest mniej więcej
pośrodku.

– Celownik sto osiemdziesiąt trzy! Kierunkowe... dwa pociski
szybkim... Ognia!

Pierwszy pocisk trafił nieco na prawo od celu.

– Prawo jeden! Odległość dobra! – stwierdził Borówka.

– Prawidłowo, kurwa, obywatelu – pochwalił dowódca plutonu zwiadu.

Drugi pocisk zniósło bardziej. Nie na darmo mówi się, że artyleria strzela na hektary. Rozrzut występuje nawet na strzelnicy małokalibrowej, choć tu głównie dzięki rozkalibrowanej lufie i przeterminowanym nabojom. W terenie zależy to od mnóstwa czynników, począwszy na gramowych różnicach w wadze kilkunasto- i kilkudziesięciokilogramowych pocisków, a skończywszy na zmianach kierunku wiatru, rozgrzanie lufy też nie jest bez znaczenia. Zawsze więc któryś z parametrów jest inny niż przy poprzednim strzale.

– Prawo dziesięć!

– Prawidłowo, kurwa. Ale u mnie było pięć. I co dalej? Masz już ogień skuteczny?

– Bateria!... – Borówka przeniósł ogień w lewo, tym razem obliczenia zajęły mu kilka sekund – powiększyć zero zero jeden...

– Powiększyć zero zero jeden – potwierdził Muca.

– Tak! Po trzy pociski salwą... Ognia!

Borówka zerknął na przełożonego. Pochwali czy znowu zrugą i nawyzywa?

– Prawidłowo, obywatele, kurwa!

– Gotowy! – krzyknął z góry oficer ogniowy.

– Wykonaj, tylko dwa! – zarządził Śmiechocki. Chodziło mu o oszczędzanie amunicji (wieczorem będzie mógł sobie sam postrzelać dla odprężenia) i czasu. To nie wojna, lecz symulacja, i to dość podłego gatunku. Nie to, co przedtem... Turnusy wiosenny i letni trenowały na placu ćwiczeń, strzelając raketkami. Taka rakietka leciała do celu kilka sekund, znacząc drogę kolorową smugą dymu. Łatwo więc było ją śledzić. Niestety, zdarzały się czasem poparzenia, dlatego trzeba było z tej formy treningu, podobnie jak z ćwiczeń na sportowym torze przeszkód, zrezygnować. W sierp-

niu brygada przekroczyła przydzielony jej roczny Limit Wypadków Nadzwyczajnych. W styczniu limit będzie ponownie otwarty i znowu przez jakiś czas będą się odbywać szkolenia wszelkiego typu.

– Paff!

– Prawo dwa, długi!

– Prawidłowo, kurwa!

Chwilę oczekiwali na drugi strzał.

– Paff!

Teraz pocisk wzbil piasek u podstawy celu.

– Stój, zapisać! – ogłosił Borówka. – Cel sto czwarty: PDO, zniszczony!

– Borówka, kurwa! – upomniał porucznik. – To nie wyrzutnia jądrowa, żebyś ją niszczył! Wystarczy obezwładnić cele żywe! Przecież jak na PDO paru oficerów załatwisz, szweje i tak spierdolą w krzaki!

Popis artyleryjskiego kunsztu Borówki dobiegł końca. Śmiechocki przystąpił do realizacji kolejnego punktu szkolenia.

– Teraz, obywatele, Rej nam, kurwa, pokaże, co potrafi – powiedział z nieskrywanym sceptycyzmem. – A ty, Muca, ustaw co trzeba! Ja za dalmierzystę będę u okularnika robił!

Niestety, do ciekawie zapowiadającej się współpracy nie doszło. Przeszkodziła temu wizyta gościa, który właśnie walił w drzwi.

– Wyjrzyj, Muca, kiego chuja diabli przynieśli!

Na górze znajdowało się malutkie okienko, przez które kapral mógł zerknąć na przedpole, sam nie będąc widzianym.

– Major Łysak! – zameldował podoficer.

– Gasić papierosy! – rozkazał porucznik i poszedł osobiście otworzyć wrota wizytatorówowi.

Śmiechocki był nawet rad z tych odwiedzin. Niech szef sztabu brygady zobaczy, jak on szkoli żołnierzy!

– Obywatelu majorze, dowódca plutonu rozpoznania wzrokowego SPR Artylerii, porucznik Śmiechocki, melduje pluton w czasie zajęć programowych z tematu siedem łamane przez pięć!

Przybysz powiódł wzrokiem po żołnierzach, stojących w mniej lub bardziej regulaminowych pozach. Właściwie tylko Śmiechocki i Borówka prawidłowo przeżyli żołnierskie torsy.

– Dajcie spocznij – polecił major Łysak.

– Spocznij! – posłusznie ryknął porucznik.

Podchorążowie przybrali pozy jeszcze bardziej niedbałe.

– Eee, wy, podchorąży... – wskazał Łysak.

– Kanonier podchorąży Borówka, obywatelu majorze!

– Dlaczego guzik macie niezapięty? Jaki przykład będziecie dawać podwładnym?

Mimo że wizytator wcale nie krzyczał, Borówka skurczył się ze strachu. Co teraz? Co dalej? ZOMZ-u chyba nie wpakuje... Dlaczego przyczepił się akurat do niego, a nie na przykład do rozchełstanego Reja?

Borówka ciągle nie rozumiał, że doświadczony oficer – wiedziony nieomylnym, a wyrobionym przez lata służby instynktem – zawsze wybierze tego żołnierza, któremu najłatwiej dopiec i którego najłatwiej zastraszyć. Trzeba mieć autentycznie wyćwiczone oko, by trafić w takiego, a nie innego osobnika, który – nie daj Bóg i Partia! – jeszcze się ironicznie skrzywi. O ile wśród żołnierzy służby zasadniczej wybór bywał łatwy, a na takiej unitarce można strzelać wręcz w ciemno, o tyle z bażantami... Tu zbyt wielu dobrze wiedziało, że żadnej kary na nich nie ma. Jednak tak wytrawny oficer, jak Łysak, pomylić się nie mógł.

– No, zero dobrego przykładu chcecie podwładnym w przyszłości dawać? – major ponowił retoryczne pytanie. – Co macie na swoje usprawiedliwienie?

Oblatany w plotkach Rej z ciekawością obserwował szefa sztabu 1 ŚBAA. Sporo o nim słyszał. Między innymi to, że choć

szorstki dla bażantów, w sumie ich lubił. Podobno aż za bardzo... Głośno gardłował, że bażant powinien wychodzić z SPR co najmniej starszym kapralem, żeby mu żaden szwey z WSW nie mógł na ulicy podskoczyć. Z drugiej strony, podobno czasem lubił sobie podszczyać jakiegoś żołnierzyka. Jeśli to prawda, hmm... nie da się ukryć, Jaś Parówka zdecydowanie jest w jego typie... Mówią, że Łysak wzywa do siebie, na połajankę niby, potem jest bardzo miły, he, he... I na swój sposób uczciwy – już niejedynemu żołnierz dostał od niego parę dni nagrodówki. Podobno. W końcu, zdaje się, koszary to miejsce bardziej plotkarskie niż żeński akademik. Tyle że w akademiku plotki zwykle kursują o tym, co rzeczywiście się wydarzyło, a tu poprzeczka wiarygodności jest często zawieszona znacznie niżej. Tak czy owak, w koszarach też każde kłamstwo rodzi się z ziarna prawdy. A trzeba przyznać, że większość informacji bombardiera Wikły (pisarza w sztabie dywizjonu szkolnego), jakie udało się Rejowi sprawdzić w innych źródłach, okazywała się prawdziwa.

– Przemyślcie sobie podchorąży – rzekł major – waszą postawę i przyjdziecie do mnie jutro w południe. A ty, Śmiechocki...

– Jestem! Obywatelu majorze!

– Zwolnisz go jutro o dwunastej.

– Tak jest!

„Czy wiecie, że życie porucznika w przyszłej wojnie, kurwa, obliczone jest na przeciętnie osiem minut?”

– A na ile życie szeregowca? – zapytał starszy kapral podchorąży Miller.

– Ty to się, Miller, nie śmiej, bo ci urlopu na święta nie dam!”

To dziwna postać ten Łysak. Rzeczywiście chyba... A poza tym – major na etacie pełnego pułkownika. Również solidny pijak. O tym, że nie wylewa za kołnierz, kształtem i czerwienią krzyczał na odległość sam jego nochal. Zupełne zaprzeczenie abstynenta Czachórskiego. I jego utrapienie. Oficjalnie jego prawa ręka, hi, hi... Zwalili go Czachórowi parę miesięcy temu z Warszawy. Major na szefa sztabu brygady... Nie wiadomo, gdzie był wcześniej. Może coś zbroił z jakimś chłopcem? Może dlatego wciąż tylko major? Jeśli mu obniżyli stopień z takiego, na przykład, pułkownika – co też się mogło zdarzyć – nie mogli niżej niż do majora, bo przecież musiał pozostać w korpusie starszych oficerów. Jeśli tak było, niezłe musiał nabroić... Ale co konkretnego? Rej musiał poznać jądro każdej plotki. Plotki były osłodą jego wojskowej służby. W cywilu go nie pociągały, a tu nadawały sens codzienności. Sens wart tyle, ile ta codzienność. A wracając do majora Łysaka i jego dowódcy: Czachórski szybko dowiedział się przynajmniej o jednym upodobaniu swego szefa sztabu, który do Szczupakowa przywieziony został urznięty jak bela. Usiłował spowodować odwołanie go, ale nie dało rady. Było oczywiste, że Łysak ma plecy dużo solidniejsze niż Czachórski, może nawet w otoczeniu samego Człowieka w Ciemnych Okularach. Czym więc się naraził, że rzucono go do garnizonu uchodzącego za karny? Czachórowi nie udało się poznać jego przeszłości. Dowiedział się tylko, że Łysak wcześniej służył w okręgu innym niż warszawski, a może nawet pracował przy jakiejś ambasadzie... Łysak, nawet mamroczący po pijaku, we własnych rzygowinach, nie był skory do zwierzeń. Coś tam zresztą bełkotał, ale nawet taki ekspert, jak chorąży Półkośnik, nie potrafił wyłowić nic konkretnego, choć Papa Czachór obiecał mu, że w zamian za to poprze wreszcie jego prośbę o wyjście do cywila. Półkośnik wyciągnął z majora – tak przynajmniej twierdził – tylko tyle, że Czachór może mu naskoczyć na pewną część ciała... Rej wiedział o tym wszystkim i od bombardiera Wi-

kły, i od samego Półkośnika, który nagabywał go jako prawnika o pomoc w wysmażeniu kolejnego podania o zwolnienie z wojska.

– Śmiechocki, kurwa, pokaż konspekt – powiedział Łysak.

– Ja? Konspekt?

– Coś ty taki zdziwiony? – parsknął major. – Co to konspekt, kurwa, nie wiesz?!

– Obywatelu majorze, melduję, że sam obywatel major kazał na odprawie, żeby na strzelnicę nie przygotowywać konspektów...

– Ty mnie, kurwa, nie ucz – oburzył się przełożony – co mówiłem, a co nie! Masz konspekt, czy mam cię opierdolić?

– Nie mam.

Nawet Dacznemu i Rejowi zrobiło się przykro. W końcu ten Śmiechocki nie był taki najgorszy. A rzeczywiście, pamiętają, jak się cieszył, że nie musi już przepisywać konspektów na strzelnicę.

– No, kurwa... Nie podobasz mi się, Śmiechocki – stanowczo stwierdził Łysak. – Z miesięcznikiem to się pożegnaj lepiej od razu, i to na długo! I wyciągnij, kurwa, wnioski! Co się mówi?

– Kara, obywatelu pułkowniku! – wydekłamał, trudno się dziwić, że bez werwy, porucznik.

Łysak spojrzał badawczo. Przepite oczka błysnęły zacięciem. Czyżby wiedzieli o jego wpadce?...

– Pułkownikiem to ja, kurwa, chwilowo nie jestem, a ciebie to gównem obchodzi. Zrozumiano?!

– Tak jest, obywatelu majorze!

– No, wszystko na ten temat! Wykonać! – skwitował major. – A wam, panowie podchorążowie, do widzenia! I powodzenia na egzaminach końcowych, he, he. A ten podchorąży to niech już jutro nie przychodzi. I tak się jeszcze spotkamy! Na egzaminach, he, he...

Gdy wizytator wyszedł, Śmiechocki soczyście splunął na posadzkę. Następnie począł gwałtownie przeszukiwać kieszenie własnego moro.

– Kurwa, daj któryś papierosa! A ty, Muca, patrz, czy ten chuj nie wraca tutaj!

– Popularne czy opale? – zapytał Rej.

– Daj bez filtra.

Ogień podsunął Nodryś. Zapalili wszyscy, oprócz Dacznego i Borówki. Dym zwabił na dół również etatowego sępa, kaprala Mucę, który inwazję Łysaka przeczekał w zaciszu.

Śmiechocki palił w milczeniu, siedząc na PŁO. Wreszcie się odezwał:

– No i widzicie, jak to jest, kurwa mać! – powiódł wzrokiem po obecnych, jak gdyby chciał się upewnić, że nie ma wśród nich Łysaka. – I miesięcznik znowu poszedł się jebać!

Po tych słowach dowódca plutonu rozpoznania wzrokowego skopał drzwi, które wpuściły na strzelnicę majora.

Pocieszyłaby go może wiadomość, że Łysak dalej grasował po koszarach...

Może rzeczywiście major zapomniał, że onegdaj zezwolił na prowadzenie niektórych zajęć bez konspektów? A może po prostu ich brak był tylko pretekstem do *opeeru* jakiegoś podwładnego? Każdy sposób jest dobry, by zapomnieć, że nie dalej jak godzinę temu ten parszywy Czachór wałnął go w pysk (poszło o to, że Łysak nie interesował się budową nowego pomnika patrona brygady).

Po kilku udanych inspekcjach i mocniejszym pociągnięciu z piersióweczki major zapomniał o awanturze na strzelnicy. Martwiło go jednak, że nie pamiętał już, którym oficerom obiecał obciąż miesięczne premie. Na wszelki wypadek skreślił z przygotowanej listy wypłat co dziesiątego. Niech wiedzą, że w jednostce, gdzie on jest szefem sztabu, żadne przewinienie nie ujdzie bezkarnie. Niewinnych w wojsku nie ma. Są tylko tacy, którym lepiej niż innym udaje się ukrywać swoje winy.

Żołnierska sjesta

Poobiednią sjęstę lokatorom izby 107 zakłócił nieznany nikomu chorąży.

– Tutaj mieszka Nawrocki? – bardziej stwierdził, niż zapytał.

– Nawrocki to mieszka w Opolu – wyjaśnił żołnierz rozłożony na wozie przy drzwiach.

– Eee... – przełknął ślinę chorąży. – A gdzie jest teraz? Bo sły-
szałem, że tutaj ma być.

– Gdzieś wybył. Chyba na stałkę.

– To dzisiaj macie wyjścia? – zapytał nieufnie przybysz. – Przecież wtorek.

Przepustki stałe można było wykorzystywać tylko wtedy, gdy popołudnie zaznaczono w Porządku Dnia jako wolne. A to zdarzało się, oprócz świąt, tylko w soboty i środy.

– A, to może gdzieś na zebranie poszedł.

– Ale dziś nie ma zebrania Partii – intruz sprawiał wrażenie nadzwyczaj dobrze poinformowanego. I upartego.

– Ale to coś innego. W klubie garnizonowym chyba. Jakies kursy.

– Aha! To idę go szukać! – ucieszył się konkretną informacją chorąży Maciejczuk.

– Zamykać drzwi! – wrzasnął za wychodzącym Nawrocki, bo to on sam udzielił natrętowi tak szczegółowych wskazówek co do miejsca swego pobytu. Miał już serdecznie dość wrózenia legionom trepów i ich żon.

– Ciągłe nie możesz się od nich opędzić? – zapytał, również rozwalony na wozie, Rej.

– Żebyś ty wiedział, jak mnie męczą! Jak na dobre im wywróżę, to żeby się upewnić. A jak na złe, to liczą, że coś się odmieniło.

– Zaproponuj Hermanowi, żeby ci dał etat – zaśmiał się Kogutowski. – Etat Pytii albo Kasandry.

– Wiesz co? – zaproponował Rej – a może byś tak w końcu i nam powrózył?

Nawrocki pobladł.

– On mówi poważnie – dodał Kogutowski. – Naprawdę byśmy chcieli. Przecież i Nodrysiowi wróżyłeś, i Hultajkowi, i Maroniowi...

– Nawet Mucy. Sam widziałem – poparł kolegów Daczny.

– No, nie bądź taki – nalegał i Tomala.

Nawrocki złapał się za głowę. Ale go zaskoczyli... Tak długo wyśmiewali jego pasję, a on rzeczywiście traktował swoje wróżby serio.

– Pokażcie po lewej dłoni.

Posłusznie zwlekli się z wozów. Siedli na łóżku Tomali, które stało obok legowiska Nawrockiego.

– No więc tak... – powiedział Nawrocki. – Jurek i Wacek mają podobne linie i życia, i zdrowia, a nawet, co już nieczęste, szczęścia. Pierdaczny ma układ inny, a Marek... Marek to sam powinien wróżyć innym. Jemu wróżyć nie potrafię.

– Nie wygłupiaj się! – oburzył się Rej. – Jak wszystkim, to wszystkim.

– Nie, nie mogę – pokręcił głową wróż. – Tak jak są osoby niepodatne na hipnozę, tak są i takie, które mają zbyt silny potencjał energetyczny i ich pola zniekształcają odczyt.

– Tere-fere-kuku! Nie rób jaj – nalegał Rej. – Przecież sam w to nie wierzysz.

– To zobacz sam! – zdenerwował się Nawrocki. – Zobacz! Niech każdy sam spróbuje.

Zdjął z palca obrączkę. Z szafki wyciągnął nici, urwał jakieś pół metra. Przewlekł nitkę przez rekwizyt i umieścił między kciukiem a wskazującym palcem prawej ręki. Lewą, otwartą dłoń podstawił pod zwisającą obrączkę.

– No, patrzcie...

Rzeczywiście. Zrazu powoli, potem coraz szybciej, kawałek złotego metalu zaczął okrążyć lewą dłoń.

– Eee, tak to każdy potrafi – stwierdził Tomala.

– No to spróbuj, jakieś taki mądry – sarknął Nawrocki.

Tomala chwycił nitkę i wlepił oczy w obrączkę. Ani drgnęła.

– Eee, lipa! Trzeba ręką ruszać. Mówilem przecież – skrzywił się Tomala.

– To zobacz teraz, jak położę rękę na twojej.

Początkowo nie działało się nic, co mogłoby przekonać kibiców do teorii Nawrockiego. Lecz po chwili...

– Kurwa, rusza się! – zdziwił się Tomala. – A przecież ręka mi nie drży!

Przeciąg spowodowany otwarciem drzwi zatrzasnął okno. Do sali wkroczył Borówka.

– Obywatelu kapitanie – powiedział do oficera stojącego na korytarzu. – Melduję, że podchorąży Nawrocki jest tutaj!

Izbę 107 zaszczylił odwiedzinami dowódca SBA, kapitan Józef Kat, powszechnie znany z tego, iż do elewów odnosił się tak, jak gdyby jego nazwisko oznaczało również wykonywaną profesję.

Oficer przystanął w progu – oczekiwał regulaminowego powitania. W momencie, gdy jeden z żołnierzy wstał z wozu, który okupowali we czwórkę, Kat prawie usłyszał dźwięk słodkiego: *Po-oo-stań! Baaacznooość!*

Ale Rej opuścił leże Tomali tylko po to, by przenieść się na własne. W chwili, gdy pod ciałem podchorążego stęknęły sprężyny, Kat pozbył się złudzeń.

– O co chodzi? – zapytał Nawrocki, wstając z taboretu.

– Ja... – kapitan miętosił w rękach czapkę polową. – Bo wie podchorąży... ja... no... booo... Wtedy... kurwa... no...

– A! – Nawrocki postanowił pozbyć się kolejnego interesanta. – Dziś nic z tego!

– Ale... kurwa... – nieprzyzwyczajony do załatwiania spraw inaczej niż krzykiem i rykiem dowódca SBA miał problemy w wypowiedzeniu się, lecz wreszcie znalazł punkt zaczepienia. – Ale ja... no, bo jak nie... to zgłoszę oficerowi dyżurnemu... kurwa... okno macie otwarte!

Istotnie, poniekąd było to wielkie przestępstwo. W listopadzie zaatakowała Szczupakowo zima. W koszarach ogrzewano wówczas tylko budynek sztabu i izby chorych oraz obie stołówki. Dzięki bliskiemu sąsiedztwu kotłowni ciepło było również w wartowni, biurze przepustek, areście i dyżurce oficera inspekcyjnego. W pozostałych pomieszczeniach zdarzało się, że temperatura spadała nad ranem i do dwóch-trzech stopni Celsjusza. Zagryzając palce z zazdrości i zimna, podchorążowie SPR Artylerii oglądali każdego wieczora prognozy pogody, z których wynikało iż wszędzie, poza Suwalszczyzną, temperatury były dodatnie. A u nich nie dość, że na dworze piętnaście i dwadzieścia na minusie, jeszcze kaloryfery lodowate. Węgiel oszczędzano na grudzień, który mógł być na polskim biegunie zimna jeszcze bardziej uciążliwy. Dopiero 1 grudnia kotłownia ruszyła pełną parą. Ale dzień później i do Szczupakowa doczłapało z południa ocieplenie. Najstarsi ludzie w okolicy nie pamiętali takiej wiosny w grudniu! Atoli dowództwo JW 1281 uznało, iż ogrzewania ograniczyć nie można, gdyż węgiel przeznaczony w Rozdzielniku na rok 1988 musi być wykorzystany zgodnie z zaleceniami Głównego Kwatermistrza LWP. Na dodatek, ponieważ opał przeznaczony na rok 1989 dotrze najprawdopodobniej dopiero z końcem stycznia lub w lutym, to – tak przynajmniej oświadczył w czasie poniedziałkowego Rozprowadzenia brygady pułkownik Wierzba – *należy konserwować obecnie ciepło w celu oszczędzania go na styczeń, którą to zapobiegliwość żołnierze dowiodą swej obywatelskiej postawy i zrozumienia dla przejściowych trudności socjalistycznej Ojczyzny*. W związku z tym,

okna zezwolono otwierać tylko podczas porannej zaprawy i na pół godziny przed capstrzykiem.

– Okno... okna otwierać... nie można! I jak wy się, kurwa, w ogóle zachowujecie! – okazało się, że jeśli oficer krzyczy, wcale się nie jąka. – Co wy, Regulamin w dupie macie?! Ja was, chuje, upierdołę! Łaskę mi tu, kurwa, robią! Powróżyć nie chcą. Powstań, baczność!

Dwumetrowy Tomala wstał i zbliżył się do niższego o głowę oficera.

– Marek, zamknij drzwi – polecił.

Rej szybko zrobił co trzeba. Jak to dobrze, że ich sypialnia, jako jedyna w SPR, miała dobry zamek! Warto było naprawić.

Tomala pochylił się nad kapitanem i chwycił go za kołnierz bluzy.

– No, powtórz to jeszcze raz! – zażądał.

– No... bo ja... chciałem tylko... tego... kurwa... ja nie...

– Widzisz go! – prychnął Rej. – Jaki wymowny, gdy się boi! A może by tak zadzwonić do Czachóra, że ten tu się schlał i przylazł awantury robić?

Rzeczywiście, od dowódcy SBA jechało alkoholem niczym ze starej bimbrowni.

– Przeprós – polecił Nawrocki – to może nawet powrózę.

– A może się z nim w falę zabawimy? – zapytał Daczny. – No, jaką obywatel kapitan ma cyfrę? Ile do cywila? Dziesięć lat czy dwadzieścia?

Oficer wtulił głowę w ramiona.

– Tak, fala to niezły wynalazek – przytaknął Nawrocki. – Jak nam kapitanek pokaże taki *alarm dla nietoperzy*, to kto wie...

– Tu nie ma piętrusów – zauważył Tomala. – Niech podwiesi się na dole.

– To może siępiętrujemy? Przecież wyra są do takich manewrów przystosowane – wpadł na pomysł Rej. – Jest okazja pokazać mu, jak smakują zabawy, które urządza kotom...

Raz-dwa ustawili wóz Dacznego na poręczach łóżka Terlesia. Oficer posłusznie zdjął buty i podwiesił się pod górnym łóżkiem na sprężynach. To właśnie nazywano nietoperzem. Kapitan Kat serwował tę rozrywkę elewom przy byle okazji. Sam jednak, okazało się, nie wykonywał ćwiczenia najlepiej. Szybko spadł na niższe łóżko. Na szczęście poręczna piersiówka, która wypadła mu z kieszeni, uniknęła potłuczenia.

– Starczy – powiedział Daczny. – Niech już sobie idzie, bo jeszcze się zerzyga ze strachu.

Rej i Tomala wyprowadzili otumanionego oficera na klatkę schodową. Przez okno, z półpiętra, obserwowali, jak idzie, zataczając się, w stronę bramy.

– Jak nakabluje oficerowi dyżurnemu, może być afera – otrząsnął się z euforii Nawrocki. – Chyba przegięliśmy pałę...

– Sądzisz – powiedział Rej – że Czachór uwierzy, że podchorążowie sterroryzowali oficera? I jeszcze go spili? A może uwierzy, że obiecujący członek PZPR...

– Kandydat, nie członek – skrzywił się Nawrocki. Nie lubił, gdy mu przypominano o funkcjach społecznych, jakie pełnił, choć uważał, że pomagają one bardzo w koszarowym życiu.

– Jeden pies. Ale czy będzie chciał uwierzyć, że oficerowie zabiegają o jakieś wróżby? Który mu się przyzna do *naruszania podstaw światopoglądu materialistycznego*? Dopiero by się mieli z pyszna, jakby do Czachóra przyszli świadkowie...

– Myślisz? – w głosie Nawrockiego brzmiała nadzieja.

– Myślę – zaśmiał się Rej. – I myślę, że afera i tak będzie, ale inna... Widzisz przecież, że ofdyż wyszedł z *zamku*...

Oficer dyżurny, kapitan Jaronim, dostał polecenie skontrolowania opuszczającego koszary kapitana Kata i sprawdzenia,

czy nie jest pijany. Rozkaz ten otrzymał przed sekundą, telefonicznie, od pułkownika Czachórskiego. Dowódca JW 1281 podjął taką decyzję po rozmowie, również telefonicznej, z Dacznym. Pułkownik miał zaufanie do podchorążego, który udzielał jego synowi darmowych korepetycji z matematyki i fizyki.

Ledwo lokatorzy izby 107 ponownie przygotowali obrączkę Nawrockiego do badań bioenergetycznych, a już ktoś zapukał do drzwi. Wszedł roześmiany Muca. W ręku trzymał dymiącego papierosa.

– U nas się nie pali! – powiedział Daczny.

Podoficer uniósł lewą nogę i posłusznie zgasił papierosa o podszwę buta.

– Ja mam sprawę do podchorążego Reja.

– No... co, tam? – zapytał Rej.. – Nauczył się kapral wreszcie tych słówek?

– Nie idzie jakoś... Nie mogę... Ma chyba podchorąży rację, że w wojsku się głupieje.

– Wiadomo. Ale dopóki kapral nie zajarzy tych odmian, nie ruszymy z miejsca.

– Ja wiem. Ale teraz to z inną sprawą. Mam niespodziankę. Tylko dla was...

– Dobra. To chodźmy na palarnię.

Z metalowej szafki Rej wyciągnął zapałki i carmeny.

– Da mi też jednego podchorąży – poprosił podoficer.

– Proszę – zaśmiał się Rej, podsuwając paczkę pod nos Mucy. Był jednym z tych nielicznych, którzy wciąż jeszcze go częstowali. Większość miała już powyżej uszu natarczywości kaprala, który starał się papierosów nie kupować, choć wypalał dziennie co najmniej czterdzieści sztuk.

W palarni Rej przepytał Mucę z angielskiego. Stwierdził, że ten mimo wszystko co nieco zapamiętał.

– A jak jest po angielsku kbks? – zapytał Muca.
– Nie wiem. Może *sport gun*?
– Bo jest właśnie kbks do wyczyszczenia – kapral schylił się po leżącą pod ławką broń. – Ten z małokalibrowej, zasyfiony jak cholera... I to podchorąży wyczyści!

– Który podchorąży?
– No, podchorąży! Wy to wyczyście!
– A mówią, że kapral nie jest dowcipny – zaśmiał się Rej. I poszedł sobie.

Zmusiło to Mucę do zmiany zdania:

– Podchorąży Borówka!
– Jestem! – dobiegło z sali topo, gdzie kilku bażantów oglądało na wideo jeden z przywiezionych przez Wittka pornosów.
– Do mnie!

Rej, który niebacznie zajrzał do sali topo, z trudem uniknął strawotowania przez biegnące na wezwanie Mucy słońiatko. Borówka spieszył się tak bardzo, że zapomniał zabrać pas, który teraz, porzucony przez właściciela, kołysał się na krześle, objijając klamrą o poręcz.

Na ekranie dwóch odzianych w podkolanówki młodych mężczyzn dobierało się do ubranej tylko w szpilki i wielki kapeluszek pannicy.

– Ile razy możecie oglądać to samo badziewie? – zaśmiał się Rej.
– Nie przeszkadzaj! – oburzył się Maroń. – Jak ci się nie podoba, to zamknij drzwi z drugiej strony.

Wracając do izby 107, Rej odebrał natarczywie dzwoniący telefon. Służba dyżurna oglądała – oczywiście – wideo.

– Podoficer dyżurny SPR Artylerii, bombardier podchorąży Hultajek – przedstawił się Rej.

Telefonował dyżurny biura przepustek, plutonowy podchorąży Zabawa.

Alarm! Alarm! Alarm!

– Panowie! Alarm! – darł się Rej. – Alarm! Czachórski tu idzie! Zabawa z biura dzwonił!

Chorrender, ci erotomani na topo chyba nie słyszą! Dla mocniejszego efektu otworzył więc drzwi do sali 102 kopnięciem.

– Co się, kurwa, rozbijasz? – oburzył się Hultajek.

– Czachór idzie! Zabawa dzwonił!

Hultajkowi zrobiło się gorąco... przecież jeszcze nie zdał służby podoficera dyżurnego!

– Schować wideo! Telewizor zostawić, niech Walicki udaje, że go naprawia! A gdzie Chryń?

– Śpi gdzieś – powiedział Mamut.

– W sztok? – rzeczowo zapytał Rej.

– Jak zwykle. Od szewca chyba załatwił...

– Schowajcie go, razem z Patkiem, za szafę!

Na topo rządził Rej, a Hultajek szalał już w pozostałych salach.

– Czachór idzie! Inwazja potwora! Wozy prasować! Poduszki też! Wyjmować kajety z regulaminami! Butelki ukryć! Alarm!!! Alarm!!! Alarm!!!!

W sali topo szybko ustawiono sprzęt: ławki i krzesła wracały na swoje miejsca.

W palarni Borówka, pod fachowym nadzorem Mucy, pracownicy szorował kbks. Dobrze!

Podporucznik Głodówka, który również oglądał wideo, ukrył się w jednej z kabin ubikacji. Prawidłowo!

Za to przebywających w świetlicy zamieszanie jakby nie dotyczyło.

– Panowie, chować karty! Szachy na bok! – dyrygował Rej. – Szybko do pokojów.

– Zaraz robra skończymy – oburzył się Wścieklica. – Nie przeszkadzaj, chuju.

Na szczęście inni brydzyści zachowali się rozsądniej.

– Trzeba światło zgasić, nie? – zapytał Diabeł.

– Nie! – przeraził się Rej. – Czachór zauważy, bo już idzie!
Tu przyślemy dyżurnego, że niby sprząta!

Wyjrzał przez okno. Pułkownik w towarzystwie młodszego oficera minął już ostatnią latarnię. Od SPR dzieliło go ze dwadzieścia kroków.

– Tempo!

– Ale dupą trzęsiesz, chapolu jeden! – szydził Wścieklica.

– Dobrze. Zostań. Będziesz robił za tutejszego przygłupa. Czachór się nie zdziwi.

Wścieklica gniewnie wydał wargi, ale wstał z krzesła. Nim wyszedł, ostentacyjnie rozsiał talię kart po podłodze, lecz na nikim nie zrobiło to wrażenia.

– Alarm!!! – wycęzał maksymalnie struny głosowe Hultajek.
– Wszyscy na stanowiska bojowe! Inwazja potworów! Głębokie zanurzenie!

– Symulujemy Naukę Własną! – sekundował mu Rej. – Wyprasować wozy, ale na razie można leżeć.

– Jak wlezie do pokoju, to *powstań, bacność* i starszy sali melduje! Przypomnijcie sobie, kto jest starszym sali – upominał Hultajek.
– Drzwi przepisowo uchylone, jak do stodoły!

W izbie 107 wozy były wzorowo wyprasowane taboretami, okno zamknięte, dyżurne regulaminy i zeszyty odbyły wędrówkę z czeluści szaf do rąk podchorążych. Pułkownika ciągle nie było. Widocznie zajrzał najpierw do raketowców. Szkoda szwejków!

Wreszcie na korytarzu rozległo się hiperregulaminowe wycie.

– Bacność!!! Obywatelu pułkownika, podoficer dyżurny Szkoły Podchorążych Rezerwy Artylerii, bombardier podchorąży Hultajek melduje, że w czasie pełnienia służby nic ważnego nie zaszło!

– Spocznij! – przyzwolił Czachórski.

– Spocznij! – zgodnie z Regulaminem, Hultajek przekazał dalek komendę.

– Oj, oj... podchorąży – powiedział Papa Czachór. – Czemu meldujecie, że nic ważnego nie zaszło? Przecież to dzięki wam unieszkodliwiliśmy groźnego przestępcę.

– Tak? – Hultajek nie potrafił ukryć zdziwienia; o niczym nie wiedział, przecież cały czas oglądał filmy!

Na szczęście z sali 107 wyjrzał Rej. Zza pleców oficerów dawał Hultajkowi jakieś sygnały: wyszczerzył zęby, prawą ręką walił się w pierś, a lewą wykonywał ruchy, które Hultajkowi kojarzyły się tylko ze zwycięskim zewem Tarzana, władcy małp.

– To... to... – wydukał Hultajek, chcąc zyskać na czasie.

W sukurs Rejowi pospieszył Nawrocki. On z kolei zaprezentował dworski ukłon, a ręką uczynił gest podobny do tego, którym ojciec Hultajka po pijaku zaganiał krowy do stodoły. Tego było trzeba!

– To... to izba 107, obywatelu pułkownika!

– Prowadzić!

Starczyło, że but dowódcy JW 1281 dotknął progu, by Rej odłożył Regulamin Służby Wewnętrznej i skoczył na równe nogi.

– Powstań! Bacność!

Wyprężyli się tak, że sam major Piontek nie mógłby wiele zarzucić ich postawie.

– Obywatelu pułkownika, starszy izby 107, bombardier podchorąży Kogutowski melduje izbę w czasie Nauki Własnej!

– Spocznij! – rozkazał pułkownik.

– Spocznij! – polecił kolegom starszy sali.

– Czołem podchorążowie! – przywitał się Czachórski.

– Czołem, o-telu p-niku! – odpowiedzieli gospodarze.

– Siadajcie podchorążowie, siadajcie towarzysze – zachęcił Czachórski. – I dajcie mi też jakiś taboret. A ty, Jaronim...

Rej i Kogutowski rzucili się do taboretów, sprawiając wrażenie, że każdemu bardzo zależy, by to właśnie jego krzeselko zostało zaszczyczone bezpośrednim kontaktem z pewną częścią ciała pułkownika.

– ... Ty, Jaronim – dokończył Papa – wracaj na dyżurkę.

– Odmeldowuję się, obywatelu pułkownika – zasalutował kapitan.

Przełożony pożegnał go skinieniem głowy.

– Opowiedzcie mi, koledzy – rzekł pułkownik – tak po kolei, co tu zaszło. Może podchorąży Daczny?

– Rozkaz, obywatelu pułkownika! – bażant poderwał się z taboretu.

– Siadajcie, siadajcie, towarzyszu.

– Melduję, obywatelu pułkownika, że uważam, iż lepiej to wygląda, jeżeli podczas rozmowy służbowej ze starszym stopniem się stoi, więc, jeśli obywatel pułkownik zezwoli...

– Brawo! – zachwycił się oficer. – Żeby to was ci z dołu słyszeli. Ech! Tam to bród i smród... Ale nie o tym chciałem mówić... Powiedzcie mi, koledzy, jak to z tym Katem było? I siadajcie.

Daczny posłusznie usiadł na brzeżku taboretu.

– Melduję, obywatelu pułkownika, że przyszedł i bez dania racji zaczął nas wyzywać od, za przeproszeniem... *bażantów* – Daczny wiedział, jak wielką awersją Czachórski darzy wojskową gwara.

– Był pijany jak bela. Nie wiadomo, dlaczego uparł się, by obywatel podchorąży Nawrocki mu powróżył. Kolega Nawrocki oczywiście odmówił. Wtedy obywatel kapitan Kat chciał nas bić. Uciekliśmy z izby, on tu wyrzucił łóżko, porzrzucał pościel, i wreszcie poszedł. Natychmiast po jego wyjściu zatelefonowaliśmy do obywatela pułkownika. Skończyłem.

– Brawo! Krótko i zwięźle! Wojskowe nauki nie poszły w las! Widać moją szkołę w tym temacie! – stwierdził pułkownik. – Socjalistyczna ojczyzna takich jak wy potrzebuje na szlaku swoich bo-

jów! Dumny jestem, że mam w brygadzie takich żołnierzy! Wierzę, że jako podchorążowie na wzór-konspekt spełnicie moją prośbę.

Podwładni potakująco kiwali głowami. Wierne oczy spijały słowa z ust dowódcy.

Rej miał szczęście, oficer siedział odwrócony do niego plecami, dzięki temu mógł sobie oszczędzić wiernopoddańczego spojrzenia. Obawiał się jednak, że i tak zaraz wybuchnie śmiechem. Profilaktycznie wywołał więc u siebie atak kaszlu. Na wszelki wypadek przycisnął też wskazującym palcem górną wargę, co było zwykle znakomitą środkiem antychichotowym. Pomogło.

– Podchorążowie – kontynuował gość – mam do was taką wielką prośbę, i liczę, że jej nie będziecie wbrew.

– Tak jest, obywatelu pułkownika! – zagrzemiał zgodny chór.

– Cieszę się, cieszę... Więc chodzi o to, drodzy towarzysze, żebyście zachowali dla siebie wiadomość o dzisiejszych błędach i wypaczeniach tego drania Kata. Rozumiecie sami, że mogłoby to niewłaściwie wpłynąć na morale brygady, a w dalszej konsekwencji również naruszyć dobre imię naszej Jednostki oraz służyć za żer wiadomym kołom... Nie obawiajcie się jednak, że ten bandyta nie poniesie kary. Kat w ciągu tygodnia zostanie przeniesiony na niższe stanowisko służbowe, rozumiecie sami, prawda? – spojrział badawczo Czachórski. – Żeby to bez szumu było... Mogę wam w tajemnicy wyjaśnić, że ten wieprz miał dostać awans przy najbliższym terminie, ale może się z tym pożegnać. Więcej już mu chyba nie uda się zrobić, bo sami rozumiecie, że własne brudy dobry gospodarz prac musi we własnym domu, a nie wywlekać na żer określonym kołom... Rozumiecie oczywiście, prawda? Chodzi o dobre imię brygady, a tym samym i o wasze, towarzysze, imię... – pułkownik otarł pot z czoła, poluzował krawat, rozpiął kołnierzyk. – Ale tu gorąco... Czy możecie pozwolić mi szklankę wody? Wiecie, nerwy... Serce też wysiada.

– A może obywatel pułkownik woli neospasminę? – zapytał Daczny. – Woda mogłaby być tylko z kranu.

– A, jak macie, to chętnie.

Daczny sięgnął do szafki.

– Neospasmina czy nervosol? A może validol w pastylkach?

– Ho, ho! – zdziwił się oficer. – To podchorąży ma tam całą aptekę? Może jednak tradycyjny nervosol poproszę. Skąd u was tyle tego?

– Jestem chory na serce...

– Ha, ha! – pułkownikowi wyraźnie poprawił się humor. – To by was w wojsku nie było! I to jeszcze we zwiadzie!

Daczny odmierzył pułkownikowi trzydzieści kropli.

– Uff! – westchnął Czachórski. – Wracając do tematu. Mam więc nadzieję, że zadbacie, towarzysze, o to, by po koszarach nie chodziły słuchy o dzisiejszych wyczynach tego pijaka! Mimo wszystko to też przecież oficer... Dobrze? Jak pójdziecie do innych jednostek, to też... Ja oczywiście wiem, że wy wiecie, że podpisywaliście zobowiązanie do niewynoszenia żadnych takich nieodpowiednich plotek poza koszary, ale ja nie chcę was straszyć karnymi konsekwencjami długiego języka, a tylko proszę i ostrzegam, bo ufam waszej społecznej dojrzałości i świadomości ideowej.

– Tak jest, obywatelu pułkowniku!

– To dziękuję – oficer powstał, by uścisnąć prawicę Kogutowskiego, następnie Dacznego, Tomali i Nawrockiego. Skończył rundkę na Reju. – Aaa... to podchorąży – zdziwił się – jest przewodniczącym Sądu Koleżeńskiego SPR?

– Tak jest, obywatelu pułkowniku!

– No, to nieźle tą całą rozprawą pokierowaliście... – powiedział z przyganą dowódca JW 1281.

– Ku chwale ojczyzny, obywatelu pułkowniku! – Rej udał, że wziął słowa przełożonego za pochwałę.

– Oj, ku chwale, ku chwale... – skrzywił się oficer. Ale dłoń Reja uściskał. Musiał przyznać, że oficjalnie to nic temu podchorążemu zarzucić nie może. I tak mu szczerze i inteligentnie z oczu patrzy... Może WSW rzeczywiście się myliło? Może chciało zbrukać dobre imię brygady? Przecież i tam miał Czachórski wrogów...

– To żegnam was, towarzysze – powiedział pułkownik. – Przejdę się jeszcze po paru innych izbach, to mi na pewno poprawi humor po tych bezeceństwach, jakie widziałem na dole. Czołem, podchorążowie!

– Czołem, obywatelu pułkowniku!

W asyście Hultajka dowódca JW 1281 zajrzał do umywalni oraz sal 103 i 102. Lustracja była pobieżna, zatem pułkownik nie zauważył stopy pijanego Chrynia, która wystawała ze skrzyni z pomocami naukowymi. Do innych izb i świetlicy gość nie zaglądał. Na pożegnanie pogratulował podoficerowi dyżurnemu wzorowego porządku i powędrował na zasłużony odpoczynek w domowe pielesze. Zresztą, co to za odpoczynek... Pilnie musiał dopracować ważkie kwestie, związane z budową nowego pomnika patrona brygady. Czuł w sercu żal, że z owoców jego ciężkiej pracy korzystają również tacy dranie, jak ten alkoholik Kat (choć, trzeba przyznać, że potrafi utrzymać elewów w dyscyplinie...).

Czachórskiemu było jednak miło, że w podchorążych znalazł wiernych sojuszników w walce z pijaństwem. Cieszył się szczerze, że nigdy nie dawał posłuchu plotkom o pijaństwie szerzącym się również w SPR.

Cyfra, miseczka i flaszeczka

– Ale Kat musiał się zdziwić, jak zobaczył Czachóra! – triumfował Rej. – Ciekawe, czy zdążył mu na nas donieść! Nie nauczyli go chyba, że podstawowym rodzajem walki jest atak!

– Czy nie uważasz, że jesteśmy nazbyt pojętnymi uczniami?
– zapytał Daczny.

– Mówiąc serio – spoważniał Rej – najchętniej to bym dał sobie w pysk. Zbyt szybko się do nich upodabniamy... Jak w *Folwarku zwierzęcym* Orwella... Kto jest świnią, a kto człowiekiem...

Ale samopoliczkowanie wywołało tylko kolejną falę śmiechu.

– A widzieliście minę Hultajka?

– Biedak nie wiedział, co jest grane!

– Ha, ha!

– Ale pic na sto dwa odstawiliśmy!

– Jak Marek zaczął się śmiać, to myślałem, że mnie zetnie!

Ogólny rejwach uciszył Kogutowski.

– Panowie! Cisza! Sprawa poważna! – do Dacznego zwrócił się dopiero, gdy gwar ustał. – Aptekarz, czy masz spirytus salicylowy?

– Do czego ci potrzebny?

– Trzeba wydezynfekować taboret, na którym siedziała jego dupa.

– Aaa! Do tego lepsza będzie jodyna!

Od tego czasu jeden z taboretów w pokoju 107 przybrał żółty kolorek. Ku czci i na pamiątkę wizyty dowódcy JW 1281.

Chorąży Maciejczuk powrócił jak bumerang.

– Panie podchorąży, niech pan nie udaje, że to nie pan – błagał Nawrockiego. – To dla mnie życiowa sprawa. Mam przy sobie pół litra i tyle płacę z miejsca.

– Co? Pół litra?! – Nawrocki oburzył się propozycją przekupstwa. Przywykł do bezinteresownego świadczenia usług wróżbiarskich.

– No to litr – chorąży poczuł się zmuszonym do podniesienia gratyfikacji.

– Litr?! – Nawrocki z wrażenia aż uniół się na łokciach.

– No to półtora – jęknął Maciejczuk. – Ale więcej naprawdę nie mogę. I powróży mi podchorąży i z ręki, i z kart.

– Zgoda! – podjął obowiązki impresaria Rej. Uznał, że wstyd nie wykorzystać okazji, która sama pcha się w ręce. – Ale najpierw zapłata, potem wróżby.

Nawrocki milczał. Był widać oszołomiony sukcesem komercyjnym.

– To graba – przystał na warunki chorąży. Wreszcie się dowie, o wdzięki której ze szczupakowskich pięknotek winien zabiegać, by oddać jej serce, duszę, prawie nowego trabanta i służbowe M-5...

Po kolacji Nawrocki zamknął się wraz z Maciejczukiem, by na osobności uchylić mu rąbka wiedzy tajemnej.

Nie wiadomo dokładnie, o czym była mowa, gdyż bażant zawsze przestrzegał tajemnicy szklanej kuli. Żalił się jednak kolegom, że tym razem bardzo rozpraszały go zapachy dochodzące z wozu Kogutowskiego. Na łożu tym lokatorzy sali 107 złożyli serwowane właśnie na kolację smakowite racuszki oraz wysepione od kucharzy pęto kiełbasy i bochen chleba. Los zagrychy – w przeciwieństwie do erotycznej przyszłości Maciejczuka – był przesądzony.

Zamiast papki propagandowej, wygotowanej przez redakcję Dziennika Telewizyjnego, podchorążowie absorbowali właśnie wartości informacyjne i ideologiczne z filmu *Rocky IV*. Służba dyżurna czyniła to z takim zainteresowaniem, że nikt nie zauważył wchodzącego do sali topo oficera dyżurnego, który przed kilkunastoma minutami przejął nową zmianę.

– Co tu się dzieje?! – wrzasnął. – Nu, co?

Zastał widok, który pułkownika Czachórskiego przyprawiłby o zawał serca: żołnierze oglądali imperialistycznego aktora, Sylwestra Stalone, w filmie o dobrym bokserze amerykańskim, który

nokautuje krwiożerczego agenta NKWD. Na domiar złego, kilku z nich, zamiast siedzieć na taboretach czy choćby ławkach, leżało na ściągniętych z wozów materacach, a któryś wygodnie przytaczał nawet całe łoże.

– Ja się zapytuję, czemu takie filmy oglądają? – zapytał groźnym tonem, po czym na monet zawiesił głos i dokończył: – A nie jakiego pornosa? To bym se tyż obyjrzoł, hy, hy! Ale wos żem nastraszył, kuledzy!

– Niech porucznik nie pierdoli, tylko siada i czeka – wyraził zdanie ogółu Nodryś. – Jak to się skończy, to porucznikowi puścimy jakąś ginekologię.

Oficer znalazł sobie locum z tyłu sali. Przysiadł na wozie Cyronia. Ten ostatni zmierzył go niechętnym spojrzeniem, ale trochę się posunął.

– Musiałem go tak długo przytrzymać – wyjaśnił kolegom Nawrocki. – W końcu niech wie, za co zapłacił. Nawet trochę mu podkoloryzowałem, żeby się bardziej cieszył.

– Tego jeszcze nie było – śmiał się Tomala. – Skorumpowany wróżbita!

– Bo wróżbita wojskowy – wyjaśnił Rej. – A tu wszystko z czasem ulega korupcji.

– Gdzie te flaszki? – Daczny w zarodku uciął dyskusje światopoglądowe.

– Jedna tutaj, a dwie schowałem na wszelki wypadek w prasowalni. Jakby co...

– Dziś Głodówka trzepie oficera – rozwiął obawy Tomala. – A ty przecież możesz wywróżyć, czy kogoś innego się spodziewać...

– Jak więc, Janusz, widzisz, nie mamy wyjścia – rzekł Rej, mocując się z zakrętką. – Służba!

Służba to słowo, jakim dowódcy lubią uciszać zgłaszane przez podwładnych wątpliwości. Nawrockiemu nie pozostało więc nic innego, jak przytaknąć.

– Tak jest. Służba!

– Cicho! Ktoś idzie... – zadrżała dłoń nalewającemu płynny majątek Tomali. – Cicho...

– Eee tam! – machnął ręką Rej. – Panowie! W wojsku ubaw jest srebrem, ale ochłaj złotem.

– Pijmy więc za to – wszedł w nastrój Nawrocki – czego nie ma, choć ku czemu wszyscy chcą zmierzać. Pijmy za szczęście!

– Piękny numer wycięliśmy!

– A wyobrażasz to sobie w innym pokoju?

– Wierzyć się nie chce, ale tylko u nas zgrana paka!

– Dobrze też, że Terlesia nie ma.

Za ostatnim lokatorem pokoju 107, kanonierem podchorążym Terlesiem, nie przepadali. Może dlatego, że był kuzynem sierżanta Maskiego? A może przez to, że – podobnie jak Nodryś ze 106 – poszwę poduszki uważał za najlepsze miejsce do przechowywania brudnych skarpet? Dawno go już nie widzieli, bo miesiąc z okładem włóczył się po szpitalach, usiłując znaleźć chorobę, która miała mu pomóc wyjść z wojska.

– Ale tego Kata rozpracowaliśmy!

– W imię wyższych celów, hi, hi.

– Wyższych celów? Raczej własnej wygodzie...

– Jak nie my jego, to on nas...

– Z reguły własną wygodę nazywa się wyższymi celami. Tak już się utarło...

Szybko pożegnano się z zawartością pierwszej butelki. Po strzepnięciu ostatnich kropel na parkiet, dla – jak twierdził Nawrocki – koszarowych krasnoludków, ogłoszono prawo sukcesji.

– Umarł król, niech żyje flaszka!

– Dawaj następną!

Przy okazji ciepłym wspomnieniem obdarzono chorążego Maciejczuka i życzone mu – tyle Nawrocki ujawnił – powodzenia na nowej drodze życia.

– A ja uważam – przekonywał Kogutowski Rej – że porządny dyżurny to nigdy nie powinien być tam, gdzie go szukają. Ale z tobą, jak będę dyżurnym... mucha nie siada!

Nie była to jeszcze faza, w której biesiadnicy rzucają się sobie w objęcia. Na razie każdemu szumiały w głowie po dwie setki. Ale ta druga, to ich pogoniła! Bo chorąży dał im butelkę czterdziestoprocentowej mazowieckiej i dwie – bimbru, który podchodził mocą pod spirytus.

– Ale nie myśl, że będę sobie wynajdował robotę, jak Borówka!
– Zastrzegł się Rej. – O tym mowy nie ma!

– A może zaśpiewamy? – zaproponował Tomala, który ukończył Akademię Muzyczną w klasie organowej, ale z gitarą też radził sobie jak na zawodowca przystało. No i jeszcze w październiku uzyskał osobistą zgodę Czachórskiego na *przetrzymanie cywilnego sprzętu (instrumentu strunowego) w koszarach*. Tomala grywał razem z Nawrockim i kilkoma szwejami na zabawach w klubie garnizonowym. Wspólnie zaliczyli również dwa wesela oficerskich laterośli, za co zapłacono im ciepłym słowem i obietnicą pejotki.

Po pijanemu Tomala śpiewał znacznie gorzej, niż grał, ale śpiewać nadzwyczaj lubił.

Zaczęli spokojnie. Od nostalgicznej ballady. Muzykę ułożył sam Tomala, a słowa jakiś anonimowy szeregowiec, zapewne elew:

Jeszcze miesiąc, jeszcze tydzień...

Potem tylko jeden dzień...

Z syfem się pożegnać przyjdzie,

Kiedy szkółka skończy się...

Naraz ktoś otworzył drzwi. Siedzący tyłem do wejścia Daczny z przerażeniem spojrzął na szafkę. Tam stała butelka – oskarżycielka.

– To tylko ja, wasz oficer kontrolny! – głos starszego kaprała podchorążego Millera uspokoił towarzystwo. – Co tu taka nostalgia?

– Pijesz? – zapytał Rej.

– Uu... – cmoknął Miller. – Widzę, że pozory mylą i wesoło u was... Dużo macie?

– Jeszcze jedną. Bimberek. Opłata za wróżby.

Oficer kontrolny spróbował. Smakowało.

– Wiecie co? Skoczę do klubu i kupię swój wkład. Zdążę jeszcze!

– Kurwa, już prawie dziewiąta! – jęknął Daczny. – O ósmej miałem być u Hermana na lekcji!

– Nie zawali się – pocieszył Rej – jak raz sobie te korepetycje odpuścisz.

– He, he – wtrącił się Miller – szkodzi, szkodzi... Ty Ali Herman chyba nie widziałeś, jaka lacha...

– No to jak, Pierdaczny? Śmigasz?

– Zatelefonuję zaraz... To robimy zrzutkę?

– Nie – oponował Miller. – Ja kupię flachę, żeby wejść do puli. Kasyno jeszcze otwarte.

– Po ile wóda w kasynie?

– Prawie jak w sklepie.

– Tam nie ma narzutu?

– Praktycznie nie ma. Dla trepów wszystko po niższych cenach niż na rynku. No i towar jest bez kartek, a w sklepach to i na kartki brakuje.

Jeśli chodzi o sprawy żołądka i gardła, podchorążych-praktykantów traktowano w SPR na równi z żołnierzami zawodowymi. Byli więc w sytuacji znacznie lepszej niż podchorążowie wyższych szkół oficerskich, którym prawo wstępu do garnizonowych klubów i kasyn z wyszynkiem przysługiwało dopiero na ostatnim roku studiów.

– Ech! Na praktyce to dopiero jest bażancie życie... – westchnął Tomala.

– Tylko trzeba uważać, żeby się nie rozpić i nie roztyć – ostrzegł Miller. – Zresztą i tak człowiek chodzi wkurwiony, gdy widzi, jak szweje w kółko przy głupotach zapierdalają... Ty niby nic nie robisz, ale też musisz być w okolicy. Jeszcze my, na szkółce, mamy co robić, ale na dywizjonach to leżą do góry brzuchem. A jak to było z Mamciorkiem? Czy rzeczywiście uderzył wtedy po pijaku Mamuta, czy wy tylko go o to oskarżyliście?

– Opuśćmy sobie temat Maciorka, dobrze? – skrzywił się Daczny. – Wódka stygnie.

– Nie, no jasne, jak nie chcecie... – zreflektował się Miller. – Ja tylko tak... W sumie toście mu przysługę wyświadczili. Teraz z nudów tylko pije na okrągło, a ja za niego i trepów nadzory kontrolne trzepię. Ale wy też za kołnierza nie wylewacie, widzę...

– My to tu dzisiaj pierwszy raz. Tracimy dopiero dziewictwo.

– Jako ostatnia sala...

– Dobra – Miller wstał z taboretu. – Dawajcie forszę, jak chcecie rzrute. Za parę minut wrócę.

– Ale jeszcze kielicha bimbru spróbuj. Bo może zabraknąć... Karniaczka musisz strzelić!

Daczny zabrał Rejowi klucz i poszedł zatelefonować do kancelarii – tam mógł się połączyć z Alą Herman bez pośrednictwa oficera dyżurnego.

– Ala?

– ...

– Źle się czuję i nie da rady, żeby dziś przyszedł.

– ...

– Jutro? Jutro też nie, bo do Ołku jadę.

– ...

– Nie bój się, nie bój. Umiesz to.

– ...

– Naprawdę nie jestem na ciebie... eee... obrażony.

– ...

– ... Ja ciebie też... Pa!

– Marku! – perorował tymczasem Nawrocki – ty to chyba w nic i w nikogo nie wierzysz.

– Chciałeś powiedzieć – śmiał się Rej – że jestem typowym produktem okresu niewiary i bezsensu? Owszem.

– Ale ty ze wszystkiego szydzisz. Niczego nie chcesz sam zmieniać?

– Ostatni raz chciałem coś zmieniać 13 grudnia roku pamiętnego. Od tego czasu tylko obserwuję. Czy ty nie rozumiesz – zdenrowował się Rej – że tu się nic nie zmieni, dopóki tym krajem rządzą trepy? Widzisz, jacy oni są! Z nimi się nie da rozmawiać. Oni wszystko przerobią wedle swoich koncepcji. Jak ten Herman czy Czachór! Im z tym, co jest, dobrze, a to oni rządzą. Ja akurat służyć im nie zamierzam, więc jedyne, co mogę, to się bawić.

– Skończcie z tym – poprosił Daczny, wchodząc do sali. – Opuśćcie sobie politykę.

– Nie, my się nie kłócimy – zaprzeczył Nawrocki – tylko dyskutujemy...

– Tak po prostu – powiedział Rej – po podchorążaku...

– Nie obracaj wszystkiego w śmiech. Tak najłatwiej.

– Nie wiem, czy najłatwiej, ale ja się przyzwyczaiłem.

– Ale przecież w Krakowie byłeś w podziemiu...

– To trepy tak wyinterpretowały. Owszem, spo-

„Stan wojenny był konieczny, ale niepotrzebnie, kurka, podciął skrzydła wielu wspaniałym ludziom. Ja sam miałem nieprzyjemności w tym temacie, wyobraźcie sobie... Ale wszyscy liczą, że to się, kurka, zmieni! – przekonywał pułkownik.”

ro robiłem na Uniwersytecie, w samorządzie, ale legalnie! – Rej zorientował się, że prawie krzyczy i ściszył głos o kilka tonów. – Ja z natury jestem legalistą. Nie nadaję się do konspiracji...

– Panowie, wypijmy lepiej – zaproponował Daczny. – Takie teraz czasy, że nie można na Polskę patrzeć na trzeźwo.

– Biez wodki nie rozbierjosz!

Wrócił Miller. Z dwoma flaszkami. I z plutonowym podchorążym Zabawą, który dźwigał jeszcze jedną. Ten drugi znajdował się już pod lepszą datą, choć dyżur na biurze przepustek zdał ledwo kilkadziesiąt minut temu.

– Cz... czter... naszce i my... seczka – przywitał się Zabawa, informując ile brakuje mu do cywila (mieciczka oznaczała obiad, czyli pół dnia).

– Ile obciągnąłeś? – zapytał przełożonego Tomala.

Zabawa spojrzał błędnym wzrokiem i przysiadł na wozie.

– Dzi... dziecko-ko... mi szę... rodzy-ło... – wyseplenił.

– Poważnie?!

– Chłopi... chłopiecz – wyjaśnił szczęśliwy tata.

– Godzinę temu się dowiedział – potwierdził Miller – że żona wczoraj powiła wcześniaka. Piontek nie chce go puścić, bo jest niby przepis, że dwa tygodnie przed wyjściem musi być ciągle na miejscu, by się rozliczyć z jednostką. Od rana trepy o tym dziecku wiedziały, ale powiedziały mu dopiero po dyżurze.

– I co zrobi? – zapytał Nawrocki, który wiedział, że za parę miesięcy i on może znaleźć się w podobnej sytuacji.

– Musi poczekać do piątkowego obiadu – Miller objął funkcję rzecznika prasowego przy szczęśliwym tacie. – Wtedy weźmie wolną sobotę i na lewiznie śmignie do domu. Jak dobrze pójdzie, w Zakopanem będzie w sobotę w południe. Kilka godzin w domu i zdąży na poniedziałkowe Rozprowadzenie. Nikt mu nie udowodni, że opuścił teren garnizonu.

– Ciężko... Co za skurwysyństwo!

– Jest jeszcze drugie wyjście – kontynuował Miller. – Od kilku miesięcy obowiązuje rozkaz Czachóra, że jak ktoś doniesie o wódce w koszarach albo o jakiejś lewiznie, to dostanie trzy dni urlopu...

To była bardzo ucieszna wiadomość. Szczególnie w połączeniu z formą Zabawy, który wyciągnął się na podłodze i zaczynał właśnie pochrapywać.

– Nie bójcie się – pocieszył Miller. – Jak będzie chciał rzygać, to się obudzi.

Starszy kapral podchorąży wiedział, co mówi. Odkąd rozpoczął swą praktykę dowódczą, niewiele było wieczorów, żeby Synek i Zabawa byli trzeźwi. Zresztą i jego samego rano też często pobolewała głowa. W końcu to on wpadł na pomysł, by w zagraconym pokoju internatu zawsze wartowała beczułka z kiszonymi ogórkami.

– Można zapalić u was? – zapytał.

– W tym pokoju nie palimy.

– Co?! Nawet Rej wytrzymuje?

– To, że kopcę jak komin, wcale nie znaczy, że terroryzuję niepalących. Zresztą sam nie lubię smrodu w sali.

– Zapalcie sobie – zaproponował Nawrocki. – Ja też przy was wyjątkowo zapalę.

– Wódka to jest wróg, więc w mordę go – wydekłamał Tomala, wlewając w gardło kielich bałtyckiej.

– Znacie ten kawał? – zapytał Miller. – Rybak złapał złotą rybkę, a ona mu mówi, że jak ją puści, to...

– Trzy życzenia spełni – odpowiedział Nawrocki.

– ... to trzy życzenia spełni – kontynuował Miller. – No to rybak jej, że dobrze, ale chce mieć blondynkę.

– I dostał?

– Dostał. A po tygodniu rybka pyta go o nowe życzenie, a on... Zgadnijcie, co?

– Wódkę? – domyślił się Kogutowski.

– Brunetkę? – zapytał Tomala.

– Nie. Też blondynkę. No to rybeńka mówi: twe życzenie. I dała mu blondynkę. A po tygodniu rybka pyta go o ostatnie życzenie...

– Co, też blondynkę?

– Nie. On, taki napalony, powiedział: rybko, spraw, żebym pierdolił, pierdolił i pierdolił całe życie, na okrągło! Rybka powiedziała: twe życzenie, sam chciałeś. I zrobiła go oficerem politycznym.

Dowcip przyjęto gromkim rechotem.

– Szkoda, że tego, po prostu, Maćko nie słyszał...

– Jego żona nie jest blondynką.

– Ale blondynką jest – zauważył Miller – żona Maskiego, do której uderza Borówka.

– Cooo?!

Wiadomość o przystąpieniu Polski do NATO wywołałaby mniejsze poruszenie. Przynajmniej w tym gronie.

– Co ty opowiadasz?!

– A co, nie zauważyliście, jak często Borówkę wzywają do Maskiego? I to zawsze, jak akurat szef na ryby pojechał albo na polowanie...

– I Maski o tym wie?

– A co mu to przeszkadza? On ją olewa. Ma inne...

– Ale Boorówka? Nie wyobrażam go sobie z panienką.

– Panienką? Starą babą!

– O nie! – zaprotestował Miller. – Ona ma maksimum trzydziestkę. Wyszła za sierściucha, jak miała szesnaście lat, bo jej brzuch zrobił. Potem poroniła...

– To ile on jest starszy od niej?

– Prawie dwadzieścia lat.

– No cóż. Za mundurem panny sznurem...

– Szczególnie siksy, które nie wiedzą, co czynią.

– Ale żeby Borówka...

– Jak kiedyś miałem dyżur, to co godzinę w nocy do kibla latał, żeby z krzyża spuścić. A jakie oczy miał wystraszone...

Wszystkim przypadła do gustu wizja Borówki konspirującego swe onanistyczne przyjemności.

– Wyobrażacie go sobie z panienką w łóżku?

– Pewnie najpierw by się jej zameldował!

– I poprosił o pozwolenie pozostania!

– W środku!

– No to zdrowie naszego Jasia Parówki! Żeby mu się udało!

– No, nie wiem... – powątpiewał Kogutowski. – Znałem go już w Białymstoku. – Tam to się bawił w kolportaż gazetek.

– Co, Borówka w podziemiu?!

– Eee... Gadał wszystkim, że jest w konspiracji, ale to chyba wszystko – rzekł Kogutowski. – Już wtedy mnie irytował... Taki maminsynek...

– A ja go lubię – wyznał Rej. – Szczególnie, jak maszeruje defiladowym.

– Wypijmy wreszcie jego zdrowie!

Zdrowie Borówki wypił również Zabawa. Następnie otrząsnął się i przyciskając dłoń do ust, ruszył do okna.

To nie był najlepszy wybór. Okna na zimę zabito gwoździami i zaplombowano naklejonymi na ramy pasami papieru. Najpierw użyto do tego celu papieru białego. Potem okazało się, że jest go za mało. W związku z tym kwatermistrz Wierzba rozkazał pozrywać białe pasy, aby wszędzie ponaklejać szare, bo szarego papieru starczyło na jednolity wystrój okien w całej brygadzie.

W izbie 107 nieuszczelniony był – zgodnie z rozporządzeniem kwatermistrza – tylko jeden lufcik, przeznaczony do wietrzenia. Nie dość, że malutki, na domiar złego znajdował się trzy metry nad podłogą.

– Na korytarz go! – wrzasnął Rej.

Uff! Udało się. Chwycony przez Reja i Millera pod pachy Zabawa przemógł odruchy wymiotne i pozwolił się doprowadzić do ubikacji, gdzie pozostawiono go na zasłużony odpoczynek.

– Wiesz co – powiedział na korytarzu Miller – ale doprowadziliście ten SPR do absurdu. Za mojego turnusu nauki oczywiście też prawie nie było, ale krótko nas trzymali za ryja.

– Przecież teraz tak wszyscy za Siwakiem gardłujecie – zdziwił się Rej.

– No bo dla praktykantów było super. U Siwaka praktykant to był pan! A Piontek, ta mysia pipa... Czy myślisz, że Siwak nie dałby Zabawie urlopu z powodu narodzin dziecka? Za jego rządów Zabawa po dwa tygodnie w miesiącu w Zakopanem siedział, bo mu Siwak zawsze skapnął a to urlop, a to podróż służbową, a to lewiznę... Dla praktykantów to tutaj wygina była! Nas, z drugiej strony, trzymali ostro... A wy to teraz macie pełny luz.

– Trzęsą dupami przez te strajki na uniwersytetach. To dla nich nowość i boją się, co z tego wyjdzie. My korzystamy z okazji i też im zdrowo dajemy w kość... Nosił wilk razy kilka, wreszcie ponieśli i wilka!

Wrócili do sali 107. Nie sprawiała już wrażenia najschludniejszego pomieszczenia SPR. Daczný urządził batutę z wozu Terlesia i usiłował wzbic się jak najwyżej. Nawrocki i Tomala hasali po własnych łóżkach. I tak dobrze, że żaden nie próbował wykonać salta. Kogutowski przypatrywał się wyczynom kolegów ze stoickim spokojem, chrupiąc jeden z ostatnich racuszków.

– Zostało jeszcze coś do żarcia? – zapytał Rej.

Kogutowski milcząco wskazał stertę zatłuszczonych papierów. Na szczęście wojsko zdążyło ich nauczyć, że nie ma problemów nie do rozwiązania. Miller poszedł więc do słynnej szafki Hultajka, skąd przyniósł serki topione, *pancerną rybkę*, słoik miodu oraz kilka paczek sucharów i herbatników.

– Pytałeś się go?

– Wideo pewnie ogląda. A zapasy sobie jutro uzupełni. I tak niewiele wzięłem. Tylko to, co z szafki na podłogę wypadło.

Kilka dni wcześniej, z okazji dezynsekcji budynku, major Piontek urządził przegląd szafek. Zajrzawszy w otchłań magazynu Hultajka, oniemiał z wrażenia. Znajdowała się tam nawet maska przeciwgazowa i ładownica! Sens magazynowania tej ostatniej Hultajek motywował jej przydatnością do przechowywania osetek, ale stanowczo odmówił odpowiedzi na pytanie, do czego mu maska.

– Hultajek byłby świetnym szefem. Zawsze zgarbie, co mu w ręce wpadnie – stwierdził Rej, wbijając otwieracz do konserw w puszkę rybną.

– Rybka w oleju czy pomidorach?

– Wiadomo, że ze stołówki to przytachał. Widziałeś tam kiedyś w oleju?

– Ale, panowie... – zastanawiał się Kogutowski. – Czy to wypada tak komuś w szafce grzebać?

Obiekcje nie przeszkodziły mu jednak w konsumpcji herbatnika, umaczanego uprzednio w miodzie.

– Jeszcze sami zobaczycie... – przybrał ton mentora Miller. – Jak ostatnio byłem w domu, to mi się wentyl w rowerze rozpieprzył. W sklepach oczywiście nie ma. Więc zacząłem się tak rozglądać, gdzie by tu komuś wyciągnąć...

– No i co?

– Na szczęście sąsiad mnie poratował. Ale przeraziło mnie, że w ogóle tak spokojnie myślałem, by komuś coś podpierdolić...

– No i jak tu mówić, że w wojsku niczego się człowiek nie nauczy.

– Nie martw się, Jarek, jak zostaniesz podporucznikiem, to nie tylko wentyl z miejsca podpieprzysz, ale i cały rower!

– Dobra już, pijmy, nie pierdolmy – Nawrocki wziął los kolejnej flaszki w swoje dłonie. Sprzeciwów nie było.

– Na pohybel trepom!
– A znacie ten, no, kawał o alarmie? – Miller otarł smarka z wąsa.
– Opowiedz, opowiedz!
– Pyta się synek trepa: tato, jak się skończył film we wczorajszym kinie nocnym? A trep: chujowo.
– Dobrze!
– Cicho, pijak! – zdenerwował się oficer kontrolny. – Dziecko się pyta, kurwa, czemu. A ojciec: bo na kwadrans przed końcem ogłoszono alarm i musiałem zapierdalać do koszar!
Kawał najbardziej spodobał się Nawrockiemu. Śmiał się tak, że aż rozlał zawartość kieliszka na podłogę.
– Spiją się dziś te twoje krasnoludki!
Nawrocki nie odpowiedział. Przyłożył rękę do ust i uciekł z pokoju.
– Ja też znam kawał! – pochwalił się Tomala.
– Powiedz!
– Trep trepa trepem trep trep!
Ten dowcip również wszystkim przypadł do gustu, może z wyjątkiem Kogutowskiego, który zasnął z twarzą wtuloną w puszkę po rybie. Korzystając ze zmniejszenia konkurencji, szybko rozpili w czwórkę końcówkę butelki.
– To... mm... eee – Miller chciał przez to powiedzieć, iż mają jeszcze flaszkę Zabawy.
Postanowili uzyskać przyzwolenie właściciela płynnego dobra. Wspomagając się nawzajem i podśpiewując dla kurażu: *Niech żyje nam rezerwa*, powędrowali do WC.
Tam zastali nie tylko Zabawę, ale i Nawrockiego. Pierwszy drzemał, siedząc z opuszczonymi spodniami na zamkniętej desce klozetowej. Natomiast drugi klęczał przed sedesem, a głowa pokutnie opadła mu do muszli. Zbudzono go, spuszcżając wodę w klozecie.

Miller, Rej i Tomala wrócili do sypialni. Z pozostawionej przez Zabawę kurtki wyciągnęli butelkę wódki. Natomiast Daczny, z sobie nawet nieznanymi powodów, dołączył do wideomanów. Do sali 107 dotarł dopiero około trzeciej w nocy, po zakończeniu ostatniego seansu. Przydzwigali go Ruchacz i Hultajek, którzy przy okazji zaopiekowali się resztką bałtyckiej.

Czwartek, 15 ddkSPR

Jeśli większość narodu myśli w sposób uznawany przez rządzących za zdradę, to kto tu właściwie jest zdrajcą? Kto? Kto? Kto?

To cholerne *kto* rozbijało się po głowie Reja niczym nachalny krasnoludek z młotem pneumatycznym. Kto? Kto? Kto?

Słyszał, że skupienie na jakiejś myśli bywa dobrym remedium na kaca. Ale tego dnia to lekarstwo się nie sprawdzało.

Kto? Kto? Kto?

Podchorąży patrzył smętnie w szklankę z zaparzoną przed chwilą herbatą. Wyił już trzy, ale ledwo na moment zdławiły tę paskudną suchość w gardle i ssanie w żołądku... Że też właśnie dzisiaj na śniadanie nie było zupy mlecznej! Akurat, jak potrzebna...

Ależ to był dzień, ta środa w Ołku...

Kapral Trochińczuk ściągnął ich (zmęczonych wtorkowymi wróżbami) z wozów przed piątą rano, zawłókł do umywalni i bezlitośnie wylał każdemu na łeb po porcji lodowatej wody. W szatni już jakoś sobie poradzili.

Na przystanku autobusowym zimny wiatr orzeźwił ich jeszcze bardziej. W autobusie przysnęli, a po godzinie byli w Granicku. Tam – przesiadka. Dopiero po dziewiątej dotarli do Ołku, bo pociąg złapał godzinę opóźnienia. Należała im się chwila wytchnienia... Po trzecim piwku świat zaczął z wolna nabierać kolorów.

Po czwartym, już w prawie dobrej formie, poszli do kliniki wojskowej, gdzie Trochińczuk zebrał książeczki zdrowia i je podstemplował. Mieli więc już potwierdzenia wizyt u lekarzy. A leczyć się poszli gdzie indziej. Skutek był taki, że Ruchacza ledwo wyciągnęli z knajpy, gdy trzeba było wracać. Rej z Dacznym chwycili go pod ramiona i nieprzytomnego przeciągnęli przez pół miasta.

A teraz skumulowały się skutki środy i wróżbiarskiego wtorku. Jak ten wredny łeb naparza!

Wypada jednak przyznać, że nie było nudno. Nie da się niestety ukryć, że nie było...

Jakby jeszcze mało ciekawych rzeczy się w Ołku wydarzyło, w drodze powrotnej spotkali się oko w oko z Siwakiem, cholera... Na stacji, już w Granicku. Wracali do Szczupakowa jednym autobusem. Obydwie strony dyplomatycznie udawały, że się nie znają, lecz co będzie dziś? Piontek na szczęście jest na szkoleniu partyjnym, razem z Głodówką. Śmiechocki znowu wyżebrał trzy dni urlopu; podobno pojechał w Polskę żony szukać. Maski na polowaniu. Młodszy chorąży Zięba nieszkodliwy, ale co będzie wyczyniał Siwak?

Rej miał i całkiem indywidualne powody do niepokoju. Siwak był poprzedniego dnia w Warszawie, po ocenę opracowanego przez siebie programu szkolenia SPR na następny rok. To był tekst, który Rej przepisał na maszynie, a częściowo sam stworzył. Siwak mu kazał: *A o zwiadcze to sam, kurwa, napisz! Zwiadowca przecież jesteś.* Cóż było robić... Wziął po parę zdań od topków, parę od dźwiękaczy – i opracował co trzeba. Miał nadzieję, że przyszłe pokolenia bażantów-zwiadowców nie dowiedzą się, komu zawdzięczają swój program szkolenia.

Ale to nie był problem. Przynajmniej nie był to problem na teraz.

Niebezpieczeństwo czyhało gdzie indziej. Otóż Rej, przepisując dzieło Siwaka, skrupulatnie powielał wszystkie błędy brudnopisu.

Pisał więc na przykład: *pododzieł*, zamiast *pododdział*, i *wziąć renca-mi...* Zgodnie z obowiązującymi w Szczupakowie zasadami ortografii, stawiał kropkę po skrótce *mjr* czy *mgr*, a nie stawiał po *kpt.* i *por.* Porucznik takie słowo, jak *wyrzutnia*, konsekwentnie pisał przez „ż”. Rej lojalnie(?) tej oficerskiej pisowni przestrzegał, a na dodatek w paru miejscach nie odmówił sobie przyjemności uzupełnienia tekstu o sakramentalne *kurwa mać* (zamiast przecinków).

Wtedy go to bawiło. Ale teraz? Jak się Siwak wkurwi do białej gorączki?

Nie dość, że nie da urlopu, to jeszcze na ostatnie dni ZOMZ dowali...

Co tam ZOMZ! Najwyżej sobie pobiega parę razy dziennie z plecakiem wokół placu musztry... Ale teraz żeby tak choć jedno piwko!

Szlag by to jasny...

Po co mieszali? Najpierw piwo. Potem wybiła trzynasta, więc wódę. Do obiadu znów zamówili jasne z pianką. Na drogę powrotną w monopolowym kupili kilka butelek wina...

A teraz, człowieku, cierp, jak ten młot!

Czemu jednak tego Siwaka nie ma? Zięba cały spanikowany (bo powinien poinformować przełożonych o nieusprawiedliwionej absencji Siwaka, ale... po co narażać się na zemstę porucznika?). Apel poranny prowadził przy pomocy Synka.

Na tym apelu okazało się, że mają wybrać tak zwanych nieetatowych dowódców plutonów. W zwiadcze padło oczywiście na Borówkę. Nodryś co prawda gardłował, że to powinien być ktoś z belką – myślał, rzecz jasna, o sobie – ale kto by tam przejmował się jego koncepcjami. Szczególnie na kacu. Taaakim kacu! Pół plutonu ledwo trzymało się na nogach.

Za to można się było przejąć Borówką, który stał się z miejsca personą wielce ważną i usiłował rzeczywiście rządzić! Gdy Rej go wyśmiał, to powiedział, że zazdrości mu wyróżnienia.

Pooojebany dzień!

Nie dość, że kac, to jeszcze Jaś Parówka przejawiał ambicje wodzowskie! Nawet Muca rechotał. Trochęczuk się nie śmiał, bo też ledwo trzymał się na nogach. Mówił jednak, że jego wujek już wie o akcji bratanka i spółki. To o niczym nie świadczy, bo kapitan Trochęczuk zawsze był najlepiej poinformowany, ale...

No po co jakaś afera, jak do końca szkółki zostało ledwo piętnaście dni?

I co z tym Siwakiem?

Jak ma już człowieka wyzywać, niech lepiej od razu kołki na łbie ciosa, a nie torturuje czekaniem...

Najgorsze w tym całym ambarasie było to, że Rej czuł się winnym. A tego nie lubił, niestety.

W końcu ten Siwak ostatnio zachowywał się wobec niego całkiem przyzwoicie. Trep bo trep, ale żał, że go pewnie w Warszawie na funty skłęli.

Rozmyślania opartego o maszynę do pisania Reja przerwało pukanie do drzwi.

– Proszę!

Kogo tam znowu diabli nadali? To nie Siwak, bo on nie zwykł pukać na swoich włościach. Może Muca, żeby zasępić papierosa i wysondować, czemu Trochęczuk taki wyniszczony?

– Dzień dobry, panie podchorąży.

– Dzień dobry. Czym mogę służyć?

To przyszedł major Brodocz. Normalnie byłby tu mile widzianym gościem. Ale nie dziś!

– O! Gdzie pan kawę dostał – Brodocz wskazał szklankę stojącą przy Reju. – Nawet w kasynie od tygodnia jej nie ma!

– To herbata. Przygotować dla pana? – Rej przyzwyczał się, że tylko Cyroń lubi taką herbatkę jak on: czarną i bez cukru. Taki sposób przyrządzenia dawał też gwarancję, że nikt jej nie podpije, gdy zostawi się szklankę na moment bez opieki.

– Nie, nie, dziękuję. Ja tylko na sekundkę wpadłem. Wie pan, mam taką sprawę do pana. Przychodzę tu w imieniu tutejszego PRON-u...

Major wziął wyraz skacowanego oblicza Reja za milczącą ocenę Patriotycznego Ruchu Odrodzenia Narodowego.

– No tak, wiem – usprawiedliwił się – że uważa pan pewnie, jak to ludzie mówią, że PRON-cie stworzono po to, żeby Partia mogła powiedzieć cudzymi ustami to, co sama chce powiedzieć, ale się wstydzi...

Rejowi spodobał się ten dowcip. Załzawionymi oczkami spojrzął na rozmówcę. Musiał przyznać, że to ciekawy facet. Niby trep, a... Niektórzy szweje wprost przepadali za Brodoczem. Co prawda, major nie mógł dać urlopu czy przepustki, ale to dzięki niemu w ogóle działał klub żołnierski, leciały jakieś filmy i istniała kawiarenka. Jego zasługą w dużym stopniu było również to, że bażantom udało się przepchnąć zorganizowanie cywilnych kursów szkoleniowych w ramach akcji *humanizacji życia koszar*.

Podobno kilka lat temu, gdy służył na Śląsku, podpadł za kontakty z ruchami ekologicznymi, które bardzo nie podobały się przełożonym, więc za karę przerzucono go jak najdalej od rodzinnych Katowic. Ale chyba Brodocz na to nie narzekał. Czego by o Szczupakowie nie mówić, na jedno nie można było się skarżyć: powietrze i woda czyste jak mało gdzie w Polsce.

W jego przypadku kara stała się bardziej nagrodą niż dolegliwością. Był zresztą typem społecznika, któremu praca z szeregowymi żołnierzami sprawiała autentyczną satysfakcję. Niejednemu dopomógł w sprawach osobistych. Wśród kolegów-oficerów miał opinię nieszkodliwego dziwaka oraz organizatora najbardziej udanych polowań. Zachwycał się nimi nawet pułkownik Czachórski – wielki miłośnik łowów na grubego zwierza. Cenili je wysoko goście z samej Centrali. Miał więc Brodocz wszelkie szanse, by znaleźć się w ścisłej świcie dowódcy JW 1281, ale do niej nie należał, bo zbyt

często wstawiał się za żołnierzami i – choć nikt nigdy nie spotkał go pijanego, nawet w czasie urlopu – nie przystępował do krucjaty antyalkoholowej, za to wiele gadał o konieczności urealnienia istniejącej wyłącznie na papierze akcji *Humanizacji życia wojskowego*.

W sumie major do wojska nie pasował; sprawiał wrażenie człowieka, któremu bardziej zależy na tym, by działać w zgodzie z własnym sumieniem, niż naszywać na pagony i czapkę kolejne srebrne gwiazdki z lizusowskiego nieboskłonu. I można go było podziwiać też za to, że był jednym z tych kilku oficerów 1 SBAA, którzy nie należeli do PZPR, a tylko do sojuszniczego ZSL.

– Ale wie pan, że jeśli w takiej dziurze Partia, a przynajmniej PRON czegoś nie poprze, to nie ma szans realizacji...

– Tak... Nie tylko w dziurach tak jest.

– Więc... Powiem krótko. Można by kupić dworek nad jeziorem Francek i urządzić tam schronisko. Tam jest pięknie. Dostać się można tylko ścieżką przez bagna, nawet rower nie przejedzie. Wiem, że panu też sprawy turystyki są bliskie...

Tak. To była prawda.

– Chodzi tylko o pięć milionów. To przecież bezcen za taki teren. PRON da dwa, ja pożyczę też dwa, a reszta... Wie pan, nie chcę wojska w to mieszać... Myślałem o panu.

Naiwny! Prawda, że milion to naprawdę niewiele dla kogoś, za kogo tu Reja uważali, ale nie dla człowieka, którym faktycznie był. Plotki, jakie poszły o jego – filmowca – sytuacji finansowej i wielkich chodach w Warszawie, bardzo mu odpowiadały. Chciałby, żeby miały podstawy w rzeczywistości. Niestety...

– No cóż... Musiałbym to zobaczyć...

– Tak, tak! – ucieszył się Brodocz. – Wiedziałem, że pan się zgodzi!

– Niczego nie obiecuję – zastrzegł się Rej. – Nawet wątpię, czy coś załatwię. Ale może ktoś ze znajomych...

– To strasznie dziękuję! – gość poderwał się z krzesła. – Pan podobno zostaje w Szczupakowie, prawda? W klubie?

– To jeszcze nic pewnego.

– Mam nadzieję, że pan zostanie – uśmiechnął się major. – Obiecuję panu, że zabiorę pana na polowanie, takie na jakie sam chodzę.

– Ja... wie pan... nie lubię zabijać...

– A myśli pan, że ja lubię? – zakłopotał się oficer. – Organizuję te polowania dla trepów...

– Proszę?! – Rej myślał, że się przesłyszał.

– D l a t r e p ó w. Dobrze pan usłyszał! – Brodocz był zadowolony z uzyskanego efektu. – Dla mnie słowo *trep* oznacza charakter, a nie zawód. Ale chyba domyśla się pan, że zrobiłem największy błąd w życiu, idąc na zawodowego. Chociaż na początku to tu było trochę inaczej... Inne stosunki, PZPR też się tak nie szarogęsiła. Ja swoich poglądów nie ukrywam i dlatego ciągle jestem tylko majorem. A polowania z bronią organizuję dlatego, żeby trepy miały wobec mnie jakieś zobowiązania. Dzięki temu mogę czasem nacisnąć, jak trzeba pomóc jakiemuś żołnierzycowi. Zresztą, jak ja organizuję polowanie, to ono przebiega w miarę cywilizowanie. Zanim tu przyszedłem, potrafili wziąć pluton żołnierzy i kazać im strzelać do wszystkiego, co się w lesie rusza. Nie przestrzegali żadnych okresów ochronnych. Zdarzało się też, że urządzali ostrzał z helikoptera. Już lepiej, jak ja w tym uczestniczę. Dla pana też coś ciekawego się znajdzie.

– Ale gdzie moje miejsce na takim polowaniu?

– Na t a k i m – zaśmiał się major – też by się znalazło, bo będzie pan miał etat kapitański, o ile wiem. Ale ja panu proponuję i n n e polowanie, takie z aparatem fotograficznym albo kamerą. A może byśmy razem i jakiś film zrobili? O przyrodzie?

To też brzmiało sensownie...

– Z przyjemnością – odparł Rej. – Jeśli by to panu odpowiadało, ściągnałbym jakiegoś operatora ze Szkoły Filmowej. Od razu negatyw i obróbka za darmo. A chłopak przy okazji miałby ciekawy materiał na egzamin.

– Też o czymś takim myślałem – major cofnął się od drzwi, by uścisnąć podchorążemu rękę. – Muszę już lecieć, bo chcę złapać Czachórskiego. Na kursy, cholera, żołnierzom chodzić nie pozwalają, durne alarmy im wymyślają. Słyszał pan?

– Słyszałem. My też pułkownikowi Hermanowi...

– No właśnie. Może ja tę sprawę przepchnę. To jeszcze raz do widzenia i powodzenia na egzaminach. Boi się ich pan?

– No... szczerze mówiąc, nie za bardzo.

– I słusznie! Żebyście te egzaminy dobrze zdali, to bardziej problem egzaminatorów niż wasz... Trzymajcie się!

Po wyjściu Brodocza Rej wychlipał zimną już herbatę. Włączył czajnik, by przygotować następną. Zmęczyła go ta rozmowa. Z chęcią by temu Brodoczowi pomógł. Ale jak?

Niby nic nie obiecał. Poza filmem, bo to rzeczywiście nie był problem. Ale ten milion...

A jednak czuł niesmak. I to nie tylko w żołądku.

U źródeł żołnierskiej przyjaźni

Czy ktoś pozbył się kiedyś kaca w jednym momencie? To jest tak: robi się zimno, gorąco, jeszcze raz zimno, i – już po wszystkim. Takie skoki temperatury przeżył Rej, gdy do kancelarii wpadł, rzecz jasna bez pukania, porucznik Siwak.

– No, jak tam, podchorąży? Kac napieprza?

Nie trzeba było wielkiej spostrzegawczości, by zauważyć, że porucznik jest chory i zaatakowała go ta sama epidemia, co Reja.

Czyżby z rozpaczy pił przez całą noc? Oczka maciupkie, jeszcze mniejsze niż zwykle...

– Mogliście wczoraj tego Ruchacza przynajmniej, kurwa, wystawić za okno, jak rzygał.

Wystawić? Ale jak? Autobus to nie pociąg. Otworzyć można tylko malutkie okienko na górze.

– Herbaty, poruczniku? – zmienił temat Rej.

– Ale nie takiego czaju, jak twoja, kurwa. Słabą i z cukrem.

Oficer podszedł do okna.

– Że też nie można tego przewietrzyć! Głupi ten rozkaz, prawda podchorąży?

No tak, powie człowiek: *prawda*, a Siwak szczerze, że żołnierze nie są od oceniania przełożonych. Były już takie sytuacje.

– Prawda, kurwa, podchorąży?

– Prawda – westchnął Rej.

– Zapali podchorąży? – zapytał porucznik. – Marlboro kupiłem! W warszawskim kasynie akurat była dostawa. Prawdziwe amerykańskie marlboro w cenie polskich popularnych!

Pewnie, że zapali.

– Byłem wczoraj w Wydziale Szkolenia. Odebrałem te materiały, co to pisaliśmy razem. Mogę więc teraz podchorążemu podziękować za jego, kurwa, wkład...

Niech lepiej od razu człowieka opierdoli, a nie wysila się na ironię!

– I szczególnie chciałem podziękować za tą część o zwiadzie, co to sami pisaliście...

Teraz już Rej zwiesił głowę. Przesadził z tymi udoskonaleniami tekstu. Mówią, że najgorzej zbierać cięgi za winy niepopelnione. Mylą się – najgorzej brać w skórę za to, co się zbroiło ze złośliwości...

– Odwaliliście, kurwa, naprawdę kawał dobrej roboty. Jak dotąd zero za to dostaliście...

Nie da się ukryć. Urlopy, które mu przyznali najpierw Radecki, a później Siwak, major Piontek skrupulatnie zamieniał na nagrody pieniężne, po dwa tysiące złotych. Maszynistka brała tyle za piętnaście-dwadzieścia stron pracy magisterskiej, i to tania maszynistka.

– Widzę, jak dzisiaj wyglądacie. Więc żebyście wiedzieli, że wam dobrze życzę...

No, teraz się zacznie! Zjebie na detale, jak to mawia Muca.

– Wiecie pewnie, że jestem w brygadzie szefem Towarzystwa Antyalkoholowego...

No, tak. Wszyscy wiedzieli. Siwak znakomicie się zakonspirował. Założenie tej organizacji (oczywiście patronowała jej POP PZPR brygady) było koncepcją genialną w swej prostocie. Pomyślny stał się pupilem Czachórskiego.

– Ale z wami to za te materiały, kurwa, kielicha sobie strzeleć – oficer wyciągnął z brązowej dyplomatki niewielką, ale pękatą butelkę. – No co się gapisz? Dawaj szklanki!

Dla pewności Rej przydeptał sobie lewą stopą ropień na prawej. Wrzód zrobił mu się w czasie dyżuru poprzysięgowego i nie chciał zniknąć. Bolał przy byle dotknięciu... No właśnie! Tak jak teraz. Więc to nie sen? A może to pijacka maligna? Może wyobrażał sobie tę butelkę, a t e n Siwak to jakaś zjawa?

– No to chlup w ten głupi dziób! – porucznik napełnił po brzegi obie literatki. – Co się, kurwa, Rej, tak krygujesz? Jakbym nie wiedział, że tu chlejecie! I to zdrowo, nie?

Przyłożył szklankę do ust i metodycznie wlewał jej zawartość w siebie. Przymknął oczy. Rej odczekał chwilę, bo nadal wietrzył podstęp. Potem skosztował... Dobrze! Nie taka siekiera, jaką przyniósł Maciejczuk.

Skończyli jednocześnie.

– No co, kurwa? Dziwisz się?

Pewnie, że się dziwi, ale tego nie powie. Coś jednak powiedzieć wypada...

– Super bimberek! Z miejsca łeb mnie przestał naparzać.

– He, he, myślisz, że mnie nie? Jak tylko wróciłem wczoraj, to tak pałę z Edkiem Trochęńskim zalaliśmy... Ale zaraz będzie zero kaca!

Okazało się, że w Centrali zachwycono się dziełem Siwaka i mianowano go członkiem komisji nadzorującej programy szkolenia wszystkich SPR-ów. Sami pułkownicy i generałowie, a na dokładkę – porucznik Siwak! Okazało się też, że pułkownik Niewiadomski pośmiał się nieco z odnalezionych *kurwa mać*. Pochwalił Siwaka, że prze-myślnie chciał sprawdzić, czy w ogóle ktoś jego kilkusetstronicowy elaborat przeczyta. Same superlatywy! Wielki sukces oficera szkoleniowego SPR Artylerii Szczupakowo. A on wie, że w znacznym stopniu odniósł go dzięki Rejowi. Siwak potrafi być wdzięczny...

– Mów mi, kurwa, Heniek! Ale – zastrzegł się – na razie tylko, jak we dwóch jesteśmy... Do egzaminów. Potem kiedy chcesz i jak chcesz. No to brudzia, kurwa!

Dopełnili ceremoniału: złączyli się prawicami zgiętymi w łokciach, wypili i ucałowali z dubeltówki.

– A powiedz mi teraz, tak szczerze, kurwa, czy generał broni Rej to twój wujaszek? – zapytał z szacunkiem oficer. – On jest tym twoim kontaktem, o którym wszyscy mówią?

O! To była radość. Rej nawet nie podejrzewał, że istnieje generał o jego – w końcu dość rzadkim – nazwisku. I to trzygwiazdkowy!

– Pogadamy jeszcze o tym – powiedział dyplomatycznie.

„– Ostatni raz chciałem coś zmieniać 13 grudnia roku pamiętnego. Od tego czasu tylko obserwuję. Czy ty nie rozumiesz – zdenerwował się Rej – że tu się nic nie zmieni, dopóki tym krajem rządzą trepy? Widzisz, jacy oni są!”

Poczęstował Siwaka carmenem. Zapalili.

– No i jak ci smakuje bimberek od szefa Towarzystwa Antyalkoholowego?

– Przedni!

– A chcesz jeszcze?

W tym momencie rozległo się pukanie do drzwi. Oficer skrył pustą butelkę w teczce, a Rej do szklaneczek nalał herbaty, żeby nie było czuć alkoholu.

– Wejść!

Panika była niepotrzebna. To przyszedł Muca.

– Poruczniku, z biura dzwonią, że dzieciak do porucznika przyszedł.

– To skocz po smarka, kurwa. Pewnie przyniósł kanapki, bo zapomniałem rano.

– Już lecę!

Po wyjściu kaprała Siwak uśmiechnął się do nowego przyjaciela:

– Widzisz, kurwa! Ze mną można żyć! Ja nie uznaję meldowania się bez potrzeby, jak Piontek. Raptus jestem, i wiem o tym. Od chujów wyzwię, a w godzinę potem urlop z dobrego serca przypierdolę. Jak ja tu byłem komendantem, to na turnus ponad dwieście dni nagrodówek dawałem. A Piontek dał sześćdziesiąt i płacze chuj, że za dużo i że limity przekroczył. To jak tu od was czegoś wymagać? Ja wiem, że wam to całe wojsko koło chuja lata. Tak to traktujecie, jak ja zebrania partyjne: iść muszę, ale pierdolę między uszy.

– No nie... – zaprzeczył kurtuazyjnie Rej.

– Mnie też, kurwa, lata. Wszystkim lata i powiewa. Ale w końcu pieniążki zarabiać gdzieś potraza. A i każdy chce w życiu awansować, nie? Ale trza być człowiekiem i drugiego człowieka szanować. Taki Piontek to nie chciał Zabawy puścić... Jak ja tu tylko przyjechałem i o sprawie się zwiadziałem, to poszłem zaraz do internatu i Zabawę na lewiznę puściłem. Trza być człowiekiem! A myślisz,

że komuś doniosłem, kurwa, jak miesiąc temu, gdy grzałem służbę oficera, czwarty dywizjon strzelał na warcie? Nie zakapowałem szwejków! Po rękach mnie całowali...

– Jak to strzelali?

– No tak, kurwa – Siwak z satysfakcją stwierdził, że zaskoczył kumpla. – Popili się na dwójce...

– Dwójka to baza nad jeziorem?

– No. Wy tam, kurwa, wart nie macie tera. Za moich czasów mieliście. To Piontek... Jak to wy na niego mówicie?

– Mysia pipa.

– Właśnie, ha, ha, kurwa. Więc ta mysia pizda zarządził tą zmianę, bo uznał, że niby dla celów szkoleniowych jedyńka lepsza, bo na terenie koszar. W ogóle ten Piontek to...

– Ale co z tym strzelaniem?

– Ano, popili wartownicy i zaczęli ładować do kaczek. I tak dobrze, kurwa, że nie do siebie. Dwa lata temu to kapitana Zientarka z pierwszego dywizjonu wartownik tak postrzelił, że pół roku w Ołku facet leżał.

– A co zrobili wartownikowi?

– Gównno. Miał, kurwa, prawo użyć broni, bo Zientarek go po pijaku zaskoczył, żeby niby czujność sprawdzić. Szwejk mądrze zrobił. Pilnował składu broni... Może rzeczywiście myślał, że to napad? Takie rzeczy się zdarzają.

– Chyba głównie w kryminałach – nie dowierzał Rej.

– Więc jak będziesz miał służbę na biurze przepustek albo pomocnika oficera, to sobie przejrzyj książkę teleksów. Tam zobaczysz, że nie ma miesiąca bez napadu na wartownika. Broń potem sprzedają, sukinsyny.

– Tak jak ci dwaj? Co niby u nas ukradli?

– No. Oni akurat bez napadu. A potem chuje sprzedali raka za dziesięć tysięcy! Dziesięć kawałków! Zupełny grosz, a zabić, kurwa, można...

– Czachórowi ta afera nieźle na garba wlaźła, prawda?
– Tak sobie. Takich kradzieży wszędzie dużo. Jak jest dostęp, to i kradną. Gorzej, że tego przez kilka miesięcy nie wykryto. Milicja w Warszawie znalazła broń przypadkiem, bo jakiś napad na sklep był, kurwa, zrobiony... Wtedy zaczęli szukać, po numerze broni, z jakiej jednostki zginęła.

– Czyli to całe przekopywanie koszar było niepotrzebne?
– Pewnie. Ale bali się, że i z innych skrzyń coś zginęło. Wiesz, jak to jest: wory stoją zaplombowane, w każdym ma być komplet sortów mundurowych na wypadek mobilizacji, otwierasz... a tam, kurwa, stare szmaty i gazety, bo ktoś u dołu wór rozciął... Ze skrzyniami też... od dołu trudno taką podważyć? Może Czachór myślał, że jeszcze rzeczywiście coś znajdzie i będzie się mógł przynajmniej tym, kurwa, pochwalić? A tak to musiał proces tutaj robić...

– Sądzisz, że ci dwaj naprawdę ukradli?
– Wiesz, jak to jest... Było złodziejstwo, to i złodziei znaleźć trza. A oni obydwaj to podpadziochy. Każdy miał na koncie po parę samowolek, jednego to ściągnęli na pierwsze przesłuchanie z Orzysza. Przed wojskiem obydwaj siedzieli. Może zresztą to rzeczywiście oni? W każdym razie, kurwa, nie ma się nad kim żalić, na świętych nie trafiło.

– Ale ten proces to była parodia, czysta pokazówka. Dla mnie jako prawnika to było żenujące...

Proces odbył się na sesji wyjazdowej sądu, w środowisku kolegów i znajomych oskarżonych, w celu *odstraszenia i zapobieżenia*. Trwał najwyżej trzy godziny, a zagoniono nań wszystkich żołnierzy, którzy akurat nie pełnili służby. Najbardziej podobał się podkomendnym kapitanu Kata, bo choć raz mogli się spokojnie przespać. Drzemali przeważnie na podłodze, gdyż krzesła przysługiwały tylko trepom i bażantom, a materace – dziadkom i wickom.

– No, no. A to, co ty urządziłeś w Sądzie Koleżeńskim ze sprawą Ruchacza?

– Jestem widać zdolnym uczniem – roześmiał się Rej.
– Ale wkurwiłeś tym Czachórskiego!
– Miałem może uwierzyć oskarżeniom, że chcieli sprzedać pół Polski?

– To wiadomo, że WSW przegięło pałę. Ale to, że się zachliali...

– A i owszem. Przyznaję, że musiałem się wysilić, żeby udowodnić, że pijani nie byli. Ale czy ten prokurator wojskowy był lepszy, gdy perorował, że tamci ukradli broń na polecenie *zgniłych imperialistów*. Przecież to oczywiste, że ci dwaj, jak ich tam...

– Dobraczyński i Kartendorff – podpowiedział Siwak.

– No właśnie. Obydwaj to zwykłe bandziory. Już przed wojskiem siedzieli. Tutaj wiosną zorganizowali zbiorowy gwałt, co uszło im płazem. A potem pobili kota tak, że parę tygodni leżał w szpitalu! Ale o tym na pokazówce nie mówiono, bo to by niby s p l a m i ł o d o b r e i m i ę b r y g a d y! Nawet prości żołnierze zaśmiewali się z tych wywodów o szpiegostwie.

– Masz, kurwa, rację – przyznał porucznik. – Ale już tak jest, że jak się pokazówkę urządza, to trza i o polityce...

– No, a ja mówiłem o nadużywaniu władzy przez WSW. Bliżej prawdy, co?

– Czachóra to nigdy, kurwa, tak fioletowego nie widziałem! A Piontkowi to się jucha z kiczola z wrażenia puściła – wspominał Siwak. – Tylko Śmiechocki się cieszył.

– Przecież jego nie było na procesie Ruchacza.

– Kurwa, popierdoliło mi się. Mówię tera znowu o tamtej sprawie z bronią. Bo te raki to ukradli chyba w lutym, a on do stycznia był na tej baterii na dochodzącego. Zanim przeszedł do SPR-u, miał pod sobą ten magazyn... Ale ty to naprawdę przegiąłeś pałę!

Rozparty na krześle Rej wyłożył nogi na biurko.

– Oj, Rej, kurwa, Rej! Ty to byś dopiero daleko w wojsku zaszedł. Jeszcze z takim wujkiem! Bo to twój wujek, nie?

– A często tu takie pokazówki się zdarzają? – Rej uśmiechnął się, że nie dośłyszał pytania Siwaka. – Ile razy na rok?

– W tym roku to, kurwa, pierwsza. A w ogóle raczej niewiele takich pamiętam. Więcej ich przed sądami koleżeńskimi, jaką ty żeś prowadził.

Rej był przewodniczącym Połączonego Sądu Honorowego Podchorążych SPR Artylerii i SPR OC, który powołano *ad hoc*, do osądzenia jednej konkretnej sprawy. W jego skład, oprócz Reja, przewodniczącego Sądu Koleżeńkiego SPR Artylerii, weszli dwaj przedstawiciele takiegoż sądu SPR OC (dwaj, bo Ocelotów było w Szczupakowie cztery razy więcej niż artylerzystów).

Afera podchorążych Ruchacza i Modeli (ten drugi z SPR OC) zaczęła się w knajpie w Ołku, gdzie obaj gościli na badaniach lekarskich. Wypili za dużo i niebacznie napatoczyli się na patrol WSW. Bandaże przewieźli delikwentów do Szczupakowa, gdzie wpakowano ich na przetrzeźwienie do aresztu. Nazajutrz ich wypuszczono, bo oficerem dyżurnym był porucznik Radwański z SPR OC. Nie zamierzał więc rozdmuchiwać sprawy Modeli, który był w jego plutonie. Siłą rzeczy, na amnestię załapał się i Ruchacz. Wydawało się, że błoga cisza okryje prawdziwe i urojone wyczyny obu bażantów.

Niestety, w kilka dni później dotarł do Szczupakowa meldunek WSW, w którym domagano się przykładowego ukarania obu żołnierzy. W normalnej sytuacji uczyniliby to sami dowódcy SPR-ów. Ponieważ jednak miały wtedy miejsce strajki studenckie, skierowane przeciwko służbie wojskowej, zastępca dowódcy 1 ŚBAA do spraw polityczno-wychowawczych, pułkownik magister Wańkowiak, uznał za wskazane oddać sprawę pijaków Sądowi Honorowemu Podchorążych SPR – a później rozgłosić w prasie i telewizji, jakie to wspaniałe warunki dla rozwoju samorządności stwarza się żołnierzom LWP.

Pomysł był dobry, ale wykonanie wadliwe. Wiadomo – diabeł tkwi w szczegółach. Skład sędziowski, złożony z absolwentów wydziałów prawa Uniwersytetu Jagiellońskiego (Reja i starszego szeregowego podchorążego Malca) oraz Uniwersytetu Warszawskiego (szeregowy podchorąży Kuciapa), nie stanął na wysokości zadania. Trybunał zawziął się nie na Ruchacza i spółkę, lecz na WSW. Głównym argumentem szanownych sędziów był fakt, że z dostarczonych przez żandarmerię testów krwi wynikało, że oskarżeni mają grupy „O” i „B”, podczas gdy Ruchacz miał „A”, a Modela – „AB”. Sędziowie kilkoma uszczypliwymi słowami podsumowali jakość działań operacyjnych WSW i zgodnie stwierdzili, że tak naprawdę to ona winna przeprosić oskarżonych za nieporozumienie i kłopoty.

Taki werdykt nie zachwycił przełożonych. Ale było już za późno na założenie Temidzie odpowiednich okularów, jeśli nie chciało się – oczywista – rozpętywać afery, jaką byłoby podważenie werdyktu Sądu Koleżeńkiego, działającego *nota bene* na zlecenie samego dowódcy JW 1281. Czachórski pluł sobie w brodę, że zaakceptował awanturniczy pomysł pułkownika Wańkowiaka. Dlatego podczas spotkania w izbie 107 potraktował Reja nader powściągliwie.

– Ale pamiętaj – doradził Siwak – że w wojsku to tylko o własną dupę trza, kurwa, dbać, bo nikt inny ci jej nie podetrze. Chyba, że się ma w zanadrzu generała. No, miałeś coś o nim powiedzieć...

Lecz okoliczności ponownie wybawiły Reja od objaśnienia prawdziwych i urojonych koligacji rodzinnych.

– Tata, tata!

To Muca wykonał zadanie bojowe. Przyszedł z dzieciakiem, dzieciak przyszedł z psem.

– Tatusz znowu dziudzie pije! – fachowo rozszyfrował oddech ojca pięcioletni Krzysio.

– Dam ci na cukierki, jak nic matce nie powiesz.

– Na duzio cukierków!

Spółka ojciec-syn została zawiązana.

– No co, poruczniku – Rej przestrzegął umowy. W pokoju był przecież i Muca. – Chciałby pan, żeby został oficerem?

– Jak odjebie mu taki, kurwa, pomysł, to mu dopiero skórę wygarbuję!

– A gdzie jest pan wróż? – zapytał mały.

– Och, kurwa – skrzywił się Siwak senior. – Stara mi cały czas płacze, że Nawrocki już wszystkim wróżył, a jej nie. Ale ja wołę go do niej nie dopuszczać...

– Czemu?

– Bo już mnie wróżył – wyjaśnił oficer. – To po co jeszcze ją ma wkurzać? I tak chodzi zła jak osa...

Szczeniak zeskoczył z kolan Reja i beztrząsowo obsikiwał wykładzinę podłogową.

– Muca, kurwa! – krzyknął porucznik. – Wywal stąd psa.

Podoficer rzucił się na szczeniaka, który nie był w stanie stawiać oporu. Za to mściwie zmoczył również mundur obywatela kaprała.

– Co to Muca, złałeś się? Idź się umyć! – polecił Siwak. – Z psem! A potem odprowadź małego i Rekxa do domu! Wykonać!

– Już się robi, poruczniku – przyjął zlecenie kaprał, wycierając spodnie chusteczką. – Krzysiu, chodź ze mną.

Po wyjściu Siwaka juniora senioru, zapewne z poczuciem dobrze spełnionego ojcowskiego obowiązku, wyciągnął kolejną flaszkę.

– No, jak ci się, kurwa, podobał mój dzieciak?

– Przyjemny chłopaczek...

– A żebyś ty go widział, jak młodszemu dojechać potrafi! – zachwycił się porucznik. – Będzie z niego mężczyzna jak ta lala! Już z kołyski młodszego wywala. Teraz to tamten też duży, czwarty rok mu idzie. I też potrafi starszemu się odgryźć. Ostatnio tak mu łeb kubkiem rozjebał, że aż jucha poszła.

Podchorąży wolał się nie wypowiadać na temat metod wychowawczych swego przełożonego i kolegi. Sam w końcu nie miał doświadczeń na tym polu.

– No to chlup! – zaproponował oficer szkoleniowy SPR Artylerii.

– Jasne! – Rej coraz chętniej wypełniał rozkazy porucznika.

– A jak ci się, kurwa, psiak spodobał? – zapytał Henio, ocierając brodę.

– Super! – szczerze powiedział Rej. – Uwielbiam boksera.

– Bo wiesz – oświadczył Henio – mnie to wkurzają te małe ratlerki, co ciągle jazgoczą, a pożytku z nich zero.

– Jasne! Wyją gorzej niż sierściuch Ryłko!

– Ha, ha! Ale skurwysyna potraktowałeś ostatnio, nie?!

– Ja? – Rej przybrał minę skrzywdzonej owieczki. – Skądże...

– Taaa! Nie ty, kurwa... Był u mnie parę dni temu ze skargą na ciebie. Zjebałem go jak ostatniego. Jakby co, to daj bucowi jeszcze czadu. Byle bez świadków. A wiesz, jak on zawodowym został?

– Skąd mam wiedzieć?

– Jak Pal-Secam był kapralem, to żołnierz na warcie w łeb sobie jebnął. Więc powiedzieli mu: albo, kurwa, prokurator, albo na plutonowego podpiszesz. I wojsko zrobiło z niego człowieka!

– No...

– Co ty, kurwa, żartujesz! A jak ci się podobali ci, z którymi miałeś zajęcia?

Rej, jako wybitna siła fachowa, prowadził w tutejszej Żołnierskiej Wszechnicy Kulturalnej wykłady na temat filmu i literatury. Jego słuchaczami byli plutonowi, a nawet dwaj sierżanci, w tym jeden z dwoma krokiewkami na pagonach.

– Muszę przyznać, że się mile rozczarowałem. Prezentują poziom nie gorszy od dzieci z ósmej klasy podstawówki.

– Ha, ha! – Siwak wziął odpowiedź bażanta za dobry dowcip

– Muszę to opowiedzieć Maskiemu.

– No to – zaproponował Rej – zdrowie Pal-Secama!

– Ale to, kurwa, tylko na dno polej!

Rozkaz wykonano.

– No to jak z tym wujkiem? – zapytał porucznik.

– Słuchaj, a czemu Czachór tak wody nie znosi?

– A to nie wiesz? Przecież on był z misją ONZ na Bliskim Wschodzie, a po powrocie miał jechać do Moskwy na kursy generalskie. Ale jacyś pijani w pestkę Kanadyjczycy czy Australijczycy, a może jeszcze inne, kurwa, murzyny, zrobili dla jaj ostrzał artyleryjski i rozjebali cywilny most.

– Co?! To prawda?!

– Tak tu wszyscy mówią... a i Czachór czerwony się, kurwa, robi, jak przy nim coś o jakimś moście powiedzieć... Zamiast na Sybir, pojechał na zesłanie do Szczupakowa.

– A czy ci obcokrajowcy podlegali Czachórowi?

– Eee, gdzie tam! Ale most był na j e g o odcinku. Dowódca odpowiada za całokształt!

– Czyli ucierpiał za niewinność?

– Tam to tak, kurwa. Ale za to u nas to dobrze byłoby, gdyby mu kto przypierdolił. Słyszałeś pewno, że nam kazał prowadzić TEWO? Widziałeś, jakie te terminarze grube? A tam masz godzinę na godzinie wypisywać, co w ciągu dnia robiłeś. Nawet w niedziele. Ja to olewam grubym sikiem, piszę hurtem, że *działalność antyalkoholowa*. Ale Głodówka czy Piontek... Głodówka to wiem, że daje do wypełnienia bażantom z topo, a Piontkowi to Mańko prowadził, dopóki go Herman sobie nie podebrał, a tera musi żona. Wzorowy oficer się znalazł! On by, kurwa, i na siebie raport wyskrobał, gdyby mógł tym u Czachóra zaplusować.

– A czy to z tego – drażył uparcie Rej – wzięła się ta nienawiść Czachóra do alkoholu? Przez tych pijanych artylerzystów?

– Pewno tak. Chociaż niektórzy mówią, że ma esperal wszyty... Nie wiem, czy to prawda. Ale wkurwia mnie do białej gorączki ten jego fioł antyalkoholowy. Toż te tabliczki: *Teren wojskowy. Alkohol szkodzi zdrowiu* nas ośmieszają! A ja je sam, kurwa, nalepiam... Na początku to w nocy się zrywało, ale to nie miało sensu, bo rano znowu trzeba było je przybijać...

– No, to zdrowie Czachóra!

– A niech mu, kurwa, będzie!

Znów się stuknęli szklanicami.

– Po maluśkim! Prosit!

– Ale Piontek by się zdziwił – zachwycił się Siwak – jakby nas tera zobaczył! I myślisz, że coś by mi zrobił? Za słaby w uszach! On się stracha moich układów. Bo ja neptek nie jestem i też swoje mam! I umiem ludźmi rządzić. Wiem, co gdzie ma być. A nie jak Piontek. Ten buc wszystkich do siebie zraził.

Wypili znów po maluśkim.

– A czy ty wiesz, kurwa, że on się zachować nie umie? Byliśmy w listopadzie razem na zjeździe komendantów i oficerów szkoleniowych SPR-ów. Ja już tam wszystkich rok wcześniej, jak sam byłem, zapoznałem. Więc ja do nich: Tadzio, Franio... Bo wiesz, jak to jest... Do południa to wszystko było oficjalne, a od obiadu woda na stół i czy pułkownik, czy porucznik, tam się nie stopień, kurwa, a człowiek liczył... Dobrze były czasy. Jeszcze rok temu wódzia była za darmo, ile chciałeś. W tym roku ograniczyli do litra na łeb. Wiadomo – ojczyzna w kryzysie. Ale wyobraź ty sobie, dostaliśmy wspólny pokój. Piontek poszedł sobie miasto obejrzeć, a ja z kumplami najpierw do kasyna.

– No chlup! – Marek wpadł Heniowi w słowo.

– Chlup! – i oficer powrócił do zwierzeń. – No i wyobraź sobie, że on włazi, a jest, kurwa, w cywilkach, staje na baczność i bredzi do Genka: *Obywatelu pułkowniku, major Piontek prosi o pozwolenie pozostania*.

– Ha, ha! Żartujesz!

– Co ty! A wtedy kumple to spojrzeli (nie mieliśmy czasu przebrać się w cywilki, bo ciągle piliśmy) po sobie i wszyscy na mnie, kurwa, jako gospodarza. Zgłupłem. Ale mówię: *Niech obywatel major siada*. I wtedy radocha była!

– A on?

– Zrobił siad! I nawet szklanę, kurwa, wypił. I z miejsca padł spać, he, he!

– A może kieliszek przyniosę? Bo inaczej my też...

– Eee tam! Lej po malusim. Ale ja zwyczajny ze szklany ciągnąć!

– No to, na zdar!

– Na zdar? A skąd to kurwa, wzięłeś?

– Z Bratysławy.

– Co ty, Pepiczków lubisz? Toż to prawie Niemce.

– Cicho! – Rej uniósł rękę gestem Cezara. – Tyle razy tam byłem, i mam same dobre wrażenia.

– Aaa... kurwa – poszedł na ugodę Siwak. – No to niech ci będzie. Zdrowie Pepiczków!

– Czechów i Słowaków! – zaprotestował podchorąży.

– Czechów i Słowaków! – zgodził się oficer.

– Chlup!

– Chlup!

– To może pod... podwójną?

– Chlup!

– Chlup!

Zgodnie poszło. Nie miłość do munduru ani nienawiść do wspólnego wroga, lecz sympatia do wódeczki, wspólnej przyjaciółki i pocieszycielki, to sprawiła.

– Ale wiesz – zwierzył się ze zmartwienia Henio – najgorzej, że nie ma gdzie Piontka przerzucić. W sztabie go nie chcą, bo prawie nie pije, a Czachórowi i tak buc się jakoś nie spodobał. Na dy-

wizjonach na razie miejsca nie ma. Dopiero jak Mleczek na emeryturę albo do sztabu przejdzie, to Piontka zrobią dowódcą dywizjonu szkolnego i ja na powrót SPR, kurwa, dostanę. I na długo na tym stołku namiot rozbiję! Czy ty wiesz, że to etat podpułkownika? A żołnierzy pod sobą masz mniej niż w baterii, gdzie tylko etat kapitana!

– Po maluśkim!

– Jebniom!

Przełknęli. Siwak się zakrztusił, więc Rej musiał po koleżeńsku uderzyć go kilkakrotnie pięścią w plecy. Po tym zabiegu Henio opowiadał dalej:

– Kurwa, wyobraź ty sobie, że to ja tę szkółkę na nogi postawiłem! Osobiście z podchorążymi rok temu boazerię przybijałem! Przez cały turnus tylko SPR remontowaliśmy...

Rej dopiero teraz zrozumiał, dlaczego boazeria w wielu miejscach odpadała przy byle dotknięciu. Że też wtedy, na ten remont, tu się nie zaplątał! Pewnie nawet na maszynie nie musiałyby pisać, żeby nie słuchać wykładów Piontka i Głodówki.

– A te malunki zrobiliśmy już w tym roku. Był tu u nas taki artycha, Maestro na niego wołaliśmy, a nazywał się, kurwa, Gie-rej. Taki garbus... Czachór to go zakazał puszczać na przepustki w mundurze, żeby nie ośmieszać Jednostki. Ja go puszczałem, i to często, ale w cywilkach. Wiadomo: mundur na garbie chujowo leży. Na przysięgę go nie wystawiliśmy, bo wstyd, i u mnie w gabinecie składał. W ogóle taki schorowany, a chlał, że ho, ho! Jak pojechał na badania do Ołku, to mu za karę zmienili kategorię z A-3 na A-1... Nawet na oczy oglądać go nie chcieli! Uznali, że oszukał, bo to, ha, ha, niemożliwe, żeby ktoś miał tyle krwi w moczu.

Choć Reja niewiele już w wojsku mogło zaskoczyć, w te rewelacje Siwaka nie chciał uwierzyć.

– To zapytaj się, kurwa, choćby praktykantów. Przecież Gierej dopiero w sierpniu stąd wyszedł! Dobrze zresztą miał, bo tylko obrazki malował... A co, miałem go sobie, kurwa, na sumienie może wpisać? Jarmuł to ja nie jestem! A Maestro w dechę miał. W domu więcej siedział niż w Szczupakowie. Tam malował, a tu przywoził obrazki. Pół brygady udekorował, a był na etacie dowódcy plutonu. Maski to nawet zamówił u niego szlaczki na ścianę w domu, ale to jeszcze, kurwa, jak na szkółce był. Na praktyce to się z niego takie garbate panisko zrobiło, że ho, ho! Lepiej miał niż w cywilu! Ale... kurwa, my tak gadu-gadu, a wódka stygnie...

– Na zdar!

– Na zdar!

– No i widzisz – Siwak odstawił szklaneczkę – tak to, kurwa, tą Szkołę do ładu doprowadziłem. Ja sam! I Śmiechocki. Ten pacan Głodówka to na gotowe prawie przyszedł. Ale jak w maju inspekcja przyszła, to nas, kurwa, za najlepszy SPR Artylerii w Okręgu uznali!

Palców jednej ręki zbyt wiele, by zliczyć SPR-y Artylerii w c a ł y m Okręgu... Ale niech się Henio cieszy... – pomyślał leniwie Rej.

– A my w jeden, kurwa, turnus, sprawę załatwiliśmy! Ja nagrody dawałem za robotę, a Piontek się uparł, że za wyszkolenie, ha, ha! I czym to się skończyło? Jedyne, który na urlopie ani przepustce w domu nie był, to prymus Szalski!

– Ale za to Szalski miał zdjęcie na tle Sztandaru brygady – zaśmiał się Rej.

– No tak. Ale co mu z tego? Ja to wiem, że bażanty konkretnie myślą. Dla was urlop tylko się liczy. A Piontek czy Czachór... sztandary, kurwa, nagrody pieniężne, pochwały w rozkazach, a wam to koło chuja lata, nie?

– Koło chuja – uprzejmie zgodził się Marek.

– No widzisz, jak się rozumiemy. To powiedz coś o tym generale Reju!

Puk, puk, puk.

Tym razem żadnemu z nich nie chciało się chować flaszki ani szklanek.

– Wejść!

– Poruczniku – zapytał kapral Muca – czy przynieść coś z obiadu?

– Da! Ale, kurwa, Muca, chcesz czegoś dobrego się napić?

Oczy kaprala rozbłysły nadzieją.

– Tak!

– To na cztery łapy i zaszczekaj!

Podoficer był widać przyzwyczajony do tego typu poleceń, bo wykonał rozkaz bez wahania:

– Hau, hau, hau!

– Z lewej! – przykazał oficer.

– Ham!

– I z prawej mucha, kurwa!

– Ham!

– Starczy! Nalej mu, Marek!

Kapral podniósł się na tylne łapy.

– Co ty, kurwa, na nogach, kocie jeden? – oburzył się porucznik.
– Na czworakach marsz!

Muca nie protestował. Rej spokojnie wlał mu w usta pół szklanki iluzjodajnego płynu.

– Szczeknij no jeszcze, kurwa, na pożegnanie.

– Hau, hau, hau!

– I ogonem pomerdaj, kurwa!

Muca wdzięcznie pokręcił częścią ciała, o której eufemicznie mówi się, iż tam plecy tracą swą szlachetną nazwę.

– A teraz odbój! I coś do żarcia nam przynieś!

– Hau, hau! – pożegnał się kapral.

Po wyjściu Mucy Henio zaproponował:

– Jebniom?

– Zalejemy się jak rezerwiści – stwierdził Rej.

– Nie mów tak, zobaczysz, jak sam będziesz wychodził – powiedział Siwak. – Nie wiesz, ale i ja byłem szwejmem, nim do szkoły oficerskiej, kurwa, trafiłem. I już poszło... A tu to się dopiero urządziłem! Wiesz, jaki mam, kurwa, przydział na wypadek „W”?

– Skąd mam wiedzieć?

– Więc wyobraź sobie, że mam przydział *oficer kadrowy*. Tak sobie, kurwa, załatwiłem! Jakby co, to i żadna wojna mnie nie rusza!

– No to chlup!

Po tym toaście porucznik musiał na chwilę zajrzeć do ubikacji. Podchorąży uznał, że to dobry pomysł, i dołączył do Henia. Po powrocie odkorkowali następną butelkę. I wtedy Siwak zapytał:

– No, powiedzże wreszcie, jak to jest z tobą i tym generałem?

Rej do dzisiaj nie pamięta, co wtedy odpowiedział. Wie jednak, że wypili jeszcze przynajmniej ze dwie kolejki. Następnego dnia Henio również zaprosił go na kielicha.

FINAŁ

Metro, czyli wejście w kanał

No i prawie stało się. Pierwsza czwórka weszła już do świetlicy. Borówka w zasadzie powinien być w jej składzie, ale wymigał się. Udało mu się uniknąć szturmów w pierwszym szeregu dzięki opasce dyżurnego. Z tej opaski zwykle więcej poruty niż pożytku, lecz tym razem się przydała. Pierwszy raz był zadowolony, że władowali mu służbę, i to w dniu egzaminu... Był oczywiście i feler tego układu: poprzedniego wieczora wszyscy dopieszczali ściągę albo już spali, a on warował przy grzybie... Prawda, troszku się uczył, ale nie tyle, ile by chciał – ciągle ktoś mu przeszkadzał. Sami z *podpowiadaczkami* biegali jak wściekłe ogary, a jego naukę wyśmiewali. Co im wadziła? A teraz...

– Jasiu – rozmyślania Borówki przerwał Rej – teraz ty wchodzisz...

– Odczep się!

Dobry ten Rej, nie ma co! Borówka jeszcze mu pokaże, co jest wart! Egzaminy wykażą, co kto umie! Będą płakać taki Rej i Daczny na taktyce czy egzaminie praktycznym. Przyjdzie i na nich godzina prawdy, czas oceny, ile kto wojskowej wiedzy sobie przyswoił. Okaże się wtedy, że Borówce opłacało się zarywać noce, zaprocentują godziny poświęcone *Instrukcji Strzelania i Kierowania Ogniem* oraz regulaminom!

– Jak chcesz – roześmiał się Rej – mogę teraz wejść za ciebie. Nudzę się...

– Łaski bez! – oburzył się Borówka. – Sam sobie poradzę.

Miał swoją dumę i z łaskawego chleba korzystać nie zamierzał. Zresztą... egzamin z polityki! Gdyby miał nie zdać egzaminu z polityki, jaki by zdał? W końcu nauki polityczne w Białymstoku skończył on, a nie rozwalony przy drzwiach astronom Dacny czy geograf Kostyk.

Jednak nie da się ukryć, że się bał...

Ale jak tu się nie bać, gdy ciągle straszą, że jak ulejesz egzamin, to zerwą ci makarony i pójdziesz służyć, nieboraku, jako prosty kanonier... A wtedy ciągle warta albo dyżur.

Ze świetlicy wyszedł Bratek. Wysoka komisja domagała się kolejnego *egzaminanta*.

– No to co, idziesz, Jasiu? – zapytał Rej.

– Odpierdol się! Sam idź, jak chciałeś!

– OK. Pójdę.

Pozbywszy się natręta, Borówka powrócił do rozmyślań. Tak, warta... Oto prawdziwie męska przygoda, jak już człowiek będzie starcem z długą siwą brodą, to dzieciom i wnukom będzie mógł opowiadać, że nie był ułomkiem... a jedną wartę – bo był alarm bojowy! – to i w czasie urlopu zaliczył, panie dziejku.

– Co, Borówka, taki smutny jesteś?

Podchorąży uniósł głowę. Aaa... to Bratek. Może o egzaminie coś powie!

– No, jak było? Opowiedz!

– Eee... Nic ciekawego. Też mi sesja... Przeczytałem odpowiedzi ze ściąg i po wszystkim. Nawet mnie za bardzo nie słuchali. Parodia w niesmacznym stylu.

– A jakie miałeś pytania?

– Nie pamiętam. Ale chyba piąty zestaw. Sprawdź sobie.

Bratek podał Borówce złożoną w harmonijkę ściągę. Na pierwszej stronie wypisano numery zestawów i odpowiadające im pytania. Na następnych karteczkach znajdowały się odpowiedzi. Zdobyc tę zawdzięczali Rejowi, bo to on znalazł i przepisał drogocenne papiery. Rej zaś odkrył je dzięki porucznikowi Radeckiemu, który pewnego dnia konspiracyjnie wskazał na jedną z szuflad biurka: *Pst, pst, obywatelu podchorąży. Jak teraz pójde na parę dni urlopu, to uważajcie, żeby ktoś się do tej szuflady nie dostał, bo tam są wasze pytania egzaminacyjne z polityki!*

Borówka odszukał zestaw piąty.

– *Funkcje szkolenia wojskowego... Zasady polityki PZPR... Podsystemy gospodarki obronnej...* – łamiącym się ze zdenerwowania głosem odczytał pytania. – To te?

– Chyba tak.

Bratek uważał, że ma prawo nie wiedzieć. W końcu nawet ściąga, z której korzystał, nie należała do niego. Nie miał czasu zrobić sobie własnej, bo zbyt go absorbowwała robota dla pułkownika Czachórskiego. Ale był jedynym, który nie wykonał ściągi. Pozostali mieli je starannie przygotowane, często wręcz wypieszczone. Formy były rozmaite: od zwykłych notesików, po fikuśne harmonijki, a ktoś wysmażył nawet mikrobiblioteczkę wojskowej wiedzy, mieszczącą się w pudełku po zapalkach. Prawdziwe dzieło sztuki stanowiła jednak *ściąga-matka*. Przyniósł ją jakieś dwa tygodnie przed egzaminami plutonowy podchorąży Zabawa. Została kiedyś opracowana przez jakiegoś specja od rapitografu i już od lat wszyscy z niej przepisywali, co trzeba, z taktyki.

Pytania z taktyki i przedmiotów praktycznych podyktowano im jeszcze z początkiem grudnia. Ale to było kilka setek samych pytań? Palców jednej ręki wystarczy do zliczenia tych, którzy rzeczywiście mieli ochotę zakuwać skład osobowy i wyposażenie kompanii czołgów w USA czy batalionu piechoty w RFN, ZSRR albo i w Polsce. A takich zagadek było blisko tysiąc! Trzeba by mieć ma-

gnetofon we łbie, żeby spamiętać tyle danych. Zaś ściągę... Bratek, jako się rzekło, nie znalazł czasu na ich przygotowanie, przeto teraz musiał żerować na innych. Ale pozostali... O! Szparko za ściągę się wzięli, szparko! Najpierw *ściągę-matkę* przepisało dwóch dźwiękaczy, a potem liczba *pomocy naukowych* rosła w postępie geometrycznym. Skrobali je wszyscy, choć motywowali to bardzo rozmaicie. Taki Borówka najpierw ściąg nie pisał, bo uważał, że bezpieczniej wszystko wykuć. Dopiero po niewczasie zaczął biadolić, że tego nauczyć się nie sposób. Bratek zaś od początku był zdania, że nie ma sensu zakuwać byle danych technicznych ani cyfr i nazw dotyczących przedmiotów, jakich w życiu nie zobaczy...

Wielu deklarowało, że ocena ich umiejętności zależy nie od posiadanej wiedzy, lecz od dyrektyw z góry: jeśli przyjdą wytyczne, że – jak zakładali optymiści – mają zdać wszyscy, to i tak nikomu nie uda się oblać egzaminu. Rej pisał ściągę *na pamiątkę*. Inni mówili, że robią to z przyzwyczajenia lub z nudów albo dlatego, że *wszyscy piszą*. Jeszcze inni – *na wszelki wypadek*. Granica była płynna i każdy z bażantów co kilka minut, w zależności od aktualnego nastroju i stanu zaawansowania prac kopistycznych, mógł zostać zaliczony do tej albo innej kasty.

Bratek rzadko gościł w Szczupakowie. Pułkownik Czachórski zamarzył sobie, by wejścia do koszar strzegły wspaniałe wrota. Projektu takowej bramy miał dostarczyć właśnie architekt Bratek. Pielgrzymował więc po rozmaitych koszarach, fotografował i rysował. Ileż to razy zgarnęli go jako szpiega! Oj, parokrotnie musiał się tłumaczyć bandażom, że nie jest dywersantem. Zarobił także trochę kuksańców i siniaków. Ale nikt mu nie odbierze tego, że zamiast gnić w Szczupakowie, hasał sobie po Polsce. Liczył też na to, że dobre stosunki z Czachórskim pomogą mu w uzyskaniu zaświadczenia z wojska, iż odbywał tu praktykę zawodową. W cywilu taka bumaga jest trudna do uzyskania, a kumple opowiadali, że w wojsku wystarczy postawić pół litra komu trzeba, i sprawa

z głowy. Na dodatek, jak masz zaświadczenie z cywila, mogą ci zwalić na kark z tuzin komisji sprawdzających. A pisemko z armii? Niech się wypchają! Żaden cywil nie ma prawa wnikać w wojskowe akta; a nuż Bratek budował tajny poligon? Niestety, Czachór się ostatnio rozjątrzył – żadna z bram Bratka mu się nie spodobała. Cóż, na razie nie ma co myśleć o takim pisemku...

– Hi, hi... W ogóle mnie nie pytali! – to Rej wypadł ze świetlicy. Okazało się, że w uznaniu zasług – prowadził ŻWK w szkółkach elewów i sierściuchów – bez pytania postawili mu piątkę. Ale przez to, że go nie pytali, teraz musiało wejść dwóch naraz.

System był taki, że w sali egzaminacyjnej przebywało jednocześnie czterech delikwentów. Jeden z nich odpowiadał u podporucznika Maćki, drugi – u porucznika Radeckiego, a dwaj pozostali przygotowywali się przy ustawionych w kącie stolikach.

Niby się tego egzaminu nie bali, ale nikt nie chciał wejść. Popychali jeden drugiego, byle samemu jak najdalej od drzwi.

– Ja później, później! Jestem dyżurnym! Widzicie przecież!

Tym razem Borówce nie pomogło wymachiwanie opaską dyżurnego. Wepchnęli go razem ze Wścieklicą. No tak, kolejność alfabetyczna zupełnie już się pokićkała.

Bratek uznał, że pora wziąć ściągę i iść zdawać taktykę. Lepiej chyba od razu to wszystko odwalić, i potem mieć już spokój do końca dnia. O ile oczywiście w tym rozgardiaszu można w ogóle mówić o spokoju. Może by się jednak udało przepisać ściągę na jutro? Właśnie. Ściągę...

– Kto ma moją ściągę?!

Nad drzwiami świetlicy zawieszono transparent. Białe litery, przypięte do czerwonego płótna, oznajmiały: *Wysokim Stopniem Wyszkozenia Bojowego Służymy Partii i Socjalistycznej Ojczyźnie*.

Nadszedł pierwszy dzień żołnierskiej próby wiedzy. Urzędowały komisje egzaminacyjne dwóch przedmiotów ogólnowojskowych: polityki i taktyki.

Komisja ds. egzaminu z polityki stacjonowała w świetlicy. W jej skład wchodził tutejsi oficerowie: Maćko i Radecki, a przewodniczył obradom oddelegowany z Warszawy podpułkownik Gembala, który zazwyczaj spokojnie przypatrywał się poczynaniom młodszych kolegów.

Komisja ds. egzaminu z taktyki rezydowała w sali dźwiękowej. Tworzyli ją trzej znani bażantom oficerowie: major Łysak, major Piontek i porucznik Siwak (sekretarz komisji), oraz dwaj pułkownicy z Warszawy: Pietruszka i Niewiadomski. O ile Pietruszka – tak donosili pierwsi egzaminowani – siedział mocno skacowany i przysypiał, o tyle Niewiadomski okazał się prawdziwą duszą imprezy...

– Mam to w dupie!

– No nie... po prostu, podchorąży, proszę, tak nie można...

– Mam to w dupie.

Borówka od dłuższej chwili obserwował zmagania podporucznika Maćki z Chryniem, który nie chciał odpowiedzieć na żadne pytanie.

– Proszę, niech podchorąży, po prostu, coś powie! Cokolwiek, po prostu!

Chryń pozostał nieubłaganie konsekwentny:

– Mam to w dupie! Po prostu!

Maćko był teraz zdany wyłącznie na siebie. Porucznik Radecki udawał, że nie słyszy, jak przebiega egzamin przy sąsiednim stoliku, i wydawał się być niezwykle pochłonięty rozmową z Cyroniem. A przewodniczący podkomisji, podpułkownik z Warszawy, gdy tylko Chryń po raz pierwszy wygłosił swą kwestię, zrobił unik i wyszedł z sali. Widać dobrze wiedział, kim jest ojciec krnąbrnego żołnierza.

Teraz Maćko zamilkł i smętnie wpatrywał się w twarz generalskiego synalka, który sprawiał wrażenie bardzo z siebie zadowolonego.

– Niech podchorąży, po prostu, coś powie! No, proszę, po prostu... To w końcu wszystko, po prostu, służba.

Wreszcie udało się z Chrynia wydobyć słowa inne niż dotychczas. Niestety, merytoryczny sens wypowiedzi nie uległ zmianie.

– Gównno mnie to wszystko obchodzi.

– Ale niech mi podchorąży, po prostu, ułatwi pracę! Proszę się nie bać. Tu nie ma tak, że my do kogoś podchodzimy niezyczliwie, po prostu. Tu chodzi o pogawędkę taką jakąś... No, niech coś podchorąży powie! Żeby to, po prostu, jakoś wyglądało!

Rozmówca Maćki przecząco pokręcił głową.

Porucznik podjął więc męską decyzję.

– To niech podchorąży, po prostu, posłucha, jak będzie kolega odpowiadać. Podchorąży Borówka, do mnie!

Oj, święta Anielko, pocieszycielko... Za co go to spotkało? Za co... Nawet na pożyczonej od Bratka ściągce danych o liczebności PZPR w latach 1970-1975 nie zdążył znaleźć... Może być krucho...

– Dawaj ściągę! – wchodzi!

To Patek odnalazł Bratka i upomniał się o swój dobytek. Cholera jasna! Przecież to ten Parówa zabrał ściągę... To potrwa, zanim *młotek* wróci...

– Już, już, daję. Dziękuję, bardzo mi się przydała.

Bratek, dziękując Patkowi, dokonywał nerwowej autorewizji kieszeni. Dobrze wiedział, że tylko cud boży mógłby w nich umieścić to, czego szuka... Ale co mógł innego począć? Może powiedzieć Patkowi, że puścił jego skarby w obieg? Przecież tamten zaklinał go, by *pomocy naukowej* z rąk nie wypuszczał, bo zaginie. Wykrakał sobie, chorrrender...

– No, podchorąży Borówka! Który zestaw, po prostu, wylosowaliście?

– Trzynasty – westchnął wieczny pechowiec.

– Jakie pytanie potraktujecie odpowiedzią, po prostu, najpierw?

– Zacznę od pierwszego...

Pierwsze z trzech pytań brzmiało: *Barierzy rozwoju Polski do 1990 roku*. Borówka mógłby wiele o tych barierach powiedzieć, choćby dzięki – czytany od czasu do czasu, i z drżeniem serca – nielegalnym broszurom solidarnościowym. Nie zamierzał jednak chwalić się taką wiedzą. Dawno już go nauczono, że im mniej człowiek mówi, tym mniej ma później do odwołania.

– Mamy pięć głównych barier: zatrudnienia, surowcową, produkcyjną, majątku trwałego i zadłużenia.

O dziwo, miał tu coś do dodania i Chryń.

– Przepraszam, czy mogę uzupełnić? – zapytał uprzejmie.

– Oczywiście, po prostu! Nareszcie!

– Tu jest jeszcze bariera metra – powiedział Chryń.

– Jakiego metra, po prostu? – zdziwił się egzaminator.

– W związku z budową metra w Warszawie – wyjaśnił Chryń, z miną osoby wtajemniczanej. – Przez wymogi wojskowe budowa jest o jedną trzecią droższa. Chodzi o to, że to metro jest budowane bardziej jako schron niż jako metro...

– Co podchorąży, po prostu, mówi?

Maćko czuł, że Chryń mówi coś nieprawomyślnego, ale z drugiej strony, wcale nie był tego pewien. Na wszelki wypadek postanowił posłuchać rewelacji ujawnianych przez syna dwugwiazdkowego generała.

– Na dodatek założenia budowlane Obrony Cywilnej Ludności pochodzą sprzed dwudziestu lat i dziś to pewnie nie mają żadnego sensu...

– Ale, podchorąży, jak po prostu wybuchnie wojna, to takie rzeczy mogą się przydać! – stwierdził Maćko.

– Właśnie! – przytaknął Borówka, który postanowił skorzystać z okazji zarobienia dodatkowych punktów u egzaminatora. Był bowiem przeświadczony, że sztuka życia polega na ciułaniu takich punkcików u rozmaitych zwierzchności, w każdych okolicznościach. Za największy zaszczyt, jaki może przypaść przyzwoitemu człowiekowi, uważał aprobatę w oczach władzy, za największą hańbę zaś – zasłużenie na gniew przełożonych.

– Ha, ha! – nie dał się przekonać Chryń. – Tak jak było z poprzednią budową metra pewnie? Kiedy to w 1952 roku pod takim pretekstem zbudowano pod Wisłą przejście dla czołgów i wille-bunkry dla wybranych?

– Podchorąży twierdzi więc, po prostu, że to warszawskie metro jest niepotrzebne?

– To metro wymyślili tacy jak mój ojciec. I samo to wystarczy, żeby wiedzieć, że kryje się za tym jakiś szwindel!

Dobrze, że nie było przy tym podpułkownika Gembali. Ale w kierunku rewiru Maćki spojrzał zaniepokojony Radecki. Na domiar złego, Maćko nie mógł sobie przypomnieć, jak radzi postępować w takich wypadkach podręcznik do rozmów z podchorążymi... Zresztą, to w końcu egzamin. Trzeba więc zakończyć tę sprawę, po prostu, jak najdelikatniej, szczególnie, że ten Chryń na ojca narzeka, ale jakby coś się stało, tatuś na pewno nie omieszkałby upomnieć się o prawa synka...

– No to ja, po prostu, dziękuję obu podchorążym – Maćko zwrócił się do Chrynia i Borówki. – Gratuluję wam odpowiedzi i życzę miłego, po prostu, pobytu na praktykach... Dziękuję, po prostu, zdaliście na pięć i już jesteście wolni, po prostu.

Niestety, to nie było takie proste. Wprawdzie uradowany Borówka nie upominał się o następne pytania i natychmiast wybył z sali, ale Chryń znowu zagrał egzaminatorowi na nosie.

– Ja tu jeszcze trochę zostanę, dobrze?

Maćko wymownie spojrzał na Radeckiego. Ale prędzej już mógł liczyć na przyjazną dłoń wyciągniętą przez biały sufit niż na koleżę, obecnie bardzo zajętego egzaminowaniem Malczyka. Trzeba było radzić sobie, po prostu, samemu. Były zastępca komendanta SPR Artylerii do spraw polityczno-wychowawczych otarł spływający spod czapki pot.

– Jak już podchorąży, po prostu, musi, to niech będzie... Ale proszę gorąco, niech podchorąży wyjdzie, jak wróci pułkownik Gembała. Przecież ja podchorążemu nigdy, po prostu, nic złego nie zrobiłem!? – To, że Maćko szeptął, wcale nie znaczyło, że jego słowa pozbawione były ekspresji.

Setnie ubawiony Chryń uśmiechnął się:

– Zgoda.

Chryń nie obawiał się Gembali. Znał go od czasu, gdy był dzieckiem... A całą tę szopkę urządził głównie dlatego, że był pewien, iż Gembała doniesie o niej ojcu. Może wreszcie tatuś dojdzie do wniosku, że lepiej trzymać synka blisko domu i jak najdalej od munduru...

Casus belli

– Wreszcie! Dawaj ściągę!

Bratek, wspomagany przez Patka, rzucił się na Borówkę. Zmusiło to tego ostatniego do wykonania manewru, który Bratek kilkanaście minut wcześniej zastosował na potrzeby Patka.

Solidnie zdenerwowało to właściciela ściagi.

– Trzy dni ją robiłem, a teraz nie mam jak zdawać! Coś ty z nią zrobił? Zezarteś, grubasie?!

Podporucznik Maćko przeżywał wreszcie szczęśliwe chwile. Nie dość, że Chryń dotrzymał słowa i wyszedł po powrocie Gemba-

li, to jeszcze spotkała Maćkę przyjemna niespodzianka. Obawiał się, że egzaminowany właśnie Mamut może, po prostu, truć dupę karygodną propagandą religijną, ale po raz kolejny okazało się, że program szkolenia podchorążych ma ręce i nogi. Wiadomo, że największe kłopoty z SPR-owcami rozdziły się na tle ich rozbuchanych skłonności do nadmiernie krytycznego myślenia i samodzielnego wyciągania wniosków w sprawach, które winny należeć nie do nich, a do zwierzchności. Program całego szkolenia miał więc wpoić im, skażonym przez zwyczaje panujące na cywilnych uczelniach, pewne właściwe formy wypowiedzi. Chodziło tu również o wygodę samych podchorążych w przyszłości, gdy już zostaną dowódcami *pododziałów*. Mówiąc brutalnie: gra szła o to, by ich języki zachowywały się lojalnie wobec interesów dupy. Należało ich przygotować do kontaktów z przyszłymi podwładnymi, szeregowymi i kapralami. Na razie osiągnano to drogą delikatnych nacisków.

Bazantom z reguły zależało na odbywaniu praktyki jak najbliżej miejsca stałego zamieszkania. Powody były różnorodne: żona, dziewczyna, gospodarstwo, zakład rzemieślniczy... A taki na przykład Mamut miał w Szczecinie ciężko chorą matkę. W Szczecinie i okolicy wojska mrowie, ale gdy tylko Mamut wyskoczył – kiedy to było! – z koncepcją zorganizowania wyjść SPR na msze niedzielne, troskliwie mu przypomniano, że koszary są również w Przemysłu albo w Białej Podlaskiej.

Na ile kultywowane w SPR metody rozwoju intelektualnego i obywatelskiego sprawdzały się w żołnierskim życiu – mogły

„– Ale pamiętaj – doradził Siwak – że w wojsku to tylko o własną dupę trza, kurwa, dbać, bo nikt inny ci jej nie podetrze. Chyba, że się ma w zanadru generała. No, miałeś coś o nim powiedzieć...”

wykazać dopiero ośmiomiesięczne praktyki. Na razie było pewne, że w przypadku Mamuta metody te zaowocowały wysmienitym rezultatem.

– Odpowiadam na pytanie pierwsze: *Jakie wnioski wyciągnąłem z wycieczki do Gierłóży?* Wniosków tych wyciągnąłem bardzo dużo. Na każdego człowieka pobyt w faszystowskim gnieździe Hitlera wyrzucić musi wpływ...

Jak ten Mamut ładnie odpowiada! Ani jednym drgnieniem twarzy, ani jednym dwuznacznym spojrzeniem nie zdradza Gembala, że... Maćko już choćby tylko za to postanowił nagrodzić Mamuta piątką. Zresztą może, po prostu, raczej czwórka.

Dotychczasowe osiągnięcia Mamuta nie były jednak najlepsze, więc czwórka, połączona z przydziałem do Szczecina, na pewno wystarczy. Dobrze się zresztą składa, bo sondaż wykazał, że Mamut jest właściwie jedynym zainteresowanym tym Szczecinem...

– ... Koszmarne wrażenie wywarł na nas ten wilczy szaniec...

– A kiedy była ta wycieczka? – zapytał nagle Gembala.

Podporucznik Maćko i kanonier podchorąży Mamut odpowiedzieli jednocześnie.

– We wrześniu – powiedział Mamut.

– W listopadzie – rzekł Maćko.

Oj! Niedobrze, po prostu niedobrze... Gembala uniósł brwi, co podobno oznaczało u niego pierwszą fazę furii. Niedobrze! Przecież nie może się dowiedzieć, że tak naprawdę żadnej wycieczki nie było! Miała się odbyć, rzeczywiście, we wrześniu, wtedy podchorążowie bardzo chcieli jechać, ale dowództwo uznało, że szkolenie do przysięgi jest ważniejsze. A potem Maćko naprawdę starał się zorganizować wyprawę do Gierłóży, ale nie było już chętnych. Po przysiędze nie chciało się bażantom tracić niedzieli na wyjazd, woleli po prostu obijać się na własną rękę po Szczupakowie i okolicach. Maćko naniósł więc wycieczkę do planu, Szkoła pobrała benzynę (którą sierżant-szef Maski sprzedał po korzystnym kursie

na czarnym rynku, jak zwykle w takich sytuacjach się robi), a podchorążowie, odbierając żołd, podpisali listę uczestnictwa w wycieczce szkoleniowej...

– Więc kiedy był ten wyjazd? – ponowił pytanie Gembala.

– W listopadzie – poprawił się Mamut.

– Sprawdzimy, sprawdzimy... – rzekł Gembala.

Maćko odetchnął z ulgą. A niech sobie sprawdzają, po prostu. W papierach wszystko w porządku. Spojrzał z wdzięcznością na Mamuta: może jednak i piątkę mu, po prostu, postawić? Niech podporucznika Maćkę dobrze wspomina!

Bratek z Patkiem i Borówką ponownie zawędrowali na palarnię. Trzej niefortunni muszkietierowie usiłowali zdobyć od kogoś ściągawkę. Nie było to proste.

Najpierw schwytali Stularczyka.

– Nie dam, bo nie mam. Słowo honoru!

Z nim nie było sensu rozmawiać. Zaczepili go tylko dlatego, że się akurat nawinął. Wiadomo, że ściągę ma, ale nie pożyczę. Taki już jest ten Stularczyk. Od dawna Rej podejrzewał, że Stularczyk donosił na Wścieklicę – choć oficjalnie byli wtedy znakomitymi kumplami i pracowali razem w szatni. A później jeszcze sprawa Wojtka Diabła, który miał jechać do Lublina jako opiekun elewa Anioła z SBD. Kandydat na kaprała przed przysięgą nie mógł samodzielnie opuszczać koszar, a obiecał załatwić sprzęt fotograficzny dla brygady – jego ojciec miał dostęp do takich rzeczy. Diabeł mieszkał niedaleko Lublina, więc bardzo się ucieszył, że zaliczy extra pobyt w domu – elew miał dostać aż cztery dni na załatwienie sprzętu. Fucha ta spadła na Diabła przypadkiem, naraił mu ją Rej, gdy usłyszał, że Radecki szuka opiekuna dla Anioła (*wyslijmy Anioła z Diabłem*). Sam Rej nie miał szans wyjechać, bo był przywalony jakąś pilną robotą dla Siwaka, który nie wypuściłby go z koszar.

Diabeł popełnił niewielki, ale znaczący błąd: miał za długi ozór i za głośno manifestował radość z niespodziewanego urlopu. Gdy usłyszał o tym Stularczyk, pędem pobiegł do Radeckiego i skłamał, że Diabeł się rozchorował i jechać nie może, ale za to on, Stularczyk, też mieszka pod Lublinem, więc chętnie pojedzie zamiast kolegi.

Diabeł dowiedział się o tym, gdy zgłosił się do zdumionego Radeckiego po rozkaz wyjazdu. Porucznikowi było głupio, a Diabeł długo nie mógł uwierzyć, że bażant bażantowi może wykręcić tak wredny numer. Za to Stularczyk nie widział problemu:

– No co, chciałem jechać do żony, a akurat była okazja – tłumaczył, dumny ze swej przebiegłości.

– Odpowiadam na pytanie drugie:

Jak rozumiesz myśl wyrażoną przez towarzysza generała armii Jaruzelskiego w następujących słowach: „Naród dał wojsku broń, Partia - myśl polityczną. Tą bronią władać sprawnie to podstawowy obowiązek żołnierza. Tą myślą kierować się w służbie, to podstawowy nakaz obywatelski”.

– No, podchorąży Mamut, jak to rozumiecie? – życzliwie zapytał Maćko. – Jako nadrzędną zasadę wierności, po prostu, jakim ideałom?

Mamut nie był zachwycony, że przyszło mu odpowiadać akurat na takie pytanie. Że też właśnie jemu trafił się jeden z nielicznych zaktualizowanych zestawów! Pozostałe zawierały głównie pytania opracowane przed laty i dotyczyły kwestii takich, jak: *cechy dowódcy; jakimi zasadami kieruje się PZPR w sprawowaniu kierowniczej roli nad siłami zbrojnymi; postawa ideowo-moralna a postawa ideowa;*

NATO jako pakt agresji i Układ Warszawski jako sojusz pokoju, i tym podobnych bzdetów. Łatwiej by mu przez usta przeszły... Już się do nich przyzwyczaił w liceum i na studiach. Mógł o nich mówić bez specjalnego zażenowania. Nie to, żeby wierzył w to, co musiał ozorem wypłacać, ale... Jeszcze we wrześniu pewne rzeczy przez gardło mu przejść nie chciały, lecz tutaj, w wojsku, zrozumiał, że tak naprawdę liczy się wyłącznie *p r y w a t n o ś ć*, a w pojedynkę świata się nie zmieni. To nie była logika tchórzostwa. Po prostu nasiąkł już atmosferą SPR. Wielu utrzymywało, że mówienie tego, czego się od nich wymaga na egzaminach z polityki, najwyczejniej w świecie ich bawi. Jego nie bawiło. Traktował to jako narzucone przez los brzemię, z którym trzeba sobie poradzić. Najważniejsze, że na Wigilię będzie w domu. Jakże mama się ucieszy! Tylko raz udało mu się stąd wyrwać – dostał dwa dni urlopu zaraz po przysiędze... A teraz ta taryfa. Co najmniej dziesięć dni, całe święta w domu. Mamcia wychodzić nie może, ale pewnie sąsiedzi zakupy zrobią...

– No co się tak podchorąży zamyślił? – wyrwał Mamuta ze snu na jawie podpułkownik Gembala. – Słuchamy. To bardzo ciekawy temat i przyjemny. Kiedy te słowa padły?

– Stwierdzenie generała Jaruzelskiego, zawarte w tegorocznym przemówieniu z okazji Dnia Ludowego Wojska Polskiego, uświadamia nam, żołnierzom, że to, co dobre, spływa na nas dzięki pomocy Partii. Dzięki PZPR żołnierz polski otrzymał broń a także, co najważniejsze, ideologię, której może i powinien się trzymać...

No, jak już zaczął, to jakoś pójdzie! Mamut rozpoczął wypowiedź, gorąco modląc się w duchu, żeby za każdym zdaniem, jakie wypowiada, przydreptało mu na język następne.

Żebracza trójca dopadła Diabła.

– Niestety, pożyczylem już Mamutowi. On nie miał polityki, bo gdzieś zgubił swoją.

– A jak wyjdzie, to nam pożyczysz?

– Nie mogę. Na jednej ściance mam i politykę i taktykę. Gdybym ją miał przy sobie, już bym wlaź na taktykę.

Inni też mieli swoje powody, by nie pożyczać – najczęściej obawiali się, że później sami zostaną na lodzie.

Wreszcie Bratek uprosił Zdyba, który miał zaraz wchodzić, by – przygotowując się do odpowiedzi – zgarnął i zagubioną przez Borówkę ściągę.

– Najpewniej leży na krześle przy lewym stoliku – poinstruował Borówka – bo jak tam się przygotowywałem, to ją schowałem pod udem.

Zdyb szczerze obiecał pomóc kolegom.

Niestety, nic z tego nie wyszło...

– Odpowiadam na pytanie trzecie: *Jakich zwrotów może używać żołnierz, zwracając się służbowo zarówno do przełożonego, jak i podwładnego?*

– No, ile jest tych zwrotów? – ponaglił Mamuta podpułkownik Gembala.

– Zgodnie z artykułem 68 Regulaminu Służby Wewnętrznej, są dwa takie zwroty, obywatelu pułkownika: *per obywatelu* i *towarzyszu*.

– To czemu mówicie trzy?! – oburzył się podpułkownik.

Mamut nie zrozumiał zarzutu.

– Proszę? – zapytał nieśmiało.

– No, nie udawajcie głupka! – wizytator z Warszawy podniósł głos. – *Pan* to nie jest właściwy zwrot w ustach żołnierza ludowej armii socjalistycznej ojczyzny!

– *Pan*?... – zmieszał się Mamut. – Ja nie powiedziałem *pan*...

– Tak? – roześmiał się sardonicznie oficer. – To co powiedzieliście, towarzyszu? Powtórzyć!

– *Per obywatelu* i *towarzyszu*...

– I wy mi śmiecie wmawiać, że nie mówicie *pan*?! Głuchy może jestem?!

– Towarzyszu pułkownika – odważnie włączył się do dyskusji podporucznik Maćko – podchorąży, po prostu, powiedział nie *pan*, tylko *per*...

– Jakie mi tu *opeer*! Obrażać mnie tu będą! Ja wam pokażę *opeer*!

Fizjonomia obywatela podpułkownika Gembali przybrała taki wyraz, że na jej widok nawet najbardziej zaprzysięgły wstecznik musiałby uwierzyć, iż teoria Darwina jest słuszna, a człowiek rzeczywiście pochodzi od małpy; czasem też ciągle nią jest.

– Ocena niedostateczna! Won stąd, podchorąży! A i z tobą, Maćko, sobie jeszcze pogadamy! Ty też cywilem jesteś podszyty!

Podkomisja sprawdzająca wiedzę podchorążych z zakresu polityki ogłosiła przerwę na drugie śniadanie. Przygotowujących się do odpowiedzi Ogórkę i Wittka wyrzucono za drzwi. Wyszli ze świetlicy razem z Mamutem, który ciągle nie rozumiał, co się stało. Czy uwierzyłby, gdyby mu ktoś tłumaczył, że łacińskie *per* skojarzyło się Gembali z *panem*, a potem z *opeerem*, czyli skrótem słówka dość mocnego?

Wojskowa wyprawa do gwiazd

Astrofizycy deliberują od dziesięcioleci, a fantaści od pokoleń, jaki napęd zapewni statkom kosmicznym podbój gwiazd. Dyskutuje się o napędzie jądrowym w rozmaitych odmianach, o wolnych rodnikach, wodorze, helu, elektryczności, magnetyzmie, wietrze słonecznym i gwiezdny, telekinezie... Fantaści-prześmiwcy proponowali również zastosowanie kieratów, wprawianych w ruch przez niewolników. Nikt jednak nie pomyślał, by sięgnąć po pali-

wo, które od narodzin ludzkości pcha i pcha ją w przód, bez pardonu i litości.

Czemu nikt nie wpadł na pomysł, by skorzystać z napędu, przed którym musi pochylić czoła nawet *perpetuum mobile*? Na domiar szczęścia paliwo to powstaje jako produkt uboczny rozwoju ludzkiego intelektu, a żeby je wytworzyć, wystarczy kilka osób... Kosztuje też niewiele: trochę czyichś nerwów. Potrafi zaś przenosić góry i zmieniać ludzi we własne przeciwieństwa.

Ten wszędobylski napęd to – plotka.

Do wymarszu na drugie śniadanie zostało jeszcze kilka minut. Prawie wszyscy bażanci, wiedzeni widać instynktem stadnym, zebraли się w palarni.

Plotka niosła, że Mamut, za ubliżenie oficerowi, zostanie usunięty z SPR i przeniesiony do służby zasadniczej. Stwierdził tak podobno sam major Piontek. Jednakże nie było wiadomo kiedy i komu to powiedział.

Bażanci roztrząsali zasłyszane niegdyś historie o tym, za co można wylecieć z SPR. Wszyscy byli zgodni co do tego, że w zasadzie nie można zostać wyrzuconym. W zasadzie...

– Słyszałem, że w jednej szkółce zmechowskiej, jak trzech na dwustu egzamin oblało, za karę zmienili jej komendanta, a chłopakom po paru dniach urządzili poprawkę – powiedział Nawrocki.

– Też o tym słyszałem – uzupełnił Król. – To było w W. i tam...

– W W., to znaczy w Warszawie czy Wrocławiu? – zapytał, jak zwykle wścibski, Rej. – Czy jeszcze gdzie indziej?

Król wolał nie zdradzać tajemnic wojskowych. Po co ryzykować ciągnięciem po politrukach i kontrwywiadzie? On przymierzał się do ataku na fotel prymusa SPR. Zakrawało na skandal, że ciągle nie miał belki; jego nazwisko pechowo zawieruszyło się w kartach

awansu, gdy te zawędrowały do kancelarii personalnej brygady z okazji Dnia Podchorążego.

– Nie przejmuj się – pocieszał Mamuta Hultajek – wszystko będzie dobrze.

– Żebyś ty wiedział – odezwał się wreszcie Mamut – jaki ja sen dzisiaj miałem... Było pewne, że mi te egzaminy nie pójda.

– Głowa do góry! Sny nic nie znaczą! – powiedział Hultajek. Po chwili jednak melancholijnie dodał: – Chyba że się akurat sprawdzają...

– A w X. – podtrzymał konspiracyjny nastrój Król – jest taki komendant SPR-u, który nie znosi bażantów, bo mu żona i córka się z nimi puszczały, więc taki tam rygor, że... Facetowi na niczym nie zależy, bo za coś tam na gorze podpadł, a z komendanta go nie zdejmą, bo też ma plecy...

– To X. to jest niedaleko Łodzi i zaczyna się na S – wtrącił Rej. – Nie dobijajcie Mamuta. Wiadomo przecież, że chłopak i tak zda. Przydział do Szczecina też dostanie, bo więcej chętnych nie ma. Żeby aferkę z tym zapijaczonym pułkowniczkiem zatuszować, to problem naszych trepów, a nie Mamuta...

– No wiesz! – oburzył się Borówka. – Ty sobie kpisz, a sprawa jest poważna!

– Dooobra, Jasiu – skrzywił się Rej. – Jak chcesz się przejmować, to i popłakać sobie możesz. Ale wszystko będzie w porządku. Zobaczysz. Bierz lepiej przykład z Głodówki...

Podporucznik Głodówka sprawiał wrażenie, że jest jedyną osobą w SPR, której zupełnie nie dotyczą egzaminy i związane z nimi problemy. Właśnie pracowicie grzebał w stojącym przy grzybie koszu na śmieci.

Rej i Ogórko opuścili rozdyktowaną palarnię. Postanowili dowiedzieć się, co tak zainteresowało oficera.

– Pomóc coś, poruczniku? – zapytał dowódcę swego plutonu Ogórko.

– Hy, hy – uśmiechnął się Głodówka, unosząc głowę. Jego ręce dalej pracowicie badały zawartość pojemnika. – Słyszoidalim, co tu gwóździe wywolili.

Podporucznik słynął z tego, że chwycił wszystko, co znalazło się w zasięgu jego wzroku, a było małe i nieprzytwierdzone do podłogi. Wszelkie trofea znosił do domu, bo *moży się na coś nadać*. Tarkowski i Maroń, którzy cyklinowali parkiety również w jego mieszkaniu, mówili, że jest kochającym ojcem dla dwuletniego synka, że nawet sam mu z drewna struga zabawki – ładne podobno. Dwa pokoje w jego mieszkaniu były zavalone przeróżnymi starymi gratami, dechami, ładownicami, mundurami, gałganami, gazetami i szeregiem przeróżnych rzeczy, nikomu już niepotrzebnych, lecz widać niezbędnych gospodarskiemu poczuciu użyteczności obywatela podporucznika. Młody oficer wraz z latoroślą przesiadywał całymimi godzinami w swym sezamie. Tam nucił dziecku piosenki, melodyjnym ponoć głosem, i kontemplował zgromadzony dobytek.

Teraz, niestety, gwóździ nie znalazł. Zapakował natomiast do mapnika kilka połamanych ołówków i tępą strugaczkę.

– Hy, hy – wyjaśnił – zawsze coś się znajdzie, hy, hy! Trza ino szukać, kuledzy!

– W dwuszeregu, na wysokości umywalni, frontem do mnie... Zbiórka!!! – to wydarł się podoficer dyżurny, podchorąży Szalski.

– Arek, co się wygłupiasz? Po co tak głośno? – zapytał Malczyk.

Wszyscy odwykli od głośnego nawoływania na zbiórki, nie mówiąc już o innych regulaminowych celebrach. Od dobrych kilku tygodni krzycało się tylko: *zbióra*, i ludzie w miarę szybko się złązili. Co więc temu Szalskiemu odbało?

Nadzwyczaj głośne nawoływanie bynajmniej nie spowodowało szybszego niż zwykle uformowania dwuszeregu.

Nie spodobało się to podoficerowi dyżurnemu:

– Rozejść się! Biegiem!

– Arku – powiedział Bratek – nie możesz sobie tych wygłupów odpuścić?

– Z e r o dyskusji!!! – wrzasnął Szalski. – Nie przeszkadzać! Ruchy, ruchy!

Bratek zrozumiał, że zbiórka nie była ani żartem, ani pomyłką. Szalski, kandydat na prymusa SPR, chciał się wykazać pilnością. Był zły, bo zarobił solidny *opeer* za swój ostatni występ na taktyce. Podobno zmoczył na całego, a tak liczył na niego major Piontek...

– W dwuszeregu, na wysokości umywalni...

Teraz większość bażanterii zaczęła głośno tupać, leniwie podążając na miejsce zbiórki.

– Spocznij! – zezwolił Szalski. – Teraz, obywatele, było jak trzeba. Słuchać było, że się spieszycie! Malkontenci muszą zrozumieć, że teraz są egzaminy, więc każdy musi się starać, żeby opinia o naszej Szkole była jak najlepsza.

– Nie wydurniaj się, asystent – zaproponował Kostyk. – Zasa-lutuj sobie lepiej!

– Ja tu jestem podoficerem dyżurnym i macie mnie słuchać! – oburzył się Szalski.

W gwarze szkółki słowo *asystent* nie było komplementem i oznaczało kogoś, kto na praktykę zostaje w SPR. Wszyscy już wiedzieli, że Szalski ma objąć schedę po plutonowym podchorążym Synku i pozostać w plutonie topo, czyli na *katedrze docenta Głodówki*.

– To się słuchaj – roześmiał się Olszewski. – Idziemy, panowie!

Prowadzona przez niego i Ogórkę kolumna dwójkowa ruszyła na schody.

Szalski już nie protestował. Pogodził się z tym, że ma pechowy dzień.

Od początku aspirował do miana prymusa. Był jednym z nielicznych, którzy rzeczywiście przykładali się tu do nauki. Ukończył Akademię Rolniczą w niewielkiej miejscowości i chciał udowodnić zarozumiałcom z rozmaitych uniwersytetów, że jego uczelnia wcale nie gorsza. Nigdy też nie wymigiwał się od dyżurów czy innych obowiązków. Jako jedyny na SPR zaliczył aż cztery warty, plus tę pierwszą, alarmową. A za to wszystko nie dostał ani dnia urlopu, a tylko przepustkę po przysiędze. Miał o to duży żal do majora Piontka. Z drugiej zaś strony, musiał przyznać, że otrzymał ważniejsze, według Regulaminu Dyscyplinarnego, nagrody: książkową (cztery tomy *Dzieł wybranych* Lenina), pieniężną (dwa tysiące złotych) i przede wszystkim wykonano mu zdjęcie na tle rozwiniętego Sztandaru Jednostki oraz wysłano list pochwalny do domu. Trzeba też dodać, że żadna z cotygodniowych Analiz Dyscypliny nie obyla się bez wychwalania go przed frontem SPR za wzorową postawę. To, że miał służbę w dniu egzaminu, również stanowiło formę wyróżnienia.

Komendant Szkoły zwierzył mu się w sekrecie, że egzaminy wszyscy zdać muszą, ale na pewno kilku delikwentów – Ruchacz, Wścieklica, Ogórko, Kostyk czy Rej; lista była dłuższa – to osobniki nieodpowiedzialne i ich ignorancja może być kompromitująca. Tym większa miała być rola obkutego na cztery nogi Szalskiego. A tu masz babo placek, taki niewypał! Po nocach mu się będzie śniło... Chyba zanadto się przejął... Dotąd wszystko tak ładnie się układało, a tu ten list od Jadzi... Sytuacja taka, że musiał – naprawdę musiał – jechać do dziewczyny. Może by się jednak dała przekonać do skrobanki? A tu go nie chcieli wypuścić z koszar. Załatwił już sobie nawet przepustkę, ale awaryjnie wypadła warta i musiał iść. Zrobili go nawet rozpylaczem. To wielki zaszczyt być rozprawdzającym jeszcze na szkółce! Niestety, z pejotki nic nie wyszło.

A później, od 5 grudnia, przepustek nie wydawano, bo nastąpiła pora przygotowań do sesji egzaminacyjnej. Ewentualnie, w drodze wyjątku, dałoby się coś załatwić, pokazując podkładkę. Ale co pokaże? List od panienki, która mu grozi dzieckiem? W chwili rozpaczy oddał honorowo czterysta mililitrów krwi, bo za to przysługiwały z rozdzielnika dwa dni urlopu, który winien być udzielony bez względu na okoliczności. Nie można go było odebrać nawet najbardziej podpadniętemu szwejowi.

Niestety, całe poświęcenie zdało się psu na budę. Major Piontek wyśmiał swego prymusa. Okazało się, że od dwóch lat obowiązywał w brygadzie zakaz udzielania podchorążym urlopu za oddawanie krwi. Dlaczego? Ponoć jakiś bażant rozkochał w sobie pielęgniarkę i *strzykawa* załatwiła mu zaświadczeń na parę litrów. Szalski usiłował wytłumaczyć Piontkowi bezsens tego zarządzenia – przecież nie jest trudno sprawdzić, kto oddawał krew, a kto nie, a zresztą można ewentualnie honorować tylko zaświadczenia ze szpitala wojskowego w Ołku, a nie byle cywilne. Komendant zaproponował wtedy szyderczo, by Szalski skoczył do Czachórskiego i tam złożył reklamację. Dowcipne bydle, ten Piontek! Super pomysł, przekonać Papę Czachóra, że wydał zły rozkaz... Szalski ufał wojsku, ale nie aż tak bardzo. Jeszcze by zarobił naganę za podważanie rozkazów! Nie. Co to, to nie.

A może to nie ma nic wspólnego z jego poranną kompromitacją? Może winien jest on sam? Może nie jest odporny nerwowo? Czyżby nie był prawdziwym mężczyzną? Wszyscy tak na niego liczyli! I on sam, co tu ukrywać, też był pewien zwycięstwa...

Taaaaka zmoka! Plama na honorze przyszłego pomocnika dowódcy plutonu topograficznego SPR Artylerii. Dobrze, że nikt inny nie aspiruje do tej posady, więc go nie wygryzą... Zresztą zrobi wszystko, by jutro i pojutrze zrehabilitować się na egzaminach praktycznych.

Wszystko przez ten cholerny hełm!

Politykę zdawali z gołymi głowami, a taktykę w hełmach – to był taki feblik pułkownika Niewiadomskiego, szefa komisji. Leżało tych kasków pięć, ułożonych w rzędzie przy drzwiach sali dźwiękowej. Sam Szalski przyniósł je z magazynu broni i poukładał na podłodze. Wchodząc na egzamin należało zabrać hełm, a w jego miejsce położyć czapkę. Dzięki temu było wiadomo, ile osób siedzi w środku.

Taaaki zaaawód!

Wziął żelazne nakrycie głowy, nasadził na łeb i włożył – speszony, ale dobrej myśli – do sali. Stał przed stolikiem i wydekłamał:

– Obywatelu pułkownika, bombardier podchorąży Szalski melduje się w celu zdawania egzaminu z taktyki!

A tu ci Piontek, zza pleców Niewiadomskiego, podpowiada scenicznym szeptem: – Honor oddaj, honor...

Zdjął więc hełm, przycisnął go do piersi, podpatrzonym u Piontka szykiem szurnął stopami, i zasalutował.

Zasalutował do gołej pały! Zamiast do orzełka!

– Co za jaja sobie robicie?! – wrzasnął Niewiadomski! I miał całkowitą rację.

Jaaak głupio!

I żal Piontka, któremu z wrażenia puściła się krew z nosa.

Dobrze, że po tym wszystkim Niewiadomski w ogóle zgodził się Szalskiego przeegzaminować i miłosiernie postawił mu trójczytnę. Zresztą podchorąży na więcej nie zasłużył. Ze zdenerwowania język zamienił mu się w drewno. Ledwo coś tam dukał.

Deta.

Kłeska faworyta.

Co za wstyd! Zmoka turnusu!

A najgorsze, że wszyscy o tym wiedzą! Bo Piontek tak się wystrachał, że zaraz zwołał w sali topo ciche zebranie podchorążych, by im szczerze wyjaśnić, jak się mają zachowywać podczas egza-

minu. Powiedział też, przez kogo musiał zorganizować takie zebranie.

Co za poruta!

Dziwić się, że chłopaki znaleźli sobie nowe pośmiewisko? Dziwić się, że nie chcą wykonywać jego rozkazów?

A tak chciał być najlepszym!

Czarny koń

Słońce świeci, ptaszek śpiewa,

A mnie w armii krew zalewa.

Słońce świeci, ptaszek śpiewa,

A mnie w armii...

Wierszyk natrętnie łomotał w opartej na rękach głowie majora Piontka. To był poemat, który deklamował jego synek, gdy był o coś zły na ojca. Nauczyli smarka, dranie, w przedszkolu (wrogowie socjalistycznej ojczyzny i LWP czają się nawet tam...).

Jednak dzieciaka tu nie było, a Piontek ciągle słyszał natrętną strofę.

Oj! Wiedział, że te egzaminy nie będą lekkim chlebem, bo nie miał złudzeń co do poziomu wojskowej wiedzy podchorążych dwudziestego szóstego turnusu – zdążył już pogodzić się z myślą, że prawdziwe wojsko zrobi z tej Szkoły dopiero od stycznia...

Ale żeby aż tak!

Największy zawód sprawił mu Szalski. Miał być tym, który wprawi pułkownika Niewiadomskiego w zachwyt, a wprawił w... oj!

Wtedy Piontkowi puściła się z nosa krew po raz pierwszy.

Gdy doszedł do siebie, natychmiast zwołał zebranie i – który to już raz w ciągu ostatnich dni! – wyjaśnił podkomendnym, jak mają się zachowywać w czasie egzaminu.

Radość trwała krótko.

Drugi raz poszła mu jucha, gdy Nawrocki powiedział, iż artyleria ma wielką moc. Co za brak precyzji! Przecież powinien wiedzieć, że dywizjon wielkiej mocy jest przeznaczony do prowadzenia ognia amunicją jądrową. Takich dywizjonów jest w Polsce tylko... pssst! To taka tajemnica, że i lepiej o niej nie myśleć!

Ale pułkownik Niewiadomski zdenerwował się twierdzeniem Nawrockiego tak mocno, że wykrzyczał tę tajemnicę na całe gardło. To zmusiło Pionka do zwołania drugiego zebrania podchorążych i wyłożenia wszystkich kart na stół:

– Ten egzamin zda każdy, więc się nie bójcie. Ale, błagam, nie ośmieszajcie nas! Chcecie, żebym osiwiiał? Chcecie, żeby moje dzieci były głupie? Powiedzcie! Czy wam tu źle było?

Odezwały się głosy, że w sumie to, owszem, nie najgorzej. Pokrzepiony nimi komendant SPR kontynuował:

– Więc miejcie litość nade mną, bo ja, podchorążowie, przez was oszaleję! Lepiej nie mówcie nic niż takie pierdoły, jak Nawrocki! Gdyby nie był członkiem Partii, to mógłby i tej swojej czwórki nie dostać. Zważajcie więc na słowa! Jak czegoś nie wiecie, to w czasie przygotowania dajcie mi znak, a podejść i wam powiem. Albo Siwaka zawołajcie! My tam mamy wszystkie podręczniki, znajdziemy w nich, co trzeba, i wam podpowiemy. A ściągę też przecież macie, prawda?

Odpowiedzią był potakujący pomruk.

– Więc o co chodzi? Nie bójcie się ściągac! Na tym właśnie polega taktyka! Miejcie litość dla mnie, podchorążowie...

Major wrócił na salę dźwiękową i poszło naprawdę przyzwomicie. Bał się, jak będzie zdawał taki Wścieklica. A tu, proszę, cał-

kiem, całkiem... Nawet Ruchacz wypadł nadszpiewanie dobrze: płynnie czytał ze ściągę i wcale się nie śmiał.

Wydawało się więc, że wszystko jest w porządku i na wzór-konspekt idzie. Niestety, rzeczywistość okazała się mniej piękna.

Atak przyszedł z najmniej oczekiwanej flanki.

Wiadomo przecież, że egzamin z polityki jest totalną formalnością. Tam stawiało się zawsze tylko czwórki i piątki, ze zdecydowaną przewagą tych ostatnich. Było to istotne z dwóch względów. Po pierwsze, udowodniało, że poziom moralno-etyczny podchorążych jest wysoki, a tym samym działalność PZPR i pionu politycznego w brygadzie prawidłowa. Po drugie, pomagało osiągnąć ogólną średnią z egzaminów powyżej czterech (co traciło się na taktyce, powinna nadrobić polityka). W tym sezonie było to szczególnie istotne, gdyż miesiąc wcześniej SPR OC uzyskała średnią ocen 4,2, zatem Artyleria nie mogła wypaść gorzej niż tamto pseudowojsko.

I wszystko szło jak po maśle, póki ten Gembala nie został obrażony przez Mamuta... Co za idiotyczna historia!

Najgorsze w tym wszystkim było to, że Piontek wiedział, iż zeznania Maćki są *oparte na prawdzie*: żadnej obrazy nie było. Lecz tym ciężiej wytłumaczyć to podpułkownikowi Gembali. Dobrze przynajmniej, że nie przepada za nim Niewiadomski, który jest Przewodniczącym Ogólnej Komisji Egzaminacyjnej, i że Siwak tego Niewiadomskiego nieźle zna (choć raz te jego cholerne znajomości na coś się przydadzą!), bo dzięki temu pułkownik anulował wpisaną przez Gembalę ocenę niedostateczną, a na jej miejsce wstawił czwórkę.

Tak czy owak, nigdy tego dnia nie zapomni. Major naprawdę czuł, jak mu siwieją włosy.

Przed drzwiami sali dźwiękowej oczekiwali na swoją kolej ostatni delikwenci, którzy nie przeszli jeszcze sprawdzianu wiedzy z zakresu taktyki.

Rej przekomarzał się, że gdyby tylko chciał, mógłby dostać z tego egzaminu piątkę.

– Żartujesz sobie! – denerwował się Szalski. – Ty przecież nawet nie odróżniasz BWP od SKOT-a, a haubicy od haubicoarmaty! Zdać to zdasz, ale muszą ci udowodnić, że na niczym się nie znasz!

– No to zakład! Ale musisz obiecać, że jeśli wygram, dotrzymasz moich warunków.

– Jakich?

– Gdy tylko nam podadzą oceny z taktyki i okaże się, że wygrałem, to na stołówkę pójdziemy na moich warunkach.

– A jakie to warunki?

– Nie domyślasz się? Parówka na czoło i śpiew.

– Śpiew? – Szalski się zdziwił, bo wiedział, że Rej nie jest miłośnikiem pieśni marszowych.

– Będziemy zawodzić *Frania*.

Kibice parsknęli śmiechem. Warunki były przednie. Przemarsze za Borówką polegały na naśladowaniu przez całą kolumnę jego prześmiesznego kroku i bardzo denerwowały wszystkich trepów. A *Franio... Franio* był piosneczką, która doprowadzała kadrę do białej gorączki...

Atoli Szalski niewiele ryzykował – nie dawał Rejowi cienia szansy na piątkę z taktyki. Prawda, że swój zestaw Rej z góry znał, ale egzaminatorzy zadawali wiele pytań dodatkowych, których celem było wykazanie bażantom, że choć egzamin zdają, to jednak o wojsku nie mają pojęcia.

– Zgoda. Ale jak przegrasz, stawiasz cały litr! I musisz obieć plac musztry w samych slipkach!

Rej zawahał się. Uznał jednak, że wstyd się teraz wycofywać.

Podali sobie ręce. Obydwie strony przyjęły warunki zakładu. Świadcami byli Hultajek, Nodryś, Ogórko, Daczny, Maroń i Cyroń.

Kości zostały rzucone.

– Obywatelu pułkowniku, kanonier podchorąży Rej prosi o pozwolenie pozostania!

Niewiadomski przyzwalając skinął głową.

Rej pierwsze trzy kroki wykonał na sposób defiladowy, z marszowym przytupem. Zasalutował – oczywiście do orzełka namalowanego na hełmie.

– Obywatelu pułkowniku, kanonier podchorąży Rej melduje się w celu losowania zestawu egzaminacyjnego!

– Jakie numery? – zapytał oficer. – Proszę strzelać.

– Pytania A-3, B-2, C-1 i...

– Czemu takie niskie? – roześmiał się oficer. – Tak nisko mierzyć?

– Dla odmiany D-47.

– Proszę. Zapiszcie sobie pytania.

Rej nabazgrał na kartce kilka słów (nie było sensu notować pytań dokładnie, bo i tak miał je na ściągde). Tym samym zakończył losowanie. Wyniki były jak najbardziej zgodne z jego oczekiwaniami. Podobnie zresztą losowali wszyscy.

Zestawów pytań z taktyki było ponad dwieście. Podzielono je na cztery grupy: A – armia polska; B – wojska NATO; C – zagadnienia ogólnowojskowe; D – pytania specjalistyczne (osobne dla zwiadowców, topków i dźwiękaczy). Odpowiadano na jedno pytanie z każdej podgrupy.

Podchorążowie poznali wcześniej listę zestawów egzaminacyjnych, a porucznik Siwak poinformował, że – podobnie, jak w poprzednich turnusach – losowanie w dniu egzaminu polegać będzie na podawaniu przez zdających numerów, które chcą *wylosować*. Oficer szkoleniowy SPR obawiał się, że bażanci pójdą na łatwiznę i wybiorą same najłatwiejsze pytania – w końcu w protokole egzaminacyjnym zapisywano treść i numery zestawów. Zdecydowano się więc wspomóc koło fortuny: autentyczne (konspiracyjne) loso-

wanie odbyło się w niedzielę rano. Od tej chwili każdy podchorąży trzymał swój los we własnych rękach.

A na wszelki wypadek urządzono jeszcze zrzutkę po tysiąc złotych od łebka na obiad dla komisji. Zakupem wódki zajął się młodszy chorąży Zięba (*nota bene* jej część zdefraudował, wspólnie z chorążymi Półkośnikiem i Malinowskim).

Obie strony skrupulatnie przestrzegały zasad tej gry. Podchorążowie udawali, że nie znają treści *losowanych* pytań, a wysoka komisja udawała, że nie wie, co podchorążowie udają.

Rej usiadł w ławce, na blacie której stał IZS, czyli indywidualny zestaw samochodowy do częściowych i całkowitych zabiegów specjalnych na uzbrojeniu i pojazdach mechanicznych. Było to urządzenie nieskomplikowane, za to wystarczająco duże, by podchorąży poczuł się pod jego osłoną bezpiecznie jak w bunkrze.

Był z tego zadowolony. Słyszał, że Niewiadomski i Pietruszka odbierali już niektórym poprzednikom ściągę. Po kilku minutach Łysak lub Piontek odnosili je z powrotem, ale po co sobie szarpać nerwy niepotrzebnymi utarczkami?

Miał co najmniej kwadrans na przygotowanie. Przystąpił więc do uprawy swej działki egzaminacyjnej fikcji. Pracowicie przepisywał odpowiedzi z małego gotowca na wielką płachtę egzaminacyjną (płachty te były numerowane i załączane do protokołu egzaminów).

Przyłapał go na tych zabiegach Piontek, który właśnie wrócił na salę, po zatamowaniu kolejnego krwotoku. Kilka czerwonych kropel poplamiało jasnozielony mundur wyjściowy.

Komendant SPR pochylił się nad Rejem.

– Czy podchorąży ma jakieś problemy?

– Nie, wszystko zgodnie z planem – uśmiechnął się bażant, demonstrując pomoce naukowe.

– Dobrze, dobrze... – odetchnął z ulgą major. – Cieszę się, że podchorąży poważnie podszedł do egzaminów. Tylko się nie denerwujcie, wszystko będzie dobrze!

Piontek odszedł, by wspierać i podtrzymywać na duchu pocącego się w konfrontacji z pułkownikiem Niewiadomskim Nodryś. Rej z politowaniem spojrzął za swym przełożonym: tu się tak denerwuje, że krew mu z nosa leci, a jak by wyglądał w prawdziwej walce?

Nodryś się męczył. Ale jak miał się nie męczyć, gdy już na wstępie pułkownik zadał mu podchwytliwe pytanie:

– Jaki kaliber ma armata plot 57 mm?

Podchorąży odparł, że armata przeciwlotnicza 57 mm ma kaliber pięćdziesiąt siedem milimetrów. Odpowiedź ta jednak nie usatysfakcjonowała egzaminatora. Zadał kilka pytań dodatkowych, a po każdej odpowiedzi pogardliwie kręcił głową. Wreszcie rzekł:

– Wiecie, może i będę mógł wystawić wam ocenę dobrą, ale pod warunkiem, że mi prawidłowo odpowiecie na to pierwsze moje pytanie. No, strzelajcie! Śmiało! Po żołniersku!

– Pięćdziesiąt siedem!

– Eee...! To już było!

– Siedemdziesiąt pięć?...

– Eee... Kulą w płot strzelacie, kolego. Siedemnaście.

– Sie-dem-naście?!

– No bo do lufy wchodzi siedemnaście półlitrowek, he, he. A teraz – zegnam!

– Obywatelu pułkowniku, proszę o pozwolenie wyjścia!

– Odbój! Ocena ogólna: trzy.

Reja rozśmieszyła ta zabawa pułkownika z Nodryś. Było jasne, że egzaminatorzy są już znudzeni i bardziej zależy im na rozrywce niż na sprawdzaniu czyjejś wiedzy (a może uczciwie uważają, że to nie ma sensu, bo i tak wszystko jest szopką?). A to można i należy wykorzystać...

– Jak było? – zapytał Szalski.

– Cienko. Wszystkiego się czepiają – Nodryś otarł pot z czoła.
– A Rej już odpowiadał?

Nodryś machnął ręką i poszedł *zalec* na wozie. Był wściekły. Na szczęście politykę zdał na pięć, ale poza tym nic mu się ostatnio nie układało.

Współspacze go nie cierpieli. Wydziwiali, że nie pierze skarpetek i lubi podśpiewywać. No, może... Sam wiedział, że operowego głosu nie ma, ale co komu przeszkadza, jak sobie ponuci przy goleniu i przed snem? Niektórzy warczeli, że najbardziej irytuje ich nie sam śpiew, ale nucone teksty. Nodryś miał bowiem repertuar umiarkowanie bogaty i najchętniej śpiewał pieśń składającą się z sześciu słów: *podchorążowie ósmego poboru na bój szli*, i apiat od nowa. Uważał to za niezły dowcip, ale – niestety – nikt poza nim nie poznał się na tym.

Nie lubili również jego ulubionego powiedzenia: *w chuja cięcie – też zajęcie*. Twierdzili, że co prawda jest ono bardzo popularne w armii, ale wśród szwejków i trepów, a bażantom nie przystoi. Nawet nachalnie afiszujący się zamiłowaniem do kpiny i groteski Rej też nie uznawał tego porzekadła. Zresztą ten cały Rej... Na Dzień Podchorążego założył pagony rosyjskiego lejtnanta! Też pewnie, żeby się podlizać... Po całej Szkole się szarogęsił, jak gdyby to on tu rządził... A Daczny w mundurze generała polskiego frontował ruskiemu porucznikowi i w byle duperelach zasięgał jego rady... Co za nieprzyzwoite aluzje!

Śpiewali ostatnio piosneckę: *podchorąży Rej między nami wodzi rej*, i sam Rej też chyba uwierzył, że wodzi wszystkich na swoim pasku... A to przecież wierutne kłamstwo! Razem z Dacznym kolaborują z trepami i pewnie kablują, gdzie popadnie. Wiadomo, że obaj chcą zostać w Szczupakowie, w brygadzie. A o miejsca tu ciężko. Tylko trzy dla zwiadu, a i tak więcej niż dla innych plutonów. Jakże złorzeczyli na to Szczupakowo na początku! Ale gdy pojeździli na przepustki i pogadali z bażantami z innych szkół,

to zobaczyli, że w niewielu jednostkach traktuje się podchorążych równie dobrze, jak w 1 ŚBAA. Teraz to prawie wszyscy chcieliby tu zostać. Niektórzy również dlatego, że to jednostka odwodowo-szkoleniowa, a co za tym idzie, w roku ma tylko dwa, i to króciutkie, poligony. Do tego ledwo trzymiesięczna karencja na wyjazdy zagraniczne, a gdzie indziej często zdarzają się i trzy lata. I osobny internat dla praktykantów, a nie salki na pododdziałach... Było więc o co walczyć.

Nodryś też chciał zostać w Szczupakowie: mieszkał w Białymstoku, tam zostawił żonę i córeczkę. W Szczupakowie wiadomo było, czego się trzymać. W każdym miesiącu praktyki Nodryś mógłby liczyć na kilka dni urlopu, a latem przyjeżdżałaby do niego żona z dzieckiem. A gdzie indziej? Krążyły co prawda legendy o jednostkach, gdzie trzeba zgłaszać się tylko po żołd, ale tak naprawdę nikt ich nigdy nie widział. Nodryś znał też miejsca, gdzie dyżur gonił wartę, a bażanta traktowało się jak zapchajdziurę i *wóz bojowy PWP* (przynieś – wynieś – pozamiataj).

Podchorąży kompletował więc atuty i wydawało mu się, że ma wielkie szanse na pozostanie w 1 ŚBAA – w znacznej mierze dzięki temu, że wcześniej służyło tutaj paru jego znajomych.

Wszystko tak ładnie zaplanował i realizował... zgromadził tyle tromfów...

W pierwszych dniach września zgłosił się na dziennikowego. Profity: wiadomo, praktycznie to on ustalał ceny plutonu zwiadu. Kłopoty: już kilka razy trzeba było przepisywać Dziennik, bo zmieniały się zasady jego prowadzenia.

Dziennik plutonu nie był bynajmniej takim sobie zwykłym dziennikiem, jak na przykład ten stosowany w szkole. Tu każdy przedmiot należało zaznaczyć innym kolorem, a i uświetnić barwnym szlaczkiem. Poza tym średnia ocen (zarówno indywidualnych, jak i drużyn) musiała być wpisywana w odpowiednio podkolorowanych kratkach, i to tak, aby każdy tydzień różnił się od innego.

W wojsku takie rzeczy trzeba kolorować nie mniej dokładnie niż w przedszkolu. Innych spraw też nie pozostawiano przypadkowi: w poniedziałki porucznik Śmiechocki podawał Nodrysiowi przewidywaną średnią ocen na koniec tygodnia, a ten musiał się starać, żeby była ona zgodna z finalną prawdą.

Wszystko szło jak po maśle! Nodryś zawsze dbał o to, by jego własna średnia była tylko troszkę niższa od osiągnięć Kogutowskiego, prymusa plutonu. Wiedział, że o przydziale miejsc praktyki decydować będzie lokata, na którą wpłynie suma stopni z egzaminów (w sześćdziesięciu procentach) oraz średnia dotychczasowych ocen (w czterdziestu procentach). Od czasu, gdy stało się jasne, że połowa plutonu zainteresowana jest pozostaniem w Szczupakowie, sytuacja się zaogniła.

Może trzeba było zrobić sobie średnią wyższą, niż ma Kogutowski? Ale już za późno – dzienniki od wczoraj zamknięte w kasie pancernej...

Ta deta z taktyki może mieć nieprzyjemne reperkusje...

Niestety. Od czasu, gdy kazano Nodrysiowi polikwidować w Dzienniku plutonu wszystkie pały, średnia ocen jego i konkurentów różniła się bardzo niewiele... Taki Borówka miał teraz niezłą przeciętną, szczególnie że kapral Muca przy każdej okazji starał się mu dostawić jakieś czwórki *za pracowitość*...

No i do tego Borówka wrednie wygryzł Nodrysia z funkcji nieetatowego pomocnika dowódcy plutonu. Przecież wiadomo, że z Parowy każdy się nabija, a Nodryś potrafiłby przeprowadzić zbiórkę po mistrzowsku... Gdzie tu sprawiedliwość?

Na egzaminie z taktyki Chryniowi nie udało się powtórzyć manewru, którym tak pognębił arbuza Maćkę. Wszedł co prawda do sali dźwiękowej bez meldowania, usiadł przed pułkownikiem Pietruszką, ale...

– Podchorąży Chryń? – uprzejmie zapytał Pietruszka.

– Tak. Chciałem losować pytania. Moje numery to A-7, B-20...

– Podchorąży nie będzie teraz pytany – powiedział oficer i dodał z naciskiem: – Podchorąży już o d p o w i a d a ł.

Chryń zrozumiał.

– I co, może jeszcze pięć dostałem?

– Niestety, tylko ocenę dobrą. A chcecie więcej?

Chryń wyszedł. Z hukiem zatrzasnął za sobą drzwi. Poszedł do szatni, gdzie miał zakonspirowaną prawie pełną butelkę czystej wyborowej.

Cyronia rozśmieszyło, że pytanie dodatkowe, zadane mu przez pułkownika Niewiadomskiego, dotyczyło metod kaligraficznego (nie na maszynie) sporządzania konspektów. Ileż on się tego tu naskrobał swoim ozdobnym charakterem pisma: i z musztry, i z taktyki, i z czego się tylko dało. Na początku nawet go bawiło, że trepy niewolniczo trzymają się tych karteluszków; również dyspozycje czasowe, choć wzięte z sufitu, celebrowali z precyzją godną lepszej sprawy (*Zagadnienie nr 1: tempo raz. Czas osiem minut. Zagadnienie nr 2: Dostawianie nogi prawej do lewej. Czas dwadzieścia jeden minut*).

Konspekty odręczne i hasła okolicznościowe były SPR-owskimi specjalnościami Bogusława Cyronia, który na dokładkę był jeszcze dziennikowym plutonu topograficznego. Jednak ze wszystkich rzeczy, jakie zrobił w Szczupakowie, najbardziej był dumny z wykonanego na Dzień Podchorążego transparentu: *Miles militi mili-*

„- Cyfra ma prawo do kapryśnych zachcianek, gdy fala się kończy. Lepiej z nią nie zadzierać. Szczególnie, jeśli jest cyfra stada rozbestwionych bażantów – pomyślał porucznik Markiewicz, rozglądając się płochliwie.”

tae est. Właściwie najpierw chciał wykonać plakat z hasłem: *Żołnierz żołnierzowi żołnierzem*, ale dowództwo się na to nie zgodziło, wietrząc podobieństwo do *Człowiek człowiekowi wilkiem* – zresztą słusznie. Wersja łacińska przeszła już bez trudności. Choć raz przydało się w artylerii, że Cyroń ukończył filologię klasyczną...

– Dowódca... celowniczy... dowódca...

Hultajkowi poplątały się ściągę i – choć wszystkie w odruchu rozpaczy wyłożył na biurko egzaminatora (czego ten dyskretnie nie dostrzegął) – nie zdołał odnaleźć właściwej.

– No, jakie jeszcze funkcje są w obsłudze haubicy? – uparcie dążył wojskową wiedzę bażanta Niewiadomski.

Stojący przy oknie major Piontek wykonywał dziwne ruchy. Hultajek uznał, że z grubsza przypominają działania palacza w kotłowni.

– Kotłowy! – radośnie wypalił podchorąży.

Pułkownik nie był zachwycony.

– Nie kotłowy, tylko ładowniczy! Nic nie umiecie! Ale dobrze wam z oczu patrzy, więc dostaniecie ocenę dobrą!

Tymczasem Daczny przygotowywał się do egzaminu z polityki. *Wylosował* już pytania, ale zupełnie mu się nie spieszyło do odpowiedzi. Wolał siedzieć i słuchać. To w końcu już finał... Boże, jakże on się wynudził w tym grudniu! Nuda była tak beznadziejna, że pożądane było każde urozmaicenie, nawet darmowe korepetycje dla dzieci trepów. Daczny na parę rzeczy już się w wojsku napatrzył i prawie otrząsnął z szoku po śmierci elewa Orłosia. Ale, trzeba przyznać, ślicznie zatuszowali sprawę chłopaka. Lepiej nie wnikać zbyt dokładnie, jak to zrobili, bo samemu źle się skończy... Wezwali zresztą Daczego do kontrwywiadu i grzecznie ostrzegli, że nie jest wskazane, by strzępił język na temat tajemnic wojskowych.

Może by jednak i wywłókł sprawę, gdyby nie rozmowa z matką Orłosia – spotkali się w gabinecie kapitana Trochińczuka. Czego się bała ta kobiecina? Czyżby tego, że młodszego syna, gdy trafi do armii, też może spotkać los starszego brata? Lepiej w to nie wnikać. Marek Rej ma rację... Dopóki w tym kraju rządzi wojsko i Partia (a ta koalicja pewnie będzie rządzić jeszcze długo), trzeba trzymać się od tych rzeczy jak najdalej, żeby mieć czyste ręce. To przykre, ale przyjęcie innego rozumowania byłoby tylko samooszukiwaniem się...

Czyż armia nie oczekuje od bażanta właśnie takiego samooszukiwania się? W końcu w porównaniu z żołnierzami służby zasadniczej podchorąży SPR żyje w warunkach niemal komfortowych, w takim pokoju z widokiem na los innych ludzi – wiele widzisz, ale ciebie niewiele dotyczy. Wojsko. Wojsko. Wojsko...

Teraz to już jeden bażant na drugiego krzywo okiem łypie, awantury wybuchają o byle bzdurę. Trzy-cztery miesiące to może nie jest długo, ale tu jeszcze osiem! Tyle życia bezsensownie przecieka przez palce...

Człowiek przywyka do tego, co wokół niego, i podporządkowuje się tutejszym regułom gry. Do pewnego stopnia każdy jest kameleonem. Nawet jeśli temu zaprzecza. Czy ten proces jest odwracalny?

Nie raz i nie dwa już się nad tym zastanawiał. Ile to już razy stawał przy grzybie, przed wielkim lustrem, i patrzył w obcą gębę...

To była jego własna twarz. Lisi pysk. Własno-obca morda. Obca wcale nie dlatego, że włosy przy niej krótkie. Włosy zresztą odrosną, nigdy jednak nie odrośnie coś innego... Coś, co na zawsze utracił.

Rej był wolny od rozterek moralnych. Skończył już przygotowania do egzaminu, ale obserwowanie innych sprawiało mu tyle satysfakcji, że sam wciąż zwlekał ze zdawaniem. Opracowywał

przy tym plan najazdu na pułkownika Niewiadomskiego. Zamierzał przecież wygrać zakład z Szalskim. I był coraz bardziej pewien, że wie, jak to zrobić.

Wreszcie przyszła kolej i na niego.

– No to ja najpierw zapytam podchorążego nie z rzeczy wylosowanych – zaproponował Niewiadomski. – Zgoda?

– Jasne...

– Jakie znacie typy czołgów polskich?

– Pantera, Leopard, Predator, Rudy 102...

Informacje podchorążego wywarły na egzaminatorze duże wrażenie.

– Co mi tu pierdolicie?! Co to za czołgi?! Prędeż mi czołg po czole przejedzie, niż u nas takie będą!

– O, już jedzie... całkiem szybko nawet – uśmiechnął się Rej.

– Brawo! To się nazywa refleks! Będziecie znakomitym dowódcą! – zachwycił się pułkownik. – Dacie sobie radę z żołnierzami!

– Myśli pan, że ze w s z y s t k i m i – zaakcentował Rej – żołnierzami?

– Ha, ha! Udani jesteście!

Dalej poszło jeszcze bardziej gładko.

Perypetie małoletniego Frania

– To nie jest tak, że podchorążowie czegoś nie wiedzą. Jeśli nie mówią tego, co trzeba, znaczy to tylko tyle, że w tym temacie egzaminatorzy nie potrafią z nich wydobyć wiedzy! Przecież cztery miesiące intensywnego szkolenia nie poszły na marne!

Tak stwierdził pułkownik Czachórski, gdy odwiedził SPR w czasie południowego apelu. Prawdopodobnie motywem wizyty była chęć zbadania na miejscu przyczyn zajścia między podpuł-

kownikiem Gembalą a Mamutem. Doniósł o tym Dowódca JW 1281 – ku rozpaczy majora Piontka – ktoś równie niezdyscyplinowany, jak i złośliwy. Na szczęście sprawę już załagodzone. Można więc było z czystym sumieniem poinformować pułkownika, że poziom egzaminów jest niezwykle wysoki i o żadnych scysjach mowy być nie może.

Nieufny, acz usatysfakcjonowany Czachórski zapowiedział na pożegnanie, że nie wyobraża sobie, by średnia ocen SPR mogła być niższa niż 4,2, a wyższa niż 4,3, i powrócił w sztabowe pielesze.

Zaraz po obiadowej miseczce do izby 106 wkroczył porucznik Śmiechocki. Oczekiwali go w napięciu wszyscy zwiadowcy.

– No wiecie, kurwa, obywatela – przywitał się oficer. – Jak było, każdy wie... Czytam oceny z polityki.

Nikt, oprócz Reja i Dacznego, nie siedział na wozach. Żołnierze plutonu zwiadu oblegli dowódcę, zaglądając mu przez ramię do Dziennika.

– Borówka – pięć...

– Hurra! – ucieszył się Borówka.

– Daczny – pięć. No co się, kurwa, mówi?

– Ku chwale ojczyzny...

– Hultajek – cztery. Co tak słabo?

– Ktoś musiał...

– Kogutowski – pięć.

– Ku chwale ojczyzny...

– Lange – pięć.

– Ku chwale...

– Nodryś – cztery.

– Co?!

Tego się Nodryś nie spodziewał. Z jakiej okazji dostał tylko czwórkę z polityki?!

– No wiesz, Nodryś – wyjaśnił porucznik – ktoś, kurwa, musiał. Ty i tak masz wysoką średnią za całokształt szkolenia. Olszewski dostał znowu pięć...

– Ku chwale ojczyzny...

– Rej – pięć. Ciebie to nawet, kurwa, nie pytali, tak?

– Tak... – ziewnął Rej.

– Ruchacz – cztery.

– Ku chwale ojczyzny! – zaśmiał się Ruchacz.

– Zdyb – pięć.

– Ku chwale...

– Jak więc widzicie, średnią mamy prawie 4,8. Znakomicie! Niestety, taktykę to przesraliście. Choć i tu są, kurwa, perełki, obywatele... Nie zaglądać mi przez ramię, bo sobie pójdę, do chuja pana!

Oficer odsunął się nieco do tyłu, by nikt nie zerkał mu do Dziennika. Jako przejęty swymi obowiązkami dowódca, osobiście chciał obwieścić rezultaty ostatnich bojów.

– Borówka – pięć!

Rewelacja ta spowodowała spore poruszenie. Kilka osób złożyło gratulacje czerwonemu ze szczęścia bażantowi.

– Co, Jasiu, na zawodowego teraz podpiszesz? – zaśmiał się Rej.

– Co sobie kpisz?! – oburzył się Borówka. – Zazdrościsz mi piony?

– Tak, zazdroścę... – Rej skrzywił się z niesmakiem.

– Nie przeszkadzać – upomniał porucznik – bo sobie pójdę! Dacznym – trzy, Hultajek – cztery, Kogutowski – tylko trzy. Jak to się obywatelu, kurwa, stało?

– Pytali mnie o to, ile mają być oddalone moździerz od przedniego skraju obrony. W ściadze miałem, że od tysiąca dwustu do tysiąca pięciuset metrów...

– Prawidłowo, obywatelu, kurwa.

– Ale pułkownik powiedział, że dwa kilometry, a drugi pułkownik, że co najwyżej kilometr. Zaczęli się kłócić, a mnie wyrzucili za drzwi...

– No tak, kurwa, też bywa. Mam nadzieję, że na egzaminie praktycznym będzie lepiej. A teraz: Lange – trzy, Nodryś – też trzy...

Nodryś był już zupełnie przybity – łudził się ciągle, że może jednak Niewiadomski postawił cztery... A Borówka zarobił dwie piątki, Dacznym też się śmiało, że choć wiedział, iż egzamin w wojsku jest szopką, to nie myślał, że aż taką...

– Olszewski – trzy, Ruchacz i Zdyb – to samo, ale obywatele, kurwa, Rej, wyobraźcie wy sobie, ocena c e l u j a c a! Co ty, Rej, Niewiadomskiego w sobie rozkochalesz? Wiem, że ty masz gadane jak sam Połomski, ale co mu naplotłeś? Przecież ty o artylerii to pojęcia, kurwa, obywatelu, nie masz.

– Ale mam pojęcie o artylerzystach i wojsku jako instytucji – wyjaśnił nowy kandydat na prymusa plutonu. – To wystarczyło...

Rej nie chciał wnikać w szczegóły. Tylko Dacznemu i Kogutowskiemu opowiedział później, jak było naprawdę.

Najpierw wiadoma dyskusja o typach czołgów. Potem zachwyty nad polską miłością do munduru i żołnierskiego ducha. Pułkownik wziął to na poważnie i – już poszło. W czasie dysputy o gatunkach wódek prawie się zaprzyjaźnili.

Był pewien piątki. Cieszył się z niej, bo oznaczała wygraną zakładu z Szalskim.

Szalski dotrzymał słowa.

Zdążającą na kolację kolumnę SPR wiódł Borówka. Kroczył dumnie, z uniesioną głową. Nogi dźwigał wysoko, a rękoma pomachiwał dziarsko na wszystkie świata strony. Był dumny, że prawie jednogłośnie wybrali go nieetatowym pomocnikiem dowódcy plutonu. A najbardziej cieszył się z otrzymanych piątek. Te to za-

wdzięczał tylko sobie, tylko twardej konfrontacji własnej wiedzy z żołnierskim egzaminem!

Mijali właśnie tablicę ze zdjęciami *Oficerów – przodowników pracy i wyszkolenia*. Kilka fotografii było okaleczonych: majorowi Piontkowi wydtubano oczy, podporucznika Głodówkę pozbawiono zębów, a z fotosu porucznika Siwaka ocalała dla odmiany tylko szczęka.

– Od czoła... melorecytacja! – zarządził prawoskrzydłowy Tomala: – *Franio!*

Znudzony onanizmem małoletni Franio

Zdybał siostrę w wannie

I rzucił się na nią.

Na nią, na nią, na nią!

Mile złego po-cząt-ki,

Lecz koniec ża-łos-ny:

Dostał lanie od ojca

I syfa od siostry...

Od siostry, od siostry, siostry!

– Śpiewać czego innego nie możecie? – z budynku wyszedł oficer dyżurny. – Czegoś poważniejszego?

– Cyfra nie pozwala!

Tak. To jest wyjaśnienie – pomyślał porucznik Markiewicz. Cyfra ma prawo do kapryśnych zachcianek, gdy fala się kończy. Lepiej z nią nie zadzierać. Szczególnie, jeśli jest cyfrą stada rozbestwionych bażantów.

Oficer rozejrzał się płochliwie, czy aby któryś z dowódców brygady nie obserwuje przemarszu SPR.

Na szczęście teren był czysty.

Po powrocie z kolacji Rej zajrzał do gabinetu porucznika Siwaka.

– No i jak, Heniek? – zapytał.

– Widzisz, kurwa, cztery z polityki ci załatwiłem...

– Dziękuję!

– Ale zlikwidować piątki z wyróżnieniem z taktyki to się nie da. Niewiadomski się uparł, bo mówi, że tak odpowiadającego żołnierza jak ty, to nie pamięta... Czemu ty właściwie chcesz to zmienić? Taka, kurwa, ocena to zaszczyt! I wujek się ucieszy...

– Dobra, dobra... Sprawy z wujkiem to już mnie zostaw. Ale postaraj się przynajmniej, żebym jutro żadnej piątki nie dostał. Najbardziej interesują mnie dety...

Oficer obiecał, że się postara. Teraz jednak musiał szybko zniknąć, gdyż w hotelu garnizonowym członkowie komisji oczekiwali na transport kaset wideo z pornosami. Siwak zjawił się w SPR tylko po to, by je zabrać.

– Musimy zacząć pić to, co załatwiliście, bo, kurwa, nie zdążymy...

Wódka, zakupiona przez podchorążych na egzaminy *pociła się* już od kilku dni.

Pułkownik Niewiadomski przyznał, że tak dobrego poloneza dawno nie pił.

– Cyfra 72gdkSPR!

– Co ty pleciesz?

– Siedemdziesiąt dwie godziny do końca SPR-u. W czwartek nas puszczą, bo w sobotę Wigilia.

– Już to widzę! Najwcześniej w piątek. A poza tym *siedemdziesiąt dwa* to azymut, nie cyfra!

– Przecież egzaminy kończymy w środę rano. Po co mamy tu dłużej siedzieć?

– Żeby im się ewidencja zgadzała!

– Nie słyszałeś, że Czachór chce mieć z nami pożegnalny obiad w piątek? Nie da się tego obejść, bo wymaga tego Ceremoniał wojskowy.

– Bez jaj! Jak kto ma dalej, to na Wigilię może się do domu nie załapać!

– Nie pitol, bo wykrakasz!

Zebrane w palarni towarzystwo dyskutowało głośno i zawzięcie. O egzaminach mówiono niewiele, lecz o terminie rozpoczęcia taryfy – dużo.

Nie spodobało się to Mucy:

– Panowie! Jeszcze egzaminów nie zdaliście!

– Zapal sobie lepiej, Franek – zaproponował Rej. – Tylko siedź cicho.

– Tak? – zaperzył się kapral. – A co będzie, jak cię ktoś jutro o coś zapyta? Skompromitujesz naszą Szkołę! Przecież ty nawet tabeli rozkazodawstwa nie umiesz!

– A kto umie? – zaciekał się Rej.

– No... chyba nikt...

– Czyli ty też?

– No nie... trochę... to, co Śmiechocki mi kazał...

– To ja już wiem, co powiem, jak mnie o coś niebacznie zapytają.

– Co?

Rej nabrał powietrza w płuca:

– Kaaapral Muuuuca do mniecee!

Podoficer też się roześmiał. Ale o wiele mniej szczerze niż pozostali. Jemu zupełnie nie przypadły do gustu zmiany, jakie nastąpiły w SPR w ostatnich tygodniach. Robił, co mógł, by się dostosować, ale było to coraz trudniejsze. Liczył, że nowemu turnusowi bażantów zalezie w styczniu za skórę na tyle mocno, by na zawsze odeszła im ochota do poufałości z przełożonymi.

Dobry humor Borówki stopniał szybciej niż śnieg, który na rozkaz pułkownika Czachórskiego elewi zwozili taczkami na plac musztry *w celu upiększenia*. Co prawda egzaminy poszły mu wręcz rewelacyjnie, ale teraz dawał mu się we znaki całodobowy dyżur.

Czego ten w mordę jebany Ruchacz chce od niego?! Muszle klozetowe wypucowane, gazety na papier toaletowy pocięte, Borówka chciał nawet wymienić nieświecące od tygodni żarówki.

Tyle razy przejmował od innych służbę i nie narzekał, że śmieci nie są wyrzucone. Ale dziś, jak ktoś podprowadził zapalki alarmowe, to głupek Ruchacz dyżuru przejąć nie chce. Nie chce, kutas jeden, bo pisze ściągę na jutro.

On ściągę, a ty nieszczęśniku szukaj zapalek, które podkradli palacze. Może sam Ruchacz je podjebał? Niby raczej nie, bo ma zapalniczkę... chyba że przez złośliwość...

Pracuj, pracuj, pracuj – a w podzięce jeszcze cię w dupę kopną. I od grubych parówek wyzwą...

Dziś już będzie zbyt zmęczony, żeby poduczyć się na jutro. Jak to było z tym PAB-3? Nikt nie wie, do czego służy ten cholerny boczny pierścień... Głodówka, jak do tego na zajęciach z topografii doszedł, sprytnie zrobił przerwę. A po przerwie zajął się czymś innym, bo *ni mo czasu na tak proste sprawy*. Jak zwykle, nie wiedział, głupek jeden. Ale problem jest... Bo w starym typie *papki* (PAB-1, PAB-2) tego pierścienia nie było. Nawet Śmiechocki nie wie, do czego on służy...

Borówka jęknął z bólu. Doskwierało mu stłuczone kolano. Do tego to cholerne oświetlenie! Musiał wznieść całą konstrukcję ze stołków i taboretów, by się dostać do świetlówek i przeczyścić je ściereczką. Nikt nie ruszył dupy, żeby mu pomóc. Czy to więc jego wina, że świetlówka się rozbiła, a na dodatek jedno z krzesel połamało? Sam też się potłukł. A oni jeszcze się nabijali... Ogórko mu herbatę niby przyniósł później, na przeprosiny. Ładne mi przeprosiny! Szamponem poczęstunek przyprawił, a ufny i spragniony

Borówka przełknął jednym haustem z pół szklanki. Koooledzy! Chuje, nie koledzy... Piątek mu zazdroszą...

Do diabła z tym wszystkim! Najważniejsze, że Janinka się ucieszy, gdy usłyszysz o wynikach dzisiejszych egzaminów! Jak jutro też tak pójdzie, nikt mu nie wyszarpie miejsca w Szczupakowie... Zostanie tutaj! Razem z Janinką...

Jeden z dwóch nowych dyżurnych SPR Artylerii znał Regulamin na tyle, by sobie zadać pytanie: skoro służba w czasie egzaminów jest wyróżnieniem, dlaczego właśnie ja ją pełnię? Czemu, do cholery?!

Konstatacja ta napełniła Ruchacza pewną melancholią. A przecież jeszcze niedawno dyżur był atrakcją dla największych obiboków. Szczególnie w ostatnią sobotę, gdy dyżurnym Kogutowskiego był Dacny. Cała Szkoła zapierniczała na okrągło, czyszcząc broń i maski przeciwgazowe, a służba *sprawdzata porządek na izbach*, czyli na zmianę cięli komara. Trzeba przyznać, że to czyszczenie sprzętu obfitowało w zabawne wydarzenia... Czyż nie piękna była sytuacja, kiedy Piontek sprawdzał maski? Lazł wzdłuż szeregu i rozpaczał:

– I to jest kapral podchorąży! I to też ma być kapral podchorąży!? Teraz się nie dało, ale od stycznia to tu wreszcie zrobimy prawdziwe wojsko! Niech no tylko w kraju się uspokoi!

Komendant był wściekły, że nikt w całej szkółce nie potrafi dobrze wyczyścić maski. Jednak sam nie umiał wyjaśnić, dlaczego ich maski są wyczyszczone nieprawidłowo i na czym ta wada polega.

Atoli wystąpienie mysiej pipy miało jedną zaletę: poza Borówką wszyscy uwierzyli, że egzamin końcowy będzie formalnością. Niby od początku deklarowali przekonanie, że egzaminy w wojsku to parodia, ale iskierka niepewności zawsze się tliła – w końcu przyzwyczaili się, że w cywilu egzamin jest sprawą raczej trudną.

Tak czy owak, Ruchacz miał już serdecznie dość całej tej Szkoły. Ciągnęło go na praktykę. Wiedział, że karnie – za numer z WSW i inne zasługi – wylądował w *trójkącie bermudzkim* (Żary-Żagań-Krosno Odrzańskie), a konkretnie w Żaganiu. Bardzo go to cieszyło. Choć sam mieszkał w Przemyślu, jego siostra wyszła za mąż w Żaganiu... Wolał się tym nikomu nie chwalić, póki kłamka nie zapadła i papiery nie zostały podpisane. Po co Śmiechocki ma się dowiedzieć, że przewidziana przezeń kara jest w istocie nagrodą? Jeszcze by go zostawił w Szczupakowie. Dobrze, że trepy nie wiedzą...

– Wszyscy dyżurni do oficera dyżurnego! – obwieściła szczeniaczka zawieszona nad grzybem. – Natychmiast! Powtarzam: wszyscy dyżurni...

W SPR było znowu (jak przed przysięgą) dwóch dyżurnych, gdyż dowództwo dla odmiany uznało, iż jest to niezbędne dla załagodzenia skutków egzaminacyjnego rozgardiaszu. Tak więc partnerem Ruchacza został Rej. Ich podoficerem dyżurnym był Tomala.

Dobrana trójca urządziła minikonferencję, która miała wyjaśnić, czy warto wykonać rozkaz oficera dyżurnego. Zwyciężyła opinia Reja, który radził się przejść, bo a nuż wydarzy się coś ciekawego...

Gdy dotarli przed dyżurkę oficera, czekało tam tylko czterech elewów.

– Co, do cholery? – zdziwił się Rej. – Czyżbyśmy tym razem nie przyszli ostatni?

W ciągu minuty zjawili się pozostali dyżurni.

Wtedy porucznik Wilkaski wychylił się z okienka.

– Węgiel będziecie z anclarzami rozładowywać! Łopaty wam da, kurwa, sierżant Milecki.

– To my sobie już idziemy – powiedział Rej.

– Dokąd to, kurwa? – zatrzymał podchorążych oficer dyżurny.

– Wracamy do SPR-u. Uczyć się.

– A z jakiej to, kurwa, okazji? Gównu mnie obchodzą wasze pierdolone egzaminy, jak nawet jednej belki na pagonach nie macie!

– Przecież wie obywatel – powiedział z przyganą Rej – że po pierwsze, cyfra nam nie pozwala, a po drugie, taki jest rozkaz pułkownika Mleccki.

Porucznik postanowił pogodzić się z losem i podchorążymi. Dobrze wiedział (ale po cichu liczył, że może nie wszyscy bażanci są tego świadomi), iż rozkaz dowódcy dywizjonu szkolnego zakazuje angażować ich do prac fizycznych poza budynkiem SPR. Tak zdecydował Mleccko w rezultacie spotkania z kapiącym dół i dzięki temu niemilosiernie umorusanym Borówką. Było to jeszcze we wrześniu.

– Dobra, kurwa, spierdalajcie – przyzwolił oficer dyżurny.

Rej i Ruchacz wyprężyli się na baczność i zasalutowali.

– Rozkaz, kurwa, spierdalamy! – rzekł służbiście Rej.

Wywołało to śmiech nawet u zastraszonych elewów. Porucznik jednak rychło im przypomniał, że co wolno wojewodzie, to nie tobie – smrodzie:

– Co michy cieszyacie?! Do roboty, kurwa, biegiem! Ja was dziś, chuje, ścinę, kurwa wasza mać w dupe jebana! Łopaty i ruchy, ruchy! Koty jedne!

– Ładnie trepa skarciłeś! – pochwalił kolegę Ruchacz.

– Wiesz, czasem aż mi głupio – Rej uśmiechnął się krzywo. – Wariuję tutaj. Dopiekam trepom, ale czy przez to sam nie staję się taki jak oni? Śmiać mi się chce z własnej głupoty. Boję się, że to szczeniackie popisywanie się przejdzie ze mną do cywila...

Wtorek, środa, czwartek, ostatni wieczór...

Kończy się to, co złe. Kończy się to, co dobre. Wszystko się kończy.

Kończył się i pobyt podchorążych dwudziestej szóstej promocji SPR w Szczupakowie.

Wtorek dał im jeszcze popalić. To był dzień egzaminów praktycznych, które zdawali na placu ćwiczeń.

Jak na złość, właśnie wtedy Szczupakowo przypomniało, że nie przypadkiem uchodzi za stolicę polskiej zimy. Z samego rana świeciło jeszcze słońce, ale po śniadaniu zaczęły wirować w powietrzu pierwsze płatki śniegu. A potem... Wszystkie żywioły skupiły swą moc na śnieżycy. Widoczność spadła do kilku metrów. W ciągu kilkadziesiąt minut ziemia znalazła się pod grubą pierzyną białego, lepkiego i mokrego puchu.

Na plac poligonowy dowieziono ich ciężarówkami. Ponieważ było trochę mroźno i bardzo wietrznie, egzaminatorzy pojechali dalej, rozgrzać się w pobliskim klubie rolnika.

Bażanterię pozostawiono w szczerym polu, niedaleko brzegu jeziora. Nawet najwięksi spece od psychiki trepów nie potrafili rozsądzić: złośliwość czy przypadek? Zdają w końcu egzamin z obsługi sprzętu artyleryjskiego czy z umiejętności przetrwania w warunkach polarnych?

Około południa zawieja osłabła, widoczność znacznie się poprawiła. Lecz – jak okiem sięgnąć – biało, biało, biało...

„Teraz się nie dało, ale od stycznia to tu wreszcie zrobimy prawdziwe wojsko! Niech no tylko w kraju się uspokoi! - obiecywał sobie kapitan, ocierając krew z nosa.”

Dla rozgrzewki lepił bałwany i walczyli na śnieżki. Rej, Hulatak i Bratek usiłovali zbudować igloo – niestety, nie sprawdzili się w roli Eskimosów. Kopulasty dach igloo zapadł się pod własnym ciężarem, wprost na głowy swoich budowniczych.

Arktyka zupełna. Tylko pingwinów brakowało. Za foki robić mogły porozrzucane na brzegu jeziora drewniane bale, które wiatr powoli odsłaniał spod srebrzystej pokrywy.

Co za pogoda!

Dopiero pod wieczór porucznik Siwak przypomniał sobie o podwładnych i posłał po zmarzniętych bażantów dwie ciężarówki. Okazało się wtedy, że dwa samochody nie były potrzebne, bo tylko nieliczni dotrwali na posterunku. Pozostali samowolnie powrócili do koszar pieszo, po drodze zawadzając o restaurację – na rozgrzewkę.

Sprawy oczywiście nie analizowano dogłębnie, ponieważ wszystkim było na rękę uznanie, że wcale jej nie było. Obie strony zgodnie i milcząco przyjęły za oczywiste, że egzamin zakończył się w porze obiadowej, po czym wszystkich uczestników odwieziono do koszar.

O północy postawił SPR na nogi przewidziany programem egzaminów OWSGB, czyli alarm. Był on oczywiście niespodziewany, ale podchorążowie wiedzieli o nim kilka dni wcześniej. Spali więc w pełnym umundurowaniu – Borówka nawet w opinaczach i szalokominiarce.

Alert oceniono na piątkę z plusem. Zarówno przybysze z Warszawy, jak i pułkownik Czachórski wraz z całą kadrą byli zachwyceni poziomem wyszkolenia podchorążych, a w szczególności tempem, w jakim po pobudce osiągnęli oni stan pełnej gotowości bojowej.

Środę – do obiadu – poświęcono drugiej części egzaminów praktycznych z zajęć terenowych. Nikt nie miał ochoty powtarzać wtorkowej eskapady, urządzono je więc w budynku SPR.

Nie trzeba dodawać, że wypadły znakomicie.

Po południu podchorążowie przystąpili do gruntownego sprzątnięcia sal żołnierskich. Polegało ono przede wszystkim na pracochłonnym wiórkowaniu parkietów. Wieczorem odnowione podłogi wypastowano.

Drobna scysja wynikła w kwestii wyboru osób odpowiedzialnych za porządki w izbie podoficerskiej. Kapral Muca i starszy szeregowy Marmucha twierdzili, że podchorążowie powinni doprowadzić do błysku również podoficerkę. Ostatecznie przyjęto kompromisowy wniosek kaprała Trochińczuka, by dopomogli w tym tylko dwaj dyżurni. Muca nie był zachwycony takim obrotem sprawy, ale pogodził się z losem i ze szczotką.

Podczas gdy bażanci wiórkowali parkiety, kadra zawodowa rozwiązywała poważniejszy problem: średnia z egzaminów okazała się zbyt wysoka, gdyż wyniosła aż 4,5. W związku z tym zaistniała konieczność zredukowania jej do przewidzianego w planie szkolenia poziomu 4,2-4,3.

Była to sprawa kłopotliwa, jednakże zadanie nie było pierwszoznaczne dla znających swe rzemiosło fachowców. Prace zakończono więc w terminie i wieczorem Cyroń mógł przystąpić do kaligraficznego wypisywania dyplomów ukończenia Szkoły. Natomiast pisarz SPR, Marmucha, zajął się wpisywaniem do książeczek wojskowych stopnia o dumnie brzmiącej nazwie: *kapral podchorąży*. Do tej bowiem rangi awansowali wszyscy, za wyjątkiem trzech prymusów, którzy otrzymali o jedną belkę więcej.

Czwartkowe przedpołudnie to czas wielkich nerwów – przydzielano miejsca praktyk. Nie obyło się bez awantur.

Do kancelarii majora Piontka wzywano podchorążych w kolejności narzuconej przez lokaty uzyskane na egzaminach.

Niektórym rodziny i znajomi zapobiegliwie załatwili ZIP-y, czyli imienne zapotrzebowania, przesłane przez konkretne jednostki wojskowe. Teoretycznie takie zapotrzebowania mogły nadysłać do SPR Artylerii tylko jednostki artyleryjskie – w praktyce jednak różnie z tym bywało. Jeśli ZIP był podpisany co najmniej przez podpułkownika, nikt nie wnikał w jego zasadność.

Po obiedzie podchorążowie trenowali odbieranie dyplomów ukończenia SPR Artylerii. Czynili to pod batutą porucznika Siwaka. Ta próba generalna była ważna i niezbędna, bo świadectwa miał im wręczać sam pułkownik Czachórski.

Popołudnie poświęcono szorowaniu korytarza. Miało to być sprzątanie jedyne w swoim rodzaju, bo – pożegnalne.

Nie obyło się bez wspomnień.

– Spierdalaj, chuju! – wrzasnął Malczyk na Wittka. – Miejsce we Wrocławiu mi ukradłeś!

Malczyk pochodził z Wrocławia. Już w najbliższe święta, czyli za kilka dni, miał się ożenić. Bardzo mu więc zależało na tym, by otrzymać – jedyny dla plutonu dźwiękowego – przydział do rodzinnego miasta.

Wittek zaś mieszkał w Katowicach. Szykował się na przydział do Opoła, niestety, ten został nieodwołalnie zagarnięty przez Nawrockiego – który był poza konkurencją, bo wszyscy znali jego trudną sytuację rodzinną (zresztą nie do przebicia były połączone atuty członka PZPR i przewodniczącego ZSMP, wzmocnione nadesłanym z Opoła ZIP-em).

Wittek mógł również pójść do Nysy. Ale nie chciał. Bardziej mu odpowiadał Wrocław, bo *to duże miasto*. Ponieważ był członkiem PZPR, to miał i większą siłę przebicia – przy tej samej średniej ocen – niż bezpartyjny Malczyk.

– Cicho, Józek – uspokajał Malczyka Tomala – już za późno, by coś zmienić. Z Nysy do Wrocławia i tak dojedziesz szybciej niż z Mazur.

– Czołem, ogony!

To przyszli się pożegnać ogniomistrz podchorąży Zabawa i ogniomistrz podchorąży Synek. Od kilku godzin byli cywilami. Nie wyjechali jednak jeszcze ze Szczupakowa, bo opóźnił się obiad pożegnalny z pułkownikiem Czachórskim, a tym samym nie wydano im jeszcze dokumentów podróжных, musieli więc czekać na wieczorne połączenie do Warszawy.

– To teraz już jesteście prawie bażantami krzykliwymi – śmiał się Zabawa.

– A wy pijanymi – powiedział Ruchacz.

– O, nie! – zaprotestował Synek. – Tylko, kurwa, skacowanymi.

– Powtórz mi jeszcze raz – prosił Rej – jak ten podział leci?

– Pierwsze cztery miesiące: bażant strachliwy albo, jak kto woli, płochliwy...

– Sądysz, że my też tacy byliśmy?

– We wrześniu to może nie?

– Wszyscy?

– Wiesz, jak to z regułami... Wyjątki są zawsze. Na praktyce to dopiero, kurwa, zobaczysz...

– A tam jaki podział?

– Najpierw cztery miesiące bażant krzykliwy, a ostatnie... jedni mówią, że leniwy, a drudzy, że drapieżny. Zależy od charakteru. A ostatni miesiąc to sam, kurwa, widziałeś...

– Wy tu w ogóle chlaliście, ile wlezie.

– No tak, ale co tu, kurwa, robić innego?

– Tutaj to właściwie, w porównaniu z innymi, prawie nie piłem – stwierdził Rej – to i na praktyce nie będę. Choć w ostatni mie-

siąc pewnie rzeczywiście tak dam w szyję, że wyrobię kilkuletnią normę...

– Zaczyniesz ją wyrabiać już w pierwszym tygodniu. Zobaczysz, kurwa. Z nudów.

– Ta tutejsza nuda... Cały czas niby się za czymś biega, ale to takie jednostajne i pozbawione sensu...

– Ale wiesz – przerwał Synek – z drugiej strony, wojsko to, kurwa, ostatni etap w naszym życiu, kiedy nic od ciebie nie zależy i o nic nie musisz dbać. Wikt i opierunek, kiepskie bo kiepskie, ale za darmo. A jak się przyzwyczaisz do tego, że inni cię traktują jak, kurwa, szmatę, to już zupełnie fajnie może być. Nie ma dziwne!

– Mnie ciągle do tego ciężko przywyknąć. Nie potrafię. I bałbym się, żeby mi taka borówkowatość nie została na stałe...

– Eee... to, kurwa, minie. Tu człowiek jest inny niż w cywilu. Tylko nazwisko ma takie samo.

– Nie sądzisz, że cały ten kraj wygląda tak, jak wygląda, bo prawie każdy mężczyzna przeszedł przez takie wojsko? Nic szkolenia, za to dużo tresury!

– Przesadzasz... Mało jeszcze wiesz o tym wojsku. To nie jest, kurwa, takie złe. Pokazuje ludziom ich miejsce w życiu.

– Owszem. Pokazuje... Jest też zabawne. Ale to przecież szkoła czystej fikcji. Takie egzaminy choćby. Równie dobrze mogli je zrobić od razu we wrześniu. Groteska!

– Ale przecież czegoś się, kurwa, nauczyłeś?

– Żartujesz chyba. Czy ty na serio?...

Były asystent podporucznika Głódówki był jednak zupełnie poważny.

– Generał! Na ściere!'

Dacznym wykonał polecenie Maronia. Nie był tym *generałem* zachwycony, ale lepsze to już od *Pierdaczego*. Na nową ksywkę

zarobił 29 listopada. Wtedy bowiem, z okazji Dnia Podchorążego, bażanci przejęli symboliczny klucz do koszar. Dacznego mianowano komendantem SPR i przebrano w mundur dwugwiazdkowego generała (lampasy na podchorążackie spodnie naszyła w czynie społecznym fryzjerka, panna Krysia).

– Gdzie jest jakaś wolna szmata?

Jeszcze nigdy rejon-korytarz nie był robiony tak dokładnie i z takim zaangażowaniem. Bród pomiędzy płytek wydrapywano skradzionymi ze stołówki nożami, a Cyroń z zapałem wydzierał go gołymi paznokciami. Pracusie ofiarnie taplali się w błotnistej wodzie, która zalała całą podłogę.

– Panowie! Do widzenia!

To przyszedł pożegnać się Paweł Terleś, kuzyn sierżanta Maskiego. Załatwił wreszcie obniżenie kategorii zdrowia na B-12 i do egzaminów już nie przystąpił, choć major Piontek szczerze go do tego zachęcał. Terleś uznał jednak, że do wojska już nie wróci, a kapraleskie belki do szczęścia nie są mu potrzebne. Oficjalną przyczynę zmiany kategorii zdrowia stanowiły wrzody na żołądku. Nim jednak potraktowano owe wrzody z należytą powagą, musiał pozbyć się samochodu kupionego za przesłane przez ojca dolary – Terleś senior od kilku lat pracował w USA.

– Czołem, obywatelu cywilu! – zagrzmiął zgodny chór.

– Trzymajcie się, kaprale! Bierzcie przykład ze mnie!

– Kostyk, Kostyk! – darł się Tarkowski. – Do grzyba!

Kostyk wyczłapał z umywalni. Ubrany był w klapki, atramenty i białą niegdyś koszulkę z krótkimi rękawkami. Przez ramię przewiesił wielką i moką ściere.

– Czego? – burknął niezyczliwie.

– Służymy dziś razem – wyjaśnił Tarkowski.

– Pieski służą, nie ja.

– Ale musimy – widocznie Tarkowski czuł się już *asystentem* w plutonie dźwiękowym. – Tylko do rana, Piontek prosił...

Sprzątanie byłoby już zakończone, gdyby nie Wścieklica, który od czasu powrotu ze szpitala psychiatrycznego – gdzie bezskutecznie starał się przekonać lekarzy o swej wojskowej nieprzydatności – właściwie z nikim nie mógł znaleźć wspólnego języka. Obecnie bojkotowali go wszyscy, oprócz Ogórki i Chrynia.

Wścieklica sam przed sobą przyznawał, że jest zbyt nerwowy. Jednak gdy zawinił, nie potrafił zdobyć się na to, by kogokolwiek przeprosić. A mówiono, że on sam ustawicznie szuka okazji do zaczepki. Wścieklica uznawał taką opinię za złośliwą potwarz. Uważał, że we wszystkich konfliktach tak naprawdę winę ponoszą inni, bo *s t r e p i e l i*. Jakże skundlił się Rej, obecnie liżący dupy trepom za kawałek urlopu! Nawrocki, Stularczyk, Kostyk, Daczny... Sami się wpychają trepom w *kakałko*, a dopierdalają się do niego. Rej ostatnio śmiał mu zarzucić, że zaraz po powrocie ze szpitala złożył podanie o przyjęcie do Partii. Wścieklicę oburzała taka insynuacja. Prawda, że podobne podanie napisał, ale przecież go nie przyjęli, więc kolaborantem nie został. Czyli: wszystko było tak, jak gdyby żadnego podania nie było. A poza tym to jego prywatna sprawa, jakie prośby do kogo pisał, i byle kto mu tego wypominać nie będzie! Same kundle i buraki, cholera...

A teraz czy to jego wina, że przeszedł po mokrej podłodze i trochę ją zabrudził? Mogli lepiej ten korytarz wytrzeć!

– Spierdalajcie ode mnie! – wrzasnął. – Gównu mnie wasz korytarz obchodzi! Lizusy!

Pobiegł do ubikacji i zamknął się w kabinie.

– On rzeczywiście jest chory – powiedział zimno Rej – ale na coś zupełnie innego, niż sądzi...

– Padaczka to nie jest... – zgodził się Daczny. – Chodź, zetrzemy, co nabrudził.

Zakończono manewry porządkowe. Teraz podchorążowie zdawali starszemu szeregowemu Marmusze dresy i mundury polowe. Na praktykach mieli otrzymać nowe. Ze starych zaś należało odebrać – w takim znoju przyszyte pierwszego dnia pobytu – blachy i makarony. Niektórzy wykonywali tę operację z niemą zaciętością, inni – z nieukrywanym sentymentem.

– Wiesz, tu wcale nie było tak źle – westchnął Mamut.

– Mnie tam wszędzie będzie lepiej niż tu – odparł Malczyk. – Ty to się przynajmniej cieszysz, że wylądowałeś w rodzinnym Szczecinie...

– Szykuj, tato, wiadro wódki, bo meterek bardzo krótki! – śmiał się Nodryś.

– Tak? Krótki? A te osiem miesięcy to pies?!

– Tam już będzie inaczej...

Niektórych zaniepokoiła konieczność zwrotu do szatni jednej z dwóch koszul wyjściowych. Jednak starszy sierżant sztabowy Maski uparcie dowodził, że tak jest prawidłowo.

– Ale tu, w karcie mundurowej, mamy wpisane dwie koszule! – awanturował się Olszewski.

– No i drugą, kurewka, dostaniecie na praktyce!

I w ten sposób Maski znowu sprytnie zarobił solidnego zaskórniaka.

W dniu przybycia do Szczupakowa przypięli korpusówki oraz naszyli sreberka na rękawy, a makarony – na pagony wyjściówek. Teraz uzupełniali obraz naramienników o kaprałskie belki. Daczny i Rej siedzieli w świetlicy przy wspólnym stoliku.

– Ciągle nie wiem, czy dobrze zrobiliśmy, rezygnując z tego Szczupakowa...

– Ja musiałem. Już mi obmierzły tutejsze układy. Zbyt dobrze wszystkich znam. Mam ochotę na coś nowego.

– Ale robotę – powiedział Daczny – miałbyś fajną.

– Tak jak i ty! Zapisalbyś się do Partii i byłbyś szefem SPZ!
– roześmiał się Rej. – Też fucha super, i też tylko dla partyjnego.
Byłbyś następcą Artymiaka. Wiesz, że on na trepa podpisał?

Obydwojaj odmówili pozostania w Szczupakowie. Wybrali wspólne miejsce zesłania, położone również w północnej Polsce, ale na zachód od Mazur. Śmiano się z nich, że na ochotnika będą walczyć z Krzyżakami.

Dzięki temu w plutonie zwiadu przydziały praktyk odbyły się bez konfliktów. W Szczupakowie pozostali Borówka, Nodryś i Kogutowski. Lange wylądował w Słupsku – prawie *vis-a-vis* szkoły, gdzie pracował jako cywil. Olszewski trafił w okolice rodzinnego Poznania. Ruchacz – do *trójkąta bermudzkiego*. Do miejsca w Katowicach aspirowali Hultajek i Zdyb, gdyż mieszkali w okolicach Krakowa. By załatwić sprawę honorowo i bez animozji, zagrali w orła i reszkę. Wygrał Hultajek i on powędrował na Śląsk, a Zdyb – do Gdańska (który na domiar złego okazał się Lęborkiem).

– Może masz rację... – mruknął Daczny.

– Jasne! – stwierdził Rej. – Zresztą, klamka już zapadła. I dobrze. Nie po to zatarłem w papierach ten cholerny ZSMP, żeby się za fuchę na kilka miesięcy szmacić... Wiesz, ciągle myślę o tym ZSMP. Na ile dałem się wtedy ogłupić, a na ile chciałem, żeby mnie ktoś ogłupił. Szczupakowo ciągle by mi o tym przypominało. A na dodatek musiałbym patrzeć, jak Borówka musztruje szwejków!

Roześmiali się i wrócili do pracy. Przyszywanie belek do twardego materiału wyjściówek nie było sprawą prostą. Należało to czynić precyzyjnie, mocując tasiemkę na całej jej długości tak, by nie było widać nitki. Prostsza była robota z belkami na czapce. Te naklejało za pomocą rozmoczonego mydła, które spisywało się w tej roli lepiej niż klej.

– Wiesz... – powiedział Rej – jak mnie będą na praktyce awansować, zawsze będę kombinował tak, żeby przynajmniej na moro mieć inną liczbę belek na lewym, a inną na prawym naramienniku.

– Tak jak tu z makaronem?

– Jasne! Nie śmieję się, to może dziecinada, ale dla mnie jest pewną formą protestu przeciwko temu, co nas otacza w tym zielonym świecie. Parę miesięcy pracowano nad tym, żebym się niczemu nie dziwił, tylko słuchał i wykonywał. Mam nadzieję, że im się to nie udało. A może rzeczywiście zrobili z nas takich wiecznie uśmiechniętych i przejętych wyimaginowanymi obowiązkami kretyneków? Może już przyzwyczailiśmy się do tego, że mamy w y k o n y w a ć, a nie myśleć... Wielu na pewno już przywykło. Proszę, nie śmieję się z tego, co mówię.

– Widzisz... – Dacznemu nie było do śmiechu – zastanawiam się, jak opowiedzieć o wojsku komuś, kto nigdy sam tu nie był.

– Nie da się.

– Nie da... Tu jest tak wiele dotkliwych drobnostek. Aż trudno uwierzyć, że one tak ograniczają i ogłupiają...

– Czy ktoś da wiarę, że tu życie składa się z samych takich błahostek?

– Niektórzy i tak mają do wojska sentyment...

– W końcu tracą tu najlepsze lata swego życia. Nie tak łatwo się do tego przyznać. Każdy stara się zachować twarz i mówić, jakim był gierojem.

– Szczególnie jeśli to dwa lata.

– Z tym, to trochę tak, jak z żartem – opowiadał Rej – o którym chyba u Wańkowicza czytałem. Studenci krakowscy, przed I wojną jeszcze, postawili na Rynku wielkie pudło. W pudle było okienko, a żacy nawoływali, że można przez nie obejrzeć, za opłatą, coś bardzo zabawnego. Więc goście płacili i zagłądali. W środku był tylko napis: *Głupio ci? Daj i innym się wygłupić. Powiedz, że warto tu zajrzeć*. I ponoć przez cały dzień nie znalazł się nikt, kto by wyznał prawdę.

– Panowie, chodźcie książki sobie wybrać – przerwał rozmowę Cyroń.

Cyroń wypisywał dedykacje w nagrodach książkowych, które mieli otrzymać na pożegnanie niektórzy podchorążowie. Rej akurat okazał się zwycięzcą konkursu szachowego. W szachy nigdy nie grał – sukces w igrzyskach zawdzięczał pomyłce Nawrockiego. Ten bowiem najpierw wypisał dyplom dla Ogórki, jako tego, który w historii dwudziestego szóstego turnusu SPR Artylerii Szczupakowo wystrzelał najwięcej na strzelnicy – czterdzieści pięć punktów. Dopiero później ktoś mu przypomniał, że jednak rekord dzierży Rej ze swymi czterdziestoma sześcioma. Tytułem rekompensaty, Nawrocki uczynił Reja najlepszym szachistą. Prawdziwy turniej szachowy wygrał Daczny, więc okazał się zastępczo zwycięzcą zawodów pływackich, które się nie odbyły, bo brakowało chętnych na pluskanie się w jeziorze zimową porą. Triumfatelem konkursu tenisa stołowego Nawrocki uczynił samego siebie, co spowodowało reklamacje ze strony Ruchacza, bądź co bądź absolwenta AWF. Ruchacza więc mianowano championem konkursu czytelniczego, a to już nie spowodowało niczyjego sprzeciwu, bo książek z wojskowej biblioteki raczej nikt nie czytał.

Rej wybrał album Boscha, a Daczny, *Wojnę i pokój* Tołstoja. Dla Ogórki, Ruchacza i Nawrockiego pozostały *Zbrodnia i kara* Dostojewskiego, *Przygody dobrego wojaka Szwejka* Haska oraz *Martwe dusze* Gogola.

Nagrody dla zwycięzców konkursów wybrała małżonka pułkownika Czachórskiego, skądinąd szefowa biblioteki JW 1281.

Mniej szczęścia miała trójka prymusów, choć dla nich bibliotekarka załatwiła unikatowe wydanie *Bajek* La Fontaine'a. *Bajki* były wydane tak pięknie, że kadra Szkoły jednogłośnie uznała, iż bardzo się spodobała pociechom Piontka, Siwaka i Głodówki. Oficerowie wezwali więc Tułskiego, Kogutowskiego oraz Króla i poprosili ich grzecznie, by zrezygnowali z La Fontaine'a na rzecz innych znakomitych pozycji literackich.

– A wiecie, co dostaną prymusi? – zaśmiał się Cyroń. – Zamiast La Fontaine'a pałuczili...

– Pokaż!

Cyroń wskazał leżące za biurkiem trzy stosy książek w skórzanych oprawach. Były to *Dzieła zebrane* Lenina, które od dwudziestu lat zalegały zaplecze tutejszej księgarni.

– Też bajki, w sumie... – osądził Rej. – Wolę jednak stwory Boscha. Dzieło Lenina mam na co dzień...

Lokatorzy sali 107 siedzieli przy butelce wina, przemyczonego do koszar przez plutonowego podchorążego Millera.

– Smętnie jakoś się zrobiło...

– Może zaśpiewamy tę piosenkę egzaminacyjną?

Bardzo polubili utwór, którego tekst ułożyli wspólnie poprzedniego dnia. Jedną z jego zalet było to, że wykonanie nie wymagało szczególnych umiejętności wokalnych. Śpiewać można było na dowolną melodię bluesową.

– Dziś w SPR-ze egzamin wielki... – zacharczał Tomala.

– Stoją chłopaki, piją z butelki! – uzupełnił Rej.

– Ktoś rzyga w kącie, inny chwacko gładzi prącie! – zawodził Nawrocki.

Refren śpiewali chórem:

Ooo MOooNnnn blues...

jak mus, to mus!

Ooo Ministerstwo Ooobrony Narodowej blues...

egzamin w wojsku

to MOooNnnn blues!

Następną zwrotkę znowu kolejno wyśpiewywali Kogutowski, Tomala, Nawrocki, Rej i Daczny, każdy po kilka słów.

*Wchodzą na salę,
ich wiedza blada...
Pada pytanie:
Jak się nazywasz?
Odpowiesz bracie:
Detę otrzymasz!*

Refren ponownie razem:

*Ooo, MOooNnn blues!
Jak mus to mus!
Egzamin w wojsku
to jest wiedzy blues!*

I znów na głosy:

*Drugie pytanie:
Jaki masz stopień?
Jeśli odpowiesz:
czwórkę dostaniesz!
Ooo, MOooNnn blues!*

*Trzecie pytanie:
Jaki mój stopień?
Nikt nic nie mówi –
Trep się odzywa:
Czemu nie znacie majora Grzyba?!
(Dla wszystkich ciężka nastąpi chwila)
Słabo coś z wami,
stawiam tylko cztery plus...*

I, na całe gardło, refren:

*Ooo, wooojsko blues!
I tak dostaniesz cztery plus!
Plus – blues....
Cztery plus... No cóż...
Mogło być lepiej...
jak taki Borówka na przykład...
no cóż... SPR-blues!*

– Cisza! Cisza, kurwa! – w drzwiach stał Borówka. – Ciszej nie możecie? Ludzie są zmęczeni egzaminami! A wy jeszcze z Ministerstwa Obrony Narodowej się nabijacie! Zachowujcie się kulturalnie! Zero hałasu!

– Ooo... – przyszedł nasz baaardziej kapral niż podchooorąży! – zaśpiewał na chrapliwą melodię Tomala. – To jeszcze raz: *Parówka SPR blues!*

– Jak wam nie wstyd! Zazdroście mi, że zająłem tak wysokie miejsce na egzaminach! Sami byście chcieli! Pijaki!

Nikt się nie odezwał. Tomala odłożył gitarę i przepychając się obok Borówki, wyszedł z pokoju. To samo uczynili pozostali lokatorzy izby 107.

– Nawet porozmawiać poważnie z durniami nie można! – rzucił za nimi Borówka. – Zupełnie w tym wojsku strepieli, kurwa ich mać. Zazdroszczą, że zostają w Szczupakowie!

– Wszyscy na świetlicę! – ogłosił podoficer dyżurny. – Robimy wigilię!

Na pomysł pożegnalnego łamania się opłatkiem wpadł Mamut. On też uprosił podporucznika Głodówkę, by załatwił – oczywiście konspiracyjnie – opłatki u organisty. Mamut, rzecz jasna, zwrócił oszczędnemu oficerowi dwieście złotych.

Trzydziestu jeden podchorążych, którzy następnego dnia mieli odebrać świadectwa ukończenia SPR Artylerii, zebrało się w świe-

tlicy. Salę oświetlono gromnicami, bo zwykłych świec nie udało się kupić ani w GS-ie, ani w kantine.

Mistrzem ceremonii był Mamut. On zaintonował kolędę.

*Bóg się rodzi, moc truchleje
Pan niebiosów obnażony –
Ogień krzepnie, blask ciemnieje...*

Nie śpiewali zbyt głośno, gdyż bali się, by pieśni nie usłyszał oficer dyżurny; służbę trzymał chapol (tak nazywano nadmiernie pilnych żołnierzy), porucznik Rościszewski, a wszelkie uroczystości o charakterze religijnym były na terenie koszar surowo zakazane.

Potem w ogólnym harmidrze dzielili się opłatkami, całowali, składali życzenia bożonarodzeniowe i noworoczne. Awansów nikt nikomu nie życzył ani nie gratulował.

- Wszystkiego najlepszego!
- Oby było coraz lepiej!
- Żeby cyfra szybko biegła!
- I żebyśmy już nigdy więcej nie witali Wigilii w mundurze!
- Byle do lata!
- Czym prędzej do cywila!
- Obyśmy nie strepieli!
- Do zobaczenia w cywilu!

Trwało to ponad godzinę. Skończyło się przed północą – chcieli się wyspać. Następny dzień większość miała spędzić w przepelnionych i wiecznie spóźnionych pociągach i autobusach.

Spać poszli nawet Chryń i Stularczyk, którzy wcześniej odgrazali się, iż urzędzą huczną zieloną noc. Niepotrzebnie więc lokatorzy sali 107 zamknęli się na klucz, a w izbie 106 Borówka (klucza do zamka nie miał) zabarykadował drzwi szafkami.

Ostatni ranek

– Pobudka, Pobudka! Znikają, buty z korytarza! Ruchy, ruchy! – ogłosił o siódmej rano Muca, który dopiero co przejął od kaprała podchorążego Tarkowskiego obowiązki podoficera dyżurnego.

Krzyczał bardziej dla fasonu niż z potrzeby. Już przynajmniej od godziny nikt nie spał, bo od szóstej starszy szeregowy Marmucha przyjmował w szatni pościel i koce. Ponadto należało się spakować, co wcale nie było proste. Do niedużych brezentowych plecaków trzeba załadować nie dość że kostkę ekwipunku alarmowego, to jeszcze ciężkie buciory polowe, pseudofutrzaną czapę zimową i masę innych rzeczy.

Kapral z przykrością patrzył na sortujących bagaże podchorążych. Wiedział już, że jemu przyjdzie spędzić święta w koszarach. Major Piontek uznał, że za jesienne rozluźnienie dyscypliny w SPR winę ponoszą nie tylko Lech Wałęsa i perypetie związane z Okrągłym Stołem, ale również Muca i Marmucha. Nie było mowy o urlopie czy choćby przepustce na święta! Gdyby nie wstawienictwo porucznika Siwaka, nawet choinki na podoficerce nie mogliby ustawić. Ech, kapraleska do! (Tylko Trochęczuk pojedzie do domu, ale o jego interesy zadbał kapitan-wujek).

W szczególnym kłopotcie był Hultajek. Choć za pół litra załatwił u sierżanta Maskiego dwa dodatkowe plecaki, w żaden sposób nie mógł poupychać w nich zdobycznego majątku. W końcu – z bólem serca – zrezygnował z zabrania dwóch pustych magazynków do kbkAK, jednej maski przeciwgazowej, dziewięciu serków topionych i kostki masła. Usiłował nieprzydatny dobytek komuś podarować (a najlepiej sprzedać), ale znalazł się chętny tylko na masło.

– Zostaw resztę Głodówce, jemu na pewno się przyda – doradził Zdyb.

– Mądrej głowie dość dwie słowie! – ucieszył się Hultajek, który nie lubił, by cokolwiek się marnowało.

Wręczenie dyplomów było uroczystością trochę nieprzyjemną. I to wcale nie z powodu konieczności wysłuchania przemówienia pułkownika Czachórskiego, które trwało co najwyżej kwadrans. Szkopuł tkwił w tym, że plac musztry był zalany wodą. Przez całą noc elewi znosili ją wiadrami, gdyż dowództwo liczyło, że z rana złapie mróz i pożegnalna ceremonia odbędzie się na ślicznej lodowej tafli. Niestety, krnąbrna aura znów nie wykazała obywatelskiej postawy i nie chciała wykonać rozkazu.

Pułkownik nie przemawiał tym razem z trybuny, gdyż pragnął znaleźć się jak najbliżej *elity intelektualnej brygady*. Dla niego ułożono więc na asfalcie kilka desek. Ten zaimprovizowany podest chronił jego buty przed zalewającą plac błotnistą mazią.

Stóp podchorążych broniły tylko cienkie wyjściowe skarpety i pseudoskórzane (wykonane chyba z tektury) letnie pantofle, które przemokły, gdy tylko absolwenci dwudziestego szóstego turnusu SPR ustawili się na placu.

Ale nikt nie skarżył się, że czeka go cały dzień w mokrym obuwiu. To nie było istotne. Liczyło się tylko jedno: KONIEC! Już za chwilę – wymarzony KONIEC! Czy te cztery miesiące minęły szybko, czy wolno? Gdy tak teraz stali, wydawało im się, że prawie w rękę mogą chwycić ten czas, kiedy Kozioł ganiał ich po placu, a Ruchacz pokłócił się z fryzjerką. Tak blisko, i tak dawno... Inna epoka, a odległa ledwo o spojrzenie wstecz.

O dziesiątej rozpoczęło się w stołówce pożegnalne śniadanie z Czachórskim. Stoły zestawiono w wielką podkowę i nakryto obrusami. Usługiwali szeregowcy, którzy na co dzień pracowali jako kelnerzy w kasynie. Podano bigos i śledzia w oleju. Alkoholu oczywiście nie było – zamiast szampana serwowano oranżadę.

Pułkownik zasiadł na środkowym, honorowym, miejscu. Obok niego usadzono trójkę prymusów, którzy zmuszeni byli zabawiać go przyjacielską rozmową.

Spotkanie zakończyło się po kilkunastu minutach, na prośbę podchorążych, którym zależało, by jak najszybciej wyjechać ze Szczupakowa autobusem brygady do odległego o kilkadziesiąt kilometrów Granicka, skąd dopiero mogli łąpać dalsze połączenia. Zrozumiało więc, że śniadanie przebiegło bez niemiłych incydentów. Nawet Wścieklica nie spełnił groźby *wygarnięcia, co o tym wszystkim sądzi*. On również był już myślami w domu, przy żonie i dziecku.

Jeszcze tylko pożegnalna fotografia, wymiany adresów, i chwytają za bagaże. Hultajkowi pomagają w ich dźwiganiu Olszewski i Ruchacz.

Podchorążowie, wychodząc na schody, ściskają ręce ustawionym rzędem: majorowi Piontkowi, porucznikowi Siwakowi, porucznikowi Śmiechockiemu, starszemu sierżantowi sztabowemu Maskiemu, podporucznikowi Głodówce, młodszemu chorążemu Ziębie, kapralowi Mucy, kapralowi Trochińczukowi, starszemu szeregowemu Marmusze i plutonowemu podchorążemu Millerowi.

Niestety, nie obyło się bez zgrzytów.

Niewielu podało rękę Mucy – spośród zwiadowców byli to tylko Zdyb, Daczny, Rej i Kogutowski; lepiej kandydata na wzorowego kaprała potraktowali topki i dźwiękacze.

Nikt nie zbojkotował Trochińczuka, prawie nikt Marmuchy. Millera wielu żegnało jako serdecznego kumpla. Chłodno, ale uprzejmie, ściskano prawice żołnierzy zawodowych. Tylko Rej, po serdecznym uścisku z Siwakiem, manifestacyjnie ominął wyciągniętą dłoń swego dowódcy plutonu.

– Co, ręki mi na pożegnanie nie podasz? – zatrzymał go Śmiechocki. – Nie myśl o mnie, kurwa, źle. Może się już nie spotkamy... Ja też nie mam lekko.

– A, niech będzie! – Rej wyciągnął rękę.

– Tylko wiesz – powiedział oficer – jak byś kiedyś robił film o tym wszystkim, to nie przedstaw mnie jak ostatniego chuja.

Czy oczy oficera patrzyły błagalnie, czy tylko podchorążemu tak się wydawało?

– Jak ostatniego, to nie – uśmiechnął się Rej.

Przybyli do Szczupakowa w różnych terminach, ale opuszczali go razem. Autobus już czekał. Ostatnie spojrzenie na tutejsze koszary... Wielu wiedziało, że z czasem będą myśleć o nich z sentymentem.

Żegnał ich nowy pomnik patrona brygady. Wykonano go znacznie staranniej niż poprzedni i uroczyste odsłonięto tydzień temu. Na razie się nie rozpadł.

Ostatni raz patrzyli na tę rzeźbę. Czachórski poprosił ich na pożegnanie, by w jednostkach, do których trafiają, opowiadali, jakim to wspaniałym wkładem w dzieło humanitaryzacji LWP jest monument towarzysza Dzierżyńskiego.

Rzeczywiście, kilkumetrowy posąg prezentował się w każdym calu znakomicie. Sylwetka Feliksa jako żywo przypominała nowojorską Statuę Wolności. Od daru narodu francuskiego dla amerykańskiego różnił ją tylko jeden szczegół: w uniesionej prawicy dzierżyła nie pochodnię wolności, lecz wielgaśny nagan.

W kraju szykowały się poważne zmiany. Również Ludowe Wojsko Polskie nie pozostało na nie obojętne.

Jak zwykle, na swój własny sposób.

EPILOG

Ukończenie SPR Artylerii wcale nie oznaczało końca wojskowej edukacji jej absolwentów.

Spodziewali się, że będą musieli służyć jeszcze przez osiem miesięcy, ale zmiany, jakie zaszły w Polsce, skróciły ten czas o sześćdziesiąt dni.

Większość poznała poligony, kilku zadekowało się w sztabach. W SPR Artylerii na praktykę pozostali kapral podchorąży Tarkowski (pluton dźwiękowy) i kapral podchorąży Szalski (pluton topo). 1 ŚBAA zatrzymała również Kogutowskiego, Borówkę, Nodrysia i Tulskiego.

Nodrys został dowódcą plutonu w baterii raketowej, stacjonującej w tym samym budynku co SPR. Żołnierze go nie lubili, szef baterii, sierżant Ryłko – również. Z trudem też znajdował wspólny język z porucznikiem Dziedzicem. Mimo to dosłużył się stopnia ogniomistrza podchorążego.

Ogniomistrz podchorąży Kogutowski służył w drugim dywizjonie. Bardzo cenili go podwładni. Nie miał również większych zatargów z przełożonymi.

Kapral podchorąży Borówka w styczniu zgłosił akces do PZPR i objął posadę p.o. komendanta SPZ. Zajęcie to spodobało mu się tak bardzo, że w maju, już jako sierżant podchorąży – pod wpływem pani Janiny Maski – nosił się z zamiarem zostania żołnierzem zawodowym. Później zaszły jednak okoliczności, które spowodowały, iż tego nie uczynił.

Starszy kapral podchorąży Tulski odniósł na styczniowym poligonie poważne obrażenia (po pijanemu wpadł pod samochód). Większość praktyki spędził więc w szpitalach i na zwolnieniach lekarskich.

Kapral podchorąży Mamut dostał się do rodzinnego Szczecina. Niestety, wkrótce potem oddelegowano go do Kołobrzegu, a stamtąd do Gdańska.

Wielce chwalił sobie okres praktyki Hultajek, który pełnił obowiązki szefa kompanii. Wszyscy byli bardzo radzi ze sposobu, w jaki sprawował tę funkcję, więc rychło otrzymał sierżancką krokiewkę (zachwycony był również jego ojciec, bo wreszcie w gospodarstwie skończyły się kłopoty z przyodziewkiem do roboty w polu).

Janusz Nawrocki odbywał dalszą służbę w Opolu. Już w jej trakcie wraz z żoną i córeczką szykowało się do emigracji do RFN.

Jako pierwsi wyszli z wojska, z uwagi na dzieci, plutonowy podchorąży Tarkowski i plutonowy podchorąży Olszewski. Wkrótce potem udało się to również – z przyczyn zdrowotnych – kapralowi podchorążemu Dacznemu.

Zupełnie nietypowo potoczyły się wojskowe losy starszego kaprała podchorążego Kostyka, który w czasie praktyki stał się wykładowcą w WSO Wojsk Pancernych. Zawdzięczał tę posadę ojcu poznanej w pociągu dziewczyny, swej przyszej żony.

Kapral podchorąży Cyroń przez cały okres praktyki walczył o zwolnienie z wojska z przyczyn zdrowotnych, ale sukcesu nie osiągnął.

Plutonowy podchorąży Chryń stał się *spiritus movens* takiej afery, że ojciec-generał z najwyższym trudem wybronił go od więzienia. Dzięki temu jednak szeregowy Chryń osiągnął swój cel i już w marcu został cywilem.

Plutonowy podchorąży Ruchacz zajmował się głównie *samorealizacją w temacie alkoholowym*, dzięki czemu miał znakomite stosunki ze swymi przełożonymi oraz podwładnymi.

Kapral podchorąży Ogórko otrzymał ZIP-owski przydział na etat specjalisty do spraw komputerów i nadzorował pracę sekcji maszyn liczących. Jako historyk sztuki nie miał o nich bladego pojęcia, dzięki czemu był lubiany przez swego dowódcę. W odróżnieniu od swojego poprzednika, Ogórko się nie wymądrzał i nie zabiegał o żadne kłopotliwe naprawy.

Ogniomistrz podchorąży Maroń w trakcie praktyki nawiązał bliskie kontakty z kontrwywiadem. Bezpośrednio po zakończeniu służby wojskowej – nie wykorzystał nawet przysługującego mu urlopu – rozpoczął pracę w Służbie Bezpieczeństwa.

Plutonowy podchorąży Lange wymościł sobie gniazdko w rodzinnym Słupsku, w sztabie tamtejszej jednostki. Nadużywania wyrazu na „k” się nie oduczył, ale jego żona i tak była zadowolona, że ma męża blisko.

Sierżant podchorąży Bratek zajmował się podczas praktyki – tak przynajmniej stwierdza posiadane przezeń zaświadczenie – *budową poligonu w miejscowości X., w czasokresie od 1 września 1988 roku do 30 czerwca 1989 roku Wykazał się wysokim poziomem wiedzy moralno-politycznej i fachowej, w związku z czym wnioskuje się o zaliczenie w/w stażu w zawodzie: architekt.*

Plutonowy podchorąży Diabeł praktykę spędził w tak zwanym zielonym garnizonie, gdzie był dowódcą plutonu topograficznego. Pojawiał się tam przeważnie tylko po odbiór żołdu. Czasem jednak o tym obowiązku zapominał, a wtedy pieniądze przywoził mu do domu któryś z jego podwładnych.

Robert Wścieklica najszybciej awansował do rangi plutonowego podchorążego, gdyż sposób, w jaki traktował szeregowych żołnierzy, bardzo podobał się jego dowódcom. Nie wiadomo dokładnie, czemu w nocy z 26 na 27 maja popełnił samobójstwo. Służbowy P-61 okazał się skuteczną bronią.

Większość podchorążych dwudziestej szóstej promocji opuściła koszary w miesiąc po śmierci Wścieklicy – pewnie nigdy się o niej nie dowiedzieli.

Z kilkoma spośród występujących w tej książce bażantów spotkamy się jeszcze podczas ich praktyk dowódczych, zarówno na poligonie, jak i w koszarach. Rozpierzchli się po całym kraju, a ich losy układały bardzo rozmaicie – nie o wszystkich jesteśmy w stanie powiedzieć coś w miarę pewnego. Na razie zdradzić można tylko jedno: jako ostatni pożegnał się z ubłoconym mundurem kapral podchorąży Marek Rej.

WAŻNIEJSZE OSOBY W BRYGADZIE ORAZ BOHATEROWIE OPOWIEŚCI

Czachórski Jerzy – lat 51, płk dypl.; dowódca JW 1281 (czyli 1 ŚBAA im. F. Dzierżyńskiego)

Wańkow Wojciech – lat 39, płk mgr; zastępca dowódcy ds. polityczno-wychowawczych

Trochińczuk Edward – lat 33, kpt. mgr; oficer kontrwywiadu

Herman Szymon – lat 43, ppłk dypl. inż.; sekretarz POP 1 ŚBAA

Łysak Artur – lat 41, mjr dypl. inż.; szef sztabu brygady

Wierzba Kazimierz – lat 55, płk; kwatermistrz brygady

Jarmuł Konstatyn – lat 33, kpt. (od 12.10.1988 – mjr); lekarz

Dywizjon Szkolny

Mleczko Witold – lat 40, ppłk dypl.; dowódca dywizjonu

Radecki Lech – lat 27, por. dypl.; zastępca dowódcy ds. polityczno-wychowawczych

Achenbach Rajmund – lat 37, mjr inż.; szef sztabu dywizjonu

Czarny Tomasz – lat 35, mjr inż.; dowódca SBD

Kat Józef – lat 28, kpt. inż.; dowódca SBA

Waszyński Karol – lat 36, mjr inż.; komendant SPR OC

Artymiak Jerzy – lat 25, ogn. pchor., komendant SPZ

Szkoła Podchorążych Rezerwy Artylerii

Piontek Stanisław – lat 35, kpt. (od 12.10.1988 – mjr) inż.; komendant SPR

Maćko Krzysztof – lat 25, ppor. mgr; zastępca komendanta SPR ds. polityczno-wychowawczych (01.12.1988 ubył do sztabu brygady)

Siwak Henryk – lat 28, ppor. (od 12.10.1988 – por.) inż.; zastępca komendanta SPR ds. szkoleniowych

Maski Józef – lat 47, sierż. sztab. (od 12.10.1988 – st. sierż. sztab.); sierżant-szef kompanii SPR

Marmucha Zenon – lat 25, st. szer.; pomocnik sierżanta-szefa SPR

Pluton rozpoznania wzrokowego (zwiad)

Śmiechocki Kazimierz, lat 27, por. inż.; dowódca plutonu

Miller Jarosław, lat 26, kpr. pchor. (od 12.10.1988 – st. kpr. pchor., od 21.12.1988 – plut. pchor.); pomocnik dowódcy plutonu, dowódca 1 drużyny

Muca Franciszek, lat 22, kpr.; dowódca 2 drużyny

podchorążowie:

Borówka Jan – lat 27, kan. pchor.

Daczny Piotr – lat 26, kan. pchor.

Hultajek Jan – lat 28, kan. pchor. (od 29.11.1988 – bomb. pchor.)

Kogutowski Wacław – lat 25, kan. pchor. (od 02.10.1988 – bomb. pchor.)

Kotwica Paweł – lat 27, kan. pchor. (ubył do SPR OC 15.09.1988)

Lange Stanisław – lat 26, kan. pchor. (od 29.11.1988 – bomb. pchor.)

Nodryś Wojciech – lat 28, kan. pchor. (od 02.10.1988 – bomb. pchor.)

Olechowicz Mikołaj, lat 27, kan. pchor. (ubył do SPR OC 15.09.1988)

Olszewski Mateusz – lat 28, kan. pchor. (od 02.10.1988 – bomb. pchor.)

Rej Marek – lat 26, kan. pchor.

Ruchacz Mirosław – lat 24, kan. pchor.

Zdyb Olgierd – lat 24, kan. pchor.

Pluton rozpoznania dźwiękowego (dźwięk)

Zięba Maciej, lat 25, mł. chor.; dowódca plutonu (przejął obowiązeki 03.10.1988)

Zabawa Andrzej, lat 26, plut. pchor. (od 21.12.1988 – ogn. pchor.); pomocnik dowódcy plutonu, dowódca 1 drużyny

Mamciorek Dariusz, lat 25, kpr. pchor. (od 12.10.1988 – st. kpr. pchor.; ubył ze stanu SPR Artylerii 14.11.1988); dowódca 2 drużyny

podchorążowie:

Chryń Jaromir – lat 25, kan. pchor. (od 02.10.1988 – bomb. pchor.)

Malczyk Józef – lat 26, kan. pchor. (od 29.11.1988 – bomb. pchor.)

Maroń Paweł – lat 25, kan. pchor. (od 02.10.1988 – bomb. pchor.)

Nawrocki Janusz – lat 27, kan. pchor. (od 29.11.1988 – bomb. pchor.)

Szylicki Andrzej – lat 24 (ubył do SPR OC 24.11.1988)
Tarkowski Zdzisław – lat 28, kan. pchor. (od 02.10.1988 – bomb. pchor.)
Terleś Paweł – lat 27 (ubył do cywila 22.12.1988)
Tomala Jerzy – lat 26, kan. pchor. (od 02.10.1988 – bomb. pchor.)
Walicki Roman – lat 25, kan. pchor.
Wittek Adam – lat 24, kan. pchor. (od 29.11.1988 – bomb. pchor.)

Ogórko Jerzy – lat 26, kan. pchor.
Patek Roman – lat 26, kan. pchor.
Stularczyk Dariusz – lat 28, kan. pchor. (od 02.10.1988 – bomb. pchor.)
Szalski Arkady – lat 24, kan. pchor. (od 02.10.1988 – bomb. pchor.)
Tulski Mieczysław – lat 25, kan. pchor. (od 02.10.1988 – bomb. pchor.)
Wścieklica Robert – lat 27, kan. pchor.

Pluton topograficzny (topo)

Głodówka Antoni, lat 23, ppor. inż.; dowódca plutonu
Synek Ireneusz, lat 25, plut. pchor. (od 21.12.1988 – ogn. pchor.); pomocnik dowódcy plutonu, dowódca 1 drużyny
Kozioł Aleksander, lat 22, st. kpr. (ubył do cywila 13.10.1988); dowódca 2 drużyny
Trochęczuk Józef, lat 24, kpr.; dowódca 2 drużyny (przejął obowiązki 03.10.1988)

podchorążowie:

Bratek Jacek – lat 26, kan. pchor. (od 29.11.1988 – bomb. pchor.)
Cylka Maciej – lat 27, kan. pchor. (ubył do cywila 22.11.1988)
Cyroń Bogusław – lat 26, kan. pchor.
Diabeł Wojciech – lat 27, kan. pchor. (od 29.11.1988 – bomb. pchor.)
Erazm Mariusz – lat 23, kan. pchor.
Kostyk Krzysztof – lat 24, kan. pchor.
Król Zbigniew – lat 23, kan. pchor.
Mamut Igor – lat 24, kan. pchor.

ZIP	–	Zapotrzebowanie Indywidualne na Podchorążego
ZOMZ	–	Zakaz Opuszczania Miejsca Zakwaterowania
ZSyP (właśc. ZSP)	–	Zrzeszenie Studentów Polskich
ŻWK	–	Żołnierska Wszechnica Kulturalna

WYKAZ WAŻNIEJSZYCH SKRÓTÓW

GZP LWP	–	Główny Zarząd Polityczny Ludowego Wojska Polskiego
JW 1281	–	Jednostka Wojskowa 1281
LWN	–	Limit Wypadków Nadzwyczajnych
OC	–	Obrona Cywilna
PDO	–	Punkt Dowódczo-Obserwacyjny
1 ŚBAA	–	1 Śląska Brygada Artylerii Armat im. Feliksa Dzierżyńskiego
PŁO	–	Przyrząd Kierowania Ogniem (tłum. z jęz. ros.)
POP	–	Podstawowa Organizacja Partyjna PZPR
PRON	–	Patriotyczny Ruch Odrodzenia Narodowego
RKU	–	Rejonowa Komisja Uzupełnień
SBA	–	Szkolna Bateria Artylerii
SBD	–	Szkolna Bateria Dowodzenia
SPR	–	Szkoła Podchorążych Rezerwy
SPSZ	–	Szkoła Podoficerów Służby Zasadniczej
SPZ	–	Szkoła Podoficerów Zawodowych
TEWO	–	Terminarz Wojskowy
WKU	–	Wojskowa Komisja Uzupełnień
WRON	–	Wojskowa Rada Ocalenia Narodowego
WSO	–	Wyższa Szkoła Oficerska
WSP	–	Wyższa Szkoła Pedagogiczna
WSW	–	Wojskowa Służba Wewnętrzna

SPIS TREŚCI

ZAMIĄST WSTĘPU	
Dwie rozmowy	
Wojciech Jaruzelski i Zrnka Novak	
Wojciech Jaruzelski i Leonard Bernstein	
PROLOG	
Zamiast chleba i soli	
Miasteczko na uboczu	
Pierwsza pobudka	
CZĘŚĆ PIERWSZA	
MIŁE ZŁEGO POCZĄTKI	
DZIEŃ PIERWSZY	
Przedbiegi	
Komisja	
Kto jarzy, a kto nie	
Postrzyżyny	
Przyspieszony kurs kroju i szycia	
Ich pierwsza noc	
NIC DWA RAZY SIĘ NIE ZDARZA	
CZYLI DZIEŃ DRUGI I DALSZY CIĄG WEEKENDU	

W walce ze światowym imperializmem
O tym, jak rzeczy proste stają się trudnymi, a trudne – prostymi
Co każdy żołnierz wiedzieć powinien
Sobotni wieczór
Misja podchorążego Borówki
Niedzielne porządki
Spóźniałki
Każdy realizuje swoje plany, jak potrafi

ŚWIAT JEST PIĘKNY, I TO NIEDALEKO STĄD...

Edukacja poranna
Zwyczaje stare i zwyczaje nowe
Stosunki międzyludzkie, czyli od pieszczela do wojen gwiazd- nych
Po prostu podporucznik Maćko
Skarpeta contra onuca
Wtorek. Przebudzenie
Środa
Czwartek. Wielki wyścig
Czarne chmury
Psychologia na dzień dobry
Piątek
Ciepło, ciepło... zimno

CZEŚĆ DRUGA

KLIMAT PRZYSIĘGI

DOO – PRZYSIĘGI!!!

Nowy prymus SPR
Kuchnia – raz!
Na drużynce

Safari, czyli polowanie na słońce
Kłopoty tu, kłopoty tam
Sposób na...

POO... PRZYSIĘDZE!!!

Największe z Możliwych Świąt Żołnierskich
Relacje Reja
Fakty są faktami
Faktów jeszcze więcej
Na warcie, czyli „wykonywanie zadania bojowego”
Zbrodnia i kara
Złe dobrego początki

CZEŚĆ TRZECIA

OSTATNIE TYGODNIE

POKÓJ Z WIDOKIEM

Impresje podchorążego Dacznego
Paragraf trzynaście
Bagażnik a stomatologia
Przed obiadem
Zerwana fala

CYFRA I CYFERKA

Grudniowy poranek
Rozmowy i spotkania
Polityka duża i mała
Inspekcja
Żołnierska sjesta
Alarm! Alarm! Alarm!
Cyfra, miseczka i flaszeczka
Czwartek, 15 ddkSPR

U źródeł żołnierskiej przyjaźni

FINAŁ

Metro, czyli wejście w kanał

Casus belli

Wojskowa wyprawa do gwiazd

Czarny koń

Perypetie małego Frania

Wtorek, środa, czwartek, ostatni wieczór... ..

Ostatni ranek

EPILOG

WAŻNIEJSZE OSOBY W BRYGADZIE
ORAZ BOHATEROWIE OPOWIEŚCI

WYKAZ WAŻNIEJSZYCH SKRÓTÓW

